Cynthia Harrod-Eagles
Ja, Wiktoria
Z angielskiego przełożyła Ewa Ciszkowska
LiBROS
Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media
Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału I VICTORIA
Projekt okładki i stron tytułowych Małgorzata Szyszkowska
Redakcja Andrzej Gordziejewski
Redakcja techniczna Lidia Lamparska

Copyright © Cynthia Harrod-Eagles 1994
Copyright for the Polish translation by Bertelsmann Media Sp. z o.o..
Warszawa 2001
Bertelsmann Media Sp. z o.o.
Libros
Warszawa 2001
Skład Joanna Duchnowska
Druk i oprawa GGP Media, Póbneck
ISBN 83-7227-471-1
Nr 2480

Spis treści
Dzieci i wnukowie królowej Wiktorii..... 6
Rosyjskie i heskie powiązania 8
Rodzina mojego ojca..... 9
Rodzina mojej matki..... 10
ZIMA..... 11
WIOSNA..... 137
LATO..... 263
JESIEŃ..... 387
ZIMA..... 462
Postscriptum..... 543

Dzieci i wnukowie królowej Wiktorii.
1 WIKTORIA (Pussy, Vicky), księżniczka krwi, ur. 1840, poślubiła 1857 Fryderyka pruskiego 1831-88 (król pruski, cesarz niemiecki od marca do czerwca 1888).
1 Willhelm II ur. 1859.
2 Charlotta ur. 1860.
3 Henryk ur. 1862, poślubił Irenę heską, córkę Alicji.
4 Siggie ur. 1864 zm. 1866 na zapalenie opon mózgowych.
5 Moretta ur. 1866.
6 Waldie ur. 1868 zm. 1879 na błonicę.
7 Zofia ur. 1870.
8 Małgorzata ur. 187.2

2 ALBERT EDWARD (Bertie), książę Walii ur. 1841, poślubił 1863 Aleksandrę, księżniczkę duńską (Alix).
1 Albert Wiktor (Eddy), książę Clarence ur. 1864 zm. 1892 na zapalenie płuc.

2 Jerzy ur. 1865, poślubił 1893 Mary, księżniczkę Teck: Dawid ur. 1894, Albert ur. 1895, Maria ur. 1897, Henryk ur. 1900.
3 Luiza ur. 1867.
4 Toria ur. 1868.
5 Maud ur. 1869.
6 John ur. i zm. 1871.

3 ALICJA ur. 1843 zm. 1878, poślubiła wielkiego księcia heskiego Ludwika (zm. 1892).
1 Wiktoria ur. 1863, poślubiła Ludwika Battenberga.
2 Elżbieta ur. 1864, poślubiła wielkiego księcia rosyjskiego Sergiusza.
3 Irena ur. 1866, poślubiła Henryka pruskiego, syna Vicky.
4 Ernest ur. 1868, poślubił Ducky, córkę Affiego.
5 Frittie ur. 1870 zm. 1873 na hemofilię.
6 Aleksandra ur. 1872, poślubiła cara Rosji Mikołaja II.
7 May ur. 1874 zm. 1878 na błonicę.

4 Alfred (Affie), książę Edynburga (od 1893 książę sasko koburski) ur. 1844 zm. 1900, poślubił Marię, wielką księżniczkę rosyjską.
1 mały Affie ur. 1874 zm. 1889 na błonicę.
2 Maria (Missy) ur. 1875.
3 Wiktoria Melita (Ducky) ur. 1876, poślubiła Ernesta heskiego, syna Alicji.
4 Sandra ur. 1878, poślubiła Ernesta Hohenlohe, wnuka Feo.
5 Beatrycze (Baby Bee) ur. 1884.

5 Helena (Lenchen) ur. 1864, poślubiła 1866 Krystiana księcia Szlezwiku-Holsztynu.
1 Krystian Wiktor (Christl) ur. 1867 zm. 1900 na tyfus brzuszny.
2 Albert ur. 1869.
3 Thora ur. 1870 Maria-Ludwika ur. 1872.
4 Harold ur. I zm. 1876.

6 Ludwika ur. 1848, poślubiła lorda Lorne.

7 Artur, książę Connaught ur. 1850, poślubił Ludwikę (Louischen), księżniczkę pruską.
1 Małgorzata ur. 1882.
2 młody Artur ur. 1883.
3 Patrycja ur. 1886.

8 Leopold, książę Szkocji ur. 1853 zm. 1884, poślubił Helenę, księżniczkę Waldeck-Pyrmont.
1 Alicja ur. 1883.
2 Karol ur. 1884 (od 1900 książę sasko koburski).

9 Beatrycze (Baby) ur. 1857, poślubiła 1885 Henryka Battenberga (Liko, zm. 1896).
1 Aleksander (Drino) ur. 1886.
2 Ena ur. 1887.
3 Leopold ur. 1889.
4 Maurycy ur. 1891.

* * *

Część Pierwsza.

ZIMA.

Rozdział Pierwszy.
28 stycznia 1900 w Osborne.

Nie lubię się fotografować, nigdy nie lubiłam, nawet gdy byłam młodsza - zbyt wiele udręki dla zbyt wątpliwej przyjemności. Zawsze z największą trudnością powstrzymywałam chichot, rodzący się we mnie w momentach, kiedy oczekiwano, abym zachowała uroczystą powagę, a w dodatku początki fotografii wiązały się z koniecznością zastygnięcia na długie minuty w znieruchomiałej pozie przed kamerą. W rezultacie zwykle utrwalano mnie z ponurą, odętą miną, a przecież wszyscy mogą poświadczyć, że nie jestem ponurą osobą. Uwielbiam się śmiać, ale nie można się przecież śmiać na fotografii, nawet w dzisiejszych czasach, gdy tak bardzo usprawniono kamery. Właściwie nie można się nawet serdecznie uśmiechnąć, na zdjęciu wychodzi to dość dziwacznie -zwłaszcza gdy jest się królową, od której otoczenie wymaga zachowania godności.
Może gdybym była piękna, tak jak Alix, nie miałabym nic przeciwko temu, aby mnie fotografowano. To duża pociecha, mieć tak piękną synową, powabną i prześliczną jak figurynka z alabastru. Któregoś dnia będzie z niej wspaniała królowa. (Zupełnie inna sprawa, jakim królem okaże się Bertie - ale nie będę przecież akurat teraz zaprzątać sobie tym głowy!). Tak bardzo cenię sobie fizyczne piękno, Albert twierdził, że za bardzo, ale łatwo mu było tego nie doceniać, skoro sam został obdarzony przez naturę w nadmiarze. Mama była bardzo ładna w młodości - regularne rysy, ciemne oczy, różowe policzki, połyskujące loki - i moja kochana siostrzyczka Feo
11
bardzo ją przypomina. Za to ja... ja akurat musiałam odziedziczyć wygląd po ojcu, a już szczególnie jego nos - duży, długi, nieugięcie sterczący w twarzy, lekko zakrzywiony -jego miękko zarysowany, cofnięty podbródek i wydatną dolną wargę. (Bezustannie łajano mnie w dzieciństwie i młodości za to, że mam wciąż lekko rozchylone usta, ale ciekawa jestem, co może na to poradzić osoba o bardzo wydatnej dolnej wardze i bardzo drobnej górnej?). Kochany tata, miał zupełnie znośne rysy twarzy jak na mężczyznę, a wśród książąt mógł uchodzić nawet za w miarę przystojnego - mnie jednak jako kobietę nie bardzo zadowalały. W każdym razie nie można zaprzeczyć, że zarówno moi przodkowie, jak i wygląd fizyczny potwierdzały moją przynależność do dynastii hanowerskiej. Wiotkie piękno Koburgów, uosabiane przez matkę, mnie ominęło.
Jakże jednak zdumiewające wrażenie wywieramy czasami na innych! Mała, słodka Zofia, siódme dziecko Vicky, tak oto opisała mnie w swoim dzienniku po naszym pierwszym spotkaniu: „Moja najukochańsza babcia jest maluteńka - jest śliczna, bardzo śliczna i mała - i nosi welon jak narzeczona". Miała wtedy cztery lata, a ja pięćdziesiąt pięć! Sprawiło mi to niezwykłą przyjemność. Kobietę, choćby była królową i myślała o ważniejszych sprawach, zawsze cieszy świadomość, że wygląda ładnie.
Tak więc dzisiejsze popołudnie upłynęło mi z mieszanymi uczuciami, ponieważ spędziłam je, oglądając stare fotografie z Thorą. (Kochana Thora, najmilsze z moich wnucząt! Lenchen ma szczęście, że urodziła taką córkę; nie pamiętam, żeby kogokolwiek przyprawiła o zdenerwowanie w swoim życiu!). Pogoda dzisiaj paskudna, prawdziwie styczniowa -porywisty wiatr, gęsty deszcz ze śniegiem. Nawet na spacer powozem nie sposób się wybrać. Rzadko mi się zdarza, aby zła pogoda powstrzymała mnie od wyjścia na powietrze, ale dzisiaj to rzeczywiście niemożliwe. Poza tym byłoby doprawdy okrucieństwem zmuszać którąkolwiek z dam dworu, aby mi towarzyszyła - to prawdziwe cieplarniane kwiaty! - I na dobitek biedna Jane Churchill przeziębiła nieprzyjemnie głowę. Ja także nabawiłam się ostatnio przykrego kaszlu, ale przyczyną była raczej wilgoć niż przeziębienie. Wilgoć wcisnęła się
12
również w moje nieszczęsne kolano i boli teraz jak zastarzały smutek. Och, odmawiające posłuszeństwa ciało! Tragedią starości jest zewnętrzność, nie przystająca do wnętrza. Duch pozostaje ochoczy, a ciało wzdraga się przy otwartych drzwiach, woła o wygodne krzesło przy

kominku.
W Osborne zawsze było chłodno zimą. Choćby nie wiem jak sute ognie rozniecać, północno wschodni wiatr od morza przenika przez okna, ziębiąc pokoje; nie dociera tylko do oblanego różowym poblaskiem kawałka podłogi przy kominku, gdzie gromadzą się psy. Ale też zostało pomyślane jako letnia rezydencja, mająca zastąpić Pawilon w Brighton. Przemyślny system ogrzewania, wymyślony przez Alberta - gorące powietrze wdmuchiwane przez kratownice, aby ocieplić korytarze i sypialnie - miał neutralizować chłód letnich wieczorów, toteż nie na wiele się przydaje, gdy po domu hulają lodowate zimowe przeciągi. Co do mnie, nie jestem specjalnie wrażliwa na zimno; właściwie im starsza się staję, tym trudniej znoszę gorąco. Doskonale zdaję sobie sprawę, co o tym sądzą moje damy dworu! Czasami drażnię się z nimi, tak mnie bawi ich konsternacja. Kiedyś w Balmoral pojawiłam się pewnego rzeczywiście zimnego dnia w porze, gdy miałam zwyczaj zażywać świeżego powietrza. Zobaczywszy je z sinymi nosami, zbite w gromadkę jak stadko koni zimą w górach, przybrałam poważną minę i zaczęłam na głos rozważać, czy aby nie jest zbyt chłodno, żebyśmy wyszły. Te gąski wzięły mnie na serio!
Za życia Alberta nigdy nie obchodziliśmy tutaj Gwiazdki, a szkoda. Dom pachnie tak pięknie w czasie Bożego Narodzenia, i wiele tygodni potem, sosną i mirtem, ozdabiającymi pokoje, drewnem jabłoni, którym pali się w kominkach, pomarańczami, cynamonem i goździkami. Nie znam niczego, co by lepiej przywoływało wspomnienia niż zapachy: ledwie się odetchnie tym czy tamtym i wracamy do przeszłości, przywołując niemal namacalnie, zdawałoby się, dawno zapomniany czas. Bogu niech będą dzięki, że zdołałam zachować w pełni choć ten zmysł, podczas gdy moje nieszczęsne oczy widzą coraz słabiej, nawet w binoklach - obrzydłe szkła! Jakże nienawidzę ich nosić! Gdyby tylko ludzie zadali sobie trud pisać wyraźniej, byłoby mi łatwiej. Rozmawiałam o tym z Ponsonbym wielokrotnie;
13
ostatecznie jako mój sekretarz powinien tego dopilnować. Słuch również mi się przytępił - nie żebym była zupełnie głucha, ale kiedyś mogłam słyszeć pisk nietoperzy, gdy przechadzałam się z moim ukochanym o zmroku; mogłam słyszeć prowadzoną szeptem po drugiej stronie pokoju rozmowę (zdolność o nieocenionej wprost przydatności: doprawdy zdumiewające, jak wielka jest rozmaitość rzeczy, które w ocenie ludzi nie powinny dotrzeć do uszu innych!). Moje najwcześniejsze wspomnienia wiążą się z zapachami. Pamiętam, jak pachniał dywan - żółty dywan w czerwone romby, miejscami wytarty tak, że przeświecał sznurek -po którym pełzałam w pałacu Kensington: kurzem i psami. (Wcześnie nauczyłam się chodzić, na długo przedtem, nim skończyłam pierwszy rok życia, być może więc jest to pierwsza rzecz, jaką zapamiętałam). Pamiętam, jak siedziałam na podłodze (jeszcze czuję jej chłód przez cienką sukienkę z muślinu - ubierano nas tak lekko, zastanawiam się, czy nie to jest powodem, że jest mi stale ciepło teraz, kiedy odziewamy się w grubsze suknie), trzymając purpurową, haftowaną złotą nicią dzianą torebkę cioci Adelajdy. Purpura wydawała się taka miękka pod moją dziecięcą dłonią, a złoto takie szorstkie, torebka pachniała miętą i dlatego chciałam się przekonać, czy można ją otworzyć. Ciocia i mama gawędziły sobie tymczasem najspokojniej ponad moją głową - wydawały dźwięki podobne do ptasich, jakby dwa szpaki siedziały na gałęzi, pełne kląśnięć i pogwizdywań, i zol, i ne?, i ach!, i scha-a-ade! Biedna ciotka Adelajda, zawsze pachnąca miętą; miała słabe zęby i często połykała jedzenie, nie gryząc, a potem cierpiała na niestrawność. Teraz kiedy o tym myślę, jawi mi się jako osoba o niezwykłej sile charakteru, zawsze pogodna, nigdy nie okazująca zniecierpliwienia, mimo katuszy spowodowanych złym trawieniem; uciążliwa przypadłość, zupełnie nie znajdująca zrozumienia w najbliższym otoczeniu. Gorączka czy zranienie nieodmiennie wzbudzają zabarwione czułością zainteresowanie, ale kto by chciał poświęcać uwagę pracy przewodu pokarmowego, w dodatku nie własnego. Obawiam się, że ja ze swoim strusim żołądkiem nie okazywałam w początkach małżeństwa należytego zrozumienia mojemu biednemu Albertowi, gdy nękały go dolegliwości żołądkowe.
14
Jedzenie nie było dla niego przyjemnością. Co najwyżej tolerowaną koniecznością.
Ciotka Adelajda gościła u nas często, kiedy byłam dzieckiem. Jeszcze wcześniej, gdy mama

pierwszy raz owdowiała, bywała u niej codziennie, do czego zachęcał ją podobno gorąco stryj Wilhelm, przekonując, że skoro obie są Niemkami, będą mogły rozmawiać i modlić się w swoim języku, co z pewnością mamę pocieszy. Bardzo to do niego podobne: jak zwykle bezpośredni, skory do pomocy, praktyczny - stryjek Wilhelm. Niestety, ich zażyłość nie przetrwała próby czasu, a to z powodu Pewnej Osobistości, która zatruła umysł mamy i nastawiła ją przeciwko mojemu drogiemu stryjostwu. Kiedy skończyłam sześć czy siedem lat, właściwie przestałam ich widywać, choć oni ze swej strony wciąż do mnie pisywali, posyłali mi prezenty i okazywali czułą troskę, ilekroć, choć rzadko, udało się nam zobaczyć. Gdy pomyślę, ile straciliśmy - ale cóż za pożytek z narzekania co by było, gdyby...

Inne wczesne wspomnienie wiąże się z zapachem kamfory, owiewającym mnie, ilekroć siostra taty, księżniczka Zofia, mijała mnie z szelestem sukien na ogrodowej ścieżce. Musiałam być jeszcze bardzo malutka, bo pamiętam, jak czarne spódnice ocierały się o moją twarz, a kamyczki żwiru stukały o moje buciki, gdy przechodziła. Zawsze otaczał ją słaby zapach kamfory i na zawsze skojarzył mi się z uczuciem melancholii, ponieważ nieszczęsna księżniczka Zofia - „upiór za życia", jakich wiele krążyło po pałacu Kensington - była pogrążona w nieustannej żałobie po własnym życiu - utraconym kochanku i sekretnie powitym dziecku. (Oczywiście nie chciano, żebym się o tym dowiedziała, ale wystarczyło tylko posłuchać, o czym rozprawia służba).

Pałac Kensingtoński pełnił w tamtych czasach rolę schronienia dla ubogich krewnych Korony; mogli tu mieszkać i żywić się, nie raniąc swym widokiem możniejszych oczu, utrzymywani jak najmniejszym kosztem. Stryj Sussex, inny krewny ojca, również z nami tu przebywał; nadzwyczaj ekscentryczny, żył we własnym świecie i bezustannie ze sobą rozmawiał. Pamiętam go spieszącego korytarzem, wymachującego rękami i objaśniającego samemu sobie jakąś niezwykle istotną kwestię (najwyraźniej trudno mu było siebie przekonać, gdyż był

niezwykle rozgorączkowany). Bałam się go jako dziecko, nie dlatego że kiedykolwiek coś mi złego zrobił, biedny, nieszczęsny człowiek, ale dlatego że bezustannie mi nim grożono. Dawniejsze niańki zwykły wypełniać powierzone im obowiązki, strasząc Boneyem, zbrodniczym Korsykaninem, który pożerał małe dzieci; kiedy bywałam nieposłuszna, okazywałam krnąbrność (nader, niestety, często!), natychmiast mi grożono, że jeśli nie przestanę krzyczeć, przyjdzie stryj Sussex i mnie zabierze!

Przed chwilą dziki powiew wiatru targnął okiennicami z takim klekotem, jakby nie było za nimi okien. Kiedy Beatrycze była małą dziewczynką, zapytała mnie kiedyś, do czego właściwie służą okna, i zaraz sobie odpowiedziała, z łobuzerskim wdziękiem: „Żeby wiatr mógł przez nie swobodnie wpadać".

Ciekawe, czy ona to jeszcze pamięta? Moja biedna Baby! Siedzi naprzeciwko mnie, stopy oparła na podnóżku, aby ochronić się przed przeciągiem, i dzierga coś w kolorze khaki. (Wszystkie teraz robimy na drutach, jakby nasze życie od tego zależało, ale cóż więcej możemy zrobić dla naszych dzielnych mężczyzn, walczących na froncie). Wciąż dobrze wygląda (nawet pomimo obecnych fryzur, które zupełnie mi się nie podobają, te jeden przy drugim ułożone koło uszu loki, nadające kobietom wygląd pudli i zupełnie nietwarzowe): piękna szyja i dekolt, piękne dłonie. Przykro mi patrzeć na nią w czerni, przypominającej, że moje najmłodsze dziecko już owdowiało. To przejmująco smutne, choć ona nadzwyczaj dzielnie znosi żałobę, a dzieci są jej oczywistą wielką pociechą. Uwielbiam słyszeć, jak biegają po korytarzach, śmiejąc się głośno, cieszy mnie, że dziecięce pokoje znowu się zapełniły; zamknięto je, kiedy Baby podrosła i świadomość tego napełniała mnie smutkiem, jak i pewność, że nie będzie już miała więcej siostrzyczek ani braciszków. Doprawdy zdumiewające, ile hałasu potrafi narobić raptem czworo dzieci. Gdyby Liko żył, z pewnością byłoby ich więcej, przecież tak bardzo się kochali, ale nabił sobie głowę, że jego powinnością jest walczyć pod Aszanti (w drugiej wojnie 1895 roku, nie pierwszej oczywiście. Nic dobrego nie płynie z Afryki, same kłopoty, zupełnie inaczej niż z ukochanych Indii). Powiedziałam kiedyś Liko, że to wszystko na

nic się nie zda, ale nie przyjął tego do wiadomości, przypomniał mi, że wywodzi się z żołnierskiego

rodu, a zmuszenie króla Aszanti do zaniechania handlu niewolnikami warte jest wszelkiego trudu.
Pełna obaw, przykazałam Reidowi, aby uświadomił mu niebezpieczeństwo także z medycznego punktu widzenia - klimat zachodniego wybrzeża z pewnością podkopie jego zdrowie - ale te argumenty nie zachwiały jego decyzją, zwłaszcza że Baby go w niej utwierdzała, choć przecież pragnęła nie mniej niż ja, żeby został. Miałam rację: wytrzymał biedak ledwie parę tygodni. Nabawił się malarii w tej przerażającej, tętniącej gorączką dżungli i zmarł w drodze powrotnej do domu. Oczywiste, że marzył o szlachetnych czynach i chciał coś zdziałać dla innych, że nie powinno się narzekać, gdy mężczyzna służy sprawie honoru, ale jego strata była dla mnie straszliwym ciosem! Kochałam go jak własnego syna, wnosił tyle ożywienia w moje życie, każdy dzień był pełen radości. Baby nie miała trzydziestu dziewięciu lat, gdy umarł, była młodsza niż ja, kiedy zostałam wdową. Los bywa okrutny i nie sposób się z tym do końca pogodzić.
Podniosła głowę i popatrzyła na mnie, jakby znała moje myśli, jakbym wypowiedziała je na głos. Często tak się zdarza między ludźmi, którzy są od dawna blisko ze sobą. Widziałam, że się zastanawia, co piszę i czy nie będę chciała jej czegoś podyktować - zrobiłam tak raz czy dwa, gdy oczy mi się już za bardzo zmęczyły i ręka zesztywniała. Zgadłam; zapytała, czy chcę jej coś podyktować, czy wolę pisać mój dziennik sama. Raczej będę pisać sama, odpowiedziałam. Nie ma dzisiaj za wiele do zanotowania - tylko o pogodzie, samopoczuciu, żadnych wieści z wojny - niemniej zapiski muszą być prowadzone każdego dnia. Uśmiechnęła się i wróciła do pracy.
Mój dziennik! Miałam trzynaście lat, kiedy mama wręczyła mi nie zapisany diariusz z przeznaczeniem na mój pierwszy dziennik - piękny kremowy papier, skórzana oprawa, marmurkowane brzegi kartek. Właśnie miałyśmy wyruszyć w naszą pierwszą podróż po Anglii (stryj Wilhelm, ówcześnie panujący, nazywał te podróże „królewskimi objazdami" -jakże zły musiał być na mamę, że nie zapytała go o pozwolenie! I do jakiej wściekłości musiało go doprowadzić, że nie
17
przedsięwzięła niczego, aby nie witano nas wszędzie salwami z broni palnej, zupełnie jakbym już była królową. „Idiotyczne fajerwerki! - grzmiał. - Z tym trzeba skończyć!". Mama chciała, żebym zapisując wydarzenia dnia, ćwiczyła umysł i uczyła się zasad kompozycji. Bardzo to było pożyteczne zajęcie i do tej pory nie zarzuciłam prowadzenia dziennika; opuściłam ledwie parę dni w moim długim życiu - potwornych, mrocznych dni 1861 roku.
Mój pierwszy dziennik miał być, oczywiście, czytany przez mamę, a zatem mogłam pisać tylko to, co jak wiedziałam, zyska jej aprobatę. Dalej prowadzę go w pewnym sensie tak, jakbym miała zyskać jej aprobatę, choć od czasu, gdy zostałam królową, nie miała okazji go oglądać i choć nie żyje niemal od czterdziestu lat. Ale przecież całe moje życie pisałam dla innych ludzi: mamy, dzieci, wnuków, dalszej rodziny, mieszkańców tych wysp i żyjących poza nimi, moich poddanych, do których należą również moje dzieci. A to, co się pisze dla ludzi, nigdy nie zawiera całej, absolutnej prawdy. Moje pisanie zawsze było ograniczone względem na innych, układzone, okrojone tak, by nie obrażać - boję się, że nawet tak, aby nie zdumiewać!
Jestem stara i choć nie przeczuwam jeszcze rychłego zgonu, nie mogę się również spodziewać, że Bóg zechce mnie długo zachować na tym świecie - nadszedł chyba zatem czas, bym opowiedziała to, co chcę opowiedzieć. Kiedy zmarł mój najukochańszy Albert, sir Theodore Martin opisał jego życie, starannie upewniając się, że akceptuję każdy szczegół, równie starannie unikając wszelkiej wzmianki o czynach, których by nie pochwalał; kiedy ja umrę, z pewnością pojawi się moja oficjalna biografia, na której odciśnie cenzorskie pióro Bertie, wykreślając jakiekolwiek niedyskretne informacje. Śmiało mogę zaryzykować stwierdzenie, że wiele faktów rozpłynie się w nicość.
Biedny Bertie, jakże wstrząsnęła nim wiadomość, że chciałabym opisać życie Johna Browna! (Ostatecznie zarzuciłam ten pomysł, z takim spotkał się sprzeciwem, zwłaszcza gdy zrozumiałam, że salonowi plotkarze przeżują każdy szczegół i nie zostawią suchej nitki na moim drogim przyjacielu). Gdybym opisała teraz prawdziwie moje życie, niczego nie ukrywając,
18
wiele passusów zostałoby wykreślonych piórem Bertiego albo Beatrycze - młode pokolenie jest o

tyle bardziej rygorystyczne, niż my byliśmy w młodości... Jedno czy drugie dopilnuje z pewnością, by karty ze zbyt niewygodnymi prawdami spłonęły doszczętnie. Ale też to im przyjdzie żyć dalej na świecie, który ja opuszczę, i doprawdy nie chciałabym przysporzyć trudności ponad te, jakie i tak ich czekają. Wyręczę ich zatem w cenzorskiej pracy.
Wydaje mi się, że powinnam jednak spróbować opisać swoje własne życie tak, jak mi się podoba, nawet gdyby przyszło mi zniszczyć te stronice, zanim ktokolwiek zdoła je przeczytać. Raczej poważne przedsięwzięcie, zważywszy na to, jak długie mam za sobą życie, i być może nie doprowadzę go do końca, ale mogę je przynajmniej rozpocząć. Ostatecznie da mi to zajęcie na te wszystkie bezsenne godziny, które spędzam samotnie w moim pokoju. Nigdy nie miałam kłopotów ze snem, a teraz... co za męka przebudzić się po godzinie czy dwóch i nie móc zasnąć z powrotem. Świat staje się dziwacznie i niepokojąco obcy, kiedy człowiek nie śpi, wywołuje uczucie pustki - równie nie na miejscu jak uczucie głodu, gdy właśnie wstało się od stołu. Czasami dzwonię, ledwie się przebudzę, ale osoba wyrwana z głębokiego uśpienia nie jest w stanie współczuć komuś, kogo omija ten błogosławiony stan. Ciepłe od snu, zarumienione twarze, zaspane oczy budzą we mnie najgorsze uczucia, a wydaje mi się, że tak blisko sądu ostatecznego powinnam raczej unikać okazji do grzechu, skoro da się ich uniknąć!
Wolę zatem raczej sięgnąć po pióro w tych zakazanych godzinach - i kiedy tylko mam wolną chwilę w ciągu dnia. Doznaję rzadkiej satysfakcji: piszę dla własnej przyjemności, nikt inny nie będzie tego czytał ani krytykował, robię coś wyłącznie dla samej siebie - dla Wiktorii, ukrytej w Jej Królewskim Majestacie; dla Wiktorii, która na przekór wizerunkowi znanemu połowie świata z licznych litograficznych reprodukcji nie jest otyłą, odzianą na czarno starą kobietą, a wciąż tamtą młodą dziewczyną - boleśnie nieśmiałą, najeżoną i niezwykle samotną.
Wnętrze nie pasowało do tego, co widziano na zewnątrz -zawsze tak było, a teraz bardziej niż kiedykolwiek. Zostałam

postawiona w centrum uwagi zaludnionego świata; każdy mój kaprys jest analizowany, każde słowo zapisywane dla potomności; otoczona dziećmi, wnukami i prawnukami, oddanymi sługami, okazującymi szacunek ministrami, uwielbiana przez poddanych - jestem samotna. Dziecku, któremu odmówiono miłości, nic już tego nie wynagrodzi, choćby nie wiem jak wiele uczuć mu później okazywano. Ci, których kochałam, od których zależałam i którzy mnie kochali - opuścili mnie, jedno po drugim. Moja droga, kochana Beatrycze siada naprzeciw mnie, dotrzymuje mi towarzystwa i czeka, aby mnie pożegnać - towarzyszka i sekretarz - moja Benjamina, jak ją zwykłam nazywać -jestem prawdziwie wdzięczna i wiem, jakie to szczęście, że ją mam. Ale miłość i towarzystwo kobiet i dzieci nigdy nie zastąpi tej szczególnej zażyłości z osobą, która była dla nas wszystkim po trosze - ojcem, bratem, przyjacielem, kochankiem, brakującą połową duszy. Jeśli się tego zazna, nic innego nie wystarcza; nawet trzymając na kolanach wspaniałego prawnuka, zaśmiewającego się i tłuściutkiego, jest się wciąż i nieodmiennie samotną.

31 stycznia 1900 - pierwsza w nocy.

Śniłam, że jestem znowu w starej sypialni w pałacu Kensington, którą jako dziecko dzieliłam z mamą. Leżałam w swoim małym białym łóżeczku, paliła się świeca do czytania, słyszałam tykanie oprawnego w srebro i szylkret repetiera, który mama trzymała zawsze na nocnym stoliku -dźwięk, który towarzyszył mi przy zasypianiu każdej nocy, aż do ukończenia osiemnastu lat. Lehzen siedziała przy moim łóżku na krześle, czytając, jak robiła zawsze, zanim mama nadeszła, ponieważ dopóki nie zostałam królową, nigdy -czy to w dzień, czy w nocy - ani na moment nie pozwalano mi zostać samej. Lehzen siedziała wyprostowana jak struna -zawsze powtarzała, że plecy damy nie powinny się stykać z oparciem krzesła - z wysoko uniesioną książką, tak by padało na nią jak najwięcej światła; niekiedy jednak zapadała w drzemkę, książka opadała na kolana, długi podbródek opierał się na piersi, wstążki czepka przesuwały na policzki i unosiły

w rytm pochrapywania, wydobywającego się z jej uchylonych ust.
Tylko że w moim śnie to nie Lehzen siedziała obok mnie. Wiedziałam doskonale, że to nie moja dobra, życzliwa guwernantka, chociaż nie mogłam odwrócić głowy, aby sprawdzić, kto to jest. Nie, to był ktoś inny; ktoś, kto w moim śnie wydawał mi się niezwykle ważny; powinnam mu za wszelką cenę okazać, że jestem świadoma jego obecności, wiem, kim jest mój gość, wcale nie śpię. Jednocześnie pogrążałam się we śnie; walczyłam z całych sił, przenikały mnie rozpacz i smutek, bo wiedziałam, że jeśli zasnę, obudzę się w innym świecie, jako inna osoba, stracę bezpowrotnie swoją szansę.
Co by to miało oznaczać? Sen był tak wyrazisty, czułam, że musi mieć dla mnie duże znaczenie - chociaż przecież zawsze miewałam wyraziste sny. Jako świeżo poślubiona mężatka opowiadałam je rano Albertowi - opowiadałam mu zawsze o wszystkim, co mi się przydarzyło - ale nienawidził tych opowieści, nauczyłam się więc zachowywać je dla siebie. Jak na mężczyznę czczącego logikę, porządek i racjonalizm był zatrważająco przesądny, mój biedny drogi Albert. Był dzieckiem Oświecenia, a także protestantem, żywił zatem silne przekonanie, że wiara w znaki, omeny, przeczucia jest czymś niewłaściwym - pogańskim i bałwochwalczym. Niemniej przerażały go daleko silniej niż mnie. Mnie tego typu zjawiska wydawały się interesujące, nawet ożywcze. Podobała mi się myśl o istnieniu drugiego świata, niewidzialnego, przenikającego obrzeża naszego świata i cofającego się jak fale morskie oblewające wybrzeże. Zupełnie nie bałam się, że mogłabym zobaczyć ducha - w istocie miałam silną nadzieję, że tak się stanie, zwłaszcza gdy byłam młodsza i po raz pierwszy pojechałam do Windsoru, bo gdzież jak nie tam miałyby przemieszkiwać duchy. (Poruszyłam kiedyś ten temat z lordem Melbourne; stwierdził, że często widywał duchy, ale nigdy nie spotkał żadnego, z którym warto by było konwersować). Alberta denerwowały nawet aluzje do złowieszczych przepowiedni, tym mocniej, że nie śmiał się do tego przyznać. Miał o tyle bardziej eteryczną naturę ode mnie, o tyle bardziej był wrażliwy na sprawy ducha! Te nieliczne godziny, które przeznaczał na spoczynek, były prawdopodobnie

zakłócane przez złe sny, nic dziwnego, że nie chciał słuchać o moich. Miał bujne życie duchowe, podczas gdy ja twardo stąpałam po ziemi. Prawdopodobnie całe życie obcował z duchami, biedny, teraz to rozumiem.
Zastanawiam się, czy osobą ze snu nie był przypadkiem mój ojciec. Czasem wydaje mi się, że go pamiętam, choć umarł, gdy miałam ledwie osiem miesięcy. Kiedyś wspomniałam o tym mamie, ale potrząsnęła głową i orzekła, że to niemożliwe. Ja jednak dobrze pamiętam, jak ktoś mnie unosi, trzyma wysoko ponad głową, sufit się przybliża; pamiętam ogarniającą mnie konsternację, w miarę jak się wznoszę, i potem, gdy zawisam bezbronna, przemieszaną z poczuciem całkowitego bezpieczeństwa. Jest coś nadzwyczaj przyjemnego w tym kontraście: silne męskie ręce trzymają mnie pewnie i bezpiecznie w ryzykownej pozycji; dopóki mnie trzymał, nic złego nie mogło mi się przytrafić.
Wspomnienie jest niezwykle wyraziste i nie sądzę, aby mogło mi się to przyśnić. Jestem pewna, że to był ojciec. Nie zapamiętałam jego twarzy (choć znam ją oczywiście z portretów), ale nie było chyba dnia, bym o nim nie myślała. Jako dziecko leżałam w łóżeczku i czekając na sen, wsłuchiwałam się w tykanie repetiera, wyobrażając sobie, że to odgłos pospiesznych kroków. Och, jakże się pospieszył, aby ode mnie odejść, drogi tata - nie dane mi nawet było poznać jego twarzy, choć zawsze czułam jego duchową obecność. Jakże inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby nie umarł -nie opuścił mnie, kiedy byłam taka malutka, bezbronna i tak bardzo potrzebowałam jego opieki! Przez całe dzieciństwo, każdego dnia mi go brakowało; tyle rzeczy, którym mógł zapobiec, wydarzyło się przez te lata - ukształtowały mnie na zawsze, nic na to nie mogę poradzić, nawet kontrolować, nawet teraz, gdy moje życie dobiega końca. Zmienił mi się charakter przez te wszystkie lata samotnej walki w dzieciństwie i młodości i na resztę życia zostałam naznaczona potrzebą wsparcia się na czyimś silnym ramieniu i dzielnym sercu, bo pozbawiono mnie tego, gdy byłam zbyt mała.
Z pewnością zupełnie inny los stałby się moim udziałem, gdyby tata wtedy nie umarł. Jedna rzecz jest absolutnie pewna: on i mama mieliby więcej dzieci, być może syna, którego

22
mama pragnęła i którego obiecała ojcu. Gdybym miała brata, nie zostałabym królową Anglii - ciekawe, jak by mi to się podobało? Jakże wspaniale byłoby żyć, nie czując na sobie bacznych spojrzeń, bez brzemienia obowiązków, nie kończącej się pracy, której nigdy nie ubywa, choćby nie wiem jak zawzięcie się pracowało. Żyć na uboczu, z dala od oceniających oczu, złośliwych języków, jako osoba prywatna, zwykła żona i matka - ach, być żoną Alberta, a nie królową, jakże to musiałoby być cudowne!
No więc tak. Ale jeśli mam powiedzieć prawdę, jeśli nikt poza Wiktorią nie miałby tego czytać, muszę wyznać: myśl o tym, że mogłabym nie zostać królową, jest straszna! Miałabym znieść, że jestem czyjąś poddaną, drugą po Bogu -albo jeszcze gorzej - gdy mogłabym być pierwszą? A przede wszystkim nie wierzę, że ktoś inny sprawiłby się lepiej ode mnie. (Nawet myśl o przekazaniu mojego królestwa Bertiemu napełnia mnie złowróżbną obawą). Co do Alberta, nawet gdybyśmy się pobrali (raczej nieprawdopodobne, bo to papa, gdyby żył, wybrałby mi męża, z pewnością innego niż mama), zabrałby mnie ze sobą do Niemiec, do własnego domu, w którym on byłby panem, bez żadnych wątpliwości. Zawsze chciał rządzić, mój najdroższy kochany domowy tyran! Uwielbiałam go, sprawiało mi przyjemność poddawanie się jego woli, ale to coś zupełnie innego: ulegać z wyboru, a być do tego zmuszonym. Gdybym nie dysponowała królewską władzą, służącą mi za wędzidło dla niego, źle by się to dla mnie skończyło. Jeśli mimo tego wybuchały gwałtowne kłótnie, co by się działo, gdybym była tylko jego kleines Frauchen! Zwyciężałby zawsze; był inteligentny, a ja porywcza; jako jego żona, w jego własnym domu, jego własnym kraju - nie mogłabym się domagać, aby mnie słuchano. Nie, Wiktoria nie mogłaby niczego robić wedle swej własnej woli - a podejrzewam, że Albert nie okazywałby ani w połowie wyrozumiałości wobec jej wad i słabostek, do jakiej był zobligowany wobec Jej Majestatu, królowej Anglii.
Nie, nie, dobrze się stało, że zostałam królową. Jakkolwiek ogromny to ciężar - bo jest ogromny, nikt inny nie może lepiej ode mnie wiedzieć jak bardzo - nie chciałabym, by rzeczy potoczyły się inaczej. Bóg wiedział, co czyni; żałuję
23
tylko, że prowadził mnie do tego taką, a nie inną drogą. Nikt nie ma prawa kwestionować woli Boga - Albert zawsze mi to powtarzał - ale jest we mnie coś takiego, że zawsze kwestionuję fakty, walczę z losem, urągam przeznaczeniu. Cóż, może nie jest to wadą, gdy się jest królową. Przyjdzie czas na spokój i pokorę, gdy będę leżeć w grobie. Gdyby mój ukochany miał w sobie choć część mojej zawziętości, może bylibyśmy do tej pory razem, tak jak mi to obiecał. Wierzę, że powinno się dotrzymywać danych przyrzeczeń, nawet niewielkich, nawet czynionych z lekkim sercem. Każdy powinien dotrzymywać danego słowa.

1 lutego 1900.

Kontynuując dzisiejsze zapiski: należałoby wyjaśnić, jak doszło do tego, że zostałam królową. Z dynastycznego punktu widzenia papa był ledwie czwartym synem Jerzego III i w młodości zapewne nawet nie marzył, aby któreś z jego dzieci mogło dziedziczyć koronę. Wstąpił do armii, jak zwykli robić młodsi synowie królów, i z nią wiązał swoje nadzieje. (Lubię się szczycić tym, że jestem córką żołnierza i myślę, że nasi dzielni chłopcy doceniają moje zainteresowanie i zrozumienie dla spraw wojska). Tata był wspaniałym żołnierzem, odważnym, honorowym, wyróżniającym się i odznaczanym za służbę, zwłaszcza w Indiach Zachodnich i Kanadzie. Przykładał wielką wagę do szczegółów i narzucał swoim oddziałom, tak jak sobie samemu, żelazną dyscyplinę. Nie znosił niechlujstwa, braku punktualności, pijaństwa, kłamstwa i karał je surowo - nie przysparzało mu to oczywiście popularności wśród tych, którzy zawinili. Otwarcie wyrażał potępienie dla hazardu, pijaństwa i cudzołożenia, czym z kolei naraził się rodzinie - a przynajmniej jej męskiej części - i był, co smutne, znienawidzony przez własnych braci i dużą część towarzystwa. Łagodniejsza strona jego charakteru objawiała się, jak sądzę, wyłącznie wobec kobiet - dla nich był czarujący, dowcipny, im okazywał szacunek i względy, z nimi błyskotliwie konwersował i je

rozbawiał. Pani Fitzherbert (morganatyczna żona mojego stryja, regenta) była jego oddaną przyjaciółką, a księżniczka Charlotta nazywała go swoim

„najulubieńszym stryjkiem"; trudno zaprzeczyć, że obie były inteligentnymi kobietami i mam wszelkie prawo polegać na ich opinii.
Jestem zadowolona, że odziedziczyłam po nim pewne zdolności: kochał muzykę i wszędzie woził ze sobą małą orkiestrę instrumentów dętych; kochał konie i nie cierpiał, gdy traktowano je okrutnie, każde zresztą zwierzę; był niezwykle prawdomówny i pogardzał kłamstwem; uwielbiał porządek i nigdy nie bronił się przed ciężką pracą; był lojalny i oddany tym, których kochał. Skoro o tym mowa, muszę wspomnieć o Madame de Saint Laurent - Julii - Francuzce, którą papa poznał w Gibraltarze w 1790 roku i zabrał ze sobą do Kanady, gdy armia go tam wysłała. Mama do końca myślała, że nic nie wiem o Madame Julii. Nigdy ze mną o niej nie rozmawiała, po części przez wzgląd na przyzwoitość, ale głównie dlatego, że tak bardzo kochała ojca i bała się, że mogłabym go potępiać i nie otaczać już taką czcią jego pamięci, gdybym się dowiedziała o jego kochance. Ale ja przecież wiedziałam, oczywiście że wiedziałam! Z rozmów służących, jak sądzę, a potem, gdy zostałam królową, lord Melbourne opowiedział mi ze szczegółami historię związku ojca. Nie uważam, żeby trzeba się było wstydzić Madame Julii. Czarująca, inteligentna, uczciwa, przeżyła z ojcem dwadzieścia siedem lat w miłości i wzajemnym zaufaniu, na przekór przeciwnościom losu i otaczającej ich atmosferze. Jestem niemal pewna, że gdyby była księżną albo on nie był księciem, pobraliby się - ale wtedy ja bym się oczywiście nigdy nie narodziła, ponieważ Madame Julia nie miała dzieci.
Zgubę przyniosła papie rozrzutność. Lubił żyć na królewskim poziomie, ale parlament nie wyznaczył mu królewskiej pensji, dzięki której mógłby zaspokoić swoje potrzeby; zamiast ograniczyć wydatki, pożyczał pieniądze i wpadł w długi. Nie był hazardzistą, jadł i pił wstrzemięźliwie, ale kochał sztukę i piękne meble, i konie szlachetnej krwi, zbierał książki. Więcej, żywił szczególne uwielbienie dla architektury, i nic go bardziej nie cieszyło jak wznoszenie i przebudowywanie domów. Choć jest to dla mnie bolesne, muszę przyznać, że nie miał żadnych skrupułów, zamawiając towary, za które nie zamierzał zapłacić, a jego długi bezustannie rosły, gdziekolwiek

się pojawił. Rok 1803 dopełnił ostatecznej klęski. Posłano go do Gibraltaru, aby zaprowadził porządek w tamtejszym garnizonie, w którym zapanowało całkowite rozprężenie, co też zrobił - z taką surowością, że omal nie doszło do buntu załogi. Jednego żołnierza wychłostano na śmierć, innego bicz okaleczył i taki się krzyk podniósł przeciwko mojemu ojcu, że odwołano go z garnizonu i zapowiedziano, że nigdy więcej nie wróci do czynnej służby.
Nie pozostało mu zatem nic innego, jak jechać z powrotem do Anglii, gdzie mimo pomniejszonych dochodów nie miał nic lepszego do zrobienia, oprócz wydawania pieniędzy (kupił wiejski dom w Ealing, przebudował go z rozmachem, ozdobił, wyposażył w meble i sprzęty i zapełnił stajnie), unikania wierzycieli i opracowywania chytrych planów, mających mu zapewnić następne pożyczki, tak aby spłacił stare i wreszcie mógł żyć wygodnie. W roku 1816 ojciec tonął w długach, a że nie miał żadnych widoków ani na ewentualną karierę, ani na przyszłość, sytuacja wydawała się beznadziejna; pozostał mu ostateczny środek ratunku: udanie się z Madame Julią na emigrację do Brukseli (gdzie życie było tańsze) i pozostanie tam, dopóki komitet powierniczy, ustanowiony przez wierzycieli dla zarządzania jego dochodami i wydzielania mu funduszy, nie spłaci w ratach wszelkich jego zobowiązań. Miałoby to oczywiście potrwać całe lata; dla czterdziestoośmioletniego angielskiego księcia, błyskotliwego, o niespokojnym duchu i dużej energii, musiało to brzmieć jak wyrok skazujący.
Ojciec opuścił Anglię w roku 1816, zanim jednak wyjechał, miał sposobność uczestniczyć w radosnym wydarzeniu: ślubie swojej ukochanej bratanicy, Charlotty, księżnej Walii z przystojnym księciem Leopoldem sasko koburskim, w którym była zakochana od dwóch lat. Spotkali się w Londynie w 1814 roku na uroczystościach uświetniających zawarcie pokoju, w których on uczestniczył jako członek świty cara, ale ojciec Charlotty, książę regent, sprzeciwiał się ich

małżeństwu (określał Leopolda „książątkiem bez grosza", „przeklętym sprzedawczykiem" i wieloma podobnymi nazwami), zakazał im nawet korespondencji. Tatę bardzo obchodziło szczęście księżniczki Charlotty, służył więc zakochanym za
26
posłańca i pośredniczył w wymianie listów, nic dziwnego zatem, że okazywali mu głęboką wdzięczność jako osobie, która tak wydatnie przyczyniła się do ich małżeństwa.
Był to nieskończenie szczęśliwy związek, lecz trwał tragicznie krótko. Osiemnaście miesięcy później, szóstego listopada 1817 roku, piękna, inteligentna, uwielbiana następczyni tronu angielskiego zmarła po dwa dni trwającym porodzie, w wyniku którego wydała na świat dużego, bez oznak kalectwa, niestety martwego potomka płci męskiej. Jak musiała cierpieć, jest sobie w stanie wyobrazić każda kobieta, która była matką, lecz żaden mężczyzna. Doktor, który asystował przy porodzie, w trzy miesiące później odebrał sobie życie; być może popełnił błąd w sztuce lekarskiej. Cała Anglia pogrążyła się w żałobie. Nawet Książę (myślę oczywiście o Wellingtonie - tak wybitną zdobył sobie pozycję po Waterloo, że zawsze był wspominany po prostu jako Książę, tout court i bez dodatkowych określeń) powiedział: „Jej śmierć jest jednym z większych nieszczęść, jakie spotkały nasz kraj", a trzeba przyznać, że był całkowicie wyzbyty sentymentalizmu.
Nie wiązało się to wyłącznie z jej osobistymi zaletami, które sprawiały, że darzono ją powszechnym uwielbieniem; jej pozycja w hierarchii dynastycznej była nieporównywalna z niczyją inną. Anglia właśnie wyszła z chaosu trwających dwadzieścia dwa lata europejskich wojen - osłabiona, zrujnowana, z szalejącym bezrobociem i skaczącymi cenami, po klęsce nieurodzaju, nękana groźbą rozruchów rewolucyjnych wśród biedoty. Potrzebowała stabilności, silnej władzy i popularnej monarchini; księżna Charlotta była jedyną prawowitą wnuczką króla, jedyną spadkobierczynią angielskiej korony -jej strata oznaczała dla kraju niezwykle poważną i w najwyższym stopniu niepewną sytuację.

2 lutego 1900.

Sir John McNeil stwierdził, że sytuacja w Ladysmith wygląda na beznadziejną, nie zdołają się przedrzeć i ostatecznie zostaną pochłonięci przez Burów. Czułam się w obowiązku odpowiedzieć mu dość ostro, że nie podobają mi się takie destrukcyjne rozmowy; nikt w tym domu nie obnosi się ze
27
swoim przygnębieniem. Poczciwy generał White doniósł z Ladysmith (z pomocą telegrafu - co za dobroczynny wynalazek!), że zmuszeni są jeść własne konie (która to informacja oczywiście nie ma prawa przedostać się do gazet!). Nawet pomimo to, jeśli tylko wystarczy im amunicji, mogą się utrzymać jeszcze około sześciu tygodni. Czuję niesmak do rządu za zwlekanie, za bałagan, choć nie obwiniam Salisbury'ego; ma przecież związane ręce. Cała reszta nie dba o nic, byle przypodobać się wyborcom, i za nic mają moje rady ani też rady ekspertów, a przecież wiadomo, że cywile nie są w stanie zrozumieć spraw związanych z wojskiem. Równie wściekła jestem na prasę; okazali się wielce nielojalni i zupełnie niepomocni. Czuję się w obowiązku zakazać raz na zawsze dostarczania „Morning Post" do tego domu - chociaż obawiam się, że będą potajemnie przemycali egzemplarze do pomieszczeń koniuszych, ponieważ oni wszyscy traktują tę gazetę jak wyrocznię.
Najszkodliwsza rzecz na świecie to niezbyt wiarygodne informacje. Zupełnie jakby znowu toczyła się wojna krymska - można by pomyśleć, że nie minęło pół wieku!
Pisałam wczoraj tak długo, aż zmorzył mnie sen; zdaje się, że dobre sobie wymyśliłam lekarstwo. Zacznę od punktu, w którym przerwałam i mam nadzieję, że dziennik oderwie moje myśli od tej nieszczęsnej wojny.
Pisałam o śmierci księżnej Charlotty. Nigdy jej nie poznałam, ponieważ odeszła, zanim ja się urodziłam - a gdyby nie umarła, ja w ogóle nie przyszłabym na świat. Prawdopodobnie z tego powodu czuję się z nią w dziwny sposób związana, jakby była między nami jakaś eteryczna więź. Być może wzięło się to stąd, że jako dziecko słyszałam, jak mama i wuj Leopold o niej rozmawiali.

Wuj Leopold uwielbiał swoją młodą żonę. Był przy niej cały czas, gdy odbywał się ten przerażający poród (tak jak i Albert towarzyszył mi przy każdym moim - czuli mężowie z tych Koburgów!). Trzymał ją za rękę, szeptał słowa pociechy, czasem kładł się przy niej na łóżku; jej śmierć złamała mu serce. Nie wiem, czy to nie dlatego właśnie zaczęłam się tak wcześnie bać porodu? Zawsze, nawet kiedy jeszcze nie mogłam w pełni pojąć, co to oznacza, obawiałam się ciemniejszych stron małżeńskiego pożycia
28
i na myśl o nich przenikał mnie instynktowny dreszcz przerażenia. Czy zasiały to uczucie prowadzone szeptem przez mamę i wuja rozmowy, które nie miały dojść do mych uszu; albo może sądzili, że i tak niewiele z nich zrozumiem? Czy to ich słowa zapadły mi w pamięć, wryły się w mózg jak nieostrożnie rzucone nasiona, które zapuściły głęboko korzenie? Dzieci chłoną tyle i tak rozmaitych pojęć, że trudno sobie nawet to wyobrazić; jako dorośli czasami przypominają sobie o nich, często po latach, kiedy są już w stanie zrozumieć to, co kiedyś przyswoili sobie nieświadomie i nie do końca lub prawie wcale nie rozumiejąc.
Księżna Charlotta żyje w mojej podświadomości jak wspomnienie o starszej siostrze, kochanej i straconej przedwcześnie. Łączy nas wiele podobieństw: obie z dynastii hanowerskiej, obie dziedziczki angielskiego tronu, po obu spodziewano się naprawienia szkód, które wyrządzili koronie nasi stryjowie; obie poślubiłyśmy książęta z Koburgów i uwielbiałyśmy swoich mężów. Jej śmierć może się wydawać czymś niezamierzonym przez Boga; a moje życie próbą poprowadzenia kogoś innego tą samą drogą. Nie powinnam się zatem obawiać, że podzielę jej los; moje życie jest jej życiem, ale spełnionym. Zbyt dziwaczna teza, powstała wyłącznie w mojej wyobraźni? Nie byłabym taka pewna. Jest noc, godziny sprzyjające, by dać się ponieść wyobraźni, lampa jak zwykle rzuca chwiejne cienie w kątach pokoju, jak wahający się mówca, którego niepewność rzuca cień podejrzenia na to, czy odsłania całą prawdę. Nie uważam jednak, by dziwaczne było założenie, że Bóg działa celowo. Doprowadzenie mnie do tronu przysporzyło Mu wiele mitręgi; gdyby Charlotta i jej dziecko przeżyli, byłaby całkowicie zbędna.
Jak zatem doszło do tego, że zostałam jedyną dziedziczką angielskiej korony? Nie z powodu zaniedbań mojego dziadka. Król Jerzy III pojmował poważnie obowiązek zapełnienia królewskich pokojów dziecięcych: spłodził piętnaścioro dzieci, z czego dwunastka wciąż żyła w roku 1817. (Piętnaścioro! Serce mnie boli, gdy pomyślę o mojej biednej babce! Musiała być silna jak tur, skoro mimo to dożyła siedemdziesiątki). Ale z trzech zamężnych córek żadna nie miała potomstwa, dwie zaś niezamężne miały już ponad czterdzieści lat. Co do
29
siedmiu synów - czyli taty i moich niemoralnych stryjów -no cóż... Książę wyraził się kiedyś, że ciążyli rządowi jak przysłowiowe młyńskie koła u szyi: ekstrawagancją, rozrzutnością, politycznym awanturnictwem, a nade wszystko nieuregulowanym życiem prywatnym!
Błędem było, jak to stwierdził lord Melbourne, zapisanie w Ustawie o Małżeństwach Królewskich, że wszelkie związki małżeńskie zawarte bez królewskiego przyzwolenia są nieważne. Zamiarem ustanawiających zapis było zachowanie czystości dynastii, zapobieżenie sytuacjom, gdy księżne wpadałyby w sidła podstępnych awanturników, a książęta intrygujących matek; efektem bezkarne przekraczanie przez książąt wszelkich granic przyzwoitego zachowania wobec młodych kobiet.
- Nie to, żebym po nich oczekiwał nieskazitelnego prowadzenia się - powiedział mi kiedyś. - W końcu to książęta, a jeszcze do tego całkiem przystojni mężczyźni, kobiety dosłownie wieszały się im na szyi, no wiesz... - I skinął lekko głową, w charakterystyczny dla siebie sposób, jakbym rzeczywiście mogła wiedzieć; zachwycająca sugestia, jeśli jest się jeszcze w wieku pensjonarki! - Akt o Małżeństwach był pod wieloma względami sensownym dokumentem - kontynuował - niemniej jeśli o nich mowa, byli jak lisy wpuszczone do kurnika. Mężczyznę z towarzystwa zwykle powstrzymuje przed posunięciem się za daleko fakt, że musi się ożenić z dziewczyną; dla nich tak się rzeczy miały, że byli bezkarni. Wdawali się w romanse, jeśli chcieli i kiedy chcieli, a potem było im, och! doprawdy tak przykro, ale przecież wiadomo, że nie wolno im się żenić. - Jakże się śmiałam na widok jego zabawnej miny, mającej przedstawiać przepraszającego księcia.
Czterech z moich stryjów ożeniło się jednak. Książę regent, ojciec biednej Charlotty, nienawidził

żony (dziwacznej, wiecznie niedomytej, palącej fajkę Karoliny brunszwickiej) i od wielu lat pozostawał z nią w separacji. Próbował się z nią rozwieść, ale w parlamencie wciąż żywa była pamięć kłopotliwej sagi dzieci Henryka VIII i posłowie dalecy byli od powtórzenia tej ambarasującej sytuacji; tak więc nie mógł się ożenić powtórnie, od Karoliny zaś nie chciał doczekać się
30
potomstwa. Stryj York, drugi syn, poślubił ze wszech miar godną szacunku pruską księżniczkę, ale nie doczekali się potomstwa i nie mogli mieć już na nie żadnej nadziei. Księżna stała się niezwykle ekscentryczną osobą, zamieszkała w odosobnieniu na wsi, otoczyła się niezliczoną liczbą psów, kotów i ptaków i, jak wieść niesie, nigdy nie spoczywała w łożu; książę Yorku uwielbiał ją i nawet nie myślał o rozwodzie.
Stryj Cumberland, nikczemny osobnik o gwałtownym temperamencie, poślubił dwukrotnie owdowiałą kobietę, o której krążyły pogłoski, że zamordowała swoich poprzednich małżonków i jak do tej pory - na szczęście! - nie spłodził potomstwa. Stryj Sussex, szósty syn, ożenił się dwukrotnie i miał dzieci z pierwszą żoną, niemniej oba małżeństwa, jako zawarte bez królewskiego przyzwolenia, były nieważne, a zatem dzieci nie dziedziczyły.
Pozostali trzej książęta jeszcze się nie ożenili. Stryj Wilhelm, książę Clarence, trzeci syn, służył w marynarce i był przyjacielem Nelsona; żył sobie wygodnie - ceniąc zacisze domowe i swój grzeszny, trwający dwadzieścia lat związek z aktorką, Mrs Jordan - w otoczeniu gromadki dziesięciorga krzepkich dzieci z nieprawego łoża, moich kuzynów Fitzclarence. Stryj Adolf, książę Cambridge, najmłodszy syn, większość czasu spędzał w Hanowerze, nie chcąc zaciągać w Anglii jeszcze większych długów; no i tata, książę Kentu, zmuszony wraz ze swoją kochającą, wierną Madame Julią do wyjazdu do Belgii (cóż za straszliwe miejsce dla inteligentnego mężczyzny o wyrobionym guście!) z powodu długów.
Biedna Madame Julia, jej gwiazda powoli gasła. Tata tak bardzo nienawidził życia w Brukseli, że zdecydował się na podjęcie ostatecznych kroków. Nie mógł wrócić do domu, dopóki nie zostaną spłacone jego długi, a jedyną możliwość uzyskania pieniędzy stanowiło dla niego zawarcie związku małżeńskiego. Gdyby zawarł je, stosując się do Aktu o Małżeństwach Królewskich, parlament musiałby przyznać mu wyższe uposażenie, być może uchwalono by nawet wyasygnowanie stosownej sumy na pokrycie długów. Książę Yorku uzyskał dwadzieścia pięć tysięcy funtów z okazji zawarcia małżeństwa, z pewnością więc tata myślał, że nie dostanie
31
mniej. Nie wspominając o tym Julii, zaczął dyskretnie rozglądać się za przyszłą żoną.
W tym czasie, to znaczy w roku 1817, wciąż utrzymywał ożywione kontakty z księżną Charlottą i jej to zwierzył się ze swoich zamiarów. Charlotta po poślubieniu Leopolda nawiązała ożywioną, wielce przyjacielską korespondencję z jego siostrą, księżną Victoire Leiningen, wdową, żyjącą w odosobnieniu wraz z dwojgiem dzieci, Karolem i Fedorą, w Amorbach. Miała trzydzieści lat, mówiono o niej, że jest ładną kobietą o pięknych czarnych oczach i nieskazitelnej cerze, a Charlotta ze swej strony upewniała ojca co do jej gorącego serca i uczciwości, szlachetnej i pozbawionej egoizmu natury. Czegóż tata mógł więcej pragnąć? Wyekwipowany w list polecający od Charlotty, udał się do Amorbach w sierpniu 1817 roku (podczas gdy nie podejrzewająca niczego Julia gościła z wizytą u siostry w Paryżu), poznał księżnę wdowę, uznał ją za czarującą, oświadczył się - i został odrzucony. Wrócił rozczarowany do swojej towarzyszki i beznadziejnego brukselskiego życia. Księżna Charlotta nosiła właśnie dziecko w łonie; szanse na moje narodziny były znikome, nie mówiąc już o wstąpieniu na tron.
Trzy miesiące później Charlotta i jej dziecko nie żyli, a wszystkie gazety zajmowały się kryzysem w brytyjskiej monarchii. Jeśli nie tata, to stryj Clarence albo stryj Cambridge musieli się ożenić i dać Koronie dziedzica; już nie ze względu na własną wygodę, ale dla spełnienia obowiązku. Biedna Julia, dalej niczego nieświadoma, otworzyła przy śniadaniu sobotnią londyńską gazetę, przeczytała artykuł wstępny, w którym domagano się od trzech książąt natychmiastowego zawarcia związków małżeńskich, i padła zemdlona. Tata usiłował ją pocieszyć, a że tak bardzo ją lubił, nie wznowił nawet starań w Amorbach; kiedy jednak przeczytał, że księżniczka Augusta heska przyjęła

oświadczyny stryja Cambridge i tym samym wysunął się on na czoło, jak to określiła gazeta, „wyścigu o sukcesję", nie odważył się zwlekać dłużej. Napisał ponownie do Amorbach, naciskając o natychmiastową odpowiedź. Tym razem go zadowoliła. (Babcia Koburg powiedziała mi kiedyś, z właściwą sobie otwartością, że przy drugich oświadczynach sprawa miała się już zupełnie inaczej:

przy pierwszych tata był po prostu ubogim łysiejącym księciem w średnim wieku, w dodatku tonącym w długach; teraz on lub jego syn mieli pewnego dnia zasiąść na tronie Anglii. Ale to są jej słowa, nie mamy).
Lord Melbourne powiedział mi, że tata z ogromnym smutkiem oddalił Madame Julię. „No, ale nic na to nie można było poradzić". Byłam zadowolona, kiedy usłyszałam od niego, że tata zachował się wobec niej jak należy, wyposażając ją na powrót do Paryża tak hojnie, jak tylko był wówczas w stanie, okazywał dużo taktu i uważania, interesował się jej finansami aż do swojej śmierci.
- Tak czy inaczej, królewskie kochanki dobrze wiedzą, w co się wdają - zakończył lord Melbourne.
- Nie zaczynają nieświadome życia. - Sądzę, że to prawda.
Zatem tata i mama zostali sobie poślubieni według obrządku luterańskiego dwudziestego dziewiątego maja 1818 roku w Amorbach, a potem tata przywiózł mamę do domu, do Anglii, aby dopełnić drugiej ceremonii. Podwójny ślub odbył się w pałacu Kew w obecności mojej babki (moim nieszczęsnym dziadkiem już całkowicie owładnęło szaleństwo i trzymano go w zamknięciu w Windsorze). Tę drugą parę tworzyli stryj Clarence i księżniczka Adelajda sasko meiningeńska - moja kochana, najdroższa ciocia Adelajda, która tak mnie lubiła i okazywała mi w dzieciństwie tyle czułości, ile tylko mogła, aby nie narazić się Pewnej Osobie. Książę regent obdarował nowożeńców z okazji ślubu i wydał śniadanie w Carlton House, a zważywszy na to, jak nienawidził taty, niczego więcej się po nim nie spodziewano.
Po krótkim miesiącu miodowym, spędzonym w domu wuja Leopolda w Claremont, mama i tata wrócili do apartamentów w pałacu Kensingtońskim i oczekiwali na uchwałę parlamentu o podwyższeniu apanaży. Przeżyli głębokie rozczarowanie. Zamiast spodziewanych dwudziestu pięciu tysięcy funtów na rok przyznano im sześć i żadnej sumy jednorazowo. Małżeństwo z mamą powiększyło jeszcze długi ojca; była rozrzutna, a on czuły i hojny, wydawał więc ogromne sumy na kapelusze i suknie, biżuterię, konie, perfumy i fortepian dla swojej czarującej księżnej małżonki. Wierzyciele znowu zaczęli naciskać; książę regent okazywał wrogość; babka, bojąc się

widocznie, by ojciec nie chciał od niej pożyczyć pieniędzy, zażądała stanowczo, aby dla własnego dobra opuścił kraj. Nie widząc innego wyjścia, aczkolwiek bardzo niechętnie, we wrześniu zabrał mamę z powrotem do Amorbach.

4 lutego 1900.

Mama i ja stałyśmy się na powrót przyjaciółkami, kiedy już sama miałam dzieci, i spędzałyśmy ze sobą wiele czasu na swobodnych, poufałych rozmowach, ciesząc się zażyłością, która mogłaby się stać naszym udziałem wcześniej, gdyby nie Pewna Osoba. Właśnie w tych uroczych, przepełnionych miłością latach opowiedziała mi o papie, ich małżeństwie, moich narodzinach. Kiedy zamknę oczy, słyszę jej głos, z wyraźnym niemieckim akcentem, mimo tylu lat spędzonych w Anglii, jej so, wtrącane bez przerwy do rozmowy, wypowiadane z westchnieniem, gdy brakowało jej odpowiedniego słowa, zastępujące przecinek, podkreślające wypowiadane kwestie. Zawsze była pulchna, więc w jesieni życia nabrała jakby naturalnie „babcinych" kształtów, ale drobne dłonie zachowały dawną sprężystość, ciemne oczy spoglądały bystro jak dawniej, miła, dobroduszna twarz była gładka jak jabłuszko. Zawsze uwielbiała kapelusze - na wczesnych portretach uwieczniano ją uśmiechniętą, czarne oczy patrzyły spod szerokiego ronda poprzez długie, opadające pióra - a w starszym wieku przeniosła to uwielbienie na czepki; nosiła małe, wspaniałe arcydzieła z koronki, wstążek i kokardek. „Czasami ma się ochotę je zjeść" - powiedziała kiedyś Vicky i dobrze wiem, co miała na myśli.

Pierwsze małżeństwo mamy nie należało do szczęśliwych. Książę Leiningen był od niej o wiele starszy; szorstki, zimny mężczyzna, który okazywał jej zainteresowanie, dopóki nie dała mu dziedzica. Przebywał stale w jednym ze swoich pałaców, położonym w głębi lasu, spędzając dni na polowaniu, podczas gdy jego młoda żona żyła w innym, w całkowitym odosobnieniu, tylko z dziećmi, zdana wyłącznie na własne towarzystwo, nie mająca nic do zrobienia, nawet gospodarstwem domowym zarządzał książę, nawet służących nie mogła sobie sama wybrać.
34
Wybawił ją tata.
- Od razu mi się spodobał - powiedziała mi kiedyś. -Jakże mogło być inaczej? Był taki czarujący, a jak umiał mówić! Piękny, melodyjny głos i jeszcze potrafił wybrać temat, który interesował jego rozmówcę. Och, byłam gotowa rozmawiać z nim całymi dniami! Zmuszona tyle czasu do milczenia, pomyśl Wiktorio, jaka to musiała być dla mnie przyjemność!
Nie znała angielskiego, a tata niemieckiego, porozumiewali się zatem po francusku, którym ojciec władał biegle - umiał w nim prowadzić nie tylko formalną konwersację, doskonale wiedział, jak prawić komplementy kobiecie. (Nigdy żadna miłość nie idzie na marne: dwadzieścia siedem lat z biedną Madame Julią zaowocowały umiejętnością, dzięki której uszczęśliwiał księżnę Victoire).
- On nie mówił po francusku - powiedziała mi kiedyś mama - on śpiewał w tym języku.
Papa umiał zresztą rzeczywiście śpiewać, oboje też kochali muzykę i konie. Jego formalne oświadczyny, z którymi wystąpił ledwie dwa dni po poznaniu, brzmiały jak poemat. Jest tak czarująca, pisał, a jej maniery i wychowanie całkowicie odpowiadają jego wyobrażeniom, że poczyta sobie za najłaskawsze zrządzenie losu, jeśli jego oświadczyny zostaną przyjęte. Zimy będą spędzać w Brukseli, gdzie ma piękny dom, lata w Amorbach, na krótko będą odwiedzać Anglię; żaden dzień spędzony w towarzystwie drugiego, na słuchaniu dobrej muzyki i przejażdżkach konnych, nie wyda się za długi. Wreszcie zapewnił ją, że jeśli dozna tego szczęścia, by mógł z nią dzielić czas, będzie traktował jej dzieci z równą czułością jak swoje.
- Jakże mogłaś odmówić? - zapytałam ją zdumiona.
- Ach! - podniosła ręce do twarzy - to było niegodziwe! Rzeczywiście, jak mogłam! Ale wiesz, mój pierwszy mąż był taki niemiły, prawie nie znałam taty, straciłabym przyznane mi na wydatki pięć tysięcy funtów rocznie, a tata nic nie miał. Ale i tak miłość zwyciężyła. Tak miało być.
- Czy byliście razem szczęśliwi? - zapytałam, nie mając wątpliwości, co odpowie.
- Och, jak bardzo szczęśliwi! Był taki dobry, inny niż na
35
ogół bywają mężowie. Był mi towarzyszem, nie zachowywał chłodnego dystansu, interesowało go, co mówię, czym się zajmuję, co czuję, czy jestem szczęśliwa. Od dnia ślubu do dnia jego śmierci byliśmy nierozłączni i nigdy nie powiedzieliśmy sobie ani jednego przykrego słowa. Uwielbiałam go, miałam naprawdę szczęście, że udało mi się zdobyć tak inteligentnego i mądrego mężczyznę, który tyle wiedział o świecie, który tak wspaniale umiał pokierować naszym życiem... Zawsze powtarzał, że to właśnie on jest szczęściarzem, skoro udało mu się, zwykłemu żołnierzowi, zdobyć piękną młodą księżnę, dziewiętnaście lat młodszą od siebie. - Wyciągnęła chusteczkę i otarła łzy zbierające się w kącikach oczu. - Nigdy nie odczułam tej różnicy wieku - wyznała ze szczerością w głosie - chyba tylko o tyle, że się mną opiekował, podejmował decyzje, sprawiał, że czułam się taka bezpieczna!
Księstwo Kentu przybyli zatem w październiku 1818 roku do Amorbach. Karol przebywał w szkole w Szwajcarii, ale Feo była w domu i wkrótce ojciec zdobył jej serce.
- Zawsze był taki dobry dla młodych ludzi - powiedziała mama. - Z przyjemnością obserwowałam, jak się do siebie odnosili. Feo go uwielbiała.
Pełnię szczęścia osiągnęli w listopadzie, kiedy mama zyskała pewność, że nosi dziecko.
- Tak szybko. - Skinęła głową na potwierdzenie swoich słów i oblała się rumieńcem.
Zrozumiałam, co miała na myśli: tata był jej i mężem, i kochankiem - każdy, kogo los obdarzył tym błogosławieństwem, zrozumie różnicę. Czułość, jaką sobie okazywali, znalazła odbicie w liście, który mi pokazała; ojciec napisał go w ostatnim dniu Starego Roku 1818. Wciąż go przechowuję, pieczołowicie jak najdroższy skarb, a niektóre frazy znam na pamięć, tak często je czytałam.

„Dzisiejszy wieczór zakończy, moja prawdziwie najukochańsza Victoire, rok 1818, który dał mi największe szczęście, ciebie, mojego anioła stróża...
Wszystkie moje wysiłki mają jeden cel: zachować w doskonałym zdrowiu Ciebie i nasze dziecko, które będzie do
36
Ciebie podobne, a jeśli Bóg mi w obu tych rzeczach pobłogosławi, będę wynagrodzony za wszystkie przeciwności i rozczarowania, jakich doznałem...
Żałuję niezmiernie, że nie jestem zdolny do wypowiedzenia tego wszystkiego pięknym wierszem, lecz jestem tylko starym żołnierzem i brak mi poetyckiego talentu, o czym wiesz przecież, przyjmij zatem zamiar za czyn...
Pamiętaj proszę, że słowa te płyną od darzącego cię wielkim przywiązaniem, oddanego ci męża, dla którego jesteś jedynym szczęściem i pociechą...
Powiem ci to w języku mego kraju: Boże, błogosław Cię i kochaj mnie tak, jak ja ciebie...".
Kiedy tylko ojciec dowiedział się o stanie mojej matki, zdecydował, że zawiezie ją do Anglii. Amorbach nie było najzdrowszym miejscem na poród (zła wentylacja, pięćdziesiąt mil od najbliższego miasta), poza tym tata chciał, aby jego dziecko przyszło na świat na angielskiej ziemi. Miało być ewentualnym dziedzicem tronu, gdyby więc urodziło się na obcej ziemi, ktoś mógłby w przyszłości podjąć próbę zakwestionowania jego praw do korony Anglii.
- Był święcie przekonany, że jego dziecko odziedziczy kiedyś tron Anglii - zdradziła mi mama. - Zawsze mi powtarzał: „Victoire, jestem najsilniejszy w rodzinie, prowadziłem uregulowany tryb życia, nie tak jak moi bracia. Przeżyję ich wszystkich i korona przypadnie mnie i moim dzieciom. - Westchnęła. - Widzisz, moje dziecko, spodziewał się sam zostać królem, biedny Edward!
Jakże boleśnie musiała zniweczyć ich nadzieje wiadomość, która nadeszła z Hanoweru, gdzie przebywali zarówno księstwo Cambridge, jak i Clarence: obie księżne spodziewały się dzieci, rozwiązania miały nastąpić w marcu lub kwietniu. Tata był tylko czwartym synem i choć ani regent, ani stryj York nie mogli być brani pod uwagę jako ci, którzy zapewnią ciągłość dynastii, a potomek Cambridge'a mógł dziedziczyć tron dopiero po dzieciach papy, to przecież dziecko Clarence' a miało większe prawa.
- Nie zachwiało to postanowieniem twojego ojca. Nigdy nie można do końca być pewnym powodzenia porodu - powiedziała mama,
37
sznurując wargi - ale ja urodziłam już dwoje dzieci, podczas gdy księżna Clarence, dobiegając mojego wieku, żadnego. Dwadzieścia sześć lat to poważny wiek jak na pierwszy poród. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, choć oczywiście ani przez moment nie życzyliśmy jej niczego złego. Tata uważał za niezwykle istotne, abyśmy wrócili do Anglii.
Łatwiej postanowić, niż zrobić, zwłaszcza jeśli tonie się w długach. Tata wysyłał szalone listy do wszystkich, których jak sądził mógł jeszcze prosić o pożyczenie pieniędzy na podróż, ale nie zdołał zebrać stosownej sumy wcześniej niż w marcu 1819 roku. Napisał wtedy triumfalny list do regenta, zawiadamiając, że przybędą do Calais osiemnastego kwietnia i prosi o umożliwienie mu przeprawy przez kanał na królewskim jachcie i przygotowanie w pałacu Kensington apartamentów, które kiedyś zajmowała Karolina brunszwicka. Ponieważ nic go to nie miało kosztować, regent dał przyzwolenie, aczkolwiek niechętnie, przesyłając jednocześnie wyrazy szczerego ubolewania, że jego brat decyduje się tak późno na tę ciężką podróż. Miał pewne prawo wyrazić swoje obiekcje: mamie pozostało około ośmiu tygodni do rozwiązania.

Rozdział Drugi.

15 lutego 1900 w Osborne.

Dzisiaj jest znacznie przyjemniejszy dzień; zawieruchy wreszcie ustały, chwilami pokazuje się nawet słońce, dzisiejsza przejażdżka powinna się nam udać. Jerzy z May i chłopcami zjedzą z nami lunch. Nigdy bym się im do tego nie przyznała - w ogóle nikomu bym się do tego nie przyznała,

choć podejrzewam, że wielu ludzi podziela moje uczucia -ale nic nie poradzę na to, że z ulgą myślę o objęciu tronu przez Jerzego (po Bertiem) zamiast jego starszego brata. Nosiłam żałobę po śmierci Eddy'ego, prawdziwie zresztą lubiłam biednego chłopczynę, ale była w nim jakaś skaza i wątpię, czy wyrósłby z niego dobry król. Bóg wie, co czyni, choć

nie zawsze jest to dla nas widoczne. Trzeba mieć wiarę. Jerzy będzie ciężko pracującym, sumiennym królem, a May jest bardzo rozsądną, mądrą dziewczyną i wydobędzie z niego to, co najlepsze. Jest córką mojej biednej drogiej kuzynki, Mary Cambridge, ale stanowi całkowite przeciwieństwo swojej hałaśliwej, niedbałej matki! Małe, mocne, pulchne rączki May nigdy nie będą rozrzucać pieniędzy na prawo i lewo, jak to miała w zwyczaju kuzynka Mary. (Kiedy umarła trzy lata temu, okazało się, że nie sporządziła nawet testamentu, co spowodowało wiele zamieszania. Co gorsza, nie zabalsamowano jej ciała należycie; niezwykle to było przykre. Tak bardzo mnie to zdenerwowało, że natychmiast określiłam szczegółowo, jak mają wyglądać przygotowania do mojego pogrzebu, kazałam rozesłać kopie i upewniłam się, czy dotarły do odpowiedniej liczby osób, aby nikt nie miał wątpliwości, co robić, gdy nadejdzie czas po temu).
Jerzemu, mimo że teraz tak rozsądny, zdarzało się w przeszłości zachowywać tak, że trudno go było znieść. Kiedyś, jeszcze jako mały chłopiec, wyczyniał przy lunchu takie brewerie, że ostatecznie kazałam mu wleźć pod stół i siedzieć tam, dopóki nie będzie grzeczny. Zniknął pod obrusem i przez chwilę panowała cisza, a potem dziecięcy głosik zaświergotał:
- Jestem już znowu dobry, babciu. Mogę wyjść?
- Ależ oczywiście, kochanie - powiedziałam, a on uniósł róg obrusa i wygramolił się spod stołu, nagusieńki jak go pan Bóg stworzył! Rozebrany do rosołu, zaczął przede mną brykać, uśmiechając się szeroko jak ktoś, kto wie, że udało mu się zrobić coś wspaniałego. Dławiąc się śmiechem, zarzuciłam serwetkę na twarz, żeby nie pomyślał, że go pochwalam. Ilekroć teraz spoglądam na niego, na tę poważną, dojrzałą, okoloną brodą twarz, staje mi przed oczyma ta wspaniała scena: mały, golusieńki, brykający na czworakach skrzat. Pewnie się czasem zastanawia, dlaczego zawsze na jego widok uśmiecham się tak szeroko.
Dawid, mój prawnuk, najstarszy syn Jerzego, jest również udanym chłopcem - takie inteligentne, przyjaźnie do wszystkich nastawione dziecko! Nie znosi, gdy siedzę na moim krześle, nie rozumie, dlaczego nie mogę wstać, żeby się z nim pobawić. Łapie mnie za rękę i szarpie, nalegając:

- Wstań, babciu! Wstań! - A kiedy to nie pomaga, usiłuje samodzielnie popchnąć krzesło, ale oczywiście jest dla niego zbyt ciężkie. Ogląda się więc na służbę i rozkazuje im z wdziękiem małego władcy, żeby natychmiast to za niego zrobili. Nie ma wątpliwości, jaka krew w nim płynie!
Przejrzałam już wszystkie dokumenty, odpisałam na wszystkie oficjalne listy - zostało mi trochę czasu na dalsze snucie mojej opowieści. Słońce jest czymś tak przyjemnym po trwających zawieruchach, że doprawdy czuję dzisiaj przypływ niezwykłego ożywienia. Kiedy Reid przyszedł zbadać mnie jak co ranka, przenikała mnie taka przychylność do świata, że pozwoliłam mu posłuchać mego serca. Był tym wyraźnie poruszony.
Cóż to musiała być za podróż dla mamy! W tamtych czasach nie było przecież pociągów: sto pięćdziesiąt mil w powozie, tłukącym się po nieopisanie kiepskich drogach kontynentu (co nie znaczy, bym uważała, że dzisiaj są o wiele lepsze), a potem przeprawa morska przez najnieprzyjemniejszy w świecie obszar wodny!
- I nie bałaś się? - zapytałam mamę.
- Nie za bardzo - odparła. - Ósmy miesiąc jest bezpieczniejszy od siódmego, ufałam zresztą tacie. Nigdy by mnie o coś takiego nie poprosił, gdyby uważał, że może być niebezpieczne. Pomyślał o wszystkim, co by mogło służyć mojej wygodzie. Żadna kobieta nie opiekowałaby się mną czulej niż on.
Tata osobiście powoził lekkim faetonem, uważał bowiem, że znacznie mniej wytrzęsie mamę na zdradliwych korzeniach w lekkim powoziku niż w ciężkiej, zakrytej karecie. Znakomicie opanował sztukę powożenia; ciągnęła ich para pięknych czarnych klaczy - przyuczonych do wędzidła - które tata znał na wylot. Doprawdy oryginalna karawana podążała ich śladem: lando ze służbą Feo i

angielskimi pokojówkami, powóz z mamy damą do towarzystwa, baronową Spath, i położną, pusta kareta na wypadek złej pogody; następna kareta z Feo i jej guwernantką, kabriolet z dwoma kucharzami, wóz ze srebrem stołowym, dodatkowy faeton, ciągnięty przez drugą parę koni ojca, kabriolet z lokajami, kabriolet z sekretarzami

(tata zawsze prowadził rozległą korespondencję), kariolka powożona przez lekarza taty (doktora Wilsona, później na HMS Hussar) i wreszcie bryka załadowana łożem i pościelą mamy.
- Jakże ludzie się nam przyglądali, kiedy przejeżdżaliśmy! I jak trudno było znaleźć co wieczór nocleg dla nas wszystkich! - wykrzyknęła mama. - Pokonywaliśmy niewielkie dystanse, ponieważ tata nie chciał, żebym się za bardzo zmęczyła... ale ja się czułam naprawdę dobrze, zapewniam cię, jedyne, co mnie męczyło, to konieczność siedzenia przez bite trzy tygodnie!
Doskonale ją rozumiałam, zawsze nienawidziłam podróży powozem; podrzuca człowiekiem, aż jest całkiem poobijany, siniaki zmieniają kolor, wszystkie mięśnie bolą od usilnego zachowywania prostych pleców, mdłości podchodzą do gardła od kolebania i kołysania. „Królewskie objazdy", które musiałam odbywać w młodości, zaliczam do swoich najcięższych obowiązków. Bogu niech będą dzięki, że dzisiaj mamy kolej!
W umówionym dniu dotarli bezpiecznie do Calais, gdzie czekała na nich wiadomość: dwudziestego szóstego marca księżna Cambridge wydała na świat zdrowego chłopca, dwudziestego siódmego zaś księżna Clarence urodziła dziewczynkę, która przeżyła ledwie parę godzin.
Moja biedna droga ciotka Adelajda! Jakże kochała dzieci i jakże pragnęła własnego! Ale Bóg nie udzielił jej tej łaski. Musiało jej to złamać serce. Wszystkie moje porody przebiegły szczęśliwie - Bogu niech będą dzięki! - choć straciłam dwoje dzieci, gdy już dorosły. Niczym nie można ukoić bólu, jaki się wtedy odczuwa. Niemniej ból ciotki Adelajdy oznaczał dla dziecka ojca krok bliżej na drodze do tronu i jego dziwaczna pewność co do objęcia korony Anglii jeszcze się umocniła.
Wiały niekorzystne wiatry i dopiero 24 kwietnia rozpoczęto przeprawę przez wzburzone wody kanału. Silny wiatr oznaczał krótszą przeprawę, ale mama przechorowała całą drogę do Dover. Ciekawe, czy mogłam to odczuć w jej łonie? Czy przyszłam na świat z wspomnieniem tej trudnej przeprawy? Tak czy inaczej, zawsze choruję na morzu - chociaż nie tak

ciężko, muszę przyznać, jak mój biedny Albert, którego delikatny żołądek dawał o sobie znać przy każdej okazji. Wieczorem, tata i mama, bladzi, osłabieni i serdecznie mający dosyć podróży, przybyli wreszcie do pałacu Kensington. I tu właśnie, w miesiąc później, dwudziestego czwartego maja 1819 roku, zjawiłam się na tym grzesznym padole.
Ranek był chłodny, padał drobny deszcz, wróble nawoływały się na roniącym krople wody żywopłocie, kosy podskakiwały na mokrych zielonych trawnikach, rozciągających się za podłużnymi oknami. W sąsiednim pokoju czekali książę Wellington, stryj Sussex, arcybiskup Canterbury, biskup Londynu, markiz Landsdowne, niegodziwy pan Canning, minister wojny, minister skarbu. Świt wstawał nad Kensingtonem, gdy tata poprowadził ich do pokoju położnicy, aby zgodnie ze zwyczajem wydali pisemne świadectwo o moich narodzinach i potwierdzili, że przyszłam na świat całkowicie zdrowa.
Nie przedstawiało to oczywiście najmniejszej trudności: poród był krótki i łatwy (o tyle, o ile jakikolwiek poród może być krótki i łatwy), dziecko okazywało wiele wigoru: „prawdziwa mała księżniczka, tłuściutka jak pączuszek", powiedział doktor Stockmar, sekretarz wuja Leopolda, kiedy mnie wkrótce potem zobaczył.
- Ale jednak dziewczynka - powiedziałam mamie. - Czy tata bardzo był niezadowolony?
- Ani trochę. Zawsze powtarzał, że Opatrzność nigdy się nie myli. A poza tym - dodała, uśmiechając się z zadumą -Cyganka przepowiedziała mu kiedyś dawno w Gibraltarze, że urodzi mu się córka, której przeznaczone będzie zostać wielką królową.
Czy rzeczywiście było to prawdą? W młodości całym sercem wierzyłam w tę opowieść o Cygance: potwierdzała, że moja przyszłość była od lat znana, i doskonale pasowała do moich wyobrażeń o celowym działaniu Boga, zmierzającym do osadzenia mnie na tronie Anglii. W późniejszych latach, gdy rozmawiałam o tym z Albertem, dowodził mi, bardzo zresztą logicznie, że tata prawdopodobnie

wymyślił całe zdarzenie, aby pocieszyć mamę; obiecała mu przecież syna, kobiety na ogół mniej czy bardziej wyraźnie obiecują to swoim mężom, i z pewnością sama czuła się rozczarowana. Ostatnio
42
jednak znowu skłaniam się do tego, w co wierzyłam w młodości. Zbyt wiele jest rzeczy na niebie i ziemi, których nie sposób wyjaśnić wyłącznie z pomocą logiki. A zresztą, czemuż tata nie miałby po prostu pocieszyć ją (jak mnie Albert, gdy urodziłam Vicky), mówiąc, że następnym dzieckiem będzie syn? W ogóle nie wspomniał o kolejnym dziecku, jakby wiedział, że ja mam być ich jedynym. Od początku mówił o mnie do swoich przyjaciół jako o królowej Anglii; nigdy, ani przez moment nie osłabł w swoim postanowieniu przywiezienia mamy do kraju, tak abym urodziła się na angielskiej ziemi i by nikt nie mógł kwestionować moich praw do sukcesji. Wiedział, że będę jego jedynym dzieckiem i że zajmę miejsce księżniczki Charlotty, aby spełnić nadzieje narodu -dzisiaj w to wierzę.
Tata nie odstępował mamy ani na chwilę w ciągu całego porodu - tak jak wuj Leopold towarzyszył Charlotcie, a Albert mnie. Jakże szczęśliwe byłyśmy z naszymi mężami, my trzy! I jaki to dziwaczny zbieg okoliczności, że wszystkie te trzy małżeństwa były ważne z powodów dynastycznych, zostały zawarte z wielkiej miłości i zakończyły się przedwcześnie. Życie lubi się powtarzać; nie zawsze jesteśmy w stanie to dostrzec ani tym bardziej zrozumieć, co owa powtarzalność może znaczyć.
Mojej babce ze strony Koburgów dane było widzieć i wierzyć. „Nowa Charlotta! - pisała do mojego ojca w odpowiedzi na list donoszący o moich narodzinach. - Nie martw się, że to nie chłopiec. Anglicy uwielbiają królowe".
Nawet Albert musiał przyznać, że jednak pewne zbiegi okoliczności są bardzo znaczące: w swoim liście do babci Koburg tata chwalił umiejętności i sposób postępowania położnej, Madame Siebold, pisząc, że nie zna osoby, która potrafiłaby się wykazać większą znajomością rzeczy, gorliwością i ochotą do pielęgnowania pacjentki. Po okresie połogu Madame Siebold wróciła do Niemiec, aby opiekować się szwagierką mamy, Ludwiką, prześliczną dziewiętnastoletnią żoną księcia Ernesta, brata mamy, która spodziewała się drugiego dziecka. Trzy miesiące później, dwudziestego szóstego sierpnia księżna sasko koburska powiła przy pomocy Madame Siebold wspaniałego chłopca, „żywego jak iskra". W odpowiednim czasie
43
został ochrzczony i nadano mu imiona Franciszek Karol August Albert Emanuel; rodzina nazywała go Albertem.

16 lutego 1900.

Jestem dzisiaj taka ożywiona; nie tylko za sprawą lepszej pogody, ale i znacznie bardziej optymistycznych wieści, które do nas dotarły. Generał Buller znowu posuwa się naprzód (chociaż z mojego punktu widzenia jeszcze zbyt wolno), podstęp lorda Robertsa, mający na celu odciągnięcie Burów, zaczyna chyba przynosić efekty, ponieważ doniesiono nam o powolnym topnieniu sił nieprzyjaciela pod Ladysmith. Bogu niech będą dzięki, że White nie chciał się poddać! Oby tylko udało mu się jeszcze jakiś czas wytrwać; wierzę, że strategia lorda Robertsa da spodziewany efekt. Posłał Frencha (najmłodszy nasz generał, doskonały i energiczny - doprawdy nie upierałabym się przy zdaniu, że wyłącznie dojrzały człowiek może być roztropny) na czele kawalerii na północ na odsiecz Kimberley, tak że teraz czekamy na wieści z dwóch frontów. Wydano też wreszcie rozkaz wyruszenia dla 8 Dywizji - chociaż gdybym przeforsowała swój punkt widzenia, wysłano by ją co najmniej trzy tygodnie temu i teraz stałaby już w gotowości. Chociaż jeśli Roberts weźmie Bloemfontein, zyska przewagę, jaką daje kolej żelazna, szybciej przewiezie dostawy i ludzi, co może całkiem odwrócić przebieg kampanii.
Zostałam matką chrzestną trzech chłopców, których ojcowie polegli w południowej Afryce. Dzisiaj właśnie chrzczono jednego z nich (będzie się nazywał Albert Wiktor na moją cześć i Tomasz po

swoim ojcu) i ceremonia nastroiła mnie do wspomnień o moim własnym chrzcie; zamierzam teraz właśnie o tym napisać, ostatecznie zajmę czymś umysł w oczekiwaniu na depesze z Afryki.
Niesłychanie to smutne, ale mój chrzest wyzwolił wiele negatywnych uczuć. Było powszechnie wiadome, że regent nienawidził ojca, przyjął więc narodziny jego dziecka - zdrowego i pełnego wigoru, „bardziej przypominającego miniaturowego Herkulesa niż miniaturową Wenus", jak mnie kiedyś tata opisał - z goryczą i przykrością tym większą, że jego jedyna córka leżała w grobie. „Urodziło mi się dziecko zbyt

zdrowe, żeby miało to uradować niektórych członków mojej rodziny" - oświadczył kiedyś tata i rzeczywiście sprawiało to takie wrażenie, jakby myśl o odziedziczeniu tronu przez jego potomka przyprawiała regenta o szaleństwo. Inna sprawa, że tata nie należał do najbardziej taktownych mężczyzn; wszem wobec głosił, że moje zdrowie jest nagrodą za jego cnotliwe życie. „Moje zdrowie pozostało nienaruszone - podkreślał - czego można się było spodziewać, zważywszy na to, jakie życie prowadziłem". Trudno było się spodziewać, aby jego brat, regent, podówczas mocno otyły i nękany rozmaitymi dolegliwościami - cierpiał na ostre migreny, puchły mu nogi, dokuczał żołądek i pęcherz - z zadowoleniem przyjmował podobne uwagi.
Ojciec poprosił regenta, aby został, wraz z carem Aleksandrem, moim ojcem chrzestnym, i wybrał dla mnie imiona: Victoire (po mamie), Georgina (po regencie), Aleksandryna (po carze), Charlotta (po Charlotcie, zmarłej księżnej Walii) i Augusta (po babci Koburg). Z ogromną pewnością siebie i charakterystyczną dla niego dezynwolturą przedstawił je regentowi do akceptacji, a że nic mu nie odpowiedziano, uznał, że zostały zaakceptowane. Rzeczą regenta był wybór daty chrztu i wyznaczył go na poniedziałek dwudziestego czwartego czerwca, ale nie ogłosił tego aż do piątku, nie powiadomił nawet ojca, co stało się oczywiście powodem kolejnej urazy. Na domiar złego zdecydował, że ceremonia nie odbędzie się w Kaplicy Królewskiej pałacu Kensington, tylko w Cupola Room i będzie miała całkowicie prywatny charakter. Zatem żadnych uniformów, żadnych zagranicznych dygnitarzy ani znamienitych osobistości. Jakże to musiało rozczarować tatę! Ceremonia bez galowych mundurów, mieczy, piór, bez przepychu i pompy - tylko najbliżsi członkowie rodziny w zwyczajnych ciemnych anglezach, jakby chrzczono pierwsze lepsze dziecko. Regent dołożył starań, aby stało się jasne, że jestem ważna wyłącznie dla moich rodziców.
- To plan obliczony na to, żeby mnie odsunąć! - powiedział tata z wściekłością do mamy. - Niektórzy członkowie mojej rodziny traktują moją małą dziewczynkę jak intruza!
Następny cios dosięgnął go w sobotni wieczór. Regent przesłał wiadomość, że nie będę mogła nosić po nim imienia,

byłoby bowiem wbrew protokołowi, gdyby poprzedzało ono imię cara, a tego, aby następowało po nim, regent sobie nie życzy. Co do innych imion, zostaną one omówione z ojcem podczas ceremonii.
Wyczekał z tym, doprawdy, do ostatniej minuty! I to dosłownie, bo według relacji mamy dopiero gdy arcybiskup Canterbury trzymał mnie nad chrzcielnicą, regent ogłosił, że imion Charlotta i Augusta również nie będę używać.
- Zapadła przeraźliwa cisza - opowiadała mi mama. -Edward popatrzył na mnie, ja na niego, oboje głęboko dotknięci tym, co usłyszeliśmy, i sposobem, w jaki zostało przekazane. Wszyscy, zażenowani, unikali wzajemnie swojego wzroku, stało się bowiem oczywiste, że regentem kierują zazdrość i uraza; wyraźnie nie chciał, abyś nosiła jakieś królewskie imię.
Wreszcie odezwał się arcybiskup, uznawszy, że lepiej zakończyć ceremonię, zanim mnie upuści, i zapytał uprzejmie, jakie w takim razie imię ma nadać dziecku.
- Aleksandryna - warknął regent. - Po carze, jej ojcu chrzestnym.
(Prawdopodobnie wypowiedział to z głębokim sarkazmem. Lord Melbourne wyjaśnił mi, że tata wybrał cara na mojego ojca chrzestnego, chcąc zdenerwować regenta, który go głęboko nienawidził. Wzięło się to stąd, że nienawidził wujka Leopolda, uważając wbrew logice - choć z drugiej strony można go zrozumieć - że jest sprawcą śmierci księżnej Charlotty; car zaś był przyjacielem i protektorem wuja Leopolda).

Aleksandryna nie było złym imieniem, ale jedynym i zupełnie nie występującym w królewskich rodach Anglii - nie można było zatem na nim poprzestać, chrzcząc tak znakomite dziecko. Toteż tata zaprotestował:
- Czy to możliwe, aby nie miała drugiego imienia? Co Wasza Wysokość myśli o Elżbiecie? Ośmielam się nalegać, by Wasza Wysokość rozważył nadanie dziecku imienia Elżbieta jako drugiego.
- Oczywiście nie - burknął regent. (Zastanawiam się, czy czasem tego dnia nie dokuczały mu szczególnie nogi?). - To imię dla królowej. Nigdy nią nie będzie.
Mama tonęła we łzach, osłonięta wielkim kapeluszem

z piórami, wuj Leopold sypał skrami z oczu, księżne Zofia i Augusta wpatrywały się uporczywie w dywan, jakby miały nadzieję, że podłoga się pod nimi rozstąpi. Ale tata, z twarzą czerwoną jak zawsze, gdy starał się utrzymać temperament na wodzy, nalegał na wybór drugiego imienia.
- Nie można jej nazwać tylko Aleksandryna.
- No więc dobrze - powiedział w końcu regent opryskliwie. - Niech się nazywa po matce. (Niezwykle nieuprzejmie, jakby moja biedna matka coś przykrego mu zrobiła).
Ale tata się rozjaśnił, zadowolony, że choć jedno uzyskał.
- Czyli Victoire? - ucieszył się. W końcu to imię wybrał jako pierwsze.
- Wiktoria - poprawił go regent triumfalnie - a imię nie może poprzedzać carskiego.
W ten oto sposób nazwano mnie Aleksandryna Wiktoria, a wieczorem tata i mama, aby to uczcić, wydali obiad w pałacu Kensington, którego regent demonstracyjnie nie zaszczycił swoją obecnością. Trzy miesiące później publicznie wyszydził tatę u hiszpańskiego ambasadora, a młodsi członkowie rodziny, zależni od kaprysów władcy, poszli za jego przykładem. Od tego dnia zaczęła się w pałacu Kensington nagonka na księstwo Kentu. Dla wszystkich, którzy nie chcieli utracić łaski regenta, staliśmy się pariasami.
Lato 1819 roku było mimo to szczęśliwym okresem w życiu taty, prawdopodobnie najszczęśliwszym w całym jego życiu. Wzajemna miłość rodziców rosła, a przyjemności życia rodzinnego - które przecież ojciec poznał, gdy pozostawał w związku z biedną Madame de St Laurent - były tym większe, że mieli koło siebie piękną i kochającą Feo (sama mi mówiła, jak bardzo go kochała: „Zawsze był dla mnie taki dobry!") i tłuściutkie, żwawe dziecko, które w niedługim czasie miało zostać spadkobierczynią tronu Anglii - co do tego ojciec żywił niezachwianą pewność. Królewska rodzina mogła go sobie ignorować i obrażać, ale nie była w stanie temu zapobiec.
Cała rodzina oprócz mojej biednej ciotki Adelajdy - tego lata ponownie spodziewała się dziecka. Stryj Clarence, idąc za przykładem ojca, zabrał ją z Hanoweru do Anglii, aby urodziła na angielskiej ziemi, ale biedna ciocia Adelajda nie

była tak silna jak mama i poroniła w czasie podróży. Tak więc tata znowu poczuł się bezpieczny; on i mama, nie tracąc humoru, prowadzili w pałacu Kensington wesołe życie: wydawali obiady i wieczory muzyczne, oglądali parady, odwiedzali teatry, zabierali nas, dzieci, na dłuższe wizyty u wuja Leopolda w Claremont.
Jedynie ciągłe problemy finansowe ojca kładły się cieniem na ich szczęściu: jego dochody wystarczyłyby na utrzymanie samotnego, ostrożnego w wydatkach mężczyzny, a tata nie był ani samotny, ani powściągliwy. Wydawał rozrzutnie na nowe meble, kotary, zasłony, dywany, lustra, obrazy, wszystko, co mogłoby upiększyć ich pokoje; na powozy, stroje i niezliczone kapelusze mamy; dobre wina, książki, konie dla siebie - nie mając pojęcia, jak zdoła za wszystko zapłacić. Jesienią cierpliwość wierzycieli się skończyła i tacie zarówno z powodów finansowych, jak i dla uniknięcia utarczek nie pozostało nic innego, jak opuścić wraz z rodziną Londyn.
Byłby to dla taty straszliwy wstyd: publicznie przyznać, że on, książę królewskiego rodu, nie jest w stanie utrzymać rodziny na poziomie, jaki uważa ze względu na swoje pochodzenie za odpowiedni; tak więc aby zachować twarz, udał, że wywozi mamę nad morze, żeby mogła zażyć kąpieli leczących jej reumatyzm.

- Który zresztą naprawdę mi dokuczał - zapewniła mnie mama - chociaż bóle nie były straszliwe, raczej przykre. Jak widzisz, nie było więc to takie zupełne kłamstwo, czego przecież ojciec nienawidził.
Tata ruszył zatem z koniuszym na poszukiwanie odpowiedniego domu. Devon - fatalny Devon - oto, co wybrali; błogosławieństwo umiarkowanego klimatu i zbyt duża odległość dla wierzycieli. Po długich poszukiwaniach zdecydowali się na Sidmouth, gdzie wybrali Woolbrook Cottage, sto pięćdziesiąt jardów od plaży, przy której znajdował się zakład kąpielowy i można było zażywać ciepłych kąpieli w słonej morskiej wodzie. W grudniu opuściliśmy ostatecznie Londyn i w Boże Narodzenie 1819 roku zajechaliśmy wśród śnieżnej burzy przed Woolbrook Cottage.
- Cóż to było za straszliwe domiszcze! - opowiadała mama,
48
wyraźnie poruszona na samo wspomnienie. - Ciemne, ponure, zawilgocone, żeby nie wiem co robić, nie dało się go ogrzać.
Efektownie wyglądający tandetny dom, wyobrażam to sobie - niezbyt przestronne pokoje o niskich sufitach, ciasne korytarze, wilgotne ściany; prymitywna budowla, ozdobiona wykuszami i podejrzanie wyglądającymi balkonami, dobudowanymi, aby dodać jej malowniczości. Dom wynajmowano na lato, więc od miesięcy już stał pusty, co dawało się odczuć. Być może miło byłoby w nim mieszkać latem - stał w porośniętej drzewami zielonej kotlinie, zacisznej i odosobnionej; niemniej zimą takie miejsca posępnieją, nabierają szarych barw, wszędzie wciska się wilgoć, zwały błota odgradzają od świata, odosobnienie przygnębia.
- Na dobitek to była schreckliches zima, wciąż burze i przenikliwe wiatry - opowiadała mama. - Czasem pokazywało się słońce, ale od przejmującego chłodem powietrza bolały płuca, a noce, och, noce były znacznie gorsze! Tata mówił: „takie bardziej kanadyjskie" - dodała ze słabym uśmiechem.
Nieprzyjemną sytuację pogłębiały jeszcze dolegliwości gastryczne ojca; przeżył kilka ataków, które straszliwie go osłabiły. „Tutejsza woda fatalnie działa na moje jelita", pisał do wuja Leopolda. Jeśli dodać do tego obawy o przyszłość, łatwo sobie wyobrazić, jak trudno było ojcu zaakceptować miejsce kolejnego wygnania. Mamę zajmowały lekcje angielskiego (w którym nie czyniła zresztą znacznych postępów), każdego dnia posłusznie brała ciepłe kąpiele w słonej wodzie, zabierała Feo na długie spacery brzegiem morza. Tata spędzał dni na pisaniu listów w nadziei na polepszenie swojej sytuacji i na zabawach ze mną przed kominkiem (jakże żałuję, że tego nie pamiętam!).
- Byłaś jego jedyną pociechą, Wiktorio. Takie silne, zdrowe dziecko, miałaś zaledwie siedem miesięcy, a wyglądałaś na rok. Pierwsze dwa ząbki wyrżnęły ci się niemal niezauważalnie i tata uwielbiał doprowadzać cię do śmiechu, żebyś mu je pokazała. Byłaś takim pogodnym dzieckiem! I upartym. Nawet w tym rozkosznym okresie twego życia usiłowałaś przeforsować swoją wolę i często ci się to udawało.
Tata, choć niechętnie, musiał przyznać, że w tej sytuacji
49
nie można zrobić nic lepszego, niż wrócić do Amorbach, gdzie na pewno będzie wszystkim lepiej niż w dewońskiej ruderze; na razie jednak trzeba było przeżyć ciężkie styczniowe dni. Wszyscy byliśmy poprzeziębiani, tata najciężej, ale nie zważając na to, uparł się, że wyjdzie do koni, co też zrobił mimo ulewnego deszczu; wrócił z przemoczonymi nogami, przemarznięty do szpiku kości. Następnego dnia dostał gorączki. - Ale przecież nie było to nic innego jak przeziębienie - powiedziała mama. - Przecież ludzie się przeziębiają, a on był taki silny, taki zdrowy. - Oczy jej pociemniały, wciąż było to dla niej bolesne wspomnienie. - To lekarze go zabili. Doktor Wilson, który towarzyszył nam w Devon, początkowo zaaplikował tacie zwyczajne środki, takie jak kalomel i James's Powder, ale okazały się nieskuteczne; kiedy gorączka wzrosła i tata zaczął się uskarżać na ból w piersiach, lekarz zalecił puszczenie krwi. W tamtych przerażająco prymitywnych czasach puszczanie krwi - z pomocą noża albo przez przystawienie pijawek - było uważane za jedynie skuteczne lekarstwo na wszelkie zakażenia lub choroby z gorączką. Wielu medyków uważało wręcz, że to remedium na wszelkie dolegliwości! Jak bardzo rozwinęła się od tamtej pory wiedza medyczna - jakże szkoda, że zbyt późno; zbyt późno dla kochanego taty!

Wilson puścił mu krew powtórnie następnego dnia, ale nie przyniosło to najlżejszej poprawy i mama przestraszona posłała do Londynu po sir Davida Dundasa, królewskiego medyka, który znał tatę od dziecka. Tymczasem nie opuszczała ojca ani na chwilę, pielęgnując go z oddaniem dzień i noc. W domu było przeraźliwie chłodno - przykre, przenikliwe zimno, którego nie sposób znieść. Żeby nie wiem jak suty ogień płonął, nie przepędzał wszechwładnej wilgoci; okna były nieszczelne jak stara rozeschnięta beczka. Feo wstrząsały dreszcze, ja dzielnie wojowałam z kichaniem, ale mama poświęcała nam przelotnie trochę uwagi, troszcząc się przede wszystkim o tatę. Cierpiał już nie tylko na bóle w piersiach i bokach, ale i potworne bóle głowy, miał trudności z oddychaniem. Doktor Wilson zastosował wezykatorię, a gdy to również nie pomogło, postawił bańki - dopełniając katuszy -

nawet na głowie ojca, w nadziei, że osłabi to migrenę; wszystko daremnie.

- Przez cztery długie godziny torturował mojego biednego Edwarda - opowiadała mama - doprowadzając mnie niemal do obłędu. Nie mogłam na to patrzeć, ale przecież cokolwiek tam się działo, nie opuściłabym go nawet na chwilę.

Ponieważ bańki zawiodły, Wilson puścił krew raz jeszcze. Siedemnastego stycznia przybył wreszcie lekarz z Londynu, ale nie sir David Dundas.

- Ze starym królem było bardzo źle - wyjaśniła mama -i sir David nie mógł go opuścić, przysłał więc w zastępstwie doktora Mateta, co pogłębiło moją rozpacz, ponieważ on ledwie znał francuski, a ja ledwie angielski i trudno nam się było porozumieć.

Groźniejsza od nieznajomości francuskiego okazała się jednak wiara Mateta w skuteczność puszczania krwi. Nie zważając na to, że tata stracił już sześć pint krwi, zalecił kolejny zabieg.

- Zaprotestowałam... tata był taki słaby, powiedziałam, że dalsze pozbawianie go sił nie może przynieść korzyści, ale Matet się sprzeciwił, argumentując, że przeciwnie, tata nie wykrwawił się należycie, a jako mężczyzna o silnej budowie z pewnością wytrzyma więcej.

I tak trwały te średniowieczne tortury, stawianie baniek, puszczanie krwi, aż nie było na ciele ojca miejsca, które nie nosiłoby ich śladów.

- Znosił to tak cierpliwie, ale stawał się coraz bledszy, z każdym dniem słabszy, przy każdym oddechu nękał go straszliwy ból.

- Ale dlaczego im na to pozwoliłaś? - wykrzyknęłam ze zgrozą, gdy doszła do tego momentu swojej opowieści.

Rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- A cóż mogłam zrobić? Człowiek musi ufać lekarzom, nicht wahrl Wzywa się ich, ufając, że wiedzą lepiej od nas, co robić, rezygnacja z ich porad byłaby więc nonsensem. A wyobraź sobie, że jednak ich powstrzymujesz od działania, a pacjent umiera, i wtedy do końca życia myślisz, czy to nie przez ciebie, bo im nie dałaś wolnej ręki. Umierałam od

samego patrzenia. Z całego serca żałowałam, że nie mogę wziąć na siebie chociaż części jego cierpienia.

Wiem, co czuła, teraz wiem, ale nie wtedy. Wydaje mi się, że rozumiem dylemat, przed którym stanęła, ale też myślę, że ja jednak powstrzymałabym Mateta od stawiania baniek i puszczania krwi po pierwszym dniu. Tak myślę.

Tymczasem on dalej robił swoje, pozbawiając ojca życiodajnej krwi. Wreszcie mama, panicznie przerażona, napisała do wuja Leopolda, błagając go, by przyjechał. Generał Wetherall, przyjaciel rodziny, który stacjonował nieopodal, przyjechał zobaczyć ojca i potrząsając głową, doradził mamie, aby powiadomiła regenta, jako głowę rodziny, o stanie ojca.

- To było jak usłyszeć na niego wyrok śmierci - powiedziała mama. - Ale wciąż nie wierzyłam, że umrze. Miał dopiero pięćdziesiąt dwa lata, był najsilniejszy z całej rodziny. Przecież tacy silni ludzie nie umierają od takiej błahostki jak przeziębienie.

Wuj Leopold ruszył pośpiesznie do Devon natychmiast po otrzymaniu listu i dotarł tam dwudziestego drugiego stycznia wraz ze swoim sekretarzem, doktorem Stockmarem. Tata wówczas już na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, jego puls był ledwie wyczuwalny i Stockmar

(który był przygotowany do pełnienia zawodu lekarza), potrząsnąwszy głową, powiedział do mamy łagodnym głosem, że nie sądzi, aby pacjent przeżył noc. Wspólnie z mamą czuwali przy nim tę ostatnią noc - rozumiem teraz, niestety, aż nadto dobrze, co wtedy czuła i jak cierpiała.
- Kiedy zegar wybił dziesiątą następnego ranka, klęczałam przy jego łożu, trzymając go za rękę - opowiadała mama -i nagle uścisnął mi dłoń, jakby chciał zwrócić moją uwagę. Wstałam, pochyliłam się nad nim i pocałowałam jego biedne, zimne czoło, a on otworzył oczy, spojrzał na mnie i wyszeptał: „Nie zapomnij mnie". Och, jakbym kiedykolwiek mogła zapomnieć! A moment później poczułam, że odchodzi; odchodzi na zawsze! Och, Wiktorio, czułam się taka opuszczona! Mój partner na całe życie, moja miłość! Dbał o mnie, rozpieszczał... polegałam na nim. Cóż miałam począć bez niego?
W istocie, cóż miała począć bez niego? Tata ustanowił ją w testamencie moją jedyną opiekunką, ale nie zostawił jej
52
niczego prócz długów. Nie miała nawet dość pieniędzy na pokrycie kosztów pobytu w Woolbrook Cottage ani na podróż powrotną do Londynu. I dokąd mogłaby się udać w Londynie, nawet gdyby udało się jej tam wrócić? Apartamenty w Kensingtonie zostały im udostępnione z woli regenta i nic nie wskazywało na to, że pozwoli mamie w nich zostać. Zagraniczna żona najbardziej znienawidzonego z braci, siostra najbardziej znienawidzonego zięcia? Miał szansę pozbyć się jej na zawsze, odesłać do Niemiec razem z tym jej uzurpatorskim bachorem.
Na odsiecz przybył wuj Leopold. Nie mógł zabrać nas do Claremont, ponieważ panowała w nim odra, ale popłacił najpilniejsze rachunki i skłonił ciotkę Mary Gloucester, ulubioną siostrę regenta, by wstawiła się za mamą. Acz niechętnie udzielone, zostało jej jednak w końcu przekazane pozwolenie na zajęcie apartamentów w pałacu Kensington.
- Zrozumiał zdaje się w końcu, że wzgląd na przyzwoitość nie pozwala mu nas tak po prostu wyrzucić na ulicę. Ostatecznie mnie i biedną Feo mógłby - dodała mama z westchnieniem - ale nie ciebie, własną bratanicę, której ojca nie zdążono jeszcze pochować.
Któregoś styczniowego dnia, równie przejmującego jak smutek, wyruszyłyśmy z Devon do Londynu i była to podróż w zimnie i nędznych warunkach, gorszej pogody nie sposób już sobie wyobrazić, drogi równie tragiczne, moja matka z raną w sercu, potwornie samotna po stracie męża, z którym od ślubu ani na dzień się nie rozdzieliła. 29 stycznia 1820 roku przybyłyśmy do pałacu Kensington. Apartamenty zostały dosłownie ogołocone przez wierzycieli, mama nie miała ani pieniędzy, ani przyjaciół, na których mogłaby polegać, oprócz wuja Leopolda oczywiście, nienawidzili jej za to wszyscy krewni ojca, z wyjątkiem stryja Wilhelma i cioci Adelajdy. Znalazła się w obcym kraju, nie znała języka, obyczajów tu panujących, ani prawa, i straszliwie się obawiała, że rodzina ojca znajdzie dość władzy, by mnie jej odebrać. Wydawało się, że gorzej już być nie może.
Tuż po naszym przybyciu do Londynu do mamy dotarła wieść, że mój dziadek, Jerzy III, przeżył mojego ojca zaledwie o sześć dni. Upiór Windsoru nieoczekiwanie odmówił przyjmowania pokarmu
53
i w ciągu sześciu dni zagłodził się na śmierć. Umarł, biedny, szalony król, tego samego ranka, kiedy przyjechałyśmy do Londynu, i w konsekwencji mój stryj, regent, został królem Jerzym IV.

21 lutego 1900 w Windsorze.

Całe popołudnie rozmyślałam o pałacu Kensington. Labirynt połączonych ze sobą pokoi w kiepskim stanie, ciemne, kręte korytarze, staroświecka, niewygodna budowla, ale szczęśliwie dla mieszkańców Świętego Jakuba oddalona od nich dostatecznie, aby ich nie kłuła w oczy. Moje wspomnienia są z pewnością skażone, ponieważ ostatnie lata tam spędzone nie były dla mnie najszczęśliwsze; kiedy zostałam królową, zaniedbałam Kensington tak bardzo, że omal nie doprowadziłam go do całkowitej ruiny. Pojechałam tam rok temu, gdy prace restauracyjne miały się

ku końcowi, i muszę przyznać, że to jednak piękna budowla, niezależnie od tego, że mnie wciąż ścigają tam upiory. Jej widok nasuwa mi wyłącznie bolesne wspomnienia.
A przecież byłam w Kensingtonie także szczęśliwa - przez pierwsze sześć czy siedem lat mojego życia. Nasze apartamenty mieściły się na parterze, co oznaczało wilgoć, karaluchy i myszy. Zimą utrzymywał się w nich zapach piwnicy i grzyba, a na nie noszonych przez jakiś czas ubraniach pojawiał nalot pleśni. Nie boję się szczególnie myszy - nie jestem przesądna, jak niektóre kobiety - ale niszczyły nam buty i książki, a nie byłyśmy na tyle zamożne, aby nie sprawiało nam to różnicy.
Były i przyjemne strony mieszkania na parterze: przez wysokie podłużne okna miałyśmy nieskrępowany widok na pałacowe ogrody, a latem traktowałyśmy je jak dodatkowy pokój, jakby w jakiś dziwaczny sposób przechodziły na naszą własność. Pamiętam soczyście zielone trawniki, wysypane żwirem alejki, piękne drzewa i oczywiście staw, nad którym razem z Feo karmiłam kaczki. Dorosłe życie przynosi niewiele przyjemności, które da się porównać ze szczęściem dziecka rzucającego chleb kaczkom. Doprawdy trudno byłoby Bogu stworzyć bardziej nieprawdopodobne i przymilne stworzenie!

Za moich dziecięcych lat Kensington był wciąż położony w wiejskiej okolicy; mnóstwo tu było sadów i ogrodów warzywnych, zaopatrujących Londyn w żywność; niezwykłą ciszę i spokój tego miejsca zakłócały tylko kierujące się na zachód karety pocztowe, przejeżdżające przez rogatki Uxbridge. Zachodnie granice Londynu wyznaczał w tamtych czasach Hyde Park. Na północ od rogatki Uxbridge roztaczała się wiejska okolica i zaczynały uprawy; na południe od Kensington Road, gdzie teraz mieści się Albert Hall i muzeum nazwane imieniem mojego drogiego Alberta, stały ogromne wiejskie rezydencje szlachetnie urodzonych, a poza nimi rozciągały się schludne wioseczki - Earl's Court, Old Brompton, Little Chelsea, Walham Green - poprzecinane błotnistymi wiejskimi drogami.
Dziwne wydaje się, gdy pomyśleć, że nie było tu żadnych ulic, placów, domów; żaden angielski chłopiec nie nazywał się Albert (wówczas było to bowiem dziwaczne, obce, nieangielskie imię) a żadna dziewczynka Wiktoria - z wyjątkiem mnie oczywiście. Anglia była zupełnie innym krajem niż teraz, dopiero zaczynała się rewolucja przemysłowa, a Londyn wyglądał jak zwyczajne miasto, a nie stolica imperium. Jeszcze dziwniejszy wydaje się teraz obraz bydła, owiec, stad gęsi pędzonych najpierw drogami wiodącymi do Londynu, a potem po jego zatłoczonych ulicach na rynek. Nie było elektryczności, telefonów, żadnych udogodnień cywilizacji; nie było pociągów (ale też i tych okropnych aut!), tylko powozy i pędzące lotem strzały karety pocztowe; wszędzie piękne, szlachetne zwierzęta - konie.
Zawsze je kochałam i uwielbiałam jazdę konną! Kiedy już zostałam królową, jedną z większych przyjemności były przejażdżki konne na wieś wraz z lordem Melbourne i jednym czy dwoma innymi dżentelmenami - dawały mi poczucie wolności; mogłabym doprawdy spędzać całe dnie w siodle, gdybym tylko mogła. Wieś podchodziła w tamtych czasach tuż pod miasto; przejeżdżaliśmy przez drogę i już otwierały się przed nami pola. Teraz ciągną się tam nieskończone rzędy przylegających do siebie domów, zupełnie jakby upakowano śledzie w puszce. Opisałam w swoim dzienniku dzień, kiedy dojechaliśmy konno aż do Acton; dzisiaj byłoby to oczywiście

niemożliwe. Zabudowane domami ulice ciągną się nieprzerwanie aż do Ealing, gdzie przecież kiedyś tata kupił odosobnioną wiejską rezydencję!
Jako młoda kobieta lubiłam dosiadać gorącokrwiste konie, nic nie sprawiało mi większej przyjemności niż pełny galop. Zdaje się niestety, że sama byłam dość nieokiełznana i dzika. Niewątpliwie pod wpływem Alberta zrozumiałam, że nie jest najodpowiedniejszą rzeczą dla młodej kobiety - a w istocie w ogóle dla kobiety - jeździć ventre a terre jak huzar; nieźle złajałam Vicky tuż po jej ślubie za galopowanie po okolicy na wielkich, silnych koniach, jakby zamiast tego nie mogła dystyngowanie kłusować po parkowych alejkach. Wiktoria, córka Alicji, to następna, która uwielbia dosiadać koni odpowiednich dla mężczyzn, choć bez przerwy jej powtarzam, że ani to przystoi kobiecie, ani służy jej zdrowiu. Sama jednak wciąż śnię od czasu do czasu, że pędzę w galopie, wiatr owiewa mi policzki, słyszę podniecający radośnie tętent końskich kopyt. Najwyraźniej gdzieś

w głębi mnie drzemie zatwardziała dzikuska, której nawet mój najmilszy nie zdołał do końca utemperować!
Szaleńcze galopady należą do przeszłości. W młodych latach prowadziłam w pałacu Kensington życie nacechowane prostotą i temu przypisywałam swoją niechęć do wszelkiej pompy, wspaniałych sukien, olśniewających pałaców. Ale skoro mam być wobec siebie szczera, pisząc ten dziennik muszę przyznać, że w pierwszych latach sprawowania władzy nie mierziły mnie piękne stroje i wielkie, świetne imprezy. Bankiety, bale, ceremonie, strojenie się wydawały mi się czymś niezwykle przyjemnym przez pierwsze dwa lata mojego panowania; dopiero po ślubie zaczęłam tęsknić do prywatności i życia, jakie jest udziałem zwykłych ludzi. Ach, ile się zmieniło pod wpływem mojego ukochanego, najdroższego Alberta! Wysubtelniałam przy nim, stałam się o tyle lepsza!
Mama prowadziła dom skromnie, jedzenie dla dzieci było bardzo proste. Baranina i pudding ryżowy tak często pojawiały się w menu, że gdy zostałam królową, przysięgłam sobie nie tykać baraniny i właściwie dalej jej nie jadam, chyba że młodą pieczoną jagnięcinę. Ani słodycze, ani egzotyczne dania - zawiesiste sosy, danie złożone z wielu składników,

ciasta, kremy, galaretki - och, wszystko to, co rozkosznie drażni podniebienie - nigdy nie pojawiały się przede mną na stole. I oczywiście nie powinny, ja sama również tego przestrzegałam, wychowując dzieci. Jako królowa mogłam jeść, co mi się spodoba, toteż kierowałam się wyłącznie tłumionym dotąd apetytem i w rezultacie po roku musiałam kazać sobie uszyć suknie o rozmiar większe; jestem niewielkiego wzrostu, nie mam nawet pięciu stóp, tak więc nie tyle się zaokrągliłam, ile przybrałam kształt niemal kulisty. Reid usiłuje mnie od czasu do czasu przekonywać, że nie mogę jadać tak dużo, a ostatecznie powinnam chociaż unikać pożywnych potraw, ale go ignoruję. Nie po to dożyłam osiemdziesięciu lat, aby mi ktokolwiek wmawiał - nawet mój osobisty lekarz - że powinnam znowu zacząć jeść suche tosty i mleczny pudding.
Przyszło mi właśnie na myśl: czy gdyby mi pobłażano w kwestii jedzenia w dzieciństwie, zachowywałabym się bardziej racjonalnie przy stole jako dorosła i nie rzucała bez wyboru na słodkie dania i przysmaki, których mi odmawiano? Bertie, który wychował się w tym samym spartańskim reżimie - baranina i pudding ryżowy - objawił jako dorosły równie łapczywy apetyt na wszelkie smakołyki; może nie ceniłby ich tak bardzo, gdyby nie były zakazanym owocem w dzieciństwie? Ale nie, to nie ma sensu, przecież Alberta również wychowano w ten sam sposób, a nigdy nie poświęcał tyle uwagi jedzeniu. A zresztą, jaki byłby pożytek z tego, aby pozwalać dzieciom na wszystko; czego wówczas miałyby pragnąć jako dorośli? Poza tym, zdaje się, że w ludzkiej naturze leży bunt przeciwko komuś lub czemuś; gdyby nam niczego nie zabraniano w dzieciństwie, pewnie jako dorośli popełnialibyśmy straszliwsze grzechy niż obżarstwo.
Byłam, jak sądzę, pogodnym z natury dzieckiem; chyba tak, ponieważ zawsze kochałam i chciałam zadowolić tych, którzy mnie otaczali; zawsze też byłam raczej skłonna do śmiechu niż ponurych dąsów; ale zostałam również obdarzona silną wolą i porywczym temperamentem. Dziecko, które przychodzi na świat w dużej rodzinie, uczy się dzielić wszystko z innymi; ja nie miałam koło siebie nikogo, kto by rozwiał moją dziecięcą wiarę w to, że jestem pępkiem świata. Otaczali

mnie sami dorośli, z wyjątkiem Feo, ale miała dwanaście lat więcej niż ja; wszyscy mnie uwielbiali i sprzysięgli się rozpieszczać, pobłażając mojemu temperamentowi i zachciankom. W konsekwencji moja samowola wzrastała, niekontrolowana, i jeśli coś szło nie po mojej myśli, nawet w najdrobniejszej sprawie, wybuchałam wściekłością. Mama, niania Boppy (pani Brock), kochana, sentymentalna Spath (dama dworu mamy), kochająca Feo, no i oczywiście cała służba podsycali mój upór i rozwijali we mnie przyrodzoną mi chęć postawienia na swoim. Zresztą jak miałam nie dojść do przekonania, że jestem kimś ważnym, skoro każde moje pojawienie się na widoku publicznym wzbudzało nadzwyczajne zainteresowanie. Ilekroć bawiłam się na trawnikach Kensingtonu, za ogrodzeniem zbierał się podziwiający mnie tłumek; przyglądano mi się, szeptano, bito brawo, a ja, próżne stworzenie, kłaniałam się, uśmiechałam, posyłałam całusy i jeśli tylko udało mi się wyrwać z objęć Boppy, pędziłam do nich i pozwalałam sobie okazywać uwielbienie,

do czego zresztą byli skłonni. Kochałam, by na mnie zwracano uwagę, poza tym nie byłam odpychającym dzieckiem: tłuściutka, jasnowłosa, o różowych policzkach i niebieskich oczach, zawsze rozpromieniona uśmiechem (w każdym razie dopóki udawało mi się postawić na swoim) - co najważniejsze i co bardzo interesowało moich przyszłych poddanych: podobna w każdym calu do członków dynastii hanowerskiej.
Kiedy skończyłam pięć lat, nie sposób było nade mną zapanować, nad czym mama gorzko ubolewała. Załamywała ręce i płacząc, mówiła:
- Vickelschen jest tak ausgelassenl Damy dworu ją zepsuły, a ja nie wiem, jak je powstrzymać. Brock nie umie sobie z nią poradzić, a ja mam nerwy w strzępach, kiedy ona tak krzyczy.
Wrzaski były niezwykle skutecznym narzędziem wymuszania swojej woli, trudno też było je znieść w naszych niezbyt przestronnych apartamentach. Niektóre z moich dzieci okazały się równie dolegliwie wrzaskliwe, ale w pałacu Buckingham i Windsorze można było od nich uciec dostatecznie daleko, by je zignorować. Mogę zrozumieć, dlaczego mama starała się mnie ułagodzić, choć była to ze wszech

miar niewłaściwa metoda. Wiele lat później przytoczyła pewną dającą wiele do myślenia rozmowę między nami, a byłam wtedy jeszcze naprawdę małą dziewczynką:
- Kiedy jesteś niegrzeczna, Wiktorio, sprawiasz, że obie, ja i ty, czujemy się bardzo nieszczęśliwe - powiedziała z wyrzutem.
- Nie, mamusiu - odparłam, nie namyślając się wiele i prawdopodobnie bardzo z siebie zadowolona; okropne, choć szczere dziecko - ja się nie czuję nieszczęśliwa, tylko ty.
Na szczęście dla siebie, kiedy skończyłam pięć lat, trafiłam pod zbawienną dla mnie opiekę; kogoś, kogo nie przerażał mój temperament i kto kochał mnie na tyle mądrze, aby rozumieć, że okazałaby największą nieżyczliwość, poddając się moim atakom furii. Baronowa Lehzen przybyła do nas w 1819 roku jako guwernantka Feo; ja miałam wtedy ledwie kilka miesięcy. Ponieważ Feo skończyła właśnie siedemnaście lat, nie potrzebowała dłużej guwernantki i mama, po zasięgnięciu rady wujka Leopolda, odesłała Boppy i powierzyła mnie opiece Lehzen. Był to początek kształtowania mojego charakteru. Inteligentna, wrażliwa, zasadnicza i konsekwentna Lehzen z całym poświęceniem postanowiła wychować mnie na rozumnego, pożytecznego człowieka. Na początku miała z tym wiele trudności. Awantury nie skończyły się z dnia na dzień. Niełatwo mi było wdrożyć się do lekcji i dyscypliny, często bywałam niegrzeczna i oporna. Kiedyś w przystępie furii rzuciłam w nią nożyczkami - najpierw wycelowawszy! - i mogłam ją nawet oślepić. Ale ona była zawsze opanowana, zawsze bez zarzutu, i miałam na tyle rozumu, by wkrótce zrozumieć, że choć jest wobec mnie surowa, kocha mnie bardziej i mądrzej niż ci, którzy mnie psuli. Z początku się jej nawet bałam, ale stopniowo zaczęłam ją szanować, a potem kochać; ona ze swej strony była mi całkowicie oddana i nie opuściła mnie nawet na jeden dzień przez te trzynaście lat, kiedy sprawowała obowiązki mojej guwernantki. Nie wzięła ani jednego dnia urlopu i nigdy -mimo skłonności do migren i straszliwych bólów w dole brzucha w dniach przypadłości kobiecych - nie zaniechała pełnienia swoich obowiązków z powodu choroby.

Rozdział Trzeci.
26 lutego 1900 w Windsorze.

Wypiłam wieczorną szklaneczkę whisky z wodą, żeby łatwiej zasnąć - ale jak widać nic to nie pomogło. Nasz drogi John Brown nauczył mnie pić whisky (nigdy mi nie smakowało brandy) i jestem mu za to wdzięczna. Nazywał ją wodą życia - i tym się rzeczywiście dla niego stała u kresu jego dni, biedny człowiek; wodą życia, a myślę, że i przyczyną śmierci. Na początku dodawał „spory łyk" do popołudniowej filiżanki herbaty, o czym nie wiedziałam, i dopiero po latach odkryłam, dlaczego uważałam, że jest jedyną osobą w moim otoczeniu, która umie przygotować dobrą herbatę. W Anglii działa w tej chwili niezwykle aktywnie silny ruch na rzecz absolutnej

abstynencji i wyobrażam sobie, jak zaszokowałaby czcigodnych mieszczan i ich żony wiadomość, że ich królowa popija mocne trunki. Wiedzą, jak wyjść na prowadzenie, godni szacunku przedstawiciele klasy średniej: ich moralność, gust, wyznawane przez nich zasady mają obowiązywać wszystkich. Wieszają moją podobiznę w salonach i sądzą, że jestem ich własnością; nie im mnie jednak sądzić wedle ich standardów -ani też tych, których ja ochraniam. Whisky zabiła w końcu biednego Johna, ale nie byłabym zdolna pozbawić go drugiej wielkiej miłości jego życia, nawet gdybym to rzeczywiście mogła zrobić. Ludzie są tacy, jacy są.
Jakże mi go brakuje, mojego drogiego Johna! Jego oryginalnych, podnoszących na duchu uwag, jego współczucia i uwagi dla cudzych problemów, nieważne dużych czy błahych. No i był wielkim obrazoburcą: nie uznawał innych godności ponad moją. Dzielił ludzi na królową i resztę. Jakże denerwował szlachetnie urodzonych tym niedostrzeganiem różnic, które oni uważali za święte i oczywiste! Wszyscy, poza królową, byli w jego oczach sobie równi.
Opowiedziano mi kiedyś o tym, jak wrócił do Balmoral po pobycie w Londynie i zapytany, czy miał szczęście zobaczyć wielu z możnych tego świata, przybrał nadzwyczaj wyniosłą minę i odparł łaskawym tonem: „Och, no tak. Ale ja

i królowa nie zwracaliśmy na nich uwagi". Serdecznie mnie to rozbawiło, ale nie mogło mu oczywiście zjednać mojego dworu ani tych, którzy byli czuli na punkcie swojej wyższości z powodu pochodzenia. Posłałam go kiedyś w Osborne, aby powiadomił dżentelmenów, którzy z nich zjedzą dziś ze mną obiad. Wielka była obraza, gdy wetknąwszy głowę przez drzwi sali bilardowej, obrzucił wzrokiem towarzystwo i wykrzyknął: „Ci, co są tutaj, obiadują dziś z królową!". Innym razem, kiedy przekazał mi prośbę burmistrza Portsmuth, abym zaszczyciła swoją obecnością obrady, poleciłam mu odpowiedzieć odmownie, co też uczynił, nie owijając niczego w bawełnę: „Królowa powiedziała oczywiście nie".
Często doprowadzał mnie do śmiechu, gdy otwarcie stawiając sprawy, zmuszał zadufanych do spuszczenia z tonu. Z nikogo nie szydził, nad nikogo nie chciał się wywyższyć, żywił głębokie przekonanie, że jego zadaniem jest wiernie przekazać moje rozkazy, co też starał się czynić, nie zmieniając ich. Szlachetnie urodzeni poczytywali mu to za arogancję. Poufałością nazywali to, co było całkowitym oddaniem, a zuchwalstwem brak służalczości. John pochodził ze Szkocji, służalczość nie leży w charakterze Szkotów, choć doskonale rozumieją, na czym polega służba. John mi służył, bo sprawiało mu to przyjemność, bo mnie kochał, i to z całego serca. Poświęcił mi bez reszty całe swoje życie, każdy dzień i noc, myśl i czyn, służył mi bez zastrzeżeń i tylko śmierć jedna mogła to zakończyć.
Cóż, teraz dokucza mi bezsenność i samotność; nie pozostaje mi więc nic innego, jak unieść szklaneczkę w toaście za mojego oddanego przyjaciela i kontynuować opowieść.
Śmierć taty postawiła mamę w niezwykle trudnym położeniu finansowym. Wszelkie nasze dobra zostały zabrane przez wierzycieli, nawet najniezbędniejsze sprzęty i wyposażenie. Mama, wróciwszy do Kensingtonu z Devon, stwierdziła, że nie ma mebli, zastawy stołowej, pościeli, ani jednej łyżeczki czy serwetki. Jej całkowity dochód, ustanowiony przez parlament z okazji zawarcia przez tatę małżeństwa, wynosił sześć tysięcy funtów na rok i zupełnie nie wystarczał na utrzymanie jej, dzieci i służby - a cóż dopiero na zapłacenie odsetek od sumy dwunastu tysięcy funtów, które musiała

pożyczyć, aby kupić choćby te niezbędne łyżeczki czy serwetki.
Nowy król uznał, że użyczając nam apartamentów w Kensingtonie, uczynił wszystko, co należało, i odmówił mamie przysłowiowego centa na zagospodarowanie. Gorąco pragnął doprowadzić do tego, aby mama - a zatem i ja - wróciła do Niemiec, w nadziei że żadnej z nas już więcej nie ujrzy. Nieszczęśliwa, samotna i przygnębiona mama tęskniła za Amorbachem, zastanawiała się nawet, jaki uknuć plan, aby tam wrócić, ale na przeszkodzie stały pieniądze, jak zwykle pieniądze. Gdyby jakimś cudem udało jej się zebrać ich dość na podróż, i tak nie miałaby za co spłacić długów, które tata zaciągnął w Amorbach.
Ledwie miesiąc później, w lutym 1920 roku, gdy sprawy wciąż wydawały się mamie mocno

niepewne, mój stryj, król, ciężko zachorował na zapalenie opłucnej. Przez jakiś czas obawiano się o jego życie; byłoby to zaiste najkrótsze panowanie w historii Anglii, a ponadto mała Vickelschen, jak mnie mama nazywała, stałaby się wtedy trzecią w kolejności pretendentką do angielskiego tronu. Po - a raczej mimo -kilkakrotnym puszczeniu krwi król ozdrowiał, a wuj Leopold wykorzystał okazję, aby przypomnieć mamie, jakie jest moje miejsce na drodze do sukcesji i jak usilnie tata nalegał, abym była wychowywana w Anglii. Nie powinniśmy dostarczyć żadnej wymówki tym, którzy gdy stosowna pora nadejdzie, będą chcieli mi odmówić prawa do korony, której tata tak dla mnie pragnął.

Skończyły się zatem rozmowy o Amorbach. Mama z żalem zrzekła się regencji na rzecz mojego brata Karola i spróbowała oswoić się z myślą, że Anglia ma być jej domem. Wciąż oczywiście pozostawał do rozwiązania problem pieniędzy. Wuj Leopold nie mógł znieść, aby jego siostra i jej dziecko głodowały i szczodrze ustanowił dla mamy pensję w wysokości trzech tysięcy funtów rocznie. Niestety, kiedy parlament zebrał się w lipcu, aby rozpatrzyć pensje dla członków rodziny królewskiej, oświadczono, że skoro książę Leopold wziął na siebie dostarczenie nam środków do życia, nie ma powodu, aby głosować nad zwiększeniem naszych apanaży. To prawda, cudzoziemców nigdy nie lubiano w Anglii, a Niemców nienawidzono szczególnie.

62

Anglicy, niezależnie od rangi i pochodzenia, zazdrościli wujowi Leopoldowi pięćdziesięciu tysięcy funtów rocznie, które przyznano mu po ślubie z księżną Charlottą i oburzali się na to, że nie można mu ich odebrać, choć jego żona nie żyje. Tyle porządnego angielskiego złota wsiąkało w niemiecką kieszeń! Ostatecznie to jedno mógł zrobić, uważano, uszczknąć coś z tej sumy na rzecz dziecka siostry. Mój stryj, król, tak to ujął: „Ma wuja dostatecznie bogatego, aby się nią zaopiekował. Potępiono by mnie, gdybym się zgodził na ustanowienie dla niej pensji".

Tak więc mama musiała walczyć o przeżycie z dochodem dziewięciu tysięcy funtów rocznie. Oczywiście, że nie mogło to wystarczyć; mama była księżną królewskiego rodu i musiała żyć na pewnym poziomie; miała dwie córki do wychowania; trzeba było utrzymać dwór. Muszę jednak przyznać, niezależnie od tego, jak bardzo ją kochałam, że w ogóle nie znała wartości pieniądza i nie miała najmniejszego pojęcia o finansach. Tata narobił astronomicznych długów, a ona skutecznie powiększała ich sumę i w ten sposób klepaniu biedy nie było końca. (Znacznie później dowiedziałyśmy się, że systematycznie pomniejszano nasze zasoby, tak że gdyby nawet mama żyła skromnie jak mniszka, i tak nie uniknęłaby zaciągania długów). Starała się zatem jakoś przetrwać w oczekiwaniu na dzień, gdy wstąpię na tron i wtedy wszystko samo się uładzi, a wszelkie długi zostaną popłacone. Doprawdy, trudno ją jednak tak całkowicie winić, biednego wyrzutka, bo tak ją traktowano na obczyźnie, że pożądliwie myślała o życiu, jakie będzie prowadziła, gdy już zasiądę na tronie.

W czasach mojego dzieciństwa nadzieje mamy na przemian rosły i gasły, jak przypływy i odpływy morza. W sierpniu 1820 roku zmarła księżna Yorku, a zatem stryj York mógł się powtórnie ożenić. Miał pięćdziesiąt siedem lat, cieszył się dobrym zdrowiem - nasza szczęśliwa gwiazda wyraźnie zblakła, mama czekała jak na rozżarzonych węglach. Król nalegał, wykorzystując wszelkie możliwe argumenty i swój talent przekonywania, aby stryj York się ożenił; nie byli sobie bliscy, na wiele spraw patrzyli inaczej, ale bezsprzecznie lepiej by było, gdyby na tronie zasiadł jego potomek niż dziecko znienawidzonego brata. Jednak stryj York dobitnie oświadczył,

63

że nie zamierza powtórnie zawrzeć małżeństwa i nigdy nie zmieni zdania.

Nasza szczęśliwa gwiazda zaświeciła znowu, ale tylko na cztery miesiące, bo w grudniu 1820 roku ciocia Adelajda wydała na świat dziewczynkę, wprawdzie przedwcześnie, lecz zdrową. Mama wpadła w rozpacz; to jedno, zawsze podkreślał tata, mogło pokrzyżować nasze plany; wuj Clarence w wystarczającym stopniu dowiódł swej zdolności do płodzenia potomstwa, teraz należało się spodziewać następnych dzieci. Król nie starał się oczywiście ukryć radości - nie byłam już dziedziczką tronu - i nic nie mogło bardziej o niej zaświadczyć niż jego zachowanie w czasie chrztu mojej świeżo urodzonej kuzynki. O ile mnie kategorycznie i w niezwykle szorstki sposób odmówił nadania jakiegokolwiek imienia, które można by wiązać z królewskim pochodzeniem, o tyle

księżniczka Clarence, za jego skwapliwym przyzwoleniem, została ochrzczona imionami Elżbiety i Georginy, i Adelajdy po matce.
Los odwrócił się kolejny raz w marcu 1821 roku, kiedy to moja mała kuzynka Elżbieta, księżna Clarence, zmarła w pałacu Świętego Jakuba z powodu skrętu kiszek. Znowu dziedziczyłam. Biedna, biedna ciotka Adelajda! O jej dobrym sercu i szlachetności może świadczyć to, że ledwie w dwa miesiące później przesłała mi prezent urodzinowy, wraz z bilecikiem (przechowuję go do tej pory), który zaczynał się w ten sposób: „Moje Drogie Serduszko, mam nadzieję, że jesteś zdrowa i nie zapominasz o cioci Adelajdzie, która czule cię kocha...". Rozpaczliwie tęskniła za dziećmi, a mój wuj równie niecierpliwie wyglądał jej potomstwa. No cóż, miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, wuj Clarence był pełen wigoru, król nie miał jeszcze powodów się niepokoić.
Konsekwentnie ignorował mamę i mnie, a w sierpniu 1821 roku mógł wreszcie odetchnąć: jego oddalona od łoża żona, Karolina brunszwicka, zmarła nieoczekiwanie, mógł się powtórnie ożenić, spłodzić potomka i wreszcie raz na zawsze zapomnieć o księżniczce Kentu. Nie bacząc na wiek - miał pięćdziesiąt dziewięć lat - i trapiące go coraz liczniejsze dolegliwości, ruszył w wyśmienitym nastroju w podróż do Irlandii, Hanoweru (którego również był królem), a następnie

Wiednia, skąd jak to potocznie określano: „powinien przywieźć kogoś w rodzaju księżniczki", i to jeszcze przed Bożym Narodzeniem.
Nie przywiózł. Uszkodził sobie kolano, spadłszy z konia, odezwała się również skaza moczanowa, a każdy, komu było dane zaznać związanych z nią bólów, powie, że nie sposób, cierpiąc na nią, umizgać się do dam. Przykuśtykał więc z powrotem do Anglii, odłożył na bok plany poślubienia dojrzałej do zamążpójścia, młodej, a więc i prawdopodobnie obdarzonej temperamentem księżniczki, zapadł na powrót w domowe pielesze, by wieść spokojne życie u boku swej starej przyjaciółki, lady Conyngham (lord M. nazywał ją wielce niestosownie wicekrólową, co mnie niestety szalenie bawiło. Dziwna sprawa z moim królewskim stryjem; odkąd dorósł na tyle, aby interesować się kobietami, zawsze wybierał znacznie od siebie starsze; wielka szkoda, moim zdaniem, że nie mógł poślubić pani Fitzherbert (do której był serdecznie przywiązany), być może wówczas prowadziłby bardziej przyzwoity i satysfakcjonujący go tryb życia. Znowu ów Akt o Małżeństwach Królewskich! Zapomniałam jednak, że pani Fitzherbert była wyznania rzymskokatolickiego, tak czy inaczej nie mógłby więc jej poślubić, nie zrzekając się tronu - nie wierzę, aby kiedykolwiek którykolwiek książę Walii podobną rzecz zrobił!

27 lutego 1900.

Wciąż brak wiarygodnych wieści z Ladysmith i sytuacja ta jest nad wyraz denerwująca. Widziałam Salisbury'ego; wygląda bardzo staro i sprawia wrażenie zagonionego na śmierć. Pewnie to dla niego za wiele, być premierem i ministrem spraw zagranicznych, ale komu jeszcze można by tak ufać? W każdym razie usiłuję zachowywać dobry humor i wprowadzać optymistyczny nastrój w domu, ponieważ w moim przekonaniu to niezwykle ważne w czasie wojny. Bóg jeden wie, jak jestem do tego zaprawiona! W jakim niespokojnym stuleciu przyszło mi panować!
Wizytowałam ponownie szpital wojskowy w Netley w towarzystwie Baby i Lenchen. Rozmowy z rannymi i chorymi

były doprawdy i pouczające, i wzruszające. To, co opowiadali, niekiedy rozdzierało serce, a ich lojalność i oddanie są nadzwyczaj wzruszające. Baby i ja rozmawiałyśmy z członkami zarządu na temat tego, jak pomóc tym, którzy zostali zbyt poważnie ranni, aby móc w przyszłości pracować, i o ustanowieniu funduszu dla rodzin. Szczególnie zasmuciło mnie to, że tak wielu z nich cierpi na serce z powodu nałożenia na nich zbyt ciężkich obowiązków i zbyt forsownych marszów, czego jak sądzę dałoby się uniknąć przy lepszej organizacji - choć z drugiej strony zdaję sobie sprawę, jak wyczerpujący jest afrykański klimat, i wiem, że na to nie można nic poradzić. Do żołnierzy dotarła wiadomość, że każdy z nich dostanie ode mnie w prezencie gwiazdkowym małe pudełko z moją

podobizną i tabliczką czekolady w środku. Więcej o tym mówili niż o swoich ranach; to takie charakterystyczne, tak świadczy o ich odwadze i rycerskości! Jeden z nich powiedział, że wolałby raczej stracić drugą nogę, niż tę czekoladę! Przynajmniej będę mogła się upewnić, czy czekolada rzeczywiście do nich dotrze, z czego jestem bardzo zadowolona, ponieważ w czasie wojny krymskiej często polecałam wysyłać drobne rzeczy na front, a potem dowiadywałam się, że dotarły wyłącznie do oficerów, co doprawdy nie było moją intencją.
Sądziłam, że będę bardziej zmęczona, ponieważ wizyta w szpitalu zajęła mi więcej niż sześć godzin, z czego dwie spędziłam, chodząc po oddziałach i rozmawiając z żołnierzami - to prawdziwy wyczyn w moim wieku. Szczerze się jednak zainteresowałam ich losem, tak że praktycznie nie miałam kiedy odczuć zmęczenia. Niemniej poczułam się śpiąca po obiedzie i poszłam wcześniej do łóżka, ale ledwie po dwóch godzinach snu rozbudziłam się całkowicie i wzięłam do ręki pióro, aby kontynuować moją opowieść.
W maju 1825 roku skończyłam sześć lat, co stało się powodem do wszczęcia na temat mojej sytuacji debaty w parlamencie. Premier, lord Liverpool, zaproponował, aby przyznać sześć tysięcy funtów rocznie na moje wychowanie i kształcenie i w rzadkim przypływie jednomyślności obie izby natychmiast to uchwaliły, bez ani jednego głosu sprzeciwu. Lordowie Eldon i Brougham skorzystali nawet z okazji, aby

wyrazić uznanie mojej matce za godny naśladowania sposób, w jaki mnie wychowuje, i wyobrażam sobie, jak ją to podniosło na duchu; z pewnością nie mniej niż przyznane pieniądze, ponieważ doskonale wiedziała, że niezależnie od testamentu ojca można ją pozbawić opieki nade mną, jeśli władze uznają, że ma na mnie niekorzystny wpływ. Dotychczas miała pewność co do jednego: rodzina królewska jej nienawidzi i lekceważy ją; nie miała powodu myśleć, że w parlamencie rzeczy mają się inaczej, aż tu nagle mówi się o mnie „domniemana następczyni tronu", a o niej: „oddana, godna naśladowania matka".
Cóż spowodowało tę dziwną volte-face? Myślę, że stał za tym mój królewski stryj. Jego stosunek do mnie zmieniał się stopniowo. Od czasu, gdy Elżbieta, księżna Clarence, zmarła, ciocia Adelajda tylko raz zaszła w ciążę i niestety znowu poroniła; tak więc zupełnie poważnie należało się obawiać, że ze związku tego nie narodzą się żywe dzieci. (Musiało go uderzyć - a już z pewnością ciocię Adelajdę - jaka straszliwa się za tym kryje ironia losu: wuj Clarence spłodził przecież dziesięcioro krzepkich, zdrowych Fitzclarenców. Cóż, jak mówią, niezbadane są wyroki boskie). Król i stryj York nie byli już wówczas żonaci, a zatem ja byłam trzecia w kolejności do tronu - fakt nie do podważenia, jak zardzewiałe, zapieczone wieko skrzyni.
Wiem teraz, że właśnie w tym czasie zdrowie króla pogorszyło się znacznie, co niewątpliwie musiało go skłonić do pomyślenia o sukcesji. Być może uznał, że ewentualna dziedziczka angielskiego tronu, czyli ja, znajduje się pod zbytnim wpływem Koburgów (czyli Niemców) - skoro za moje wychowanie była odpowiedzialna wyłącznie matka, a wspierał nas wuj Leopold - i powinien coś zrobić, abym w przyszłości okazała lojalność właściwej stronie. Ale lubię myśl, że odezwała się w nim lepsza strona jego natury i dlatego zaprzestał ignorowania i obrażania własnej bratanicy, chociaż była córką najbardziej znienawidzonego z braci. Nie był wyłącznie zły z natury, obojętne, co się o nim mówiło; poza tym myślę, że im częściej mnie widywał, tym trudniej mu było zaprzeczyć moim związkom z dynastią hanowerską. Nie chodziło tylko

o zewnętrzne podobieństwo. Jakkolwiek go oceniać, był królem, a tego nie zrozumie nikt, kto nie dzieli podobnego losu.
Pierwszy raz zauważyłam zmianę w jego stosunku do mnie latem 1826 roku; miałam wtedy siedem lat. Mój królewski wuj przebywał w Royal Lodge w Windsorze wraz ze swoją kochanką, lady Conyngham, jej mężem i dziećmi (cóż za dziwaczna grupa! Zastanawiam się, czy Conyngham wiedział. Ale przecież musiał!) i zaprosił mamę, Feo i mnie na parę dni do Cumberland Lodge. Można sobie wyobrazić, jak niechętnie mama udawała się z wizytą do człowieka, który przez tyle czasu odmawiał jej wszelkiej wartości, obrażał ją, nie chciał udzielić finansowego wsparcia i skazał na nudne, pozbawione rozrywek życie w rozwalającym się pałacu; zaproszenie króla jest jednak

rozkazem, odmówić zatem nie mogła. Feo i ja byłyśmy oczywiście oszołomione i podekscytowane perspektywą lepszego jedzenia, zabaw i uciech, których nie miałyśmy w domu.
Jeszcze w dniu naszego przyjazdu zabrano mnie do Royal Lodge na prezentację. (Byłam już wprawdzie raz przedstawiana na dworze, ale miałam wtedy ledwie cztery lata i nic z tego nie pamiętałam, tak więc z mojego punktu widzenia pierwszy raz miałam stanąć przed obliczem słynnego stryja). Co naturalne, byłam zdenerwowana spotkaniem z tak możną osobą, poza tym stale mi powtarzano, że muszę się spodobać, mimo to czułam ciekawość i podniecenie silniejsze niż strach. No i miało to być coś nowego, uwielbiałam nowe doznania, cieszyły mnie, bo niewiele stało się moim udziałem we wczesnych latach dzieciństwa. I jeszcze jedno: kiedy mama prowadziła mnie ku niemu, mocno ściskając moją dłoń, wiedziałam, że wszyscy zwracają na mnie uwagę, a to mi się zawsze podobało. Król siedział; nogi miał opuchnięte z powodu dny, niewielkie jak na mężczyznę jego wzrostu stopy dokuczały mu tak, że nie mógł długo stać. Miał wygląd starego, schorowanego człowieka, tak mi mówiono, ale ja pamiętam niezwykły obraz: nalana twarz ponad wysokim dławiącym kołnierzem, peruka jak księżyc w pełni uwięziony w ławicy chmur. Zawsze był dużym, wysokim mężczyzną, a wówczas już monstrualnie grubym; sztywny, ciasny gorset, zamiast modelować sylwetkę, ściskał nadmiar ciała w jednolitą bryłę,
68
co przywodziło na myśl raczej fasadę budynku niż ludzkie kształty.
A jednocześnie wydał mi się wytworny: w tych jedwabiach, biżuterii, śnieżnobiałym cienkim płótnie; wspaniale kolorowy, cudownie pachnący - jak orientalny książę z bajki. Stanęłam przed nim, przyglądając się mu z zainteresowaniem i zdumieniem; promieniował majestatem i dziwnym, olśniewającym czarem, jakby w jego wnętrzu świeciła lampa, oślepiająca i przyciągająca małe ćmy, takie jak ja. Uśmiechnął się promiennie, jakby przeznaczał ten uśmiech wyłącznie dla mnie, wyciągnął dużą tłustą rękę, połyskującą pierścieniami, i odezwał się bezpośrednim, przyjacielskim tonem:
- No jesteś. Daj mi swoją małą łapkę. Napominająca dłoń mamy nacisnęła moje ramię i pochyliłam się w ukłonie.
- Dzień dobry, Wasza Wysokość - powiedziałam, jak mnie nauczono. Ale prostując się z ukłonu, spojrzałam mu w twarz i wszelka rezerwa stopniała jak śnieg w promieniach słońca jego łaskawości. Położyłam swoją małą rękę na jego wielkiej dłoni, a kiedy zamknął ją w uścisku, zupełnie naturalnie odwzajemniłam jego uśmiech.
Wyraźnie mu się to podobało.
- Co za uśmiech! - I sam się roześmiał. - Widać wszystkie te piękne małe ząbki. Bogu dzięki, że dbasz o to, piękne zęby to największy atut kobiety, zwłaszcza kiedy wie, jak je pokazywać. No, Wiktorio, nie boisz się mnie, jak widzę. Chodź tutaj, usiądziesz mi na kolanach, co?
Wyciągnęłam ramiona, zostałam uniesiona i posadzona na pulchnym, nabitym jak wałek kolanie. Ogarnęło mnie na moment zatrwożenie, gdy poczułam, jak jest śliskie: nie miałam żadnego oparcia, a na pewno byłoby wbrew protokołowi zejść, zanim mi na to królewski majestat pozwoli. Silne, grube ramię objęło mnie w talii i poprawiło, tak abym siedziała pewnie; ramię, któremu mogłam zaufać, czułam to instynktownie. Odprężyłam się, a wuj powiedział uspokajająco:
- Tak dobrze.
Na twarzy, którą mogłam widzieć teraz z bliska, dostrzegłam makijaż, co z początku uderzyło mnie jako rzecz dziwna,
69
ale po chwili namysłu doszłam do wniosku, że raczej zabawna. Dlaczego nie potraktować twarzy jak płótna do malowania? Z natury pociągała mnie raczej niż odpychała wszelka dziwaczność; z natury też byłam nieśmiała, ale dobrze wyczuwałam, czy od innych płynie życzliwość, a tu widziałam tylko dobrotliwość bijącą z wielkiego, mocno pomalowanego oblicza. Bladoniebieskie jak chińska porcelana oczy zabłysły, zażądano ode mnie całusa, który z całego serca wycisnęłam na stryjowskim policzku. Skóra była dziwnie śliska pod moimi wargami, ale pachniała przyjemnie, jak wosk i róże; opływały mnie i inne zapachy: cytryny, cedru, lawendy, czułam się oszołomiona jak pszczoła w ogrodzie różanym. Jedwab, satyna, koronki i lawenda, oto z czego robi się króla -

pomyślałam niedorzecznie.
Zadał mi kilka pytań dotyczących lekcji i tego, co lubię, a ja odpowiadałam szczerze, bez skrępowania, co musiało mu się spodobać, bo roześmiał się raz czy dwa. A potem, zupełnie naturalnie, jakby to pytanie zwyczajnie wynikło z poprzednich, zaskoczył mnie:
- Lubisz brzoskwinie, co?
- Nie wiem, Sir, bo nigdy ich nie jadłam, ale myślę, że powinnam je polubić - odparłam roztropnie.
- Też myślę, że powinnaś, kociątko - powiedział ze śmiechem. - Dostaniesz ode mnie tyle, ile tylko będziesz mogła zjeść. Droga pani słyszy? - warknął nagle na moją matkę, stojącą z krytyczną miną.
- Niech się chociaż raz w życiu porządnie obje! A teraz - zwrócił się z powrotem do mnie - chciałbym ci coś pokazać... Mario, masz to?
Lady Conyngham podeszła i wręczyła mu przedmiot, który mi pokazał. Owalną miniaturę, oprawioną w złoto, wysadzaną wokół brzegu diamentami, przyczepioną jak order do kawałka błękitnej wstążki.
- To moja podobizna. Co o niej sądzisz? - zapytał król.
- Jest przepiękna - odparłam szczerze.
- Moje siostry mają już po jednej takiej. Noszą je na lewym ramieniu, żeby podkreślić swoje pochodzenie i sprawić mi przyjemność. To wielki zaszczyt. Zastanawiałem się, czy ci nie dać jednej. Uważasz, że na nią zasługujesz?
Wahałam się tylko chwilę.
70
- Tak, stryju - odpowiedziałam w końcu. Druga możliwa odpowiedź: „Nie, stryju", zupełnie nie przemawiała do mojej wyobraźni, a poza tym uważałam, że jest nieprawdziwa.
Król wybuchnął na to śmiechem, uszczypnął mnie w policzek i zsadził z kolan, mówiąc, że bystra ze mnie dziewczyna, ale diabelnie ciężka. Nagle wydało mi się, że jest zmęczony. Oddał miniaturę lady Conyngham i polecił jej: „Przypnij to, Mario". Lady Conyngham pochyliła się i przypięła mi wstążkę na ramieniu do mojej białej muślinowej sukienki, ale ledwie na nią spojrzałam - to król przykuwał moją uwagę. Obdarzywszy mnie honorem noszenia jego podobizny, utkwił we mnie poważne, choć życzliwe spojrzenie i miałam wrażenie, że łączy nas ze sobą coś szczególnego; coś, czego nie może dzielić z nami żadna inna osoba obecna w tym pokoju. Wybrał mnie - pomyślałam z dumą - a nie mamę. Ohydne, niewdzięczne stworzenie, byłam zadowolona, że jestem ważniejsza od niej!
Pozwolono nam odejść i matka zabrała mnie do domu. Król nie zapomniał o swojej obietnicy: wkrótce przyjechał goniec i zabrał mnie na królewskie pokoje, gdzie napchałam sobie usta przepysznymi brzoskwiniami, zgodnie z rozkazem, jaki mi wydał. Doskonale świadoma tego, że nikt mnie nie będzie śmiał powstrzymać i że ta niezwykła szansa więcej się nie powtórzy, skrupulatnie wypełniłam królewskie polecenie. Przyjemność płynącą z tego doznania pogłębiał jeszcze fakt, że moja codzienna dieta była niezwykle prosta i że moją matkę wyraźnie oburzało takie folgowanie sobie. Nigdy przedtem, a obawiam się, że i potem nic nie wydało mi się tak niezwykłe, jak te mięsiste, rozpływające się w ustach, soczyste owoce!
Ale to był dopiero początek. Następnego dnia minął nas na spacerze faeton króla. Piękny, połyskujący powozik, czarna farba błyszczała jak szkło, a ciągnęły go dwa najwspanialsze kasztany, jakie kiedykolwiek widziałam (mimo swego wieku miałam już, najwyraźniej odziedziczone po ojcu, oko do koni). Forysie nosili wspaniałe szkarłatne liberie; powoził mój stryjaszek król, odziany w piękny płaszcz z pelerynką i staroświecki kapelusz z futra bobra, a obok niego siedziała ciocia Mary Gloucester. Faeton przemknął obok nas ze świstem kół,
71
żwir spod nich odskoczył, pióra na kapeluszu mamy omiotły jej twarz. Popatrzyłam za nim tęsknym wzrokiem i jakby moje myśli miały władzę to sprawić, zatrzymał się raptownie parę kroków od nas; konie parskały jak smoki, gryząc niecierpliwie wędzidła, jakby chciały okazać niezadowolenie z niespodziewanego przystanku. Lehzen trzymała mnie za rękę i nagle poczułam, jak zaciska dłoń, jakby groziło mi niebezpieczeństwo, a kiedy uniosłam głowę i spojrzałam na nią, zobaczyłam, że ma nadzwyczaj posępną minę. Ale ciocia Gloucester kiwnęła na nas, mama ruszyła pośpiesznie ku

faetonowi i nie pozostało nam nic innego, jak pójść za nią. Kiedy doszłyśmy do boku powozu, król wychylił się zza księżnej Gloucester i krzyknął niedbale:
- Witam! Ufam, że widzę panią w dobrym zdrowiu. -Wykonał w moim kierunku gest batem. - Przypuszczam, że księżniczce spodoba się przejażdżka. Wsadźcie ją tutaj.
Przyjęłam te słowa z dreszczem ekscytacji. Mama i Lehzen wymieniły zaniepokojone spojrzenia, nie było jednak możliwe nie posłuchać króla; zostałam podniesiona, postawiłam nogę na stopniu i wdrapałam się do faetonu, wpadając prosto w ramiona cioci Gloucester. Wepchnęła mnie bezceremonialnie pomiędzy siebie i wielkie, grube ciało mego stryja, który dzisiaj pachniał skórą, wełną, perfumami, rumem; nie zdążyłam się dobrze usadowić, gdy stryj poruszył dłońmi, konie popędziły naprzód, a mnie wcisnęło w siedzenie. Trwało to okamgnienie, a jednak kątem oka zdążyłam dostrzec konsternację na twarzy mamy, którą pozostawiliśmy na drodze. Na pewno boi się, że spadnę i się zabiję - pomyślałam w swojej niewinności. - Ależ to niemądre! Przecież jestem absolutnie bezpieczna. Pędziliśmy z turkotem kół, byłam rozkosznie podekscytowana prędkością, widokiem pędzących pięknych koni, wiatrem uderzającym nam w twarze, spłoszonymi sarnami, które pierzchały w popłochu, gdy przemykaliśmy obok miejsc, gdzie się pasły. Niewiele rzeczy da się porównać z faetonem na dobrych resorach i dobrze przyuczonymi końmi, a stryjaszek król powoził znakomicie; świetnie wiedział, co zrobić, aby jego konie dały z siebie wszystko. Zwolnił do stępa, aby dać im odpocząć, dopiero kiedy ujechaliśmy spory kawałek drogi, i wtedy zaczął ze mną przyjemną pogawędkę,
72
zupełnie jakby rozmawiał z równym sobie. Nie zarzucał mnie gradem pytań, nie pouczał; zwyczajnie gawędził, jakbym była jego przyjaciółką albo rozumiała wszystko, co mówi. Było to tak przemiłe, że zanim wróciłam do matki, omal zdążyłam go pokochać. Czymże więcej jak nie uwielbieniem można darzyć mężczyznę, który kiedyś dojechał do Brighton powozem zaprzężonym w trzy konie w mniej niż pięć godzin, wliczając w to czas potrzebny na zmiany koni (rekord, którego, o ile mi wiadomo, nikt do tej pory nie poprawił)?
Cały tydzień miałam wypełniony przyjemnościami: wyprawa do Fishing Temple nad Virginia Water, gdzie wszyscy weszli na pokład statku i łowili ryby, podczas gdy inny statek z przygrywającą na nim orkiestrą krążył wokół nas; odwiedziny w królewskiej menażerii w Sandpit Gate; przyglądanie się występom trupy tyrolskich tancerzy; piknik w porze lanczu na statku płynącym po Tamizie; przejażdżka do Eaton na herbatę i ciastka w herbaciarni nad rzeką. Tyle nowego i tyle przyjemności nie zakłócanych lekcjami, to już samo w sobie było wspaniałe - ale najwspanialsze, że król wyraźnie okazywał zainteresowanie moją osobą, chciał mnie oczarować. Byłam gotowa dać się oczarować i czarować w zamian. Pewnego wieczoru zostałam po obiedzie zabrana do konserwatorium, olśniewającego różnokolorowymi światłami, aby posłuchać orkiestry. Król wezwał mnie w czasie przerwy i zapytał, jaką melodię chciałabym teraz usłyszeć.
Chociaż miałam siedem lat, umiałam szybko wyciągać wnioski.
- Jeżeli pozwolisz, stryju królu, najchętniej posłuchałabym „Boże, chroń króla" - powiedziałam.
Uśmiechnął się z aprobatą.
- Oho-ho, mały polityku, kto cię uczył pochlebstwa? -zapytał. - Cóż, zatem ją usłyszysz i będziesz siedziała przy mnie, gdy ją zagrają.
Przyjemna była świadomość, że wiem, jak go zadowolić; dało mi to poczucie własnej siły, czego jak sądzę, dzieci nie mają w nadmiarze; przyjemne było również to, że cenił sobie moją aprobatę. Zatrzymał mnie przy sobie, choć melodia
73
przebrzmiała, i korzystając z tego, że zagrano następną, zapytał, który dzień tego tygodnia sprawił mi najwięcej radości.
- Ten, kiedy pojechaliśmy na przejażdżkę faetonem - odparłam bez chwili wahania i nie była to odpowiedź podyktowana względami polityki, ale szczerością.
Popatrzył na mnie bez uśmiechu - niemal smutno - ale przecież widziałam, że znowu go zadowoliła moja odpowiedź, że mu sprawiła przyjemność.
- Mam dla ciebie podarunek - powiedział. - Wręczę go twojej matce, zanim odjedziecie. To

podwójna diamentowa bransoletka.
Nie wiedziałam, co powiedzieć, nic mi nie przychodziło na myśl. Diamenty? Byłam dzieckiem, ale dobrze już rozumiałam, co taki prezent oznacza: jego finansowa wartość miała uzmysłowić światu, jakimi względami król mnie darzy. Diamentowe bransolety nie przydają się siedmioletniemu dziecku, ale zdawałam sobie sprawę, co mi ofiarowano, i czułam wdzięczność.
- Nieczęsto bywasz na dworze - mówił dalej z poważnym wyrazem twarzy - ale to się od dzisiaj zmieni. Musimy się oboje lepiej poznać. Chcę, żeby cię widywano na dworze i żeby wszyscy zdali sobie sprawę z twojej pozycji. Jak ci się to podoba, co?
- Chciałabym cię, stryju, znowu zobaczyć - odparłam z wahaniem. Nie mogłam się uwolnić od myśli o mamie; na pewno by tego nie pochwaliła. - Żałuję, że nie mogę tu zostać na zawsze.
Cień uśmiechu przemknął po jego twarzy, pochylił głowę i ucałował mnie.
- Ty i ja należymy do tego samego rodzaju, mała Wiktorio - wyszeptał mi prosto w ucho; jego oddech mnie łaskotał. - Wiemy coś, czego oni nie wiedzą.
Z początku pomyślałam, że „oni" odnoszą się do mamy i Lehzen; potem uznałam, że miał na myśli resztę królewskiej rodziny: wujów, ciotki, kuzynów, a „coś" oznacza naszą przyjaźń. Poczułam się tą myślą upojona. Ale później, już w domu, przypominając sobie przed zaśnięciem, co powiedział, jak wyglądał - nie tylko tego wieczoru; przywoływałam ten obraz przez tygodnie i lata i doszłam do wniosku, że chodziło mu

o coś innego: że ja i on jesteśmy inni niż reszta ludzi w kraju, ponieważ obojgu nam zostało przeznaczone to samo. Pochlebiło mi to i wstrząsnęło jednocześnie, i napełniło ogromną powagą, tak jakbym poczuła, że ktoś nakłada mi na plecy niezwykle ciężkie jarzmo. Ciężar, jakiego do tej pory jeszcze na szczęście nie zaznałam, a jednak mi przeznaczony i którego nie chciałabym uniknąć, nawet gdyby to było możliwe.

28 lutego 1900.

Odwiedzili mnie dzisiaj Bertie i Alix; Bertie jak zwykle się śpieszył, ale Alix została na lunchu. Wciąż jeszcze bardzo piękna, mimo upływu lat; jest w niej teraz jakaś łagodność, dystans do świata, przez co jej osobowość zyskała nawet na wyrazie. Sprawia wrażenie osoby żyjącej w innym świecie. Mała Aleksandra, córka Alicji, również ma ten lekko zagubiony wygląd, co zauważyłam podczas jej ostatniej wizyty -z Mikołajem w 1896 roku. Ale u Aleksandry wzięło się to z pewnego stanu ducha, w jaki popadła po stracie matki. Była bezustannie paplającym, radosnym maleństwem (matka nazywała ją „słoneczkiem"), dopiero po śmierci Alicji zaczęła popadać na długie okresy w zamyślenie, a z czasem stała się, przykro mi to powiedzieć, nadmiernie religijna. Mam szacunek dla ludzi, którzy wierzą, ale zbyt głęboka żałoba, która prowadzi do „adoracji" i „kontemplacji", kiedy człowiek spędza czas przy różańcu, świecach i tak dalej, jest czymś niezdrowym i niezwykle obciążającym dla innych ludzi. Wracając do roku 1889, miałam nadzieję że poślubi Eddy'ego (zawsze ją bardzo lubiłam, tak mi przypominała Alicję; chętnie miałabym ją blisko przy sobie), ale się jej nie spodobał. Zresztą prawdopodobnie nie byłoby to udane małżeństwo. Prawdopodobnie by ją unieszczęśliwił - chociaż byłaby z niej piękna królowa.
To, że Alix robi wrażenie zagubionej, pełnej dystansu do świata, jest zwyczajnie związane z jej głuchotą, równie uciążliwą dla otoczenia jak przesadna żałoba, ale ani w części tak niebezpieczną. Inna sprawa, że wyczerpuje mnie to krzyczenie do niej. Biedna Alix nabawiła się po urodzeniu Ludwika w 1867 roku gorączki reumatycznej, co ją uczyniło przygłuchą,

a że się do tego nie przyznaje, konwersacja z nią bywa męcząca. Odpowiada na to, co jak się domyśla, zostało powiedziane i człowiek musi się zastanawiać, czy mówić dalej swoje, czy zmienić temat.
Głuchota prowadzi czasami do zabawnych sytuacji. Pamiętam, jak kiedyś w Osborne gościłam na obiedzie starego, przygłuchego admirała, który miał za zadanie wydobyć statek zatopiony w

Sandown Bay. Rozmawialiśmy o tym przez chwilę, a potem zdecydowałam się zmienić temat i zapytałam go o siostrę, moją dawną damę dworu. Na co stary żeglarz odpowiedział:
- Tak więc, pani, wyciągnęliśmy ją na plażę, przewróciliśmy na bok i w tej pozycji obejrzeliśmy dokładnie wszystkie zakamarki spodu, a teraz ją porządnie wyskrobiemy.
Myślałam, że się uduszę, powstrzymując od śmiechu! Musiałam udawać, że złapał mnie kaszel i schyliwszy głowę, przetrząsałam torebkę w poszukiwaniu chusteczki do nosa.
Po lunchu przeglądałam stare papiery, próbując znaleźć list, który chciałam pokazać Alix, i natknęłam się na sławetną relację mojej kochanej Lehzen z dnia, w którym uświadomiłam sobie, że kiedyś zostanę królową. Zgodnie z jej świadectwem zdarzyło się to jedenastego marca 1830 roku, kiedy miałam prawie jedenaście lat. Mój nauczyciel wyjechał do domu na jeden dzień, a ja zasiadłam nad „Tablicami genealogicznymi królów i królowych Anglii" Howletta, aby zacząć lekcję historii z Lehzen, i kiedy je otworzyłam, okazało się, że włożyła do środka (za zgodą mamy) stronicę z uaktualnioną tablicą genealogiczną rodziny ojca.
- Nigdy przedtem tego nie widziałam - stwierdziłam.
- Nie, księżniczko, nie sądzono, aby to było konieczne -powiedziała Lehzen.
Zaczęłam studiować tablice genealogiczne z wpisanymi ręcznie datami zgonu moich licznych zmarłych krewnych i zobaczyłam, że tylko mój wuj Clarence poprzedza mnie na drodze do tronu (wuj York już wtedy oczywiście nie żył).
- Widzę, że jestem bliżej wstąpienia na tron, niż sądziłam - zauważyłam zdumiona.
- Tak, pani - potwierdziła Lehzen, a ja, jakby dopiero

teraz w pełni dotarło do mojej świadomości znaczenie tego faktu, wybuchnęłam płaczem.
Po jakimś czasie odzyskałam panowanie nad sobą i przyglądając się znowu tablicy, powiedziałam:
- Cóż, niejedno dziecko mogłoby się zacząć tym chełpić, nie zdając sobie sprawy z trudności. Wiele wynika z tego chwały, ale i wiele odpowiedzialności. - Położyłam dłoń na jej ręce, spojrzałam na nią z przejęciem i przysięgłam: -Będę dobra!
Ta wzruszająca historia została spisana przez moją drogą guwernantkę już po zakończeniu jej służby i powrocie do Niemiec; przysłała ją mi do akceptacji, a na marginesie oryginału widnieje notka zrobiona ręką mojego najukochańszego Alberta: „Królowa doskonale pamięta okoliczności zdarzenia i potwierdza, że poczuła się nieszczęśliwa, dokonawszy tego odkrycia". Cóż, musiałam mu coś takiego powiedzieć -w istocie nigdy publicznie nie zaprzeczyłam relacji Lehzen z tego doniosłego momentu. Pozwoliłam nawet włączyć ten opis Martinowi do biografii mojego ukochanego męża jako w pełni wiarygodny i doprawdy przyjemnie się to czyta. Prawdą jest jednak to, że moja droga, sentymentalna Lehzen, osamotniona w podeszłych latach, żyjąca w nudnym odosobnieniu, oddalona ode mnie i dworu, od wszystkiego, na czym jej zależało, postanowiła znowu stać się kimś ważnym, choćby tylko we wspomnieniu. Nie twierdzę, że wymyśliła całą tę sytuację od początku do końca, ale ponieważ zupełnie jej nie pamiętam, zapala się we mnie ostrzegawcze światełko - gdyby rzeczywiście miało miejsce coś podobnego, jak opisała, musiałabym to pamiętać. Nigdy bym jednak nie przyznała się do tego Albertowi. Uwielbiałam go, mimo to nie chciałam zdemaskować przed nim Lehzen; zasługiwała na odrobinę lojalności po tych wszystkich latach, długich i gorzkich, kiedy wiernie przy mnie stała. Dałam jej więc tę chwilę triumfu jako tej, która odkryła przede mną prawdę. Tyle jej zawdzięczam.
Niemniej świadomość mojej sytuacji nie objawiła mi się jednego dnia, jak to przedstawiła. Bo jakże to byłoby możliwe? Jakże możliwe byłoby, abym dorastała, nawet w takim odosobnieniu, w jakim dorastałam, nie rozumiejąc, jaka jest

moja pozycja w rodzinie? Wiedziałam, że mój stryj jest królem. Wiedziałam, że ojciec był czwartym z kolei synem, że drugi i trzeci nie spłodzili potomstwa. I nie mogłam uczyć się historii Anglii, nie rozumiejąc reguł sukcesji. Królowa Elżbieta była moją bohaterką, a okres Tudorów obfitował w kwestie dotyczące genealogii i sukcesji - szczególnie w kwestie dotyczące sukcesji żeńskich potomków rodu.
Była poza tym służba, która od najwcześniejszych lat dzieciństwa tytułowała mnie królewską

księżniczką i Jej Królewską Mością, dygając przede mną - małym dzieckiem - i traktując mnie z szacunkiem graniczącym z czcią. Dżentelmeni uchylali przede mną kapelusza, choć nie robili tego na widok Feo, doroślejszej przecież, a właściwie niemal dorosłej; rzadko pozwalano mi się bawić z innymi dziećmi, a wtedy upominano je surowo, aby nie odzywały się do mnie po imieniu, chociaż ja mogłam się tak do nich zwracać bez przeszkód. Nie twierdzę, że w pełni byłam świadoma swego losu, ale prawdopodobnie stopniowo stawało się to dla mnie zrozumiałe; na pewno zaś rozumiałam świetnie już tamtego lata w Windsorze, co takiego dzielę ze swoim stryjem królem -to samotne, ekscytujące, przejmujące lękiem przeznaczenie, czego potwierdzenie wyczytałam w jego oczach. Jeżeli jednak Lehzen zaaranżowała okazję, aby mi to powiedzieć otwarcie - cóż bardziej prawdopodobnego, że wybuchnęłam płaczem. Co innego, gdy bezradne dziecko przeczuwa coś nieświadomie na podstawie obserwacji, a co innego gdy zostanie oficjalnie i nieodwołalnie o tym poinformowane przez niekwestionowany autorytet.
W dalszej części swojego wspomnienia Lehzen opisała, jak to przypomniała mi, że ciocia Adelajda jest jeszcze dostatecznie młoda, aby mieć dzieci, i jeśli tak się stanie, one wstąpią na tron, nie ja. Jak się tego po mnie należało spodziewać, odparłam, że gdyby rzeczywiście tak się zdarzyło, nie będę rozczarowana, ponieważ wiem, jak ciocia Adelajda kocha dzieci.
Ostatnie zdanie z pewnością jest prawdziwe - kochałam ją prawdziwie i szczerze mnie zasmucało, że nie ma dzieci. Bogu niech będą dzięki, że do niego należało osadzenie mnie na tronie; gdyby miało to ode mnie zależeć, nigdy nie znalazłabym
78
w sobie dość siły, aby wyeliminować wszystkie życia i nadzieje na mojej drodze do korony.
Ale nie czuć rozczarowania? Nie, nie! Choć sprawowanie najwyższej władzy nie zawsze było przyjemne - choć oznaczało straszliwy ciężar, nie znany innym - przenigdy nie chciałabym pełnić innej roli. Zostałam przeznaczona na królową Anglii i nie mogłabym pragnąć innego życia dla Wiktorii - taka jest prawda. Dlatego wcześniej napisałam, że nie wyobrażam sobie, aby którykolwiek książę Walii zrezygnował ze swojego miejsca w sukcesji dla poślubienia nieodpowiedniej osoby. Królowanie jest wszystkim. Tata, który posunął się tak daleko, aby zapewnić mi tron, nawet za cenę własnego życia, rozumiał to; a ja byłam nieodrodną córką swojego ojca.
Jestem zmęczona, teraz przerwę, a rano podejmę pisanie na nowo. Teraz zasnę.

1 marca 1900.

Nieźle się rozpisałam wczorajszej nocy, nie mogąc zasnąć, choć wątpię, by ktokolwiek był w stanie to odczytać. Kiedyś pisałam pięknie, lekko, swobodnie trzymając pióro w ręku, starannie wprawiana w tej sztuce przez moich nauczycieli; teraz piszę aż nadto lekko i swobodnie, i zupełnie niepięknie - umiejętności zniszczone przez pogarszający się wzrok i sztywniejące palce. Cóż, może za to nie będę się musiała kłopotać zniszczeniem tego dziennika; moje okropne starcze pismo jest lepsze niż każdy szyfr! Bezsenność jest taka kłopotliwa; zasypiam przed świtem i potem nie mogę się obudzić o swojej zwykłej porze, co znacznie skraca mi dzień. Mam tyle do zrobienia, zawsze byłam obowiązkową istotą, nie znoszę odkładania zwykłych, wykonywanych codziennie zajęć na potem. W istocie, uginając się pod ciężarem władzy, nie mam nikogo, kto by mi pomógł, i tym bardziej doceniam dobrodziejstwo poddania się stałej rutynie; jest tym, co mnie ratuje - to i zdolność przyłożenia się do pracy.
Nie była mi ona dana z natury. Większość dzieci się nią nie odznacza. To Lehzen mi ją zaszczepiła. Nie irytując się, nalegała, abym zawsze skończyła to, co zaczęłam - najcenniejsza rzecz,
79
jakiej mnie nauczyła. Moja edukacja rozpoczęła się formalnie w 1827 roku, kiedy uczyniono George'a Davysa moim nauczycielem. Był ewangelickim duchownym, ale nie z rodzaju wojujących kapłanów; nigdy nie lubiłam ewangelików, ale on był liberalnym, tolerancyjnym człowiekiem i pilnie zważał, aby nie poddawać mnie indoktrynacji. Spokojny, z gruntu dobry człowiek, który

bardzo mnie lubił i gdy wreszcie przestałam się buntować przeciwko dyscyplinie, jaką mi narzucał (samowolność zawsze była największą moją wadą), zaczęłam doceniać zalety jego charakteru. Po wstąpieniu na tron mogłam go wreszcie ku swemu zadowoleniu wynagrodzić, ułatwiając mu karierę duchowną: skłoniłam lorda Melbourne, aby uczynił go biskupem Peterborough. W 1864 roku, kiedy Davys umarł, w „The Times" pisano o nim: „Przez całe życie miał ambicję być raczej dobrym niż ważnym". Może nie najzręczniejsze epitafium, ale kto szczerze kochał Boga, nie pragnąłby innego.
Davys uczył mnie angielskiego, poezji, historii, geografii, posługiwania się globusem, łaciny, no i oczywiście Pisma Świętego i katechizmu. Nauczyciel kaligrafii, pan Steward, uczył mnie także matematyki i szybko uznał, że jestem w tej dziedzinie pojętna: zawsze miałam dobre rozeznanie w liczbach (a konsekwentnie i w finansach, co niestety nie zostało dane moim rodzicom).
Przychodzili również nauczyciele śpiewu, rysunku i tańca i lekcje te sprawiały mi przyjemność, szybko więc zaczęłam w nich celować. Nauczycielka tańca, Madame Boudin, pilnowała, abym poruszała się z wdziękiem - osobom, które mnie nie znały, zawsze to się rzucało najpierw w oczy; umiejętność ta pomogła mi również zachowywać królewską postawę pomimo mojego niskiego wzrostu. Starzałam się i tyłam, a jednak dość długo nie traciłam gracji w ruchach, dzięki Bogu!; niestety, ostatnio nie za wiele mogę wykonywać ruchów, z gracją czy bez niej. A przecież jeszcze w październiku 1891 roku mimo siedemdziesięciu dwóch lat i reumatyzmu, atakującego nogi, tańczyłam z moim drogim nieszczęsnym Liko szkocki taniec wirowy i sir Henry Ponsonby zachwycał się lekkością moich kroków, żałował nawet bardzo, że choć osiem lat ode mnie młodszy, nie jest w stanie się

tak poruszać! (Bal wydano, aby uczcić narodziny małego Maurycego, najmłodszego dziecka Beatrycze i Liko; Liko wprost uwielbiał organizować takie imprezy, zwłaszcza znienacka. Mistrz Uciech - oto kim był. Smucę się z powodu tego, co w jego osobie utraciłam równie mocno, jak boleję nad tym, co utraciła Baby. Nikt z nas, bawiących się znakomicie, ani przez chwilę nie pomyślał, jak szybko będziemy zmuszeni obywać się bez niego!).
Inna rzecz, którą zawsze podkreślano, to sposób, w jaki mówiłam: wyraźnie - jakby dźwięczał kryształ, tak to czasem określano. I ta umiejętność również przydawała mi się przez długie lata. Nie pamiętam już, kto powiedział, że mówię po angielsku jak cudzoziemka -jak rozumiem chodziło mu o to, że staranniej i wyraźniej, niżby się o to kłopotał jakikolwiek Anglik. Jestem pewna, że zawdzięczam to wczesnym lekcjom śpiewu, jakich udzielał mi John Sale. Był organistą w St Margaret w Westminsterze i dał mi solidne podstawy: ustawił mi głos, nauczył operować oddechem i starannie artykułować. Bardzo cenne umiejętności dla kogoś, kto chce, aby uważnie słuchano jego przemówień!
Myślę, że doskonałą dykcję zawdzięczam również temu, że mama była Niemką. Muszę wyraźnie w tym miejscu powiedzieć, że nieprawdą jest, jakobym mówiła w dzieciństwie w domu po niemiecku; nauczyłam się tego języka, tak jak francuskiego i włoskiego. W istocie mówiłam bardziej płynnie w tych językach niż po niemiecku i kiedy zaręczyliśmy się z Albertem, rozmawialiśmy głównie po francusku. Mama była zdecydowana wychować mnie pod każdym względem jak angielskie dziecko i wszystkie rozmowy w domu prowadzono w języku angielskim. Niemniej mama i Spath (jej dama dworu) mówiły z silnym niemieckim akcentem i podejrzewam, że z tej właśnie przyczyny dołożyły wszelkich starań, abym ja akcentowała słowa niezwykle poprawnie; gdyby były rdzennymi Angielkami, żadna z nich by się tym aż tak nie przejmowała. Nieskazitelna dykcja okazała się, jak już o tym wspomniałam, czymś nieocenionym podczas publicznych wystąpień, a także podczas rozmów z zagranicznymi dygnitarzami, którzy niezbyt dobrze mówili po angielsku. Nieodmiennie przekonywałam się, że rozumieli mnie znacznie

lepiej niż moich ministrów, którzy nie dość, że połykali spółgłoski, to jeszcze wtrącali do rozmowy potoczne wyrażenia!
Edukowano mnie zatem starannie, według określonego planu, i starałam się do tego wdrożyć, ale jak mawiał mój drogi pan Davys, grzeszyłam „nieobecnością umysłu", to znaczy pogrążałam się we

własnych myślach. Muszę powiedzieć na własną obronę, że nie wynikało to z lenistwa, ale z tego, że wychowywano mnie w szczególny sposób; byłam bardzo samotnym dzieckiem - nadzwyczaj boleśnie zdałam sobie z tego sprawę, gdy moja najukochańsza siostra Feo wyszła za mąż w lutym 1828 roku i wyjechała do Niemiec.
Zanim to się wydarzyło, wkroczyłyśmy z Feo - po krótkim szczęśliwym okresie moich wczesnych lat dziecinnych -w mroczny okres, w którym nasze życie, mój charakter -wszystko! - diametralnie się zmieniło. Po wielu latach Feo napisała do mnie: „Nie mogę się utulić w żalu nad samą sobą, kiedy wracam wspomnieniami do lat, które powinny być dla nas najszczęśliwsze. Nie móc cieszyć się przyjemnościami młodzieńczego wieku, to jeszcze nic; zostać pozbawionym wszelkich znajomości, nie żywić ani jednej wesołej myśli pośród naszej ponurej egzystencji - to doprawdy ciężkie. Jedyne szczęśliwe chwile przeżywałam w czasie przejażdżek z tobą i Lehzen; mogłam wtedy mówić i wyglądać, jak chciałam. Dzięki Bogu, że mam to za sobą! Udało mi się uciec po kilku latach uwięzienia, wychodząc za mąż, podczas gdy ty, droga, biedna siostro, musisz cierpieć dalej".
Uciekła - to słowo nie jest przesadne - w małżeństwo z przystojnym, miłym księciem Ernstem Hohenlohe-Langenburg i ze szczerym zadowoleniem mogę napisać, że byli ze sobą bardzo szczęśliwi. „Często dziękuję Bogu, że zesłał mi najdroższego Ernsta, bo gotowa byłam poślubić pierwszego lepszego, byle się tylko wyrwać".
Biedni jak kościelne myszy żyli w odosobnieniu w Langenburgu, przygnębiającym, zniszczonym zamku, w którego wielkich pustych pokojach i chłodnych korytarzach odbijało się echo. Smutno pomyśleć o ślicznej, pełnej życia Feo wiodącej przerażająco oszczędną egzystencję, pozbawioną tańców, zabawy, pięknych sukien. A jednak, choć nękani całe życie brakiem pieniędzy, kochali się szczerze i śmierć Ernsta

w czerwcu 1860 roku pogrążyła ją w ciężkiej żałobie. Mieli pięcioro dzieci i z wielką radością i satysfakcją przyjęłam niedawno wiadomość, że wnuk Feo, Ernest, poślubi moją wnuczkę Sandrę (córkę Affiego).
Nędzne życie, jakie wiodłyśmy w Kensington - pisała Feo w swoim liście - nie było najstraszniejsze, gdy się pomyśli o błędnym, niemal niewłaściwym, postępowaniu naszej matki, ku któremu skłaniała ją Pewna Osoba".
Nie ma co omijać tego imienia. Muszę o nim pisać, skoro ma to być moja prywatna opowieść. Wymień go, Wiktorio! Mefistofeles naszego domu - demon zła mojej matki - mój prześladowca - burzyciel spokoju naszego domu - człowiek, który zniszczył niewinną szczęśliwość moich lat dziecinnych. Niegodziwiec, który sprawił, że oddaliłam się od własnej matki i nie mogłam utrzymywać właściwych kontaktów z moim stryjaszkiem królem, i ze stryjem Clarence.
John Conroy! Wreszcie go wymieniłam i dziwię się, że papier zniósł z przysłowiową cierpliwością wypisanie na nim tych dwóch słów!

1 marca 1900 - później.

Dobre wiadomości, na które czekaliśmy, wreszcie nadeszły, i to potwierdzone telegraficznie przez Bullera, który doniósł z Ladysmith, że Burowie znikli jak mgła rozproszona przez słońce. Ludzie po oblężeniu nie są w najlepszej kondycji, głodni, wielu choruje po diecie złożonej z mięsa własnych koni i mułów, a żołnierzy White'a należy wykurować, zanim będą zdolni do dalszego udziału w kampanii - niemniej ulga jest powszechna, a nasza wdzięczność i radość nie do opisania. W niedzielę zostanie odprawiona msza dziękczynna; poleciłam dziekanowi wybrać jakiś radosny hymn, wszyscy potrzebujemy pokrzepienia po tygodniach troski. Napłynęły setki telegramów z wyrazami solidarności od ludzi wszelkiego stanu. Jadę do Londynu, objechać jego ulice, aby dotrzeć do pałacu Buckingham, gdzie obie Izby mają mi zgotować na podwórzu serdeczną owację. Z powodu tych ekscytujących wydarzeń muszę na jakiś czas zarzucić prowadzenie prywatnego dziennika.

Rozdział Czwarty.
10 marca 1900 w Windsorze.

Odbyłam dwie oficjalne wizyty do stolicy, w czwartek do Blackfriars, a wczoraj jeździłam po ulicach zachodniego Londynu; tłum zgromadzony na trasie obu przejazdów był zdumiewająco liczny, chyba nawet mój Diamentowy Jubileusz nie zgromadził takich rzeszy. Tyle lojalności i przywiązania, to musi wzruszyć. Dano mi wielki, wspaniały przywilej: mogłam zyskać sobie oddanie milionów ludzi.

Jedyną niedogodnością, jakiej doznałam w czasie jazdy, było to, że koń idący truchtem za moim powozem podrzucał bezustannie głową i pryskał na mnie śliną. Przypomniało mi to jazdę do St Paul w czasie obchodów Diamentowego Jubileuszu: lord Dundonald jechał konno tuż za mną i pokrzykiwał: „Spokojnie, staruszko! Tylko się nie denerwuj, staruszko!". Odwróciłam głowę, aby go spiorunować wzrokiem, i dopiero wtedy dotarło do mnie, że zwraca się w ten sposób do swojej rozbrykanej klaczy, nie do mnie.

Przyjemność ostatnich dni mąci mi jednak rozczarowanie: nie pojadę tej wiosny na południe. Po długich, ciemnych dniach zimy każda kosteczka we mnie domaga się słońca, zmysły tęsknią za czystymi barwami kwiatów, zapachem sosny! Po raz pierwszy od czternastu lat nie wyjadę; Francuzi zachowują się jednak tak niegodziwie, wspierają Burów w walce z naszym, jak to uparli się nazywać, jarzmem. Nie ma dnia, by nie zachowali się wobec Anglii obelżywie, nawet mnie nie oszczędzają ich gazety, z tego też powodu, a także ponieważ wojna wciąż się toczy i do zapanowania spokoju daleko, nie byłoby mądrze ani bezpiecznie wyjeżdżać za granicę. Najbardziej zasmuca mnie to, że miałam spotkać się z moją kochaną Vicky w Bordighera, a skoro tak się rzeczy mają, nie zobaczę jej w ogóle. Błagałam ją, aby jeśli tylko może przyjechała w odwiedziny do Anglii. Gdyby pokonywała niewielkie odległości na raz, mogłoby to się udać, chociaż czasem nękają ją tak potworne bóle, że nie jest w stanie podnieść się z łóżka. Lekarze nie mogą znaleźć ich przyczyny

i mogłaby przyjechać chociaż z tego powodu, że dałaby się zbadać naszym porządnym angielskim lekarzom. Mam nadzieję, że uda mi się ją tu ściągnąć. Jestem bardzo zaniepokojona jej zdrowiem. Zamiast więc na południe Francji, udam się czwartego kwietnia z krótką wizytą do Irlandii - pierwszą po wielu latach. To był wyłącznie mój pomysł; chciałam w ten sposób podziękować Irlandczykom za wspaniałą służbę w południowej Afryce. Mam nadzieję, że moja wizyta uczyni wiele dobrego i sprawi im satysfakcję. Mam też nadzieję dobrze się bawić!

Prawie nie sypiam z podniecenia, podejmę więc zarzucony wątek mojego opowiadania. Przyszedł moment na opowiedzenie o Conroyu.

John Conroy był koniuszym ojca. Rówieśnik mamy, wysoki, trudno byłoby powiedzieć, że nieurodziwy, ale miał ten chytry, nieuczciwy, zadowolony z siebie wygląd, jak pies, który zakradł się do spiżarni, a potem łasi do pana, udając śmiertelnie głodnego. Nie był pozbawiony rozumu, za to skrupułów tak. Pozornie pełen wdzięku, miał na wskroś pospolity umysł; potrafił udawać dżentelmena, gdy mu to było wygodne, ale przeczyło temu zbyt poufałe zachowanie, zwłaszcza w towarzystwie kobiet (do których żywił głęboką, choć starannie skrywaną pogardę).

Jego rodzina pochodziła z Irlandii, obrał więc, jak wielu Irlandczyków, karierę wojskową. Dostał przydział do artylerii konnej, gdzie szybko awansował, jak sądzę raczej dlatego, że umiał obchodzić się z końmi, niż był dobrym oficerem; dzięki szczęśliwemu trafowi i biegłości wysłowienia zawarł korzystny mariaż z córką generała majora Fishera, starego przyjaciela ojca, jeszcze z czasów, gdy służyli razem w Kanadzie. Z tego też powodu Conroy szukał protekcji ojca po śmierci Fishera w 1814 roku. Przez wzgląd na pamięć przyjaciela tata usiłował zyskać dla niego nominację, ale bezskutecznie; włączył więc wielkodusznie Conroya do własnego dworu jako koniuszego w roku 1817. Fatalna decyzja! Gdyby tata wiedział, co z niej wyniknie, przeszyłby go raczej szpadą, niż

zatrudnił!
Conroy był chciwym, zachłannym, ambitnym, samolubnym
85
człowiekiem, wówczas całkowicie zubożałym, z sześciorgiem dzieci na utrzymaniu; jego prywatne dochody z posiadłości w Irlandii nie przekraczały stu funtów rocznie. Kiedy tata zmarł w 1820 roku, Conroy musiał mniemać, że wraz z nim zgasły dla niego wszelka nadzieja na sławę i widoki na przyszłość; co gorsze jednak śmierć ta pozbawiała go środków do życia. Był z nami wtedy w Sidmouth i nie czekał oczywiście ani chwili z ofiarowaniem mamie swych usług w nadziei, że w zamian zyska dla siebie i rodziny namiastkę domu. Sądzę, że traktował to jako chwilową przystań, ale kiedy mama, rozpaczliwie poszukująca w swoim osieroceniu jakiegoś męskiego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć, zaproponowała mu, aby został zarządcą dworu, zaczął pewnie wnikliwiej rozważać, jakież to możliwości otwierają mu się na wyciągnięcie ręki. Mama była w niełasce u rodziny zmarłego męża, zdana wyłącznie na siebie i zupełnie nie znała się na interesach. Nieśmiała i łatwowierna z natury, wątpiąca w swoje możliwości, łatwo dała mu się zdominować; była też całkowicie lojalna wobec tych, których raz obdarzyła zaufaniem, tym bardziej więc łatwo przyszło mu ją okpić. Była też - i to z pewnością czyniło ją w oczach Conroya najbardziej godną uwagi -jedyną opiekunką dziecka, które pewnego dnia mogło zostać królową Anglii.
Szybko uczynił się niezbędnym; podejmował wszystkie decyzje i zapewniał mamę, że o nic nie powinna się martwić -mogła być tylko za to wdzięczna, zwłaszcza że zapewnienie składał mężczyzna i czynił to z wielką pewnością siebie. „Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Jego energia i możliwości są niewyczerpane" - pisała w liście do babci w Koburgu.
Kiedy moja ciotka, księżniczka Zofia, zamieszkała w Kensingtonie w sąsiadujących z naszymi apartamentach, Conroy znalazł sposób, aby wkraść się także w jej łaski. Księżniczka Zofia i Conroy rozumieli się wkrótce jak przysłowiowe łyse konie; polubiła go tak bardzo, że również uczyniła go swoim zarządcą, a w 1827 roku zaczęła prosić króla, aby go odznaczył. Król bardzo lubił Zofię, miał też słabość do awanturników i „sympatycznych łajdaków", tak więc uczynił Conroya Kawalerem Orderu. Nie był to znowu taki wielki honor, ale i tak w żadnym stopniu na niego nie zasługiwał; jako sir
86
John Conroy mógł się cieszyć poważaniem, równie niezasłużonym.
Conroy założył sobie, że zyska całkowitą kontrolę nad mamą, przejąwszy jej obowiązki, wydzielając jej środki finansowe, separując ją od reszty królewskiej rodziny. Przez nią chciał oczywiście zyskać całkowitą kontrolę nade mną. Królów szybko uznaje się za dojrzałych, już w wieku osiemnastu lat; niemniej moi wujowie byli dość starzy i nie najlepszego zdrowia i w miarę jak stawało się coraz bardziej pewne, że zasiądę na tronie, jednocześnie wzrastało prawdopodobieństwo, że nie odziedziczę go jako pełnoletnia, a to oznaczało regencję. Sir John miał pewność, że w takim wypadku jedyną regentką zostanie mama, a zatem on, za jej pośrednictwem, prawdziwym królem Anglii. Rozmyślanie o władzy i bogactwie, które mu wtedy przypadną w udziale, musiało w istocie czasem czynić go chorym z ekscytacji!
Jeśli ktokolwiek miał pokrzyżować Conroyowi plany, to nie kto inny, jak wuj Leopold; nie dość, że rodzony brat matki, jeszcze łożył na jej utrzymanie. Dla matki miał uczucia braterskie, dla mnie żywił ojcowskie; odwiedzał nas w Kensingtonie co środę po południu i były to dla mnie najmilsze chwile tygodnia. Jaki był dla mnie miły, jaki czuły! Czekałam z nosem przyciśniętym do szyby, żeby tylko nie przegapić, kiedy przyjedzie, i natychmiast biegłam wpaść mu w ramiona. Rozjaśniał nasze ponure apartamenty jak egzotyczny rajski ptak - bo trzeba powiedzieć, że miał dość ekscentryczną powierzchowność: umalowany, w peruce, pachnący perfumami, w kolorowych jedwabnych ubraniach, butach na wysokich obcasach, a za nim ciągnęły się długie boa z piór. Zapraszał nas do swojej wiejskiej posiadłości w Claremont, niedaleko Esher, gdzie mogłam zaznać odrobiny luksusu i gdzie czułam się wolna jak nigdy w domu. W Clermont nie było lekcji, za to dużo rozrywek, mama w znakomitym humorze, a Conroy, oddalony do pomieszczeń dla służby, nic nas nie obchodził. Te wizyty stanowią dla mnie i Feo jedne z jaśniejszych wspomnień z dzieciństwa. „Zawsze wyjeżdżałam z Clermont do Kensington, tonąc we łzach" - napisała później

Feo. Nie tylko ona.
Wuj Leopold był inteligentny i wiele wiedział, na nieszczęście
87
mama nie bardzo za nim przepadała, choć była mu oczywiście wdzięczna za pomoc finansową i opiekę. Po śmierci księżnej Charlotty stał się, jak to mówią Szkoci „sztywniakiem". Choć miał bystry umysł, mówił wolno i poważnie, długo się zastanawiał, zanim podjął decyzję, co mamę straszliwie nudziło. (Księżniczka Zofia nazywała go Monsieur Peu a Peu). Udzielał mamie zawsze sensownych rad, które właśnie dlatego były jej niemiłe. Conroy, dla odmiany, niezmiennie tryskał optymizmem, wynikającym z niekompetencji, roztaczał przed nią przesadne nadzieje i obiecywał gruszki na wierzbie; ponętna wizja dla kogoś, kto nie miał najmniejszego pojęcia o ekonomii. Conroy nie zaniedbywał oczywiście żadnej okazji, aby nastawiać mamę przeciwko wujowi Leopoldowi, i w końcu nie tylko, że uważała go za męczącego ponuraka, ale przestała mu ufać i zaczęła traktować z podejrzliwością. Na dobitek akurat wtedy, gdy Conroy zaczął wprowadzać w życie swój plan, mający odizolować mamę od wszelkich innych wpływów poza jego własnym, wuj Leopold zniknął ze sceny. Zmęczyło go życie w bezczynności, które wiódł jako osoba całkowicie prywatna, dżentelmen, pozostający na pensji rządu brytyjskiego (którego członkowie bynajmniej nie skrywali swoich uprzedzeń wobec niego ani niezadowolenia z faktu, że Anglicy muszą go utrzymywać). Chciał, aby wreszcie przydały się na coś jego rozliczne umiejętności; okazja taka nadarzyła się w 1829 roku, kiedy zaoferowano mu tron Grecji, która właśnie oddzieliła się od Turcji. Pociągała go ta oferta niezmiernie, ale parlament i król zdecydowanie się sprzeciwili, tak więc zrezygnował; nie zrezygnował jednak w 1830 roku, kiedy Belgia w wyniku rewolucji belgijskiej odłączyła się od Holandii i jako niepodległe państwo powołała go na tron. Porzucił Anglię dla Brukseli w lipcu 1831 roku i zniknął z mojego życia na cztery lata.
Dla Belgów był wspaniałym królem: rozumiejącym ich, liberalnym i sprawiedliwym; nigdy też nie żałowali swego wyboru; dla mnie jednak powołanie go na tron oznaczało katastrofę. Mama nigdy nie uległaby tak całkowicie urokowi Conroya, gdyby wuj Leopold czuwał w pobliżu i mógł na nią wpłynąć; a ja nie musiałabym cierpieć tych wszystkich
88
lat niedoli. Pozbawiona zaraz po narodzeniu w wyniku splotu nieszczęśliwych wydarzeń miłości ojca, zostałam odsunięta od matki w wyniku przemyślanego działania niegodziwego człowieka - Conroya - i nigdy, przenigdy mu tego nie wybaczę.
Plan Conroya zakładał, jak już pisałam, odizolowanie nas od wszelkich wpływów poza jego własnym; zamierzał stworzyć coś na kształt osobnego dworu w Kensingtonie (jak to określiła pani Arbuthnot, przyjaciółka Wellingtona: conroyalski dwór), do którego wyłącznie on dobierałby dworzan. W tym celu musiał oczywiście odseparować nas od prawdziwego dworu, co stało się dla niego rzeczywiście palącą koniecznością w momencie, gdy mój stryjaszek król zaczął mi okazywać zainteresowanie. Conroy grał na obawach mojej matki, twierdząc, że król chce mnie jej odebrać. Prawdopodobnie było w tym ziarno prawdy: mój stryjaszek król chciał, żebym nauczyła się żyć na dworze i poznała lepiej krewnych ze strony ojca. Conroy zdołał przekonać moją matkę, że uknuto spisek, aby mnie zamordować.
Wymyślił, że skoro król nienawidził ojca, musi nienawidzić również mnie i dlatego pragnie, aby stryj Cumberland (który miał już wówczas dziedzica) wstąpił po nim na tron. Mamę wuj Cumberland lekko przerażał, a to z powodu wybuchowego temperamentu i złowróżbnej fizjonomii (zawdzięczał swój istotnie nieco złowieszczy wygląd bliźnie biegnącej przez twarz; nieważne, że zyskał ją, sprawując się chwalebnie w ogniu walki), a także reputacji skończonego niegodziwca (jak myślę w dużej części niezasłużonej). Mama oczywiście uwierzyła we wszystko, co jej Conroy powiedział. Twierdził on mianowicie, że wuj Cumberland zamierza z początku osłabić mnie, tak aby wszyscy myśleli, że jestem niezbyt zdrowym dzieckiem z natury, a to przekupując służbę, aby dodawała mikroskopijne dozy trucizny do mojego pożywienia. Stryj Cumberland rozpuści następnie pogłoski o złym stanie mojego zdrowia, a stryjaszek król w stosownym momencie zabierze mnie od mamy na dwór i nikt się nie zdziwi, jeśli po paru tygodniach umrę.
Biedna, roztrzęsiona mama uwierzyła we wszystko i zdała się całkowicie na rady Conroya.

Pozbawiła mnie wszelkiego
89
kontaktu z krewnymi, odrzucała konsekwentnie zaproszenia na dwór, nie pozwalała na niczyje odwiedziny, chyba że Conroy je akceptował. Aby uchronić mnie przed morderstwem, nigdy nie zostawiano mnie samej; czy to w dzień, czy w nocy miałam przy sobie mamę, Lehzen albo jakąś zaufaną osobę. Aby uchronić mnie przed otruciem, kosztowano przeznaczonego dla mnie jedzenia; aby nie wydarzyło się zabójstwo a la Amy Robsard nie pozwalano mi samej chodzić po schodach; ktoś zawsze musiał trzymać mnie za rękę. Jeśli już ktoś mnie odwiedził, zawsze byłam nadzorowana; nigdy nie pozwalano mi się bawić z żadnym dzieckiem, z wyjątkiem córki Conroya, Victoire. Była moją rówieśnicą i przyprowadzano ją raz czy dwa w tygodniu; miałam się z nią bawić, a nie znosiłam jej serdecznie. Była marionetką w ręku ojca, przypominała go z wyglądu, a powtarzając mu wszystko, co powiedziałam, narażała mnie na kłopoty z nim i z mamą.
Tak właśnie wyglądało moje życie - jakże ponurą, nienaturalną egzystencję wiodłam! Żadnych rozrywek, gości, dzieci w moim wieku, baraszkowania, dokazywania, głośnych śmiechów, jakichkolwiek radosnych dziecięcych zabaw. Tyle czasu spędzałam z dorosłymi, że właściwie nie wiedziałam, czy sama nie jestem dorosła. Już samo to było okropne, a do tego jeszcze nigdy nie zostawiono mnie w spokoju, żebym mogła choćby poczytać, pomarzyć, choć przez chwilę nie czuć się obserwowana - przez chwilę zaznać swobody myślenia i czucia, co mi się podoba. Cóż za gorzka ironia losu, być tak samotną i nigdy samą! Jakże tęskniłam za tym, aby pozostawiono mnie samej sobie, abym uwolniła się od natręctwa tego człowieka!
Nie sposób opisać, jakie lekceważenie mi okazywał, jak upokarzał! Z natury brutalny, popędliwy, zadowolony z siebie, chełpliwy osobnik o przykrym dla ucha, donośnym głosie; rodzaj człowieka, który szuka słabych lub czułych stron innych, aby ich nękać okrutnymi uwagami, a potem wyszydzać ich zdenerwowanie. „Co, nie umiesz poznać się na żarcie? Znowu łzy, ty ciamajdo? Cóż za głuptas!". Był jak chłopiec, uwielbiający wyrywać skrzydła muchom i patrzeć ze śmiechem, jak pełzną bezradnie. Siła i władza oznaczały dla niego prawo do nękania i upokarzania innych, aby w ten
90
sposób okazać im swoją wyższość. Pomysł, aby użyć władzy do okazania pomocy potrzebującym, z pewnością nigdy nie zagościł w jego głowie.
Och, jakżeż mnie unieszczęśliwił! Byłam dumnym dzieckiem, a on deptał moją dumę bezlitośnie. Wyśmiewał mój wygląd, zawsze byłam czuła na tym punkcie; wyszydzał niewysoki wzrost, cofnięty podbródek, sterczący nos. Obrażał mnie, ponieważ uważałam, że należy ostrożnie wydawać pieniądze (zupełnie przeciwnie niż on!) i robił aluzje do babci, królowej Charlotty, którą uważano za szczególnie skąpą. Zawsze pocieszałam się myślą, że może nie jestem za ładna, ale to kontrybucja na rzecz płynącej w moich żyłach królewskiej krwi, gdyż skupiłam w sobie wszystkie cechy rodzinne z linii ojca. Jakimś cudem odkrył to i stale powtarzał, że jestem łudząco podobna do wujka Gloucester, najmniej sympatycznego z rodziny i nie najbardziej rozgarniętego. Wymyślał dowcipy mające świadczyć o mojej głupocie, aż wielu ludzi, złudzonych jego pozycją, uwierzyło, że jestem umysłowo opóźniona, niezdolna wziąć odpowiedzialności nawet za samą siebie, a co dopiero za kraj.
Ale to on był głupi. Miał zamiar, powodując mną, rządzić Anglią, a nie rozumiał, że ilekroć ze mnie szydzi, znęca się nade mną czy bawi wątpliwymi dowcipami na mój temat, wbija sobie kolejny gwóźdź do trumny. Czy naprawdę myślał, że gdy zostanę królową, okażę mu wdzięczność i przywiązanie i zatrzymam go przy sobie jako moją prawą rękę? Widział we mnie bezradne dziecko, a ponieważ mógł kontrolować moje życie, myślał, że tym samym kontroluje mnie. Silna wola była wrodzoną cechą mojego charakteru; silna wola, cechująca całą dynastię hanowerską, a wszelkie objawy lekceważenia z jego strony, wszelkie okrucieństwo jeszcze ją umacniało. Nie znosiłam, by mną rządzono, a gdy ktoś chciał pokrzyżować moje plany, tylko mnie w nich umacniał. Jakkolwiek nędzną uczynił moją egzystencję, a odznaczał się w tym zakresie nieludzką zaiste pomysłowością, nie był w stanie niczym złamać mego ducha,
Conroy brał moją pozorną uległość za dobrą monetę. Gdybym mogła się do kogokolwiek zwrócić,

nie zachowywałabym pozorów uległości; ale nie miałam. Mamę owinął sobie dokoła
91
palca, a im bardziej stawało się dla mnie oczywiste, że ma jej przyzwolenie na traktowanie mnie w ten właśnie sposób, tym większą zyskiwałam pewność, że mnie nie kocha; że nie może mnie kochać. Nie miała cienia wątpliwości co do tego, jak nienawidzę Conroya, ale też nigdy nie wątpiła, że to on ma rację, a nienawiść, którą do niego powzięłam, jest bezrozumna i wynika z wad mojego charakteru. W końcu zaczęłam ją z nim utożsamiać, myśleć „oni", a skoro nienawidziłam jego, znienawidziłam i ją.
Ach, jakie gorzkie słowa! A jednak prawdziwe. Mój świat zamieszkiwali ci, którzy byli z nim związani, i ci, którzy nie byli; jedyny podział, jaki uznawałam to „oni" i „my". Do „nich" zaliczałam oczywiście matkę, mojego brata, Karola, który sam hulaka, podziwiał buńczuczność Conroya, i księżniczkę Zofię, którą Conroy owładnął całkowicie, tak że zwracała się do niego cher ami i ochoczo donosiła, co słychać u króla i księstwa Clarence.
Nasz obóz został po wyjeździe Feo zredukowany do Lehzen i baronowej Spath, damy dworu mojej matki, a wkrótce uszczuplony jeszcze bardziej. Conroy nie był oczywiście wrażliwym mężczyzną, ale dostatecznie spostrzegawczym, zwłaszcza gdy chodziło o jego własny interes. Spath i Lehzen kochały mnie, więc jego nie darzyły uwielbieniem; musiały zatem odejść.
Pierwszy sukces odniósł jesienią 1829 roku, kiedy mama oddaliła baronową Spath. Nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób Conroyowi udało sieją do tego skłonić; Spath była z nią przez dwadzieścia pięć lat: w ciągu wszystkich żałosnych lat pierwszego małżeństwa i gdy mama pierwszy raz owdowiała, i gdy fortuna obróciła się na lepsze w czasie drugiego małżeństwa. Spath przepłynęła razem z mamą kanał La Manche, cierpiąc tortury z powodu choroby morskiej, asystowała przy porodzie w Kensingtonie, opiekowała się nią w czasie ostatniej, śmiertelnej choroby taty. A potem trwała przy mamie, choć często brakowało na jej pensję, i odważnie dzieliła z nią trudy życia na obczyźnie. Nie była błyskotliwie inteligentna, ale oddana, dobra, miła i absolutnie lojalna; sługa i przyjaciel.
Teraz ta dobra dusza miała zostać zwolniona ze służby, bo
92
jak ogłoszono, jest z krwi i kości Niemką, a księżna Kentu pragnęłaby się otoczyć dobrze urodzonymi angielskimi damami. Pozorność tej wymówki aż nadto biła w oczy i jasno wskazywała na jej autora. Conroy nigdy w życiu nie darzył nikogo przywiązaniem, nie mógł więc przewidzieć, że podobne oświadczenie zabrzmi dość niezwykle.
Zostało przyjęte na dworze ze zdumieniem i wywołało falę spekulacji - tak daleko posuniętych, że zaskoczony Conroy pośpieszył motać dalsze, równie nieprzekonujące tłumaczenia: maniery Spath nie przystają do przyjętych w angielskim towarzystwie; zachowuje się w sposób, jaki nie przystaje damie dworu; przyjmuje zbyt wielu gości; za dużo mówi; psuje księżniczkę Wiktorię bezkrytyczną adoracją; krytykuje metody wychowawcze księżnej Kentu.
Jedynie to ostatnie miało pewne znamiona prawdy. Spath popełniła błąd, jawnie okazując niechęć Conroyowi, głośno wyrażając oburzenie z powodu sposobu, w jaki mnie traktował, krytykując atmosferę, jaką wprowadzał - wyrażał się o niej bez szacunku i nalegał, by jego żonie przyznać pierwszeństwo przed Spath i Lehzen, choć obie były baronessami. Co więcej, Spath zgrzeszyła ciężko, złajawszy raz czy drugi Victoire Conroy za zuchwalstwo i impertynencję. Jednym słowem, stało się jasne, że nie należy do obozu Conroya - taka była jej prawdziwa wina.
Jej zwolnienie wywołało skandal. Nikt nie wierzył, aby mama oddaliła bliską towarzyszkę z powodów, które podano, powstały więc plotki, że Spath musiała odejść, ponieważ stała się świadkiem „poufałości" między mamą i Conroyem. W społeczeństwie ówczesnym normy moralne były tak rozluźnione, że jego członkowie nie wierzyli, aby mężczyzna i kobieta mogli żyć pod jednym dachem i nie mieć ze sobą do czynienia, zatem mama i Conroy musieli być kochankami. Niegodziwe pomówienie, ale z pewnością dotkliwie uraziło uczucia mamy, ponieważ była kobietą nieskazitelnego prowadzenia; uwielbiała Conroya, to pewne, i prawdopodobnie była z nim do granic nieroztropności poufała, ale nigdy, ale to nigdy, nie zachowałaby się niewłaściwie. Niemniej, muszę to powiedzieć: wyrządziła krzywdę Spath i z pewnością nie przeszkodziłaby

Conroyowi rozdzielić
93
mnie również z Lehzen; na szczęście to ona była sprytniejsza od niego. Chciał się jej pozbyć, ponieważ żyła na stopie przyjacielskiej ze Spath i już choćby z tego powodu nie mógł jej ufać, ale ona szybko zrozumiała, jak się rzeczy mają, i wystrzegała się, aby nie dać mu pretekstu; ukrywała też starannie swoją nienawiść do niego, postarała się natomiast zdobyć aprobatę mojego stryjaszka króla i stryja Clarence'a. Kiedy dano do zrozumienia, że mama zamierza oddalić Lehzen, król również dał do zrozumienia, iż absolutnie sobie tego nie życzy.
Biedna Spath odjeżdżała z zaczerwienionymi oczami, zdezorientowana, aby znaleźć przystań u Feo w Langerburgu, gdzie spędziła jeszcze wiele lat jako dama do towarzystwa, i prawdopodobnie nigdy nie zrozumiała, dlaczego odprawiono ją tak bezceremonialnie po tylu latach wiernej służby.
Lehzen i ja przylgnęłyśmy po tym do siebie jeszcze bardziej, jak ptaki zbijające się zimą w gromadkę, aby przeżyć. Nie omawiałyśmy ani incydentu ze Spath, ani tego ostatniego -Lezhen uważała, że byłoby to wysoce niewłaściwe - ale i tak zdawałam sobie sprawę, co się dzieje i byłam przerażona. Feo i wuj Leopold zniknęli z mojego życia, mama wzięła stronę Conroya, jedyną osobą na świecie, na której mogłam polegać, była Lehzen i moje serce wezbrało gniewem i oburzeniem na próbę pozbawienia mnie mojej jedynej ostoi.
Wiedziałam, kogo obwiniać; w milczeniu podziwiałam opanowanie Lehzen w obecności Conroya i bezskutecznie próbowałam ją naśladować. Stawała się niemal niewidzialna, gdy był w pobliżu, jak ropucha udająca kamień. Odzywała się, by powiedzieć „tak" lub „nie", rzadko coś więcej; nic nie zdradzało, jak go nienawidzi, chyba tylko nieznacznie zaciśnięte wargi i iskry w oczach, gdy wreszcie zostawiał nas same. Byłam jeszcze zbyt młoda i prostolinijna, aby udać akceptację, ale nauczyłam się przynajmniej nie dawać mu tej satysfakcji, że mnie rani, i przybierać, całkowicie wbrew mojej naturze, ponurą, pozbawioną wyrazu minę.
Powoli, dzień po dniu, budowałam mur między sobą i nim, a w konsekwencji między sobą i matką. To ciężkie doświadczenie dla dziecka źle sądzić o matce; gorzko pomyśleć, że zostało się zmuszonym do przeżycia czegoś takiego. Zostawia
94
to głęboką ranę i choć później pokochałam mamę, mogłam cieszyć się właściwą matce i córce ciepłą, intymną bliskością, wciąż noszę blizny po latach wypaczania mojej natury w Kensingtonie.
Zwolnienie Spath miało jeszcze jedną, jak się później okazało, wielce nieszczęsną konsekwencję. Ciocia Adelajda, po części z własnej inicjatywy, a po części za namową króla, napisała do mamy list, otwarcie ostrzegając ją przed Conroyem.
„Cała rodzina jest zdania, że nie powinnaś pozwalać sir J. C. tak sobą kierować, lecz uzmysłowić mu, gdzie jego miejsce. Nigdy dotąd nie obracał się w dobrych sferach, więc zrozumiałe, że wykracza poza tradycyjnie przyjęte normy postępowania, ponieważ po prostu ich nie zna. W rodzinie zauważono, że coraz bardziej odsuwasz od nas swoje dziecko. Przypisuje się to wpływowi Conroya, słusznie czy nie, trudno mi powiedzieć; w każdym razie sprawia to takie wrażenie, jakby chciał odsunąć wszystkich, którzy mogliby zmniejszyć jego wpływy, po to by je wyłącznie samodzielnie wywierać i by pewnego dnia zebrać tego owoce. Nie powinnaś mu pozwalać na to, aby bronił dostępu do ciebie wszystkim prócz własnej rodziny, bo pozycja jej członków nie jest dostatecznie wysoka, aby mogli służyć za wyłączne towarzystwo przyszłej królowej Anglii".
I tak dalej. Mama musiała zmartwieć, czytając ten list; co do Conroya, musiał osłupieć, zdawszy sobie sprawę, że to, co uważał za sekretny plan, jest doskonale czytelne nawet dla tak prostolinijnej kobiety jak ciocia Adelajda. Podyktował mamie odpowiedź, przepełnioną złością i butą, jak mniemam, ponieważ boleśnie uraziła ciocię Adelajdę. Stryj Clarence uwielbiał żonę; widząc, jak jest rozstrojona, wpadł we wściekłość na mamę i Conroya. Od tej pory zaczęła się prawdziwa wojna między dwoma obozami.
Wszystko to zdarzyło się w bardzo niefortunnych okolicznościach, ponieważ mój stryjaszek król stopniowo tracił siły, nękany licznymi dolegliwościami i ledwie pięć miesięcy później, dwudziestego szóstego czerwca 1830 roku, zmarł, a stryj Clarence został królem Wilhelmem IV. Ciocia Adelajda, co

widać nawet po jej liście, straciła już nadzieję na urodzenie dziecka, mój stryj był zatem jedyną żyjącą osobą, która dzieliła mnie od tronu. Przyszedł czas na to, abym zajęła swoje miejsce na dworze, poznała jego mechanizmy i moich przyszłych dworzan; mój rubaszny, dobrotliwy stryj i łagodna, pobożna ciocia byliby z tego całym sercem szczęśliwi i przyjęliby mnie jak własną córkę; Conroy nie mógł oczywiście za żadną cenę do tego dopuścić: uważał, że bliski jest dzień, gdy otrzyma wyższą nagrodę za swoje usługi.

12 marca 1900.

„Upłynęły ledwie trzy dni od jego śmierci, gdy stało się powszechnie wiadome, że tracąc jego osobę, Anglia nie poniosła żadnej straty" - tak napisał o moim stryju, królu Jerzym IV, Greville. Być królem oznacza akceptować niekoniecznie przyjemny fakt, że jest się traktowanym jak własność publiczna; czy się chce, czy nie, trzeba się pogodzić z nie zawsze sprawiedliwą krytyką własnej osoby i obrażaniem krewnych, których się kocha lub kochało. Stryjaszek król był dla mnie dobry i bardzo płakałam, kiedy umarł. Najcieplejsze słowa na jego temat spłynęły, o dziwo, spod pióra Francuza, Talleyranda, który określił go un roi grand seigneur - „Poza nim nie ma już żadnego". I to była prawda. Jerzy IV otaczał się luksusem, był ostentacyjnie ekstrawagancki, żył wystawnie - zupełnie jak orientalny despota; ale też w jego czasach tego właśnie oczekiwano po królach. Czasy się zmieniają, nasz wiek jest bardziej krytyczny i pragmatyczny niż wiek osiemnasty. Jeśli monarchia miała przetrwać, musiała zmienić swoje oblicze i udowodnić swoją wartość.
Nowy król, stryj Wilhelm, był dobrotliwym, uprzejmym starym dżentelmenem o donośnym, stentorowym głosie, życzliwie usposobionym do wszystkich. Pasował do nowych czasów, ponieważ nie znosił pompy, ceremoniału, wykwintnych ubrań, „fatałaszków" i francuskiej kuchni. Uwielbiał żonę, przepadał za swoją gromadką dzieci z nieprawego łoża i pozwalał im się wykorzystywać; nic nie sprawiało mu większej przyjemności jak spokojnie spędzony wieczór w zaciszu domowym z ciocią Adelajdą siedzącą u jego boku z robótką na

drutach; jak drzemka przed kominkiem po zjedzeniu niewyszukanego obiadu. Wysoki, tęgi, miał jasnoniebieskie oczy linii hanowerskiej, a w jego wyglądzie nie było nic szczególnego, prócz może kształtu czaszki, z powodu której zyskał w czasach służby w marynarce przydomek Ananasa. Zupełnie nie liczył na to, że zostanie królem i trwało to trochę, zanim przyzwyczaił się do swojej pozycji. Kiedyś, w pierwszych dniach panowania, wymknął się z pałacu Świętego Jakuba i udał na przechadzkę po ulicach Londynu, jak to miał w zwyczaju robić jako książę Clarence. Został oczywiście wkrótce rozpoznany, spory tłumek podekscytowanych londyńczyków ciągnął za nim, wiwatując hałaśliwie, a jego jak zwykle przyjacielskie zachowanie podsycało nastrój. Kiedy został ucałowany w policzek przez rozradowaną prostytutkę, stojącą na chodniku przed White Club, zgorszone kierownictwo klubu wypadło gremialnie na ulicę i odprowadziło swego władcę z powrotem do pałacu, gdzie dwór, oszalały z ulgi, usiłował go przekonać, że królowie nie mogą ot tak, po prostu, wykradać się na samotne spacerki po Londynie.
Stryj Wilhelm nie rozumiał, o co im chodzi i skąd tyle zamieszania.
- Przecież to nie ma najmniejszego sensu - powiedział, machając ręką do hałaśliwego, radosnego tłumu, okupującego ulicę w nadziei na uczestnictwo w następnej przechadzce. -Przejdę się jeszcze parę razy, przyzwyczają się i nie będą na mnie zwracali najmniejszej uwagi.
Ostatecznie odwołano się do cioci Adelajdy, która nadzwyczaj poważnym tonem powiedziała mu, że nie powinien więcej podobnej rzeczy robić. Zwiesiwszy głowę, oświadczył potulnie:
- Skoro ty tak uważasz, kochanie...
Uwielbiam tę opowieść! Cały stryj Wilhelm, taki jak go pamiętam. Chociaż nie myślał, że zostanie królem, kiedy już to się stało, postawił sobie za punkt honoru dobrze wypełniać swoje obowiązki. Był niezwykle obowiązkowy (mogę z zadowoleniem stwierdzić, że to nasza wspólna cecha) i zwykł

metodycznie załatwiać kolejne sprawy. Książę wyrażał się o nim z uznaniem: wuj wstawał wcześnie, pracował długo, nie zostawiając niczego nie załatwionego na następny dzień,
97
a gdy zapoznawano go ze sprawą, której nie rozumiał, zadawał pytania, dopóki rzeczywiście nie pojął, o co chodzi. „Czym w sposób zasadniczy różnił się od swego poprzednika - powiedział kiedyś Książę (oczywiście nie do mnie) -który pod żadnym pozorem nie przyznałby się do niewiedzy na jakikolwiek temat". Książę przekonał się ponadto, że król Wilhelm był w stanie uporać się w ciągu dziesięciu minut ze sprawami, które zmarłemu królowi zajmowały czasem dziesięć dni; szczególne wrażenie wywarło na nim to, jak stryj Wilhelm uporał się z górą nie załatwionych za poprzedniego panowania spraw, włączając w to podpisanie jakichś czterech tysięcy dokumentów, które Jerzy IV odłożył „na później". Sir Herbert Taylor, sekretarz nowego króla, powiedział, że stryj siedział do późna przez kilka nocy, podpisując dokumenty, aż skurcz złapał biedne artretyczne stare palce, bo jak powiedział, chciał nadgonić pracę i wszystko idealnie uporządkować.
Nie wiadomo kiedy zaczęły się rodzić nieprzyjemne i krzywdzące pogłoski, że stryj Wilhelm jest głupcem - trudno o bardziej niesprawiedliwą ocenę, choć oczywiście nie można się było spodziewać, że jego rubaszne i nacechowane prostotą maniery zjednają mu przesadnie wyrafinowane wyższe klasy - i zatwardziałym reakcjonistą - co również nie było prawdą. Miał, owszem, silne poczucie tego, co się należy Koronie, ale jednocześnie żywił przekonanie, że obowiązuje go lojalność wobec ministrów, skoro ma ich po to, by mu doradzali. Kiedy rząd uświadomił mu, że konieczna jest reforma zasad wybierania posłów do parlamentu, zaakceptował ją i choć zupełnie nie była po jego myśli, konsekwentnie wspierał lorda Greya, aż w końcu Izba Lordów ją uchwaliła - ku wielkiemu zresztą rozczarowaniu cioci Adelajdy, wielkiej przeciwniczki tych zmian.
Chodzi oczywiście o reformę z 1832 roku, która stała się początkiem procesu zmian, kontynuowanych przeze mnie w ciągu całego panowania, a nie sądzę, by na tym, co dotychczas zrobiono, się skończyło. Prawa wyborcze rozszerzono na kolejne klasy społeczne dwukrotnie - w 1867 i ponownie w 1884 roku. Jestem całym sercem za przyznaniem praw wyborczych uczciwym, ciężko pracującym, przyzwoitym ludziom
98
jak mój nieoceniony John Brown, ale dzisiaj prowadzi się agitację na rzecz przyznania prawa głosu wszystkim mężczyznom, którzy ukończyli dwadzieścia jeden lat, niezależnie od tego, jak wiele czy niewiele wnoszą do ogólnego dobrobytu państwa. Zawsze wydawało mi się, że prawo do głosowania powinno być przywilejem, na który trzeba sobie zasłużyć, a nie prawem wynikającym z faktu, że się zwyczajnie przyszło na świat. Cóż, Bogu niech będą dzięki, że już nie ja będę musiała rozwiązywać ten problem. Bertie, tak się spodziewam, będzie z tym walczył (jest zdecydowanie gorzej ode mnie nastawiony do demokracji; zachowuję to dla siebie, ale myślę, że marzą mu się rządy absolutne, jak za starych czasów!). Inna sprawa, że powszechne prawo wyborcze w końcu zostanie uchwalone. Długie lata pełnienia władzy królewskiej nauczyły mnie, że pewne rzeczy zdarzają się nieuchronnie, nie dlatego że ktoś ich szczególnie pragnie, ale dlatego że koło historii tak się toczy.
Ale odbiegam od tematu. Nowy król nie zdążył jeszcze na dobre zacząć sprawować władzy, gdy Conroy huknął powitalną salwą. Napisał list, który mama podpisała i wysłała do Księcia z żądaniem, aby został przedłożony nowemu królowi: powinno zostać ogłoszone, że jestem domniemaną następczynią tronu, a mama ustanowiona uchwałą parlamentu regentką; szlachetnie urodzona dama, najlepiej księżna, powinna zostać ustanowiona moją oficjalną guwernantką, aby podkreślić moją pozycję; mama powinna otrzymać tytuł Księżnej Wdowy Walii (do czego nie miała najmniejszego prawa rościć sobie pretensji!) i stosowne do jej pozycji apanaże. Żadne dodatkowe sumy nie powinny natomiast zostać przyznane księżniczce Wiktorii, pisał Conroy bezwstydnie; dopóki nie osiągnie pełnoletności, dla jej własnego dobra wskazane jest, aby wszelkimi sprawami księżniczki zajmowała się jej matka.
Książę, zmrożony bezczelnością listu, odmówił przedłożenia go królowi. Zgadując

prawdopodobnie, kto był jego rzeczywistym autorem, powiedział mamie, traktując to jako rodzaj ostrzeżenia, że nie ujawni jego treści osobom postronnym i potraktuje jako całkowicie prywatny i poufny. Sprawy księżnej Kentu i jej znamienitej córki będą przedmiotem obrad na następnej sesji parlamentu, a oficjalny tok postępowania
99
jest znacznie właściwszy niż przedłożenie żądań bezpośrednio przez mamę.
W odpowiedzi Książę otrzymał kolejny ostry list: mama musi nalegać na regencję, choć zupełnie jej to nie pociąga, wyłącznie ze względu na dobro córki; gdyby nie przedstawiła swojego poglądu na tę sprawę, prawdopodobnie nie zapytano by jej o zdanie, gdyż do tej pory nie ceniono go sobie na dworze. Książę odpowiedział, że w całym kraju nie znalazłaby się ani jedna osoba, która chciałaby zaszkodzić jej czy też księżniczki interesom, i usilnie ją prosi, aby „nie dała sobie nikomu wmówić, że jest inaczej". Ta oczywista aluzja do Conroya rozsierdziła mamę, która uważała go za swego jedynego prawdziwego przyjaciela. Nie rozumiała, dlaczego inni go nie doceniają i próbują ją przeciwko niemu nastawiać. Przez długi czas po tym wszystkim odmawiała przyjmowania Księcia i nie chciała z nim rozmawiać.
Conroy nie miał zresztą powodów do zmartwienia. Kiedy w listopadzie 1830 roku poddano pod obrady parlamentu kwestię regencji, jednogłośnie uchwalono, że powinna przejść na mamę. Na mocy precedensu następny w kolejności dziedzic tronu miał prawo uzyskać tytuł regenta; w moim przypadku był to stryj Cumberland. Obawiano się go i nienawidzono powszechnie na dworze i poza nim, szybko też poszukano pretekstu, aby odmówić mu prawa do regencji. Tron Hanoweru, złączonego z Anglią unią personalną od czasów Jerzego I, nie mógł mi przypaść, ponieważ w Hanowerze obowiązywało prawo, na mocy którego mogli na nim zasiadać wyłącznie męscy potomkowie. Dlatego też po śmierci stryja Wilhelma unia się rozpadnie, a królem Hanoweru zostanie stryj Cumberland. Było oczywiście absolutnie niemożliwe, aby zagraniczny władca sprawował rządy za królową Anglii, dlatego pominięto stryja Cumberlanda, a mamę, ku powszechnej uldze, ogłoszono jedyną regentką.
Umocnieni tym sukcesem mama i Conroy zajęli się działaniami mającymi przysporzyć im prestiżu, a także nękaniem i obrażaniem króla i królowej przy każdej nadarzającej się okazji. Odizolowana w pokojach lekcyjnych, nie byłam świadkiem tych poczynań, niemniej miałam świadomość, że nie widuję stryja Wilhelma i cioci Adelajdy tak często, jak bym chciała.
100
Kochali mnie, więc starali się ignorować wiele obraźliwych poczynań Conroya, niestety, na dobitek złego mama wydała wojnę, i to nie na swoich, a na ich salonach, kuzynom Fitzclarence. Stryj Wilhelm był czułym ojcem, a skoro ciocia Adelajda zaakceptowała jego bcitards całym sercem i traktowała jak domowników, nie widział powodu, aby moja matka miała coś przeciwko temu. Ale ona nie chciała tego faktu zaakceptować; nawet spotykając ich pod dachem króla, ignorowała ich lub wyszydzała. Biedny stryj Wilhelm! Gdy zostałam królową, postawiłam sobie za punkt honoru okazać im przyjaźń, potwierdzając ich miejsce na dworze i utrzymując wypłacane im pensje - było już oczywiście za późno, aby naprawić coś wobec stryja Wilhelma.
Potyczki między dworem a pałacem Kensington trwały bez przerwy i choć nigdy nie doszło do otwartej wojny, wystarczająco komplikowały życie. To i bezustanne szykany Conroya podkopały w końcu moje zdrowie i w okresie dojrzewania cierpiałam na nawracające bóle głowy, pleców, dolegliwości wątrobiane, bezsenność - wszystko z powodu żałosnego i nienormalnego życia, jakie prowadziłam, tego jestem pewna.
Zdarzały się przerwy w monotonnej rutynie, tym chętniej przeze mnie witane, że nieczęste. Mama i Conroy chcieli zaprezentować mnie w towarzystwie, byłam więc sprowadzana po schodach do salonu, aby dygać przed gośćmi, gdy wydawano uroczysty obiad. Były poza tym zaproszenia na dworskie uroczystości, których matka nie mogła za mnie odrzucić -jak bal, wydany przez króla w maju 1833 roku, aby uczcić moje czternaste urodziny.
Otwierałam ten bal (jak wszystkie następne w kolejnych latach) z kuzynem George, księciem Cambridge. Zabawna historia z tym moim kuzynem - byliśmy w tym samym wieku i wielu ludzi zakładało, że się kiedyś pobierzemy. Mogło się to wydawać całkiem niezłym rozwiązaniem,

zwłaszcza dla krewnych ze strony ojca; zwłaszcza cioci Adelajdzie podobał się ten pomysł, ponieważ George był jej szczególnym ulubieńcem. Dla nas obojga była to nienawistna idea. Nigdy oczywiście na ten temat nie rozmawialiśmy; cała rzecz pozostała w sferze domysłów i oczekiwań; ale ilekroć się spotykaliśmy,
101
na balu czy z innych okazji, zachowywaliśmy się chłodno i z dystansem i zwracaliśmy do siebie z lodowatą grzecznością, aby raz na zawsze dać wszystkim obserwującym do zrozumienia, że nie ma mowy o żadnym zakochiwaniu się. Gorąco wierzyłam w to, że go szczerze nie znoszę, jest głupi i brzydki; on żywił wobec mnie podobne przekonanie. Ale gdy zaręczyłam się z Albertem i nic już nam obojgu od siebie nie groziło, nasze wzajemne stosunki natychmiast się zmieniły, stwierdziłam, że jest przemiły i zaczęłam za nim wręcz przepadać. Niezły wyrósł z niego hulaka, toteż posłano go do armii, aby trzymać z daleka od pokus, ale nic to nie pomogło i w wieku dwudziestu ośmiu lat poślubił aktorkę, Ludwikę Fairbrother. Był to oczywiście szokujący mesalliance i w dużej mierze przyczynił się do śmierci jego ojca, a mojego stryja; niemniej zawarł to małżeństwo z miłości i w efekcie się ustatkował. Szczerze oddany pani Fitzgeorge, bo pod tym nazwiskiem była znana, miał z nią trzech synów, a jej śmierć w 1890 roku kompletnie go załamała.
Rok moich czternastych urodzin, 1833, upamiętnił się dla mnie również tym, że pozwolono mi wziąć sobie spaniela, Dasha, którego John Conroy podarował matce parę miesięcy przedtem. Każde dziecko potrzebuje kogoś, kogo mogłoby obdarzać pieszczotami i choć kochałam Lehzen, trochę się jej również obawiałam. Nie była wylewna, nie pozwalała również, abym jej dotykała; uważała, że byłoby to wysoce niewłaściwe. Tak więc mały Dashy odbierał moje pocałunki i pieszczoty. Uwielbiałam go i nie było na świecie lepszego i wierniejszego psa. Podarowanie go to jedyne, za co kiedykolwiek mogłabym być wdzięczna Johnowi Conroyowi. Dash towarzyszył mi od roku 1833 - umarł w roku, w którym narodziła się Vicky; piękny pomnik z marmuru stoi na jego grobie, tu, w ogrodach Windsoru.

14 marca 1900 - dochodzi północ.

Głosy, głosy... Napływają do mnie, kiedy zamykam oczy, słabe, jakby dobiegające z oddali - jak szelest suchych liści, miotanych wiatrem po chodniku.
Króla - natężony, jakby miał stale przemawiać na otwartym
102
powietrzu, coś w rodzaju stłumionego grzmotu, z głoskami ściąganymi staroświecką manierą, czego już się prawie nie słyszy: „Ha! Nic się nie martw, złotko! Może i prosty ze mnie człowiek, stary morski wyjadacz, i tyle, ale widzę, co trzeba, i dobrze wiem, co się wyrabia pod moim bokiem!".
Mamy - przytłumiony, leciutko świszczący, z intonacją wznoszącą się na końcu każdego zdania, jakby każde było zakończone pytajnikiem; nawet gdy mówiła o czymś z głębokim przekonaniem, brzmiało to, jakby się wahała, jakby wypowiadała zdania wbrew swej woli: „So, Fiktorio, moja kochana, nie jestem na ciebie sła, nie pofinnaś tak myśleć, chcę ci tylko usmysłowić, ze źle robisz? Fiesz, jak jesteś samofolna i uparta? Mama wie lepiej, co tla ciebie dobre, nicht? Nie rosumiesz tak topsze jak ja, czego tfoja pozycja fymaga?
Conroya - głośny, zawadiacki, z lekkim irlandzkim akcentem, jakbyś dodał skwaśniałego mleka do herbaty, i pobrzmiewającą w nim irytacją, jakby miała w każdej chwili wybuchnąć: „Nie ma nic gorszego niż młoda osoba płci żeńskiej, która kwestionuje opinie tych, którzy chcą jej dobra. Jest to rzecz, której nie cierpię! Nie zaznałem tego od własnych córek i powiem ci, księżniczko, ilekroć to się zdarza, mam ochotę natychmiast to ukrócić!".
I jeszcze jeden głos, znajomy od lata 1834 roku - cierpki głos lady Flory Hastings, starszej córki Marquessa; inteligentnej, bystrej dwudziestodziewięcioletniej kobiety, eleganckiej i niebrzydkiej, ale obdarzonej raczej męską psychiką i o usposobieniu skwaszonym świadomością tego faktu. Przybyła jako dama dworu matki, ale szybko zrozumiałam, że przyjęto ją, aby rozpocząć nową

batalię o pozbawienie mnie mojej jedynej ostoi, mojej drogiej Lehzen, i poddanie całkowitej kontroli Conroya. Wkrótce nasze przejażdżki z Lehzen stały się jedynymi jaśniejszymi punktami w mrokach mojej egzystencji; były to jedyne chwile, kiedy mogłam zaznać wytchnienia od burzliwej atmosfery naszego domu. Lady Flora, zgodnie z poleceniem mamy, bez przerwy z nami przesiadywała, niepożądana trzecia osoba, wnosząca chłód i sztywność w moje stosunki z Lehzen, ponieważ od razu zrozumiałyśmy, że przychodzi nas szpiegować. Między nią i Conroyem
103
szybko nawiązała się nić porozumienia, darzyli się też wzajemnym szacunkiem, graniczącym niemal z uwielbieniem. Była niezwykle ambitna, a w Conroyu odkryła tę cechę w jeszcze silniejszym natężeniu, on z kolei podziwiał ją za to, że była mu tak użytecznym narzędziem do wypełnienia jego zamysłów. Niemal gotów zapomnieć jej to, że jest kobietą, odnosił się do niej mniej obcesowo niż do innych; co nie znaczy, że zarzucił swą zwykłą bezceremonialność, która cechowała jego stosunek do kobiet, niemniej nie okazywał jej tak wyraźnie swojej męskiej wyższości.
Lehzen i ja nauczyłyśmy się trzymać przy niej języki na wodzy, ponieważ przekazywała Conroyowi każde nasze słowo, ale i tak nie mogłyśmy powstrzymać tego niewątpliwie bystrego, a zarazem pokrętnego umysłu od przypisywania rozmaitych znaczeń najbardziej niewinnym zdaniom. Lady Flora okazywała Lehzen niespotykaną oschłość i pogardę, obliczone na obrzydzenie jej życia do tego stopnia, by dobrowolnie zrezygnowała ze służby. Chybione zamiary, ponieważ Lehzen zdążyła się już opancerzyć przeciwko zniewagom, doznając ich tak długo od Conroya - tyle że ja wtedy o tym nie wiedziałam. Toteż bałam się bardzo i nienawidziłam lady Flory: szczerze, gorzko i bezradnie.
Tymczasem w kampanii przeciwko mnie szykował się znaczący zwrot taktyczny: latem 1835 roku Conroy uświadomił mamie, że gdy skończę siedemnaście lat, nie będę potrzebowała guwernantki. Moja guwernantka z urzędu, księżna Northumberland, wielce rozczarowała Conroya i to już od momentu, gdy ją powołano do pełnienia tej funkcji w roku 1832. Wyobrażał sobie, że będzie figurantką, jej nazwisko posłuży mu do potwierdzenia statusu domu, tymczasem ona objawiła niewygodne dla niego zainteresowanie moim samopoczuciem i wykłócała się o złagodzenie reżimu, w jakim mnie wychowywano. Księżnę i Lehzen będzie można odesłać, powiedział Conroy, ja będę dotrzymywać towarzystwa matce, dostanę pokojową i damę dworu - lady Florę Hastings. (Byłam zbyt dorosła na guwernantkę, ale nie dość na to, żeby sama sobie dobrać świtę!).
Podobne ustalenia musiał zaaprobować król, ale nie mogłam o tym wiedzieć, przewrotnie i złośliwie od niego odsuwana;
104
on i ciocia Adelajda lubili i cenili Lehzen; dopóki była w stanie znosić dyskomfort i upokorzenia związane z jej pozycją w naszym domu, mogła w nim z woli króla pozostać. Izolowana i utrzymywana w nieświadomości, przeżywałam tego roku katusze, zdając sobie sprawę z coraz to nowych działań podejmowanych w kampanii na rzecz pozbawienia mnie Lehzen. Opancerzałam się coraz bardziej, a Lehzen stawała się coraz bardziej ponura, ale nigdy nie rozmawiałyśmy na temat tego, co się dzieje. Do udręk i rozterek szesnastolatki doszedł paniczny lęk; tłumiłam wszystkie te uczucia w sobie, znajdowały ujście wyłącznie w snach i wybuchach płaczu, na które pozwalałam sobie, leżąc w ciemnościach w łóżku, gdy mama już spała.
W takich okolicznościach, trzydziestego lipca 1835 roku, nadszedł dzień mojej konfirmacji. Uklękłam przed arcybiskupem Canterbury w Kaplicy Królewskiej Świętego Jakuba, ubrana w koronkową białą suknię i biały czepek z krepy, ozdobiony wianuszkiem róż. Mój drogi nauczyciel, pan Davys, służył do mszy, a ja próbowałam skupić myśli na tej ważnej, uroczystej ceremonii, do której mnie przez dłuższy czas przygotowywał. Powinna to być radosna, przeniknięta duchowym skupieniem uroczystość, ale znajdowałam się w stanie skrajnego nerwowego wyczerpania i tak się nie stało. Stryj Wilhelm poprowadził mnie do kaplicy, a kiedy poczuł przez grube sukno rękawa, jak drży moja ręka, poklepał mnie po niej uspokajająco swoją dużą, suchą, ciepłą dłonią o zgrubiałych stawach. W chwilę potem dojrzał niestety wśród świty matki Johna Conroya i rycząc donośnie, jak podrażniony lew, nakazał mu opuścić kaplicę.

Conroy wyszedł, rzucając na stryja posępne, złe spojrzenie, które nie wróżyło mi niczego dobrego. Kiedy kilka minut później arcybiskup zwrócił się do mnie, mówiąc o czekających mnie w przyszłości odpowiedzialnych obowiązkach, niepowstrzymane łzy pociekły mi po policzkach. Moje obawy wkrótce się potwierdziły: ledwie wróciliśmy do pałacu Kensington, mama wręczyła mi długi list - ulubiony przez rodzinę Koburgów sposób przekazywania ważnych acz nieprzyjemnych porad. Przeczytałam go, zmożona płaczem: mój stosunek do Lehzen musi się zmienić, pisała mama. Wkraczam w okres
105
życia, który przyniesie mi wiele zmian i dlatego muszę się nauczyć utrzymywać stosowny dystans od mojej świty. Powinnam powierzać swoje sprawy przede wszystkim matce, która jest mi szczerze oddana, a tego, co i ile mi poświęciła, nie sposób zmierzyć. Powinnam pamiętać, że powierzono mnie opiece właśnie kochającej matki i oddano pod jej nadzór, dopóki nie osiągnę pełnoletności, to jest wieku osiemnastu lub dwudziestu jeden lat.
Szlochałam, czytając te słowa i jeszcze długi czas potem. Chcieli mnie rozdzielić z Lehzen. Tata opuścił mnie niemal w dniu narodzin; mama porzuciła dla Johna Conroya. Feo wyjechała, by wyjść za mąż; wuj Leopold, by zostać królem Belgów. Biedną Spath, która kochała mnie „niemądrze i za bardzo", ukarano za to i odesłano. Stryjaszek król nie żył, nie pozwalano mi widywać stryjka Wilhelma i cioci Adelajdy; nie pozwalano mieć żadnych przyjaciół oprócz córek Conroya, które donosiły mu na mnie. Mogłam ufać wyłącznie Lehzen, która była ze mną od początku, która nigdy mnie nie zawiodła. Byłam więźniem; dzieliła ze mną dobrowolnie więzienie i stanowiła mi tarczę przed najgorszym ze strony moich strażników. Bez niej bym nie przeżyła.
A teraz jeszcze dodali do tego następny pomysł: w liście mama poruszyła kwestię mojej pełnoletności. Królowie są uważani za pełnoletnich w wieku osiemnastu lat; mama sugerowała dwadzieścia jeden. Marzyłam o wolności, którą osiągnę za dwa lata, a teraz miano wydłużyć okres mojego skazania? Właśnie myśl o tych trzech dodatkowych latach żałosnego życia złamała tego dnia moją odporność i przywiodła mnie do wybuchu płaczu z bezradności.

15 marca 1900.

Bóg zna swoje owieczki i nigdy nie zsyła na nie więcej, niżby mogły znieść. W tych najczarniejszych godzinach pomoc nadeszła w postaci wujka Leopolda, który po czterech latach, we wrześniu 1835 roku, przyjechał odbyć pierwszą wizytę w Anglii. Mama i ja przebywałyśmy na wakacjach w Ramsgate, gdzie wuj nas odwiedził wraz ze swoją nową młodą żoną, księżną Ludwiką orleańską, córką króla Francji,
106
Ludwika Filipa. Była ładna, wesoła, żywego temperamentu, życzliwa ludziom. Pokochałam ją od pierwszego momentu; objęła mnie na powitanie, ucałowała i wykrzyknęła:
- To absurdalne, żebyś miała mówić na mnie ciociu, skoro jestem ledwie siedem lat od ciebie starsza! Jeśli chcesz, traktuj mnie jak starszą siostrę, na pewno obie będziemy się czuły swobodniej!
Kochana Ludwika! Jak łatwo było się czuć przy niej swobodnie! Roztropna z natury, umiała jednak zachować radosny entuzjazm właściwy szesnastolatkom, choć przecież w kwietniu urodziła drugie dziecko, syna. Radośnie roześmiana, rozmowna, okazywała zainteresowanie wszystkim, co robiłam, podziwiała moje rysunki i grała ze mną w warcaby po obiedzie. Kiedy nieśmiało wyraziłam podziw dla jej wykwintnych toalet (była najlepiej ubraną, najbardziej elegancką kobietą, jaką znałam), wzięła mnie do swojego pokoju i pozwoliła przejrzeć swoją garderobę i poprzymierzać ubrania.
Żadna normalnie wychowywana dziewczyna nie jest w stanie zrozumieć, w jaki stan oszołomienia wprawiło mnie to zainteresowanie moją osobą. Nikt nigdy nie rozmawiał ze mną o sukniach - nie miałam przyjaciółek, a mojej drogiej Lehzen stroje specjalnie nie interesowały - a co dopiero z przyjemnością i ożywieniem. Ciocia Ludwika gawędziła ze mną jak z równą, strzepywała swoje przepiękne paryskie suknie, przykładała je do mojego ciała, rozważając, która do mnie pasuje i w

co się powinnam ubierać, żeby wyglądać najlepiej.
- Teraz ta, z białej mory... ależ oczywiście, masz piersi, które w niej widać. Moje są niestety takie małe, jak u dziewczynki. Wygląda na tobie znacznie lepiej niż na mnie. Masz takie piękne ramiona, moja droga, powinnaś je koniecznie pokazywać. I popatrz, ta róża z jedwabiu, jak to pasuje... tu, we włosy, no jak?
- Ach, ciociu! Jak ślicznie! - Patrzyłam w lustro na uśmiechającą się młodą kobietę; smutne, przerażone dziecko gdzieś zniknęło.
- Podoba ci się? Więc jest twoja. Ależ tak, tak, nalegam. Ma chere, przecież to głupstwo, nie warto aż tak za nią dziękować.
107
A potem spora liczba ślicznych drobiazgów w zupełnie naturalny sposób zmieniła miejsce i znalazła się w moich szufladach: brązowe jedwabne wstążki, połyskujący szal, urocza koronkowa pelerine, para lawendowych rękawiczek, haftowane laczki, malowany wachlarz, futrzana krótka pelerynka. Grzałam się w cieple, które roztaczała, stopniowo tajałam pod wpływem okazywanego mi szczerego zainteresowania, jak przemarznięte kocię położone w cieple bijącym od kuchennego piecyka, i w końcu odważyłam się zwierzyć jej z moich najgłębiej skrywanych myśli o moim wyglądzie -których nikomu innemu bym nie odkryła ze wstydu, że zostanie mi to poczytane za niestosowną frywolność.
Ciocia Ludwika nie sądziła, aby dbałość o wygląd zewnętrzny była czymś niestosownym lub błahym.
- To takie naturalne, że kochamy piękno; miłość do piękna musi pochodzić od Boga, nie sądzisz? Brzydka ropucha i maleńki ptaszek są mu zapewne jednakowo drogie, ale my wolimy ślicznego ptaszka, tak już po prostu jest. Myślę, ma chere petite Victoire, że Bogu nie jest niemiła nasza chęć uczynienia się podobnymi do ptaków raczej niż ropuch.
- Naprawdę tak myślisz?
- Bień sur. Musimy wszyscy jakoś żyć na tym świecie i nie ma nic złego w tym, że staramy się być sympatyczni dla innych, czemu mamy obrażać tych, którzy nas widzą, brzydkim ubiorem albo zaniedbanymi włosami.
Miałam doznać jeszcze większej pociechy, a to za sprawą wujka Leopolda: jak się okazało, przybył do Ramsgate, aby mi doradzić, co robić. Korespondowaliśmy ze sobą regularnie, gdy wyjechał z Anglii, ale listy mogą być - w istocie, w moim wypadku na pewno były - czytane przez niepowołane oczy, toteż wuj długi czas pozostawał w niepewności, co się naprawdę dzieje w pałacu Kensington, zwłaszcza że z rozmaitych źródeł dochodziły go różne wieści. Przyjeżdżając do nas, liczył na prywatną, szczerą rozmowę ze mną i rzeczywiście odbył taką podczas drugiego dnia swojej wizyty, kiedy przyszedł do mnie zupełnie sam i siedzieliśmy, rozmawiając ponad godzinę. Rozmowa przyniosła mi nieopisaną ulgę. Wuj potwierdził moje obawy co do Conroya, odsłaniając w pełni jego małostkowe,
108
nie najzręczniejsze intrygi, ale jednocześnie uzmysłowił mi, że paniczny lęk, jakim go darzyłam, jest zupełnie bezzasadny. Conroy urósł w moich oczach do groźnego monstrum obdarzonego niemal nadnaturalną mocą; wuj Leopold pokazał mi chciwego, ambitnego, ale z gruntu głupiego człowieka, knującego intrygi, aby zyskać wyższą pozycję kosztem słabej, zdezorientowanej, ale z gruntu dobrej kobiety. (To właśnie wtedy wyjaśniły mi się motywy postępowania Conroya i choć wuj Leopold nie umniejszył mojej nienawiści ani do Conroya, ani do mamy, posiał ziarno przebaczenia i sprawił, że mogłam ją później na nowo pokochać).
Co najważniejsze, wuj Leopold uspokoił mnie co do mojej przyszłości:
- Jeśli im nie ulegniesz sama, nie mogą nic zrobić, do niczego cię zmusić - powiedział. I dodał: - Ufaj bez zastrzeżeń Lehzen. Ma zaufanie króla i królowej, rządu i moje; to bystra i rozsądna kobieta. Na pewno znajdziesz w niej oparcie. Podobnie jak we mnie. Jestem po twojej stronie i zawsze możesz szukać u mnie pomocy i rady.
- Polegam na tobie, wuju, całkowicie - odparłam. - Jesteś najlepszym i najmilszym doradcą na świecie.

- Mam nadzieję, że się takim okażę - powiedział niezwykle poważnie. - W każdym razie jednego możesz być pewna: jestem bezstronny. Jedyne, czego pragnę, to żebyś była w pełni zdolna wypełnić szczytne zadanie, do jakiego cię powołano. Ciąży na tobie wielka odpowiedzialność, Wiktorio. Nie możesz pozwolić, aby twój umysł zaprzątały frywolne rozrywki. Wszelkie przyjemności są przemijające, z wyjątkiem tej, którą się czerpie z dobrze wypełnionych obowiązków.
Pomyślałam z poczuciem winy o przyjemnościach ostatniego wieczoru spędzonego z ciocią Ludwiką i o tym, jak często słychać było nasz śmiech nad szachownicą.
- Ja naprawdę pilnie się uczę, wujku - powiedziałam półgłosem we własnej obronie.
- Wiem. Dobre z ciebie dziecko. Ale, jak ci często powtarzałem, nastały ciężkie czasy dla monarchii. Musisz się przygotować do sprawowania rządów, nie tylko twój umysł, ale i psychika muszą temu podołać. Uczciwość, prawość, poświęcenie, pilność, pracowitość... musisz mieć te przymioty.

Jeszcze cierpliwość, mądrość, zdrowy osąd. Będzie się od ciebie oczekiwać podejmowania decyzji. Musisz dysponować odpowiednią wiedzą i być wystarczająco przenikliwa, aby podejmować dobre.
Nic nie odpowiedziałam, zamyśliłam się głęboko nad jego słowami.
- To ciężkie brzemię, moja siostrzenico, ale będziesz silna na tyle, by je udźwignąć. Zawsze będę ci pomagał, na ile tylko potrafię. Powiedziałem to wszystko nie po to, aby cię przestraszyć albo przygnębić, wprost przeciwnie. - Podniosłam oczy i zobaczyłam, że wyraz powagi zniknął z jego twarzy i patrzy na mnie dobrotliwie. - Chciałbym, abyś zrozumiała, że problemy, które ci przysparzają teraz tyle kłopotu, nic nie znaczą w porównaniu z tym, co cię czeka. Ani się spostrzeżesz, jak zostaniesz królową Anglii, moje dziecko, a wtedy te wszystkie nieprzyjemności, wszyscy Conroyowie i zwodnicze pajęcze sieci, które usiłują prząść, będą nieistotne. Zaczniesz żyć naprawdę, a to, co się dzieje, wyda ci się snem, niczym więcej jak złym snem, który zapada w niepamięć, zatarty przez światło poranka.
Zapatrzyłam się przed siebie, jakbym zobaczyła moje przyszłe życie; wolne od uciążliwego nadzoru i ustawicznego nękania; po raz pierwszy zrozumiałam, że może mieć inny kształt. Chciałam być dobrą królową; najlepszą, jaką kiedykolwiek miała Anglia. Poczułam nadzwyczajny przypływ ducha i siły.
- Dołożę wszelkich starań, aby podołać - powiedziałam.
- Wiem, że tak będzie - stwierdził poważnie. Wstał, więc i ja również, wziął mnie za rękę i uścisnął ją delikatnie. -Potrafisz być dość nieustępliwa, moja droga. Wykorzystuj to umiejętnie. Nie ustępuj Conroyowi, ale postaraj się pozostać w dobrych stosunkach z matką. To już nie potrwa długo.
Lecz kiedy się ma szesnaście lat, rok trwa potwornie długo, setki razy dłużej niż rok człowieka sześćdziesięcioletniego. Gdy pożegnałam drogie wujostwo w środę siódmego października i zobaczyłam ich statek odpływający z Dover, poczułam się znowu przeraźliwie samotna, a perspektywa powrotu do mojego więzienia i nadzorcy Conroya przepełniła mnie rozpaczą.

Rozdział Piąty.
19 marca 1900 w Windsorze.

Zostaliśmy w Ramsgate po wyjeździe wujostwa z Anglii, ponieważ ciężko zachorowałam na tyfus. Nie opuszczałam pokoju przez pięć tygodni. Schudłam, byłam przeraźliwie blada, nie mogłam usiąść bez pomocy, a moje piękne włosy -moja powabna ozdoba - długie, gęste, że trudno je było zebrane zamknąć w dłoniach - zaczęły wypadać całymi garściami. Lehzen podjęła ostatnią desperacką próbę uratowania ich i obcięła mi je niemal do gołej skóry, tak że przypominałam oskubanego kurczaka - cóż za przygnębiający widok! Chorowałam ciężko i w końcu nawet Conroy uznał, że nie udaję; chodził po domu na paluszkach, z zatrwożoną i stroskaną twarzą, co mogłoby nawet wzruszać, jak mi później powiedziała Lehzen, gdyby nie myśl, że martwi go po prostu

perspektywa utraty ewentualnych przyszłych korzyści.
Pokazał swoje prawdziwe oblicze, gdy kryzys minął i stało się jasne, że jednak nie umrę. Leżałam wciąż jeszcze w łóżku, chuda i blada jak świeżo okorowana gałąź, a on zaczął przekonywać mamę, że jest to świetna okazja - bo byłam mocno osłabiona, wyobrażacie to sobie? - aby wymusić na mnie obietnicę, że gdy zostanę królową, ustanowię go moim osobistym sekretarzem. Wiele to mówi o tym człowieku. Dzień po dniu przychodził do mojego pokoju, nienawistny mi tyran, stawał nade mną i nękał tym swoim głośnym, szorstko brzmiącym głosem aż do bólu głowy, aż zaczynałam drżeć z osłabienia. Mama dokładała do tego jeszcze swoje prośby i raniła mnie wymówkami i oskarżeniami o niewdzięczność i brak uczuć. Nie widziała nawet połowy tego, co wyczyniał -jak starał się mnie urobić, złamać, powtarzając bezustannie, że muszę się zgodzić, jak się znęcał, uderzał w słabe punkty, co tak doskonale umiał robić.
Nie poddałam się. Słowa wuja Leopolda wciąż dźwięczały mi w głowie i wiedziałam na pewno: nie wolno mi dopuścić do tego, aby Conroy pełnił jakąkolwiek funkcję na moim dworze. Kiedy będę władna się od niego uwolnić, przepędzę
111
go, wyślę jak najdalej od siebie; muszę tylko wytrzymać jeszcze parę lat. Tak więc, choć doprowadzał mnie co dnia do łez i szlochając, chowałam twarz w poduszkę, chroniąc się przed jego widokiem; choć przybliżał swoją nienawistną mi twarz do mojej tak blisko, że pryskał kropelkami śliny na moje policzki; choć mnie wyzywał i groził straszliwymi karami; choć wreszcie wciskał mi pióro brutalnie w palce, nakazując natychmiast podpisać papiery, które mi podsuwał -osłabiona i chora, nie uległam.
Pochodziłam z dynastii hanowerskiej, byłam uparta z natury. Ale teraz stałam się jak wykuta ze stali - zahartowanej w ogniu podłości tego człowieka. Czy napisałam, że Dash, mój spaniel, to jedyne, co mogę zawdzięczać Conroyowi? Wewnętrzna siła, która mnie cechuje - to może drugie. Czego Conroy nie zdołał osiągnąć, nękając szesnastoletnią, wracającą do zdrowia dziewczynę, tego widocznie osiągnąć nie można. Nigdy nie pozwalałam się tyranizować i wielu ludzi -sir Robert Peel i sir Wilhelm Gladstone na przykład - ma doskonałe powody, by to potwierdzić.
Ostatecznie opuściliśmy Ramsgate dwunastego stycznia 1836 roku. Wyzdrowiałam już całkowicie i nie mogłam się doczekać powrotu do domu. Przenocowaliśmy w przydrożnej gospodzie i w jasnym świetle przenikliwie zimnego dnia dotarliśmy do pałacu Kensington, mniej więcej w trzy miesiące po tym, jak go opuściliśmy. Omal wchodziłam w drzwi, gdy mama odciągnęła mnie ze śmiechem.
- Mam dla ciebie niespodziankę, Wiktorio - powiedziała. -Nie wracamy do naszych dawnych apartamentów. Żeby zobaczyć, gdzie teraz mieszkamy, musisz pokonać dwie kondygnacje schodów.
- Jak to, więc mamy jednak nowe apartamenty? - Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.
- Tak, i są już przerobione dokładnie, jak chcieliśmy, położyli też tapety i zawiesili nowe zasłony i draperie.
- Och, mamo, jak cudownie! Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć!
Popędziłam jak szalona dziesięciolatka na korytarze pierwszego piętra, skąd roztaczał się wspaniały widok na trawniki i klomby. Nasze apartamenty na parterze były ciasne, wilgotne,
112
nie było wydzielonych pokoi do przyjmowania gości. Tu, na pierwszym piętrze, mieliśmy tuż obok stryja Sussex dwie wielkie wspaniałe sale z kolumnami i rzeźbieniami, przeznaczone na oficjalne okazje. Sypialnia była duża, z wysoko umieszczonym sklepieniem, przylegały do niej pokój dla służącej i garderoba dla mamy. Dawną galerię podzielono dodatkowymi ściankami na trzy piękne pokoje; salonik dla mnie, gabinet i przedpokój. W gabinecie pracowali jeszcze rzemieślnicy, okropnie hałasując.
Przebiegałam pokoje, podziwiając nowe zasłony, meble i wykrzykując w podnieceniu do Lehzen, która oglądała wszystko z zaciśniętymi lekko, jak miała w zwyczaju, ustami, powściągliwie okazując zdumienie. Ja sama byłam mocno zdumiona, ponieważ trzy lata temu, w 1832 roku, kiedy mama, zmęczona mieszkaniem w naszych ciasnych apartamentach, przesłała stryjowi Wilhelmowi kosztowny, nakreślony z rozmachem projekt przerobienia tych właśnie pomieszczeń i zażądała

niegrzecznie natychmiastowej jego realizacji, stryj -poirytowany jej rozlicznymi wymaganiami - stanowczo odmówił. Ponieważ mama nalegała dalej, odesłał w końcu plan ze skreślonym na nim wielkim napisem: „Król mówi NIE".
A teraz znalazłyśmy się w tych właśnie apartamentach. Stryj Wilhelm musiał dać się ubłagać, pomyślałam, a jeśli tak - to chyba z miłości do mnie, bo przecież mama i Conroy wciąż prowadzili z nim walkę na noże. Jakim był dobrym, łaskawym stryjem!
- Och, jak tu pięknie! - wykrzykiwałam, wirując ekstatycznie w miejscu z dłońmi splecionymi przed sobą. - Już nie będzie czuć stęchlizną w szafach! Nie będzie karaluchów! Jak zdołałaś przekonać wujka Wilhelma, mamo? Dlaczego zmienił zdanie?
Mama wahała się przez moment, a ja zobaczyłam, że Lehzen przypatruje się jej ponuro, jakby również chciała usłyszeć odpowiedź.
- To z powodu twojego zdrowia - odparła mama w końcu. - Doktor Clark powiedział, że musisz mieszkać w suchych, przewiewnych pokojach, inaczej możesz znowu zachorować. Apartament na parterze bardzo źle wpływał na twoje zdrowie. - Chciałam przerwać jej następnym pytaniem,

ale dodała pospiesznie: - Dlaczego nie biegniesz do swojego dawnego pokoju, kochanie, żeby przenieść tu wszystkie lalki i książki?
- Ależ oczywiście, mamo! - wykrzyknęłam i pobiegłam pędem, zbyt zadowolona i podekscytowana, aby zauważyć, że jej głos brzmi nieco sztucznie i że dziwnie długo zwlekała z odpowiedzią.

20 marca 1900.

Minęło ożywienie związane z przeprowadzką i znowu zaczęłam wieść nudną egzystencję. Moje zdrowie poprawiało się powoli, głównie dzięki zmianie trybu życia, zaleconej przez doktora Clarka. Zaordynował skrócenie zajęć, nakazał, abym nie siedziała wciąż w tej samej pozycji i część lekcji odbywała, stojąc za pulpitem; abym jak najdłużej spacerowała po świeżym powietrzu (pokrzepiającym powietrzu, jak się wyraził, gdyż kensingtońskie uważał za zbyt łagodne); abym ćwiczyła z maczugami w celu poprawienia figury i usprawnienia krążenia. Na przepisane mi spacery chodziłam w Hampstead, Highgate, Finchley, Harrow i podobnych miejscach, ciesząc się rozmaitymi krajobrazami i roztaczającymi się z tych wysoko położonych miejsc widokami. Niestety, tak jak Clark przepisał mi świeże powietrze, mama przepisała towarzystwo na te wyprawy; lady Flora Hastings i Victoire Conroy nie były tym, co się zowie dobrą kompanią dla kogoś spragnionego rozrywki. Byłam normalną, żywo reagującą siedemnastoletnią dziewczyną, tęskniłam do śmiechu, zabawy, wesołości, a przede wszystkim, och, jak bardzo! - do przyjemnych towarzyszek zabaw. Pragnęłam serca, natykałam się na górę lodową.
Poza tym kontynuowałam lekcje z panem Davysem - dziekanem Chester, bo taki tytuł już wówczas nosił - a do moich zwykłych zajęć dodano studiowanie prawa i konstytucji, a także regularne czytywanie gazet i muszę ze skruchą przyznać, że zupełnie mnie nie interesowało to, czego mogłam się z nich dowiedzieć. Pasjonujące wydarzenia wydawały mi się czymś mniej doniosłym niż bale i przyjęcia, za którymi tęskniłam. Każdego wieczoru zasiadałam do obiadu z mamą,

sir Johnem i lady Conroyami i księżniczką Zofią - i czułam się jak ostryga zasiadająca do obiadu z morsem i cieślą. Nudę przerywały raz na dwa tygodnie wizyty w teatrze lub operze, z rzadka bywałam na dworskich uroczystościach.
Przy takiej to właśnie okazji stryj, zamknąwszy moją rękę w swoich dłoniach (artretyzm powykrzywiał mu już boleśnie palce i przypominały szpony), z powagą oświadczył, że zamierza się trzymać i panować, dopóki nie osiągnę pełnoletności.
- Mam rzeczywiście nadzieję, sir, że będziesz panował długie lata - powiedziałam przypochlebnie.
- Ha! Nic się nie martw, złotko! Może i prosty ze mnie człowiek, stary morski wyjadacz, i tyle, ale widzę, co trzeba, i dobrze wiem, co się wyrabia pod moim bokiem! Będę się trzymał, jak długo zdołam.

Te słowa sprawiły, że łzy napłynęły mi do oczu jak zwykle w tamtych czasach, gdy ktoś okazał mi choćby cień sympatii; ale i obudziły niepokój, przypomniały mi bowiem o jego wieku i chorobach. Miał siedemdziesiąt lat, cierpiał na astmę i skazę moczanową. Jego śmierć nie jawiła mi się jako nierealna, odległa możliwość - a jeśli umrze, co się ze mną stanie?
Rok 1836 przyniósł nam potworną awanturę w Windsorze. Urodziny cioci Adelajdy przypadały trzynastego sierpnia, a stryja Wilhelma dwudziestego pierwszego; mamy pomiędzy tymi datami: siedemnastego. Stryj Wilhelm, okazując jak zwykle znacznie więcej przyzwoitości niż mama, zrobił co w jego mocy, aby jej przypomnieć o tych datach: przysłał niezwykle serdeczny list z zaproszeniem na uroczystości mające się odbyć trzynastego i propozycją, aby mama pozostała jego gościem aż do rozpoczęcia obchodów jego urodzin. Mama odpisała zimno, że woli spędzić swoje urodziny w Claremont, ale przyjedzie do Windsoru dwudziestego; o urodzinach cioci Adelajdy nie uczyniła najmniejszej wzmianki. Trudno byłoby znaleźć list równie arogancki, niegrzeczny i nietaktowny, toteż wydawało się zdumiewające, że stryj, który zwykle gwałtownie reagował na lekceważenie okazywane królowej, tym razem nie wybuchnął.
To się wydarzyło dwudziestego sierpnia, gdy stryj Wilhelm

wracał z Londynu, gdzie pojechał odroczyć obrady parlamentu, do Windsoru i przerwał podróż (co za demon mu to podszepnął!), aby dokonać inspekcji pałacu Kensington. O dziesiątej wieczorem, kiedy król pojawił się w Windsorze, wszyscy jego goście, w tym mama i ja, siedzieli po obiedzie w salonie. Już w chwili, gdy stanął w drzwiach, stało się oczywiste, że zdarzyło się coś złego; na jego zaróżowionej jak zwykle twarzy malował się posępny wyraz, jasnoniebieskie oczy omal nie wyskoczyły z orbit, brwi miał ściągnięte. Omiótł spojrzeniem pokój i ruszył prosto w moim kierunku. Przestraszyłam się, ale twarz mu się rozjaśniła, kiedy się do mnie zbliżył, ujął moje obie ręce serdecznym gestem i powiedział:
- Ha! Jesteś wreszcie, moje złotko! Cieszę się, że cię widzę, bardzo się cieszę. Za rzadko widuję cię na dworze, stanowczo za rzadko.
Puścił moje ręce i odwrócił się do matki. Wyraz jego twarzy zmienił się zatrważająco: uśmiech zniknął, minę miał złowróżbną; nadciągała burza z piorunami. Mama wykonała ukłon tak niedbały, że ledwie mógł uchodzić, król odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy. A potem powiedział głośno i ze złością, tak by słyszeli go wszyscy i nie mieli wątpliwości, że dopuszczono się niewytłumaczalnej samowoli w jednym z jego pałaców:
- Właśnie wracam z Kensingtonu, pani. Co ma pani na ten temat do powiedzenia?
Poczułam nieprzyjemne uczucie ssania w dołku. Spojrzałam na mamę i zobaczyłam, że choć przybrała niezwykle wyniosłą minę, boi się.
- Doprawdy nie wiem, sir, o czym miałabym mówić -odparła chłodno.
- Na Boga, pani - ryknął król - chcesz udawać, że nie wiesz? Okradziono mnie z siedemnastu pokoi... tak, okradziono, nie inaczej! Apartamenty wzięte w posiadanie bez mojej zgody! Ściany wyburzone, ściany postawione, rzemieślnicy poinstruowani, długi rosną, wszystko wbrew mojej zgodzie... a raczej w niezgodzie z moimi rozkazami! Cóż pani wyczyniasz? Nie pojmuję takiego zachowania!
Mama pobladła, ale czułam, że nie jest ani w połowie tak

blada jak ja. Więc to tak! Świętowałam przeprowadzkę, nie mając najmniejszego pojęcia, że jestem uzurpatorką - na moment ogarnęło mnie tchórzliwe uczucie ulgi, że nigdy nie miałam okazji podziękować stryjowi za nowe pokoje i nie ściągnęłam jego gniewu na swoją głowę. Drżałam ze strachu tak mocno, że nie dosłyszałam odpowiedzi matki, dotarło do mnie jednak coś o moim zdrowiu i należnej mi pozycji.
Nie ułagodziło to stryjka Wilhelma, ale wyraźnie nie miał ochoty na przedłużanie w tej chwili kłótni. Powiedział już znacznie cichszym tonem, jakby burza przeszła i w powietrzu brzmiało jeszcze tylko echo piorunów:
- Pozycja? Aha, czyja pozycja, ciekawe. Wszystko do siebie pasuje, wszystko... - I wreszcie ostatni grom huknął ponad głową zupełnie nie okazującej skruchy mamy. - Nie ścierpię więcej podobnie

pozbawionego szacunku zachowania. Zapamiętaj to sobie, pani - po czym odwrócił się od nas i zaczął rozmawiać z innymi gośćmi.
Ze zmartwienia zrobiło mi się słabo, ale mama wyraźnie nie dzieliła moich uczuć. Oczy jej błyszczały, usta miała zaciśnięte ze złości, a jednocześnie widać było satysfakcję na jej twarzy. Zważywszy na to, ile zyskała, przeprowadzając się do apartamentów na piętrze, opłaciło się dostać małą burę.
Nie oceniła jednak właściwie zdenerwowania stryja. Obiad urodzinowy określono jako prywatną uroczystość, niemniej przybyły nań setki gości - krewnych, dworzan, wpływowych dygnitarzy. Mama zasiadła po prawej ręce króla, a ja naprzeciw niego - honorowe miejsca. Obiad zakończono toastem, którego forma, zgodnie z wolą królowej, odpowiadała okazji: „Obyś, Najjaśniejszy Panie, długie lata żył i panował w zdrowiu!".
Do króla należało teraz łaskawie podziękować, zamiast tego wybuchnął długo wstrzymywaną furią i wygłosił, wyraźnie sprowokowany toastem, długą tyradę:
- Długiego życia! A w istocie: długiego życia! Ufam Bogu, że mnie do siebie nie powoła, przynajmniej jeszcze przez dziewięć miesięcy, bo gdy po tym czasie umrę, nie będzie powodu do ustanawiania regencji! Dana mi będzie wówczas satysfakcja zostawienia władzy królewskiej tej oto młodej

damie siedzącej naprzeciwko - wskazał na mnie; siedziałam jak przygwożdżona do oparcia krzesła, nie mogąc się poruszyć ze zdumienia - domniemanej następczyni tronu, a nie tej oto, siedzącej przy mnie osobie, która otoczyła się złymi doradcami i która niezdolna byłaby postępować stosownie do pozycji, na jaką by ją wyniesiono. - W miarę, jak mówił, jego głos brzmiał coraz donośniej. - Nie zawaham się wyznać, że byłem wielokrotnie obrażany przez tę oto osobę, ciężko i ponad wszelką miarę i że dłużej cierpieć tego nie będę! Nie, na Boga! - Zabębnił pięściami w stół, aż kryształowe wisiory na paterze zadźwięczały, jakby cicho protestując. Utkwił we mnie płonący wzrok i skurczyłam się ze strachu, choć jego gniew nie przeciw mnie był skierowany. - Tak, tak, wiele razy mnie obrażano, ale najdotkliwiej trzymaniem księżniczki z dala od mojego dworu! Nie dopuszczano jej na moje salony, a powinna być w nich zawsze obecna, jako moja bratanica i spadkobierczyni i przysięgam, że więcej się to nie zdarzy! Domagam się, aby przyjęto do wiadomości, że jestem królem; dopilnuję, by respektowano moją królewską władzę, nalegam, rozkazuję, aby od tego momentu księżniczka przy wszelkich stosownych okazjach pojawiała się na moim dworze, jak jej to nakazuje obowiązek!
Królowa miała oczy spuszczone, wargi jej drżały ze zdenerwowania. Mama siedziała, jakby się obróciła w kamień, z wzrokiem utkwionym w powietrze. Czułam, jak niechciane łzy płyną mi po policzkach, starałam się je ze wszystkich sił powstrzymać, aby nie łamać etykiety, która i tak została poważnie naruszona. Może poruszyły stryja Wilhelma, ponieważ jego głos złagodniał nieco, jakby chciał mnie utulić:
- No już, już, mówię tylko o tym, co jest dobre i właściwe. Księżniczka musi bywać na dworze, ponieważ będzie kiedyś, gdy ja odejdę, panować nad wszystkimi... i będzie z niej wspaniała królowa, bo jest naprawdę dobrą dziewczyną, mam to pełne prawo jej powiedzieć, jako mojej bratanicy i spadkobierczyni, zawsze jej to powtarzam... a w każdym razie mógłbym powtarzać, gdyby dano mi możliwość. I to tyle, co miałem do powiedzenia.
Tyle! Połowa byłoby za dużo! Musiałam jeszcze znieść krótką chwilę, przez którą czułam na sobie oczy co najmniej

połowy gości, a potem królowa podniosła się, nieco chwiejnie, jak zauważyłam, i na ten sygnał wstały panie, aby wyjść za nią do salonu. Kiedy do niego weszłyśmy, mama podeszła do mnie i chwyciła mnie silnie za ramię, zostawiając mi na nim siniaki, co stwierdziłam następnego ranka.
- Chodź, Wiktorio - powiedziała donośnym głosem, tak by było ją słychać w każdym kącie pokoju - wychodzimy. Zawezwę powóz i odjeżdżamy natychmiast. Nie pozostanę ani chwili pod dachem domu, w którym obraża się mnie publicznie i to bez powodu. To nie do zniesienia.
Ciocia Adelajda omal nie zalała się łzami na te słowa; spostrzegłszy to, chciałam uwolnić ramię z

bezlitosnego uścisku mamy i rzucić się biegiem do cioci przez pokój. Publicznie obrażona - tak, i nie stało się dobrze, ale czyżby bez powodu? Moja łagodna, subtelna ciotka, która zawsze była dla mnie taka dobra, która pocieszała mamę po stracie pierwszego męża i nigdy niczym jej nie obraziła - bezustannie wyszydzana i znieważana przez mamę i Conroya. Stryj Wilhelm zachował się porywczo i niedyplomatycznie, właściwie niegrzecznie - ale przecież bezustannie go prowokowano. Przeżywałam katusze, wplątana w tę sytuację i wyraziście odczuwałam jej bezsens; upokorzenie mieszało się z głębokim smutkiem, ponieważ zdawałam sobie sprawę, że po tym, co się stało, mama ze wzmożoną zaciętością będzie mi broniła kontaktów ze stryjostwem i zrobi wszystko, abym nie pojawiła się więcej na dworze. Król może i był zdecydowany nalegać, abym bywała na dworze, ale jeśli o zdecydowaniu mowa, nie miał ani w połowie tych zadatków na tyrana, co Conroy czy matka. Człowiek dobry z natury, wyrozumiały dla innych nigdy nie wygra z kimś podłym, złośliwym i samolubnym.
Na szczęście znalazło się wystarczająco wiele życzliwych pań wśród zaproszonych; otoczyły mamę wianuszkiem i przekonały, że powinna wyjechać dopiero rano, że jeśli zakończy swoją wizytę wcześniej niż planowano, skandal będzie olbrzymi. Kiedy później wracałyśmy do pokoi gościnnych, mama złajała mnie potwornie na korytarzu za „wspieranie" stryja Wilhelma i odegranie roli tej, która obraża własną matkę -i znowu zalałam się łzami. Następnego dnia wcześnie rano
119
wyruszyliśmy do Claremont i patrząc na Windsor z oddalającego się powozu, pomyślałam, że najchętniej nigdy więcej nie oglądałabym jego murów.

22 marca 1900.

Rok 1837, w którym miałam osiągnąć pełnoletność, zaczął się w atmosferze wyczekiwania, przypominającej ciężką duszną aurę przed burzą. Lehzen i ja starałyśmy się trzymać razem i nie wchodzić nikomu w oczy, niczym dwie cichutkie polne myszki. Jedną z najgorszych rzeczy, jaka mnie spotkała w dzieciństwie, było to, że aby przetrwać pośród intryg i otaczającej mnie obłudy, musiałam się nauczyć postępować wbrew własnej naturze; z natury prostolinijna, szczera, otwarta, musiałam się nauczyć udawać, ukrywać uczucia, stać się roztropna i ostrożna - „nierozszyfrowywalna". W wieku osiemnastu lat umiałam trzymać język na wodzy i kontrolować rysy twarzy jak doświadczony, wiekowy mąż stanu -niezwykle przydatne umiejętności dla władcy, ale też zapłaciłam za nie wysoką cenę. Bezustanne dręczenie, troska i napięcie sprawiły, że przestałam rosnąć - to pierwsza rzecz, której, jak powiedziałam lordowi M., jestem pewna; ponieważ prawie nie miałam okazji spotykać się z innymi ludźmi, nigdy do końca nie pozbyłam się dziecięcej nieśmiałości - to druga rzecz. Do dzisiaj paraliżuje mnie nieśmiałość, gdy kogoś poznaję i z trudem przychodzi mi nawiązać nawet błahą rozmowę. (Lord M. udzielił mi w tej sprawie kiedyś cennej rady: im usilniej myśli się o tym, co powiedzieć, tym bardziej człowieka zatyka, stwierdził. Lepiej już zaryzykować niemądrą albo pospolitą uwagę, niż trwać w milczeniu, siląc się na coś mądrego czy dowcipnego).
Tygodnie mijały, wszyscy spoglądali na kalendarz i obserwowali króla. Wieści krążyły od księżniczki Zofii do mamy i od Lehzen do mnie. Król miał siedemdziesiąt dwa lata, słabł coraz bardziej, dokuczała mu mocno astma, ale nic nie wskazywało na bezpośrednie zagrożenie. W kwietniu przyjechał do nas z wizytą mój brat, Karol, z żoną i dwojgiem dzieci - hulał przez kilka lat po kontynencie, aż wreszcie ku rozczarowaniu rodziny ożenił się z damą dworu babci Koburg,
120
kobietą ani znamienitego pochodzenia, ani znacznego majątku. Prowadził rozwiązły i utracjuszowski tryb życia, zaciągał pokaźne długi, które bez cienia wstydu zostawiał mamie do popłacenia; szybko znalazł wspólny język z Conroyem, równie natarczywy jak on i jak on bez cienia skrupułów żerujący na innych. Wiedli nie kończące się rozmowy, półgłosem, głowa przy głowie; pochyleni nad arkuszami papieru kreślili, jak przypuszczam, fantastyczne plany podporządkowania mnie ich woli. Karol miał wiele do zyskania, popierając Conroya; gdyby to

rzeczywiście Conroy trzymał w garści moje finanse, Karol mógłby czerpać pełną garścią.
Osiemnastego maja dotarła do nas niepokojąca wieść, że król odbył wszelkie przewidziane na ten dzień audiencje, nie wstając z miejsca, zarówno poranne, jak i późniejsze, w pokojach recepcyjnych, co mogło oznaczać tylko jedno: był poważnie osłabiony i czuł się gorzej niż zwykle. Jego lekarz, sir Henry Halford, donosił, że w zdrowiu króla „zaszedł dziwaczny zwrot", a trudności w oddychaniu uniemożliwiają mu położenie się do łóżka. „Ufam, że król to zwalczy, trzeba jednak pamiętać, że ma jednak siedemdziesiąt dwa lata".
Być może cień Wielkiej Wyzwolicielki skłonił stryja do podjęcia pewnych kroków, następnego dnia bowiem przybyli lordowie Conyngham i Chamberlain i oznajmili, że mają przekazać mi list od króla. Conroy, który oczywiście towarzyszył mamie, podszedł do nich i wyciągnął rękę, ale lord Conyngham, mocno trzymając list, powiedział, nie bez pewnej satysfakcji (mogę sobie to wyobrazić!), że ma go obowiązek oddać księżniczce do rąk własnych.
- Z czyjego rozkazu? - zapytał Conroy ostrym tonem.
- Jego Królewskiej Mości - odparł Conyngham, pokazując królewski podpis.
Mama i Conroy, skonsternowani, wymienili szybkie spojrzenia. Zostało ledwie parę dni do osiągnięcia przeze mnie pełnoletności - cóż za kłopot miał na nich spaść tym razem? Teraz mama wyciągnęła rękę.
- Proszę dać list mnie, drogi lordzie. Dopilnuję, aby córka go dostała.
- Obawiam się, że nie mogę spełnić pani prośby - powiedział Conyngham z ukłonem. - Otrzymałem wyraźne polecenie

od Jego Królewskiej Mości. Ja osobiście mam wręczyć list księżniczce, nikt inny.
- Proszę więc to uczynić - oświadczył łaskawie Conroy, widząc, że nic nie wskóra. - Ale musi się to odbyć w obecności jej czcigodnej matki, księżniczka bowiem niczego nie robi bez matczynej pomocy i rady.
Wezwano mnie zatem do salonu i lord Conyngham z uprzejmą i pełną szacunku miną wręczył mi list wraz z zapewnieniem o szczerym przywiązaniu i życzliwych uczuciach stryja w stosunku do mnie. Drżałam leciutko, otwierając list, a mama i Conroy stali obok, czyhając na pierwszą sposobność, kiedy będą mogli mi go wyrwać; wpili obydwoje oczy w moją twarz, jakby mogli z niej wyczytać lustrzane odbicie zawartości.
Drżałam coraz bardziej w miarę czytania listu, zarówno z wdzięczności dla stryja, jak i ze strachu, co też moi prześladowcy teraz wymyślą. Kochany stryj Wilhelm ofiarowywał mi złoty kluczyk do klatki, w której mnie zamknięto! Oto, co napisał: dwudziestego czwartego maja, gdy osiągnę pełnoletność, wystąpi do parlamentu o przyznanie do mojej wyłącznej dyspozycji dziesięciu tysięcy funtów rocznie. Ode mnie tylko będzie zależało, kogo ustanowię odpowiedzialnym za moją prywatną szkatułę, a osoba ta będzie zdawać sprawę z moich finansów jedynie mnie; mogę również mieć własny dwór, jeśli takie jest moje życzenie, i sama wybrać damy dworu. Lord Melbourne, pisał stryj, polecałby sir Benjamina Stephensona na rządcę mojego dworu (sir Benjamin był jednym z faworytów króla i królowej, podczas gdy mama go nie cierpiała).
Och, stryjku! Cóż za perspektywy roztoczyły się przed moimi oczami: własny dwór, wystarczająco dużo pieniędzy, aby robić to, co lubię, żadnej nękającej mnie mamy, żadnego Conroya, wyczyniającego ohydne rzeczy w moim imieniu, żadnej Victoire Conroy czy lady Flory w moim otoczeniu! Żaden ptak zamknięty w klatce nie wyleciałby z niej tak ochoczo jak ja ze swojej, uzbrojona w ten list, który trzymałam w ręce... Lecz było to beznadziejne - przecież musiałam za chwilę oddać go mamie do przeczytania.
Poczekała z tym chwilę, którą zajęło jej pozbycie się lorda

Conynghama; wypełnił swój obowiązek i nie mógł zostać, aby ochronić mnie przed moimi prawowitymi opiekunami. Ledwie wyszedł, mama ochoczo zabrała się do studiowania listu, a wraz z nią Conroy, zaglądając jej poufale przez ramię. W miarę czytania twarze im się wydłużały, więc pospieszyłam wtrącić słowo, zanim się odezwą:
- Powinnam chyba natychmiast odpowiedzieć, nie sądzisz mamo? Wiem doskonale, że sir

Benjamin się nie nadaje, więc może zapytam króla, czy pozwoli mi mianować na jego miejsce dziekana Chester... przynajmniej na razie - dodałam niezręcznie, widząc, że twarz mamy posępnieje jak niebo przed nadciągającą burzą.
- Wykluczone! - Powtórnie przeczytała list, jakby urzeczona jego przerażającą zawartością. - Niesłychane! Oburzające! Przez całe moje życie nie zetknęłam się z czymś podobnym!
- To chyba bardzo uprzejme ze strony stryjka - zaryzykowałam, ale mama natychmiast mi przerwała.
- Uprzejme? Uprzejme? Ależ to zamierzona zniewaga! Uraża wszelkie ludzkie uczucia! Odsunąć mnie w ten sposób, akurat teraz... twoją własną matkę, którą cały kraj obdarzył zaufaniem... poświęciłam ci całe moje życie! Sugerować, że nie wiem, co jest dobre dla mojego własnego dziecka, kiedy wiadomo, że poświęciłam każdą chwilę swego życia wypełnianiu obowiązków wobec ciebie i kraju... - Zabrakło jej słów ze zdenerwowania i Conroy pośpieszył ją wyręczyć.
- Wszyscy wiedzą, księżno, że jesteś wzorem matki. Tylko w mózgu człowieka beznadziejnie głupiego... albo nędznego intryganta, mogła się zrodzić myśl, że ty i księżniczka macie odrębne zdanie na jakikolwiek temat. Uważaj, żeby ciebie też nie dopadła rodzinna choroba - powiedział, rzucając mi złośliwe spojrzenie. - Pamiętasz, jak skończył stary król? Obśliniony i gadający sam do siebie. Ten też oszalał, ot co.
- Oszalał? - wykrzyknęła mama. - Nienawidzi mnie, ot co. A ona go podburza. Jak ja nie znoszę tej kobiety...!
I tak trwało to dalej, skierowane częściowo do mnie, ale głównie przeciwko stryjowi, parę gorących słów z tego tryskającego gejzera dotknęło również Lehzen, jakby w ogóle

miała z tym cokolwiek wspólnego. Blask złotego kluczyka przygasał, a pręty klatki potężniały, solidne jak nigdy.
- Czy mogłabym porozmawiać o tym na osobności z lordem Melbourne? - zapytałam wreszcie w słabym przebłysku nadziei. - Może on by mi doradził, co najlepiej...
- Oczywiście że nie! - ucięła mama z irytacją. - Cóż takiego miałby ci powiedzieć, czego ja bym nie mogła? Uważasz, że obcy człowiek wie lepiej, co jest dla ciebie dobre, niż rodzona matka?
- To nie jest kwestia tego, co ona uważa - oświadczył Conroy ponuro. - Te jej fanaberie i nielogiczne myślenie są dowodem kompletnej niedojrzałości i słabości umysłu... jeśli nie czegoś jeszcze gorszego. Pozostaje nam mieć nadzieję i modlić się, że to nie to... Tak czy inaczej, oczywiste, że jest głupawa i nigdy nie będzie w stanie samodzielnie rządzić krajem. Zawsze powtarzałem, czyż nie, księżno, że nie wszystko z nią w porządku? Każdy dzień, każde wypowiedziane przez nią słowo utwierdza mnie w tym przekonaniu. Bez nas nie przetrwa nawet minuty, a kraj pogrąży się w chaosie.
Łzy, tak często ostatnio napływające mi do oczu, zapiekły mnie pod powiekami, ale zdołałam je powstrzymać.
- Co mam w takim razie zrobić? Muszę odpowiedzieć na list króla.
Wymienili pytające spojrzenia, a potem mama powiedziała:
- Naszkicuję ci odpowiedź. Zostaw mnie teraz samą, idź do Lehzen. Potwornie mnie to rozstroiło. Czuję, że nadchodzi migrena.
Zostawiłam ich więc, nieszczęśliwa i zdenerwowana tak bardzo, że nie zeszłam tego wieczoru na obiad, chociaż jedzenie było właściwie jedyną moją pociechą. Nie wiem, czy mamę rozbolała głowa, za to mnie bardzo i w końcu położyłam się wcześniej do łóżka, kompletnie wyczerpana.
Następny dzień upłynął na wymianie listów między lordem Melbourne i mamą, która chciała wysondować, czy i na ile rząd jest zaangażowany w tę sprawę, czy też oferta wyszła wyłącznie od stryja Wilhelma. Kiedy wreszcie wezwano mnie do mamy, list leżał gotowy - nie szkic, a gotowy dokument -i kazano mi go przepisać i podpisać. Przeczytałam go z rozczarowaniem.

Był napisany ręką mamy, ale treść pochodziła od Conroya. Dobranymi przez niego słowami dziękowałam stryjowi za ofertę, ale usprawiedliwiając się młodością i brakiem doświadczenia, które czynią mnie niezdolną do rozważenia jej szczegółów (tak jakbym nigdy nie myślała o moim

przyszłym dworze! Jakbym nie umiała zrobić tysiąckrotnie lepszego użytku z pieniędzy niż moi prześladowcy!), pisałam, że moim jedynym życzeniem jest, by pozwolono mi żyć jak do tej pory, pod opieką i ochroną mojej drogiej matki, co zaś do pieniędzy, prosiłabym o przyznanie tylko dodatkowej sumy, którą ona mogłaby obrócić na moje potrzeby, jako że zawsze kierowała moimi zajęciami i z dobrej woli zapewniała mi wszystko, czego potrzebowałam.
Zmuszono mnie do przepisania całości bez poprawek, podpisania i wysłano list. Ten jeden, jedyny raz ustąpiłam pod ich naporem w ważnej sprawie, ale zaraz potem pobiegłam do mojego pokoju do Lehzen i powiedziałam jej, że nie ja jestem autorką odpowiedzi i że zmuszono mnie do złożenia podpisu.
Króla nie udało się im jednak oszukać. Kiedy przeczytał odpowiedź, warknął:
- Wiktoria tego nie pisała - i chciał zająć się tą sprawą, ale lord Melbourne, jak mi potem wyznał, odwiódł go od tego.
Drogi lord M.; kiedy zostałam królową, powiedział mi, że nie miał najmniejszego pojęcia, jakie poniżenie i szykany znoszę w pałacu Kensington - inaczej „narobiłby niezłego huku". Ale rzeczy miały się, jak się miały, ostrzegł więc króla, że wigowie mają trudności i kolejna kłótnia z mamą, zwłaszcza dotycząca tak poważnej kwestii, dostarczy torysom argumentów nie do odparcia. Wskazał, że mama ma silną pozycję, ponieważ według prawa, dopóki nie osiągnę dwudziestu jeden lat, jestem pod każdym względem, wyjąwszy możliwość dziedziczenia tronu, niepełnoletnia; podkreślił też, że aby osiągnąć swój cel, nie zawaha się wzbudzić w ludziach współczucia, przedstawiając ofertę króla jako próbę oderwania bezradnego, skłonnego do płaczu dziecka od pełnej poświęcenia, oddanej matki.
Sir Herbert Taylor poparł lorda Melbourne i dodał, że warto
125
ponieść niemal każde poświęcenie, aby uniknąć kolejnej żenującej publicznej kłótni między członkami rodziny królewskiej. Stryj Wilhelm, zmęczony tym wszystkim, ustąpił im w końcu.
- Prawda jest taka, że księżna i król John - powiedział stryj z przekąsem - chcą pieniędzy. Zrzuciła wreszcie maskę, ale jeszcze ją pokonam.
Pokonaliśmy ją (a raczej Conroya) wspólnie. Mój biedny stryj był już bardzo chory w tym czasie, ale wciąż przez wzgląd na mnie trzymał się życia, choć musiało go potężnie zmęczyć. Moje urodziny nadeszły dwudziestego czwartego maja 1837 roku wśród kłótni o kontrolę nad moimi finansami. Od tego dnia przestała istnieć kwestia regencji, ale Conroy wciąż żywił głębokie przekonanie, że poprzez mamę, ustanowioną moją opiekunką dopóki nie uzyskam pełnoletności, rozciągnie nade mną kontrolę co najmniej na trzy następne lata i że zmusi mnie do ustanowienia go moim osobistym skarbnikiem i osobistym sekretarzem. Myślę, że w tym czasie wierzył już we własne kłamstwa - że jestem tępa, chwiejnego charakteru, nawet odrobinę stuknięta.
Po tym, co się wydarzyło z powodu listu od króla, starałam się rozmawiać z mamą tylko wtedy, gdy to było absolutnie konieczne, przebywać z nią jak najkrócej, w towarzystwie prawie się nie odzywałam, jeśli ona słuchała. Atmosfera napięcia była nie do zniesienia. Myślałam, że samo dojście do pełnoletności rozwiąże wszystkie moje problemy, tymczasem dzień po dniu było coraz gorzej. Królowi polepszyło się nieco pod koniec maja, ale drugiego czerwca znowu stan jego zdrowia się pogorszył. Conroy oszalał i wraz z mamą i Karolem nie dawali mi spokoju przez całe godziny, na przemian zastraszając i tyranizując, grożąc i pochlebiając, robiąc wszystko, co tylko w ich mniemaniu mogło mnie skłonić do podpisania obietnicy, że przyznam Conroyowi stanowiska, których pragnął, gdy tylko zostanę królową. Znękana, sponiewierana jak szczątki rozbitego statku miotane sztormową falą, znalazłam przecież w sobie dość siły, aby trwać w oporze -pomagała mi myśl o dzielnym starym człowieku, trwającym uparcie przy życiu, aby mnie ochronić.
Czternastego czerwca stan króla pogorszył się dramatycznie
126
i pobierałam nauki tylko od dziekana Chester, który przychodził do nas każdego ranka, wszelkie inne lekcje zostały odwołane. Siedziałam w swoim pokoju z Lehzen, spędzając długie godziny w oczekiwaniu na wezwanie, kazałam sobie tutaj przynosić posiłki i rozmawiałam wyłącznie z moją guwernantką i nauczycielem. Poza drzwiami mojego pokoju mury starego pałacu zdawały się

wzdragać i kurczyć od nie kończących się dyskusji między mamą, Conroyem i Karolem na temat tego, do czego jeszcze mogliby się posunąć, aby przeprowadzić swoją wolę. Karol powiedział mi później, że Conroy zaproponował zamknięcie mnie na klucz i trzymanie o chlebie i wodzie, dopóki nie zgodzę się podpisać zgody na jego nominację; Karol podobno interweniował, uważając, że posuną się za daleko: ostrzegł mamę przed podjęciem takich kroków, rozmawiając z nią po niemiecku, aby Conroy nie zrozumiał. (Karol opowiedział mi to wszystko znacznie później, starając się odzyskać kredyt zaufania, ale wątpię, żeby to akurat jego sprzeciw miał jakieś znaczenie. Jeśli Conroy zaprzestał forsowania tego pomysłu, to prawdopodobnie dlatego, że wątpił, aby mama była zdolna konsekwentnie podobną rzecz przeprowadzić).
Siedemnastego czerwca, jak mi to później opowiedziano, mój biedny stryj wyszeptał do sir Henry'ego Halforda:
- Jutro jest rocznica Waterloo, tak?
- Tak panie... dwudziesta siódma rocznica tego pełnego chwały dnia - odpowiedział sir Henry.
- Chciałbym to jeszcze raz przeżyć. Możesz mnie podreperować, Halford, żebym miał na to dość siły? Chciałbym zobaczyć zachód słońca nad Waterloo.
Sir Henry zrobił, co w jego mocy. Następnego dnia, w rocznicę bitwy, przyszedł Książę i przyniósł flagę francuską, którą zdobył, walcząc. Nadchodząca śmierć przytępiła wzrok króla.
- Rozwiń ją, niech ją poczuję - wyszeptał. Przeciągnął po fladze dłońmi i uśmiech przemknął przez zmęczoną twarz. -Świetnie, świetnie. Aleśmy ich wtedy sprali. Na Boga, chwalebny to był dzień, zgadzasz się, Książę?
Bohater narodowy Anglii zamamrotał coś na potwierdzenie.

Król odwrócił twarz na poduszce, szukając w mroku, który zaczął mącić jego źrenice, oczu Księcia.
- Zaopiekuj się nią, Książę - wyszeptał z naleganiem. -Przypilnuj, żeby ją potraktowano sprawiedliwie.
- Wypełnię mój obowiązek wobec kraju i korony należycie, jak zawsze, panie - odparł Książę.
- Tak, tak - powiedział król z ulgą. - Wiem, że tak. Dziewiętnastego po południu mąż Feo, Ernest Hohenlohe
(był kuzynem cioci Adelajdy i gościł u niej w Windsorze), przybył do pałacu Kensington, aby się ze mną zobaczyć. W obecności mamy poinformował nas, że król niknie w oczach, lekarze uprzedzili królową, iż może nie przeżyć nocy. Płakałam, bo choć jego śmierć niosła mi wolność, kochałam go szczerze, dobrego, dzielnego starego króla, który był wobec mnie zawsze taki szlachetny. Niewielu miałam w życiu ludzi do kochania. Potem Ernest znalazł jakiś sposób, aby porozmawiać już tylko ze mną; przekazał mi pozdrowienia od cioci Adelajdy, zapewniającej, że stale o mnie myśli (jakie to było do niej podobne: zadbać o przekazanie mi wiadomości w takim momencie!).
- Posłuchaj, Wiktorio - dodał, mówiąc cicho i szybko -mam coś jeszcze do powiedzenia, tylko tobie, mama nie może tego usłyszeć. - Udało mi się zdusić płacz, on mówił dalej: -Król prosił, abym ci powiedział, że nie uda mu się dłużej wytrwać. Gdy zostaniesz królową, powinnaś natychmiast posłać po lorda Melbourne i zapewnić go, że zamierzasz współpracować z nim i jego ministrami. Możesz im całkowicie ufać, ponadto ochronią cię przed pewną osobą.
- Dobrze - zdołałam wyszeptać, choć dławiły mnie łzy. Umierając, myślał o mnie i o kraju. Godnie pełnił obowiązki króla. Modliłam się, by być do niego w tym podobna i równie dzielna, gdy mój czas nadejdzie.
Umarł w nocy. Nie mogłam się z nim pożegnać ani mu powiedzieć, że wiem i doceniam, ile dla mnie zrobił.

26 marca 1900.

Tamtej nocy musiałam spać jak kamień, ponieważ nie słyszałam, jak mama wstawała; o piątej rano przybyli goście

i odźwierni nie chcieli ich wpuścić. Równie niechętnie musiała się do nich odnieść mama, ponieważ wróciła do sypialni dopiero o szóstej. Potrząsnęła mną łagodnie.
- Obudź się, dziecko. Wstawaj, Wiktorio. Arcybiskup Canterbury jest tutaj i chce się z tobą widzieć.
- Arcybiskup? - zapytałam sennie, siadając w łóżku.
- Tak. I lord Conyngham. Pośpiesz się, nie powinnyśmy dać im czekać.
Rozbudziłam się natychmiast. Poczułam nieprzyjemne uczucie ssania w dołku, wiedziałam bowiem, co ich wizyta może oznaczać. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Lehzen i była tutaj; odsuwała zasłony z okna. Na dworze było już jasno, mieliśmy przecież środek lata, słońce rzucało ukośnie jeszcze blade promienie, skądś dochodził głos drozda, powtarzającego tę samą frazę. Mama odwinęła prześcieradła, opuściłam nogi i zadrżałam, gdy moje bose stopy zetknęły się z chłodną podłogą. Lehzen podeszła, spojrzałam jej w oczy, ale nic z nich nie wyczytałam: ani ożywienia, ani triumfu. Poszukałam palcami stóp rannych pantofli, a Lehzen wzięła leżący na końcu łóżka bawełniany szlafrok i podała mi go; wsunęłam ręce w rękawy i owinęłam się nim, czując jej dłonie układające luźno na plecach moje włosy.
- Chodź, dziecko - powiedziała mama, a w jej głosie brzmiało lekkie... zniecierpliwienie czy obawa? Podniosła świecę w srebrnym lichtarzu, którą odstawiła na podłogę, aby mnie obudzić, wzięła mnie za rękę i poprowadziła do drzwi. -Lehzen, weź sole - rzuciła przez ramię. - Na wszelki wypadek...
Na wszelki wypadek? Ależ nie zemdleję, pomyślałam, na pewno nie dzisiaj, chociaż czułam lekki przestrach, może nawet przerażenie. Czekało mnie niezwykłe nowe doznanie, coś, czego żadna kobieta nie doświadczyła od ponad stu lat. Czułam się dziwnie osłabiona, a jednocześnie podekscytowana w jakiś dziwaczny sposób - niemal fizycznie, niemal jakbym doznawała czegoś grzesznego. Przeszłyśmy przez przedpokój do tylnych schodów, ciemnych, stromych, wąskich, po których nigdy nie pozwalano mi chodzić samej. Mama trzymała moją dłoń mocno, a jej własna była zimna jak kamień omywany wodami potoku. Wolną ręką przytrzymywałam białą

koszulę nocną, ale nie spoglądałam na schody, choć światło świecy rzucało na nie zdradliwe cienie. Duch Amy Robsart rozpłynął się w nicości. Wiedziałam, że nie spadnę. Byłam we władzy potężnej siły; to On prowadził mnie konsekwentnie na spotkanie tego, czemu nikt nie był w mocy przeszkodzić. Moje stopy pokonywały stopnie pewnie i szybko, ledwie dotykając ich powierzchni. Przy drzwiach salonu przystanęłam. Były otwarte, zasłony w oknach odsunięte, światło słoneczne wpadało do pokoju. Zobaczyłam trzy postaci stojących mężczyzn, wysokich (wszyscy mężczyźni wydawali mi się wysocy przy moim wzroście, jako że miałam mniej niż pięć stóp), ubranych na czarno (ich nogi wydawały mi się pajęczo długie w czarnych wąskich pantalonach), o posiwiałych głowach i bladych twarzach. Trzecim mężczyzną był sir Henry Halford, lekarz króla. Musiał czuwać przy stryju, gdy ten umierał, pomyślałam.
Moje oczy zarejestrowały to w ciągu sekundy, potem odwróciłam się, wyjęłam mamie świecę z ręki (zupełnie automatyczny gest, bo przecież nie była potrzebna) i powiedziałam:
- Wejdę sama.
Krótkie zdanie, ale mój głos wzniósł się triumfalnie na końcu i poznałam po oczach mamy, że to do niej dotarło -straciła mnie, nieodwołalnie i tak blisko celu. Rzuciłam przelotne spojrzenie Lehzen, zostawiłam je - wolno mi było to uczynić; już zawsze będzie wolno - i weszłam sama do salonu. Trzej mężczyźni, zobaczywszy mnie, wykonali zachwycający i ekscytujący gest: wszyscy ugięli kolana, jak konie, gdy umierają - dorośli mężczyźni, przyklękający przede mną!
Lord Conyngham, lord Chamberlain, przemówił:
- Pani, mam smutny obowiązek poinformować cię, że twój stryj, król Anglii, zmarł. - Głos mu się załamał, zobaczyłam łzy na jego twarzy. - Wydał ostatnie tchnienie dwadzieścia minut po drugiej w nocy - mówił dalej - i teraz ty, pani, jesteś królową Anglii.
Gorąco przeniknęło mnie na te słowa, jakby ogarnął mnie słup ognia, wyciągnęłam rękę; ramię trzymałam prosto jakbym była wysłannikiem bogów. Lord Conyngham ujął moją

dłoń i ucałował ją; poczułam muśnięcie wilgotnych od łez warg i świadomość tego, co się wydarzyło, przeniknęła mnie do głębi, stała się częścią mojej osobowości. Osoba tak szacowna, markiz, lord Chamberlain, dojrzały mężczyzna - klęczał przede mną i całował moją dłoń, składając mi hołd. Zaczynało się prawdziwe życie. Nareszcie byłam wolna, królowa Anglii - nikt nigdy, ale to przenigdy nie zmusi mnie do robienia czegoś, czego nie chcę.

27 marca 1900.

Przejrzałam swój dziennik w poszukiwaniu opisu tego dnia, pierwszego dnia mojego panowania i zobaczyłam, że każdy zapisek dotyczy tego, co robiłam i że widziałam się z tą osobą sama, i z tą, i z jeszcze inną sama! Od momentu, gdy zostawiłam mamę przed drzwiami salonu do chwili, gdy powiedziałam jej „dobranoc" wpół do jedenastej wieczorem, ledwo parę razy na nią spojrzałam. Teraz piszę o tym ze smutkiem, ale wtedy, nawet gdyby przyszło mi na myśl, że zadaję jej ból, ignorując jej obecność, uznałabym, że zasługuje na tę karę. Sprawy tak się między nami miały, że nic podobnego oczywiście w ogóle nie przyszło mi na myśl. Co do Conroya, to natychmiast zabroniłam mu się pokazywać w pobliżu mnie; wśród wielu rzeczy, które zdarzyły się tego pracowitego dnia, niewiele przyniosło mi większą satysfakcję niż oddalenie go z mojego dworu. Nie mogłam go niestety zwolnić ze służby u mamy i to, że sama tego nie zrobiła, wiedząc, jak go nienawidzę, znacząco wpłynęło na nasze wzajemne stosunki w ciągu następnych trzech lat.
Co królowa Anglii miała do zrobienia tego dnia? Przede wszystkim poszła do swojego pokoju i ubrała się - na czarno, oczywiście, z powodu śmierci stryja Wilhelma. Miałam tylko jedną czarną suknię, ufarbowaną - z nienajlepszym skutkiem, niestety - kiedy na dworze obchodzono żałobę po śmierci matki cioci Adelajdy. Z jakim obrzydzeniem mama nosiła żałobę po matce kobiety, której nienawidziła i którą pogardzała! Myślę, że właśnie z tego powodu poleciła ufarbować nasze stare suknie, zamiast zamówić nowe - bo przecież choć zawsze brakowało nam pieniędzy, nigdy dotąd nie wahała się

wydawać ich na stroje. Byłam zbyt podekscytowana, aby zwracać uwagę na to, co mam na sobie. Kiedy się ubrałam, zeszłam na śniadanie, czułam się bowiem potwornie głodna -zmitrężyłam tylko chwilę, aby wydać zwięzłe rozkazy przeniesienia mojego łóżka, lalek, książek i chińskiej porcelany z pokoju mamy do mojego własnego. Co czuła, gdy zobaczyła ten niezaprzeczalny dowód naszej separacji? Obawiam się, że triumfująca nowa królowa ani o tym myślała, ani o to dbała.
Przy śniadaniu towarzyszył mi doktor Stockmar (przysłał go kilka tygodni temu wuj Leopold z misją naprawienia stosunków między mną a mamą; nie powiodła się, oczywiście), który udzielił mi paru bardzo sensownych rad i uspokoił rozedrgane nerwy. Po śniadaniu znalazłam czas na napisanie dwóch listów: jednego do Feo, drugiego do wuja Leopolda (z jaką przyjemnością podpisywałam go „szczerze oddana i przywiązana do ciebie siostrzenica, Wiktoria R.!), a o dziewiątej byłam gotowa do swojej pierwszej audiencji dla premiera, lorda Melbourne.
Przyjęłam go sama, tak jak sobie to przyrzekłam w swoim dzienniku. Skłonił się nisko, ucałował moją dłoń, a kiedy się wyprostował, spojrzał mi prosto w oczy - jasnym, szczerym, niosącym spokój spojrzeniem, za które od razu go pokochałam. Przez całe życie zachowałam umiejętność szybkiego osądzania ludzi; od jednego spojrzenia, po kilku wypowiedzianych słowach mogłam osądzić ich charakter i motywy, którymi się kierowali - i rzadko się myliłam. Zrozumiałam po jednym jego spojrzeniu, od jednego dotyku jego ręki, że mam do czynienia z człowiekiem prostolinijnym, uczciwym, mądrym i dobrym, a że był ponadto nadzwyczaj przystojnym i atrakcyjnym mężczyzną, ja zaś młodą, skłonną do uniesień dziewczyną, która nie miała dotąd kogo kochać, natychmiast oddałam mu swoje serce - i w istocie mogę powiedzieć, że on mi również swoje.
Powiedziałam mu, że już dawno zdecydowałam, by on i jego ministrowie pozostali u steru rządów i dodałam, że nie mogłabym sobie wyobrazić, by władza spoczywała w lepszych rękach, co jak zauważyłam, sprawiło mu przyjemność. Poinformował mnie, że o jedenastej zbierze się Rada

- „jeśli to odpowiada Jej Królewskiej Mości" - wyjaśnił, co będzie przedmiotem spotkania i wręczył szkic oświadczenia, które powinnam wygłosić. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę i widziałam, że z każdym zdaniem aprobuje mnie coraz bardziej; emanował ciepłem i szczerością, upajałam się tym i stopniowo ogarniało mnie rozkoszne poczucie bezpieczeństwa, którego dotąd nie zaznałam. Czułam, że nareszcie mam przed sobą kogoś, kto bierze moją stronę, rozumie mnie i będzie chronić; mężczyzna nie tylko mający dość serca i woli, ale i władzy, aby stać się moim mistrzem i przewodnikiem. Czułam, że mogę na nim polegać z całkowitą ufnością; jeśli on będzie mnie wspierał, przezwyciężę wszelkie trudności i pułapki związane z moją pozycją. Czekały mnie uroczystości, protokół, etykieta, a przecież byłam boleśnie nieśmiała i nie obeznana ze światem (i co gorsza, z dworem) - ale on przeprowadzi mnie bezpiecznie przez wszystkie rafy.

Zanim zeszłam do członków Rady Przybocznej, miałam czas skreślić wiadomość dla cioci Adelajdy (która przecież nie zaniedbała przesłać mi paru słów, nawet gdy jej mąż umierał). Zaadresowałam ją „Do Jej Królewskiej Wysokości w Windsorze" i wręczyłam Lehzen do wysłania. Pochyliła się i szepnęła mi, że właściwy adres powinien brzmieć: królowa wdowa.

- Jestem w pełni świadoma, że sytuacja Jej Królewskiej Mości się zmieniła - powiedziałam pośpiesznie. - Z pewnością ona również. Nie chcę być pierwszą osobą, która jej o tym przypomni. Wyślij to w takiej formie.

A potem zeszłam do Czerwonej Sali.

Wydało mi się, że czeka tam na mnie tłum mężczyzn, kiedy stanęłam samotnie w drzwiach, i przez moment poczułam się mała i całkowicie bezbronna; poczułam, jak rumieniec oblewa mi policzki pod tymi wszystkimi utkwionymi we mnie spojrzeniami; we mnie, której aż do dzisiejszego dnia nie pozwalano bez przyzwoitki przebywać w towarzystwie żadnej osoby płci męskiej mającej więcej niż siedem lat. Ale zaraz rozpoznałam twarz lorda Melbourne, posłał mi uspokajające spojrzenie i leciutko kiwnął głową i nagle ogarnął mnie spokój. To, że jestem kobietą, nieoczekiwanie wydało mi się

moją siłą, a nie słabością; świadomość, że jestem wśród nich jedyną kobietą, sprawiła mi przyjemność; tym większą, że na mnie jednej skupiała się ich uwaga.

Pierwsi podeszli do mnie moi starzy stryjowie Sussex i Cumberland - wystarczająco przerażający obydwaj, aby zatrwożyć samym swym widokiem bojaźliwe serce. Wzięli mnie pod ręce i zaprowadzili do tronu (a właściwie krzesła z jadalni mamy), a lord M. powiedział mi później, że Greville uznał ten widok za osobliwy, jakby Piękną prowadziły dwie Bestie. Kiedy usiadłam, zaczęłam czytać oświadczenie i zniknął nawet cień zdenerwowania, wiedziałam bowiem, że mój głos brzmi słodko i dźwięcznie i dociera do najdalszych uszu, nawet tych o przytłumionym słuchu; to zawsze podnosi samopoczucie, jeśli wiemy, że coś robimy dobrze. Potem nastąpiła przysięga i wielu z nich przyklękało przede mną, całując moją dłoń - niektórzy, jak Książę czy lord Palmerston, już sławni i dostojni, jakby zstąpili z kart historii - i zawsze, gdy ogarniał mnie choć cień wątpliwości, co robić, lord Melbourne czuwał w pobliżu, jego oczy były gotowe spotkać moje. Kiedy było po wszystkim, wyszłam i czekałam z niecierpliwością w swoim pokoju na lorda Melbourne, aby go wypytać, co o mnie mówili.

- I co? - zapytałam, kiedy zostaliśmy sami. - Czy byli ze mnie zadowoleni?

Zobaczyłam, że twarz ma jeszcze wilgotną od łez. W tamtych czasach nie uważano, że mężczyźnie nie przystoi płakać, a lord M. zawsze łatwo się wzruszał.

- Zadowoleni, pani? - spytał drżącym głosem. - Oddaliby za ciebie życie!

Poczułam, że policzki mi płoną.

- Naprawdę?

- Ależ naprawdę. Jeszcze na dobre nie znikłaś im z oczu, a już wkoło rozbrzmiewały pochwały na twój temat.

- Powtórz mi, co o mnie mówiono - zażądałam. Próżna mała istota! Ale nigdy przedtem nie dane mi było słyszeć komplementów z męskich ust i pragnęłam ich jak kania deszczu.

- Sir Robert Peel, pani, był pod wielkim wrażeniem godności i opanowania, jakie okazywał Jej Majestat. Croker podziwiał
134
dźwięczny, piękny głos, a Greville stanowczość w interesujący sposób przemieszaną z, jak to określił, uroczą nieśmiałością.
- Och! - Niemal odjęło mi mowę z zadowolenia. - Co jeszcze?
- Książę powiedział, że Jej Wysokość wypełniła sobą nie tylko krzesło, ale cały pokój.
- On tak naprawdę powiedział? - Książę Wellington, bohater spod Waterloo, chluba całego narodu mówiący coś takiego o mnie!
Wreszcie się nasyciłam.
- Pragnęłabym, lordzie Melbourne, abyś zawsze przekazywał mi, co o mnie mówią przy takich okazjach... swobodnie i szczerze. Chciałabym zawsze wypełniać swoje obowiązki właściwie. Proszę, nie obawiaj się mówić ze mną szczerze.
- Zawsze powiem prawdę - obiecał poważnym tonem. -Jej Wysokość może prosić o wszystko, a ja dołożę starań, aby jak należy wypełnić jej żądania.
- Jestem pewna, że tak będzie - powiedziałam ciepło i nie pomyliłam się.
Reszta dnia upłynęła mi na rozlicznych zajęciach i najbardziej cieszyło mnie poczucie, że to, co robię, jest takie przydatne, zwłaszcza po długim jałowym okresie mojej młodości - a także ważne. Inne dziewczęta wyszywały parawaniki, torebki, szkicowały, grały na pianinie; ja odbywałam audiencje (z arcybiskupem Canterbury, ministrem spraw wewnętrznych, koniuszym królewskim i innymi), rozdzielałam stanowiska (Clark został moim osobistym lekarzem, Lehzen damą dworu - pozycja raczej honorowa, tak że nie powinno to wzbudzić niczyjej zazdrości), wydawałam rozkazy (na przykład, że od tej pory imię Aleksandryna będzie opuszczane w oficjalnych dokumentach - w konsekwencji zostałam po prostu królową Wiktorią i tak też proklamowano to następnego dnia). Napisałam jeszcze kilka listów, uzupełniłam dziennik, zjadłam samotnie obiad w moim pokoju; rozmawiałam ponownie ze Stockmarem; po raz czwarty i bardzo przyjemnie z lordem Melbourne; o wpół do jedenastej położyłam się wreszcie do łóżka, w moim własnym pokoju, którego po raz pierwszy w życiu z nikim nie dzieliłam. Wyciągnęłam się
135
wygodnie pod prześcieradłem, oddając się błogiemu uczuciu, że znikła ciasnota wokół mnie - nie tylko w pokoju; w sercu, umyśle, całym moim jestestwie. Więziona, tłamszona przez całe dotychczasowe życie, jak ptak w ciasnej klatce, w której nie sposób otworzyć skrzydeł, a co dopiero zrobić z nich użytek! Nie mogą mnie już dłużej trzymać w klatce!
Ten pierwszy dzień był zaprzeczeniem wszystkich dotychczasowych: godziny czuwania upłynęły mi na rozmaitych ważnych zajęciach, w towarzystwie ludzi, na rozmowach; godziny snu miały mi upłynąć samotnie, pod ochroną prywatności. Och, jakież to było dobrodziejstwo!

Część Druga.
WIOSNA.

Rozdział Szósty.
29 marca 1900 w Windsorze.

Kiedy zaczęłam tę relację z mojego życia, napisałam, że robię to dla samej siebie i nikt więcej nie będzie jej czytał. Ale dzisiaj przejrzałam kilka zrelacjonowanych przeze mnie epizodów z dzieciństwa i odkryłam, że jednak są do kogoś adresowane. Przed paroma dniami podeszła do mnie Beatrycze, najwyraźniej zaciekawiona, co też piszę, a ja odruchowo zakryłam stronicę ręką, nie chcąc, by ją czytała. Ta niekontrolowana reakcja uświadomiła mi, dla kogo nie piszę. Ludzie nie chcą znać prawdy, jeśli dotyczy ich samych; bywa bowiem nieprzyjemna. Gromadzimy półprawdy o sobie równie skrzętnie jak miłe nam drobiazgi w pokojach i nie lubimy, gdy ogląda je ktoś obcy i

szacuje ich prawdziwą wartość.
Tym silniej narzuca się pytanie: dla kogo piszę? Jeśli nie dla tych, którzy mi teraz towarzyszą, to może dla przyszłych pokoleń, zrodzonych, gdy ja już od dawna będę zapomniana leżeć w grobie. No cóż, nie tak całkiem jednak zapomniana. Jestem królową Anglii - umieszczą mnie w książkach do historii. Ale to o królowej będą pamiętać, Wiktorię zapomną. Kiedy ostatni człowiek, który mnie znał, umrze, stanę się równie bezosobowa jak inne postaci z historii; podkolorowane, przypominające istotę człowieczą, ale nieprawdziwe - jak figury sławnych ludzi w Staffordshire. Może jednak nie wrzucę tego dziennika do ognia, gdy go ukończę. Może go zwyczajnie ukryję po to, by został któregoś dnia w przyszłości odkryty. Jeśli wpadnie w ręce niewłaściwej osoby - i tak spłonie, ale muszę zaryzykować. Nie ma
137
w życiu niczego pewnego, jak powtarzał lord ML, z wyjątkiem śmierci i podatków.
Nagle straszliwie za nim zatęskniłam. Królowe żyją wyniesione na piedestał i samotne; toteż bardzo sobie cenią tych nielicznych, którzy potrafią zasypać tę przepaść. Lord Melbourne nie był typem służalczego dworzanina. Mądry człowiek, zdawał sobie sprawę, że panujący są wystawieni na pochlebstwo i zwodzenie i zawsze, konsekwentnie, jak mi to obiecał pierwszego dnia mojego panowania, mówił mi prawdę, nawet jeśli wolałabym jej nie usłyszeć. Cóż, w miarę, jak mi przybywa lat, z coraz większym zadowoleniem przyjmuję, gdy ktoś utwierdza mnie w moich przekonaniach, jak zresztą wszyscy, ale jeśli jednak zachowałam zdolność krytycznego osądu - choć przez sześćdziesiąt lat powtarzano mi, że mam rację - zawdzięczam to lordowi M. Kochał mnie gorąco, lecz nie ślepo; powściągał moją skłonność do przesadnego reagowania, lecz nie tłumił entuzjazmu; kierowany własną uczciwością, umacniał mnie w skłonności do szczerego wyrażania opinii, lecz osłabiał nieco (ach, jaka szkoda, że nieco!) wrażenie dzięki swojemu taktowi.
- Jeśli chcesz, pani, zyskać na kogoś wpływ, musisz zacząć od pochwały - poradził mi kiedyś. - Łajając, nie zyskasz przyjaciela.
O ile pamiętam, mówiliśmy wtedy o lordzie Lundhurst, jednym z moich dworzan.
- Ale ja go nie lubię - oświadczyłam, jakby to wyczerpywało wszelkie argumenty. - To zły człowiek.
- Czyli należy do tej kategorii ludzi, którzy stanowią większość w rodzaju ludzkim - odparł z uśmiechem.
- Do której ty, panie, się nie zaliczasz - powiedziałam ciepło.
- Żadna w tym moja zasługa, pani - stwierdził z głębokim westchnieniem. - Tylko przez wrodzone lenistwo nie zostałem niegodziwcem. Grzeszenie pochłania wiele energii, a przecież wiesz, że zawsze podrzemuję przy oficjalnych okazjach.
Nie dalej jak na dzień przed tą rozmową skarciłam go za tę słabostkę i lekcja, której mi udzielił, zakończyła się śmiechem, jak zresztą zawsze.
Parlament nie zezwolił mi na wybranie prywatnego sekretarza,
138
jakich mieli stryjaszek król i stryj Wilhelm, w obawie, aby osoba wyniesiona na tę pozycję nie zyskała na mnie przemożnego wpływu. Zgodnie z tradycją sekretarzem królewskim zostawał premier; w praktyce żaden nie pełnił tego rodzaju obowiązków, była to godność czysto tytularna; lord M. czynił swą powinność na serio: doradzał mi, szkicował projekty listów, nawet trzymał bibularz, by go przyłożyć do mojego podpisu. Zawsze obecny u mojego boku. Jakże wzbogacał moje dni, udzielając wskazówek, ucząc, bawiąc -a przede wszystkim okazywał, że mnie akceptuje, dzięki czemu moja osobowość mogła nie tylko okrzepnąć; rozkwitała od okazywanej mi szczodrze uwagi. Przyszła kiedyś taka chwila, gdy mama, zżerana zazdrością, wysyczała pod moim adresem ostrzeżenie: „Uważaj, lord Melbourne nie jest królem!". To, czego się obawiała, było całkowicie niemożliwe: zbyt często, gdy dorastałam, straszono mnie losem króla Jana, abym chciała scedować choć część mojej władzy na kogoś innego. Niemniej w pewnym sensie lord M. był królem. Dysponował bowiem olbrzymią władzą - jako premier, mój sekretarz, najbliższy towarzysz, nauczyciel i przewodnik w sprawach państwa. Niemniej nigdy, nawet ze strony jego najbardziej zagorzałych przeciwników, nie padł zarzut, nawet sugestia, że wykorzystuje swoją niezwykle

uprzywilejowaną pozycję. Był człowiekiem, w którego szczere intencje nikt nie wątpił i który nigdy nie nadużyłby danej mu władzy.

30 marca 1900.

Niektórzy z moich ministrów usiłują niewdzięcznie obwiniać Bullera i innych generałów za to, że źle idzie w Afryce. Niczego dobrego nie może przynieść osłabianie autorytetu oficerów w oczach ludzi, którymi mają dowodzić. Musiałam przeprowadzić na ten temat ostrą rozmowę z Balfourem, ponieważ wszystko, co się mówi w Izbie Lordów i podczas obiadów proszonych, rozchodzi się natychmiast dalej, a doprawdy dalece niepatriotyczne i niesprawiedliwe jest to stawianie nieszczęsnego sir Redversa pod pręgierzem opinii publicznej. Nikt, kogo tam nie było, nie może znać całej prawdy, a poza tym jak już przedtem napisałam, cywile nie są w stanie
139
zrozumieć wojska. Zresztą w czasie wojny należy podtrzymywać ducha w narodzie, a chociaż uwolniono Kimberley i Ladysmith, Burowie są wyraźnie w odwrocie, to przecież Mafeking wciąż jest oblężone, panuje też opinia, że nowy przywódca Burów, Botha (cóż za nazwiska mają ci ludzie!) jest o wiele skuteczniejszy w działaniu niż jego poprzednik. Tak więc jeszcze długa droga przed nami, choć problem dostaw został chyba wreszcie rozwiązany, teraz gdy Roberts stacjonuje w Bloemfontein.
Czuję się mocno tym wszystkim poruszona i szukam w pisaniu ukojenia. Cóż może mnie bardziej uspokoić niż opowiedzenie o radosnych początkach mojego panowania pod czułą pieczą lorda M. Przypominam sobie pewien wieczór, już po obiedzie, gdy siedzieliśmy w salonie, ja na sofie, a lord M. tuż obok na krześle. Obok mnie leżał zwinięty w kłębek Islay, świeżo kupiony terier, a mój ukochany Dashy rozciągnął się u naszych stóp, z głową opartą na stopach lorda M., pierzasty ogon omiatał moje nogi. Przytrzymywaliśmy oboje z lordem M. księgę ze sztychami, przerzucając niedbale jej karty, stanowiła bowiem pretekst do tego, co uwielbialiśmy - pogawędki. Przynosiły mi ogromną ulgę i pociechę te rozmowy o wszystkim i o niczym, gdy skakaliśmy z tematu na temat. Potrafiliśmy tak przegadać całe godziny, dowcipkując, wymieniając niewinne ploteczki, dzieląc włos na czworo, gdy rozmawialiśmy o najdrobniejszych wydarzeniach, które przyniosło życie; temat, który szczerze interesuje wyłącznie bliskich sobie ludzi. Przyjemność, której nie znałam i - kiedy teraz o tym myślę, mogę powiedzieć, nie zaznałam nigdy potem, ponieważ z Albertem byłam blisko w zupełnie inny sposób. Często w ten właśnie sposób gawędzą ze sobą młode dziewczyny - ale ja przecież nigdy nie miałam przyjaciółki w moim wieku.
W drugim końcu pokoju mama grała w wista z osobą, którą zaprosiłam, co czyniło zadość wymogom etykiety, nakazującej mi widywanie matki, a jednocześnie chroniło przed koniecznością prowadzenia z nią rozmowy. Nie zawsze udawało się nam zapobiec, aby nie zapadała w drzemkę, ale muszę to sobie szczerze powiedzieć: jestem ostatnią osobą,
140
która - zwłaszcza w ostatnich czasach - miałaby prawo ją za to potępiać.
Przewróciwszy kolejną stronę, zapytałam, pokazując palcem uwidocznionego na rycinie mężczyznę:
- Kim on jest? Zabawnie wygląda.
Lord M. pochylił się nad książką i skinął głową. Rzadko doznawałam zawodu - podejrzewam, że umiałby opowiedzieć zabawną historię o każdym człowieku na świecie.
- Ach, to Cambaceres. Drugi konsul Napoleona po zamachu stanu w 1799 roku. Pamiętasz, pani, Triumwirat?
Nie tak dawno przecież uczył mnie o rewolucji francuskiej.
- Ależ tak, pamiętam. Opowiedz mi o nim.
Odchylił się na oparcie krzesła, co oznaczało, że jest odprężony. Uwielbiałam ten widok. Zwykle siedział wyprostowany, trzymając stopy złączone razem, jak nakazywały dobre maniery, ale porwany własną opowieścią, wyciągał przed siebie skrzyżowane nogi i wtedy mogłam go sobie

wyobrazić jako młodego mężczyznę, rozpartego niedbale na kanapie przed kominkiem - i rozprawiającego w nieskończoność. Podobno był wtedy nadzwyczaj przystojny, ale choć czasem marzyłam o wehikule czasu, który umożliwiłby mi zobaczenie go młodego, nie sądziłam, żeby zrobił na mnie większe wrażenie niż teraz, promieniujący wewnętrznym ciepłem, mądrością i dojrzałym wdziękiem, fizycznie doskonały. Wyraziste rysy twarzy, dobra figura i te niezwykle piękne oczy -duże, szaroniebieskie, okolone rzęsami tak długimi, że niejedna kobieta mogłaby ich pozazdrościć; o żywym spojrzeniu i pełne ekspresji.

- No cóż, Cambraces był niezwykłym wprost estetą, miłośnikiem opery, malarstwa i tak dalej. Przede wszystkim zaś smakoszem, rozmiłowanym w rozkoszach stołu.
- W tym akurat jesteście do siebie podobni - wtrąciłam. -Widziałam, jak pochłonąłeś, lordzie, na śniadanie trzy zrazy i jarząbka.

Skłonił się z przesadą (rzecz niełatwa do wykonania na siedząco, ale uczynił to z gracją, jak wszystko, co robił) i powiedział:

- Doprawdy, pani, czuję się zaszczycony okazaną mi uwagą. Niemniej jestem ledwie początkującym adeptem w porównaniu

z Cambaceresem: subtelne smaki, wykwintne sosy były jego pasją. Nie było w całej Francji lepiej opłacanych służących niż jego kucharze, nieudana potrawa, jak powszechnie twierdzono, przyprawiała go o łzy.

- Kiedy w takim razie znajdował czas na pełnienie obowiązków drugiego konsula? - zapytałam, mając na względzie własne świeże doświadczenia w sprawowaniu rządów. - Mam tyle zajęć, że zasiadam wieczorem do stołu z ledwie mglistym pojęciem o tym, co się na nim znajduje.
- Zauważ jednak, pani, że Cambaceres był zwyczajnym figurantem. To Bonaparte sprawował władzę. I oczywiście za nic miał haute cuisine; sięgał myślą daleko i koncentrował się na mniej przyziemnych problemach. Doprowadzał Cambaceresa do rozpaczy, zwołując narady w sprawach państwowej wagi w porze obiadu, nie bacząc na to, że uniemożliwia wszystkim cieszenie się rozkoszami stołu.
- I Cambaceres nigdy się na to nie uskarżał? - zapytałam z zaciekawieniem.
- Trudno uskarżać się komuś, kto planuje podbicie świata na to, że ragout się marnuje. Niemniej kiedyś, w trakcie długiej dyskusji nad konstytucją, Bonaparte zauważył, że Cambaceres kreśli w szalonym pośpiechu jakąś notatkę i zażądał, aby mu ją pokazać. Cambaceres wyraźnie się z tym ociągał, więc Bonaparte, jak każdy dyktator nade wszystko obawiający się zdrady, podszedł do niego i wyszarpnął mu karteczkę z ręki. - Tu lord M. przerwał.
- No więc - wykrzyknęłam podniecona. - Co tam było napisane?
- Wiadomość, która miała zostać przekazana kucharzowi, brzmiała: Sauvez les rótis; les entremets sont perdus.

Wybuchliśmy oboje śmiechem, aż Dash podniósł łeb i spojrzał na lorda M., rozradowany, machając ogonem.

- A to chyba cesarzowa Józefina - powiedziałam, przewróciwszy w końcu następną stronę. - Czy była bardzo piękna?
- Nie tyle piękna, co czarująca. Plus belle encore que la beaute miała jeszcze dużo wdzięku. Poruszała się, jakby płynęła w powietrzu i miała prześliczny głos.

Ucieszyło mnie to bardzo, ponieważ wiedziałam, że tym

samym się odznaczam: ruchami pełnymi gracji i pięknym głosem.

- Czy była wysoka?
- Umiarkowanie.
- Jestem pewna, że to bardzo przydatna cecha, kiedy się jest cesarzową... albo królową - stwierdziłam ze smutkiem. -Jestem taka niska. Wszyscy rosną, tylko nie ja. Obawiam się, że nie będę już wyższa.
- Uważam, że masz pani tyle wzrostu, ile trzeba - powiedział z rozwagą. - Niedostatek paru cali nie musi działać na twoją niekorzyść. Wszyscy od razu widzą, ile masz w sobie godności i jakie

królewskie maniery; gdybyś była wysoką kobietą, uważano by, że część twojego majestatu z tego właśnie wypływa.
- Naprawdę tak sądzisz, lordzie?
- Ależ oczywiście, pani. Przecież wiesz, że nigdy nie wypowiadam pochlebstw.
Popatrzyłam na niego przenikliwie.
- Często żałuję, że nie mam ładniejszych rysów twarzy. Mój nos, na przykład...
Nie próbował mnie przekonać, że jest piękny.
- Jest taki jak nos twojego ojca, pani, członka królewskiej rodziny.
- Wiem, ale za duży w stosunku do reszty twarzy. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.
- Wielokrotnie zaobserwowałem, że ludzie o drobnych rysach twarzy i niewielkich nosach nie są w stanie niczego doprowadzić do końca. - Odwrócił się do mnie profilem i przeciągnął palcem po nosie, który uważałam za niezwykle kształtny, choć na pewno nie uznałabym go za mały.
Wróciłam do przeglądania rycin.
- Czy podoba ci się imię Józefina? Według mnie brzmi niekobieco i surowo.
- Brzmi znacznie ładniej, gdy się je wypowiada po francusku.
- Jak Victoire? - zapytałam podstępnie, ale nie udało mi się wyprowadzić go w pole.
- Nie podoba mi się imię Victoire.

- A które uważasz za ładne? - zapytałam. - Jakie jest twoje ulubione?
- Alicja - odparł po chwili namysłu. - To piękne imię dla dziewczyny.
Poczułam ukłucie żalu, że nie powiedział Wiktoria, ale nie było to przecież i moje ulubione imię. Zapragnęłam go zapytać o jego dziecko i małżeństwo, ale choć rozmawialiśmy dość swobodnie na różne tematy, wiedziałam, że ten jest zbyt bolesny, by go poruszać. Jego żona nie żyła - niesławnej pamięci Caroline Lamb, w istocie na wpół obłąkana, wyczyniająca awantury z powodu lorda Byrona - za życia zaś doprowadzała go do rozpaczy swoimi szaleństwami i niegodnym zachowaniem. Musiał ją w końcu trzymać pod kluczem, a zmarła w efekcie nadużycia alkoholu i laudanum. Dowiedziałam się tego wszystkiego od lorda Palmerstone'a, sama za nic nie zapytałabym o nią lorda M., kochał ją bowiem szczerze i znosił jej wybryki z nadzwyczajną cierpliwością i łagodnością, a gdy umierała, pośpieszył z Irlandii czuwać przy łożu śmierci. Caroline dała mu jedno dziecko, syna, który okazał się niezbyt dobrze umysłowo rozwinięty, cierpiał na epilepsję i zmarł ledwie rok temu, w 1836. Teraz rozumiem, jak bardzo musiał być samotny. Miał oczywiście wielu przyjaciół, także wśród kobiet, na ogół tych najmądrzejszych i najbardziej wyrafinowanych w towarzystwie, ale człowiekowi, zdolnemu kochać tak jak on, nie mogło to przecież wystarczyć. Pragnął się całkowicie poświęcić jednej wybranej osobie, przelać na nią wszystkie uczucia - a tego samego i ja pragnęłam.
Mogłam natomiast rozmawiać z nim o czasie spędzonym w Eaton (znał „Beau" Brummell) i najodpowiedniejszym sposobie wychowywania dzieci. Lord M. nie był orędownikiem pobierania zbyt intensywnych nauk przez dzieci; twierdził, że nie sposób zmienić niczyjego charakteru; wystarczy spojrzeć na Pagetów - żadne nie umie pisać ani czytać, a doskonale dają sobie radę. Dyskutowaliśmy, czy lepsza jest duża, czy mała rodzina („Jeśli w rodzinie jest wiele osób, rzadko się zdarza, by komuś coś dolegało; dolegliwe bywa zbytnie okazywanie komuś uwagi"), co sądzimy na temat lekarzy („Angielscy lekarze zabijają swoich pacjentów; francuscy

pozwalają im umrzeć"), a to sprowokowało wymianę uwag o zębach. To istna udręka, zgodziliśmy się oboje; dlatego też trzeba o nie dbać, stwierdził lord M. Kiepskie zęby oznaczają kiepskie trawienie, a to odbija się na całej reszcie.
- Zęby dokuczały Bonapartemu, także królowej Marii z dynastii Tudorów i proszę pomyśleć tylko, ile oboje narobili zamieszania. On chciał z nas wszystkich zrobić Francuzów; ona papistów. - A potem przypomniał mi cztery przykazania pani Sheridan dla jej dzieci: - Bój się Boga. Czcij króla. Słuchaj rodziców. Czyść zęby.
Śmiałam się długo i serdecznie, a potem powiedziałam:
- Będę musiała je przekazać swoim dzieciom. A jeśli urodzi mi się córka, nazwę ją Alicja -

dodałam wielkodusznie.
- Jeśli urodzi ci się córka, pani, będziesz musiała wybrać razem z mężem jej imię.
- Jestem królową, niczego nie muszę i do niczego nie jestem zobowiązana - oświadczyłam wyniośle.
- Nie zechcesz przecież poślubić człowieka, którego nie będziesz kochać - powiedział - a zatem to ty sama zechcesz wybrać imię dla córki wraz z mężem.
- Rzeczywiście tak - stwierdziłam i na moment nasze oczy się spotkały; poczułam dziwne, podniecające ciepło w dołku i zażenowanie. Nie było to nieprzyjemne. - Ale nie chcę jeszcze wychodzić za mąż - powiedziałam pospiesznie. -Nie ma takiej potrzeby w najbliższym czasie.
- Potrzeby istotnie nie, pani - zgodził się.
Po raz pierwszy byłam zakochana - tak, z perspektywy czasu rozpoznaję to uczucie, choć nigdy nikomu do tej pory się do tego nie przyznałam. Oczywiście, było to tylko preludium do tego, co miało przyjść; poślubiwszy Alberta, czułam lekkie zawstydzenie, czytając ponownie entuzjastyczne wzmianki o lordzie M., jakie poczyniłam w moim pamiętniku. Kochałam Alberta tak mocno, że nie chciałam, by cokolwiek tę miłość uszczuplało; żadne przeszłe ani przyszłe uczucie. Kartki dziennika dawały jawne świadectwo żarliwym uczuciom, jakie żywiłam wobec lorda M.; wprawiało mnie w zakłopotanie i zaprzeczałam im w obawie, że urażę Alberta - bo Albert był zazdrosny, zwłaszcza że mój drogi wspaniały lord M. należał do gatunku ludzi, których mój mąż nie
145
akceptował: nadto wyrafinowanych, nadto cynicznych, nadto światowych. Albert cenił powagę i wartości, a nigdy by nie uwierzył, że byłego premiera cechowała podobna postawa. Kiedy mi powiedział, że moje uczucia wobec lorda M. były mocno przesadne i szczenięco głupie, natychmiast się z nim zgodziłam i uczyniłam na marginesie kart dziennika stosowny dopisek. Posunęłam się nawet tak daleko, że zniszczyłam sporą część korespondencji, jaką prowadziłam w ciągu trzech lat poprzedzających moje małżeństwo, co więcej, czułam się mocno rozczarowana, że dałam z siebie zrobić takiego głupka.
Wykreśliłam zatem z pamięci moją pierwszą miłość, tak jak zaprzeczyłam istnieniu listów i faktów. Kochany lord M. rozbudził moje serce i przygotował na wielkie uczucie, które z czasem przyszło; a wtedy usunął się i pozwolił mi odejść z całą szlachetnością człowieka o prawej, z gruntu dobrej naturze. Nie kto inny jak on doradził mi, bym z ufnością powierzyła swoje sprawy księciu Albertowi, który „tak doskonale wszystko rozumie, ma otwarty, bystry umysł"; posłuchałam jego rady, zaufałam mojemu mężowi bez reszty i pozwoliłam lordowi Melbourne odejść.
Był moją pierwszą miłością, ja jego ostatnią; gdy o nim ostatecznie zapomniałam, dosłownie złamało mu to serce i wkrótce umarł.

30 marca 1900 - koło północy.

Znowu nie mogę spać, tak więc najlepiej będzie kontynuować moją relację. Trzynastego lipca 1837 roku opuściłam stary nędzny pałac Kensington i przeniosłam się do pałacu Buckingham. Miałam być pierwszym panującym, który w nim zamieszkał. Został kupiony jako posag dla mojej prababki, królowej Karoliny i był wówczas zwyczajnym dworem zbudowanym z czerwonej cegły; w 1825 roku stryjaszek król polecił go rozbudować panu Nashowi, tak aby powstał królewski pałac w wielkim stylu. Projekt okazał się zbyt ambitny, jak na posiadane przez stryja fundusze, i kiedy umarł, budowla stała niedokończona i pusta; istna hańba dla korony mimo tylu wydanych pieniędzy. Gdy stryj Wilhelm zasiadł
146
na tronie, wynajął innego architekta do dokończenia dzieła, a przynajmniej doprowadzenia pałacu do takiego stanu, aby można było w nim zamieszkać. Krytycznym uwagom o architekturze nie było końca i stryj Wilhelm doszedł do słusznego wniosku, że pałac nigdy nie będzie gemutlich; odmówił więc przeniesienia się do niego ze Świętego Jakuba, a gdy w 1834 spłonął pałac Westminsterski,

posunął się nawet tak daleko, że chciał ofiarować Buckingham na siedzibę parlamentu. „Będzie to najwspanialszy tego rodzaju gmach na całym świecie" - przekonywał kusząco, ale lordowie najwyraźniej podzielali jego opinię co do urody i przydatności budowli, gdyż niezwłocznie i raczej nie nazbyt grzecznie odrzucili jego ofertę.
Stryj Wilhelm miał rację. Pałac okazał się nieprzytulny i niewygodny. Kominy na przykład zaprojektowano tak nieudolnie, że w wielu pokojach nie sposób było rozpalić ognia (nie mówiąc już o wyczyszczeniu przewodów kominowych bez pomocy wspinających się chłopców, co stwarzało raczej niezręczne sytuacje). Co gorsza, pałac był w dosłownym sensie istną wylęgarnią wszelkiej zarazy, posadowiony na źle osuszonym terenie, z kiepską wentylacją, przesiąknięty z czasem obrzydliwym smrodem; najpodlejsze dzielnice Londynu rozciągały się niemal u jego ścian, przez co nieustannie łobuzeria i szaleńcy forsowali mury i pałętali się po korytarzach. Ale mając osiemnaście lat, zupełnie o to nie dbałam - poza tym trudno mi było nabrać wyobrażenia o luksusie w warunkach, w jakich dorastałam w pałacu Kensington. Buckingham pośpiesznie odnowiono na moje przybycie, a jego pokoje wydały mi się przestronne, przyjemne i wesołe. Ogrody wyglądały atrakcyjnie, a Dash natychmiast poczuł się jak u siebie w domu, biegając po alejkach i ujadając na kaczki i motyle, więc i ja byłam zadowolona.
Korzystając z przeprowadzki, odsunęłam od siebie matkę, bezceremonialnie i niefrasobliwie, jakbym odrywała pąklę od skały. Lehzen zamieszkała w sąsiednim pokoju, połączonym z moim drzwiami, a mamie wyznaczyłam najbardziej odległy od mojego apartament. Wkrótce zaczęła się gorzko uskarżać, że jest zbyt mały i nie może się w nim pomieścić. Miałam ochotę oddalić ją zupełnie za to, że odmówiła zwolnienia
147
Conroya, ale lord M. mi to odradził. Zgodził się wprawdzie ze mną, że mama postępowała głupio, nielojalnie i była hipokrytką (z jakimż zadowoleniem słuchałam tych potępiających określeń!), ostrzegł mnie jednak przed wypowiedzeniem otwartej wojny.
- Ludzie oczekują, że matka będzie cię, pani, otaczać opieką, ponieważ jesteś młoda i niezamężna. Wywołasz skandal, jeśli z nią jawnie zerwiesz stosunki.
- Ale nie muszę jej widywać? - błagałam.
- Powinnaś się z nią pokazywać od czasu do czasu publicznie dla zachowania pozorów, nie musisz natomiast się z nią kontaktować prywatnie. Doradzałbym, abyś powiadomiła ją, pani, że musi prosić o audiencję, ilekroć zechce się z tobą zobaczyć. W ten sposób nie będzie mogła wpadać w każdej chwili, kiedy się tego najmniej spodziewasz.
Podobała mi się myśl o mamie proszącej o widzenie ze mną.
- Cóż, w każdym razie nie zamierzam być dla niej miła -oświadczyłam. - Postępowała ze mną ohydnie.
Potrząsnął głową.
- Zostanie ci to policzone na twoją korzyść, pani, jeśli okażesz jej łaskę i uważanie. Nigdy nie doradziłbym ci niczego, co mogłoby ściągnąć na ciebie najlżejsze nawet zarzuty. Spraw, by mówiono, że zachowanie królowej wobec matki jest nienaganne. - A ponieważ wciąż miałam zbuntowaną minę, dodał łagodnie: - Obawiam się, Wasza Wysokość, że gdybyś chciała naprawdę jej dokuczyć, poczytano by ci to za złe wychowanie.
Niewiele zostało po tym do powiedzenia. Wypełniałam to, co uważałam za jego plan, i robiłam sobie zabawę, zachowując na publiczny użytek nienaganne maniery wobec biednej kobiety, a jednocześnie separując ją skrupulatnie od mojego prywatnego życia i nie pozwalając jej dzielić ze mną żadnych uczuć.
Mama, co prawda, nie była bez winy, a w pierwszych latach mojego panowania zachowywała się najgorzej, jak można sobie wyobrazić: bezustannie utyskiwała, skarżyła się, robiła sceny, oskarżała mnie o chłód i - zaślepiona kobieta! - niewdzięczność wobec sir Johna „po tym wszystkim, co dla
148
mnie zrobił". Co do samego Conroya, okazywał większe poczucie rzeczywistości, i miał poczucie klęski. Niemal w pierwszych dniach mojego panowania (kiedy oddaliłam go ze swojego dworu) zdybał barona Stockmara i wręczył mu list do lorda Melbourne, w którym wyłuszczył swoje

żądania. Baron pospieszył go doręczyć, jak na solidnego posłańca przystało, a wzburzenie lorda M. rosło w miarę, jak czytał kolejne żądania do tego stopnia, że kilka razy upuścił papier na ziemię. Godność para, Czerwona Wstęga Orderu Łaźni, 3000 funtów szterlingów rocznie, miejsce w Radzie Przybocznej - taka miała być cena za to, by zostawił mnie w spokoju. Czyż mama nie była naprawdę zaślepiona?
- Nie może być! - wykrzykiwał lord Melbourne. - Czy ktokolwiek zdobyłby się na podobną bezczelność?
Lord M. skłaniał się ku bezwzględnej odmowie, ale Stockmar przekonał go, że nie będzie spokoju w pałacu, dopóki Conroy go nie opuści; tak więc za moją zgodą niegodziwy człowiek otrzymał dwudziestego szóstego lipca pensję, jakiej zażądał, tytuł baroneta i obietnicę przyznania godności irlandzkiego para, jeśli za rządów lorda M. jako premiera wyłoni się taka możliwość. I oto, co mówi wszystko o tym człowieku: przyjął propozycję, ale nie opuścił dworu mamy. Kiedy lord M. zażądał przez Stockmara wyjaśnień, Conroy oświadczył, że skoro nie jest jeszcze parem, nie uważa, abym ze swej strony wypełniła złożoną obietnicę, a zatem i on nie czuje się zobligowany do dotrzymania swojej. (Tak się złożyło, że lord M. już nie sprawował urzędu, kiedy w końcu zwolniło się w Irlandii miejsce w Izbie Lordów, i ówczesny premier, sir Robert Peel, nie czuł się absolutnie zobligowany do przyznania go Conroy'owi. Ten przyjął odmowę z gorzkim rozczarowaniem i oskarżał nas o brak skrupułów; umarł jako baronet, a przecież nawet na to zupełnie sobie nie zasłużył -wszystko to wydarzyło się oczywiście później; w tamtych latach krążył po pałacu jak zły duch; stwarzanie kłopotów, mącenie zawsze leżało w jego naturze).
Mama, naciskana przez niego, naprzykrzała mi się bezustannym molestowaniem o parostwo dla niego; o miejsce przy dworze; o zaproszenie jego rodziny; pozycję dla córek. „Mam dla sir Johna największy szacunek - pisała mama. -

Nie potrafię zapomnieć, ile dla mnie, a także dla ciebie zrobił; choć spotkało go to nieszczęście, że ci się naraził. Królowa powinna jednak zapomnieć o tym, co uraziło księżniczkę".
Ja zaś odpisywałam: „Jestem zdumiona, że mogłaś mnie prosić, bym go przyjęła, zważywszy na jego zachowanie wobec mnie w przeszłości, a zwłaszcza to, jak niegodnie sobie poczynał na krótko przed moim wstąpieniem na tron. Sądziłam, że całkowicie cię zadowoli to, co dla niego uczyniłam, przyznając mu roczny dochód w wysokości 3000 funtów, który należy się wyłącznie ministrom, i tytuł baroneta. Miałam pełne prawo przypuszczać, iż nie będziesz się domagała niczego ponadto".
Na co ona odpowiadała: „Z pewnością sir John nie jest bez wad, mógł też popełniać omyłki, niemniej jego intencje zawsze były czyste. Nie znasz świata, Wiktorio. Krąży wiele plotek wokół tej sprawy i to mnie unieszczęśliwia. Odwołuję się do miłości, jaką do mnie żywisz. Przez wzgląd na twoją matkę złagodź surowość, z jaką traktujesz sir Johna i jego rodzinę".
I tak bez końca, dręczące listy przeplatane koszmarnymi awanturami, gdy udało się jej ze mną zobaczyć. Czasem gdy pisała z prośbą o spotkanie, kreśliłam po prostu dwa słowa: „Jestem zajęta", czasem - gdy formułowała prośbę w bardziej emocjonalny sposób - lord M. doradzał mi, bym się zdała na niego i odpowiadał w moim imieniu formalnym listem (nie zawsze odnosiło to skutek, na jeden z jego listów mama odpisała: „Zwracam się do ciebie jako mojego dziecka, nie królowej").
Awantury mnie wyczerpywały, a mama czasami nie przebierała w słowach. Dochodziło do tego, że stawałam przed smutną koniecznością przypomnienia jej, kim teraz jestem.
Nie tylko w sprawach dotyczących sir Johna okazywała rażący nierozsądek. Pisała na przykład do przewodniczącego Izby Gmin, domagając się, by przyznano jej tytuł i prerogatywy królowej matki (co mi przypomniało o jej poprzednim żądaniu, by nadano jej tytuł księżnej wdowy Walii, do czego również nie miała najmniejszego powodu rościć sobie prawa). Przewodniczący Izby Gmin uprzejmie, ale nie kryjąc zdziwienia, przekazał mi tę prośbę, a ja odmówiłam, stwierdzając,

że nie przyniesie to nikomu niczego dobrego, na pewno zaś zdenerwuje moje ciotki. Uskarżała się również, że nie okazuje się jej względów pierwszeństwa podczas państwowych uroczystości; rozwodziła się szczegółowo nad związkami łączącymi mnie z postawionymi blisko tronu osobami i wykazywała, dlaczego nie należy się im taka pozycja. Domagała się, abym popłaciła jej długi,

wynoszące wówczas ponad pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów - zrazu, bym spłaciła wszystko, potem uznała, że powinnam czuć się odpowiedzialna za ich lwią część; ona miała uregulować nawet nie połowę, pod warunkiem, jak oświadczyła, iż jej dochód wzrośnie odpowiednio, by była w stanie to uczynić.
Nikt mi nie musiał uświadamiać, że to Conroy maczał w tym palce, nie potrzebowałam również rady kanclerza, aby odmówić. Lord Melbourne poradził mi, abym wystąpiła do parlamentu z prośbą o podniesienie dochodów mamy o osiem tysięcy funtów, czyli do wysokości trzydziestu tysięcy funtów rocznie; umożliwi jej to stopniowe spłacenie długów. Tak też się stało, a lord M. powiedział mi potem, że parlament przegłosował tę podwyżkę wyłącznie ze względu na mnie. Niestety, ledwie w dwa miesiące później otrzymałam od mamy deprymujący list, z którego wynikało, że pieniądze zostały „skonsumowane", długi nie popłacone. Przeciwnie, wzrosły do sumy siedemdziesięciu tysięcy funtów; rachunki dostawców były równie horrendalne jak do tej pory, a cała przyznana jej dodatkowo przez parlament suma rozeszła się nie wiadomo gdzie. Rozgniewało mnie to porządnie, nie widziałam bowiem powodu dlaczego uczciwi, wywiązujący się ze swoich obowiązków kupcy mają cierpieć z powodu chciwej zachłanności tych, którzy powinni dawać innym przykład. Rozzłościło mnie to tym mocniej, że jeszcze za życia stryja Wilhelma mama i Conroy kategorycznie zaprzeczali, jakoby byli zadłużeni, krzywdząc stryja pomówieniami o kłamstwa na ich temat, czynione w złej intencji.
Lord Melbourne uważał za żałosne, że doznawałam tylu przykrości i byłam narażona na tyle zdenerwowania przez tych, którzy powinni służyć mi oparciem i okazywać miłość; w istocie kłótnie i bezustanne molestowanie mnie przez mamę na rzecz Conroya kładły się cieniem na dość szczęśliwych
151
poza tym dwóch pierwszych latach mego panowania, nie wpływały też dobrze na mój i tak z natury wybuchowy temperament. Zawsze miałam skłonność do gwałtownych reakcji i przez całe życie opanowanie ataków wściekłości przychodziło mi z dużym trudem. Musiałam się nauczyć trzymać na wodzy, podkreślał lord M., i rzeczywiście usiłowałam to czynić, ale przecież traciłam zimną krew, nawet obcując z nim, tak niezwykle cierpliwym, spokojnym człowiekiem... Nie jest to przyjemne, ale przyznam, że wybuchałam czasem furiacko powodowana zazdrością; nienawidziłam, gdy nie było go w pobliżu, nawet wieczorami, i kiedy na przykład jadł obiad z lady Holland, domagałam się, aby przyznał, że woli mnie od niej i oskarżałam go o nielojalność. Bałam się chyba, że znudziły go te wszystkie spędzane ze mną wieczory, chociaż gdy go o to kiedyś pytałam, odpowiadał ze łzami w oczach:
- Och, nie! Nie!
Mama tak mnie denerwowała, że warczałam czasem nawet na służbę, czym potem czułam się niezmiernie zawstydzona, ponieważ ludzie ci nie mogli przecież z racji swej pozycji się obronić. Zawsze przepraszałam i sądzę, że oni przywiązywali do tego mniejszą wagę niż ja; ale też wiedziałam, komu to wszystko zawdzięczam. Może wybaczyłabym pewne rzeczy Conroyowi, gdyby można mu było ufać w kwestiach pieniężnych, ale doprawdy nie mogłam ścierpieć marnotrawstwa i bałaganu w finansach matki. Inna sprawa, że musiałby być innym człowiekiem, aby okazać się uczciwym w dysponowaniu cudzymi pieniędzmi.
Powinnam tu wspomnieć, że choć nie dałam z moich prywatnych dochodów ani centa mamie i Conroyowi, spłaciłam długi ojca, co uznałam za punkt honoru, ponieważ de facto zajmowałam pozycję należną jego synowi. Zawsze ostrożna w kwestiach finansowych, potrafiłam utrzymywać się za dziesięć tysięcy funtów rocznie, zanim wstąpiłam na tron, poczynienie oszczędności nie okazało się więc aż tak trudne i z sześćdziesięciu tysięcy funtów przyznanych mi przez parlament zdołałam przeznaczyć w pierwszym roku pięćdziesiąt na pokrycie długów taty. Do października 1839 roku spłaciłam resztę; formalne podziękowania, które przesłali mi jego wierzyciele, sprawiły mi wiele satysfakcji.
152
W tym samym czasie Conroy rozpuszczał pogłoski, że mama znajduje się w finansowych tarapatach, ponieważ czuje się w obowiązku spłacać długi ojca. Nie informowałam mamy o swoim

przedsięwzięciu, nie mogła więc wiedzieć, że zdaję sobie sprawę z tego, jak kłamią; a także z tego, że mama nie robi nic, by sprostować jego wymysły. Czyż można mieć wątpliwości, że gorąco nienawidziłam jej w tamtym okresie?

31 marca 1900.

Greville stwierdził kiedyś (całkowicie niesprawiedliwie, jak sądzę, niemniej jego słowa oddają prawdopodobnie uczucia wielu z moich poddanych), że zanim zasiadłam na tronie, kraj był rządzony kolejno przez imbecyla, rozrzutnika i pajaca. Niezależnie od tego, jak bardzo nie spodobała mi się ta ocena mojego dziadka, szczodrego stryjaszka króla i dobrego stryja Wilhelma, wyjaśnia ona, dlaczego moja koronacja, która przypadła na czwartek dwudziestego ósmego lipca 1838 roku (wygląda na to, że czwartek jest dniem przeznaczonym na koronacje, zupełnie nie potrafię powiedzieć dlaczego), wzbudziła tak wielkie emocje. Wuj Leopold ostrzegał mnie, że nadszedł czas próby dla królów. Monarchie europejskie wyraźnie nie wytrzymywały próby czasu, ważyły się ich losy; wiele krajów było na granicy rewolucji, nawet Anglia nie uniknęła niepokojów związanych z uprzemysłowieniem i wojnami. I oto pojawia się młoda dziewiętnastoletnia dziewczyna, która może uchronić koronę angielską przed księciem Cumberland - najbardziej nienawidzonym człowiekiem w całym królestwie; doprawdy musiałabym uczynić coś nieprawdopodobnie niegodziwego, by przestano mnie obsypywać niezliczonymi dowodami sympatii, którą cieszyłam się tego lata. „Cały Londyn oszalał bezprzykładnie na punkcie koronacji" -napisał jeden z londyńczyków.
Lord M. najlepiej wiedział, jak bardzo potrzebne jest odnowienie popularności brytyjskiej korony, przedsięwziął więc kroki, by parlament zdecydował się na nadanie odpowiedniej oprawy uroczystościom. Przegłosowano wyasygnowanie dwustu tysięcy funtów na ten cel - czterokrotnie więcej niż dla stryja Wilhelma. Stryj zabronił swego czasu urządzenia tradycyjnego bankietu
153
z okazji koronacji i parlament zdecydował utrzymać ten zakaz; zamiast tego miał się odbyć przejazd, który ostatni raz oglądano w czasie uroczystości koronacyjnych mojego dziadka. W uroczystych szatach, dzierżąc jabłko i berło, miałam być obwieziona po londyńskich ulicach, tak by zobaczyło mnie jak najwięcej ludzi, po czym miały grać orkiestry, nad rzęsiście iluminowanym miastem wybuchać sztuczne ognie, w Hyde Parku miał się odbyć dwudniowy festyn: loty balonami, muzyka, teatr, otwarte bez przerwy tawerny, występy artystyczne, wszystko, co mogło służyć ogólnej zabawie i wesołości. Zamierzono ją jako koronację dla ludu, a lud odpowiedział na to całym sercem.
W Londynie wrzało już na wiele dni przedtem. Wszędzie wokół trasy przejazdu dawały się słyszeć odgłosy bijących młotków i przekleństw: budowano trybuny, a na głowy przechodniów sypały się szczapy drewna i zaprawy murarskiej; parki zamieniono w istne obozowiska; tłum przybyszów z całego kraju wylewał się z pociągów i powozów, by rozprzestrzenić się na i tak przepełnionych londyńskich ulicach; nad piwiarniami i gospodami unosił się gwar ożywionych rozmów; na chodnikach trzeba było torować sobie drogę łokciami wśród ciekawych wszystkiego gapiów. Na zatłoczonych drogach woźnice trwali w znieruchomiałych powozach nawet po pół godziny, nim ruszyli powtórnie. Okna, z których dawało się obserwować trasę parady, wynajęto chętnym za absurdalne wręcz sumy, a plotka głosząca, że w Poselstwie Amerykańskim można nabyć bilety, spowodowała prawdziwe oblężenie tego gmachu i wielu ludzi zemdlało w ścisku. W istocie to cud, że tak niewielu ucierpiało w tak ogromnym tłoku -twierdzono, że Londyn pomieścił w tamtych dniach pięciokrotnie więcej osób, niż wynosiła zwykła liczba jego mieszkańców - a zawdzięczać to należy zachowaniu dobrych manier i spokoju, mimo że piwo i dżin lały się w ciągu tego tygodnia strumieniami.
Na wiele dni przedtem znajdowałam się w stanie ciągłego pobudzenia, chwilami byłam przerażona.
- Spodoba się Waszej Miłości każda minuta ceremonii, gdy już się to zacznie - zapewniał mnie kochany lord M. Pomógł mi przetrwać te dni, opowiadając anegdoty i dowcipy;

na przykład tę o torysach, którzy zagrozili bojkotem koronacji stryja Wilhelma. „Świetnie, miał powiedzieć mój stryj, będzie mniejszy ścisk i więcej świeżego powietrza w katedrze". - Zrozumiałe, że cała para z nich uszła - mówił lord Melbourne, mając na myśli torysów - i stawili się jak jeden mąż na uroczystości. Bo jaki sens protestować, kiedy nie obejdzie to nikogo więcej poza nami? - zakończył.
Już po koronacji powiedział mi, że tylko dwóch parów wiedziało, jak się ubrać w uroczyste szaty, a to pewnie dzięki temu, że brali udział w przedstawieniach amatorskich teatrzyków w ich wiejskich rezydencjach. Uprzedził mnie, że parowie złożą mi hołd podczas ceremonii i będą po kolei dotykać korony.
- Ale bez obaw, nic się jej nie stanie. Pożyczyliśmy sobie kamienie od Rundella i Bridge'a i do piątku muszą je mieć z powrotem.
Rozbawiło mnie to, ponieważ przypomniało o zażartej kłótni między panem Swiftem z Tower i panem Bridge, właścicielem znanego sklepu jubilerskiego na Ludgate Hill. Korona świętego Edwarda została wykonana specjalnie dla króla Jerzego II, który miał sześć stóp i pięć cali, a ponadto był mocnej budowy. Gdyby założono mi ją na głowę, „złamałaby kark Jej Królewskiej Mości jak słomkę", oznajmił lord M., ważyła bowiem ponad pięć funtów. Była jeszcze korona imperialna, którą zrobiono dla stryjaszka króla; stryj Wilhelm także ją nosił - dla mnie również zupełnie nieprzydatna, tak więc musiano zamówić nową, a do jej ozdobienia wykorzystano szlachetne kamienie z poprzedniej korony.
Klejnoty były wspaniałe, zwłaszcza rubin Czarnego Księcia noszony przez Henryka V w Azincourt, szafir z pierścienia Edwarda Wyznawcy i ogromny szafir Stuartów, wywieziony z Anglii przez Jakuba II, gdy uciekał, i odkupiony lata później przez jego wnuka Henryka Benedykta, kardynała w Rzymie. Nie było nikogo, kto by nie był ciekawy nowej korony i pan Swift cieszył się na okres prosperity. Nie otrzymywał on bowiem żadnego wynagrodzenia za pełnienie swoich obowiązków, żył z pieniędzy, które otrzymywał od odwiedzających Tower za pokazywanie królewskich klejnotów, miał zaś liczną rodzinę i musiał zaspokoić jej potrzeby. Pan Bridge

z firmy Rundell i Bridge wystawił w połowie czerwca nową koronę na widok publiczny w oknie wystawowym swojego sklepu; oblegały go takie tłumy, że specjalnie wyznaczeni policjanci musieli kierować przesuwaniem się ludzi. Biedny pan Swift wpadł w rozpacz, że popsuto mu interesy: do czasu koronacji każdy człowiek w Londynie będzie miał okazję zobaczyć koronę i nikt mu nie da potem złamanego szylinga, aby ją ujrzeć ponownie. Błagał lorda Chamberlaina, aby zakazał wystawiania korony w witrynie sklepowej, ale ten, choć współczuł mu gorąco, był niezwykle zadowolony z zainteresowania, jakie okazywano wszystkiemu, co związane z koronacją, odmówił więc przedsięwzięcia jakichkolwiek kroków.
W noc poprzedzającą uroczystości prawie nie zmrużyłam oka, po części z ekscytacji, po części z powodu panującego w mieście hałasu - podobno tysiące ludzi spały na londyńskich ulicach, aby zapewnić sobie dobre miejsce. Czuwałam także i z tego powodu, że nękało mnie nieprzyjemne przeczucie, jakby coś strasznego miało się wydarzyć nazajutrz. O czwartej rano wyrwał mnie ze snu odgłos wystrzałów z dział w parku, a potem zapadłam w drzemkę, z której budziłam się co chwila z przeraźliwym strachem, że zaśpię, bo nikt nie zadba, abym na czas wstała. O siódmej byłam prawie zadowolona, że mogę zejść z łóżka. Wyjrzałam przez okno i cóż za rozczarowanie! Niebo zachmurzone, pada gęsty, zimny deszcz, silne podmuchy wiatru szarpią koronami drzew. Nie odstraszyło to jednak wcale chętnych do zobaczenia koronacji; w Green Park aż się roiło od ludzi; kupowali u ulicznych sprzedawców kiełbaski i gorące paszteciki na śniadanie, przysłuchując się orkiestrom, i pomyślałam, że muzycy do czasu rozpoczęcia właściwych uroczystości z pewnością nie będą w stanie grać dalej. Tłumy zgromadziły się na trasie przejazdu do Constitution Hill, cierpliwie okupując dobre „miejsca widokowe"; żołnierze rozpoczęli już służbę i stali równymi rzędami po obu stronach drogi, pilnując, aby pozostała wolna. Widok rozbawionych ludzi dodał mi animuszu i choć miałam za sobą nieprzespaną noc i prawie nie tknęłam śniadania, zupełnie nie czułam się osłabiona.

- Proszę spróbować znowu coś zjeść, kiedy Wasza Królewska Mość
156
będzie już ubrana - powiedziała Lehzen spokojnie. - Czeka cię wyczerpujący dzień, pani, i obawiam się, że możesz zemdleć.
- Nie dzisiaj - zapewniłam ją, objęłam ramionami i ku jej niemałemu zdziwieniu uścisnęłam mocno. - Och, moja kochana Daisy, dzisiaj jestem szczęśliwa, bardzo, bardzo szczęśliwa. - „Daisy" było nowym pieszczotliwym imieniem, które jej nadałam.
- Zasłużyłaś, pani, w pełni na ten dzień - powiedziała, rozchylając wąskie wargi w nieczęstym u niej uśmiechu. -Mam nadzieję, że będziesz się rozkoszować każdą jego chwilą.
Wezwano pokojówki; ubrały mnie w sztywną halkę z białej satyny ze złotymi lamówkami i czerwoną aksamitną spódnicę, upięły mi starannie włosy, nisko na karku, tak by nie przeszkadzały przy zakładaniu korony, na głowę włożyły diamentowy diadem. O wpół do dziesiątej przyszła Feo - przyjechała specjalnie na koronację - i spędziłam z nią na pogawędce bezcenne dla mnie pół godziny, aż przyszedł czas, by wyjść. Pochyliłam się nad Dashem i ucałowałam go w nos.
- Nie możesz dzisiaj iść ze mną - wyjaśniłam mu i obiecałam po wszystkim spacer.
Punktualnie o dziesiątej wyruszyłam z pałacu Buckingham paradną karetą. Ciągnęło ją sześć śmietankowych koni, zakupionych specjalnie w Hanowerze ze względu na ich solidne rozmiary, bo jak powiedział lord M. „wszystkie inne wyglądają przy niej jak szczury albo i myszy". Jakimś cudem chmury rozproszyły się zupełnie i kiedy wsiadałam do karety, rozbłysły jasne promienie słońca, ogrzewając zziębniętych widzów. (W istocie zawsze miałam szczęście do słońca; jakby pojawiało się specjalnie, aby opromienić ważne w moim życiu wydarzenia; zaczęto nawet mówić o „pogodzie dla królowej").
Trasa przejazdu wiodła przez Constitution Hill, wzdłuż Piccadilly, Saint James Street, Pall Mail, przez Trafalgar Square i Whitehall; każdy centymetr kwadratowy okupowali wiwatujący ludzie - na chodnikach, trybunach, wychylali się z okien, nawet, nie bacząc na niebezpieczeństwo, przechylali z dachów, wymachując, jeśli tylko mogli dokonać tego wyczynu, flagami.
157

Z zaróżowionymi twarzami, w kolorowych odświętnych strojach wypełniali ulice jak kwiaty klomby. Nigdy nie widziałam podobnych tłumów ani też o takich marzyłam; ich radość, życzliwość rzucały się w oczy. Czułam dumę, że jestem królową takiego narodu; czułam dumę, że tak gorąco wiwatują i kłaniałam się, machając do nich. Wszystko dla mnie! Serce miałam przepełnione wdzięcznością.
W Katedrze Westminsterskiej oczekiwali na mnie lord Conyngham i mój drogi, kochany lord M.. Zaprowadzili mnie do ubieralni, gdzie czekały przygotowane paradne szaty ze szkarłatnego aksamitu oblamowanego futrem gronostajów; ubrano mnie w nie i zawiązano grube złote sznury z chwostami. Ośmiu paziów zajęło swoje miejsca - ich rolę pełniło osiem niezamężnych młodych dziewcząt w spodnich sukniach z białego atłasu i wierzchnich ze srebrzystego woalu, ich głowy ozdabiały wianki ze srebrzyście połyskujących kłosów zboża i różowych pączków róż.
Niepokoiłam się z powodu ich sukni, ponieważ księżna Richmond zaprojektowała je z trenami i nie bardzo sobie wyobrażałam, jak dziewczęta sobie z nimi poradzą, skoro musiały zajmować się moim. Ale lord M. był oczywiście w pobliżu, aby mnie uspokoić.
- Czy na pewno będzie dobrze? - spytałam cichutko; jakże to byłoby okropne, gdybym się potknęła albo upadła!
- Tak. Będę szedł wolno przodem z mieczem, proszę się nie martwić.
- Bardzo wolno - wyszeptałam z naciskiem.
- Nie da się inaczej - zapewnił mnie. - Miecz jest potwornie ciężki. - Uśmiechnął się promiennie, z miłością i wszystkie moje strachy gdzieś się rozpłynęły. - Wrażenie jest doprawdy przepiękne - powiedział, pokazując głową na dziewczęta. - Wyglądasz, pani, jakbyś płynęła w srebrnej chmurze.
Dziewczęta chwyciły tren, stając po cztery z każdej strony, podczas gdy lord Conyngham podtrzymywał go na końcu i weszliśmy do katedry. Na moment przystanęłam, zadrżawszy z zachwytu, zrobiłam głęboki wdech i splotłam dłonie. Kolumny katedry ozdobiono szkarłatem i

złotogłowiem, podłogi przykrywały grube tureckie dywany, ołtarz kapał od złota. Dziesięć tysięcy osób wypełniło szczelnie każdy centymetr
158
przestrzeni katedry; klejnoty połyskiwały na żywych kolorach atłasowych i aksamitnych szat. Książę Esterhazy prezentował się najokazalej ze wszystkich, jak mi potem opowiadano; nosił tyle brylantów, że gdy padł na niego promień światła, odwracano oczy w obawie przed oślepieniem. Słońce, jak łaska Boża, wlewało się do katedry przez wielkie okna, a ja czułam się mała i niegodna - a przecież wywyższona. To nie o mnie chodziło, nie o Wiktorię, młodą dziewczynę; to wszystko uczyniono dla królowej Anglii, którą Bóg wybrał i postawił przed swoim ludem; Jego służebnica, która miała rządzić dla Jego chwały. Odczułam to, czego mój stryjaszek król, mimo całej swej rozwiązłości i utracjuszostwa, był w pełni świadom i co rozpoznał we mnie. Odczułam chwałę i ciężar odpowiedzialności; brzemię, które na mnie nałożono i którego nikt nigdy nie miał ze mnie zdjąć. Tego właśnie moi ministrowie, domagający się, abym abdykowała na rzecz syna, nie pojmują; pojąć nie potrafią. To nie jest obowiązek, po którego wypełnieniu człowiek przechodzi w stan spoczynku, gdy jest już zmęczony lub stary, jak to się dzieje w każdym zawodzie czy kiedy zajmuje się określoną pozycję na dworze; to rzecz święta, sprawa między władcą a Bogiem i dopóki on nas nie powoła, żaden panujący nie ma prawa Go wyręczyć w zdjęciu z naszych barków brzemienia władzy.
W tym samym momencie, gdy ja przystanęłam, orkiestra zagrzmiała z niesłychaną siłą i wydawało się, jakby wszyscy zgromadzeni w katedrze jednocześnie wciągnęli oddech, zdolni dostrzec w dzisiejszej ceremonii to samo co ja: chwałę i przerażającą wielkość. A potem uczyniłam krok na spotkanie tego wszystkiego.
Nie jest to oczywiście uroczystość, przed którą można przeprowadzić próbę generalną, a na nieszczęście dziekan w Westminsterze, który pomyślnie przeprowadził dwie poprzednie koronacje, nie czuł się na siłach, aby asystować przy mojej. Scedował swoje obowiązki na prodziekana lorda Johna Thynne, jedynego, który wiedział, co robić. Arcybiskup miał o całej ceremonii jedynie mgliste pojęcie, a biskup z Durham przeważnie robił nie to, co trzeba. Wszystko to trwało długo, ceremoniał był skomplikowany, chwilami zdarzały się rzeczy zupełnie niezrozumiałe, ja jednak, świadoma tego, że oczy
159
wszystkich są na mnie zwrócone, pilnowałam się, żeby nie stracić zimnej krwi i zachowywać z godnością, niezależnie od tego, co się działo, i jakoś przez to przebrnęliśmy.
Dotarliśmy wreszcie do przysięgi (przysięgłam uznawać zreformowaną religię protestancką za zgodną z prawem i mogłam to potem przypomnieć Gladstone'owi, który chciał mojej zgody na rozdział Kościoła od państwa, jakby przysięga nic nie znaczyła. Zawsze dotrzymywałam przyrzeczeń, nawet tych najdrobniejszych) i wycofałam się po niej w zacisze mrocznej kaplicy Świętego Edwarda, gdzie zdjęto ze mnie szaty i przebrano w lnianą koszulę ozdobioną koronką i tunikę. Była wspaniała; mieniła się złotem i srebrem, podbita szkarłatnym jedwabiem, obszyta złotą koronką, wyszywana w róże, osty, koniczyny i palmy. Lord M. powiedział, że w żadnej szacie nie wyglądałam lepiej. Zdjęłam diadem i z gołą głową wróciłam do wnętrza katedry, gdzie zasiadłam na tronie Edwarda Wyznawcy w oczekiwaniu na ceremonię pomazania, a czterech Kawalerów Orderu Podwiązki trzymało nade mną baldachim, aby podkreślić, jak uświęcona nastąpi chwila. Krzyżmo dotknęło mojego czoła, piersi i rąk; przeszedł mnie dreszcz, tak było poruszające to zetknięcie z tajemniczym, niemal magicznym przedmiotem.
A potem nastąpiła sama koronacja. Na ramiona zarzucono mi dalmatynkę, w dłoń wsunięto berło, a na palec pierścień. (Nieszczęśliwie arcybiskup wsunął mi go na niewłaściwy palec i z taką siłą wciskał przez staw, że omal nie krzyknęłam z bólu; nie mogłam jednak protestować w takiej chwili, musiałam znieść to w milczeniu. Pół godziny i litry wody z lodem, żeby zdjąć go po ceremonii, a mój palec przez dwa dni pozostawał boleśnie obrzmiały i siny). Lord John Thynne podał arcybiskupowi koronę, a ten, stanąwszy przede mną, uniósł ją wysoko i włożył mi na głowę. W tym samym momencie parowie i ich żony włożyli swoje korony książęce; zabłysły złoto i cenne kamienie; trąbki rozbrzmiały głośnym triumfalnym hymnem; zagrzmiały w oddali działa i rozległy

się salwy z broni palnej - to z Tower dawano znać oczekującym tłumom, że dopełniła się koronacja ich królowej. Podniosły i poruszający moment; obejrzałam się instynktownie
160
na lorda Melbourne; stał tuż przy moim boku, oczy błyszczały mu ze zdumienia, podziwu i miłości. Wiwaty rozbrzmiały tak głośne, że wydawało się, iż uniosą dach katedry; z zewnątrz dobiegało echo wiwatów zgromadzonych na ulicach Londynu tłumów. Ludzie w katedrze krzyczeli, szlochali, powiewali szalami i chusteczkami do nosa, wykrzykiwali coś do siebie ochryple, aż święci w swoich niszach zaczęli spoglądać z niemym zdziwieniem. Przyszła kolej na składanie hołdu: parowie klękali po kolei przed moimi stryjami, a potem przede mną; przysięgając wierność, całowali moją dłoń i dotykali korony. Kiedy przyszła kolej na lorda Melbourne, uścisnął delikatnie moją rękę, a ja odwzajemniłam jego uścisk ochoczo, zadowolona, że pośród tej bezosobowej przysięgi na wierność lenniczą przypomniał mi o miłości, jaką dla mnie żywił; podniósł wzrok i och!, jakim uśmiechem mnie obdarzył! Powiało serdecznością, ciepłem, poczułam się mocniejsza.
Smutny wypadek przydarzył się biednemu lordowi Rolle, który dobiegał osiemdziesiątki i był już nieco zniedołężniały. Pomagano mu wprawdzie wspiąć się po stopniach prowadzących do tronu, ale zaplątał się we własnych szatach i ci, którzy go podtrzymywali, nie zdołali zapobiec niebezpiecznemu upadkowi; stoczył się do stóp schodów i leżał skurczony w swoich aksamitach i futrze. Powoli usiłował podnieść się, zagrzewany zachętami przyglądających się do podjęcia jeszcze raz wysiłku, a ja nie mogłam na to patrzeć.
- Czy wolno mi do niego podejść? - wyszeptałam pośpiesznie do lorda M.
Spojrzał na lorda Johna i odpowiedział, że mogę. Podniosłam się więc, zeszłam do lorda Rolle, podałam mu dłoń do ucałowania i zapewniłam, że nie musi się trudzić dotykaniem korony. Szaleńczym aplauzem powitano to, co zrobiłam, ale prawdą jest, że myślałam tylko o nim; obawiałam się o jego kruche stare kości równie mocno, jak o nadwątlone w razie powtórnego upadku poczucie godności.
Składanie hołdu ciągnęło się w nieskończoność, ale przygrywała muzyka i odbywał się znacznie mniej poważny spektakl, mający podtrzymać dobry humor zgromadzonych: lord Albemarle rozdzielał wybite z okazji koronacji w złocie i srebrze medale,
161
a to rozrzucając je bezładnie na wszystkie strony. Można było podziwiać rzadki widok: szacowni parowie, generałowie i mężowie stanu miotali się w ich poszukiwaniu, pełzając jak dzieci na klęczkach po podłodze, a nawet usiłując je wyszarpnąć innym z rąk. Przykro mi to wyznać, ale moje damy dworu szczególnie ochoczo brały w tym udział i nie wyglądało na to, aby treny w jakikolwiek sposób przeszkadzały im w tej pogoni za złotem.
Przyjęłam Przenajświętszy Sakrament, samotnie i z obnażoną głową, a potem włożyłam koronę na powrót i kontynuowano mszę. Zaczynałam już odczuwać zmęczenie i sądzę, że nie ja jedna, ponieważ biskup z Durham wcisnął mi nagle jabłko w rękę i powiedział, że mam je trzymać, choć nie był to odpowiedni moment w ceremonii; w pewnej chwili przerzucono na raz dwie strony mszału, pomijając sporą część mszy, co spowodowało niejakie zamieszanie. Lord M. uważał, że można o tym zapomnieć (podejrzewam, że był rzeczywiście zmęczony), ale lord John nalegał, aby wszystko odbyło się jednak ściśle według ceremoniału, a ja go poparłam stanowczo, nie chcąc, żeby ktokolwiek mógł nam zarzucić niewłaściwy przebieg koronacji. W końcu chór zaczął Alleluja i na ten sygnał mogłam wreszcie ze swoim orszakiem wycofać się do kaplicy Świętego Edwarda. Przedstawiała sobą dość dziwny widok, ponieważ ołtarz przekształcono w bufet i piętrzyły się na nim butelki, tace z kanapkami i ciastem. Podszedł do mnie lord Melbourne i powiedział:
- Może Wasza Królewska Mość zdejmie na chwilę koronę, jeśli takie jest jej życzenie.
- O tak - odparłam. - Potwornie mnie boli czoło. - Nacisk dwóch i trzech czwartych funta przyprawiał mnie wręcz o ból głowy. Położyłam ją ostrożnie na krześle obok siebie. Dobrze było zniknąć z widoku publicznego choć na kilka chwil.
- Zechcesz, pani, przyjąć kieliszek wina? - zaproponował, ale wydało mi się, że nie powinno być czuć ode mnie wina w tak uroczystym dniu, więc odmówiłam.
- Ale być może ty powinieneś się napić, lordzie - powiedziałam, widząc, że wygląda na bardzo

zmęczonego; biedny człowiek, jego twarz przybrała szarawy odcień.
162
- Miecz jest rzeczywiście ciężki - stwierdził z kwaśnym uśmiechem.
Musiał go dzierżyć podczas całej ceremonii i to uniesiony, co niewątpliwie wymagało znacznego naprężenia muskułów ramion i barków; miał poza tym już prawie sześćdziesiąt lat, choć patrząc na niego, nie pamiętało się o tym. Skłonił się i odszedł pokrzepić przy ołtarzu, a do mnie zbliżył się wyraźnie zatroskany arcybiskup.
- Zdaniem sir Johna powinienem teraz wręczyć jabłko Waszej Wysokości, aby można było rozpocząć przejazd Waszej Królewskiej Mości ulicami Londynu, ale ku swemu przerażeniu nie mogę go znaleźć.
- Jabłko? Ależ już je mam - powiedziałam, pokazując na stojące obok krzesło, na którym je położyłam. - Biskup Durham wręczył mi je jakiś czas temu.
- Och! - wykrztusił zmieszany arcybiskup. A potem: -Ach! - Rozejrzał się wkoło. - Gdzie jest Durham? - zapytał niewyraźnym głosem; ale Durham gdzieś zniknął. Wciąż zmieszany arcybiskup skłonił się i odszedł niepewnym krokiem. Podejrzewałam, że sam nie bardzo dobrze zdaje sobie w tej chwili sprawę z tego, gdzie się znajduje. Durham i jabłko były stanowczo ponad jego siły.
Nadszedł czas na ponowną zmianę szat. Ubrano mnie w królewską suknię z purpurowego aksamitu, oblamowaną futrem gronostaja; nałożyłam raz jeszcze koronę, wzięłam jabłko i berło i obciążona insygniami władzy wkroczyłam po raz ostatni dzisiaj do katedry, aby przejść główną nawą do wyjścia i zasiąść w karecie w celu odbycia drogi powrotnej do pałacu. Wracaliśmy tą samą trasą, a wiwatowano chyba jeszcze donośniej niż poprzednio. Zmęczenie znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wobec okazywanego mi przez mój naród przywiązania i miłości i zanim dotarliśmy do pałacu, ożywiłam się na tyle, że wbiegłam po schodach na górę, aby jak najprędzej wynagrodzić długie godziny oczekiwania Dashowi, sprawiając mu kąpiel. Ból głowy minął prawie całkowicie, czułam się świeża jak stokrotka. Daisy, która chciała mnie utulić i natrzeć skronie wodą lawendową, została niemal wyrzucona z pokoju!
Wieczorem przewodniczyłam na oficjalnym bankiecie.
163
Wśród wielu komplementów, które potem usłyszałam, szczególnym zadowoleniem napełniły mnie te wypowiedziane przez hrabiego Sebastiani, francuskiego ambasadora, którego opinia nie mogła być zatem całkowicie bezstronna. Powiedział, że był świadkiem koronacji cesarza Napoleona, podczas której nabożeństwo celebrował sam papież (podobno Napoleon go zignorował i gdy nadszedł stosowny moment sam sobie włożył koronę na głowę!) i był pod wrażeniem tej ceremonii, niemniej musi przyznać, że nie wywarła na nim aż takiego wrażenia jak ta, w której właśnie uczestniczył!
Pochwałę, na której mi najbardziej zależało, utwierdzenie mnie w tym, co robię, zyskałam tego samego wieczora nieco później. Odwiedził mnie lord M. i gdy podałam mu rękę, przytrzymał ją przez chwilę, aby z uśmiechem pogratulować mi wspaniałego dnia.
- Wszystko przebiegło tak nadspodziewanie dobrze - powiedział.
- A ja... wypadłam zadawalająco? - zapytałam z nieśmiałym uśmiechem; czułam ciepło bijące od jego ręki i ogarnęło mnie silne poczucie bezpieczeństwa.
- Och, to za mało, stanowczo za mało - odparł. - Wszystko wypadło przepięknie, każda chwila, okazałaś, pani, tyle wyczucia! Tu nie pomogą żadne rady, nie można się tego nauczyć.
Byłam tak zadowolona, że nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Stwierdziłam tylko:
- Musisz być bardzo zmęczony, panie.
Potwierdził, że istotnie czuje ogromne zmęczenie i wyznał mi, że z powodu nerwowej atmosfery ostatnich dni i dręczących go obaw o właściwy przebieg ceremonii dostał biegunki, dzisiejszego ranka zaś musiał zażyć laudanum, żeby jakoś przetrwać dzień. Teraz stało się dla mnie zrozumiałe, dlaczego wyglądał na tak znużonego! Przeszedł mnie dreszcz, jakby powiew chłodnego powietrza musnął mój kark. Wówczas jeszcze nie umiałam rozpoznać tego uczucia, ale teraz doznaję go dość często i jest mi znajome - przeczucie śmierci.
- Ty, pani, również musisz być wyczerpana - powiedział, odwracając od siebie uwagę. - Nie

będziesz chyba czekać na sztuczne ognie?
164
- Ależ oczywiście! - wykrzyknęłam. - Ma mnie ominąć taka dobra zabawa? A zresztą wcale nie jestem aż taka zmęczona.
- Obawiam się - powiedział łagodnie - że bardziej, niż sobie z tego, pani, zdajesz sprawę.
Nie położyłam się; patrzyłam na fajerwerki z balkonu -były naprawdę wspaniałe; istna Sodoma i Gomora, jak powiedziała jedna ze służących, nie podejrzewając, że mogę to usłyszeć.

Rozdział Siódmy.
28 kwietnia 1900 w Windsorze.

Z powrotem w domu po wizycie w Irlandii. Przebiegła zaiste triumfalnie, a Irlandczycy okazali się niewiarygodnie mili, lojalni i oddani - Ponsonby (a towarzyszy mi na tyle często, by dobrze wiedzieć, co mówi), stwierdził, że nie pamięta, aby podobne „szaleństwo" rozpętywało się gdziekolwiek indziej na moje powitanie. Dowody szczerego przywiązania, jakich nie szczędzili mi ci ludzie o gorących sercach, z nawiązką wynagrodziły mi znaczne i nieuniknione zmęczenie, jakie towarzyszy częstemu pokazywaniu się publicznie. Przybyłam do Kingstown czwartego kwietnia, a wyjechałam dwudziestego szóstego - trzytygodniowa wizyta, a doprawdy prawie żałuję, że się skończyła. Wydałam rozporządzenie, aby począwszy od tej wizyty, obdarowywano każdego irlandzkiego żołnierza w moim imieniu emblematem koniczyny w dzień świętego Patryka, a także aby powołano nowy regiment irlandzkiej gwardii - dla upamiętnienia mojej wizyty i waleczności Irlandczyków w południowej Afryce.
Wiosna tu u nas w pełni rozkwitu, po pierwiosnkach ani śladu, a szkoda. Cieszę się ich widokiem każdego roku, uwielbiam na nie patrzeć - były dla nas z Albertem czymś specjalnym i zawsze udało mu się pierwszemu je wypatrzyć; znał miejsca, gdzie lubiły wschodzić. Ulubione kwiaty Disraelego, każdego roku posyłałam mu ich pełną skrzynkę
165
z Windsoru. Twierdził, że mają przyjemny, słodki zapach, choć ja nigdy nie zdołałam tego wyczuć. Wyrafinowany i subtelny, zawsze taki był.
Tak dobrze zniosłam trudy podróży, że wprost nie mogłam się doczekać, kiedy zasiądę nad moim pamiętnikiem. Wolałabym zapomnieć o lady Florze Hastings, ale skoro uznałam, że opiszę tutaj wszystko uczciwie, muszę to założenie rozciągnąć również na nieprzyjemne wydarzenia, a to było jednym z najistotniejszych w początkach mojego panowania.
Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że opanowało mnie coś na kształt szaleństwa. Być może rzeczywiście był to lekki przypadek obłąkania: osiemnastoletnia dziewczyna, żyjąca z dala od świata, niemal w zamknięciu, nagle zostaje wyniesiona do godności królowej Anglii - można stracić głowę. Jeśli wziąć jeszcze pod uwagę, jak bardzo nienawidziłam sir Johna Conroya, że pod tym samym dachem co ja mieszkało dwoje moich najzaciętszych wrogów, że sir John bezustannie mącił, aby dopiąć swego - nie ma się co dziwić, że nie obyło się bez kłopotów. Wydarzyły się rzeczy nieprzyjemne i godne pożałowania i w długi czas potem czułam dyskomfort z tego powodu. Nie potrafię powiedzieć, na ile moich późniejszych zachowań wpłynęło poczucie winy i wstydu, związane z tymi wydarzeniami, ale z całą pewnością ta sprawa miała na mnie znaczny wpływ.
Nienawidziłam lady Flory z żarliwą intensywnością, jaką rezerwowałam tylko dla popleczników Conroya. Podobnie jak on pozostała na dworze mamy i już to samo mnie obrażało, ponieważ od pierwszej chwili, gdy pojawiła się pod naszym dachem, przystała do Conroya, aby mnie dręczyć. Szpiegowała, próbowała poróżnić mnie z Lehzen, spiskowała z nim, żeby pozbawić mnie jedynej przyjaciółki. Była wykształcona, inteligentna, nawet atrakcyjna zewnętrznie, ale też złośliwa i miała kąśliwy język, co w połączeniu z nadzwyczajną pobożnością odbierałam jako jawną hipokryzję. Zawsze podchodziłam do przesadnej żywości religijnych uczuć z typowo angielskim krytycyzmem, podobnie zresztą jak lord M. Zawsze też ostrzegał mnie przed bigoterią.
- Nie jest najistotniejsze - mówił - do którego Kościoła

się należy. Niemniej anglikański wydaje się najlepszy, ponieważ nie usiłuje być wszechwładny. Wierzę głęboko i nic nie jest w stanie mną zachwiać, mimo to nie widzę żadnego powodu, aby narzucać przekonania innym ludziom wbrew ich woli, zawsze też nienawidziłam nietolerancji. Kwakrzy, żydzi, rzymscy katolicy („obmierzli żebracy", jak zwykł ich określać mój biedny Brown!), nawet Hindusi czy muzułmanie mogą przecież być na swój sposób porządnymi ludźmi, jak my. Nie sądzę również, żeby rygorystyczne przestrzeganie form religijnych przydawało komuś wartości. Bóg zna ludzkie serca.
Na dworze od początku panowała niezbyt dobra atmosfera, a po koronacji jeszcze się pogorszyła; napięcie wprost wyczuwało się w powietrzu, gwałtowne awantury bynajmniej go nie rozładowywały. Moje damy dworu nie współżyły zgodnie z damami dworu mamy. Mówiły do Lehzen, że boją się „tej Szkotki" (tak nazywały lady Florę), jej bacznych oczu i ostrego języka. Członkowie królewskiej rodziny przyłączyli się do któregoś z obozów; linie demarkacyjne zostały wyznaczone. Mój brat, Karol, przyłączył się do mnie, odkąd wstąpiłam na tron (wyłącznie dlatego, jak mniemam, że miałam jego zdaniem więcej do zaoferowania niż Conroy), podczas gdy księstwo Cambridge - do mamy. Mojej młodszej o trzy lata kuzynce Auguście Cambridge, którą bardzo lubiłam, zabroniono wpadać do mnie samotnie na pogawędkę, co dotąd chętnie czyniła. Mama bombardowała mnie żądaniami, abym wystosowała oficjalne zaproszenie do odwiedzenia dworu dla Jerzego Cambridge'a, a ja odmawiałam, sądząc, że chce, abym go poślubiła, co z kolei spowodowało dalsze odsunięcie się ode mnie ciotki Cambridge. Lady Flora, nieodmiennie dotrzymująca matce towarzystwa, gdy ta przychodziła do mojego salonu, dalej mnie szpiegowała i donosiła o wszystkim Conroy'owi, który przekręcał fakty, jak chciał, i rozprzestrzeniał plotki za pośrednictwem stryja Sussexa.
Miałam także inne zmartwienia. Wuj Leopold (którego opinii przestałam tak często zasięgać, odkąd zaczęła się moja zażyłość z lordem M.) przysyłał sprawiające mi ból listy z oskarżeniami o nielojalność i niewdzięczność. Na dworze dawało się zaobserwować wzrastającą wrogość wobec Stockmara

jako cudzoziemca, który ma zbyt duże wpływy (kolejna intryga Conroya, tego jestem pewna!), i w rezultacie dla świętego spokoju musiałam go odesłać do Brukseli, co potwornie zdenerwowało wuja Leopolda. Poza tym żyłam w ciągłym zagrożeniu, że utracę drogiego lorda M., ponieważ pozycja jego rządu stawała się coraz bardziej niepewna; często czynił aluzje mające mnie przygotować na jego ewentualne odejście, co tylko doprowadzało mnie do szału.
Nic zdumiewającego, że moje samopoczucie pogorszyło się w tej niespokojnej atmosferze i że często bywałam w złym humorze. Nie starczało mi cierpliwości, wpadałam w złość lub przygnębienie, wybuchałam bez powodu płaczem. Czułam się znużona, nękał mnie ból kręgosłupa i silne bóle głowy - zwłaszcza te ostatnie wydawały mi się zatrważające, bo przecież pamiętałam, od czego zaczęło się szaleństwo mojego dziadka, a podświadomie głęboko się obawiałam, że wśród innych cech dynastii hanowerskiej odziedziczyłam również skłonność do obłędu. Zmartwień dopełniało to, że zaczęłam przybierać na wadze - co prawda nic w tym dziwnego, skoro zawsze miałam tendencję do szukania w jedzeniu pociechy, a teraz wreszcie było dla mnie dostępne w nieograniczonych ilościach. Okazywałam irytację nawet mojemu drogiemu lordowi M.; stałam się tak nerwowa, że nie mogłam znieść najlżejszych uwag krytycznych - odbierałam je jako skierowany przeciwko mnie atak, a on uderzał w najczulszy punkt.
- Doniesiono mi z Paryża, że szyje się obszerniejsze suknie dla Waszej Królewskiej Mości - zaczął któregoś dnia.
- To prawda - odparłam szybko - ale tylko dlatego, że denerwują mnie obcisłe szaty.
Spojrzał z powątpiewaniem.
- Wyglądasz, pani, zdecydowanie bardziej krzepko niż przed rokiem. Piękne, pełne kształty zawsze podobały mi się u kobiet, ale ci, którzy czuwają nad twoim zdrowiem, obawiają się, byś nie przybrała jeszcze bardziej na wadze, a i ja...
- Więc dobrze, może jestem odrobinę grubsza - warknęłam - ale w końcu nic na to nie można

poradzić.
- Obawiam się, pani, że jadasz zbyt wiele - oznajmił bez ogródek. - To słabostka charakterystyczna dla książąt hanowerskich.
168
- Miało mi to osłodzić pigułkę; wiedział, jak lubię, gdy mi mówiono, że jestem podobna do krewnych ze strony ojca. - Nie przynosi ci jednak pożytku. Jestem pewien, że odpowiednią dietą udałoby się zapobiec tym silnym bólom głowy i wybuchom irytacji, które nękają cię, pani, ostatnio. Twoja cera również jakby nieco przywiędła. Nie wydaje się, by ci służyło słodkie, ale i grzane wino. Nie powinnaś pić piwa, Madame, już to kiedyś mówiłem.
- Przecież nie mogę pić herbaty. To mi dopiero nie służy -powiedziałam ze złością. - Cóż więc mam robić?
- Może spróbować wina? - zasugerował. - Picie codziennie niewielkiej ilości dobrego wina świetnie wpływa na zachowanie zdrowia. Zbyt mała ilość wina, oto co podkopało zdrowie księżniczki Charlotty; hanowerczycy nie rozkwitają przy zbyt ubogiej diecie. Niemniej musisz, pani, jeść mniej albo wkrótce staniesz się niezwykle gruba. Nie należy jeść tylko dlatego, że jest dostatek jedzenia. Powinno się jeść, gdy jest się głodnym.
- W takim razie powinnam jeść przez cały dzień - odparowałam - bo stale jestem głodna.
Nie dał się zbić z tropu.
- Gdybyś pani jadła wolniej, nie wstawałabyś głodna od stołu. Wasza Wysokość ma skłonność do zbyt pośpiesznego pochłaniania potraw. Często obserwuję to ze smutkiem.
Poczułam, że się czerwienię. Miałam świadomość tej wady (w istocie po dzień dzisiejszy jadam zbyt szybko. Nie mam oczywiście zamiaru teraz tego zmieniać, inna rzecz, że napełnia mnie to czasem rozbawieniem, gdy mam gości na obiedzie. Reguły etykiety głoszą, że kiedy odłożę widelec, jest to sygnał dla służby, aby uprzątnęła talerze, niezależnie od tego, czy wszyscy skończyli. Zabawne widzieć wyraz rozczarowania na ich twarzach, gdy potrawy znikają im sprzed oczu, chociaż zdążyli dopiero połknąć kęs czy dwa - zwłaszcza że muszą wymieniać między sobą uprzejme uwagi, a nie oddawać się wyłącznie jedzeniu. Jeszcze zabawniej patrzeć na „stare wygi", które mają coś lepszego do roboty niż prowadzić konwersację; koncentrują się na szybkim unoszeniu widelca i nie spuszczając ze mnie oczu, próbują dorównać mi w szybkości).
169
- Powinnaś również, pani, zażywać ruchu - kontynuował lord Melbourne. - Więcej spacerować. Obawiam się, pani, że możesz zapomnieć, do czego służą nogi, tak rzadko spacerujesz.
Nie dałam się udobruchać żartem.
- Nienawidzę spacerów - powiedziałam. - Spacerowanie dla samego spacerowania przyprawia mnie o mdłości.
- Niemniej jest to jedyny sposób na to, żeby nie tyć: mniej jeść, więcej chodzić.
- Zawsze wpadają mi kamyki do butów - poskarżyłam się.
- Wobec tego proszę je kazać robić ściślejsze.
- Stopy mi puchną. Możesz panie zobaczyć jak bardzo.
- To z powodu, że za mało spacerujesz, pani, i masz złe krążenie. Gdybyś częściej zażywała ruchu, stopy przestałyby ci puchnąć.
- Nienawidzę spacerów! - wybuchłam. - I nie będę na nie chodziła!
- A powinnaś! - odpowiedział również podniesionym głosem.
- Nie będę! - Już otwierał usta, ale go uprzedziłam: -Królowa Portugalii zażywa bez przerwy ruchu, a jest przeraźliwie gruba. I co ty na to, panie? - zapytałam triumfalnie.
Mój drogi przyjaciel przez moment milczał, a potem zmienił temat. Te kłótnie czyniły nam obojgu wiele szkody i zawsze potem miałam kiepskie samopoczucie.
W tej atmosferze napięcia wynikła sprawa lady Hastings, przepełniając czarę goryczy. Lady Flora spędziła święta Bożego Narodzenia u rodziny i kiedy pojawiła się na dworze w styczniu 1839 roku, od razu spostrzegłyśmy z Lehzen, że brzuch jej się mocno zaokrąglił - poza tym w ogóle nie przytyła. Przeciwnie, jej twarz wydawała się szczuplejsza; brzuch natomiast wypychał szaty. Natychmiast doszłyśmy z Lehzen do wniosku, że to ciąża i upadek tej, która była mi zawsze

wrogiem i tak afiszowała się ze swoją pobożnością i cnotą, sprawił mi wiele radości. Niezamężna i ciężarna! Co więcej, wiedziałam doskonale, za czyją przyczyną była w tym stanie. Kilka miesięcy temu podróżowała po Szkocji karetą pocztową - wyłącznie w towarzystwie sir Johna Conroya!
170
Dwoje moich wrogów ustrzelonych za jednym zamachem; nie mogło być lepiej!
Nie mogło być gorzej. Plotki na taki temat rozchodzą się błyskawicznie. Pod koniec miesiąca w pałacu wrzało, było tylko kwestią czasu, kiedy wiadomość rozejdzie się echem po świecie. Niektóre z moich dam dworu, obawiając się, że za sprawą lady Hastings cień padnie również na ich reputację, zwróciły się do lady Tavistock, sprawującej nadzór nad damami sypialni, aby poprosiła lorda Melbourne o interwencję u sir Jamesa Clarka (mojego, a zarazem mamy lekarza nadwornego). Clark poinformował go, że lady Flora wielokrotnie zasięgała u niego porady lekarskiej, uskarżając się na bóle w boku, mdłości i rozstrój kiszek. Zaordynował rabarbar i tego typu domowe środki, niemniej jak stwierdził, jego zdaniem lady Flora może być jednak w ciąży. Najlepsze, co można zrobić, to czekać, poradził, a lord M. przekazał mi, że całkowicie się z tym zgadza.
- Jeśli niczego nie przedsięweźmiemy - powiedział - cała sprawa przebiegnie z korzyścią dla nas.
Ale plotka nie cichła; żarzyła się jak tlący lont; moje damy dworu nie przestały lękać się o swoją reputację; damy dworu mamy oskarżały Lehzen o wzniecanie nieprawdziwych pogłosek, mających zdyskredytować mamę. Gdyby doszło do rozmowy między mną i mamą, sytuacja szybko by się wyklarowała, ale przecież prawie ze sobą nie rozmawiałyśmy, a już na pewno nie byłyśmy w tak bliskich stosunkach, aby roztrząsać podobnie delikatny temat. Plotkom nie było więc końca i jedna z moich starszych dam dworu, lady Portman, udała się do mamy, aby ją poinformować, że coraz częściej słychać na dworze (najwyraźniej do mamy to jednak nie docierało) o konieczności poddania się przez lady Florę badaniu lekarskiemu; albo oczyści swoje imię z zarzutów, albo opuści pałac.
Mama była wstrząśnięta, a lady Flora z oburzeniem odrzuciła tę upokarzającą możliwość. Ostatecznie jednak nie pozostało jej nic innego, jak się poddać, i siedemnastego lutego w obecności lady Portman (która przez cały czas zasłaniała twarz dłońmi) i swojej pokojówki poddała się badaniu, które przeprowadzili sir James Clark i specjalista chorób kobiecych
171
sir Charles Clarkę. Musiało to być dla niej ciężkie doświadczenie; myślę o tym z przerażeniem; a kiedy było po wszystkim, obaj doktorzy wydali świadectwo na piśmie, że jest virgo intacta i choć daje się zauważyć niezwykłe powiększenie żołądka, nie ma powodów przypuszczać, aby jego powodem, teraz czy kiedykolwiek, była ciąża.
Mama, zapoznawszy się z ich werdyktem, natychmiast oddaliła ze służby sir Jamesa za rozsiewanie fałszywych pogłosek, a ja, szczerze zmartwiona, przesłałam lady Florze wyrazy ubolewania i zaofiarowałam się złożyć jej wizytę, kiedy tylko będzie w stanie ją przyjąć. Odpowiedziała, że nie czuje się dobrze i jest zbyt rozstrojona, aby móc natychmiast przyjąć moją propozycję, niemniej po tygodniu mogłam ją zobaczyć. Jej widok mną wstrząsnął; rzeczywiście była chora: wynędzniała, pożółkła, wyczerpana nerwowo. Ze łzami w oczach ujęłam jej dłoń i ucałowałam, wyrażając żal z powodu tego, co się zdarzyło. Podziękowała mi i przyrzekła wybaczyć, jeśli nie zapomnieć, przez wzgląd na księżnę Kentu.
I to powinno położyć kres sprawie; w parę dni później sir James Clark, prawdopodobnie rozdrażniony tym, że go zwolniono, powiedział lordowi M., że świadectwo lekarskie może wprowadzać w błąd. On i sir Charles byli zgodni co do powiększonych rozmiarów łona lady Flory, zupełnie jak u kobiety oczekującej dziecka, i choć okazała się dziewicą, zdarzają się najdziwniejsze rzeczy, nie można zatem przesądzić, że to nie ciąża. Lord Melbourne powtórzył mi to oczywiście i oboje powróciliśmy do dawnego, wygodniejszego dla nas przekonania, że lady Flora jest winna. Wstyd mi teraz, gdy pomyślę, że nie wyciągnęłam nauki z tego, co się zdarzyło; ale tak niewiele zaznałam miłości, za to tyle wiedziałam o nienawiści, że przebaczenie i wyrozumiałość nie przychodziły mi z łatwością.
Tymczasem lady Flora napisała do starszego brata, uskarżając się na traktowanie na dworze.

Hastingsowie, jako zagorzali torysi, nienawidzili lorda Melbourne (który często publicznie wypowiadał się, że u nich wszystkich razem wziętych nie znajdziesz grama rozsądku), tak więc był to młyn na ich wodę. Jednocześnie Conroy podał całą sprawę do opozycyjnej prasy, nalegając, by uczyniono z niej natychmiast
172
użytek; namówił też mamę, aby poleciła lady Florze domagać się zadośćuczynienia za to, co przeszła. Tak więc wybuchło to znów z całą siłą - oskarżenia, kontro skarżenia, napaści torysowskiej prasy na lorda M. i Lehzen (nazywanej pierwszą prowodyrką); lord Hastings krążył po Londynie jak ziejący ogniem nienawiści smok, grożąc odwołaniem lorda M.; mieszkający w Brukseli brat lady Flory niestrudzenie rozpowszechniał opowieść o tym, co się wydarzyło, po europejskich dworach. Im dłużej to się przeciągało, tym bardziej nienawidziłam lady Flory; im bardziej jej nienawidziłam, tym silniej utwierdzałam się w przekonaniu, że spodziewa się dziecka. Muszę powiedzieć, że jedyną osobą, która zachowywała się godnie, była mama, lojalnie wspierająca swoją damę dworu i konsekwentnie od początku do końca podkreślająca jej niewinność.
Książę Wellington, niespokojny o popularność Korony, zdecydował się wreszcie uspokoić nieco nastroje, przekonując nas, że przynajmniej powinnyśmy pokazać się wszystkie trzy razem publicznie, co też uczyniłyśmy, chociaż muszę wyznać, że omal ducha nie wyzionęłam, zmuszona okazywać im obu grzeczność. Książę zdołał mnie namówić tylko dlatego, że jak mnie zapewnił, wie za przyczyną czyjej niegodziwości ta cała sprawa wybuchła i zamierza skłonić Conroya, aby porzucił służbę u mamy. Niebo się dla mnie otworzyło wraz z tą jego obietnicą.
- Nigdy tego nie dokona - powiedział smutno lord M., gdy mu powtórzyłam, co Książę obiecał. - Conroy go nie posłucha, za to księżna Kentu na pewno posłucha Conroya.
Bałam się, że ma rację, a tymczasem jakimś cudem Książę dopiął swego. Nigdy natomiast nikomu nie powiedział, jakimi argumentami pokonał Conroya: „kupa wazeliny" - to wszystko, co wydusił z niego lord M. Kilka lat później mama przyznała mi się, że Książę z nią również rozmawiał. Wyrażał się o Conroyu „bardzo oględnie", ale podkreślał, że jeśli królowa go nie akceptuje, powinno to być wystarczającym powodem, aby go oddalić. Mama uroniła nawet łzę, roztrzęsiona, ponieważ widok wzburzonego Księcia był zaiste przerażający; nie obiecała wprawdzie oddalić Conroya, ale nie stawała już w jego obronie z dawną zaciętością, co go chyba ostatecznie przekonało, że gra skończona.
173
Jakkolwiek było, jest faktem, że dziesiątego czerwca zwolnił swoją służbę i wyjechał z rodziną do Włoch. Ulżyło mi, jakby mi ciężar zdjęto z pleców. Mieszkali w Rzymie przez kilka lat, a potem wrócili do Anglii i żyli na wysokiej stopie, kupiwszy duży dom niedaleko Reading. Utrzymywał z mamą korespondencję i nękał kolejnych premierów żądaniami o przyznanie parostwa, ale gdy w 1850 roku wyszły na jaw jego przerażające matactwa w prowadzeniu finansów mamy i księżniczki Zofii, musiał pogrzebać wszelkie nadzieje na awans. Ogromne sumy „rozpłynęły się" w czasie pełnienia przez niego funkcji ochmistrza, zniknął na przykład weksel od wujka Leopolda dla mamy, opiewający na szesnaście tysięcy funtów - nigdy nie trafił do jej banku. Po śmierci księżniczki Zofii okazało się natomiast, że nie zostawiła niczego poza dobrami zgromadzonymi w jej domu, a przecież była bogatą kobietą. Domniemywa się, że ukradł około sześćdziesięciu tysięcy funtów mamie i czterystu tysięcy księżniczce Zofii, niezależnie od tego, co wydawał na siebie i rodzinę na codzienne potrzeby, korzystając oczywiście z ich pieniędzy. Umarł nagle na atak serca w 1854 roku i doprawdy chętnie zobaczyłabym, jak staje przed Obliczem Najwyższej Sprawiedliwości i posłuchała, co ma na swoją obronę. Niewiele, jak sądzę.
Wróćmy jednak do roku 1839: lady Flora słabła z dnia na dzień, a ja roztrząsałam wraz z lordem M. nikczemność tej „wstrętnej kobiety" i jej „niegodziwej familii", robiącej tyle szumu w gazetach. To, że mama brała ją w obronę, uznałam za zdradę i uskarżałam się gorzko lordowi M. na to ochranianie moich wrogów.
- Zaczynam czuć coraz większą niechęć do mamy - powiedziałam, a on skinął z powagą głową.
- Trudno się temu dziwić, obie bardzo niewłaściwie poczynają sobie z Waszą Wysokością.

W parę dni po wyjeździe Conroya otrzymałam od mamy suchą wiadomość, że lady Flora jest śmiertelnie chora i nie przeżyje nawet tygodnia.
Byłam wstrząśnięta, a pomimo to nie chciałam do siebie dopuścić myśli, że się co do niej myliłam. Serce zamieniło mi się w kamień; nie przemawiały do mnie ani fakty, ani
174
logiczne przesłanki - mimo to czułam, że muszę przez wzgląd na przyzwoitość coś zrobić, odwołałam więc bal, który miał się odbyć tej nocy i posłałam do lady Flory krótką notatkę, że gotowa jestem ją zobaczyć, kiedy tylko by sobie tego życzyła. Przysłano po mnie następnego dnia.
Weszłam sama do jej apartamentów, a to, co ujrzałam, podziałało na mnie jak prysznic zimnej wody. W powietrzu unosił się kwaśny, ostry, chorobliwy odór, którego nie zdołały przytłumić stojące w wazonie koło jej głowy róże - białe i żółte róże o lekko już przywiędłych płatkach. Leżała na kanapie, wychudzona jakby nie należała już do świata żywych; ubyło jej tyle ciała, że wyglądała dosłownie jak szkielet; brzuch miała wciąż wydęty jak kobieta, która spodziewa się dziecka. A jej twarz, jej twarz! Żółta skóra opinająca kości, połyskująca niezdrowo, zapadnięte, ledwo widoczne oczy, przypominające puste oczodoły w nagiej czaszce. Wypadły jej włosy, rzęsy i brwi; czepek na głowie, skrywający dotąd sprężyste loki, wyglądał na przerażająco luźny.
Odezwałam się do niej, ale nie pamiętam, co powiedziałam. Jej głos brzmiał prawie tak jak dawniej, a ręka ujęła moją z niespodziewaną siłą. Zmusiłam się, aby ją przytrzymać, chociaż miałam ochotę odsunąć ze wstrętem - czuło się same kości, jakby człowiek wziął garść żelaznych prętów; coś przerażająco nienaturalnego. Przyglądała mi się badawczo.
- Jak... jak się pani czuje, lady Floro - zapytałam słabym głosem. - Niczego pani nie brakuje, mam nadzieję?
- Dziękuję, mam, czego mi trzeba - odparła, po czym zapadła cisza, a ja zapragnęłam uciec, czując chłodne strużki pod pachami. Wreszcie odezwała się ponownie: - Jestem Waszej Wysokości niezmiernie wdzięczna za wszystko. To nadzwyczaj uprzejme, że raczyła mnie Wasza Wysokość odwiedzić. Cieszę się, że widzę Wasz Majestat w dobrym zdrowiu.
- Ja... odwiedzę cię, pani... mam nadzieję odwiedzić cię znowu, gdy ci się polepszy - wydusiłam z siebie.
Popatrzyła na mnie, uścisnęła lekko moją rękę i odwróciła znużonym ruchem głowę, jakby mówiła: „Nie zobaczymy się już więcej". Nie mogłam znieść tego dłużej. Wymamrotawszy jakieś słowa pożegnania, uwolniłam dłoń i popędziłam do
175
swoich apartamentów, drżąc ze strachu i odrazy jak koń spłoszony błyskawicą.
Otarłam się o śmierć, przeczułam ją. Wdarła się do pałacu, zmusiła, bym o niej myślała, choć miałam głowę zaprzątniętą całkiem czymś innym. Jestem zawsze obecna, nawet jeśli tego nie czujesz. Zawsze cię znajdę, wszędzie dopadnę; nigdzie nie masz przede mną bezpiecznego schronienia, nie skryjesz się. Załóż piękne szaty, oszukuj różami - niczego nie zmienisz. Ja, Wielka Wyzwolicielka, już wyznaczyłam twój kres.
Najgorsze było to, że się co do niej pomyliłam. Strach i odraza przemieszały się z poczuciem winy i pogardą dla siebie i uznałam, że jedyne, co mi pozostało, to upierać się bezczelnie przy swoim i nie przyznawać do błędu. Kilka dni później Lehzen obudziła mnie, aby mi zakomunikować, że lady Flora zmarła w nocy; „nie walczyła ze śmiercią, biedactwo. Uniosła tylko głowę i wydała jedno, jedyne westchnienie". Przyjęłam wiadomość z kamienną twarzą. Przez następne dni powtarzałam, że nie mam żadnych wyrzutów sumienia w związku z jej śmiercią. Nie zrobiłam niczego, co by się do niej przyczyniło. Nie przyłożyłam do tego ręki. Postępowała ohydnie, kiedy miała nade mną władzę, a mimo to wielkodusznie złożyłam jej wizytę przy łożu śmierci. Każdy by podejrzewał, że spodziewa się dziecka, widząc jej kształty. Nie ja wznieciłam plotki; nie ja podburzałam prasę. Dlaczego miałabym czuć wyrzuty sumienia? Argumenty kłębiły mi się w głowie. Na zewnątrz okazywałam uparcie chłód; wewnątrz gotowałam się od nienawiści do mamy, lady Flory, Hastingsów i wszystkich, którzy stanęli po ich stronie; podświadomie byłam przeniknięta strachem i poczuciem winy, w nocy nękały mnie przerażające, ohydne koszmary.
Na dwa dni przed śmiercią lady Flora wymusiła na rodzinie obietnicę, że zarządzą sekcję zwłok,

aby udowodnić jej niewinność. Zostało to dopełnione przez sir Benjamina Brodie i czterech innych lekarzy; wszyscy zgodnie orzekli, że przyczyną śmierci był guz wątroby, który spowodował znaczne jej powiększenie, a w konsekwencji przesunięcie się innych organów, co mogło sprawiać pozory ciąży. Macica i przydatki nie wykazywały żadnych zmian; potwierdzono też dochowanie dziewictwa przez lady Florę.
176
Bardzo mi był na rękę zwyczaj zabraniający damom uczestniczenia w pogrzebach. Posłałam powóz, podobnie jak mama i ciocia Adelajda, chociaż lord M. obawiał się, że moja kareta zostanie obrzucona kamieniami, ponieważ prasa pisała o mnie bardzo nieprzychylnie od czasu śmierci lady Flory. Policja obstawiła trasę przejazdu na nabrzeże świętej Katarzyny (lady Flora miała zostać pochowana w Szkocji), aby zapobiec ekscesom, ale obyło się bez żadnych; ponurą ciszę przerwało ledwie parę pomruków. Przetoczyły się one również przez prasę, głównie za sprawą Hastingsów (posłałam pięćdziesiąt funtów pokojówce lady Flory, ale starsza pani Hastings je zwróciła), no i oczywiście „Morning Post" usilnie pracował na to, żeby zobaczyć torysów u steru rządów. Wielka szkoda, powiedział później lord M., że lady Flora zmarła akurat w lipcu, kiedy panuje sezon ogórkowy w gazetach, parlament na wakacjach i większość ludzi z towarzystwa wyjechała z miasta. Do września o wszystkim zapomną, pocieszał mnie i doradzał usilnie powściągliwość i zachowanie bezstronności - najlepszą tarczę przeciwko oszczercom i pochlebcom.
Życie straciło jednak dla mnie barwę; byłam przygnębiona i czułam się podle. Nie bawiły mnie nawet konne przejażdżki.
- Znudzona jazdą konną? - zapytał lord M. ze zdumieniem. Ale on też czuł się winny.
- Mogłem zapobiec wybuchowi skandalu. Dlaczego nie powiedziałem lordowi Hastingsowi, że to ja rozprzestrzeniałem plotki? Powinienem mu się przyznać, że to ja byłem za wszystko odpowiedzialny... bo w istocie byłem.
- Ależ nie! - zaprzeczyłam poruszona.
- Och tak - powiedział, a do oczu napłynęły mu łzy. -Jestem twoim doradcą, pani, i nie najlepiej doradzałem ci w tej sprawie.
Oczy mi również zwilgotniały.
- Jesteś najwierniejszym i najlepszym przyjacielem, panie... - Nic więcej nie byłam zdolna powiedzieć. Ujęłam jego dłoń i uścisnęłam, i tak siedzieliśmy jakiś czas w ciszy, jak dwoje rozbitków na wystającej z morza skale, samotni w największej metropolii świata.
177

2 maja 1900.

Jednym z powodów ochłodzenia stosunków między mną a wujem Leopoldem było to, że od czasu gdy zostałam królową, przestała mnie nęcić myśl o małżeństwie. Dawno już się domyśliłam, że wuj i babcia Koburg planowali nasze małżeństwo z Albertem niemal od kołyski; nikt o tym wprawdzie nie mówił głośno, ale rozumiało się to samo przez się. Widziałam kuzyna tylko raz w życiu, gdy oboje mieliśmy po siedemnaście lat; przyjechał wraz z ojcem, księciem Koburg, i starszym bratem Ernestem z wizytą do pałacu Kensington. Spodobaliśmy się sobie od razu, ale byłam wtedy tak straszliwie spragniona towarzystwa i zabaw, że polubiłabym nawet kogoś ani w połowie tak sympatycznego. Natomiast z pewnością jeszcze się w sobie wówczas nie zakochaliśmy. Albert był w tym czasie znacznie niższy od swojego brata, raczej grubawy, nie najlepszego zdrowia i w nie najlepszej kondycji psychicznej. Męczyła go potwornie choroba morska podczas przeprawy przez kanał i nie mógł potem dojść do siebie, a mnie, tak krzepką i żywotną, zawsze denerwowały oznaki cudzej słabości. Poza tym uwielbiałam bankiety, przyjęcia, tańce; mogłam tańczyć do świtu, byle tylko orkiestra grała, podczas gdy Albert prawie zasypiał o dziewiątej wieczorem, obfite pożywienie mu nie służyło, przedkładał czytanie w samotności nad tańce i hałaśliwe przyjęcia. Niemniej bywał bardzo zabawny w czasie śniadań; miał miły głos i wielki talent do naśladowania innych, czym mnie rozbawiał. Do jego wyjazdu uznałam, że mogę go zaakceptować jako

przyszłego męża, kiedyś, w stosownym czasie - pod warunkiem że dość odległym.
Sytuacja stała się trudna po moim wstąpieniu na tron, kiedy wuj Leopold zaczął nalegać, abym wyznaczyła datę. Dopiero co uwolniłam się z klatki i obdarzyłam całą nie mającą dotąd ujścia miłością, do jakiej byłam zdolna, mężczyznę, który pomógł mi się wydostać z mojego więzienia. Na balach i przyjęciach młodzi mężczyźni ubiegali się o prawo tańczenia ze mną. Moje słowo było rozkazem, a bezpieczna, bo otoczona bezustanną przyjazną uwagą lorda Melbourne, odkryłam przyjemności flirtu. Niczego mniej nie mogłabym pragnąć,
178
jak uzależnić się od nudnego, pękatego, sennego kuzyna, który chodził spać o dziewiątej wieczór, miał wiele zastrzeżeń do niewinnych przecież, choćby i niemądrych rozrywek, jakich chciałam zażywać, i byłby zazdrosny o moich wielbicieli. Świeżo uwolniona z klatki, nie kwapiłam dać się zamknąć z powrotem, a ponieważ wuj Leopold nalegał, odpowiedziałam, że jestem zbyt młoda do małżeństwa, podobnie zresztą jak Albert - powinien lepiej poznać świat, poza tym jego angielski pozostawiał wiele do życzenia. Wuj Leopold musiał się poczuć zaniepokojony, widząc, że jego wspaniały plan może spalić na panewce. Nie wiedziałam o tym wtedy, ale tak pokierował edukacją Alberta, aby ten spełniał wszelkie wymogi stawiane małżonkowi królowej Anglii; ja nie przyrzekłam ręki Albertowi, on tak. Kiedy przedstawił najdelikatniej jak umiał moje zastrzeżenia Albertowi, ten wysunął swoje. Nie będzie dłużej czekał, aż się zdecyduję, powiedział wujkowi, nie kryjąc niezadowolenia. Przypuśćmy, że czekałby jeszcze trzy czy cztery lata, a potem bym go odrzuciła -zmarnowałby połowę życia. Skoro nie ma szans na mariaż w Anglii, chciałby zwrócić się gdzie indziej i wybrać narzeczoną, zanim sprzątną mu sprzed nosa wszystkie księżniczki. Tak więc sprawy nie przedstawiały się zachęcająco w 1839 roku, tego lata, gdy zmarła nieszczęsna lady Flora. Siedzieliśmy pewnego dnia z lordem Melbourne w ponurym nastroju, dumając nad moim losem.
Zmieniłam się na niekorzyść od ostatniego roku - stwierdziłam. - Byłam taka wesoła. Wszystko mnie bawiło, a w tym roku te same przyjemności zupełnie mnie nie cieszą.
- Znowu je pani polubisz, gdy zacznie się na nie sezon -zapewnił dobrodusznie. - To ta pora roku. Wszystko wydaje się nudne w lipcu.
- I jeszcze mama - powiedziałam. - Muszę ją znosić pod swoim dachem. Zauważ, panie, jak długo nie chciała oddalić pewnego osobnika, a wiedziała przecież, że jest moim wrogiem. No i lady Flora.
- Wzdrygnęłam się na dźwięk jej imienia. - Wszyscy uważają, że teraz powinnam się pogodzić z mamą, a ja nie mogę jej zapomnieć, jak z miejsca stanęła po stronie swojej damy dworu, nie po mojej.
179
- To rzeczywiście było szokujące - potwierdził współczująco cichym głosem.
- Ale w końcu nigdy mnie nie kochała - dodałam, wtrącając się w prawdziwą otchłań żalu nad samą sobą. - Nigdy o mnie nie dbała, ani trochę. Nienawistna jest mi myśl, że żyjemy pod jednym dachem, gdy wspomnę te wszystkie lata udręki. Nigdy nie zapanuje tutaj spokój ani miła atmosfera.
- To rzeczywiście straszne - powiedział lord M. - ale co można zrobić?
- Dałabym wszystko, żeby się jej pozbyć.
- Ale to wywoła prawdziwy skandal. Nie możesz mieszkać, pani, sama - przypomniał mi.
- Wiem - oświadczyłam ponuro - w dodatku dawno temu przysięgła, że mnie nie opuści, dopóki nie wyjdę za mąż.
- Czyli - rzekł, spoglądając mi w oczy - istnieje sposób, aby ten problem rozwiązać.
Poczułam, że się czerwienię.
- Równie przerażająca możliwość - powiedziałam i wstałam, aby podejść do okna, ochłodzić twarz. Małżeństwo? Ledwie mogłam znieść tę myśl. Chciałam, żeby zawsze trwał taki stan rzeczy jak obecnie: żebym cieszyła się poczuciem bezpieczeństwa przy lordzie M. i nigdy nie musiała dorosnąć. Wiedziałam, co oznacza małżeństwo: posiadanie dzieci, a ta myśl również napełniała mnie przerażeniem. Co się robi, aby mieć dzieci, tego nie wiedziałam, ale mogłam się domyślić, że było to coś ohydnego i strasznego, bo czyż inaczej trzymano by to w sekrecie? Czyli pozostawało mieszkanie z mamą, której nienawidziłam. A zresztą, dobrze wiedziałam, że nie mogę pozostać

niezamężna. Byłam królową Anglii i miałam obowiązek dać krajowi dziedzica tronu.
Nie miałam nawet z kim podyskutować o ewentualnym małżeństwie: temat uznawano za tak delikatny, że wszystkie panie na dworze wstydliwie uchylały się od rozmowy. Stałam przy oknie przez jakiś czas w milczeniu, aż wreszcie doszłam do wniosku, że głupotą byłoby obawiać się zacząć o tym mówić z kimś, kto był mi oddanym przyjacielem. Zawsze rozmawialiśmy dość otwarcie. A zresztą, przecież miałam zamiar tylko to przeanalizować, nie zrobić.
Odwróciłam się do niego. Podniósł się oczywiście, gdy ja

wstałam, dałam więc mu znak, aby usiadł. Czułam się znacznie lepiej, mogąc wokół niego chodzić, podczas kiedy on tkwił unieruchomiony na krześle.
- Nie wiem, czy jesteś, panie, świadomy - zaczęłam z wahaniem - że jest gorącym życzeniem mojego wujka... króla Leopolda... - Skinął zachęcająco głową, a ja zebrałam się wreszcie na odwagę: - Zawsze chciał, żebym poślubiła kuzyna Alberta, ja się jednak waham. Widziałam go tylko raz w życiu. Nie jest zbyt przystojny i stale przysypia.
- Niezbyt zachęcające - zgodził się z rezerwą w głosie.
- Nie zniosę małżeństwa dla konwenansu. Kocham swój kraj i gotowa jestem zrobić co w mojej mocy dla jego dobra, ale co do wyboru męża, najważniejszą rzeczą jest to, czy będzie mi się podobał.
- Na pewno masz pani do tego prawo - upewnił mnie. -Nikt nie oczekuje, że poślubisz kogoś, kto nie będzie ci się podobał. Nie jest właściwe ani też nie zapewnia nikomu szczęścia małżeństwo bez uczucia.
- Właśnie - zgodziłam się skwapliwie.
- Niemniej trochę informacji nie zaszkodzi. Jak sądzę, wiele może zależeć od tego, jakim człowiekiem jest kuzyn.
- Nie mam pojęcia. Nie podejmę żadnej decyzji, dopóki go znowu nie zobaczę - powiedziałam ze zdenerwowaniem. -Co prawda słyszę ze wszystkich stron same pochwały.
- Ciekawe, jak się ułożą stosunki z księżną? - zapytał z zadumą. Teraz wiem, że próbował się zorientować, co czuję, i dostosować do tego swoje rady; nie mogło mu to się udać, ponieważ byłam naprawdę niezdecydowana. - Gdybyś go, pani, poślubiła, a on stanął po jej, nie twojej stronie, byłoby to rzeczywiście okropne. Znalazłabyś się w jeszcze trudniejszej sytuacji, to by wzmocniło jej pozycję.
- Ależ to w ogóle nie wchodzi w rachubę - powiedziałam zdumiona. Nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek w moim wieku mógł trzymać z mamą. - Możesz, panie, porzucić te obawy.
- To świetnie - stwierdził, jakby w to powątpiewał. - Zastanawiam się jednak, czy powinnaś, pani, poślubić Koburga. Nie są u nas zbyt lubiani, zwłaszcza od czasu gdy przyznano twojemu wujowi tak olbrzymie apanaże. Przez portmonetkę

droga do nieprzyjaźni, przecież wiesz, pani. Nie są również popularni za granicą. Szczególnie Rosjanie ich nienawidzą.
- Nie widzę żadnej przyczyny tej niepopularności - powiedziałam nieco urażona tą opinią o mojej rodzinie.
- Nie? A przecież twoja matka, pani, jest z Koburgów... Niezła przedstawicielka rodu, ośmielę się zauważyć.
Wybuchłam śmiechem i usiadłam naprzeciwko niego.
- Owszem, nieodrodna córa Koburgów, ale mężczyźni są lepsi, zapewniam cię, panie.
- Mam nadzieję, mam nadzieję. - Uśmiechnął się. - Ale też wiadomo o nich powszechnie, że dużo palą i nie myją twarzy.
- No cóż, ilu widziałam swoich kuzynów, wszyscy byli czarujący!
- Wreszcie do tego doszliśmy - powiedział poważnie. -Kuzynowie! Muszę wypełnić swój obowiązek i ostrzec cię, pani, że małżeństwo z bratem ciotecznym nie jest najlepszym pomysłem. W naszym kraju nie stoją na przeszkodzie względy religijne, jest to jednak niezwykle bliskie pokrewieństwo i konsekwencje mogą być nieprzyjemne. Sądzę, że rozumiesz, pani. Dzieci z

takiego związku mogą się narodzić... nie całkiem udane.
Znowu się zarumieniłam i zapytałam, żeby zmienić temat:
- No dobrze, w takim razie kto by jeszcze wchodził w rachubę?
Rozpatrzyliśmy kandydatury uważanych za dobrą partię książąt, ale żaden nas nie zadowolił.
- Do wszystkich można mieć zastrzeżenia - stwierdziłam ponuro.
- Poza tym cudzoziemiec nie zyska w Anglii popularności - poparł mnie.
- Nigdy, ale to przenigdy nie poślubię żadnego ze swoich poddanych - powiedziałam pospiesznie. - To by mnie z nimi zrównało, a ponadto musiałabym utrzymywać kontakt z rodziną; natychmiast znaleźliby się jak spod ziemi jacyś dalecy krewni, żądający, aby ich uznać, co by tylko wywołało zawiść i niesnaski.
- Och, to rzeczywiście niemożliwe; dwór zapełniłby się wieśniakami - rzekł wstrząsnąwszy się lekko, co mnie rozbawiło.
182
- Niemniej cudzoziemiec rzeczywiście nie zyska popularności w Anglii - powtórzył z naciskiem.
- Co do mnie, wolałabym w ogóle nie wychodzić za mąż -oświadczyłam rozdrażniona - tylko że mój wuj tak na mnie naciska.
- To rzeczywiście wielka zmiana w życiu - powiedział. -Małżeństwo to poważna rzecz.
Pomyślałam o jego własnym, nieszczęśliwym. Zupełnie jakby mnie ostrzegał.
- Nie muszę przecież teraz podejmować decyzji. Czemu nie miałabym wyjść za mąż dopiero za trzy, cztery lata? Tylko że - mój umysł wrócił jak wahadło do poprzedniego tematu - obecna sytuacja z mamą jest nie do wytrzymania.
- Zawsze awantura wisi w powietrzu - zgodził się ze skinięciem głowy. - Święty by stracił cierpliwość.
- Szczerze mówiąc - powiedziałam w przypływie całkowitego zaufania - panicznie boję się myśli o małżeństwie. Przywykłam postępować wedle własnej woli.
- I dalej będziesz - odparł. - Jesteś, pani, królową.
- Dziesięć do jednego, że nie będę się z nim zgadzała... ktokolwiek by to był. Nawet jeśli w końcu postawię na swoim, jak wytrzymam te potworne sceny, które się będą rozgrywać? Jestem taka porywcza, wymęczą nas awantury.
Zapadła cisza. Wreszcie lord M. zapytał z namysłem:
- Zdaje się, że kuzyn Waszej Królewskiej Mości ma w tym roku przybyć z wizytą?
Kiwnęłam głową.
- Wuj Leopold chce, żeby Ernest i Albert odwiedzili Windsor na jesieni.
- Nic złego nie wyniknie z tego spotkania - powiedział pojednawczo. - Cóż bardziej naturalnego niż wizyta kuzynów; co do małżeństwa nie ma przecież takiej konieczności.
Jego gotowość do rozwiania moich obaw tylko mnie zirytowała. Roztrząsaliśmy problem, a rozwiązanie nawet się nie zarysowało; jeśli nie wyjdę za mąż, będę musiała dalej mieszkać z mamą, czyli znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.
- Dla mnie mogą sobie przyjeżdżać albo nie! - wykrzyknęłam w przypływie złości. - Cały ten temat jest niesmaczny! Najchętniej w ogóle nie wychodziłabym za mąż!
183
- A to doprawdy dla mnie niespodzianka - powiedział lord M. z tak zabawną miną, że cała złość mi przeszła i zaczęłam się śmiać. - Na razie nikt nie wyraża publicznie zaniepokojenia z powodu małżeństwa Waszej Wysokości. Może lepiej zaczekać, aż pojawią się takie głosy.
Omal nie rzuciłam mu się na szyję z wdzięczności. Podsunął mi doskonałą wymówkę dla wujka Leopolda i Ernesta, gdyby za bardzo zaczęli mnie naciskać, abym zrobiła to, czego nie chciałam. Jestem królową Anglii; nie mogę poślubić mojego kuzyna tylko dlatego, że tak chce wuj!
Miałam zatem spokój z tą sprawą do końca lata i starałam się nie zaprzątać sobie nią głowy.
Czwartek dziesiątego października pozostanie dniem, którego nigdy nie zapomnę. Zaczął się niezwyczajnie, ponieważ w nocy jakiś szaleniec rzucał kamieniami w moje okna i rozbił kilka szyb - nieprzyjemne i denerwujące. Nigdy nie odkryto, kto i dlaczego to zrobił. Niezależnie od tego lord M. i ja czuliśmy się rozdrażnieni i mieliśmy ciężkie głowy, ponieważ oboje jedliśmy poprzedniego

wieczoru wieprzowinę, która nam nie posłużyła. Udaliśmy się więc na długi spacer, aby uśmierzyć przynajmniej ból głowy, a kiedy wracaliśmy tarasami (byliśmy akurat w Windsorze), przybiegł do mnie paź z listem, który właśnie dostarczono. Przeczytałam go i rzuciłam zdenerwowane spojrzenie lordowi M.
- Od wuja Leopolda - powiedziałam. List był krótki. -Pisze, że moi kuzyni przyjeżdżają dzisiaj wieczorem.
Skinął głową, ale widać było, że jest niezadowolony. Rozumiałam dlaczego. Podobnie jak ja obawiał się, że dni swobody zbliżają się do końca. Miałam takie samo przeczucie. Groziła mi dorosłość. Wkrótce - to kwestia godzin - zobaczę znowu Alberta i będę zmuszona podjąć decyzję. Najgorsze, co się może zdarzyć, myślałam, to że ani go polubię, ani znienawidzę. Może mi być zwyczajnie obojętny i co wtedy?
- Podobno zrobił się całkiem przystojny, gdy dorósł -odezwałam się nerwowo.
Lord M. spojrzał mi w oczy.
- I nie zasypia już wieczorami. Nie roześmiałam się.
- Nie wiem - powiedziałam. - Wkrótce się przekonamy.
184
O wpół do ósmej zapowiedziano, że powóz się zbliża, stanęłyśmy więc z mamą u szczytu schodów w wielkiej sieni, aby ich przywitać. Przeprawę mieli fatalną, ich bagaż gdzieś się zapodział. Będą zmęczeni, bladzi, wycieńczeni chorobą morską, pomyślałam, muszę się przygotować na ten widok. Dwaj mężczyźni pojawili się i zaczęli wchodzić po schodach; byłam tak zdenerwowana, że ledwie zdobyłam się na to, aby na nich spojrzeć. Ernest szedł pierwszy i właściwie się nie zmienił; ale Albert - rzeczywiście był to Albert? Wysoki i szczupły, a ci, co mówili, że zrobił się całkiem przystojny, gdy dorósł - kłamali wierutnie. Był piękny!
Stanął przede mną, spojrzał mi w oczy i ujął moją dłoń; podniosłam rękę zupełnie bezwiednie. Wpatrywałam się w niego bez słowa, a serce tłukło mi się w piersi, jakby chciało ulecieć do jego serca i na zawsze przy nim pozostać. Coup de foudre. Spojrzałam i pokochałam go bezgranicznie.
Następnego dnia mieliśmy nieformalny wieczór tańcujący i po raz pierwszy nie przeszkadzało mi to, że etykieta zabrania mi tańców, w których jest się blisko partnera; wynagrodziła mi to możliwość obserwowania Alberta w walcu, kadrylu, galopie. Tańczył z takim wdziękiem, miał świetną postawę i figurę - wysoki i szczupły, ale silny; z szerokimi barkami, wąski w pasie. Widziałam go wcześniej w siodle i zauważyłam kształtne łydki, wypełniające cholewy butów do konnej jazdy, i muskularne uda w pantalonach przylegających jak druga skóra; nic więcej pod nimi nie nosił! Był bardzo męski i zrobiło to na mnie kolosalne wrażenie; a przecież czuło się również w nim duchowość, przez co sprawiał wrażenie, jakby przybył do nas z lepszej planety. Jego twarz wyglądała, jakby ukształtował ją zdolny artysta, starannie dobrawszy subtelne kolory: niebieskie oczy o niezwykle atrakcyjnym odcieniu - letnie niebo przygasłoby z zazdrości na widok tego błękitu - prosty, kształtny nos, delikatnie zarysowane usta, słodkie i pełne wyrazu. Włosy miały kolor prawie taki jak moje, jasnobrązowe, połyskujące złotymi refleksami; nosił wąsy i nie za duże bokobrody. Mówiono, że jest podobny do matki, prawdziwej piękności, i na pewno w niczym nie przypominał brata, ciemnowłosego, o czarnych
185
oczach; w powierzchowności Ernesta nie było niczego subtelnego. Byłam zadowolona, że Albert nie przypomina go także pod względem charakteru. Książę, ich ojciec, był rozwiązły i rozrzutny, a Ernest poszedł w jego ślady. Składając tę wizytę, był już zarażony syfilisem, który ostatecznie stał się przyczyną jego śmierci - wtedy oczywiście tego nie wiedziałam! Miewał napady dreszczy i gorączkę, co go zmuszało do pozostania w łóżku, a co tłumaczono dolegliwościami gastrycznymi i żółtaczką.
Zawsze marzyłam o tym, aby być piękną, i dobrze wiedziałam, że nie jestem; zawsze też podziwiałam piękno u innych. W niedzielę, w kaplicy Świętego Jerzego miałam możliwość obserwować Alberta podczas koncertu; jego twarz rozjaśniała się w miarę słuchania, jakby jego dusza zawędrowała na krótko na świat i przez ulotną chwilę stała się dla mnie widzialna. Muzyka wiele dla mnie znaczyła, ucieszyłam się więc, że coś mnie łączy z tym doskonałym tworem

ludzkiego rodu. Grał z wprawą na fortepianie i śpiewał łagodnie brzmiącym tenorem. Zaśpiewaliśmy razem jeden czy dwa duety; pochwalił mój głos i stwierdził - och, jak się rozkoszowałam tymi słowami! - że współbrzmimy zadziwiająco zgodnie.
Bywał również wesoły, przy lunchu na przykład rozbawił mnie anegdotami ze swoich czasów studenckich w Bonn i bardzo udatnym naśladownictwem mimiki profesorów i znanych, dostojnych postaci. Przywiózł ze sobą do Windsoru piękną charcicę o imieniu Eos. (Wyjaśnił mi, że znaczy to „świt", co bardzo do niej pasowało, ponieważ miała sierść czarną jak noc, a rozjaśniało ją tylko jedno srebrzyste pasmo). Powiada się, że ludzie są podobni do swoich psów; Eos była rodzajem psa, który sama bym dla niego wybrała: szczupła i elegancka, łagodna i dobra, umiała patrzeć tak melancholijnie - ani trochę rozbrykana i hałaśliwa jak moje kochane psiaki! Była taka grzeczna i tak dobrze ułożona, że na komendę obchodziła nas wszystkich przy stole, podając łapę. Popisywała się przed nami, wykonując niewiarygodnie wysokie skoki, i była tak wykwintna, że brała kąski z jego widelca, nie rozrzucając jedzenia. Wyraźnie go uwielbiała, a ja uważałam, że to nic łatwiejszego pod słońcem.
Następnego dnia, korzystając z tego, że Ernest i Albert

udali się na polowanie, posłałam po lorda Melbourne i powiedziałam mu, że moje poglądy na małżeństwo diametralnie się zmieniły.
- Nic dziwnego - odparł, rzucając mi znaczące spojrzenie. - Książę Albert jest bardzo przystojnym młodym człowiekiem.
- Czyli wyczułeś to, panie?
- Było oczywiste, że jesteś nim, pani, zainteresowana. Twój wzrok wczoraj, gdy siedzieliście na sofie, przeglądając akwaforty, częściej padał na niego niż na ryciny.
- Bardzo jesteś spostrzegawczy, panie - stwierdziłam, czując, jak policzki mi płoną. - Zorientowałeś się zatem na pewno również, że prawie już podjęłam decyzję... to znaczy o poślubieniu Alberta.
Czy nie wahał się przez chwilę? Nie skurczył leciutko pod moim spojrzeniem? Wtedy byłam całkowicie skoncentrowana na własnych uczuciach, teraz widzę, jakim to musiało być dla niego ciosem. Młodzi ludzie są przerażająco bezmyślni; teraz, gdy sama jestem stara, mogę w pełni docenić jego opanowanie.
- Bardzo jestem rad - powiedział ciepło. - Sądzę, że to dobre rozwiązanie i poczujesz się, pani, spokojniejsza. Kobieta nie powinna żyć samotnie, niezależnie od tego, w jakiej znajduje się sytuacji, a twoja jest szczególnie trudna.
- Sama czuję, że powinnam mieć kogoś, na kim będę mogła się oprzeć - przyznałam. - A on jest taki piękny, miły i łagodny. Jestem taka wybuchowa, to doskonałe przeciwieństwo, nie sądzisz, panie?
- Jest pod każdym względem wspaniałym młodym człowiekiem - powiedział uprzejmie. - Czy Wasza Królewska Mość myślała już, kiedy to ma nastąpić?
- Nie wiem. Może za rok?
- Zbyt długo - powiedział, potrząsając głową. - Musi się zebrać parlament, aby przyznać mu środki na utrzymanie... pensję i tak dalej. Lepiej z tym nie zwlekać, żeby nie dawać powodów do długich dyskusji. Im mniej gadania, tym mniej zastrzeżeń, chociaż nie sądzę, aby były silne. Przeciwnie, łatwo nam przyjdzie osiągnąć, co chcemy, ponieważ dochodzą mnie słuchy, że zaczęto się martwić, czy wyjdziesz za mąż,

pani. - Po krótkiej rozmowie ustaliliśmy, że najodpowiedniejszy będzie luty. - Zostanie mu oczywiście nadany tytuł marszałka polnego, to zwykła rzecz.
- Tak, i ma być nazywany Jego Królewska Wysokość, żaden Jaśnie Oświecony, jakby był kimś podrzędnym!
- Książęta nie noszą tombaku, tylko szczere złoto - powiedział lord M. i oboje się roześmialiśmy.
- Co do nadania mu tytułu para... - zaczęłam, ale lord M. natychmiast mi przerwał.
- Ależ nie, nie! Byłoby to wysoce nieroztropne! Wywołałoby to powszechne oburzenie w kraju,

oskarżono by go o wtrącanie się do polityki, gdyby zasiadł w Izbie Lordów.
- Właśnie zamierzałam powiedzieć, że nie życzę sobie dla niego tytułu para - powiedziałam z godnością. - Nie jest to żadną miarą zaszczytny dla niego tytuł. Życzę sobie, aby go mianowano królem małżonkiem. - Zobaczyłam, jak lord M. otwiera usta ze zgrozą, i dodałam pośpiesznie: - Może nie od razu, ale powiedzmy za rok czy dwa, kiedy wszyscy przekonają się, ile jest wart.
Lord M. odzyskał głos.
- Nie, nie, pani, na litość boską, nie! Proszę porzucić takie pomysły. Król nie, w żadnym razie! To nikomu nie przyniesie pożytku!
- Księżniczka Charlotta obiecała uczynić wujka Leopolda królem, kiedy zasiądzie na tronie. Tego samego wuj oczekuje dla Alberta. I w istocie, dlaczego miałoby być inaczej? Co jest warta moja władza, skoro nie mogę zapewnić mojemu mężowi pozycji, która mu się należy?
- Nie jest w twojej mocy, pani, uczynić go królem -oświadczył stanowczo. - To mógłby uchwalić wyłącznie parlament. Tak jak to się stało z Wilhelmem III i królową Marią II.
- Skoro oni zyskali tytuł, mogę i ja!
- Pod żadnym pozorem! Czy Wasza Królewska Mość nie rozumie, że jeśli parlament nauczy się intronizować królów, nauczy się również ich detronizować? W żaden sposób nie należy rozbudzać podobnych ambicji. - Milczałam, niezadowolona, a kiedy rzuciłam mu gniewne spojrzenie, dodał łagodnie: - Nie powinno być natomiast żadnych trudności

z prawem pierwszeństwa, jeśli tego sobie pani życzysz. Twój mąż może być wyniesiony ponad innych mężczyzn.
- Ponad moich angielskich krewnych? - zapytałam ostrym tonem.
- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - Będzie miał w społeczeństwie taką samą pozycję jak w twoim sercu.
Uspokoiwszy się, ujęłam jego dłoń.
- Dziękuję. Jesteś lordzie dla mnie taki dobry, jak ojciec. Myślałam, że będziesz nadzwyczaj niezadowolony, gdy usłyszysz to, co powiedziałam.
- Niezadowolony z czegoś, co może Waszą Wysokość uszczęśliwić? - zapytał, ściskając moją dłoń. - Jakże byłoby to możliwe?
Kochany, drogi lord M.! Wiedział, że wszystko się zmieni, że to kres naszej wzajemnej bliskości; szczęśliwe dni się skończyły. Ale nigdy, najmniejszym gestem, najcichszym słowem nie zachwiał moimi wyobrażeniami o świetlanej przyszłości.
- Sądzę, że powinnaś pani jak najszybciej poinformować księcia o swoich uczuciach - powiedział odrobinę drżącym głosem.
- Ja mam mu powiedzieć? Wielkie nieba, cóż za dziwaczne odwrócenie porządku rzeczy! Jakże niezręcznie będę się czuła!
- Musisz w tym wypadku przyjąć na siebie rolę mężczyzny. - Uśmiechnął się. - To kara za bycie królową; jest się pozbawioną przywileju wysłuchiwania oświadczyn.
Roześmiałam się.
- Nie uważałabym tego za przywilej. Wolę już raczej sama to robić, niż wyczekiwać, aż kto inny się zdecyduje, nie mając w dodatku żadnej możliwości go popędzić.
- Och, kobiety zwykle znajdują sposób, jak nie taki to inny, aby uczynić swoje życzenia wiadomymi - powiedział lekkim tonem.
Wkrótce potem się rozstaliśmy, a kiedy już złożył ukłon i ucałował moją dłoń, zapytał:
- Kiedy odbędzie się rozmowa?
- Jutro.

- Zatem piętnastego października - powiedział. - Będzie to ważna data.
I wyszedł; wysoki, imponujący, wciąż przystojny - i nagle jakby postarzały; usunął się w cień, zostawiając miejsce na scenie dla następnego aktora, który miał grać na niej pierwszoplanową rolę przez następne lata.

Rozdział Ósmy.
4 maja 1900 w Windsorze.

Dla przypomnienia: następnego ranka, czyli we wtorek piętnastego października, Albert i Ernest wrócili z polowania i kiedy skończyłam zajmować się sprawami państwowymi, udałam się do Błękitnej Komnaty, mojego prywatnego saloniku. Krążyłam po nim, niespokojna i pełna obaw. Kochałam go, co do tego nie miałam wątpliwości, ale czy on mnie kochał? Mógł kochać? Były pewne wskazujące na to oznaki: okazywał mi wiele uwagi - ale byłam przecież królową, jakże miał mi nie okazywać uwagi? Był miły, czarujący, starał się mnie zabawić - ale kogo nie oczarował swoim wdziękiem? (Lady Cowper, siostra lorda M., powiedziała, że ma doskonałe maniery, jest czarujący i wesoły, wzór do naśladowania dla młodych mężczyzn). Poprzedniego wieczora po tańcach, gdy żegnaliśmy się, stojąc w korytarzu, uścisnął czule rękę, którą mu podałam - och, jakaż to jednak była słaba przesłanka, aby postawić wszystko na jedną kartę!
Przystanęłam i wspiąwszy się na palce, przyjrzałam się sobie w lustrze wiszącym nad gzymsem kominka. Gładka, pulchna twarz o pięknej cerze, gładkie jasnobrązowe włosy. Przestałam się czesać z lokami opadającymi po bokach twarzy, upinałam teraz włosy w koczek, wokół uszu zapętlałam po warkoczyku, dzięki czemu zdaniem Lehzen wyglądałam bardziej dystyngowanie, bardziej na spadkobierczynię Plantagenetów - jak królowa Filipa. Zapatrzyłam się w znajome odbicie. Więc dwoje oczu, dość dużych, jasnoniebieskich, ale i wypukłych. Nos - niewybaczalny. Wargi - nieprzesadnie

czerwone, dolna ciążąca ku dołowi z powodu zbyt małego podbródka, odsłaniająca zęby - bardzo piękne zęby, drobne, równe; ale nikt się nie zakochuje z powodu zębów! Miałam „srebrzysty" głos i wdzięczne ruchy - jedyne moje atuty.
Jedyne? Cóż, byłam królową Anglii, najlepszą partią w Europie. Wiedział, po co przyjeżdża do Windsoru, pomyślałam, co do tego wuj Leopold nie pozostawił mi wątpliwości; było zatem nieprawdopodobne, że mnie odrzuci. Och, tylko że nie byłam piękna, a on tak, i kochałam go tak okropnie mocno! Jeśli się zgodzi, nie kochając mnie, jak się z tym pogodzę?
Poleciłam Lehzen, aby posłała mu wiadomość, żeby do mnie przyszedł, kiedy tylko wrócą z polowania; około wpół do pierwszej zobaczyłam ich galopujących po zboczu. Rozpoznałabym go pośród setki mężczyzn jadących na koniach; pędzili obok siebie z Ernestem, ścigając się; niemal słyszałam ich krzyki i szczęśliwy śmiech, co z tego, że byli zbyt daleko, by to słyszeć. „O, szczęśliwy koniu; dane ci dźwigać ciężar Anthony'ego!". Zniknęli mi z oczu, czekałam, widząc oczyma wyobraźni, jak zsiada z konia, oddaje cugle, wchodzi po schodach, lokaj wręcza mu wiadomość ode mnie. Na pewno zechce się przebrać i umyć ręce. Czy jest tak samo jak ja zdenerwowany, wiedząc, co się zaraz stanie? Czy też spokojny i obojętny, świadomy przewagi, jaką ma nade mną i innymi ludźmi?
Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, omal nie wyskoczyłam ze skóry. Odezwałam się i oto się pojawił, mój gość, piękny jak anioł; oczy miał błyszczące, policzki mu pałały od niedawnego wysiłku... być może!
- Życzyłaś sobie, kuzynko, mnie zobaczyć?
- Och! Tak... Tak, kuzynie, wejdź. - Wszedł, zamknął za sobą drzwi i stanął wyczekująco, utkwiwszy we mnie pytające spojrzenie. Nie był niczego świadomy; mogłam go przecież wezwać tylko po to, aby mu oznajmić, że wybieram go na swojego partnera do gry po obiedzie.
Zdenerwowana byłam wyłącznie ja. Splotłam dłonie, aby powstrzymać ich drżenie, i starałam się mówić naturalnym tonem, chociaż w moim głosie z pewnością pojawiły się wyższe nuty niż zwykle. -Ja... widziałam, jak podjeżdżaliście po zboczu. Czy przejażdżka była przyjemna?

- Dziękuję, bardzo przyjemna.
- Czy wybrano ci dobrego konia?
- Wspaniałego, doprawdy.

- Czy nie jest zbyt gorąco na jazdę konną?
- W tej chwili już być może tak. Było znacznie chłodniej, gdy wyruszaliśmy.
Łamałam sobie głowę, co by tu jeszcze powiedzieć, i przeklinałam nieposłuszny język, nie znajdując właściwych słów. Nie nauczyłam się prowadzić lekkich rozmów, nie miałam po temu okazji, na co często uskarżałam się lordowi Melbourne. „Lepiej powiedzieć byle co niż nic", powtarzał. I nagle, na myśl o nim, poczułam się całkowicie spokojna. Co za absurd szukać w głowie błahych tematów, kiedy nasz los miał się zdecydować. Podniosłam na niego oczy; policzki mi płonęły, czułam to wyraźnie, mimo to powiedziałam odważnie:
- Na pewno doskonale wiesz, dlaczego chciałam, żebyś tu dzisiaj przyszedł. Muszę cię o coś zapytać. - Zobaczyłam rumieniec, wypełzający na szyję, ogarniający policzki i poczułam się pewniej, zrozumiawszy, że jest podobnie jak ja nieśmiały. Raczej bym umarła, niż miała wprawić go w zakłopotanie, moje serce wezbrało od słów: żarliwych, prostych słów, najwłaściwszych jak sądzę teraz, kiedy o tym myślę. -Najdroższy Albercie, jestem w tobie tak bardzo zakochana, że to prawie nie do wytrzymania! Będę najszczęśliwsza, jeśli zgodzisz się na to, czego i ja pragnę... to znaczy, poślubić mnie!
Jakbym przerwała tamę. Policzki mu pobladły, nagle znalazł się koło mnie, zupełnie nie wiedziałam kiedy, wziął mnie w ramiona i zaczął obsypywać pocałunkami moje policzki, brwi, wargi. Wypowiedział kilka słów, po niemiecku:
- Liebe Kleine... najdroższa, moja malutka... ja też cię kocham, bardzo.
Odjęło mi mowę, oszalałam ze szczęścia; przywarłam do niego, żarliwie oddając pocałunki, zdumiona, że moja miłość została odwzajemniona i to przez takiego anioła jak Albert. Kochał mnie! Naprawdę mnie kochał, jak to było możliwe? Po chwili ujął moje dłonie i zaprowadził mnie do sofy; usiedliśmy, wpatrzeni w siebie, uśmiechając się z ulgą, szczęśliwi.
192
- Rzeczywiście mnie poślubisz? - zapytałam z niedowierzaniem. - Rzeczywiście?
- Nie wyobrażam sobie większego szczęścia pod słońcem, jak dzielić z tobą życie - powiedział.
Och, jakaż byłam pokorna i jaka szczęśliwa.
- Jesteś za dobry. Wiem, że nie jestem ciebie warta, kochany, najdroższy Albercie, ale ze wszystkich sił postaram się, żebyś był szczęśliwy.
- Ależ nie, nie! To ja muszę się postarać, żebyś była szczęśliwa! To obowiązek, który sprawi mi przyjemność.
Uniosłam jego kochaną dłoń do ust, ucałowałam i przyłożyłam do policzka.
- Wiem, że się poświęcasz, ale dołożę wszelkich starań, żebyś tego bardzo nie odczuł.
- Nie poświęcam się - powiedział, a jego głos brzmiał szczerze. - Wierz mi.
- Ale tak jest, wiem, że tak jest! - wykrzyknęłam. - Tyle dla mnie poświęcasz, a ja...
- Wiktorio! - Po raz pierwszy wypowiedział moje imię, nie dodając żadnego tytułu, co mnie tak zdumiało, że zamilkłam. Zyskawszy moją uwagę, ujął delikatnie moją twarz w obie dłonie i popatrzył mi poważnie w oczy. - Uwierz mi, że się nie poświęcam. Bardzo cię kocham i wierzę, że mamy przed sobą udane, szczęśliwe życie. - Wciąż obejmując dłońmi moją twarz, pochylił głowę i pocałował mnie w usta. -Mój mały skarbie, tak cię kocham - wyszeptał.
Pocałował mnie znowu, ale tym razem zupełnie inaczej. Ogarnął mnie wewnętrzny spokój; smakowałam go i było to dziwne i ekscytujące, niewiarygodne. Smak mężczyzny! Rozchylił wargi, smakowałam jego usta i czułam się tak, jakby część jego istoty przechodziła w moje ciało, serce biło mi w piersi jak strwożony ptak, przerażająco mocno, jakby chciało się do niego wyrwać. Kiedy w końcu oderwał wargi od moich, przytulił mnie, opierając policzek o moją głowę i słyszałam jego przyspieszony oddech, jak po długim biegu. Moje ciało było jak płonąca pochodnia. Co się stało? Co się teraz stanie?
- Czy to miłość? - zapytałam z podnieceniem.
193
- Tak, to miłość - odpowiedział ochrypłym głosem, w którym brzmiało również zdumienie.
- Będziesz mnie zawsze kochał?! - wykrzyknęłam.
- O tak, zawsze!

Zdołaliśmy wreszcie się rozdzielić (tylko na tyle, żeby móc się trzymać za ręce i patrzeć jedno na drugie) i porozmawiać o tym, co konieczne. Powiedziałam mu, że powinniśmy pobrać się w lutym i co lord Melbourne mówił na temat parlamentu.
- To on wie? Lord Melbourne wie?
- Jest premierem, mój najdroższy. Musiałam z nim pomówić... ale z nikim poza tym, przysięgam.
- Tak, tak. Nie powinienem zapominać, że jesteś królową. Kto jeszcze powinien wiedzieć?
W jego głosie brzmiało rozczarowanie.
- Nikt! - wykrzyknęłam pospiesznie. - Nikt a nikt. Chcę, żeby to był nasz sekret. Tak długo, jak zechcemy.
- Nie powiesz mamie?
- Nie - zaprzeczyłam zdecydowanie. - Nie jej.
Zdaje się, że westchnął. Nie był świadomy, jak się pomiędzy mamą i mną mają rzeczy.
- Wuj Leopold?
- Och, tak, jemu powinniśmy powiedzieć. Będzie taki szczęśliwy! Mądry, mądry wujcio! Wiedział od początku, że tak się stanie.
- Musimy oboje do niego napisać - powiedział Albert, unosząc moją dłoń, aby ją ucałować. - Każde osobno.
- I pokażemy sobie nawzajem nasze listy.
- Jak sobie życzysz. Nie chcę mieć przed tobą tajemnic, Wiktorio.
- Ani ja przed tobą, najdroższy Albercie. Napiszmy od razu po lunchu. Musimy go jednak poprosić o zachowanie sekretu. Nie chcę go na razie dzielić z nikim innym. Och, jaka szkoda, że musimy zejść na lunch! Mogłabym siedzieć tu z tobą do końca świata!
- Mamy jeszcze trochę czasu - powiedział, obejmując mnie i znowu zaczęliśmy się całować, jakby się to nam miało nigdy nie znudzić.
Nie udało nam się spędzić już ani chwili w samotności

tego dnia. Byłam tak szczęśliwa, że chodziłam nieprzytomna, z głową w chmurach, i chociaż nikomu nie powiedziałam, co się wydarzyło, moje oczy i tak to bez przerwy zdradzały. Tego pierwszego dnia naszej miłości przyszedł na obiad w barwach Windsoru (ciemny błękit, czerwone wyłogi i mankiety). Napisałam kiedyś w swoim diariuszu, że lord Melbourne świetnie w nich wygląda; kiedy zobaczyłam Alberta, ledwie powstrzymałam okrzyk zachwytu. Nasze oczy się spotkały, wymieniliśmy pełne miłości spojrzenia; rozkoszowałam się radosną świadomością, że dzielę z nim ten sekret, najcudowniejszy sekret na świecie!
Tuż przed udaniem się na spoczynek garderobiana wręczyła mi liścik, który przyniósł lokaj Alberta. „Najdroższa moja, najukochańsza Wiktorio, jak to możliwe, abym zasłużył sobie na tyle miłości, tyle uczucia? Próbuję przywyknąć do myśli, że to, co ujrzałem i usłyszałem, zdarzyło się naprawdę, i zaczynam wierzyć, iż Niebo samo zesłało mi Anioła, aby swym blaskiem rozjaśnił moje życie. Czuje się oszołomiony nagłością tej zmiany mojej sytuacji; samotny jak ja, całkowicie i kompletnie, nagle zostałem obdarzony szczodrze radosną miłością. Zyskując Twoją rękę i serce, spełniłem swoje najskrytsze marzenia. Okazałaś mi tyle dobroci i łaski, że nigdy nie będę w stanie Ci się wypłacić, chyba tylko moim absolutnym, póki życia, oddaniem. Dobrej nocy i niech Cię Bóg błogosławi. Na zawsze, ciałem i duszą, twój sługa, oddany ci Albert".
Och, Albercie, moja serdeczna, najdroższa miłości, wszystko, co mi pozostało to twoje listy! Trzymam teraz jeden w ręce - pierwszy, który mi posłałeś, odkąd się zaczęło nasze wspólne życie - i całuję twoje drogie imię, pamiętna, że pióro, kreślące te słowa, trzymała ciepła dłoń żyjącego człowieka, mocna i młoda. Twój ciepły, wilgotny język zwilżył opłatek do pieczętowania. Miałeś ciepłe ciało, w którym pulsowała krew; żyłeś ze mną na tym świecie; mogłam cię widzieć, dotykać, trzymać w ramionach. Nigdy nie myślałam, że mogę kiedyś żyć bez ciebie! Dlaczego mnie opuściłeś? Gorzko i okropnie żyje mi się na tym świecie bez ciebie,

nawet teraz, choć tyle lat minęło. Przypominam sobie, jak pierwszy raz wziąłeś mnie w ramiona, i oddałabym wszystko, aby tamto powróciło, chociaż na parę chwil, żebym znowu mogła poczuć

tamtą radość.
To niemożliwe, wiem; a nawet gdyby było możliwe, nie miałabym czego ofiarować w zamian. Czas się z nami nie układa; czas gra najstarszą kartą.

Później.

Musiałam przerwać na chwilę. Troszeczkę mnie zdumiało to, że jestem zdolna płakać, tyle lat już przecież upłynęło. Ale, och, jaka ciężka strata! Cóż, mogę o nim myśleć, wspominać i to mi musi wystarczyć. Tamte dni naszych zalotów, jakże były upajające! Jakże absolutnie, całkowicie szczęśliwe. Nawet rozstanie z nim na parę godzin niosło radość, ponieważ myślałam tylko o ponownym spotkaniu, o tym, jakie będzie rozkoszne; oczekiwanie na pocałunki zaostrzało na nie apetyt. Żyliśmy tylko dla siebie; kiedy byliśmy w towarzystwie innych i nie mogliśmy się dotykać, dotykałam go oczami, czułam, jak mnie pieści swoimi. Kiedy tańczyliśmy, mocno splataliśmy dłonie; gdy tańczyłam z kim innym, czułam uścisk długich palców, tak nieuważnie trzymających teraz cudzą dłoń.
Kiedy zostawaliśmy sami - co się zdarzało coraz częściej, ponieważ biedny Ernest czuł się coraz gorzej i rzadko wstawał z łóżka - nie mogliśmy się sobie oprzeć; miażdżył mnie w ramionach i całował, dopóki nie zabrakło mi tchu. Nie znajdował wielu słów przy swojej nieśmiałości, ale mówił mi wszystko swoim ciałem. Był przy mnie, gdy udawałam się do Błękitnej Komnaty, przykładał bibularz i poprawiał błędy. Jakże się śmiał, gdy zobaczył, że napisałam „obużający" zamiast „oburzający".
- Was fur ein vierklich.es Alpenbliimchen bist dul - chichotał. Kiedy siedział, wydrapując moje błędy, opierałam się o jego plecy i obsypywałam pocałunkami czubek jego głowy.
- Masz takie miękkie, piękne włosy, kocham je!

- Kochasz nawet czubek mojej głowy? - pytał na poły ze śmiechem, na poły ze zdziwieniem.
- Każdą cząstkę ciebie, od czubka głowy po paznokcie nóg.
- Liebes Kleinschen! Du bist so zuss!
- Po angielsku!
- Nie umiem. Brakuje mi słów.
Moja mała, moja maleńka! Nazywał mnie w ten sposób tak często, jakby to, że byłam niewielka samo w sobie już go zachwycało. Pisałam coś kiedyś, a on pochylony nade mną czekał z bibularzem - nagle wyjął mi pióro z ręki, podniósł ją i ucałował palce.
- Twoje paluszki są takie małe, ledwie mogę uwierzyć, że można mieć takie palce. Popatrz, moja dłoń może całkiem skryć twoją. To zdumiewające. - Potrząsnął głową z zadziwionym uśmiechem. - Dotąd trzymałem w dłoni tylko rękę Ernesta, jest jak giganta w porównaniu z tymi paluszkami jak u wróżki.
Niczego już więcej nie napisałam. Zaprowadził mnie do sofy, wziął w ramiona.
- Tak bardzo cię kocham, ich kann nicht sagen wie! Któregoś dnia zadałam mu pytanie, jakie wypowiadają
wszyscy kochankowie świata.
- Kiedy odgadłeś, że cię kocham? Wiedziałeś, co ci chcę powiedzieć tego dnia, gdy cię wezwałam?
- Nie, byłem całkowicie zaskoczony. Nie spodziewałem się, że to się tak szybko wydarzy. Powiedziano mi, że zamierzasz poczekać z tym jeszcze jakieś trzy lata i przyszedłem z zamiarem oświadczenia, że nie będę czekał... ależ ze mnie niegodziwiec, grozić czymś takim!
- Och, ale jaka ja byłam niegodziwa, jak mogłam nawet pomyśleć, żeby kazać ci czekać tak długo! Ale to tylko dlatego, że tak mi dokuczano i ponaglano, nie znoszę, gdy się mnie do czegoś przymusza. A poza tym nie było cię tutaj, mój najukochańszy. Teraz jesteś, a odkąd cię zobaczyłam, niczego nie pragnę bardziej, niż być twoja.
- Czy to możliwe, żebyś naprawdę mnie tak kochała? -Oczy wypełniły mu się łzami, przycisnął mnie do serca i wykrzyknął: - Ich habe dich so unausfrechlich lieb! - i pokrył

197
moją twarz pocałunkami. (Wspomnienia to istna tortura, ale jakże słodka, jakże słodka! Każdy, kto kocha, zazna takich słodkich momentów; cieszę się, że każdego dnia nowi kochankowie na świecie czują to, co my, dotykają się, jak my wtedy i wiedzą. Nic nie przemija na zawsze, wszystko powraca we wspomnieniach. Ale kochajcie, póki jest wam to dane, młodzi kochankowie, bo potem zostanie wam już tylko mizerna pociecha patrzeć na tych, którzy będą kochać po was, jak ja to teraz robię).
W czasie jednej z tych długich rozmów, jakie prowadziliśmy tej jesieni w Windsorze, opowiedział mi o swoim dzieciństwie w zamku Rosenau, położonym cztery mile od Koburgu - niewielkim pałacyku, jak go sam określił nie tyle okazałym, ile gemiitlich, zbudowanym w stylu gotyckim, z wieżyczką obronną i szerokimi stromymi szczytami. Rosenau leżał u stóp Gór Turyńskich, jego ukwiecone łąki przecinała rzeka Itz, a z jego tarasów można było słuchać szumu wodospadu, uderzającego w ściany grot. Ten rajski zakątek był położony w samym sercu zielonego lasu i nocami tuż przy jego murach toczyło się okrutne życie; Albert słyszał pisk królików, cichy, zwiastujący śmierć poszum sowich skrzydeł, porykiwanie jeleni. Za to latem budziło go gruchanie przycupniętych na parapetach, grzejących się w pierwszych promieniach słońca gołębi, a przez otwarte okno dochodził plusk fontanny na podwórzu i nawoływanie kawek, rozchodzące się echem wśród kominów.
Opowiedział o swoim niewielkim pokoiku o ścianach pokrytych zieloną tapetą we wzór z powojów i krześle z cedrowego drewna, od którego jego ubrania nabierały zachwycającego zapachu: „jakby las wszedł do domu". Opowiedział o przejażdżkach konnych z Ernestem, ostrym, świeżym aromacie lasu, przedziwnie cichym odgłosie stąpania końskich kopyt, tłumionym przez grubą warstwę sosnowych igieł. O małych ogródkach, które projektowali i pielęgnowali własnoręcznie razem z Ernestem, domku kąpielowym, zbudowanym specjalnie dla nich przy jeziorze, gdzie uczyli się pływać. O kolekcji minerałów, zasuszonych kwiatów, owadów, wypchanych ptaków i miniaturowym domku z drewna, przypominającym
198
kształtem szałas, w którym przechowywali swoją kolekcję.
Opowiedział, choć niewiele, bardzo niewiele, o matce (resztę usłyszałam później, w cichej, bezpiecznej ciemności sypialni, w której dzieli się najradośniejsze i najsmutniejsze sekrety). Jako romantyczna szesnastoletnia dziewczyna poślubiła ojca Alberta, czternaście lat od siebie starszego człowieka o rozpustnych obyczajach, który zaniedbywał ją bezwstydnie, uganiając się za kobietami najgorszego autoramentu. Księżna Ludwika była drobną istotą jak z bajki, pięknością o złotych włosach, kipiącą dobrym humorem, łagodną, czarującą i miała dobre serce. Albert ją uwielbiał, ale gdy miał cztery latka, mąż ją oddalił, nie pozwoliwszy jej się nawet pożegnać z dziećmi.
- Ernest i ja mieliśmy koklusz. Przebywaliśmy w odosobnieniu w pokoju dziecinnym i nie mieliśmy pojęcia, że ona odjeżdża. Usłyszałem stukot końskich kopyt w podwórzu i chociaż nie wiedziałem, czyje to konie, ogarnęło mnie złe przeczucie i zacząłem krzyczeć. Wołałem ją, ale nie przyszła - przerwał i dodał po chwili: - Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.
Prawda była taka, że zaniedbywana przez niewiernego męża księżna znalazła pociechę w ramionach dżentelmena z dworu królewskiego, barona von Meyerna. Książę Ernest, odkrywszy zdradę, oddalił żonę; w dwa lata później uzyskali rozwód i księżna Ludwika poślubiła swojego kochanka. Umarła po długiej, przykrej chorobie, mając ledwie trzydzieści jeden lat. Albert nigdy jej nie zapomniał. W dniu, kiedy wyjeżdżał do Koburgu, podarował mi należącą do matki szpilkę z turkusem i doskonale wiedziałam, jaki skarb mi zostawia.
Po wyjeździe matki Ernesta i Alberta zabrano z pokojów dziecinnych i oddano pod opiekę wychowawcy, Herr Florschutza; odtąd byli wychowywani wyłącznie przez mężczyzn. (Tym właśnie, moim zdaniem, można wytłumaczyć fakt, iż Albert nigdy nie szukał towarzystwa kobiet i był wobec nich tak nieśmiały i pełen rezerwy. Kiedy przedstawiałam go moim damom dworu po ślubie, wyraźnie go to znudziło i z największym trudem był w stanie odróżnić potem jedną od drugiej.
199

Wpojono mu oczywiście dobre maniery i umiał okazać grzeczność, ale nigdy tak naprawdę nie lubił kobiet - wyjąwszy mnie - a one wyczuwały to instynktownie). Żywił ponadto głęboki wstręt (wywołany postępowaniem ojca i brata) do seksualnych ekscesów i pogardę dla nie dotrzymujących wierności małżeńskiej. To akurat w pełni zgadzało się z moimi życzeniami, jeśli o nim mowa. Nigdy nie byłam szczególnie surowa w tej materii wobec innych (w tamtych czasach panowały znacznie pod tym względem swobodniejsze obyczaje, nic więc by mi nie dało okazywanie surowości), ale co do mojego męża, nie tolerowałabym najlżejszej nielojalności pod tym względem. Albert kochał mnie, nikt inny go nie interesował i to mi odpowiadało.
Powiedział, że podczas naszego pierwszego spotkania w 1836 roku uznał mnie za zadziwiająco doświadczoną osobę, ponieważ doskonale sobie radziłam w towarzystwie i zupełnie nie robiłam wrażenia nieśmiałej czy skrępowanej tak jak on. (Wyprowadziłam go naturalnie z błędu; byłam przerażająco nieśmiała, ale moja pozycja wymagała, abym się nauczyła to ukrywać). Powiedział też, że nie miał pojęcia, jak nieszczęśliwe miałam dzieciństwo i współczuł mi gorąco, ponieważ sam zawsze kochał ojca (mimo jego niegodziwości) i był przez niego łagodnie traktowany; no i oczywiście miał Ernesta, który mu dotrzymywał towarzystwa i z którym bardzo się kochali.
- Okropna jest myśl, że byłaś taka osamotniona, Wiktorio. Dopilnuję, żebyś nigdy już nie czuła się samotna. Będę dla ciebie wszystkim: ojcem, matką, bratem i siostrą.
- I kochankiem - podpowiedziałam nieśmiało, a on roześmiał się i pocałował mnie.
- Zelbsverstandlich!
Wymieniliśmy pukle włosów i zachwycaliśmy się, że taki podobny mają kolor; śpiewaliśmy duety i nasze głosy brzmiały nadzwyczaj zgodnie; pewnego dnia zaś nauczył mnie tańczyć walca. Jakże zgrabnie się razem poruszaliśmy; jak jedno stworzenie o czterech nogach! Rozkoszne uczucie, czuć męskie ramię tak ciasno oplatające talię i wirować bez końca po pokoju. Ekscytujący sposób tańczenia, nie dziwię się, że tak długo zabraniano walca w lepszym towarzystwie! Ostatniego dnia

jego wizyty odbył się wieczór tańcujący i po raz pierwszy na oczach innych zatańczyliśmy walca, żeby wszystkim pokazać, jak świetnie do siebie pasujemy.
- Podoba mi się myśl, że nigdy z nikim oprócz mnie nie zatańczysz walca - wyszeptał mi w ucho.
- Podoba mi się myśl, że ostatni raz tańczę jako niezamężna dziewczyna - wyszeptałam w odpowiedzi i zdaje się, że oboje zaczerwieniliśmy się lekko.
Zdradziłam wreszcie matce sekret, którego wszyscy już i tak musieli się domyślać. Albert nalegał, aby ją zawiadomić, dziesiątego listopada posłałam więc po nią i powiedziałam, że usłyszy coś, co ją z pewnością zadowoli, a mianowicie, że dokonałam wyboru: moim mężem zostanie Albert. Patrzyła na mnie przez moment, jakby nie dowierzała własnym uszom, a potem wybuchnęła łzami. Z wykrzywioną twarzą wyciągnęła ramiona i wykrzyknęła:
- Och, Vickelschen, och, taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa!
Pozwoliłam się objąć i poruszona jej niekłamaną radością, nawet poklepałam ją niezręcznie po plecach. Potem odsunęłam ją od siebie, a ona, osuszając łzy koronkową chusteczką, przechyliła głowę na ramię, tym charakterystycznym dla niej, ptasim ruchem, i powiedziała:
- Cóż, moje dziecko, choć mnie o to nie prosiłaś, daję ci moje błogosławieństwo, szczerze błogosławię twój związek. Tego właśnie zawsze szczerze pragnęłam od momentu, gdy ta sama położna pomogła wam obojgu przyjść na świat.
Słowa te przywołały złowieszcze przeczucia, o których wolałam zapomnieć. Pospiesznie przywołałam Alberta, który czekał w sąsiednim pokoju, a mama rzuciła się go uściskać wylewnie i zasypała potokiem niemieckich słów. Taka jest szczęśliwa, taka zadowolona, mówiła; błogosławiony dzień, od którego wolno jej będzie nazywać go synem; pragnie jego szczęścia równie gorąco jak mojego (a może nawet goręcej, pomyślałam z goryczą, przyglądając się jej); bardzo go prosi, aby nazywał ją od dzisiaj matką.
Albert powiedział dokładnie to, co należało, i byłam z niego naprawdę dumna. Mama pokazała swoje prawdziwe oblicze później, przysyłając mi następnego dnia list z gorzkimi

wymówkami, że ona, moja matka, dowiedziała się o moich zaręczynach ostatnia w całym pałacu, że

nawet lokaj Alberta został wcześniej poinformowany (co nie było prawdą, chociaż musiałabym go uznać za głupka, gdyby się nie domyślił -co prawda ona też mogła się domyślić). Zasypywała Alberta listami, błagając go, aby uczynił jej przyjaciela, lorda Dunfermline, swoim osobistym doradcą i wyznając, że chciałaby z nami dalej mieszkać po naszym ślubie - co, muszę to z zadowoleniem powiedzieć, wprawiło Alberta w takie samo osłupienie jak mnie. Odpisałam oczywiście odmownie w jak najbardziej stanowczym tonie; w odpowiedzi przysyłała mi sążniste, nudne listy, w których uskarżała się, że wyrzuca się ją z jej własnego domu; że jeśli będzie zmuszona mnie opuścić, złamie jej to serce; że ja i Albert jesteśmy zbyt młodzi i przyda nam się porada kogoś starszego i doświadczonego; że nie stać ją na prowadzenie osobnego domu i tak dalej. Dla Alberta było to zdaje się jak objawienie: zrozumiał, przez co musiałam przechodzić; niemniej zachowywał się z niezwykłym taktem i uprzejmością i właściwie to on wtedy zaczął przygotowywać grunt pod nasze wzajemne z mamą pojednanie - chociaż nie nastąpiło to w ciągu najbliższych lat.
Inni członkowie królewskiej rodziny zostali powiadomieni o naszych zaręczynach listownie i przyjemnie mi było czytać ciepłe, serdeczne życzenia, które nam przesłali. Niektórzy pofatygowali się z wizytą, aby nam osobiście pogratulować -wśród nich kuzyn Cambridge, którego rezerwa wobec mnie stopniała niemal całkowicie, teraz gdy znikła groźba ewentualnego małżeństwa ze mną. Uścisnęliśmy sobie serdecznie ręce i od tej pory staliśmy się dobrymi przyjaciółmi.
Albert i Ernest mieli wyruszyć do Koburgu w czwartek czternastego listopada i świt tego dnia spadł na mnie ciężkim brzemieniem; Albert postarał się dodać mi ducha, przysyłając Eos, aby powiedziała mi „dzień dobry", zanim się ubiorę. Dała mi łapę, a kiedy głaskałam pieszczotliwie jej smukły, jedwabisty łepek, lizała mnie czule po ręce. Potem w Błękitnej Komnacie, gdzie spędziliśmy tyle błogich godzin, pożegnałam Alberta. Wręczył mi szpilkę należącą do matki i obiecał codziennie pisać.

- Tylko trzy miesiące... nawet niecałe trzy - powiedział -i będę znowu z tobą.
- A wtedy przyjedziesz tu już jako pan młody, nie jako mój kuzyn - stwierdziłam, a on przyciągnął mnie do siebie i przytulił policzek do mojego policzka. - Nie wiem, jak zdołam przetrwać tyle czasu.
- Masz tyle do zrobienia, że ten czas minie w okamgnieniu. - powiedział. - Odsunął mnie od siebie. - Pozwól mi spojrzeć raz jeszcze w te piękne oczy, zanim odejdę. - Wpatrzył się z poważną miną w moją twarz. - Przejrzyste jak górska woda. Kocham cię za twoją prawość, Wiktorio. Nie zmieniaj się.
- Nie zmienię się - odparłam. - Kocham cię, Albercie.
- Ja też cię kocham. - Pocałował mnie raz jeszcze, a potem czas już było na oficjalne pożegnanie. Wyszłam z nim do ubieralni, gdzie czekali mama i Ernest, i towarzyszyłam obu do szczytu schodów, gdzie odebrałam ostatni pożegnalny pocałunek Alberta i patrzyłam za nim, gdy schodził do powozu i odjeżdżał. Później pozostało mi tylko pobiec do mojego pokoju i płakać - nieszczęśliwa, bo z nim rozdzielona, a przecież szczęśliwa zarazem, bo wkrótce znowu miałam go zobaczyć, abyśmy połączyli się już na zawsze. Kiedy się wreszcie uspokoiłam, napisałam do niego list i spędziłam popołudnie z lordem Melbourne na rozmowie o nim, co mi przyniosło ulgę.

7 maja 1900.

Wyjęłam listy, które przysłał mi z Koburgu w ciągu owych trzech miesięcy. Były mi wtedy pociechą, a i dziś mnie silnie poruszają, świadcząc jak zawsze o jego miłości i szczęściu.
„Trzymam przed sobą Twój drogi, uroczy list i raduję się, odczytując wciąż na nowo serdeczne, płynące z głębi Twego ciepłego i czułego serca słowa. Ku swemu zachwytowi widzę skreślone Twoją drogą ręką słowa, które mają dla mnie największą wagę - potwierdzające, że mnie kochasz. Jakże często żałuję, że nie mam Twojej żarliwej natury. Przepełnia mnie bólem myśl, jak chłodne i oficjalne muszą się wydawać moje listy w porównaniu z Twoimi; kocham cię głęboko, lecz

niezależnie
203
od tego, jak usilnie próbuję, nie potrafię znaleźć słów, aby wyrazić swoje uczucie do Ciebie. Najdroższa, moja najukochańsza; pozostaje mi tylko ufać, że wiesz, jak szczerze jestem Ci oddany; rozumiesz, że na przekonaniu, iż żyję tylko dla Ciebie opieram całą moją egzystencję".
I następny: „Twój najdroższy wizerunek stoi przede mną na stoliku i nie mam siły oderwać od niego oczu. Wyobrażam sobie Ciebie w małym niebieskim saloniku, gdzie byliśmy tacy szczęśliwi, siadując na Twojej małej sofie. Jakże żałuję, że nie mogę się tam znaleźć, przeniesiony siłą magii, aby rozproszyć Twoją samotność".
I następny: „Moim jedynym pragnieniem jest przejść przez życie, przeżyć wszystkie jego radości i burze, z Tobą u boku! Gdzie miłość, tam szczęście. Miłość do Ciebie przepełnia moje serce".
Odczytywałam je wciąż na nowo i wciąż na nowo, aż zaczęłam się lękać, że moje oczy zatrą słowa na papierze. Być kochaną przez niego - tego doskonałego anioła, tak pięknego, tak inteligentnego, tak dobrego - wydawało się zbytnim szczęściem, aby w nie uwierzyć. I w istocie, ledwie wierzyłam, że zostałam tym obdarzona; że za niedługich kilka tygodni połączą mnie z nim więzy małżeńskie i będzie należał wyłącznie do mnie; bez reszty, na zawsze. Przysięgłam sobie, że dołożę starań, aby okazać się go warta.
Muszę jednak wspomnieć, że nie cały kraj widział mojego najdroższego opromienionego tym samym światłem. Lord M. ostrzegł mnie, jak to może wyglądać, ale wówczas jeszcze nie wiedziałam, jak bardzo niepopularni są w Anglii cudzoziemcy. Były to czasy, gdy czartyzm wzrastał w siłę, wiele było biedy, często wybuchały zamieszki; bogaci wierzyli, że cudzoziemcy są zarzewiem rewolucji; biedni wierzyli, że utwierdzają ideę absolutyzmu i boskich praw królewskich i podżegają do stosowania represji.
Ze wszystkich cudzoziemców Niemcy byli najbardziej znienawidzeni, a z nich - Koburgowie. „Szczęściarz Koburg", mówiono, znowu wchodzi w koligacje zbyt wysokie, jak na jego pozycję. Rzeczywiście, żadne to było państewko, maleńki kraik z populacją nie większą niż Bristolu i dochodzie nawet nie połowę takim. Albert był przystojnym książątkiem
204

bez grosza. Dlaczego akurat Anglia miała wspierać tę nic nie znaczącą dynastię?
Lord M. powiedział mi, że w parlamencie nie powinno być trudności z uzyskaniem pensji w wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów rocznie dla Alberta - uznawano to przecież od ponad wieku za odpowiedni dla królewskiego małżonka dochód, począwszy od czasów, gdy królowa Anna poślubiła Jerzego duńskiego. Tymczasem kiedy lord Russell wystąpił z tą propozycją w Izbie Gmin, radykałowie i torysi sprzeciwili się. Kraj jest w ciężkim położeniu, wysuwano argumenty, ludzie głodują. Czy Izba Lordów zapomniała już, że w powszechnym odczuciu apanaże księcia Leopolda uchwalono zbyt wysokie? Teraz, gdy nastały tak ciężkie czasy, suma podobna wyda się jeszcze wyższa. A poza tym, jest powszechnie znane, że niebezpieczną jest rzeczą dla młodego człowieka pozostawanie w Londynie z taką ilością pieniędzy w kieszeni. Pułkownik Sibthorpe, zażarty torys, zaproponował trzydzieści tysięcy funtów i wniosek przeszedł obraźliwą większością głosów (sir Robert Peel również głosował za jego uchwaleniem, co doprawdy było mi trudno mu później zapomnieć!). Oznaczało to, że mój najukochańszy anioł był dla nich wart dwadzieścia tysięcy funtów rocznie mniej niż ten głupi, nic nie znaczący Jerzy duński! Wpadłam w furię i z goryczą obwiniałam za ten stan rzeczy torysów. Lord M. usiłował mnie przekonać, że powodem była ekonomiczna sytuacja kraju, ale ja wiedziałam, kto się za tym krył.
„Póki mego życia, nigdy nie wybaczę tym przeklętym łajdakom, tym niegodziwym, podłym torysom!" - zapisałam w dzienniku. „Mój biedny, drogi Albert, jakże okrutnie obchodzą się z moim najukochańszym aniołem! Potwory! Torysi zostaną ukarani! Pomsty! Pomsty!".
Następna potyczka z parlamentem odbyła się z powodu kwestionowania pozycji Alberta. Niechętnie, ale porzuciłam (przynajmniej na jakiś czas) nadzieje na uczynienie go współrządzącym ze mną królem małżonkiem, niemniej lord M. zapewnił mnie przecież, że nie powinno być żadnych trudności z uzyskaniem pierwszeństwa, to znaczy Albert miałby mieć następne miejsce zaraz za

mną. Tymczasem gdy z tym wystąpiono, przedstawiając jako jeden z punktów Aktu Naturalizacji Alberta,
205
w opozycji zaczęło znowu huczeć. Książę wysunął zastrzeżenia wobec tej „kontrowersyjnej kwestii", która „wkradła się" do Aktu; lord Brougham stwierdził, że decyzja o pozycji księcia należy do parlamentu, nie korony. Stryj Cumberland, teraz król Hanoveru, oświadczył, że nie ustąpi miejsca „papierowemu księciu małżonkowi" i skłonił stryjów Sussexa i Cambridge'a (którzy zgodziliby się na wszystko, co by tylko mogło wpłynąć na podwyższenie ich pensji), aby go poparli. Wreszcie Książę z naciskiem podkreślił, że jeśli Albertowi zostanie przyznana pozycja, jakiej dla niego pragnę, zyska pierwszeństwo przed własnym pierworodnym synem, co nie jest zgodne z konstytucją. A co będzie, jeżeli królowa umrze, nie spłodziwszy potomka? Książę będzie wówczas miał wyższą pozycję niż syn króla Hanoveru, domniemany następca tronu.
W rezultacie Akt został przegłosowany bez decydowania o kwestii pierwszeństwa, a ja dodałam Księcia do listy „podłych nikczemników", na których domagałam się pomsty.
I w istocie, gdy lord M. wręczył mi listę gości weselnych, wzięłam do ręki pióro, gotowa wykreślić nazwisko Księcia, i oświadczyłam, że nie mam zamiaru zapraszać do Królewskiej Kaplicy tego niegodziwego, szalonego starca.
- Ośmielam się prosić, aby Wasza Wysokość to przemyślała - powiedział lord M., wyraźnie zatrwożony. - Nie sposób go pominąć, zważywszy na jego wiek, godność, pozycję. Zostanie to poczytane za ciężką obrazę.
- I za taką ją też uważam - stwierdziłam. - On obraził mojego najukochańszego Alberta.
- Z pewnością nie miał takiego zamiaru. Uczynił tylko to, co uważał za zgodne ze swoim sumieniem - powiedział lord M. z niepokojem.
- Nie wierzę. On nas nienawidzi, a to moje wesele. Chcę na nim widzieć tylko tych, którzy mi sprzyjają. Dlaczego akurat tego dnia miałabym się otaczać wrogami?
- Pragnę cię zapewnić, pani, że Książę do nich nie należy. Jednym z powodów wielkiego poważania, jakim się cieszy, jest jego niekwestionowana bezinteresowność we wszystkim, co dotyczy pomyślności narodu i korony. - Wiedziałam, że to prawda i właśnie dlatego, rozzłoszczona, nadąsałam się
206
jeszcze bardziej. - A ponieważ jest tak głęboko poważany, liczna rzesza jego zwolenników oczekuje, że będzie na twoim weselu.
- Niechże oczekują! - warknęłam. - Torysi, wszyscy razem wzięci! Co ja im zawdzięczam? Nic prócz nienawiści.
- Cały kraj tego oczekuje - ciągnął lord M. nieubłaganie. -Książę jest wielkim bohaterem, wybawcą Anglii w ostatniej wojnie, naszym najznakomitszym mężem stanu. Jeśli go, pani, pominiesz, wybuchnie potworny skandal, który zmiażdży koronę. Nie mogę pozwolić na takie ryzyko. - Uśmiechnął się na widok mojej naburmuszonej twarzy. - Czy nalegałbym, gdyby to nie było rzeczywiście istotne? Wiem, jaki to ważny dzień dla ciebie jako kobiety, pani; ale musisz też pamiętać, jak ważne jest dla królowej angielskiej wypełnienie jej obowiązków.
- Świetnie - ucięłam. - Jeśli muszę mieć go na ceremonii ślubnej, to muszę, ale nie zaproszę go na śniadanie weselne. -Spojrzawszy na jego znękaną twarz, zdałam sobie sprawę, jak byłam dla niego ostatnio dokuczliwa i jak go zaniedbywałam, przez cały czas, gdy Albert był w Anglii. - Powiedz mi, lordzie, prawdę - zaczęłam niepewnie. - Uważasz, że się robię uparta?
- Raczej tak - powiedział z kwaśnym uśmiechem, a potem oboje się roześmieliśmy.
Kolejna trudność wynikła, gdy przyszło do omawiania kwestii druhen. Musiały być młodymi kobietami o nieposzlakowanej opinii, co oczywiste; ale Albert napisał do mnie, że w jego odczuciu nie powinnam zaakceptować żadnej, której matka wdała się w przeszłości w jakąkolwiek awanturniczą historię. Miałam co do tego wątpliwości, ponieważ kiedyś -w młodzieńczych czasach lorda M. - obowiązywały inne normy moralne w kręgach arystokracji i nie wydawało mi się słuszne sądzić je teraz za to, jakie kiedyś były; a poza tym, gdyby ludzie mieli cierpieć za grzechy matek, musiałabym mojego kochanego Alberta odesłać do domu. Niemniej jednak, aby go zadowolić,

przedłożyłam jego sugestię lordowi M.
Wprawiła go w osłupienie.
- Ależ madame, to niemożliwe do spełnienia! Można pytać o referencje, gdy angażuje się kucharza czy lokaja, ale
207
z ludźmi z wyższych sfer sprawa przedstawia się inaczej. Śledztwo dotyczące prowadzenia się księżnej to dowód przerażającej impertynencji.
- Ależ czy może być inne prawo dla nisko, a inne dla wysoko urodzonych? - zapytałam. - Książę uważa, że powinny mnie otaczać wyłącznie osoby, o których moralności nie sposób wątpić.
- Byłby to nie lada wyczyn, gdyby udało się wyłącznie takie dobrać - rzekł z przekąsem. - Któż z nas jest bowiem bez skazy? Muszę ci, pani, powtórzyć, co powiedziała lady Russell o charakterze księcia: doceniono by go w pełni na każdym niemieckim uniwersytecie i wykpiono nieco na którymkolwiek z naszych.
- Nie może być - powiedziałam - to szokujące, że wykpiwa się moralność na uniwersytetach.
- W istocie nie powinno się kpić z tego, co szlachetne -zgodził się - ale tropienie cudzych drobnych grzeszków nie wydaje mi się zajęciem, któremu powinien się oddawać monarcha. Poddani spodziewają się po władcach wielkości, że się okażą wyżsi ponad takie drobiazgi.
Powinna mnie rozzłościć ukryta w tym aluzja, ale obraz władcy, który przede mną roztoczył, przemówił mi do wyobraźni.
- Jak mniemam, lordzie, lubiłbyś księcia znacznie bardziej, gdyby nie był taki zasadniczy? - zapytałam kąśliwie.
- Och, nie, głęboko go podziwiam za nieugiętość wobec samego siebie, niemniej nikt nie powinien sądzić ludzi zbyt surowo, niezmiernie łatwo wówczas o popełnienie błędu. Pamiętasz, pani, pożałowania godny przypadek lady F. H.?
- Błagam, tylko mi o tym nie przypominaj! - powiedziałam pospiesznie, czując, że się czerwienię.
- Nie chciałem sprawić ci bólu, pani, ale tylko przestrzec przed zbyt pochopnym uznaniem cudzego błędu. Przywykliśmy, że w naszym kraju obowiązuje prawo lub precedens. Jeśli ktokolwiek poprosi cię, byś, pani, osądziła na podstawie oskarżenia czy pomówienia czyjś charakter, powinnaś mu odpowiedzieć, że nie jest twoim życzeniem ferowanie wyroków tam, gdzie nie czujesz się Sędzią Najwyższym.
Rada wydała mi się bezcenna i stosowałam się do niej,
208
jeśli tylko mogłam. Alberta wychowano inaczej, a ponadto w jego umyśle trwał wciąż żywy przykład obojga rodziców i dlatego przywiązywał uparcie największą wagę do nienagannej reputacji. Co do mnie, wolałam raczej nie roztrząsać przeszłości tych, którzy służąc mi, zachowywali się właściwie.
Podczas gdy zmagaliśmy się z tego rodzaju trudnościami, mama przyczyniała mi jak zwykle kłopotów, domagając się podczas ceremonii ślubnej pierwszeństwa przed moimi ciotkami.
- Matce panny młodej należą się przecież jakieś względy. Wiem, że nic dla ciebie nie znaczę, Wiktorio, ale ludzie tego oczekują. Mam na względzie wyłącznie ciebie samą, moja droga córko. Nie chciałabym, aby cię oskarżano o nieczułość wobec własnej matki.
Domagała się ponadto, abym jej nie „wypędzała" i nie „skazywała na wygnanie" po ślubie. Ani ja, ani lord M. nie byliśmy zdolni przekonać jej, że nie będzie mogła mieszkać ze mną i z Albertem i w końcu zaczęły mnie prześladować przerażające obrazy, że jest wleczona przez wszystkie pokoje i czepia się każdej framugi, wrzeszcząc przeraźliwie.
Nic dziwnego, że przy tych wszystkich rozczarowaniach i przykrościach w końcu posprzeczałam się nawet z Albertem. Napisał do mnie, domagając się przyznania mu prawa wyboru dworzan do swojej osobistej świty i wyrażenia zgody na włączenie do dworu kilku swoich ziomków; musiałam niestety zachować w tej kwestii stanowczość: „Co się tyczy życzeń odnośnie Twoich dworzan, muszę Ci napisać, drogi Albercie, że to niemożliwe. Możesz mi całkowicie zaufać, drogi Albercie, że otaczać Cię będą czarujący ludzie o odpowiednio wysokim pochodzeniu i nieskazitelnym charakterze, pracowici i nie za młodzi. Lord Melbourne wskazał mi już kilka bardzo odpowiednich

osób". Lord M. rzeczywiście zaproponował, aby jego sekretarz, George Anson, został osobistym sekretarzem Alberta, a ja z czystym sumieniem zaaprobowałam jego wybór; Anson był prawy, uprzejmy, inteligentny, pracowity i ujmujący. „Jestem pewna, że świetnie będzie się wam razem pracować".
Albert odpisał, nie kryjąc rozczarowania: „Przykro mi niezwykle, że nie mogłaś wypełnić mojej prośby, nie było w niej
209
bowiem niczego nieuczciwego. Co do pana Ansona, którego polecasz, podaję Ci pod rozwagę, moja najdroższa ukochana, czy po mianowaniu na mojego sekretarza współpracownika premiera nie będę w oczach wielu uchodził za zwolennika lorda Melbourne? Co do charakteru pana Ansona, nic mi o nim nie wiadomo, prócz tego, że jak mówią, jest zawołanym tancerzem. Usilnie Cię proszę, abyś mi pozwoliła nominować do mojej świty kogoś z mojego własnego kraju - szlachetnego, cnotliwego, politycznie obojętnego człowieka, kogoś pokroju naszego drogiego dr. Stockmara".
Lord M. był przerażony tym pomysłem.
- To tylko zwróci uwagę na cudzoziemskie pochodzenie księcia, a jest to ostatnia rzecz, jakiej byśmy pragnęli. Ponadto zaczęto by rozpowszechniać pogłoski, że on rządzi tobą, pani, a nim Niemcy.
Zgodziłam się z nim, ponieważ pamiętałam, co mówiono o mojej drogiej Lehzen. „Niczego bardziej nie pragnę, najdroższy Albercie, jak tego, byśmy we wszystkim mogli działać zgodnie, ale muszę wyrazić odmienne zdanie co do pana Ansona. Do królowej i jej premiera - najzdolniejszego, najuczciwszego i całkowicie bezstronnego człowieka - należy nominowanie Twojej świty, i mówiąc między nami, orientujemy się lepiej niż Ty, kto zostanie zaakceptowany, nie tylko przez Ciebie, ale i innych. To, co proponujesz, nie zostanie dobrze przyjęte. Błagam Cię, nie dręcz mnie dłużej w tej sprawie".
Ku memu zdumieniu nie ustąpił. Otrzymałam następny, rozdzierający mi serce list, w którym odwoływał się do moich uczuć i pisał o tym, że musi porzucić wszystko, co jest mu znajome. „Pomyśl o moim położeniu, droga Wiktorio: opuszczam dom, porzucam to, co się z nim łączy, moich serdecznych przyjaciół i wyjeżdżam do kraju, gdzie wszystko jest dla mnie nowe i obce - ludzie, język, zwyczaje, styl życia, moja pozycja. Nie będę miał nikogo prócz Ciebie, komu mógłbym w pełni ufać. Nie przyznaje mi się nawet prawa do tego, abym miał wśród tych, którzy będą się zajmować moimi prywatnymi sprawami, dwóch lub trzech ludzi darzonych moim zaufaniem?".
Otrzymałam również ku swojemu ogromnemu zdenerwowaniu
210
list od wujka Leopolda, w którym popierał żądania Alberta i usiłował mnie skłonić do przyjęcia „prawidłowego poglądu" na moje obowiązki jako żony, tak abyśmy mogli żyć zgodnie z Albertem. O jakiej zgodzie może być mowa, pytałam samą siebie rozgorączkowana, skoro nie było od początku jasne, że to ja jestem królową i mój autorytet nie powinien być kwestionowany?
Odpisałam Albertowi: „Drogi wuj przyszedł do przekonania, że wszędzie może rozkazywać, ale w tym akurat wypadku nie. Jestem doprawdy strapiona, że muszę Ci napisać coś, co ci się nie spodoba, ale to konieczne, mój najdroższy, najwspanialszy Albercie. Robię to tylko dlatego, iż wiem, że to dla Twojego dobra. Wybiorę Twoją osobistą świtę i jeszcze raz chciałam Cię zapewnić, że możesz całkowicie mi zaufać w tej kwestii".
Ustąpił w końcu, ale ta wymiana listów, przypominająca kłótnię, sprawiła, że wpadłam w nie najlepszy nastrój.
- To małżeństwo - powiedziałam lordowi M. - to wielce ryzykowny eksperyment. Cóż za przerażająca perspektywa, jeśli książę będzie próbował sprzeciwiać się we wszystkim mojej woli.
- To tylko zdenerwowanie... całkowicie naturalne zresztą -powiedział. - Wszyscy w nie wpadają przed zawarciem małżeństwa. A ciebie, pani, wystarczająco wiele mogło zirytować.
(Powinnam w tym miejscu wspomnieć, że Albert od razu polubił George'a Ansona, tak jak przewidziałam. Stali się zaufanymi przyjaciółmi i Anson pełnił obowiązki jego sekretarza aż do swojej tragicznej, przedwczesnej śmierci. Albert darzył go całkowitym zaufaniem i kochał jak

brata, a jego początkowa niezgoda na Ansona była przedmiotem ich częstych żartów. Nigdy nie mylę się co do ludzi, wkrótce i Albert doszedł do tego przekonania, choć z początku nie chciał się przyznać!).
Tak mnie wyczerpały te wszystkie kłopoty, że na tydzień przed dniem zaślubin zaziębiłam się fatalnie. Clark zabił we wszystkich ducha, postawiwszy diagnozę, że to różyczka, ale szybko stało się oczywiste, że to nieprawda, a ja spędziłam dwa dni w łóżku, użalając się nad sobą, co dało znakomity rezultat. Drugiego dnia wstałam na obiad, czując się zupełnie
211
normalnie i w znacznie lepszym humorze. Zaczęły napływać prezenty ślubne: para brylantowych bransolet, perła i turkus od cioci Adelajdy, pies - szkocki terier, nazwany Laddie -a od Alberta wspaniała brosza: olbrzymi szafir otoczony brylantami.
W piątek siódmego lutego humor poprawił mi się jeszcze bardziej, ponieważ pojawiła się Eos wraz z lokajem Alberta, który wyprzedził całą resztę. Lehzen wyruszyła do Windsoru, sprawdzić, czy wszystko gotowe na nasz miesiąc poślubny, który miał trwać tylko trzy dni. (Albert miał nadzieję, że uwolnimy się od świata na dwa tygodnie, ale ja oświadczyłam mu dumnie, że dla nikogo i z żadnego powodu nie przestaje się być suwerenem i tych kilka dni to wszystko, co można uzyskać, nie wypełniając obowiązków państwowych. Jakże byłam głupiutka!).
Moja nerwowość w tych dniach jeszcze się pogłębiła, nie złagodził jej nawet list Alberta, w którym donosił o szczęśliwym przybyciu do Dover. Przeżywał prawdziwe katusze podczas niespokojnej przeprawy i pisał, że choć jego twarz wciąż przypomina kolorem woskową świecę, czuje się niesłychanie pokrzepiony na duchu, ponieważ powitano go nadzwyczaj serdecznie. Pomimo wiatru i ulewnego deszczu tysiące czekały na nabrzeżu, aby wiwatować na jego cześć, co go przekonało, że naród nie jest jednak do niego nieprzyjaźnie nastawiony.
Tego wieczoru lord M. i ja siedzieliśmy po raz ostatni tete-a-tete, prowadząc „nieobowiązującą pogawędkę"; przyjemność, o której prawie zapomniałam w ciągu ostatnich gorączkowych miesięcy. Dash i Laddie leżały między nami przed kominkiem, zwinięte w kłębek, Islay siedział u stóp lorda M., wpatrując się w niego nieporuszenie. (Bardzo to było dziwaczne, ale Islay lubił się bawić jasnymi, błyszczącymi rzeczami, zupełnie jak sroka. Kiedyś lord M. pozwolił mu się pobawić okularami i od tej pory Dash potrafił przesiedzieć przed nim cały wieczór, wyczekując, czy nie pojawi się ten upragniony przedmiot). Błądząc z tematu na temat, gawędziliśmy sobie przyjemnie jak niegdyś o moich uczuciach, małżeństwie oraz w jakich kręgach towarzyskich Albert zgodzi się obracać („Tylko nikt związany z mostami i inżynierią;
212
ludzie zafascynowani inżynierią zawsze okazują się radykałami!), o tym, czy to możliwe, aby mieć za dużo psów i czy bale kostiumowe sprzyjają zanikowi moralności („Sale balowe są jak kościoły; często wychodzę gorszy niż wszedłem"), i o przewagach zatrudnienia dysydentów jako ogrodników („Można na nich całkowicie polegać; nie grają na wyścigach, nie polują, nie zażywają żadnych kosztownych rozrywek").
Rozśmieszył mnie do łez opowieścią o fraku, który kazał sobie uszyć na moje wesele.
- Ze względu na stopień skomplikowania sztuki krawieckiej można to porównać do budowy kanonierki o siedemdziesięciu czterech działach. Mój krawiec zmuszony był w końcu zaangażować urzędnika z działu zaopatrzenia artyleryjskiego, aby dopilnował jakości wykonania guzików - powiedział, przybierając zabawną minę. - Spodziewam się, że będę najbaczniej oglądanym uczestnikiem ceremonii. Mogę nawet usunąć w cień Jej Wysokość, dlatego błagam, byś się pani nie spodziewała, że ktokolwiek będzie patrzył na ciebie w Kaplicy Królewskiej. - A kiedy śmiech przebrzmiał, wrócił do kwestii mojego małżeństwa. - Chcesz, pani, uczynić właściwą rzecz. Małżeństwo to rzecz dobra i jak najwłaściwsza, wierz mi - zapewnił uspokajająco. - Wiem wystarczająco wiele o charakterze księcia; jest prawy, odpowiedzialny, jest człowiekiem honoru. Nie mogłaś, pani, wybrać lepiej.
- Nie sądzisz, lordzie, że jesteśmy do siebie zbyt podobni, oboje uparci? Tyle było trudności z doborem jego świty, że obawiam się, czy każde z nas w przyszłości nie będzie chciało postawić na swoim i spodziewam się potwornych kłótni.

- Nawałnice są nieuniknione, ale też po nich następuje pogoda. Niemożliwością jest przewidzieć przyszłość, zgadnąć, jaki efekt wywrze zmiana sytuacji, nowe zajęcia czy też wzajemna namiętność na młode, podatne na zmiany natury, ale czuję się dziwnie spokojny, że wszystko ułoży się dobrze i szczęśliwie. Wierzę, że znajdziesz, pani, sposób na pogodzenie dwóch rzeczy, jakkolwiek nie będzie to łatwe: obowiązków dobrej żony z wymogami autorytetu władcy.
Poczułam się pokrzepiona.
213
- Tyle się od ciebie, lordzie, nauczyłam - powiedziałam z wdzięcznością. - Jeśli nauczyłam się choć trochę cierpliwości i taktu, zawdzięczam to tobie.
Łzy napłynęły mu do oczu, ujął moją dłoń i uścisnął ją z czułością.
- Wszystko będzie dobrze - stwierdził.
Następnego dnia wpół do piątej po południu światło dnia zaczęło blaknąć, zimny szary zmierzch lutowy powoli wysysał kolor z powietrza. Spoza targanych wiatrem drzew zachodzące słońce rzucało niewyraźny poblask stłumionej czerwieni, na najwyższych gałęziach przysiadły szpaki, stłoczone w gromadkę przed przenikliwym zimnem nocy. Przez ostatnią godzinę biegałam, zgoła nie po królewsku, od okna do okna, aby wypatrzyć nadjeżdżający powóz Alberta; ledwie wtoczył się na podwórze, opanował mnie irracjonalny strach, że coś musiało się zmienić, że kocha mnie mniej, że moje serce się pomyliło. Bałam się, bo nasza korespondencja ujawniła istotną różnicę zdań; byłam zbyt młoda, moja miłość zbyt świeża i nie wyobrażałam sobie, że można się nie zgadzać w różnych kwestiach, a mimo to całym sercem do siebie należeć. Niemal pragnęłam, aby powóz zawrócił i odjechał na zawsze. Co ja najlepszego zrobiłam, przyrzekając poślubić tego nieznajomego człowieka, cudzoziemca z odległych stron, którego prawie nie znałam.
Mama wraz ze świtą stała u szczytu schodów, drzwi pozostawiono szeroko otwarte i nie mogłam już dłużej znieść oczekiwania; musiałam mieć to wreszcie za sobą. Zostawiłam wszystkich i zbiegłam do drzwi, dopadając ich w tym samym momencie, gdy się w nich pojawił. Staliśmy twarzą w twarz, serce mi na chwilę przestało bić. Miał twarz bladą, jak posążek z alabastru, i dziwnie połyskującą w zapadającym zmierzchu, oczy podkrążone, chwiał się leciutko na nogach, wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po przerażającej podróży. Otworzyłam usta, aby wypowiedzieć słowa powitania, ale ich nie znalazłam. Jedno spojrzenie na jego drogą, najdroższą twarz rozproszyło wszystkie moje obawy i zdenerwowanie. Stał tu we własnej osobie, piękny, znajomy, jakbym go znała lepiej niż samą siebie; był częścią mojego życia - nie miałam go na własność, nie zawładnęłam nim; był jak wspaniałe dzikie
214
stworzenie, które rezygnuje z wolności, aby z tobą pozostać. Zrozumiałam, że nie popełniłam błędu, że kocham go szczerze i wszystko, jak lord M. powiedział, będzie dobrze. Trwając w milczeniu równie głębokim i wiele mówiącym jak moje, uśmiechnął się do mnie; wzięłam go za rękę i wprowadziłam do mojego domu.

Rozdział Dziewiąty.
9 maja 1900 w Windsorze.

Jerzy i May przyjeżdżają z dziećmi w następnym tygodniu, aby ochrzcić ich nowo narodzone dziecko, któremu chcą nadać imię Henry. Artur i Louischen również przyjadą, z małym Arturem, Małgorzatą i Patrycją - jakże tęsknię za ich widokiem! Kiedy Louischen wyjechała do Artura do Indii, zostawiła wnuki ze mną i dlatego teraz tak lubię je mieć koło siebie. Z Małgorzaty była dość kłopotliwa mała osóbka, ale nie sposób było ją traktować surowo, tak wszystkich rozbawiała. Wyrosła na młodą damę, którą wszyscy się chlubimy. Louischen okazała się taką dobrą matką, co raczej niezwykłe, zważywszy na to, jakim brutalem był jej ojciec.
Lubię chrzciny - o wiele bardziej niż wesela, bo przy okazji wesel kogoś zawsze ubywa, a ja nie znoszę, gdy wokół mnie ubywa bliskich. Moje własne wesele było inne, ponieważ to Albert do mnie przyjechał. Pamiętam je tak dobrze, każdy szczegół - w istocie lepiej niż to, co się wydarzyło

w ostatnim tygodniu.
Mój ślub odbył się dziesiątego lutego 1840 roku o godzinie pierwszej po południu w Kaplicy Królewskiej pałacu Świętego Jakuba. Kiedy obudziłam się około wpół do dziewiątej, pomyślałam z satysfakcją: ostatnia noc, kiedy śpię sama; i zaczęłam się zastanawiać, jak to będzie: dzielić łóżko z mężczyzną. Potem zaczęłam się zastanawiać, czy Albert już się obudził, i zrozumiałam, że nigdy więcej nie będę tego zgadywać - będę wiedziała! Wydawało mi się to dziwne, a zarazem zachwycające. Mama i lord M. próbowali mnie przekonać,

że nie powinnam pozwolić Albertowi spać pod moim dachem w noc poprzedzającą wesele.
- To wbrew tradycji - powiedział lord M.
- I przynosi nieszczęście - dodała mama. Zbyłam ich obiekcje machnięciem ręki.
- Przesądne nonsensy - odparłam lordowi M., a mamie: -Nie boję się. Przekonasz się, jakie nasze małżeństwo będzie szczęśliwe!
Przeciągnęłam się w pościeli; czułam się zdrowa, mocna i wypoczęta. Przeziębienie znikło bezpowrotnie wraz z obawami; ze spokojem myślałam, jak przebiegnie ten dzień. Wczorajszego wieczoru Albert i ja usiedliśmy razem i zapoznaliśmy się z tym, jak powinna wyglądać ceremonia ślubna, jej przebieg zatem nie miał być dla nas niespodzianką, ponadto Albert spróbował, czy pierścień wchodzi mi swobodnie na palec. Wydawało mi się, że jest nieco nieswój, ale zapewnił mnie, że to rezultat choroby morskiej. Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego, co naturalne po takiej podróży, ale był miły i słodki, jak to sobie wymarzyłam, całował mnie często i nadzwyczaj czule.
Rozmyślania o jego pocałunkach przerwała mi Lehzen, która przyszła odsłonić zasłony w oknach.
- Cóż za uśmiech! - powiedziała. - Wasza Wysokość wita ten dzień tak, jak powinna.
Usiadłam w łóżku.
- Jak jest za oknem! Powiedz mi to najgorsze, Daisy, moja droga.
- Nadzwyczaj obrzydliwie - stwierdziła, wyglądając przez okno. - Burzliwie, deszczowo, wietrznie.
Jeszcze nie skończyła mówić, a porwany podmuchem wiatru deszcz zabębnił o szyby okienne jak niecierpliwa ręka w furtę. Cóż, mieliśmy właśnie luty! Lehzen zacmokała z dezaprobatą, a ja się roześmiałam.
- Może sobie dzisiaj padać, ile mu się podoba, i tak nie zgasi mojej radości.
Weszła pokojówka, niosąc ciepłą wodę i ręczniki, ale ja najpierw posłałam Lehzen po papier i pióro i wciąż siedząc w łóżku, z włosami swobodnie spływającymi na ramiona, napisałam: „Najdroższy, jak się dzisiaj miewasz i czy spałeś

dobrze? Ja wspaniale wypoczęłam i mam świetny humor. Co za pogoda! Wierzę jednak, że deszcz ustanie. Przyślij mi słówko, kiedy będziesz, mój najdroższy, najukochańszy panie młody, gotów. Twoja oddana Ci na wieki, Wiktoria R.".
List został wysłany, a ja wstałam, umyłam się i zjadłam śniadanie (raczej obfite, ponieważ następny posiłek miałam jeść dopiero o drugiej, a może trzeciej po południu), a potem mnie ubrano. Miałam piękną suknię ślubną z białego, wzorzystego atłasu, odsłaniającą głęboko, jak nakazywała moda, szyję i ramiona, z leciutko bufiastymi rękawami. Była obszyta szeroką falbaną z koronki o staroświeckim wzorze - chociaż nie była to stara koronka. Kupiłam ją rok temu (wcale wówczas nie myśląc o małżeństwie), aby pomóc bezrobotnym koronczarkom z Devonshire; cały zwój, wystarczająco dużo, aby rozrzutnie przybrać suknię i jeszcze starczyło na welon. Włożyłam turecki naszyjnik z brylantów i kolczyki, piękną broszę z szafirem od Alberta, a moja kochana Lehzen, zanim zaczęła układać mi włosy, podarowała mi maleńki, jakże cenny dla mnie pierścionek. Moje włosy zostały upięte z tyłu głowy, nałożono mi wianek z kwiatów pomarańczy i koronkowy welon. Lehzen nie przestawała mówić, czesząc mi włosy i ozdabiając głowę, raczej aby samej nie płakać, jak sądzę, niżby mi dodać otuchy, ponieważ mnie nic nie mogło wyrwać z błogostanu, w którym trwałam.
- Tłumy zgromadziły się nawet większe niż podczas koronacji, nie bacząc na pogodę, podobno nawet większe niż gdy sprzymierzeni królowie odwiedzili Londyn w 1814 roku... chociaż kto to

może wiedzieć i skąd, nie mam zupełnie pojęcia - dodała trzeźwo, jak zwykle ona. - Drzewa przy Consitution Hill są dosłownie oblepione chłopcami, mającymi nadzieję, że coś stamtąd zobaczą, od czasu do czasu pęka jakaś gałąź, a ci biedacy spadają, jak małe niedojrzałe czerwcowe jabłka na głowy nieszczęśników, którzy stoją pod drzewami! Nikomu to, jak się wydaje, nie przeszkadza, wszyscy zachowują się niezwykle spokojnie, nieczuli na deszcz...
Kiedy byłam ubrana, Lehzen odwróciła mnie, abym się przejrzała w dużym lustrze i zobaczyłam, że nawet sama sobie wydaję się zmieniona; policzki miałam zaróżowione, oczy błyszczały mi ze szczęścia, byłam niemal piękna. Chciałabym,
217
żeby mnie właśnie taką zobaczył, pomyślałam, teraz i samą, zanim wszystko stanie się własnością świata.
Powiedziałam Lehzen, aby po niego posłała; przyszedł bez asysty, szczupły, wysoki, w imponującej purpurze, kolorze brytyjskiego marszałka polnego, białych, obcisłych pantalonach, podkreślających muskuły ud, białych jedwabnych pończochach i zapinanych na klamerki pantoflach. Jeszcze bez szarfy i miecza, co oczywiste, bez brylantowego Orderu Podwiązki; włosy jeszcze nie tknięte pomadą wyglądały jak miękkie brązowe futerko myszy. Zapragnęłam ich dotknąć, ale zamiast tego rozłożyłam ramiona jak mała dziewczynka i powiedziałam:
- Chciałam, żebyś zobaczył.
Był blady, zmrużył oczy, patrząc na mnie, jakby próbował wpatrywać się w zbyt jaskrawe światło.
- Jesteś piękna - oznajmił słabym głosem i tym razem nie zaprzeczyłam.
- Dla ciebie - zapewniłam. - Tylko dla ciebie. Skinął głową, jakby nie zostało już nic do powiedzenia.
- Czy dobrze spałeś?
- Niezbyt dobrze.
- Ale jesteś szczęśliwy?
Uśmiechnął się nieoczekiwanie i wyglądało to tak, jakby słońce wydobyło piękno wszystkich kolorów w ogrodzie. Jego oczy wydały się bardziej niebieskie, włosy złocistsze, policzki już nie blade, a delikatnie zaróżowione.
- O tak! Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo. Ale powinienem już pójść... nie jestem jeszcze całkiem gotowy. A ty na pewno chcesz się uspokoić przed rozpoczęciem ceremonii. Jesteś zdenerwowana?
- Zupełnie nie. Uśmiechnął się na te słowa.
- Ale drżysz. Widzę, jak drżą twoje piękne kwiaty.
I w istocie, mógł to widzieć, ale sądzę, że to nie nerwy były przyczyną drżenia.
Albert miał wyjechać z pałacu około południa; ja wyruszyłam karetą o wpół do pierwszej razem z mamą i księżną Sutherland (Wielką Garderobianą). Potoki wody wciąż lały się z nieba, konie wzdragały się, gdy gwałtowne podmuchy
218
wiatru siekły deszczem ich pyski, ale zimowa pogoda najwyraźniej nie zdołała ugasić entuzjazmu tłumów, które wiwatowały na trasie przejazdu przez Mail; ludzie, nie bacząc na ociekające głowy, wymachiwali przemokniętymi kapeluszami. Lord M. czekał na mnie przed drzwiami pałacu Świętego Jakuba; znowu miał mnie poprowadzić główną nawą, niosąc ciężki symboliczny miecz. Miał na sobie swój nowy wspaniały frak, guziki połyskiwały jak lampy w ciemnościach nocy, i wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy na znak, że pamiętamy dowcip, znany tylko nam dwojgu. Stryj Sussex prowadził mnie do ołtarza; uśmiechał się do mnie nadzwyczaj życzliwie i nawet poklepał moją dłoń, spoczywającą na jego ramieniu, niemniej nawet w tak uroczystym dniu nie zdołano go przekonać, aby zrezygnował ze swojej ulubionej czarnej piuski.
Dwanaście moich druhen czekało w ubieralni; wyglądały przepięknie i niewinnie w sukniach z białego atłasu i woalu; wierzchnie spódnice podpięte z przodu kwiatami białych róż, kwiaty białych róż ozdabiały piersi, pączki włosy. Uformowaliśmy orszak, drzwi się otworzyły, trąbki zagrzmiały, z organów popłynęła muzyka i wkroczyliśmy do kaplicy. Była zapełniona do ostatnich granic i wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Zobaczyłam członków mojej rodziny stłoczonych na

przedzie: stryj Cambridge o czerwonej twarzy, kiwający głową jak papuga i mówiący coś do siebie; mama w chmurze szali i piór, pociągająca nosem w chusteczkę; dobra ciocia Adelajda w purpurowych aksamitach, z jaśniejącą twarzą i drżącymi palcami, jakby się wyrywały, aby mi pomachać; rozmaici kuzyni, wyciągający szyje i odpychający innych łokciami, aby mnie lepiej zobaczyć. Pomiędzy gośćmi spoza królewskiej rodziny zobaczyłam Księcia, szczupłego i wyprostowanego jak zawsze, dzięki czemu wszystkim wydawało się, że jest wyższy niż w rzeczywistości; dobrotliwego lorda Liverpool, który okazał mi się przyjacielem w dzieciństwie; lorda Ashleya, który poślubił siostrzenicę lorda M., Minney Cowper - jedynych torysów, jakich zaprosiłam (pozostałam w tej kwestii nieugięta, nie zważając na krytykę. Ślub jest jednak rzeczą prywatną, co innego koronacja).
A potem nie widziałam już nikogo poza panem młodym,
219
czekającym na mnie w miejscu, w którym miano nas połączyć na zawsze. Odwrócił się, aby na mnie popatrzeć, i diamenty na gwieździe orderu nie lśniły jaśniej niż jego błyszczące oczy. Ceremonia była przepiękna i imponująca w swojej prostocie. Od trzystu lat nie odbył się ślub żadnej panującej królowej, a Maria Tudor brała go przecież w katolickim obrządku, więc nie można się było na jej ceremonii wzorować. Zdecydowano zatem powielić ceremonię ślubną moich dziadków, króla Jerzego III i królowej Charlotty. Mimo godności, do jakiej mnie wyniesiono, najważniejsza część obrzędu była niezwykle prosta: arcybiskup zapytał mnie cicho i zupełnie prostymi słowami: „Wiktorio, czy chcesz wziąć sobie za męża tego oto tutaj mężczyznę?", a ja poczułam się, jakbym stała pokorna i obnażona przed Panem Bogiem, jak najostatniejszy z moich poddanych. Nie potrafiłam nigdy zrozumieć, jak ktokolwiek może złamać obietnicę daną w taki sposób i w takim miejscu. Albert odpowiedział wyraźnie i pięknie i włożył mi pierścionek na palec z taką delikatnością, a jednocześnie z takim triumfem, że poczułam się istotnie zaślubiona w obliczu Boga i przed całym światem.
Nie tylko powaga gościła z nami: kiedy wypowiadał słowa o dzieleniu ze mną wszelkich ziemskich dóbr, przypomnieliśmy sobie oboje, jak księżniczka Charlotta wybuchła w tym momencie śmiechem podczas ceremonii zaślubin z nie mającym ani pensa przy duszy wujem Leopoldem, i uśmiechnęliśmy się oboje.
Potem podpisaliśmy akt małżeństwa (książę Norfolk narobił niezłego zamieszania, utrzymując, że jako lord marszałek Anglii musi pierwszy złożyć podpis, a potem wstrzymując wszystkich, ponieważ nie mógł znaleźć binokli) i wśród ogłuszających fanfar i muzyki wróciliśmy główną nawą, całym orszakiem i w tym samym co poprzednio porządku - z tą różnicą, że teraz moja ręka spoczywała nie na czarnym, sukiennym rękawie stryja Sussex, tylko, drżąca jak ptak, na ramieniu mojego męża. Czekały nas uśmiechy, pocałunki i gratulacje od najbliższych, a potem poszliśmy tylko we dwoje do czekającej na nas karety i jakby cudem deszcz przestał padać, a promienie słońca zalśniły w tysiącach kałuż i milionach deszczowych kropel. Jakimi okrzykami tłum nas
220
powitał, gdy się pojawiliśmy! Wiwatowano burzliwie przez całą drogę do domu; królewskie śluby odbywały się dotąd zawsze wieczorem, było to zatem dla ludzi coś nowego: zobaczyć królową w ślubnej sukni; wiwatowano również na cześć Alberta, a on pozdrawiał tłum, machając po swojej stronie karety, jak ja po swojej; sądzę, że uznał to za przyjemne doświadczenie.
W pałacu Buckingham spędziliśmy bezcenne pół godziny w mojej garderobie; siedzieliśmy na sofie, rozmawiając, i wręczyłam mu pierścień, który natychmiast włożył na palec. Wsunęłam dłoń w jego rękę, a on zaczął obracać obrączkę na moim palcu (mimowolny odruch, który miał mi się stać tak dobrze znajomy) i rzekł:
- Teraz, kiedy staliśmy się mężem i żoną, nic nie powinno nas dzielić. Nie powinniśmy mieć żadnych sekretów, których by drugie nie znało. Przyrzeknij mi to.
- Przyrzekam - powiedziałam. Wspominając teraz tamten moment, zastanawiam się, dlaczego właśnie o to mnie prosił, kiedy mógł uzyskać wszystko w tych godzinach pełnych euforii. Czy zamartwiał się o swoją pozycję? Czy już wówczas myślał, że poślubia się kobietę, nie królową? Ale wtedy wydawało mi się to sensowną prośbą, a poza tym byłam skłonna obiecać mu wszystko na

świecie, czegokolwiek by zapragnął. Jeśli założyć, że mówiliśmy o naszych sekretach, nie o tajemnicach stanu - cóż, jak się później okazało, nie było powodu trzymać w tajemnicy przed nim tych ostatnich; co zaś do pierwszych nigdy nie wynikła taka potrzeba. Miał zawsze moje serce jak na dłoni; a ja jego.,
Po śniadaniu weselnym, toastach i podzieleniu ogromnego tortu - dziewięć stóp w poprzek, trzysta funtów wagi, udekorowany statuą przedstawiającą Britannię (zamiast tradycyjnej statuy Hymena) - po pobłogosławieniu młodej pary, obsypaniu jej niezliczonymi turkawkami i kupidynkami, z których jeden trzymał otwartą księgę z wyrytą szczęsną datą dziesiątego lutego 1840, udałam się na górę, aby zmienić ślubną suknię na białą, jedwabną, obszytą łabędzim puchem, a koronkowy welon na biały kapelusik, przybrany wstążką i gałązką z kwiatem pomarańczy. Kiedy byłam gotowa, przybył lord M., zobaczyć się ze mną na osobności.
221
Poruszył jedną czy dwie kwestie oficjalne, a potem rozmawialiśmy o uczcie weselnej i torcie.
- Żadną miarą nie mógł być mniejszy - komentował. -Niewielkie kawałki zostały posłane w najodleglejsze zakątki ziemi. Z tego, co mi wiadomo, szczególnie naciskano w amerykańskich kołach dyplomatycznych. Setki dziewczynek z Bostonu czy Connecticut będą cierpieć z powodu dolegliwości żołądkowych i śnić o białym atłasie, dzięki tobie, pani.
Potem rozmawiałam z nim o ceremonii.
- Książę Cambridge bez przerwy mówił, i to bardzo głośno - poskarżyłam się.
- Jego komentarze były bardzo dobroduszne - odparł lord M. - To cecha rodzinna krewnych Waszej Miłości. Twój królewski stryj, pani, król Wilhelm, słynął z głośnego komentowania mszy świętej.
Uśmiechnęłam się.
- Cóż, mam nadzieję, że łkania wuja Sussexa podczas nabożeństwa nie zirytowały wszystkich - powiedziałam.
- Bez wątpienia był głęboko poruszony... podobnie jak ja. Muszę się przyznać do sięgnięcia po zapasową chusteczkę, gdy padały odpowiedzi Waszej Wysokości, wypowiadane tak wyraźnie i z takim uczuciem.
- Cóż, rzeczywiście wszystko przebiegło bardzo dobrze -stwierdziłam zadowolona.
- Nie mogłoby przebiec lepiej - potwierdził. - W istocie idealnie. Nawet zgromadzeni na zewnątrz ludzie nie stracili humoru.
- Cieszę się, że w końcu wyszło słońce - powiedziałam. -Biedacy, tak przemokli, a mimo to czekali wiernie, żeby nas bodaj przelotnie zobaczyć.
- Szczęśliwa jest oblubienica, którą opromieni słońce -odrzekł.
Ujęłam jego dłoń.
- Tak - przyznałam szczerze - jestem szczęśliwa. W istocie od pierwszych chwil mojego małżeństwa czuję, że to przedsmak raju. Bóg nam to zesłał, abyśmy mieli chociaż przedsmak tego, co może nastąpić.
Zamknął w swoich dużych dłoniach o suchej skórze moje ręce i widziałam, że drży, jakby miał się załamać.
222
- Och, moja najdroższa - zaczął łamiącym się głosem, oczy błyszczały mu od łez; opanował się jednak i poprawił natychmiast: - Och, moja najdroższa królowo, ufam, że znajdziesz w małżeństwie wielką pociechę.
Zegar wybił trzy kwadranse na pełną godzinę i zapukano do drzwi.
- Muszę odejść - oznajmiłam.
Skinął głową. Przez moment spoglądał mi prosto w oczy.
- Niech Bóg cię błogosławi - rzekł i puścił moje dłonie. Drzwi się otworzyły; stał za nimi Albert.
- Kareta czeka - oświadczył.
Lord M. usunął się na bok, a ja położyłam rękę na ramieniu Alberta i poprowadził mnie do schodów.
- Ależ ten kapelusz ma szerokie rondo - zauważył półgłosem. - Ledwie mogłem pod nim dostrzec twoją kochaną małą twarzyczkę. Zastanawiam się, czy uda mi się ciebie pocałować.

- Zamierzasz mnie całować? - zapytałam, śmiejąc się.
- Jak tylko znajdziemy się w powozie - odparł.
- Nic bardziej niewłaściwego, jak całować damę w karecie - powiedziałam z przesadną skromnością.
- Zapominasz, że ta dama jest moją żoną - stwierdził i oboje zaśmialiśmy się serdecznie.
Na dole pożegnaliśmy się z mamą i pospieszyliśmy do karety. Wyruszyliśmy około czwartej, niebo na powrót zaciągnęło się chmurami i było ciemniej niż zwykle o tej porze. Nie była to spokojna jazda, ponieważ nieprzeliczone tłumy czekały pod pałacem i nie rozrzedziły się na drodze prowadzącej do Windsoru; na każdym jej jardzie wyczekiwali ludzie, aby nas choć przez chwilę zobaczyć. Nie przedstawialiśmy sobą wspaniałego widoku, nie tak jak dzisiejsi nowożeńcy, przemierzający ulice w nowiutkim błyszczącym rydwanie; przejeżdżaliśmy z turkotem w starej, co prawda wygodnej karecie podróżnej, forysie nie mieli na sobie paradnych liberii, towarzyszyła nam niewielka eskorta. Ale od początku przyłączyli się do naszego orszaku kipiący entuzjazmem forysie-amatorzy, jakich każdy by mógł sobie życzyć: młodzi mężczyźni w dwukółkach, mężczyźni w rozmaitym wieku na koniach, galopujący obok nas, pokrzykujący, wiwatujący, wymachujący kapeluszami;
223
droga do nich należała i zupełnie nie zwracali uwagi na realne niebezpieczeństwo zakończenia dnia upadkiem do rynsztoka. Zostawali z tyłu tylko wtedy, gdy ich konie całkiem osłabły, a ich miejsce natychmiast zajmowali nowi kawalerzyści na świeżych rumakach, pokrzykujący jeszcze donośniej. Zaglądali przez okna i wykrzykiwali nasze imiona, co Albert uznał za impertynencję, a ja za najlepszą zabawę, ich zaś za eskortę milszą niż umundurowany oddział regularnej kawalerii. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Eaton, chłopcy stali wzdłuż drogi mimo ciemności, trzymając pochodnie w rękach, doprawdy nadzwyczaj wzruszające powitanie. O siódmej wieczór przybyliśmy w końcu do Windsoru.
Przede wszystkim przeszliśmy się przez przygotowane dla nas apartamenty, ciesząc się widokiem kwiatów, książek, nut ulubionych utworów na fortepianie - subtelnych dowodów starań Lehzen, aby nadać pokojom bardziej osobisty wyraz. Albert był równie podekscytowany jak ja, oglądając ten nasz pierwszy wspólny dom, i przebiegaliśmy przez pokoje jak dzieci, a psy, które już tu na nas czekały, ścigały się z nami, podskakując radośnie. Rozdzieliliśmy się, aby się przebrać, a kiedy byłam gotowa, poszłam do salonu i zastałam Alberta we fraku w barwach Windsoru (w których tak mu było do twarzy), grającego w skupieniu na fortepianie. Było w jego twarzy coś tak eterycznego, kiedy pochylał się nad klawiszami, że na moment serce we mnie zamarło z zachwytu, na dnie którego czaił się strach. Niemożliwe, aby ktoś tak powabny i pełen uroku należał wyłącznie do mnie; zostanie mi to odebrane, pomyślałam, nie zasługuję na to. Dash otarł się o mnie, przebiegając przez drzwi i szczeknął na niego; czar prysł. Albert podniósł głowę, spojrzał na mnie i uśmiechnął się; wszystko było znowu dobrze.
- Och, nie przerywaj - powiedziałam, gdy odsunął taboret i wstał.
- Mam coś lepszego do zrobienia niż grać na fortepianie -stwierdził. Spotkaliśmy się na środku pokoju i wziął mnie w ramiona. - Wreszcie mam cię tylko dla siebie. Jakaż to trudna sprawa dla mężczyzny, znaleźć sposób, aby zostać samemu z własną żoną w dzień ślubu!
224
- Co ze mną wobec tego zrobisz, teraz, gdy już masz mnie dla siebie? - zapytałam.
- Zaraz się przekonasz - stwierdził i rzeczywiście się przekonałam. Po chwili oderwał się od tego, co robił, a co, jak pomyślałam, nigdy mi się nie uprzykrzy, ujął moją twarz w dłonie (uwielbiałam, gdy tak robił! uwielbiałam dotyk jego silnych rąk, szczupłe, mocne palce dotykające mojej głowy, niezwykle poufały gest) i spoglądając na mnie uważnie, powiedział: - Kochana, słodka, promienna twarz! Jakże szczęśliwym jestem mężczyzną! I jakże wspaniałą rzeczą jest znaleźć się tylko i wyłącznie z tobą... żadnych dworzan, stronników, przyjaciół, sług. Tylko ja i moja kleines Frauchen. Czy podoba ci się to, że jesteś sama tylko ze mną, Wiktorio?
Cóż za pytanie! W pełni chroniona prywatność - pewność, że nikt mnie nie podgląda, nie szpieguje - za tym tęskniłam całe dzieciństwo; ale świadomość, że nie jestem już dłużej samotna, mam kogoś,

wobec kogo mogę swobodnie odsłonić moją prawdziwą naturę, nie pilnując się z każdym słowem, z każdym gestem, była czymś jeszcze lepszym. Od tej pory mieliśmy być tylko ja i Albert, nikogo więcej. Jego słowa „sama tylko ze mną", mógłby ktoś poczytać za nielogiczność; ale w istocie, być z nim i z nikim więcej - to najlepszy rodzaj samotności.
Zaczął mnie znowu całować, ale nagle zrobiło mi się słabo, poczułam tę przerażającą ciemność, napływającą do głowy jak osuwający się piasek, zwiastun bliskiego omdlenia. Musiał coś wyczuć, ponieważ odchylił głowę i zapytał:
- Co się stało? Bardzo pobladłaś.
- Zawrót głowy - powiedziałam i zachwiałam się na nogach. Natychmiast objął mnie ramionami i prawie zaniósł na sofę; posadził mnie na niej, przycisnął swoją silną dłoń do mojego karku i zmusił do pochylenia głowy na kolana. Po chwili poczułam się lepiej i mogłam usiąść prosto. - Nie wiem, co mi się stało - usprawiedliwiałam się. - Zwykle nie zachowuję się tak po pensjonarsku.
- Masz za sobą niezwykle męczący dzień - rzekł i nieoczekiwanie się uśmiechnął. - Musimy także pamiętać, że jestem jednak od ciebie znacznie wyższy, kleines blumschen.
225
Stałaś dziesięć minut z głową odchyloną do tyłu tak mocno, jak tylko się dało, jakbyś zwiedzała Kaplicę Sykstyńską! Nic dziwnego, że omal nie zemdlałaś. W przyszłości muszę cię obsypywać pieszczotami na siedząco.
- W przyszłości - powtórzyłam z zachwytem. - Och, pomyśleć, że będziemy się mogli całować, kiedy zechcemy! Nikt nam nie przeszkodzi, nie powie, że to niewłaściwe. Będziemy się mogli czuć ze sobą zupełnie swobodnie!
To go zmusiło do zastanowienia się. Ujął moją rękę i spojrzał na mnie z namysłem, obracając moją obrączkę na palcu, jakby to mu miało pomóc znaleźć odpowiednie słowa.
- O co chodzi? - zapytałam w końcu, ponieważ wyraźnie wciąż nie wiedział, jak zacząć. - Czy stało się coś złego? Jeśli tak, musisz mi najdroższy powiedzieć, co to takiego. Nie wolno ci niczego przede mną ukrywać.
- Nie, nic złego - odrzekł, a ja zauważyłam, że policzki ma chyba odrobinę bardziej zaróżowione niż przed chwilą i wreszcie zrozumiałam, do czego zmierzał. - Chciałbym z tobą pomówić o... o dzisiejszej nocy.
- Myślisz o tym... co się zdarzy później? - zapytałam, równie jak on onieśmielona.
Kiwnął głową.
- To będzie coś zupełnie nowego dla ciebie i być może... być może trochę zdumiewającego. Nie będziesz się bała?
- Och, nie! - wykrzyknęłam, ściskając jego rękę. - Nigdy nie będę się bała niczego, co się wiąże z tobą.
- Ty wiesz, że... ja nie zrobiłbym niczego, co mogłoby ci sprawić ból? - zapytał trwożliwie.
Zrozumiałam, czym się martwił. Obawiał się, że obrazi moją dziewczęcą przyzwoitość i że mogę potem czuć do niego niechęć; obawiał się, abym nie uznała tego wszystkiego za zbyt przykre, co by mogło popsuć naszą idealną miłość. Miałam mu ochotę powiedzieć, że przy nim znika moja dziewczęca przyzwoitość, pomyślałam jednak, że nie byłyby to najwłaściwsze słowa.
- Ufam ci całkowicie, mój najdroższy ukochany - zapewniłam - i wiem, że cokolwiek zrobisz, będzie to dobre. -Wciąż miał zmartwioną minę, więc dodałam: - Przecież nie
226
będziesz sam, kochany. Cokolwiek się stanie, będziemy to czynić razem, ponieważ się kochamy. To go chyba wreszcie uspokoiło.
- Tak, to prawda, rzeczywiście - stwierdził, ale zaraz dodał: - To dlatego, że sądzę... wydaje mi się... rozumiem, że może to dla ciebie być... nie być przyjemne... w każdym razie z początku. Ten pierwszy raz, wiesz...
Uderzyła mnie pewna myśl.
- Ale wiesz, co robić?
- Oczywiście, że tak! - odparł szybko, niemal z oburzeniem, co przy moim dość dużym poczuciu humoru nieco mnie rozbawiło.

- Mój najukochańszy, wiem, że pilny z ciebie uczeń, ale czy ty już kiedyś...
- Nie - odparł, wytrzymując dzielnie moje spojrzenie, chociaż policzki mu pałały. - Nie mógłbym tego zrobić, wiedziałem przecież, że jestem ci przyrzeczony.
Zamilkłam. Ujęłam jego dłoń, podniosłam do ust i ucałowałam żarliwie. Nie umiałabym znaleźć słów, aby wyrazić uczucia, które mną miotały; mojego podziwu i wdzięczności. Nie była to rzecz, o którą bym go zapytała już po wszystkim, ale - och! jaka byłam szczęśliwa, że wiem! i szczęśliwa, że nawet cień wspomnienia nie będzie mógł się między nas wkraść! Wyrosłam w społeczności, w której spodziewano się po dobrze urodzonych kobietach, że będą przymykać oko na grzeszki mężów; ale nigdy, przenigdy nie chciałam być jedną z nich!
Długi dzień, podniecenie, ożywienie - w końcu mnie zmogły. Obiad podano nam w salonie, ale kiedy podniosłam się z kanapy, znowu poczułam, że mi słabo, i kiedy w końcu zasiadłam za stołem, zaczął mnie nękać narastający ból głowy, tak że sama myśl o jedzeniu wydawała mi się odstręczająca. Nie przełknęłam ani kęsa i byłam zmuszona położyć się na sofie i nieważne, że chora; nigdy, ale to nigdy nie spędziłam takiego wieczoru! Albert siedział przez cały czas obok mnie na podnóżku, a jego dobroć i oddanie wprawiły mnie w niebiańską szczęśliwość, o jakiej nawet nie marzyłam. Patrzeć na jego piękną twarz ze świadomością, że jest moim mężem, być całowaną i trzymaną przez niego w ramionach, słyszeć,
227
jak nazywa mnie najczulszymi słowami, których nigdy przedtem od nikogo nie słyszałam - było niewiarygodnym szczęściem. Kiedy w końcu wstaliśmy, aby położyć się do łóżka, w moim umyśle nie gościła żadna inna myśl oprócz tej, że radość z bycia razem jeszcze się nie kończy.
Obudziłam się w niemal kompletnych ciemnościach od pocałunku w policzek. Przez moment oszołomiona, w końcu zrozumiałam, że to on wstał, odsunął zasłony, aby wpuścić pierwsze promienie świtu przez okna, a wracając, przystanął przy mojej stronie łóżka, by mnie pocałować. Patrzyłam dobrą chwilę w jego przepiękną twarz, aż wreszcie zapytał:
- No co, moja malutka żono, czy mnie poznajesz?
- Mężu - powiedziałam i uśmiechnęłam się. - Wróć do łóżka.
Wśliznął się pod kołdrę, objął mnie ramionami i przyciągnął do siebie, a ja rozpychałam się i wtulałam w niego, wiercąc się jak mały szczeniak, aż leżałam przy nim najbliżej, jak można, ramiona i nogi splecione, moja głowa na jego ramieniu, jego policzek na moich włosach.
- Och, tak jest dobrze - rzekł. - Tak jest najlepiej. -Leżąc w bezpiecznym półmroku sypialni, czując rozkoszne ciepło naszych splecionych ciał, w pełni się z nim zgadzałam. Pachniał tak przyjemnie, jak nagrzane słońcem drzewo; niosący poczucie bezpieczeństwa, przypominający dom zapach. Przycisnęłam nos do jego szyi i zanurzyłam się w morzu błogości. - Ukochana maleńka żona - wymruczał; jakbym słyszała jego głos z oddali, pochłonięty przez ten sam przypływ. - Kocham cię tak bardzo. Kochana, rozkoszna maleńka żono.
Wydarzenia tej nocy mogły z pewnością wprawić w osłupienie, i gdyby był to ktokolwiek inny niż Albert, byłabym skłonna być może uważać, że dzieje się coś złego. Jak Bóg mógł uczynić te rzeczy tak nieestetycznymi, było to dla mnie zagadką. Czułam podszyte oburzeniem zdumienie, a jednocześnie czułam, że nie powinno to budzić mojego zdumienia; zupełnie jak ktoś, kto doszedłszy do końca matematycznej kalkulacji, nie powinien się dziwić wynikowi. Była w tym
228
jakaś nieunikniona logika. Nagle uderzyła mnie myśl, że chociaż Albert jako dżentelmen i człowiek sumienny z pewnością nie przystąpiłby do tego aktu, nie przeczytawszy przedtem czegoś o jego przebiegu, być może wymaga on pewnego doświadczenia, którego nie sposób nauczyć się z książek. Z pewnością powiedzie nam się lepiej za drugim razem, doszłam do wniosku; toteż obudziwszy się o pierwszym brzasku poranka, byłam gotowa pomóc rozwojowi wydarzeń. Zrozumiałam, że będzie to możliwe, jeśli stanę się bardziej partnerką, a mniej przedmiotem działania, a skoro tak - jeśli zdołam zagrać bardziej aktywną rolę; w końcu nigdy nie lubiłam pozostawać bezczynna i bierna. I rzeczywiście, moje pierwsze nieśmiałe próby zostały bardzo dobrze przyjęte przez mojego ukochanego, który całował mnie potem żarliwie i trzymał mocno w objęciach przez długi czas.

Na szerokim świecie panuje dziwaczne przekonanie, że królowe (czy królowie) są ślepi, głusi i nie są świadomi niczego ponad to, co się im przekaże w oficjalnych komunikatach. Czasami podtrzymujemy fikcję, a wtedy istnieje niemałe prawdopodobieństwo, że jest to dla nas dużo wygodniejsze, niż gdybyśmy przyznali, że znamy prawdę; a z jeszcze większym przekonaniem można twierdzić, że jesteśmy ponad to, by zauważać albo dbać o to, co zauważyliśmy. Tak właśnie było w przypadku rozpowszechnianej od czasu do czasu pogłoski (wydaje mi się, że pierwsza rozpuściła ją księżna Bedford, ale z całą pewnością nie była ostatnia), że Albert nie kochał mnie naprawdę, że wyłącznie ja byłam mu żarliwie oddana. Nawet za grosz mnie ta opinia nie obchodziła - trudno o bardziej mylny osąd - a jej źródło upatrywałam w zazdrości, ale równie dobrze mogę zapełnić te karty, by wykazać jej fałszywość. Albert był z natury jeszcze bardziej niż ja nieśmiały i skryty i podczas gdy ja mogłam ujawnić swoje uczucia wyłącznie przed tymi, których uznawałam za sobie bliskich, których dobrze znałam i którym całkowicie ufałam, on mógł je okazać wyłącznie mnie i dzieciom, a i to tylko prywatnie, nie na oczach wszystkich. Jego wrodzony brak pewności siebie, nieśmiałość i duma sprawiały na obcych wrażenie sztywności i chłodu, choć na łonie rodziny rozkwitał i był najcieplejszym i najzabawniejszym mężczyzną.
229
Powierzchowni obserwatorzy, zbyt niewrażliwi, by dostrzec coś poza czubkiem własnego nosa, i ci, którzy uważają, że wartość kobiety mierzy się długością jej rzęs, wyrokowali: nie mógł mnie kochać tak, jak ja jego.
I niech sobie tak myślą. Nigdy mnie to w najmniejszym stopniu nie zaprzątało, ponieważ ja, i tylko ja, znałam prawdę. Do końca życia, aż po jego ostatnią chorobę, uciekaliśmy pod koniec dnia do łóżka, jak na statek, który miał nas przewieźć bezpiecznie przez ocean nocy i uchronić przed światem i jego uciążliwością; skryci w ciepłej ciemności, oplataliśmy się ramionami i mogliśmy do woli rozmawiać, dotykać się, wolni jak nikt na świecie. Albert, którego tylko ja znałam, kapitan mojego nocnego statku, był tylko mój; moje serce wzbiera triumfem, nawet jeszcze teraz, gdy myślę o wielkiej miłości, którą mi ofiarował, choć sobie na nią nie zasłużyłam. Znalazł we mnie pocieszenie, przyjemność, spokój, sens życia. Reszta świata była na rozmaity sposób nieprzyjazna lub co najwyżej obojętna, przerażające miejsce pozbawione uroku; miejsce, w którym trzeba było się zawsze -jak dziko żyjące zwierzęta - trzymać na baczności. Ale kiedy utonął w moich ramionach, pękał pancerz rezerwy i był wrażliwy i bezbronny jak dziecko.
Zawsze mi było łatwiej obcować z ludźmi niż jemu; osądzałam ich instynktownie, poznając w parę minut, komu mogę zaufać, a komu nie, czy są „swoi", czy „obcy"; moje żałosne dzieciństwo uzbroiło mnie przeciw innym, byłam dostatecznie ustępliwa, a jednocześnie nieprzenikniona. Opuszczona przez ojca, zdradzona przez matkę, terroryzowana, pozbawiana spokoju przez tych, którzy mnie otaczali, tęskniłam przecież za miłością, potrzebowałam jej, pragnęłam. Niemniej część mnie, to zasługa mojej natury, tak sądzę, była jak z żelaza i dzięki temu nie można było mnie złamać, nigdy się nie poddałam; być może gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że w końcu dostanę to, czego pragnę. Dzieciństwo Alberta, naznaczone poczuciem utraty - nagłej i nieoczekiwanej utraty matki - uczyniło go podatnym na ciosy. Nie przychodziło mu łatwo zrozumieć, a co za tym idzie zaufać ludziom; ludzie zaś nie chcą z siebie dawać, jeśli nie otrzymują niczego w zamian. Jego sądy i opinie o innych rodziły się w głowie, nie
230
brał pod uwagę irracjonalności natury ludzkiej, toteż często go raniono. Ja go raniłam, Boże, przebacz mi - tak wiele razy! Choć nie była to moja wina. Kiedy się kłóciliśmy (a czyniliśmy to często i potężne były to kłótnie!), nie dotykało mnie to nawet, spływało po mnie; wiedziałam, choć nigdy o tym nie rozmyślałam, że można dalej kochać kogoś głęboko i szczerze po najbardziej gwałtownej zwadzie. Było tak, jakby mój statek miał głęboki kil i dzięki temu przeprowadzał mnie przez wzburzone wiry, kłębiące się na powierzchni bez szkody, sięgając zawsze głębi, gdzie wody pozostawały spokojne. Ale mój biedny najukochańszy Albert nie czuł takich rzeczy sercem, zawsze kierował się rozumem i analizował wszystko wciąż na nowo i za każdym razem było to dla niego bolesne. Tylko w bezpiecznej ciemności, do której zawijał nasz nocny statek, pozwalał odpocząć głowie i upewniał się sercem o naszej wzajemnej wielkiej miłości.

Nawet tej pierwszej nocy, gdy niewiele rozumiałam z tego, co się działo, instynkt i miłość podpowiedziały mi, że to, co oboje robimy, niesie mu całkowite, a zarazem przerażające wyzwolenie, czynił bowiem wobec swej natury ustępstwo, które musiało być dla niego niemal bolesne, choć przecież oczyszczało go i przywracało mu spokój. Zrozumiałam natomiast, jak niezwykle ważne było to, co się kryło za jego słowami: „nie mógłbym tego zrobić, wiedziałem przecież, że jestem ci przyrzeczony"; zrozumiałam, że nawet przy mnie wystawiało go to na ogromne niebezpieczeństwo, czyniło prawie całkowicie bezbronnym; jego, który potrzebował tak wiele ochrony. Ale też powiedziałam mu na początku o swojej miłości, odsłoniłam się bez reszty i bez wahania w dniu, gdy mu złożyłam propozycję małżeństwa; obdarzyłam go nią tak szczodrze, że gdyby nawet połowę tego zmarnować, wystarczyłoby to, co zostało; przybył, lękając się małżeństwa ze mną, jak jagnię prowadzone na rzeź; oczekiwał bólu i śmierci, a znalazł spokój i życie z jedyną kobietą na świecie, w której mógł pokładać całkowitą ufność.
Bóg nas połączył dla wypełnienia Jego celów, wiedząc, jak dobrze się do tego nadajemy i jak zgodnie będziemy pracować ku powiększeniu Jego chwały. (Wuj Leopold przypisał oczywiście
231
całą zasługę sobie, ale musiałabym być doprawdy naiwna, by nie odróżnić narzędzia od Cieśli).

11 maja 1900.

Trzy dni naszego miesiąca miodowego minęły jak mgnienie; dni błogiego szczęścia, wypełnione przyjemnością, jaką czerpałam z przebywania sam na sam z Albertem - budzenie się, śniadanie, wspólna praca, spacery po tarasach; a wieczorem obiad wśród wesołej kompanii: radość, żarty, śmiechy. W środę posłałam do Londynu po jednego z moich ulubionych Pagetów (stanowili taką dużą rodzinę, zawsze, na każdą okazję można sobie było zapewnić znamienite usługi któregoś z nich!) i poleciłam poczynić przygotowania do balu w Windsorze, tak by odbył się jeszcze tego wieczoru i w towarzystwie tylu osób, ile tylko uda mu się zgromadzić. Wypełnił to zadanie z rozkoszą i spędziliśmy wspaniały wieczór, chociaż mój biedny Albert wciąż nie miał się za dobrze i zniknął dyskretnie około jedenastej. Kiedy wróciłam na górę dziesięć minut po północy, zobaczyłam go śpiącego na sofie w sypialni; wyglądał pięknie jak anioł i niewinnie jak dziecko. Rozbudziłam go pocałunkiem i położyliśmy się w doskonałych humorach do łóżka, gdzie nie poczynał sobie ani jak anioł, ani jak dziecko ku ogromnej satysfakcji nas obojga.
W czwartkowy wieczór wydaliśmy następny bal, już mniejszy, i Albert tańczył ze mną galop, co było rozkoszne; a następnego ranka, w piątek czternastego lutego, wróciliśmy do Londynu.
- To minęło tak szybko, wprost nie mogę uwierzyć, że to już koniec - powiedziałam w karecie toczącej się z powrotem do stolicy.
- Co minęło? - zapytał, wyrwany z zadumy.
- Nasz miesiąc miodowy - odparłam.
Uśmiechnął się leciutko, ujął moją dłoń i położył ją sobie na kolanie.
- Ach, o tym mowa! Mylisz się, Hebe kleine. To nigdy nie minie.
Jakże szczęśliwy był pierwszy miesiąc naszego małżeństwa! Po powrocie do pałacu Buckingham (wyremontowanego
232
z okazji mojego małżeństwa; nowe obicia mebli, świeżo pomalowane ściany, sporo złoceń) ustaliliśmy nowy, rozkoszny porządek dnia. Jedliśmy razem śniadanie, a potem spacerowaliśmy z psami w pałacowych ogrodach, gdzie Albert leczył moją ignorancję w sprawach natury. Zanim go poślubiłam, z ledwością odróżniałam jedno drzewo od drugiego, teraz zaczęłam poznawać właściwości rozmaitych roślin, zwyczaje pszczół i motyli. Miał dar jasnego i przystępnego objaśniania rzeczy, a ja zawsze lubiłam się uczyć; nauczyciel i uczeń czerpali tę samą przyjemność z lekcji.
Ranki były poświęcone na pracę i podczas gdy ja czytałam depesze i przeglądałam urzędowe dokumenty, Albert czekał z bibułą, aby ją przyłożyć do mojego podpisu, lub zajmował się swoją

prywatną korespondencją, siedząc przy biurku ustawionym tuż przy moim. Byłam nadzwyczaj zazdrosna o swoje prerogatywy i nie mogłam wtedy jeszcze docenić, jaki skarb mam przy sobie. Zupełnie nie myślałam o tym, aby dzielić z Albertem moje oficjalne obowiązki, przyjemność, jaką dawało mi sprawowanie władzy, wciąż była zbyt świeża, bym potrafiła dostrzec, że on również nienawidzi bezczynności; obserwował mnie ze smutkiem, patrząc cierpliwie, jak sama robię to, co dwoje mogłoby wykonać lepiej i z mniejszym wysiłkiem.
Lunch zwykle jadaliśmy w niewielkim kręgu zaprzyjaźnionych osób lub krewnych, co najwyżej osiem do dziesięciu osób, a po południu, jeśli byłam wolna od oficjalnych obowiązków, jeździliśmy konno lub ponownie szliśmy na spacer, robiliśmy szkice albo graliśmy w duecie na fortepianie. Wieczorami mogliśmy wybierać między teatrem i operą (Albert kochał operę równie namiętnie jak ja) albo obiadem w domu. Uwielbiałam wesołą hałaśliwość obiadów w dużym gronie osób, choć zawsze potępiałam nieznośny obyczaj nakazujący mężczyznom pozostać przy stole, gdy panie już wstały. Co się dzieje przy porto i brandy, trudno uznać za rozwijające moralnie i intelektualnie (miałam na to słowo Alberta!), toteż z dezaprobatą patrzyłam na tych, którzy rzeczywiście przesiadywali za stołem, zamiast potraktować to jako czystą konwencję, hołd składany tradycji. Albert, muszę to z zadowoleniem przyznać, nie znosił tego obyczaju równie serdecznie

jak ja i nigdy nie siedział dłużej niż pięć minut, zanim przyłączył się do pań w salonie; zwykł siadywać przy mnie, rozmawialiśmy i śmialiśmy się, czując się dobrze w swoim towarzystwie. Kiedy pojawiała się reszta towarzystwa, muzykowaliśmy, śpiewaliśmy duety, a czasem Albert grał w szachy z Ansonem, podczas gdy ja rozmawiałam z lordem M.
Czasem po obiedzie w większym gronie odbywał się nieformalny bal. Albert był takim wspaniałym tancerzem, uwielbiałam wirować w jego ramionach wokół sali w upajającym rytmie walca. A gdy nadeszły cieplejsze dni, odkryłam przyjemność równie odurzającą: wyśliznąć się z nim niezauważona na taras i stać tam, słuchając słowików, śpiewających w pałacowych ogrodach, z głową wspartą na jego ramieniu, opleciona w talii jego silną ręką. Niewielkie znaczenie miało oczywiście, co robiliśmy - fakt, że robiliśmy to razem, zabarwiał każdą czynność radością.
W początkach naszego małżeństwa czasami budziłam się, nękana znajomą obawą, która męczyła mnie w pierwszych dniach panowania - że wszystko to okaże się snem. Ale ledwie rozwarłam powieki, mój wzrok padał na ukochaną, cudowną twarz Alberta, wspartego nade mną na łokciu i przyglądającego mi się bacznie.
- Czekałem, kiedy się obudzisz - powiedział za którymś razem.
- A przyrzekałeś, że zawsze obudzisz mnie pocałunkiem -przypomniałam mu.
- Tak, ale wolałbym raczej, żebyś się rozbudziła, zanim cię pocałuję. Tak będzie znacznie przyjemniej.
- Dla ciebie czy dla mnie?
- Dla obojga, oczywiście - powiedział i pocałował mnie. -Widzisz?
Zdawało się, że jest niewyczerpany w wymyślaniu dla mnie przyjemności. Pewnego ranka oświadczył, że nie zniesie, abyśmy rozdzielali się choć na chwilę, nawet na czas konieczny, by się ubrać i ustanowił sam siebie moją pokojówką; pomagał mi z niezwykłą skrupulatnością, włożył mi nawet pończochy, ale też odebrał wszystkie siły, doprowadzając do niepowstrzymanego śmiechu swoimi minami, gdy naśladował niezwykle przejętą, afektowaną młodą dziewczynę. Był takim

utalentowanym klaunem! Wymyślił dwa komiczne charaktery, Herr Pamplemusa i Herr Zigeunera, narysował całą serię ich karykaturalnych postaci w komicznych sytuacjach, a czasami, najzupełniej nieoczekiwanie, zrywał się w trakcie rozmowy i udawał jednego z nich, stąpając dumnie jak paw, aż byłam niemal chora ze śmiechu.
A przede wszystkim mój mąż był mi przyjacielem, droższym ponad wszystkich innych, w którego towarzystwie lubiłam przebywać, z którym rozmowa nigdy mi się nie znudziła, który potrafił niezawodnie mnie rozweselić, którego obecność przydawała światu barw i życia. Każdego ranka budził mnie pocałunkiem; ilekroć na mnie spojrzał, jego twarz rozjaśniała się uśmiechem, który rozgrzewał moje serce. Jeśli wychodził gdziekolwiek beze mnie, nigdy nie zaniedbał przyjść

przedtem lub po powrocie do mojego pokoju lub ubieralni, aby się ze mną zobaczyć; nie przeszedł obok mnie, nie wykorzystując okazji, aby mnie dotknąć, a jeśli nie było to możliwe, przynajmniej pozdrowić oczami. We wszystkim był mi wiernym towarzyszem, a radości z tego płynącej towarzyszyło błogie poczucie bezpieczeństwa, ponieważ był także moim mężem, należał tylko do mnie i miał mnie nigdy nie opuścić. Jedną z moich największych przyjemności było obserwowanie go rankiem przy goleniu w jego ubieralni. Wydawało mi się to kwintesencją poczucia intymności i bezpieczeństwa. Kochanka może dzielić z mężczyzną łóżko, ale widzieć, jak goli policzki z zarostu - tylko żona.
Była i łyżka dziegciu w tej beczce miodu, jaką okazało się nasze życie; okazało się też, że niełatwo rozwiązać ten problem. Mama z niezłomnym uporem okazywała przeraźliwą niechęć, aby nas opuścić, i choć Albert zachowywał się wobec niej niezwykle uprzejmie, traktując ją z najwyższą cierpliwością, a dzięki jego taktowi dało się uniknąć wielu scen, które nie tak dawno rozgrywały się w salonie, kompletnie mnie wyczerpując - byłam zdecydowana, że powinna odejść. Trudność polegała na tym, że nie było jej gdzie umieścić. Lord M. sugerował, a ja się do tego przychylałam, iż król Hanoweru powinien otrzymać pałac Kensingtoński w zamian za oddanie mamie apartamentów w pałacu Świętego Jakuba, których i tak zresztą nigdy nie używał. I choć uznałam to za
235
wspaniały pomysł, obie strony z oburzeniem go odrzuciły, a lord M. ze smutkiem powiedział, że w takim wypadku nie pozostaje mi nic innego, jak wynająć dla mamy umeblowany dom i opłacić go z osobistych dochodów. Wpadłam w furię. Dochód mamy wzrósł tak znacząco, że nie tylko mogła żyć z własnych środków, ale i zacząć spłacać długi, tymczasem nic podobnego się nie działo i wciąż zwracała się do mnie o pieniądze. A teraz zmuszano mnie, abym zapłaciła za przywilej pozbycia się jej! Z najwyższą niechęcią zgodziłam się płacić maksymalnie tysiąc pięćset funtów rocznie i to tylko przez cztery lata, „po którym to czasie powinna sama zadbać o siebie". Znaleziono dla niej przyjemny umeblowany dom do wynajęcia, Ingestre House przy Belgrave Square, i piętnastego kwietnia 1840 roku - „smutny i pamiętny dzień", jak go określiła - gorzko się użalając, mama opuściła pałac Buckingham, aby tam zamieszkać.
Niewiele dni upłynęło, gdy zaczęła się uskarżać, że dom jest za mały - „niewiele lepszy od nędznej nory" i stoi na uboczu. Czy matka królowej, która gdyby rzeczy potoczyły się odrobinę inaczej, mogłaby nazywać siebie królową wdową, nie powinna mieszkać lepiej niż zwykła kupcowa? Utyskiwania powtarzały się z męczącą regularnością aż do września, kiedy to na skutek śmierci mojej ciotki, księżnej Augusty, zwolniły się dwie rezydencje: Frogmore House w Windsorze i Clarence House w pałacu Świętego Jakuba (gdzie mieszkali przed sukcesją stryj Wilhelm i ciocia Adelajda). Oddałam obie mamie, co nareszcie zaspokoiło jej żądania, i skoro tylko dokonano niezbędnych napraw i odnowiono Clarence House, przeprowadziła się tam dwudziestego pierwszego kwietnia 1841 roku.
Musiałam nie tylko znaleźć jej miejsce do zamieszkania, kłopotu przysporzyło mi także wyszukanie dla niej zarządcy. Conroy zrezygnował i wyjechał do Włoch, i nie było kobiety, która by pilniej potrzebowała odpowiedzialnego człowieka, aby zajął się jej finansami. Lord M. zaproponował pułkownika George'a Coupera, który pracował w Kanadzie dla lorda Durhama ku jego wielkiemu zadowoleniu, a ja uznałam, że trudno o lepszy wybór: Couper był człowiekiem o nieprzeciętnych zdolnościach, pracowitym, miał przyjemne maniery, a nade
236
wszystko cieszył się opinią nieposzlakowanie uczciwego. Mama, niestety, wciąż ufała Conroyowi (nie zaprzestała z nim oczywiście korespondencji) i chciała, aby któryś z jego synów został zarządcą jej dworu. Pułkownikowi Couperowi, narzekała, nie dostaje prezencji, błyskotliwości, wewnętrznego żaru. Lord Dunfermline, jej jedyny zaufany przyjaciel, próbował cierpliwie tłumaczyć, że kobieta, która sparzyła sobie palce, potrzebuje środka uśmierzającego, nie żaru, i zapewnił ją, że nikt o nazwisku Conroy ani przez chwilę nie będzie brany pod uwagę. Mama usiłowała zwlekać, aż wreszcie lord Dunfermline był zmuszony postraszyć ją, że jeśli nie zaakceptuje pułkownika Coupera, będzie musiała swoje sprawy powierzyć Księciu.

Ustąpiła zatem, aczkolwiek niechętnie, ale zastrzegła, idąc za radą Rea, jednego z zauszników Conroya, że Couper nie będzie miał wglądu w jej finanse, dopóki nie otrzyma oficjalnej nominacji (czyli pierwszego stycznia 1840 roku, choć w rzeczywistości przyłączył się do jej dworu dopiero, gdy opuściła pałac Buckingham), po czym zamknęła wszystkie swoje papiery w dwóch wielkich komodach, nie oddając nikomu do nich kluczy. Pułkownik Couper, który wkrótce powiadomił mnie poufnie o ogromnym bałaganie panującym w finansach mamy, z początku prawdopodobnie powitał z ulgą fakt, że nie musi wnikać w sekrety Conroyowskich rządów, ale w miarę jak czas upływał, a on i mama coraz bardziej przypadali sobie do gustu, zaczął się niepokoić, co też owe komody mogą zawierać. Przekonanie jej, aby powierzyła mu klucze, zajęło mu dziesięć lat, a gdy wreszcie otworzył komody, uznał ich zawartość za równie szokującą jak pokoju Sinobrodego.
Niemniej wszystko to miało się wydarzyć w przyszłości: w kwietniu 1840 roku czułam głęboką ulgę, że zdołałam w końcu uwolnić się od mamy i powierzyć jej finanse uczciwemu człowiekowi. W tym samym czasie miałam się przekonać, że małżeństwo mogło nie tylko płynąć po różach; ujawniło również swoje ciemniejsze strony. Po pierwsze, Albert zaczął okazywać zazdrość o Lehzen; po drugie, odkryłam, że jestem w ciąży.

Rozdział Dziesiąty.
14 maja 1900 w Windsorze.

Zawsze wydawało mi się to nadzwyczaj krzywdzące, że kobietom przypada najprzykrzejsza, udręczająca, a przede wszystkim rzeczywiście niebezpieczna rola w tworzeniu rodziny, podczas gdy mężczyźni znajdują w tym wyłącznie przyjemność i wygodę. Toteż nie zapałałam uczuciem wdzięczności do dobroczynnego Boga, gdy ledwie w miesiąc po ślubie odkryłam, że jestem w ciąży. Wiedziałam oczywiście, że muszą być dzieci, ale jakże wdzięczna bym była, gdybym mogła cieszyć się chociaż rok nieskrępowanym szczęściem z Albertem, mieć go wyłącznie dla siebie. Ale nie, musiało mnie to spotkać natychmiast i jakże rozzłoszczona byłam, że tak od razu wpadłam w pułapkę. Lata później pisałam do Vicky (wówczas już zamężnej, oczywiście):
„Pierwsze dwa lata mojego małżeństwa zostały całkowicie zmarnowane na rodzenie dzieci. Bezustannie musiałam znosić ból, cierpienie, melancholię, utrapienia wszelkiego rodzaju. Niczym nie mogłam się cieszyć - żadnych podróży wraz z drogim tatą - wszystkie przyjemności trzeba było porzucić - w zamian przedsięwziąć środki ostrożności. Oto jarzmo kobiety zamężnej! Bez tego z pewnością jest to stan niezakłóconej szczęśliwości, jeśli ma się męża, którego się uwielbia. Ale ja musiałam dziewięć razy przez osiem miesięcy cierpieć prawdziwą niedolę (niezależnie od mych rozlicznych obowiązków), co też srodze mnie wymęczyło. Człowiek czuje się tak skrępowany - jakby mu podcięto skrzydła - i w istocie, w najlepszym zresztą razie, w połowie takim, jak dawniej. Gdybym poczekała chociaż rok, jak mam nadzieję Ty zrobisz, wszystko byłoby inaczej.
(Moja biedna Vicky, zupełnie jak ja, od razu zaszła w ciążę i urodziła pierwsze dziecko w rok i dwa dni po odbyciu się ceremonii ślubnej. Przeszła poród ciężej niż ja kiedykolwiek, przez dwa dni cierpiała śmiertelne męki, których nawet potężne

dawki chloroformu nie zdołały uśmierzyć. Posłałam jednego z moich lekarzy, doktora Martina, aby jej asystował, ale ten idiota, niemiecki lekarz nie zawezwał go na czas, a gdy Martin w końcu się pojawił, został poinformowany, że nie ma nadziei, księżna i dziecko są w stanie agonalnym. Martin oddalił niemieckiego lekarza od łoża położnicy, przejął jego obowiązki i pracując bez wytchnienia przez dwanaście godzin, zdołał uratować oboje. Dziecko leżało pośladkami do góry (to doprawdy ciężka próba dla kobiety), żyło, ale urodziło się uszkodzone: podczas walki o sprowadzenie go na ten świat nadwerężono mu ramię; było sine i bezwładne. Na początku nic o tym nie wiedziałam. Pierwsze doniesienia mówiły tylko o narodzinach chłopca i Artur, który miał wtedy siedem lat, biegał jak szalony po korytarzach Windsoru, wrzeszcząc przeraźliwie: „Jestem wujkiem! Jestem wujkiem!", jakby właśnie przyznano mu nadzwyczajny tytuł lub wielką godność. Wszyscy byliśmy

ogromnie ucieszeni pojawieniem się pierwszego potomka z nowej generacji. Dopiero później dowiedziałam się, ile moje biedne dziecko wycierpiało i co się stało z ramieniem niemowlęcia. Vicky i Fryderyk nadali chłopcu imiona Fryderyk Wilhelm Albert Wiktor, ale w rodzinie nigdy nie mówiono na niego inaczej jak Willy. Lekarze zaordynowali niewłaściwą kurację, zalecając dla usprawnienia ramienia masaże i gorące okłady, co nie przyniosło rezultatu. Czasami wydaje mi się, że nie nazbyt pomyślne i satysfakcjonujące dorastanie Willy'ego można w jakiejś mierze tłumaczyć jego niesprawnym ramieniem: nienawidził, gdy o nim wspominano czy też na nie patrzono. Po tych wydarzeniach Vicky nabrała o niemieckich lekarzach tak samo niskiego mniemania jak ja i jej następne porody - doprawdy nazbyt liczne - były przyjmowane wyłącznie przez angielskich doktorów.
Rodzenie dzieci było jedyną rzeczą, której się śmiertelnie obawiałam: przez całe swoje życie miałam w pamięci moją kuzynkę księżnę Charlotte. Zawsze czułam się z nią w osobliwy sposób związana, jakby łączyły nas duchowe nici, bo przecież jej śmierć podczas połogu była konieczna, abym ja przyszła na świat. Jeśli nasze losy były ze sobą połączone w jednym, czemu miałyby się różnić pod innym względem?
239
Myśl o jej cierpieniach i śmierci zawsze kołatała się gdzieś w moim mózgu.
W kilka dni potem, jak potwierdzono, że jestem w odmiennym stanie, dwudziestego pierwszego marca, poczułam się rzeczywiście niedobrze i leżąc na sofie, zanosiłam się od gorzkiego płaczu na myśl, że to dopiero początek ośmiu nie kończących się miesięcy, po których nieuchronnie to nadejdzie. Biedny Albert, był sam zdenerwowany i przerażony, a poza wszystkim, co mógłby mi powiedzieć, aby mnie pocieszyć? Co się stało, to się nie odstanie; nie mógłby w żaden sposób wyrazić mi współczucia, choćby nawet słowami, twierdząc, że życzyłby sobie, aby to się nigdy nie stało. Gdybym go o to poprosiła, z pewnością powiedziałby mi nawet, że chętnie cierpiałby za mnie, ale wedle mojej opinii, gdyby mężczyznom rzeczywiście przyszło rodzić dzieci, rodzaj ludzki dawno już przestałby istnieć.
Leżałam zatem na sofie i złorzeczyłam losowi, przejęta zarazem furią i lękiem.
- Koniec z wszystkimi przyjemnościami! - szlochałam. -Żadnej jazdy konnej, tańców... niczego! Tak się cieszyłam na lato z tobą, a teraz nic z tego!
- Wciąż będą inne przyjemności - powiedział Albert przymilnie.
- Może dla ciebie - rzuciłam z gniewem - ale ja do lata będę wyglądała jak balon, nic na mnie nie będzie pasowało. To straszne, straszne!
- Ale to nie będzie trwało wiecznie, moje najdroższe kochanie.
- Osiem miesięcy to jest wieczność! I wszyscy będą się na mnie gapili...
- Nie będą. Pomyśl poza tym o dziecku... o chłopcu, naszym synu, moja najdroższa. Czyż to nie cudowne!
- Nie lubię dzieci... okropne, łyse stworzenia, wytrzeszczające oczy i przebierające nogami, obrzydliwe jak małe żaby!
- Ale cudowność tego wszystkiego - powiedział Albert zasmucony. - Cud nowego życia... wspaniały dar Boga... dać życie istocie z nieśmiertelną duszą...
Sentymentalna uwaga, godna kogoś, kto chodzi z głową
240
w chmurach; toteż spotkała się ze stosowną odprawą z mojej strony:
- Cóż, wystarczająco wspaniały, żeby mężczyźni mogli o nim rozprawiać! To nie ty będziesz znosił ból, cierpienie, całą tę okropność! A poza tym kobiety umierają w czasie porodu! Pomyśl raczej o tym! - I znowu zaniosłam się szlochem.
Pochylił się nade mną i uspokajając mnie czule, głaskał po rękach, nacierał skronie wodą lawendową.
- Ty nie umrzesz, kochanie. Wiem, myślisz o księżnej Charlotcie, ale tobie się to nie przydarzy. Czy twój wypróbowany przyjaciel, lord Melbourne, nie mówił ci, że wszystko źle się potoczyło, ponieważ zbytnio ją wycieńczono głodową dietą i upuszczaniem krwi? Nic takiego cię nie spotka. Sama wiesz, kochanie, jak kwitnąco i zdrowo wyglądasz! Przy twoim dobrym apetycie i wrodzonej

ci żywości wszystko musi być dobrze.
Łzy przestały płynąć potokiem.
- Nie pozwolisz mi puszczać krwi? - zapytałam drżącym głosem. - Zabili mojego ojca, puszczając mu krew. Wuj Leopold mi tak mówił.
- Oczywiście, że nie. Przechodzisz zdrowo i szczęśliwie ciążę, nic złego się nie zdarzy. Przecież wiesz, że nigdy nie chorujesz.
- To rzeczywiście prawda - powiedziałam udobruchana. Zawsze szczyciłam się swoim krzepkim zdrowiem.
Jego głos stał się jeszcze czulszy.
- Przecież wiesz, że Bóg by nas nie rozdzielił, nie teraz, kiedy dopiero co się połączyliśmy. Przecież wierzysz, że masz zadanie do wypełnienia, sama mi to często powtarzałaś. Uważasz, że On o tym nie pamięta?
Wciąż jeszcze targana pojedynczymi szlochami, rzuciłam mu się w ramiona i przycisnęłam rozgorączkowaną twarz do jego piersi, a on głaskał mnie po głowie i całował wszędzie, gdzie tylko mógł sięgnąć. Po chwili odezwałam się już znacznie spokojniejszym głosem:
- Żałuję, że nie będzie między nami jak dotychczas. Żałuję, że trzeba będzie na to długo czekać.
Przytulił mnie mocniej.
241
- Na to jesteśmy zbyt dobrymi kochankami, mój kwiatuszku.
Zupełnie dobrze zniosłam tę pierwszą ciążę i chociaż miałam przypływy złego samopoczucia, a ataki płaczu zdarzały mi się nie tak znowu rzadko, nie mogłam być nieszczęśliwa przez cały czas. Wciąż miałam oddanego sobie męża, którego uwielbiałam; który umilał mi godziny, śpiewając ze mną, grając dla mnie, czytając na głos, błaznując, byle tylko mnie zabawić. Mam gwałtowną naturę i gdy jestem przygnębiona, myślę, że tak już będzie zawsze, a gdy mam dobry nastrój, nie rozumiem, jak mogłam kiedykolwiek czuć się przygnębiona. W moim dzienniku jest mnóstwo „zawsze" i „nigdy" -taką już mam naturę. Nadążanie za moimi nastrojami musiało męczyć biednego Alberta, który cenił sobie racjonalizm i opanowanie; musiał osuszać potoki moich łez w jednej minucie, a perswadować mi, abym nie wybierała się jednak na spacer w czasie burzy gradowej w drugiej.
Zdarzały się chwile (nie mogę temu zaprzeczyć), gdy czułam podniecenie na myśl o dziecku będącym owocem naszej miłości, ale zawsze wybiegałam myślą w przód - kiedy będzie miało dwa lub trzy lata. Musiałam tylko przetrwać jakoś przez ten niewdzięczny, poniżający okres kilku najbliższych miesięcy. Jedyną korzyścią, jaka niewątpliwie według mnie wynikała z ciąży, była możliwość nienoszenia sznurówek. Przez całe moje życie kobiety nosiły ciasno związane gorsety i czasami z dotkliwą zazdrością myślałam o tych okresach w historii, gdy nie znano sznurówek (chociaż jest pewne, że brak sznurowań i gorsetów w jakiś sposób sprzyja brakowi moralności i rozluźnieniu kontroli: wystarczy popatrzeć na panowanie Karola II!). Podejrzewam, że silne zaciskanie sznurówek w dolnych częściach ciała było powodem częstych omdleń wśród dobrze urodzonych kobiet; wśród niższych klas bowiem nie zdarzały się one wcale tak często. Wiem, że zwykło się to przypisywać delikatności, której biednym nie dostaje, mimo to wcale nie byłabym zdziwiona, gdyby jednak przyczyną tego stanu rzeczy okazały się sznurówki.
To, że byłam w odmiennym stanie, nie oznaczało przebywania w domu i niepokazywania się na widoku publicznym
242
ani rezygnacji z wypełniania moich męczących obowiązków. Kiedy ma się opuchnięte kostki i boli kręgosłup, ostatnią rzeczą, jakiej się pragnie, jest stanie godzinami podczas audiencji albo rozdawanie grzecznych uśmiechów zagranicznym dyplomatom. Mój stan nie uczynił mnie także ślepą i głuchą na to, co się działo pod moim własnym dachem między dwojgiem najbliższych mi ludzi. Wspominając to teraz, rozumiem, że niemożliwe było, aby Albert, nękany tęsknotą za domem i walczący o swoją pozycję, nie czuł urazy do Lehzen, która już znała swoje miejsce. Okazałam się na tyle ostrożna, by nie wyznaczyć jej żadnej oficjalnej pozycji, nie chcąc budzić publicznego niezadowolenia (sama mi to odradziła), ale od czasu, gdy wstąpiłam na tron, odpowiadała za moją

prywatną korespondencję, funkcjonowanie dworu, sprawowała pieczę nad kwartalnymi rachunkami i miała prawo podpisywania rachunków płatnych z moich osobistych dochodów. Dawało jej to oczywiście pewne wpływy i władzę, a moje przywiązanie i wdzięczność, jaką dla niej żywiłam, zapewniały jej łatwiejszy niż innym dostęp do mnie. Ale Lehzen nie należała do tych, którzy by wykorzystywali swoją pozycję i nigdy nie omawiała ze mną kwestii państwowych, jak zazdrośnie niektórzy sądzili.
Co do Alberta, został przygotowany przez wuja Leopolda, a i jego własne zdolności go do tego predysponowały, aby współrządzić ze mną, czego gorąco pragnął, tymczasem stwierdził, że broni mu się dostępu do dokumentów państwowych, wolno mu jedynie osuszyć mój podpis bibułą; nic też dziwnego, że czuł zazdrość wobec Lehzen i jej przypisywał winę za swoją przymusową bezczynność. Sądził, że ostrzegła mnie, abym nie pozwalała mu się wtrącać w sprawy państwowe. Prawda jest taka, że nie było w tym jej winy, a tylko moja. Małą dziewczynkę z Kensingtonu, samotną, nieszczęśliwą i gnębioną, podtrzymywała na duchu tylko jedna myśl: że pewnego dnia zostanie królową Anglii, wyniesioną ponad wszystkich i uwolnioną od prześladowania. To było źródłem pociechy i dumy; a do dumy doszło jeszcze wyrobione przez Lehzen i rady wuja Leopolda głębokie poczucie obowiązku i odpowiedzialności. Wszystko to razem sprawiło, że uważałam
243
za niemożliwe podzielenie się moją władzą z kimkolwiek innym, nie tylko dlatego, że mogłam się oprzeć wyłącznie na samej sobie, ale także dlatego, że Bóg nałożył na mnie poważne obowiązki, których nie mogłam - wciąż nie mogę -beztrosko odłożyć na bok. Gdyby Bóg nie chciał, abym to właśnie ja, Wiktoria, została królową Anglii, nie zadałby sobie tyle kłopotu, aby do tego doprowadzić.
Aby być całkowicie uczciwą wobec siebie, muszę również powiedzieć, że cechuje mnie upór, rozwinięty przez długotrwałą walkę Pewnej Osoby, aby pozbawić mnie moich prerogatyw; zmuszona do prowadzenia walki tak długo, nie byłam skłonna ustąpić nikomu, nawet proszona - a z pewnością nie pod wpływem nacisku. Dla mnie samej powody mojego postępowania były oczywiste, a odkąd zostałam królową, uważałam, że nikt, nawet mój mąż, nie jest władny ich kwestionować. Toteż nie uważałam za stosowne udzielać wyjaśnień; mówiłam: ja tego chcę i to ci musi wystarczyć.
Albert oczywiście uważał inaczej. Był mężczyzną, pochodził z Niemiec, a to nie sprzyjało zaakceptowaniu przez niego podległości. Wydawanie rozkazów, rządzenie, decydowanie, chronienie innych było dla niego naturalne jak oddychanie; dla niego mąż był panem, kobieta powinna być uległa i słuchać. Nie tylko wynikało to z naturalnego porządku rzeczy, ustanowionego przez Boga, ale całkowicie zgadzało się z jego pragnieniami; tęsknota za domem uzmysławiała mu tym ostrzej, jak daleko sprawy odbiegają od ideału, od trybu, jakim biegły w ukochanym Koburgu. W jego oczach musiało to wyglądać tak, jakbym wzięła go sobie jako maskotkę, co z pewnością obrażało jego dumę i doprowadzało do szaleństwa. Ale to ja byłam królową i ustanawiałam reguły; nic na to nie mógł poradzić, a inteligencja podpowiadała mu, że wywieranie presji tylko wzmoże mój upór. Musiał bardzo silnie odczuwać swoją podrzędność, moje biedne kochanie; rządzenie miał przecież we krwi.
Początkowo znosił to z olbrzymią cierpliwością; ale gdy w maju nadszedł dzień moich urodzin, dał mi w prezencie wielki mosiężny kałamarz z oprawą i ledwie uroczystości się skończyły, zapytał mnie, kiedy mógłby dostać kałamarz dla siebie i zacząć go używać.
244
- Nie ufasz mi nawet w najbłahszych sprawach związanych z funkcjonowaniem dworu - uskarżał się - nie mówiąc już, że w tych związanych z polityką, gdzie mógłbym być dla ciebie naprawdę użyteczny, w ogóle nie zasięgasz mojej rady.
- Ale ja cię tak bardzo kocham - powiedziałam w nadziei, że go ugłaskam. - Nie chcę marnować tych bezcennych godzin, jakie spędzamy oboje, na dyskusji o polityce, zamiast na całowaniu, dokazywaniu i mówieniu o miłości.
- Nie traktujesz mnie, jak na to zasługuję - stwierdził, pochmurniejąc. - Mam rozum, wiesz, nie tylko dwoje warg. Zupełnie go nie cenisz.

- Ależ oczywiście, że tak - zapewniłam. - Uważam cię za najmądrzejszego człowieka na świecie.
- W takim razie dlaczego zmuszasz mnie do bezczynności? Ein unniitz Leben ist einfriiher Tod - dodał, cytując Goethego: bezczynne życie to przedwczesna śmierć.
Poczuwszy się zagrożona wzmianką o śmierci - którą uznałam za bardzo niestosowny i nieuczciwy argument w dyskusji - przykro mi to powiedzieć: uniosłam się i „odleciałam" do lorda Melbourne zasięgnąć rady.
- Co mam robić? Trzymam go z daleka od spraw państwowych zarówno dla jego, jak i mojego bezpieczeństwa, wciąż przecież jest uważany za cudzoziemca i jeśli ludzie spostrzegą, że mi doradza czy nawet pomaga, podniesie się wrzawa i oskarżenia o wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Anglii.
Lord M. słuchał, potakując ze zrozumieniem głową, ale po chwili się odezwał:
- Książę mógłby ci służyć znaczną pomocą, pani, w dźwiganiu tego ogromnego ciężaru, który na ciebie nałożono. Nie twierdzę, że powinnaś go zaznajamiać ze wszystkim... na pewno nie od razu, ale jeśli będzie to przebiegało stopniowo, ludzie się przyzwyczają. Ludzie z czasem przyzwyczajają się do wszystkiego, pani, nawet do cudzoziemców. Z pewnością trudno ci będzie w to uwierzyć, ale swego czasu nie lubiłem homarów.
Roześmiałam się, ale zaniepokojona nie przestałam drążyć tematu.
245
- No dobrze, lordzie, ale teraz, proszę cię, poważnie. Zawsze uważałam, że Bóg zesłał mi go w jakimś celu, ale czy nie powinien mi pomagać w sprawach społecznych, a nie politycznych... wspomagać mnie w taki sposób, w jaki królowa małżonka pomaga królowi?
- Twoja sytuacja, pani, jest nieco inna niż sytuacja króla. Spoczywają na tobie znaczniejsze ciężary niż na mężczyźnie, ponieważ musisz wypełnić zadania wyznaczone zarówno królowi, jak i królowej. Nie możesz scedować obowiązków wynikających z tego, że jesteś kobietą, na nikogo innego - powiedział z naciskiem, patrząc na mnie dobrotliwie - dlatego też jedynym rozsądnym wyjściem jest to, pani, byś pozwoliła ująć sobie ciężarów tam, gdzie jest to możliwe.
- Zatem lordzie, naprawdę uważasz, że powinnam omawiać sprawy państwa z księciem?
- Uważam, pani, że nie powinnaś pozbawiać się cennego współpracownika. Książę jest świetnie wykształcony, ma ugruntowane poglądy, a jego rozsądek robi wielkie wrażenie na tych, którzy mieli przyjemność z nim rozmawiać. Holland powiedział mi nie dalej jak przedwczoraj, że teraz weszło w modę chwalić księcia.
- Doprawdy? - zapytałam zadowolona. - Cóż, sądzę, że jest w istocie nadzwyczajnie mądry. Ale jest jeszcze coś: jeśli poproszę go o wydanie opinii i okaże się ona odmienna od mojej, nie będę mogła według jego rady postąpić, ponieważ to ja jestem królową i odpowiedzialność spada na mnie. Nie mogę działać wbrew sumieniu tylko dlatego, by go zadowolić! A skoro nie przyjmę jego rady, choć o nią prosiłam, nic z tego nie wyniknie prócz obrazy! Będzie się czuł jeszcze gorzej, niż gdybym się do niego w ogóle nie zwróciła, i z pewnością wybuchnie kłótnia!
- Wasza Królewska Mość ma ministrów po to, aby jej doradzali, gdy wyniknie różnica zdań - powiedział spokojnie - i książę doskonale sobie z tego zdaje sprawę. Sprawy nie mogą być rozstrzygane wyłącznie między Waszą Wysokością i księciem, jeśli ministrowie podzielą twoje zdanie, nie pozostanie nic więcej do powiedzenia. Książę z pewnością to zrozumie.
Nie rozwiał wcale moich wątpliwości.
246
- Obwinia Lehzen - powiedziałam otwarcie. - Uważa, że dzielę się z nią tym, czego jemu nie mówię, i że poradziła mi, abym mu nie ufała.
Lord M. skinął głową.
- To akurat rozumiem.
- Ależ to nieprawda! Wiesz, panie, że ona się do niczego nie wtrąca. Zawsze stała po mojej stronie. Ale też nigdy nie miałeś z nią trudności.
Uśmiechnął się kwaśno.
- Ja nie jestem mężem Waszej Wysokości. A wielu sądzi, że baronowa rzeczywiście ma wpływ na Waszą Wysokość, prawdopodobnie nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, pani. Twoje zażyłe

stosunki z baronową powinny słabnąć w miarę, jak będzie wzrastać twoja zażyłość z mężem, pani, to naturalne.
Udzielił mi uprzejmie sensownej rady, a ja zawrzałam z urazy, uważając ją za atak na moją ulubienicę.
- Wiem, kto to rozprzestrzenia - powiedziałam z gniewem. - Stockmar! Uważa mnie za głupie dziecko, niezdolne dostrzec, co się wokół niego dzieje... Lehzen ma na mnie wpływ, a ja nawet o tym nie wiem, co za nonsens! Kolejna intryga, aby się jej pozbyć, ale ja na to nie pozwolę!
Tak więc tylko utwierdziłam się w swoich postanowieniach, a sytuacja Alberta w niczym się nie poprawiła. Dalej nie miał nic do zrobienia; sfrustrowany i skazany na życie obracające się wokół błahostek, za czym nigdy nie przepadał, nawet w czasach, gdy był kawalerem.

15 maja 1900.

W czerwcu 1840 roku zdarzyła się rzecz przerażająca. Byłam w czwartym miesiącu ciąży, czułam się zupełnie dobrze, nudności przeszły całkowicie, inne dolegliwości nie dokuczały mi zbyt mocno. O szóstej wieczór dziesiątego czerwca Albert i ja wyruszyliśmy na Belgrave Square, złożyć wizytę mamie. Albert nalegał, abym dopełniała wobec niej swoich obowiązków i okazywała jej szacunek, tak by przynajmniej w oczach świata nasze stosunki sprawiały wrażenie poprawnych; byłam skłonna okazywać jej nawet uprzejmość, skoro
247
nie mieszkała ze mną pod jednym dachem, tym łatwiej mi to przychodziło, że miałam u boku męża, który umiał ją oczarować i powstrzymać od wiecznych narzekań. (Ona i Albert rozumieli się doskonale, zwłaszcza że jedynie ze sobą mogli rozmawiać nieskrępowanie o swoich ukochanych Koburgach).
Był przepiękny letni wieczór, wzięliśmy więc otwarty powóz, w stylu rosyjskiej bryczki, zaprzężony w moje ulubione siwki. Kiedy podjeżdżaliśmy pod Constitution Hill, żar dnia już się zmniejszył, wieczór był ciepły, powietrze balsamiczne. Słońce opromieniało wszystko przedwieczornym złocistym blaskiem, rzucając długie cienie na trawniki Hyde Parku. Jerzyki, krzycząc, latały pod blednącą czaszą nieba, ciepłe powietrze owiewało nasze policzki, czułam się zdrowa i szczęśliwa.
Rozmawialiśmy z Albertem o koniach. Odwróciłam właśnie głowę, żeby popatrzeć na tego, który nas mijał, i zdążyłam powiedzieć:
- Spójrz tylko, co myślisz o tym kasztanie? Nie uważasz, że to aż za paradne: kasztan z czterema białymi skarpetkami? - gdy nagle tuż obok rozległ się potwornie głośny huk.
Był tak głośny, że nawet się nie zorientowałam, co to takiego, w uszach zaczęło mi dzwonić i w istocie był paradoksalnie zbyt głośny, aby go słyszeć. Konie zadarły głowy i zatrzymały się, w tym samym momencie Albert schwycił mnie za rękę i wykrzyknął:
- Mój Boże! Kochanie, czy dobrze się czujesz? Modlę się, żeby przerażenie nie przyprawiło cię o wstrząs.
Spojrzałam na niego i roześmiałam się; wyglądał tak komicznie, zatrwożony, choć nie było się przecież czym trwożyć.
- To nic takiego, mój najdroższy, chyba ktoś strzela do ptaków. Nie powinno się oczywiście tego robić w pobliżu drogi... - mówiąc to, oderwałam od niego oczy i spojrzałam na chodnik naprzeciw powozu; zobaczyłam dziwacznie wyglądającego smagłego, niewielkiego mężczyznę, ze skrzyżowanymi teatralnie na piersi ramionami, trzymającego w każdym ręku pistolet. Powolnym, jak mi się wydawało, ruchem rozkrzyżował ramiona, wyciągnął prawą rękę i wycelował pistolet prosto we mnie. Było to doprawdy potwornie przerażające:
248
widzieć mały czarny wylot lufy, jakby wpatrzone we mnie oko zła, które wybrało mnie jedną ze wszystkich ludzi na świecie, aby zabić. Żołądek mi się skurczył, nie tyle ze strachu, ile z obrzydzenia, że ktoś z pełną premedytacją zamierzał posłać mi kulę w głowę. Nieoczekiwanie

uświadomiłam sobie, ile musiało być w nim nienawiści, i to mnie wprawiło w ogromny niepokój. Opisanie tego wymaga pewnego czasu, w rzeczywistości wszystko wydarzyło się nadzwyczaj szybko. Zobaczyłam, jak wycelował we mnie z pistoletu i instynktownie się pochyliłam, a jednocześnie Albert, który również dostrzegł, co się dzieje, popchnął mnie na podłogę, przykrywając własnym ciałem. Rozległ się kolejny głośny wystrzał i jak pamiętam, tym razem usłyszałam świst przelatującej ponad nami kuli. Przechodnie, skamieniali w przerażającym bezruchu po pierwszym wystrzale, ożyli po drugim i rzucili się na niewysokiego mężczyznę. Był naprawdę małego wzrostu, chuderlawy i dosłownie zniknął pod dobrze odżywionymi londyńczykami, wykrzykującymi: „Morderca! Zabić go! Powiesić!" i podobne, świadczące o ich lojalności frazy. Usiadłam, poprawiłam kapelusz, wygładziłam płaszcz i spojrzałam na Alberta, który był nienaturalnie blady.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, przypatrując się uważnie mojej twarzy, jakby się spodziewał, że przeznaczenie odcisnęło na niej swoją pieczęć.
- Tak - odparłam - nie jestem ranna.
- Ale przestrach... w twoim stanie... - powiedział niecierpliwie półgłosem. (Wciąż utrzymywano to w sekrecie, ale wątpię, aby był ktokolwiek w Londynie, kto by nie wiedział o moim „stanie"). - Powinniśmy chyba wrócić do domu. Musisz się położyć i odpocząć.

Potrząsnęłam głową. Czułam się wprawdzie oszołomiona, ale podejrzewałam, że raczej z powodu huku wystrzału niż innej przyczyny.

- Musimy pojechać do mamy. Na pewno to do niej dotrze i będzie przypuszczać najgorsze, jeśli się nie pojawimy, aby jej udowodnić, że żyjemy. Powiedz woźnicy, żeby ruszał.

Skóra na jego twarzy powoli przybierała normalny odcień.

- Ależ jesteś dzielna i rozsądna - stwierdził. - Doskonale, wobec tego ruszajmy - i wydał odpowiedni rozkaz.

Ledwie konie ruszyły, podniosły się gromkie wiwaty, a ja odpowiadałam na nie z uśmiechem, machając i kłaniając się.

- Tylu tu ludzi, że z pewnością doprowadzą tego niegodziwca przed sędziego - powiedziałam. - Co go na litość boską opętało, żeby do mnie strzelać? Musi być niespełna rozumu.

Albert miał zawziętą minę.

- To nikczemny zdrajca. Będzie za to wisiał - rzekł stanowczo.

Spędziliśmy trochę czasu u mamy, a potem wsiedliśmy do powozu i odbyliśmy długą przejażdżkę, po części, abym mogła zażyć świeżego powietrza, a po części, aby pokazać ludziom, że w żaden sposób nie ucierpiałam, ponieważ plotki rodzą się zdumiewająco szybko i wcale nie byłabym zdumiona, gdyby połowa Londynu gotowa była przysięgać, że widziano mnie krwawiącą, wynoszoną bez życia z powozu. Nie było w parku jeźdźca ani powozu, który by nam nie towarzyszył w drodze do domu; mężczyźni i kobiety gromadzili się wokół naszego powozu, z entuzjazmem eskortując nas do samego pałacu. Wszyscy robili wrażenie, jakby odczuli nadzwyczajną ulgę, przekonawszy się, że nie doznałam żadnego uszczerbku; okrzyki, wiwaty, wymachiwanie kapeluszami rozgrzewały moje serce, utwierdzając mnie w przekonaniu, że niedoszły zabójca istotnie musiał być szalony, ponieważ świadczyły o mojej popularności.

- Myślę, że wiedzą o moim stanie - powiedziałam półgłosem do Alberta, nie przestając kłaniać się i machać ręką. -To ich uszczęśliwia, ponieważ nie chcą, aby stryj Ernest zasiadł na tronie. Cóż za wygodna rzecz, niepopularny domniemany następca tronu!

Albert zamknął w dłoni moją drugą rękę i uścisnął ją.

- Jak możesz żartować? - zapytał.
- Już po wszystkim - odparłam.

Myślę, że był bardziej zdenerwowany niż ja. Teraz, gdy znam siebie lepiej niż w młodości, wiem, że dopóki jestem w wirze wydarzeń, nie tracę zimnej krwi w niebezpieczeństwie (i bardzo dobrze, że tak się dzieje, ponieważ nie była

to wcale ostatnia próba pozbawienia mnie życia! Większość tych szaleńców posługiwała się

pistoletami, najbardziej jednak rozstroiła mnie napaść, która miała miejsce w 1850 roku w bramie wjazdowej do Cambridge House, kiedy nagle z tłumu wynurzył się mężczyzna i uderzył mnie w twarz laską. Rondo kapelusza osłabiło siłę uderzenia, gdyby tak się nie stało, mogłaby mi pęknąć czaszka; niemniej upadłam nieprzytomna i przez wiele dni potem miałam posiniaczone i napuchnięte czoło i podbite oko. Jako córka wojskowego mogę zrozumieć, że ceną za sprawowanie władzy bywają także zamachy, a podobne ataki są raczej natury ideologicznej niż personalnej. Jednak mężczyzna, który waży się uderzyć kobietę, jest brutalnym niegodziwcem, najzwyklejszym tchórzem, atakującym istotę o kruchszej od niego budowie, dlatego właśnie tak mnie to rozstroiło). Rzeczywiście było po wszystkim, ale jakie miały być tego konsekwencje, okazało się dopiero po paru dniach. Albert pokazał mi pistolety, którymi szaleniec mógłby zakończyć moje życie; przerażające narzędzia, nawet do oglądania. Trzymałam je, jakbym trzymała martwego węża; palce mi niepewnie drżały. Doprawdy nieznośne uczucie, gdy się pomyśli, że kaprys szaleńca może przeciąć ludzkie życie i nic nie można na to poradzić. Zdaje się, że Albert przygotowywał mnie w ten sposób na przyjęcie lorda Melbourne tego popołudnia.

- Muszę podnieść sprawę niezwykłej wagi - powiedział lord Melbourne z niezwykłym u niego wahaniem - a także nadzwyczaj pilną. Być może Wasza Wysokość już wie, o czym chciałbym mówić.
- Ani trochę - odparłam z roztargnieniem. - O czym? Sprawiał wrażenie niezwykle skrępowanego.
- Żałuję, że mnie przypadło przedstawić to Waszej Wysokości, ale chodzi o ustawę o regencji.

Po raz drugi doznałam tego dziwnego uczucia, jakby żołądek mi się kurczył. Niezbyt przyjemna rzecz, jeśli przypomina się komuś o śmierci w ten sposób. Rzeczywiście mogła mnie uśmiercić kula szaleńca, ale niezależnie od zagrożeń płynących z mojej wysokiej pozycji, bardziej było prawdopodobne, że umrę w czasie porodu niż z ręki zabójcy. Groziło

mi niebezpieczeństwo raczej dlatego, że byłam kobietą niż królową; niemniej w tamtym momencie istotna była tylko królowa.

- Masz lordzie rację - powiedziałam. - Należy to rozważyć.
- Co do rozważania, pani, trzeba działać możliwie szybko. Musimy coś przedsięwziąć, zanim Izba Gmin zaprotestuje.
- Tak, w istocie widzę taką konieczność - stwierdziłam z sarkazmem. - Tylko czy opozycja również będzie w stanie ją dostrzec?

Od czasu gdy zawarłam małżeństwo, lord M. zachęcał mnie, abym nawiązała przyjazne stosunki z torysami (w rządzie nie najlepiej się działo i myślę, że w ten sposób chciał mnie przygotować na ewentualny jego upadek). Próbowałam coś w tym kierunku zrobić, choć przyznaję, że z wewnętrzną niechęcią: nigdy nie zapomniałam Peelowi, że głosował za redukcją pensji Alberta.

- Sądzę, że tak, pani - odpowiedział lord Melbourne. -To sprawa wagi państwowej i jest tylko jeden kandydat na regenta. Książę jako jedyny naturalny opiekun dziecka jest bez wątpienia właściwym kandydatem.

Uśmiechnęłam się.

- Cóż, tak sądzę. Niemniej król Hanoweru, jako kolejny w sukcesji, może oponować.
- Nikt nie chce króla Hanoweru na regenta. Od czasu, gdy wynikła kwestia regencji w związku z osobą Waszej Wysokości, nic się nie zmieniło. Stryjowie Sussex i Cambridge, tego jestem pewien, również nie będą popierani. Proszę mi wybaczyć, ale są zbyt starzy i skostniali w swoich sądach.

Wiedziałam jednak, jakie mogą padać argumenty.

- Będą twierdzić, że książę jest z kolei zbyt młody i niedoświadczony. - Mogą nawet uważać, że „zbyt cudzoziemski", pomyślałam, ale nie wypowiedziałam tego głośno. Gdy się rozmawiało z lordem M., nie było potrzeby wypowiadać wszystkich myśli do końca. - Nawet jeśli torysi zgodzą się na mianowanie go regentem, to będą chcieli rady regencyjnej.

Uśmiechnął się, zupełnie spokojny.

- To się okaże, pani. Mamy przecież gazety po swojej

stronie, zwłaszcza od czasu incydentu w parku, a to zawsze pomaga.

Ostatecznie okazało się, że miał rację. Torysi okazali się szlachetnymi ludźmi w tej sprawie. Sir Robert oświadczył, że nie widzi żadnego praktycznego pożytku z rady regencyjnej; Książę stwierdził otwarcie, że regentem nie powinien i nie może być nikt inny niż Albert. Stryj Sussex grzmiał, że nie pozwoli, aby ograniczano czy pomijano prawa rodziny, i że wystąpi przeciwko ustawie w parlamencie, ale był jedynym, który wyrażał odmienne od ogółu zdanie. W lipcu przegłosowano w obu izbach jednogłośnie Akt o Regencji, ustanawiający Alberta jedynym regentem i we wszystkich gazetach, nawet „Chronicie" chwalono tę decyzję. Albert okazywał dyskretnie zadowolenie, ja oczywiście promieniałam szczęściem, jak zawsze wobec wszelkich oznak szacunku wobec mojego najdroższego męża.

- Jeszcze trzy miesiące temu z pewnością by tego nie uchwalili - powiedział mi lord M., z zadowoleniem kiwając głową. - Zawdzięcza to w pełni swojemu charakterowi.

W sierpniu otrzymaliśmy kolejny dowód na to, że Albert cieszy się szacunkiem w kraju. Czekała mnie ceremonia otwarcia parlamentu i w związku z tym wynikła kwestia miejsca, jakie powinien zajmować Albert.

- Zdaje się, że znowu trzeba sprawdzić, co postanowiono w wypadku nieszczęsnego Jerzego duńskiego! - stwierdził lord M. (jeśli tylko wynikała jakaś kwestia precedensowa, zawsze odwoływaliśmy się do królowej Anny, ostatniej panującej królowej, i zaczynały nas już potężnie nudzić te porównania!) i rzeczywiście pospieszył sprawdzić. Odkrył, że Albertowi wolno pojechać razem ze mną królewską karetą do parlamentu i zasiąść podczas ceremonii obok tronu, i tak się też stało. Byłam zachwycona, że mogę go mieć obok siebie, podtrzymywana na duchu samą jego obecnością, ponieważ zawsze odczuwałam pewną nerwowość podczas oficjalnych uroczystości; w jeszcze większy zachwyt wprawiły mnie wiwaty na jego cześć, które stanowiły przekonujący dowód na to, że został zaakceptowany przez ludzi i znalazło się dla niego miejsce w ich sercach.

Od tej pory Albert mógł mnie zastąpić przez tydzień czy

dwa, na które musiałam się wycofać z czynnego życia, aby odbyć tę przerażającą rzecz, poród; a w razie gdybym umarła - przez czas dłuższy. Ustawa o regencji oznaczała, że jeżeli umrę w połogu, ale wydam na świat żywe dziecko, Albert będzie sprawował rzeczywistą władzę, choć nie nazywany królem, przez następne osiemnaście lat. To, co miało nadejść, napawało mnie przerażeniem, a jednak w głębi duszy nie wierzyłam, że umrę. Swojej naturze zawdzięczałam niezdolność do wyobrażenia sobie podobnego rozwoju wypadków. Świat z Albertem, ale beze mnie? Niemożliwe! Z tego też powodu omawiałam wprawdzie z Albertem bieżące sprawy coraz częściej, w miarę jak coraz więcej czasu spędzałam na sofie (a może nawet powinnam powiedzieć, że on je ze mną omawiał), ale dalej sama przeglądałam rachunki i nie pozwalałam mu czytać dokumentów państwowych. To ja byłam królową i uważałam, że powinien być zadowolony, skoro może pełnić rolę mojego małżonka w taki sam sposób, w jaki ja bym pełniła rolę żony, gdyby on był królem.

Doprawdy szczerze kocham swoje dzieci i wnuki, niemniej muszę przyznać, że nigdy nie lubiłam niemowląt i zupełnie nie rozumiem bałwochwalczego uwielbienia dla nich, jakie rozprzestrzenia się w całym kraju przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Wydaje mi się to w najgorszym stylu czułostkowe i sentymentalne. Dzieci potrafią być zabawne, gdy już dorosną na tyle, że są w miarę rozumne i można z nimi porozmawiać. Ale dopiero co zrodzone, czkające i śliniące się, doprawdy mnie odstręczają. A już z pewnością nigdy nie zrozumiem tych kobiet, które radują się z powodu rodzenia dzieci i głoszą, że je to uszlachetnia. Pomijając nawet kwestię bólu, jest to dla mnie od początku do końca odrażający proces, podczas którego kobieta zmuszona jest przyjąć poniżającą pozycję i w istocie nie wyobrażam sobie, by Bóg mógł to wymyślić jeszcze gorzej, oczywiście z kobiecego punktu widzenia.

Niczego „naturalnego" ani tym bardziej „pięknego" nie dostrzegam także w karmieniu piersią. Zrównać samą siebie ze zwierzęciem, jakby się było owcą czy krową, nie jest piękne, a tylko poniżające i zupełnie nie przystoi istocie, która została przez Boga obdarzona zdolnością myślenia i stanowienia

o sobie. Doznałam wstrząsu, gdy się dowiedziałam, że moje córki, Vicky i Alicja, same karmiły dzieci; a gdy Vicky pozwalała ssać pierś jednemu z dzieci Alicji podczas jej choroby, nie potrafiłam ukryć niesmaku.
W miarę jak przemijał listopad 1840 roku, coraz wyraźniej zdawałam sobie sprawę, że to się zbliża i nic nie można poradzić. Świadomość nieuniknioności jakiejś rzeczy bywa paraliżująca, toteż w jednej minucie życzyłam sobie, aby to się wreszcie zaczęło i obym jak najszybciej miała już to za sobą; w następnej miałam nadzieję na bezterminowe odroczenie. Doktor Locock złożył mi przygotowawczą wizytę (jakże to było żenujące!) i stwierdził, że jego zdaniem nie powinny wyniknąć jakiekolwiek trudności, co oczywiście było do pewnego stopnia pocieszające; ale też czy którykolwiek mężczyzna potrafi zrozumieć obawy kobiet? Albert robił, co mógł, aby zająć czymś mój umysł, tak bym nie miała czasu na rozmyślania o śmierci, i starał się chronić mnie przed szokiem cudzej śmierci. (We wrześniu, gdy umierała księżna Augusta, wywiózł mnie do Claremont, abym była od tego z daleka i nie mogła się tym zdenerwować, i w rezultacie zaczęły krążyć najprzedziwniejsze plotki; teraz z dystansu czasu uważam je nawet za zabawne. Przepowiedziano mi podobno, że umrę przy porodzie, jak księżna Charlotta, udałam się więc do Claremont, aby wyposażyć komnatę na czas połogu dokładnie tak samo, jak wtedy; zgromadziwszy ostatnią sztukę makabrycznego wyposażenia, miałam podążyć za moją kuzynką do grobu!).
Nadszedł w końcu ten moment, gdy wszelkie rozważania o odłożeniu tej rzeczy tracą sens. Dwudziestego pierwszego listopada obudziłam się w nocy, czując się dziwnie i zarazem nieprzyjemnie; chociaż wyznaczona przez Clarka data porodu miała minąć dopiero za dwa tygodnie, wiedziałam instynktownie, że nadszedł czas. Zawołałam Alberta, który natychmiast wstał i przysłał do mnie Clarka; Clark uznał, że dla wszelkiej pewności należy posłać po Lococka. Co też uczyniono, a Albert doradził mi, abym spróbowała zasnąć znowu; udało mi się wprawdzie zapaść w niespokojną drzemkę, ale nie w głęboki sen, na to zbyt niedobrze się czułam. Locock przybył o czwartej rano i ledwie mnie dotknął, stwierdził, że

poród się zaczął i wszystko przebiega całkowicie normalnie. Nie było mowy o żadnym spaniu po tym oświadczeniu; zgromadzono wokół mnie przerażające akcesoria, ci, którzy powinni byli asystować przy królewskich narodzinach, zjawili się z czterech stron Londynu.
Najbardziej szokującą rzeczą dla wydającej na świat nowe życie królowej jest niedostatek prywatności. Od czasów Jerzego II i intrygi ze szkandelą do ogrzewania pościeli, cały naród obawia się narzucenia mu uzurpatora (chociaż ja ani przez chwilę nie uwierzyłam w tę historię; w to, że królowa dała życie dziewczynce, a zamieniono ją na chłopca, przemyconego w szkandeli do ogrzewania pościeli, zdolny jest uwierzyć tylko kompletny głupiec, który nie ma pojęcia o niemowlętach i rodzeniu dzieci). Toteż dla rozwiania wszelkich wątpliwości komnaty królewskie podczas porodu zapełnia tłum urzędników państwowych - dawniej zaludniała je jeszcze horda dworzan! Oświadczyłam lordowi M. dobitnie, że nie zamierzam przez coś podobnego przechodzić, a on odpowiedział trwożnie, że prawo wymaga jednak obecności pewnych osób, tak więc musieliśmy osiągnąć kompromis. Co nie zmieniło faktu, że z mojego punktu widzenia wciąż uczestniczyłam w zawstydzająco publicznym wydarzeniu: urzędnicy państwowi i dygnitarze dworscy mieli oczekiwać w komnacie przylegającej do tej, w której rodziłam, niemniej drzwi między nimi miały pozostać otwarte, tak by dało się widzieć łóżko, infant zaś miał zostać im przyniesiony bez zwłoki, natychmiast po odcięciu pępowiny. Na szczęście przy mnie nie miało być nikogo poza Locockiem, panią Lilly, akuszerką - i oczywiście Albertem, który nie odstąpił mnie ani na moment, trzymając za rękę i ocierając mi czoło podczas ataków bólu i dodając ducha rozmową pomiędzy nimi. Tłumny orszak w następnym pokoju składał się z rady ministrów, arcybiskupa, biskupa Londynu, spośród dworzan byli tylko lord Erroll i lord Stewart. Brakowało jeszcze domokrążców z ciastkami i gorącymi kasztanami!
Cierpiałam straszliwe bóle, ale z chwilą, gdy to się zaczęło i nie było już odwrotu, zupełnie przestałam się denerwować -w istocie myślę, że Albert bardziej się bał niż ja. Była to raczej ciężka praca niż straszliwe cierpienie, a nigdy nie bałam się

ciężkiej pracy. O drugiej po południu dziecko zjawiło się wreszcie na świecie: usłyszałam przedziwnie waleczny wrzask i wkrótce potem Locock powiedział z wyraźnym zakłopotaniem:
- Och, pani, to księżniczka!
Albert uścisnął mi rękę, wyraźnie chcąc mnie pocieszyć, ale minę miał tak rozczarowaną, że skupiłam myśli na dziecku, które doprawdy nic nie mogło poradzić na to, że urodziło się nie tej płci, co potrzeba.
- Nic nie szkodzi - rzekłam. - Następny będzie chłopiec. -Raczej przykre, pomyślałam, nie dać im chłopca najpierw, cały kraj będzie rozczarowany; zbyt jednak byłam zmęczona, aby się naprawdę tym przejąć. - Czy dziecko jest zdrowe? -zapytałam.
- Całkowicie, pani. Nie ma najmniejszego powodu do obaw - odparł Locock.
- Doskonale. W takim razie pan się spisał lepiej - powiedziałam.
Zaniósł maleństwo, nagie jak je pan Bóg stworzył, do sąsiedniego pokoju i położył je na stole, aby zgromadzeni tam mężczyźni mogli mu się przyjrzeć. Przyłapałam się na myśli, że o ile czułam się upokorzona, dając jej życie, o tyle ją upokorzono jeszcze bardziej natychmiast po tym, jak przyszła na świat; tyle że ona nie będzie o swoim upokorzeniu pamiętać. Albert wyglądał na wyczerpanego, zupełnie jakby sam wykonał to ciężkie zadanie. Pochylił się nade mną, ucałował i zapytał:
- Jak się czujesz, moja ukochana maleńka? Skupiłam się na swoim ciele. Ból przeszedł bez śladu i choć słaba i zmęczona, czułam się zupełnie dobrze. Nie, niezupełnie - coś mi jednak doskwierało.
- Jestem głodna - powiedziałam.

16 maja 1900.

Odwiedziliśmy znowu Netley dzisiejszego ranka i wróciliśmy w porze lunchu. Najwyższy czas skończyć z tym epizodem, zanim dzieci przyjadą.
A zatem: zjadłszy pospiesznie lunch, Albert pospieszył zastąpić mnie
257
na zebraniu Rady Przybocznej - zdarzyło się to po raz pierwszy i stało punktem zwrotnym w jego życiu, choć wówczas tego nie rozumiałam. Kiedy wrócił, powiedział mi, że wszyscy byli niesamowicie podekscytowani dzieckiem. Lord Palmerston podkreślał, że to fakt historyczny, ponieważ nigdy dotąd panująca królowa nie dała Anglii następcy. Lord M. oświadczył na swój zwykły zabawny sposób, że nikomu w kraju nie przeszkadza dziewczynka, skoro inna żyjąca istota stoi na drodze do tronu królowi Hanoweru.
Z powodu pomyłki Clarka co do terminu porodu, mamki, którą zaangażowaliśmy, nie było w rezydencji i trzeba było po nią dopiero posłać do Cowes. Przyjechała o drugiej w nocy i dziecko przylgnęło do jej piersi natychmiast; ja obudziłam się w parę godzin później, czując się wspaniale i z przyjemnością zjadłam olbrzymie śniadanie, można było zatem ogłosić, iż matka i dziecko czują się dobrze.
Albert zachowywał się nienagannie w czasie połogu: żadna kobieta nie byłaby delikatniejsza, żadna matka nie opiekowałaby się mną czulej. On sam przenosił mnie z łóżka na sofę, sam przesuwał sofę z jednego pokoju do drugiego. Poprawiał ogień na kominku, przestawiał świece, otulał mi ramiona szalem; aby być w pobliżu, gdybym go zawołała, odmawiał wyjścia dokądkolwiek, nawet do teatru, i większość wieczorów spędził, jedząc obiad wyłącznie w towarzystwie mamy. Był absolutnie szczęśliwy, towarzysząc mi przez długie godziny; czytał mi, pisał za mnie listy albo siedział, trzymając mnie za rękę i rozmawiając ze mną - to były pierwsze radosne dla mnie momenty, związane z dzieckiem: gawędzenie z Albertem o jej przyszłości. Był szczerze zachwycony, że został ojcem, i prawdę mówiąc, nie przypuszczam, aby mu robiło różnicę, że to nie chłopiec. Jeśli zapomnieć o względach dynastycznych, myślę, że dziewczynka bardziej odpowiadała jego wyobrażeniom i gdy planował jej edukację, rozrywki, ubrania, przyjaciół i przyszłe małżeństwo, z każdą chwilą zdobywała sobie coraz silniej jego serce. Gdyby nie jego czułość i miłość, jaką mi szczerze i otwarcie okazywał, mogłabym być niemal zazdrosna.
W czasie, gdy leżałam jeszcze w połogu, wydarzyła się pewna dziwna rzecz. Wpół do drugiej w

nocy, któregoś dnia
258
na początku grudnia, panią Lilly przebudziło skrzypnięcie drzwi. Usiadła w łóżku i zawołała: „Kto tam?", a wtedy i ja się obudziłam. Uniosłam się sennie, podpierając łokciem i nagle oprzytomniałam całkowicie; a włosy podniosły mi się na głowie z przerażenia, ponieważ zobaczyłam, jak drzwi ubieralni zaczynają się powoli otwierać. Pani Lilly zawołała raz jeszcze: „Kto tam? Kto tu jest?" głosem nabrzmiałym strachem i drzwi ubieralni się zamknęły. Pani Lilly, okazując wielką przytomność umysłu, zerwała się z łóżka, podbiegła do ubieralni i zaryglowała jej drzwi od naszej strony, po czym pobiegła do drugich drzwi i zawołała na straże. Kinnaird pełnił służbę i pojawił się na jej wezwanie wyraźnie zaspany; pani Lilly wciąż usiłowała mu wyjaśnić, co się stało - a on stał, boleśnie niezdolny pojąć jej wyjaśnień - gdy nadbiegła moja droga Lehzen, zaalarmowana dobiegającymi ją głosami i zatrwożona o mnie.
- Co tu się dzieje? - zapytała ze złością panią Lilly. W pół słowa zrozumiała, co się stało, i chwyciła ramię Kinnairda w żelazny uścisk. - Na co czekasz, chłopcze? Ktoś jest w ubieralni jej Królewskiej Mości! Wejdź i złap go! - Popchnęła ociągającego się Kinnairda w stronę drzwi i wykorzystała moment, gdy je otwierał, aby zapewnić mnie z uspokajającym uśmiechem: - Proszę się nie obawiać. Ktokolwiek to jest, schwytamy go.
Pomyślałam, czy rzeczywiście ma rację, przypuszczając, że to mężczyzna, tymczasem ona weszła za Kinnairdem do ubieralni.
- Nikogo tu nie ma, pani - dobiegł mnie po pewnym czasie jego głos, a potem Lehzen:
- Nie sprawdzałeś pod sofą. Nie widzisz, że tam ktoś jest? - I po chwili: - Och, co za tchórz! Odsuń się, sama sprawdzę!
Usłyszałam odgłosy szurania, zdumiony okrzyk i w parę sekund później pojawili się w drzwiach. Kinnaird z zawstydzoną twarzą, ponieważ wydało się, jak jest odważny, i dzielna Lehzen, nie dbająca o własną skórę, skoro mnie groziło niebezpieczeństwo, trzymająca za kołnierz intruza - brudnego małego chłopaka!
Niezależnie od tego, co się okazało, był to alarmujący
259
incydent. Nie tak dawno zdarzyła się próba zabójstwa w Hyde Parku, a teraz - i ten fakt przejął mnie mocno - znaleziono pod sofą, na której siedziałam ledwie trzy godziny temu, jakiegoś chłopaka. Prawdopodobnie ukrył się pod nią już wtedy, kuląc się tuż przy moich nogach, a przypuśćmy, że dotarłby do mojej sypialni... przerażające! Doprawdy wstyd, że zdołał dotrzeć tak blisko mnie i nikt temu nie zapobiegł! Alberta zaniepokoił zwłaszcza ten ostatni aspekt sprawy i choć przy chłopcu nie znaleziono broni ani żadnych skradzionych rzeczy, zarządził szczegółowe śledztwo. Chłopak nazywał się Jones (miał siedemnaście lat, jak się okazało, ale oszołomiony wyglądał na młodszego) i jak powiedział, często pojawiał się w pałacu - wspinał się po murze od strony Constitution Hill i wchodził przez okno. Siadał na tronie, słuchał, jak mała księżniczka płacze, spał w łóżku służącego, częstował się w nocy jedzeniem. Zapytany, w jakim celu w ogóle przychodził, odparł, że chciał zobaczyć, jak żyją wielcy ludzie, bo zamierza napisać o tym książkę. Najwyraźniej mówił szczerze, toteż skazano go tylko na trzy miesiące pracy w młynie w domu poprawczym; pałac nie przestał go jednak fascynować i wracał stale, mimo surowszych już wyroków, aż w końcu zmuszeni byliśmy wysłać go na morze, aby się go pozbyć. (Z biegiem lat stało się oczywiste, że pałac nie tylko przyciąga rozmaitych szaleńców, ale i jest dla nich łatwo dostępny, na szczęście wszyscy z nich okazali się nieszkodliwi, ponieważ nie sposób było ich wizytom zapobiec).
Niekwestionowaną bohaterką całego epizodu była Lehzen, nie zdobyła sobie tym jednak serca Alberta. Miałam nadzieję, że skoro przebywał ze mną niemal podczas całego połogu, przekonał się, że nie ma powodu do zazdrości; tymczasem święcie wierzył, że ledwie ode mnie wyjdzie, nadbiega Lehzen, sączyć do moich uszu truciznę na jego temat. Czułam się obrażona wnioskiem, który sam się nasuwał: jestem zbyt prostoduszna, skoro można tak łatwo zatruć moje myśli, a moja miłość jest krucha jak wczesne kwiaty i byle rozmowa może ją zwarzyć. Niemniej, ponieważ nigdy nie dyskutowałam o nim z Lehzen, nie uważałam za stosowne także z nim o niej dyskutować i problem

narastał. Wspomniałam oględnie
260
o napięciu panującym między nami lordowi M., a on równie ostrożnie zasugerował, abym nałożyła na Alberta nieco więcej obowiązków, bo gdy się przekona, że mu ufam w sprawach państwowych, przestanie się zajmować domowymi.
- Książę wspaniale zastępował Waszą Wysokość, gdy nie mogła uczestniczyć w obradach Rady Przybocznej - rzekł. -Ma niespożyte siły i dokłada wszelkich starań.
- Tak, wiem o tym - powiedziałam. - Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek przedłożył mi lepsze i bardziej zrozumiałe sprawozdania.
Rzucił mi przenikliwe spojrzenie i uderzył w mój najczulszy punkt, ponieważ znał mnie dobrze; lepiej niż ktokolwiek inny w tym czasie.
- Anson, jak Wasza Wysokość wie, bardzo wysoko ceni księcia - rzucił jakby od niechcenia. - Uważa, że trudno o szczęśliwszy i trafniejszy wybór, biorąc pod uwagę sprawy kraju, ponieważ książę nie pragnie sam sprawować władzy, chce się identyfikować z żoną, poświęcić jej życie, wyłącznie po to, by doradzać jej i wspomagać ją.
Nie byłam jednak jeszcze wtedy przygotowana na pomieszanie pełnionych przez nas ról, więcej: żywiłam silne podejrzenie, że to ode mnie będzie się wymagać poświęcenia życia!
Odzyskiwałam siły tak szybko, że na Gwiazdkę dwór mógł się już przenieść do Windsoru. Niezwykle to był szczęśliwy okres; cieszyliśmy się prezentami, bożonarodzeniowym drzewkiem, przystrojonym płonącymi świecami (zdaje się, że to królowa Charlotta wprowadziła pierwsza ten niemiecki zwyczaj do Anglii, ale stał się popularny dopiero dzięki mnie i Albertowi), ucztowaniem przy rozmaitych mięsiwach, ciastach, kandyzowanych śliwkach, zabawnymi grami towarzyskimi.
Nasze nowo narodzone dziecko, Vicky - albo Pussy, bo zdaje się tak ją na początku nazywaliśmy - było zdrowe i żwawe, a Albert objawił nadzwyczajne zdolności w utulaniu jej w płaczu. To on pokazał jej choinkę i opowiadał z dumą, że jej prześliczne niebieskie oczy świeciły jak gwiazdy, gdy spoglądała na połyskujące błyskotki. Mama, muszę to w tym miejscu dodać, była całkiem przez Pussette zauroczona;
261
nawet ja uznałam, że dziecko może stanowić wdzięczny obiekt do szkicowania.
Radość przerwała śmierć jednego z najwierniejszych przyjaciół mojego dzieciństwa. Pochowaliśmy go, wiele było łez, i postawiłam mu marmurowy pomnik z jego podobizną na grobie. Na tablicy wyryto napis:
„Tu spoczął Dash, ulubiony spaniel królowej Wiktorii, przeżywszy dziesięć lat. Przywiązany bez samolubstwa, swawolny, lecz nie złośliwy, jego wierność była bez fałszu. Przechodniu, jeśli chcesz być kochany i żałowany po śmierci, zważ na przykład Dasha".
Czas odrywał mnie od dawnego życia, przekreślał stare więzy, pochłaniała mnie lawina nowych wydarzeń, co czyniło mnie odrobinę nerwową. Uwielbiałam Alberta i poszłabym za nim na koniec świata; wciąż jednak nie czułam się całkiem bezpieczna, a rok, który miał nadejść, okazał się szczególnie trudny.

Część Trzecia.
LATO.

Rozdział Jedenasty.
26 maja 1900 w Balmoral.

Upłynęło sporo czasu, zanim znowu znalazłam wolną chwilę, aby wziąć pióro do ręki; osiemnastego maja mieliśmy chrzciny Henry'ego, a dziewiętnastego nadeszła cudowna wiadomość: Mafeking uwolnione. Kolumna wojska pod dowództwem pułkownika Mahona, odkomenderowanego specjalnie w tym celu, przyłączyła się do oddziału Plummera i rozpędziwszy

dwa tysiące Burów, wmaszerowała szesnastego do Mafeking, oswabadzając je z trwającego dwieście siedemdziesiąt dwa dni oblężenia.
Powiedzieć, że wiadomość została dobrze przyjęta, byłoby umniejszaniem faktów. Ludzie kompletnie oszaleli z zadowolenia, w gazetach nie pisano o niczym innym, zdjęcia generała Baden-Powella, bohatera dnia, pojawiły się, gdzie tylko można: wytrwały, zaradny, mężny - dzięki tym cechom zbudowano nasze imperium. Dziewiętnastego wizytowałam Wellington College (Dino zaczął tam właśnie pierwszy semestr; biedny Liko, jakże byłby dumny!) i kiedy wróciliśmy do Windsoru, ulice wypełniały już tłumy krzyczących, wiwatujących i śpiewających ludzi, wszyscy chłopcy z Eaton na nie wylegli - boję się, że wielu z nich było w karygodnym stanie! Patriotyczna gorączka doprowadziła w Londynie do kilku przedziwnych incydentów (ośmielam się twierdzić, że nie tylko w Londynie), a ludzie zachowywali się tak niesłychanie ausgelassen, że jak słyszałam, wymyślono nowe słowo -mafficking, mające oznaczać huczne świętowanie bez żadnych ograniczeń.
263
Po tym wszystkim pojawiliśmy się w Balmoral akurat na czas, aby dwudziestego czwartego celebrować moje nieszczęsne urodziny - osiemdziesiąte pierwsze, w co aż trudno uwierzyć. Przysłano ponad cztery tysiące telegramów -jakże to wzruszające! - niektóre bardzo zabawne. W jednym, nie podpisanym, było napisane tylko: „Szczere gratulacje. Poematy nastąpią". Wciąż czekam, z zapartym tchem!
Czuję się świetnie i nie tracę ducha mimo dokuczliwości pory zimowej i wiosny; nawet pomimo to, że nie mogę się cieszyć na wizytę Baby w następnym tygodniu - jedzie na Scilly Isles, a ja tak nie lubię się bez niej obywać. Ale mam tu Thorę, to taka dobra dziewczyna, umie mnie rozbawić. Wczorajszego wieczoru czytała mi bardzo pięknie jedną z powieści Scotta. Książka należała kiedyś do Alberta, ale Thora ostrożnie obchodzi się z książkami, lubi je, więc nie mam powodu do obaw. Znałam pewnego kapelana, który zwykł ślinić palce przed przewróceniem kartki - odrażający zwyczaj, co też mu bez wahania wytknęłam. Mam nadzieję, że źle skończył. Zawsze ostrzegam dzieci: nie powinno się ufać osobie, która nie szanuje książek. Nieświadomie odsłaniamy nasze skryte cechy na rozmaite sposoby, i drugi człowiek, jeśli jest dość przenikliwy, łatwo w nas czyta. Lubię, gdy Thora ze mną rozmawia także dlatego, że mówi mi, czym się interesują i co robią młode kobiety w tych nowych czasach. Mogą żyć o wiele pełniej i różnorodniej niż ja w młodości: jazda na rowerze, gra w tenisa, wrotki, herbatki tańcujące i wreszcie to jeżdżenie samochodami (co prawda właśnie zabroniłam poruszać się nimi po Hyde Parku, ku olbrzymiemu rozczarowaniu Bertiego, ale ostatecznie straszą konie, a poza tym trzeba przecież wytyczać jakieś granice!). Thora oczywiście natychmiast mi wypomniała, że wielu z tych nowoczesnych wynalazków sama używam, jak na przykład telefonu czy telegrafu albo światła elektrycznego, no i windy; zainstalowałam jedną w Osborne, aby można było zwozić i wwozić moje krzesło, ale nie używam jej zbyt często, zdecydowanie wolę być wnoszona. Nowoczesne wynalazki przypomniały nam o wizycie Aleksandry i Mikołaja w Balmoral w 1896 roku; przywieźli ze sobą ich pierwszą córkę, Olgę, aby mi ją pokazać - wspaniałe tłuste dziecko
264
o różowych policzkach, nigdy podobnego nie widziałam, istny wałeczek z rzędem drobnych ząbków jak perełki! (Mają jeszcze dwie córki, ale żadnego syna, co ich bardzo martwi, ostatecznie to Rosja; ale są jeszcze dostatecznie młodzi i zdrowi). Aleksandra ku memu zasmuceniu zmieniła się mocno, w niczym nie przypominała kochanego, przyjaznego dziecka, które spędzało ze mną długie miesiące wakacji; stała się mi daleka, prawie obca. Rosyjskie obyczaje są dość osobliwe - towarzyszyła im przeogromna świta, w tym tylu detektywów i policjantów, że czułam się niemal obrażona: co też właściwie wyobrażali sobie, że im się stanie w moich posiadłościach? Bertie robił, co mógł, by okazać gościnność; każdego dnia zabierał Mikołaja na łowy, a ten tylko narzekał, że nigdy nie ustrzelił jelenia (jakby to była Bertiego wina!) i twierdził, że wolałby raczej spędzać ten czas w towarzystwie żony, co doprawdy nie było taktowne. Uskarżał się również, że Balmoral jest zimniejsze i bardziej ponure niż Syberia. A gdy wyjeżdżali, zostawił tysiąc funtów do rozdzielenia między służbę! Rozwinęłyśmy temat wizyty, ponieważ ostatniego dnia, gdy u nas byli, wyszliśmy

wszyscy na taras i fotografowano nas nowym wynalazkiem, kinematografem, który utrwala żywe obrazy poprzez odwijanie się szpuli z fotografiami, następującymi jedna po drugiej bez przerwy. Oglądaliśmy efekt tego później, w listopadzie w Windsorze, i widzieliśmy siebie spacerujących, dzieci skakały wokół nas, zupełnie jak żywi! Zgodziłyśmy się z Thorą, że to cudowny wynalazek i zastanawiałyśmy się, jakie byłyby skutki, gdyby dokonano go wcześniej. Wynalezienie fotografii zmieniło sposób myślenia o wojnie, ale wyobrażam sobie, co by to było, gdyby zobaczyć szarżę kawalerii na kinematografie!

Mam tu, w Balmoral mały domek, w którym zwykle pracuję - kiedyś należał do ogrodnika - i gdzie przychodzę, jeśli chcę być sama; ponieważ dziś jest piękny dzień, zabrałam ze sobą to „magnum opus" i postanowiłam wznowić pisanie na tym, na czym je skończyłam, a więc jak widzę: gwiazdka 1840 roku.

Na początku 1841 roku stało się aż nadto wyraźne, że mój rząd ma poważne trudności, chociaż 1840 zakończył się triumfalnie po satysfakcjonującym rozwiązaniu kryzysu na Środkowym Wschodzie.

265

O lordzie M. mówiono, że był „jak chłopiec, który uciekł ze szkoły w bojowym nastroju". Ale słusznie powiada się, że ludzie nie przejawiają zainteresowania polityką zagraniczną i sądzą rząd wyłącznie po rezultatach, jakie osiąga w kraju. Zawsze się to potwierdzało (jak sądzę z wyjątkiem czasu wojny, gdy zupełnie inny duch w ludziach zwycięża i wszelkie „krajowe grzechy" naszych walecznych mężczyzn zaciera jedno wspaniałe zwycięstwo za granicą).

W kraju rzeczy nie miały się zbyt dobrze dla rządu. Żniwa w 1840 roku były marne, co oznaczało głód i niepokoje wśród biednych. Ceny cukru i herbaty mieliśmy niespotykanie wysokie, co wytrącało z równowagi klasy średnie. W handlu, zarówno z Europą, jak i Ameryką, panował zastój i - co najgroźniejsze ze wszystkiego - wydatki rządu przewyższały dochody o zatrważające półtora miliona funtów. Nie rozumiałam, jak rząd może wydać pieniądze, nie uzyskawszy ich wprzódy, wiedziałam natomiast dostatecznie dużo o długach członków rodziny, by mieć pewność, że nie należy się po tym spodziewać niczego prócz biedy i że powinno się jak najszybciej coś na to poradzić.

Lord M. na swój zwykły zabawny sposób tłumaczył mi deficyt budżetowy wprowadzeniem Penny Post, czyli jednopensowego ofrankowania listów.

- Ale przecież spodziewano się, że Penny Post zarobi na siebie! - powiedziałam z oburzeniem. - Sam mi pan mówił, że to dobry pomysł.

- Z pewnością, pani, dobry i da rezultat po pewnym czasie - odparł. - Kiedy już rzeczywiście zacznie na siebie pracować, przyniesie ogromne dochody. Ale tak jest ze wszystkimi nowymi pomysłami: ktoś musi zapłacić za ich wprowadzenie i rozwijanie.

Niezależnie od problemów pieniężnych mieliśmy kłopoty z czartystami, Irlandczykami (jak zwykle) i aferą z cłami na zboża, która wzbudzała niepokoje w okręgach przemysłowych. Trzykrotne wybory dodatkowe w lutym i jedne w maju przebiegły na naszą niekorzyść i lord M. zaczął rzeczywiście odczuwać skutki napięcia. Wyglądał na zmęczonego, nagle przerażająco się postarzał.

- Mam sześćdziesiąt jeden lat, wielu mężczyzn umiera,

266

skończywszy sześćdziesiąt trzy - powiedział mi któregoś dnia. - Ludzie tacy jak ja, którzy długo wyglądają młodo jak na swój wiek, starzeją się błyskawicznie.

Martwiły mnie takie rozmowy, byłam przerażona, że go stracę. Kiedy wiosną rząd poniósł porażkę w sprawie przyznania Irlandczykom praw wyborczych, lord M. stwierdził uspokajająco, że „nie ustąpią tylko z powodu takich wydarzeń jak to". Dodał jednak zaraz, że co innego, gdyby przegrali batalię o budżet, czym zburzył mój spokój.

Właśnie w tym czasie Albert wysłał George' a Ansona, aby przeprowadził sekretne rozmowy z lordem M. i sir Robertem Peelem na temat prawdopodobieństwa utworzenia gabinetu torysów pod przewodnictwem Peela i jakie kroki trzeba by przedsięwziąć, aby ta zmiana odbyła się bez zgrzytów. Zagniewałoby mnie to potężnie, gdybym wiedziała o podobnych negocjacjach, i do

pewnego stopnia również dlatego utrzymywano je w tajemnicy.
Dwa lata temu zdarzyła się już podobna sytuacja, kiedy mój rząd poniósł porażkę. Było to w maju 1839 roku, gdy skandal z lady Florą Hastings wybuchł z całą siłą; oświadczono mi wówczas, że wigowie muszą odejść, zastąpią ich torysi, ale walczyłam ze wszystkich sił, aby tak się nie stało. Nie mogłam znieść myśli, że mojego najdroższego lorda M. zastąpi okropny, sztywny i oficjalny baron-fabrykant sir Robert Peel (ktoś kiedyś powiedział, że uśmiech Peela przypomina mu srebrne okucia na trumnie!). Odmówiłam kategorycznie oddalenia moich dam sypialni, czego Peel się domagał, chcąc je zastąpić swoimi zwolenniczkami; Peel postawił wówczas ultimatum: jeśli nie zaakceptuję nowych dam dworu, będzie uważał za niemożliwe uformowanie nowego rządu; będzie to bowiem wyglądało, powiedział, jakbym nie pokładała w nim dostatecznego zaufania. Odparłam mu, że w istocie, nie pokładam w nim dostatecznego zaufania, i zdaje się, była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Przecenił wówczas swoje znaczenie i w ciągu tygodnia musiał przyznać się do porażki, a ja miałam wigów i mojego drogiego lorda M. z powrotem.
Byłam wtedy głęboko przekonana, że nie nadużywam swoich praw; moje damy dworu były wprawdzie żonami wigów,
267
ale nigdy z nimi nie dyskutowałam kwestii politycznych. Niemniej to, co zrobiłam, a co uniemożliwiło zmianę rządu, było szokująco niezgodne z konstytucją i gdyby moim premierem był ktoś inny niż lord M., podniosłyby się głośne protesty i wybuchłby skandal; jego jednakże wszyscy lubili i nikt by nie uwierzył ani przez moment, że miał na uwadze cokolwiek innego poza dobrem kraju, tak że udało nam się to przypłacić jedynie lekkim spadkiem popularności.
Wszystko to wydarzyło się oczywiście jeszcze przed przyjazdem Alberta do Anglii, niemniej zostało mu opowiedziane przez Ansona i Stockmara i spotkało się z jego potężną dezaprobatą. Uważał, że suweren powinien stać ponad partiami politycznymi i ubolewał nad tym, że jawnie faworyzowałam wigów, co jego zdaniem umniejszało mój urząd, czyniąc ze mnie li tylko patronkę politycznej partii. Od początku był orędownikiem bezstronności dworu, choć jednocześnie nie sądził, by powinien podlegać władzy parlamentu, dlatego też nalegał, aby moi dworzanie, a przynajmniej ci pełniący co ważniejsze funkcje, byli przedstawicielami obu partii.
Był to godny podziwu pomysł i po pewnym czasie uznałam go za dobry i sensowny, jako że sprzyjał umocnieniu, a nie osłabieniu władzy króla. Nawet więcej, przyzwyczaiwszy się do dziwacznego sposobu bycia sir Roberta Peela, nie tylko go zaakceptowałam, ale uznałam za wspaniałego człowieka, dobrego charakteru i o wysokich umiejętnościach, i przyznałam, że pod pewnymi względami był to najlepszy premier, jakiego miałam w rządzie. (Kochany Disraeli powiedział kiedyś do mnie, że nie rozumie, jakim cudem Peel stanął na czele torysów, ponieważ z natury był urodzonym wigiem; myślę, że właśnie z tego powodu porozumienie między nami stało się możliwe). Niemniej nigdy nie darzyłam go takim uwielbieniem jak Albert i z początku trudno mi było mu zaufać; przez pierwsze lata po tym, jak wyzwoliłam się spod tyranii Conroya, wszędzie widziałam obłudę, zmowę, oszustwo i podejrzewałam o dwulicowość każdego, kto nie był otwarty i prostolinijny (A Peel z pewnością taki nie był!).
Tak więc, gdy wszystko wskazywało na to, że rząd wigów musi upaść, Albert postanowił się zabezpieczyć przed powtórzeniem się sytuacji sprzed dwóch lat (które to wydarzenia
268
nazwano „Spiskiem Królewskiej Sypialni"), ponieważ uważał, że wielce zaszkodziła koronie. Taki podawał powód posłania za moimi plecami Ansona do lorda M. i Peela; teraz, z perspektywy czasu, dostrzegam, że Albert z radością witał zmianę rządu, ponieważ chciał się pozbyć lorda M. Lubił Peela (którego chłodne, pełne rezerwy maniery nie urażały go i były podobne do jego własnego sposobu bycia) i doceniał jego inteligencję i prawość; lorda M. natomiast nie był w stanie docenić, a to z prostego powodu, iż nie potrafił zaakceptować jego manier. Nonszalancki wdzięk, frywolność, szelmowskie, zabarwione cynizmem poczucie humoru, pozory lenistwa -tego mój ukochany nie rozumiał, przekraczało to jego zdolność pojmowania i uznawał podobne cechy za oznaki degeneracji.
Ale nade wszystko Albert chciał się pozbyć lorda M., ponieważ był o niego zazdrosny; ponieważ

chciał mnie mieć wyłącznie dla siebie.
Nabrałam teraz dystansu do tych wydarzeń i gdy je wspominam, nie potrafię powiedzieć, ile rozumiałam z tego, co się naprawdę dzieje, i na ile doceniałam tego ważność. Kiedy jest się młodym, tak bardzo podlega się ciału. Żyje się w swoim ciele, rzeczywistość jest zniekształcona poprzez jego funkcjonowanie, jakby się na nią patrzyło przez załamujące światło prawdy zwierciadło wody; człowiek jest bezradny wobec kierowanych naturą zmian we własnym ciele, jak ukwialy, przyczepione do skał, są bezradne wobec przypływów i odpływów fal. W starszym wieku lżej się żyje z własnym ciałem, jeśli pominąć wszystkie bóle i dolegliwości; w miarę, jak staje się mniej ważne, przestaje tak absorbować. Widzę teraz wiele spraw pomiędzy mną i Albertem, których w młodości nie widziałam albo tylko niejasno przeczuwałam. Wielka szkoda, że nie można się cofnąć w czasie, wyposażonym w wolną od kaprysów ciała mądrość, i naprawić tych wszystkich błędów, które się popełniło, jeśli tak to można ująć: pod wpływem niestabilności fizycznej.
A to, co się działo z moim ciałem tego roku, bardzo sprzyjało mojej niestabilności i obawiam się, że było jeszcze jednym powodem, dla którego Albert i Anson chcieli, aby zmiana rządu, gdy już okaże się konieczna, przebiegła jak najbardziej gładko.
269
Należało unikać histerycznych scen i oszczędzać mi wszelkiego możliwego zdenerwowania, ponieważ znowu byłam w ciąży. Peel, który raz już skrzyżował ze mną szpady i przegrał, teraz pragnął kompromisu i dał do zrozumienia lordowi M., że jeśli „dobrowolnie" przystanę na zastąpienie innymi trzech moich najwyższych rangą dam dworu - księżnych Sutherland i Bedford oraz lady Normanby - odstąpi od dalszych zmian.
I oto przyszedł ten dzień, gdy lord M. powiedział mi podczas zwykłego naszego posłuchania, że muszę być przygotowana na zmianę rządu. Budżet, tego był pewien, stanie się przyczyną upadku; a gdy to nastąpi, muszę bezzwłocznie wezwać Peela.
Zadrżałam z przerażenia na samą myśl o tej zamianie, ale zdołałam się prawie całkowicie opanować i powiedziałam, że raczej wezwę Księcia.
- Z czasem bardzo go polubiłam. Uważam go nawet za naszego przyjaciela. - W lutym, podczas chrzcin Pussy, zastępował ojca Alberta, który nie mógł przybyć, i wyzbywszy się swej zwykłej sztywności, stwierdził z uśmiechem, że cieszy go tak piękne i inteligentne dziecko, czym mnie bardzo przychylnie do siebie nastawił. - Wiem też, że jest uczciwy, a to najważniejsza rzecz.
- Cóż, pani, podobnie sir Robert - odparł lord M. -A wiesz przecież, że Książę się nie zgodzi. Udzieli ci, pani, tej samej odpowiedzi, co w trzydziestym dziewiątym: że jest zbyt stary i źle słyszy.
- Uśmiechnął się. - Lekka dyplomatyczna głuchota może być niezwykle użyteczna każdemu premierowi, sam z tego korzystam od czasu do czasu, rzeczywista jest jednak poważną wadą.
Nie odpowiedziałam mu uśmiechem.
- Nie lubię sir Roberta - oznajmiłam, zaciskając dłonie. -Nie lubię - podkreśliłam. - Pozbawi mnie wszystkich moich dam dworu, nie zostawi ani jednej, będę przez wszystkich opuszczona.
- Ach, jeśli już do tego przyszło - powiedział lord M. jakby od niechcenia - nie sądzę, by powstały jakieś trudności. Sir Robert zresztą, a wiem to na pewno, dał dowód niezwykłej rycerskości, zapowiadając, że nominowanie trzech

270
nowych osób w pełni go zadowoli. Sądzę więc, pani, że możesz przystać na zmianę trzech, nie czując się opuszczona przez wszystkie.
- Czy to oznacza, że się z nim pan widział? Pytał go pan o to? - zapytałam zdumiona.
- Anson się z nim widział... rozmawiał z nim wczoraj -odparł po chwili wahania.
- Ty, lordzie, posłałeś Ansona?
- Nie, nie ja, pani. To książę, chcąc zapewnić ci spokój i poczucie bezpieczeństwa, poprosił Ansona, aby wybadał sir Roberta w tej kwestii. Anson okazał się tak wymowny, występując w imieniu księcia, że oczy sir Roberta wypełniły się łzami. Powiedziałbym, że okazał najstosowniejsze przy tej okazji uczucia...
Wyobrażenie sir Peela ze łzami w oczach tak mnie zaabsorbowało, że zapomniałam o złości.

- Doprawdy? Ilekroć go widzę, pokazuje mi okropną, ponurą, niezadowoloną twarz. Jak zresztą wszyscy torysi. Nie chcę widzieć wokół siebie ministrów o niezadowolonych twarzach.
- Nie podejrzewam, by byli niezadowoleni. Najprawdopodobniej zakłopotani i onieśmieleni. Twarze obcych z natury rzeczy wydają nam się poważne i niechętne, przecież wiesz, pani, ale stają się sympatyczne, gdy już się przyzwyczaimy do ich widoku... a raczej gdy oni się przyzwyczają do twojego, to właściwe ujęcie sprawy. Przecież okazało się to prawdziwe w wypadku Księcia - podkreślił przebiegle. - Nie tak znowu dawno nie darzyłaś go zbytnią sympatią.
Westchnęłam, przyznając mu rację.
- Nie chcę, żebyś ty odszedł, lordzie. Nie potrafię się bez ciebie obejść. I jestem pewna, że ty sam nie chcesz odchodzić.
Westchnął także.
- Nikt nie lubi odchodzić, pani... ale jestem porządnie zmęczony i powinienem solidnie odpocząć.
Popatrzyłam na niego skonsternowana. Czyżby nie miał to być tylko kolejny kryzys, ale rzeczywiście koniec?
- Czy to musi nastąpić?
- Nie odejdę, dopóki nie będę musiał, tego może być Wasza Wysokość pewna, ale jeżeli do tego dojdzie, będziesz

miała, pani, w Peelu doskonałego sługę, któremu możesz całkowicie zaufać.
- Może mu z czasem zaufam, ale nigdy nie będę całkowicie polegała, jak na tobie, lordzie. Nigdy nie stanie mi się przyjacielem.
Oczy mu zwilgotniały i nachylił się ku mnie poufale.
- Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy kontynuować naszych spotkań i wymieniać korespondencji, jeśli takie jest życzenie Waszej Wysokości.
- Ależ jest... ależ jest! - powiedziałam, czując ogromną ulgę. - Jeśli będę mogła pana widywać, pisać, zasięgać opinii, nie będę się czuła tak straszliwie osamotniona.
Lord M. skinął głową.
- Poruszyłem tę sprawę z sir Robertem, a on oświadczył wielkodusznie, że nie żywi żadnych zastrzeżeń, byśmy kontynuowali towarzyskie spotkania, przeciwnie, z przyjemnością przyjmie wszystko, co jak się wyraził, zadowoli Waszą Wysokość. Widzisz zatem pani, że podchodzi do ciebie z należnym szacunkiem. Nie będziemy oczywiście mogli dłużej dyskutować na tematy polityczne.
- Oczywiście - przytaknęłam z ożywieniem, spoglądając mu w oczy i znajdując w nich potwierdzenie: nikt nam nie będzie dyktował, o czym mamy, a o czym nie mamy dyskutować. - Zdecydowanie łatwiej przyjdzie mi znieść zmianę rządu, jeśli tracąc premiera, nie stracę przyjaciela. - W głębi duszy wciąż jednak nie wierzyłam, że do tego dojdzie.
Na przegraną mojego rządu podczas debaty nad budżetem w czerwcu wpłynęło znacząco to, co określa się konfliktem interesów. Nastąpiło godne zastanowienia przymierze między kupcami z Indii Zachodnich, którzy sprzeciwiali się uchwaleniu nowych ceł na cukier, i przeciwnikami sprowadzania cukru produkowanego, jak to określano, niewolniczą pracą. Czartyści, którzy według słów lorda M. prędzej oddaliby swe głosy na Antychrysta niż torysów, głosowali tym razem przeciwko wigom, argumentując, że skoro żaden rząd nie zapewnia spełnienia ich żądań, czemu nie mieliby zaznać jakiegoś urozmaicenia. Z kolei manipulowanie z poziomem ceł przy Ustawie Zbożowej rozgoryczyło wszystkich: ziemiaństwo

i rolnicy chcieliby większego protekcjonizmu, kręgi związane z przemysłem - żadnego.
Ustawy Zbożowe stały się przysłowiową kością niezgody na początku wieku. Jak mi to lord M. wyjaśnił, argumenty za i przeciw protekcjonizmowi państwowemu na ceny zbóż przedstawiały się z grubsza następująco: nieskrępowany import ziarna z zagranicy doprowadzi do zmniejszenia rodzimej produkcji i niebezpiecznego uzależnienia się od innych krajów, co może być groźne zwłaszcza w czasie wojny i co ponadto uczyni nas bezbronnymi wobec prób szantażu przez rządy obcych państw. Strona przeciwna dowodziła, że konkurencja, jaka wymusi wolny rynek,

doprowadzi do obniżenia cen zbóż, a w konsekwencji i chleba, który jest podstawą diety uboższych klas.
Lord M. kwestionował ten ostatni argument jako sentymentalny nonsens. Jeżeli chleb stanieje, twierdził, pracodawcy poczują się w pełni usprawiedliwieni, aby obniżyć płace, a zatem sytuacja biedoty w żadnym razie nie zmieni się na lepsze. Poza tym, jeśli zbiory w kraju były dobre, importowano nieznaczne tylko ilości zboża, jeśli zaś złe, podobnie działo się i za granicą, zboże zatem było rzadkim i drogim towarem i wysokość ceł nie miała wtedy najmniejszego znaczenia. Lord M. z zasady był przeciwnikiem zmian w prawie, które prowadziłyby do zamieszania i nastawiały klasy społeczne przeciwko sobie. Zawsze uważał, że należy unikać wszelkich zmian, chyba że przyniosą wyraźną poprawę.
(Ustawy Zbożowe zostały ostatecznie zniesione za rządów torysów i sir Roberta Peela i trzeba oddać sprawiedliwość lordowi M.; rzeczywiście nie zrobiło to wielkiej różnicy. Poza jednym wyjątkiem: ich zniesienie przyczyniło biednemu Peelowi tyle niepopularności, że był zmuszony krótko potem ustąpić. Jeśli zatem uznać, że Ustawy Zbożowe przyczyniły się do klęski lorda M. w czterdziestym pierwszym, to samo należy powiedzieć o Peelu pięć lat później).
Po przegranej rządu w czerwcu 1841 roku skłoniono lorda M., wbrew jego zdaniu, aby nie składał rezygnacji, ale udał się w podróż po kraju w celu pozyskania głosów i utrzymania w parlamencie większości. Byłam nadzwyczaj zadowolona, dawało mi to bowiem nadzieję na prolongatę rządów wigów,

a poza tym jako ich zagorzała stronniczka uważałam, że kraj nie może być tak zaślepiony, by preferować torysów; wyniki wyborów okazały się jednak zawstydzające dla wigów i w sierpniu rząd przepadł w obu Izbach. Kryzys mojego gabinetu, którego się panicznie obawiałam od momentu wstąpienia na tron, teraz mnie dosięgnął.
Napisałam do lorda M. na papierze z czarną obwódką (dwór był w żałobie po królowej Hanoweru), co według mnie dobrze odpowiadało sytuacji: „Ta smutna, jakże smutna rzecz w końcu się zdarzyła. Lękałam się jej przez tyle miesięcy, a rzeczywistość okazała się bolesna i przerażająca wprost nie do uwierzenia!". Odpisał mi wtedy: „Ja również boleśnie odczuwam oddalenie ze służby, która przez cztery lata była dla mnie zarówno przyjemnością, jak i źródłem dumy".
Czułam się wydana na pastwę moich wrogów, niezależnie od tego, jak gorąco Albert mnie zapewniał, że któregoś dnia polubię Peela równie mocno jak on sam. Lord M. zrobił co tylko mógł, zanim odszedł, abym się pogodziła z rzeczywistością i zaakceptowała Peela i Alberta jako moich nauczycieli na jego miejsce; nie chciałam, by Albert pomagał mi w rządzeniu, choć kochałam go; Peelowi ani ufałam, ani go kochałam.
Moja ostatnia audiencja z lordem M. jeszcze jako premierem odbyła się trzydziestego sierpnia w Windsorze. Po obiedzie spacerowaliśmy jakiś czas po pałacowym ogrodzie, zupełnie sami, rozmawiając o starych dobrych czasach. Mieliśmy tyle dobrego do wspominania i po chwili musieliśmy porzucić ten temat, bo oboje byliśmy bliscy łez.
- Co pan będzie teraz robił? - zapytałam go.
- Och, rozmaite rzeczy - odparł niefrasobliwym tonem. -Będę oddawał się rozrywkom ziemiaństwa. Myślę, że kupię kilka koni... ostatnio niezbyt często jeździłem konno. - Porozmawialiśmy trochę o koniach i naszych wspólnych przejażdżkach. - Mam nadzieję podziwiać wiosnę i lato w rozkwicie, co przez tyle lat mi umykało - powiedział. - Są pewne rzeczy, które wynagradzają utratę władzy.
- U władzy czy nie, zawsze będę cię lordzie uważała za mojego najdroższego i najcenniejszego przyjaciela - zapewniłam. Głos mi zadrżał i oboje przystanęliśmy, kierowani tym

samym impulsem i popatrzyliśmy na siebie w świetle gwiazd. Cień skrywał niemal całkowicie jego życzliwą, drogą twarz, ale nie potrzebowałam jej widzieć, znałam ją dobrze.
- Przez cztery lata widywałam pana prawie codziennie -mówiłam cicho. - Nie wiem, jak się pogodzę z tą zmianą. Niewiele o tym rozmawiałam... nie narobiłam szumu, jak poprzednim razem... a to dlatego, że dotknęło mnie to o wiele silniej.

- Wiem - przyznał. - Widziałem twoją odwagę, pani, i podziwiałem, jakich dokładasz starań, aby nie stracić kontroli... - przerwał, a ja po omacku chwyciłam jego dłonie, duże, suche, których dotyk niósł spokój; zamknęły moje ręce, jak tyle razy przedtem, gdy czułam się przerażona lub samotna. W rzeczywistości ani mój ojciec, ani kochanek, a jednak był dla mnie po części i jednym, i drugim - pierwsza osoba, którą pokochałam w moim samotnym życiu, wciąż mi bardzo, ale to bardzo droga. Nie rozdzielaliśmy się dlatego, że staliśmy się sobie obcy; i nie ma smutniejszego rozstania.
Pochylił głowę i odezwał się łagodnie: - Czas mojej służby dla ciebie, pani, to najszczęśliwszy okres mojego życia i przynoszący mi najwięcej chluby. Przez cztery lata widywałem cię codziennie i z każdym dniem sprawiało mi to więcej przyjemności. To jest jak...
Znowu urwał, a ja powiedziałam:
- Proszę, przestań! To mi łamie serce!
Usłyszałam cichy dziwny dźwięk, jakby zaszlochał, a gdy uniósł głowę, zobaczyłam lśniące w świetle gwiazd na jego policzkach łzy. Odsunął głowę, aby nie spadły na moje dłonie, co by było lese majeste, i kiedy indziej uśmiechnęłabym się na ten dowód uważania, ale nie wtedy; wtedy płakałam razem z nim.
- Nie odjeżdżam daleko - zdołał w końcu wydobyć głos. -Będę mógł cię, pani, widywać.
- Ach, nie będzie to już przecież to samo! - stwierdziłam z rozpaczą, a on nie zaprzeczył. Oboje to wiedzieliśmy.
- Powinnaś teraz, pani, polegać na księciu. Oprzeć się na nim, zasięgać jego rady. Teraz on musi stać się dla ciebie pani wszystkim. I proszę zaufać Peelowi. To porządny człowiek.
275
- Tak - powiedziałam, a moje serce wykrzyknęło: nie, nie chcę Peela, chcę ciebie! Chcę, aby wszystko zostało po staremu. Przez całe moje życie traciłam tych, na których mi zależało, nienawidziłam zmian, bałam się ich. Lord M. zawsze stawał po mojej stronie; wierny przyjaciel i prawdziwa ostoja. Albert był pod wieloma względami wciąż jeszcze wielką niewiadomą. Pozostawał w dobrych stosunkach z Peelem, ku któremu skłaniał się znacznie bardziej niż powinien; mieli podobne gusta i temperamenty. A teraz jeszcze narzucano mi Peela jako najważniejszego z moich ministrów. Przypuśćmy, że będą razem z Albertem pracowali nad odsunięciem mnie od władzy, odbierali mi ją po kawałku, aż stanę się nikim; żoną, którą pokazuje się na publicznych uroczystościach, aby tłum wiwatował na jej widok. Wyrosłam w atmosferze konspiracji i nie było możliwe, abym nie podejrzewała o nią wszystkich wokół siebie, nawet tego, którego kochałam najmocniej - och, a może właśnie zwłaszcza jego! Kiedy się kocha, ma się wiele do stracenia i ufność musi być znacznie silniejsza.
Zdawałam sobie ponadto sprawę, że jako królowa mam pewną słabą stronę, którą Albert i Peel mogą bezlitośnie wykorzystać, jeśli tylko będą chcieli: cóż bowiem łatwiejszego jak wykorzystać okres połogu na osłabienie mojej pozycji i przejęcie władzy? I komu łatwiej to przyjdzie niż mojemu mężowi i premierowi?
- Żałuję, że musisz odejść! - wyszlochałam w końcu. -Och, jakże żałuję!
- To konieczne - powiedział, a w jego głosie brzmiał bezmierny smutek.

28 maja 1900.

Dwa dni później Albert i ja wróciliśmy do Claremont i tu udzieliłam pierwszej audiencji mojej nowej radzie ministrów. Serce miałam wezbrane i mówiłam niewiele, wiedząc, że łatwo można mnie przyprawić o łzy; udało mi się jednak opanować i zachowałam się, jak pamiętam, z dużą godnością. Było już wówczas aż nadto widoczne, że jestem w ciąży -jako że był to siódmy miesiąc - co nie pozostało bez wpływu
276
na ministrów, ponieważ zachowywali się niezwykle uprzejmie, ich głosy brzmiały łagodnie i okazywali mi wiele szacunku. Nawet sir Robert stał się przyjemniejszy w obejściu i zapewnił mnie zaskakująco drżącym głosem, że moje szczęście i pomyślność we wszystkim uważa za swój

pierwszy i największy obowiązek; żadna niemiła mi choćby w najmniejszym stopniu osoba nie zostanie mi narzucona w żadnym charakterze, oświadczył. W duchu odpowiedziałam mu: „W takim razie usuń się i zwróć mi lorda Melbourne", ale na zewnątrz okazywałam nadzwyczajną grzeczność i mówiłam to, czego po mnie oczekiwano. Musiałam dobrze odegrać swoją rolę, skoro Peel opowiadał później, że zachowałam się wobec niego bez zarzutu, a pozostali ministrowie uznali, że nie mogą mieć zastrzeżeń co do okazanej im przeze mnie całkowitej bezstronności i uczciwego potraktowania.
Ech, ale co z uczciwością wobec mnie? W miarę rozwijania się ciąży czułam się coraz gorzej; denerwowałam się nad wyraz łatwo i czułam straszliwie samotna. Lord M. odszedł, Albert stanął w szeregu wroga; została mi tylko Lehzen.
Okropności ciąży skończyły się wreszcie rankiem dziewiątego listopada 1841 roku, gdy po srogich cierpieniach wydałam na świat zdrowego, dużego chłopca. Albert trwał przy mnie przez cały czas: trzymał za rękę, ocierał pot z czoła, dodawał otuchy swoją miłością. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Ale chociaż wypełniłam obietnicę sprzed roku i dałam krajowi i mężowi dziedzica, moje kłopoty się nie skończyły. Wkrótce został podjęty kolejny atak i to przez najbliższą mi osobę, która powinna mnie kochać i rozumieć jak nikt inny na świecie, a nie planować pozbycie się tej, która była mi jedyną podporą w latach dzieciństwa. Albert oddalił lorda M.; teraz chciał wyrugować jeszcze bardziej znienawidzoną rywalkę, zagarniającą część mojej uwagi, by panować niepodzielnie. Był panem mojego serca, ale oboje wiedzieliśmy, że nie uległam mu jeszcze bez reszty i ostatnia bitwa wisiała na włosku.
Niedziela szesnastego stycznia 1842 roku - och, jak dobrze zapamiętałam tę datę! Wyjechaliśmy na kilka dni do Claremont, ponieważ bardzo potrzebowałam odpoczynku i zmiany.
277
Moje drugie dziecko przyszło na świat w niecały rok po Pussy; ciąża przebiegała podle, poród miałam ciężki; urodzenie dwojga dzieci w dwadzieścia jeden miesięcy wyczerpało mnie i przygnębiło; moje biedne nerwy były tak podrażnione, że ledwie mogłam znieść samą siebie. Od urodzenia syna wszystko mnie drażniło, a ponieważ usilnie starałam się opanować, było to tym straszniejsze, gdy mi się jednak nie udawało - jakby wszystkie irytacje zbierały się w jeden wielki wybuch.
Przyjechawszy tej niedzieli do pałacu, udaliśmy się prosto do pokoju dziecinnego, aby zobaczyć Pussy. Była silnym, pełnym wigoru dzieckiem przez pierwsze dziewięć miesięcy życia, ale na jesieni 1841 roku zaczęła słabować i tracić na wadze; jedzenie jej nie służyło, często chorowała, popłakiwała, była niespokojna. Dawano jej wszystko, co najlepsze: Clark zaordynował wyłącznie kozie mleko - najbardziej odżywcze, pożywniejsze nawet niż to od krów rasy Jersey -bulion z kurczaków, przedniej jakości mąkę ararutową. Ponieważ jedzenie było aż tak nadzwyczaj pożywne, wydzielano je skrupulatnie w niewielkich ilościach i podawano w długich odstępach, aby oszczędzić jej maleńki żołądek. Mimo to wciąż nie było widać poprawy.
W pokoju dziecinnym panowało duszne gorąco, przeraźliwe jak dla mnie gorąco, ale w tamtych czasach uważano zimne powietrze za szkodliwe dla małych dzieci, więc nie oponowałam. Nowo narodzonemu synkowi wyraźnie zresztą to służyło; leżał cichutko w łóżeczku, patrząc przed siebie ciemnoniebieskimi oczami, spokojnie wypuszczał banieczki śliny i poruszał powoli kończynami jak stworzenie z podwodnego świata. (Do tej pory biedny Bertie przypomina mi w jakimś stopniu wielką rybę - powolną w ruchach i o szklistych oczach).
Inaczej sprawa się miała z Pussy. Ledwie stanęliśmy w drzwiach, dobiegło nas jej kwilenie, a gdy pochyliłam się nad łóżeczkiem, poczułam kwaśny zapach, sygnalizujący, że znów jest chora. Odwróciłam się do niańki, która na nasz widok zerwała się pospiesznie z miejsca przy kominku.
- Jak się miewa księżniczka Wiktoria, Roberts?
278
- Wciąż tak samo, pani - odparła, dygając. - Niestety, zwróciła ostatni posiłek.
Albert pochylił się nad kołyską i pogłaskał palcem zapadnięty mały policzek.
- Jaka ona jest blada i chuda - powiedział z troską w głosie. - Biedna, malutka Puss! - Dziecko zakwiliło, wpatrując się w twarz Alberta, jakby o coś błagało. - Zobacz, jak ona na mnie patrzy!

Biedne dziecko, jest zwyczajnie głodna. -Spojrzał na mnie oskarżycielsko. - Ta dieta jej wyraźnie nie służy.
Wiedziałam, bo nie robił z tego żadnego sekretu, że nie uważa za właściwą diety przepisanej dzieciom przez Clarka, ale co mnie zirytowało najbardziej, to insynuowanie, że wyłącznie on dba o Pussy, że mnie, jej matce, która musiała znieść dolegliwości i trudy ciąży, a potem śmiertelne niebezpieczeństwo związane z porodem, nie zależało na jej zdrowiu.
- Kiedy przypada następna pora karmienia? - zapytałam sucho Roberts.
- Nie wcześniej niż za dwie godziny, pani.
- Tak długo? - Albert spojrzał na nią ostro. - Ależ ona głoduje! Jest tak wychudzona... niemożliwe, aby to dziecko dostawało wystarczającą ilość jedzenia.
- Jest karmiona zgodnie z instrukcjami doktora Clarka, sir - powiedziała Roberts z urazą.
Zobaczyłam, jak Albertowi pobladły nozdrza; nie znosił zuchwalstwa u służby.
- Ma czekać, chociaż jest głodna? Ach, jest taka bezradna, może tylko płaczem powiedzieć, że coś ją męczy, ale to się tutaj ignoruje.
- Dostaje wystarczająco pożywne jedzenie, sir. Nie potrzebuje go więcej - powiedziała Roberts. Spojrzała na niego spod oka. - Obawiam się, że mężczyźni nie mają dostatecznego wyobrażenia o wychowywaniu dzieci. Trochę płaczu jeszcze żadnemu nie zaszkodziło.
Albert odwrócił się gwałtownie do mnie i stwierdził półgłosem:
- Teraz jeszcze złośliwe uwagi. Wiem, czyja to zasługa. Nic wielkiego, ale wystarczyło, abym wybuchła.
- Ach tak? I co byś chciał zrobić? - zapytałam ze złością.
279
- Karmić ją, ile razy zapłacze? To by dopiero było wspaniale! Umarłaby w ciągu tygodnia... i na tym by się skończyła twoja troska!
- Proszę, Wiktorio, nie kłóćmy się - powiedział zniżonym głosem.
Ale mną już władał gniew.
- Och tak, nie kłóćmy się, och tak, róbmy dokładnie to, co ty powiesz! Przecież wiesz wszystko o dzieciach! Co by ci najbardziej dogadzało, to żebym zupełnie nie zachodziła do pokoju dziecinnego, tak żebyś mógł spokojnie zamordować moje dziecko! - Zbladł straszliwie, a mnie przeszedł ten dziwny, perwersyjny dreszcz, który przenika człowieka, gdy tracąc panowanie nad sobą, mówi to, czego cofnąć się nie da. Słowa niepowstrzymanie cisnęły mi się na usta. - Tak, zamordowałbyś ją, gdybym ci tylko pozwoliła! Nigdy ci na niej nie zależało, wiem dobrze. Żałowałeś, że to dziewczynka, a teraz, kiedy masz chłopca, chętnie zobaczyłbyś ją w grobie!
Przestałam się kompletnie kontrolować; przepełniła mnie niezdrowa ekscytacja. Powiedziałam rzecz straszliwą; ugodziłam go do głębi swoimi słowami, teraz czekałam, wibrując wewnętrznie, pożądając walki - aby odpowiedział ciosem na cios. Ale zdołał się mimo wszystko opanować, pamiętając, o czym ja zapomniałam, że Roberts chłonie każde słowo i że do wieczora wszystko będzie powtarzane w całym pałacu.
- Liebe Gott, muszę być cierpliwy - powiedział, a raczej zamamrotał pod nosem, odwrócił się na pięcie i odszedł pospiesznie, zamykając (nawet nie trzaskając) za sobą drzwi.
Omal się nie zadławiłam furią, która nie znalazła ujścia. Wpatrzyłam się w zamknięte drzwi, czując, jakby wielka kula utkwiła mi nieruchomo w gardle, żołądek mi się skurczył, jakbym za chwilę miała zwymiotować. Nie była to nasza pierwsza kłótnia, ponieważ nerwy miałam napięte przez całą ciążę, mimo to Albert nie nauczył się kłócić: gdy wyczerpał racjonalne argumenty, wycofywał się: najpierw przestawał mówić, a jeśli nie ustępowałam, wychodził. Powinnam tym razem wyraźnie dostrzec, w sobie i w nim, drobne sygnały ostrzegające przed nadciąganiem potężnej burzy, ale zawsze doprowadzało mnie do szału, gdy w środku kłótni wychodził
280
sobie z pokoju, poza tym czułam, że się uduszę z wściekłości, jeśli nie doprowadzę tego do końca.
Drżąc z wysiłku, aby się opanować, powiedziałam coś obojętnie do Roberts, nawet nie wiem co i poszłam szukać Alberta.
Był w swojej ubieralni. Nigdy dotąd nie widziałam go aż w takiej złości. Chodził tam i z powrotem,

stawiając krótkie kroki, ruchy miał porywcze; oczy mu płonęły, twarz miał białą, z wyjątkiem dwóch czerwonych plam płonących na kościach policzkowych, wargi mocno zaciśnięte. Na jego widok przejął mnie dreszcz, bynajmniej nie odrazy. Byłam zarazem zła i podekscytowana; siedziało we mnie coś, co na jego widok oblizało wargi.
Kiedy weszłam, zamykając za sobą drzwi, odwrócił się i spojrzał na mnie z rodzajem ponurej ulgi.
- Ano tak, jesteś wreszcie - powiedział. - Tego się spodziewałem. Wiedziałem, że nie potrafisz na tym poprzestać.
- Poprzestać? Nie, w istocie! - odparłam. - Zdrowie mojego dziecka nie jest dla mnie nieważne, tak jak dla ciebie!
- Jak śmiesz coś takiego mówić?! - zawrzał gniewem. -Jak śmiesz?! To ty nie widzisz dalej własnego nosa! Dziecko głoduje! Jedzenie, którym Clark ją karmi, jest dla niej za ciężkie, nie potrafi utrzymać go w żołądku i jest niedożywiona. Mówiłem ci to już przedtem, ale mnie nie słuchałaś. Na domiar złego Clark podaje jej kalomel, zbyt silny środek dla takiego malutkiego dziecka. Dobry Boże, kalomel jest stosowny dla radnych miejskich przejedzonych po oficjalnych bankietach, ale nie na pusty żołądek dla kruchego małego dziecka!
- Och, więc wiesz więcej niż lekarze? Nie rozumiem, dlaczego nie leczysz wszystkich w pałacu, skoro tak się znasz na medycynie! Clark jest lekarzem od trzynastu lat, ale nie zawracajmy ci głowy tą drobnostką!
- Wiem na pewno, że Pussy nie jest zdrowa i że jego kuracja tylko pogarsza jej stan. Wystarczy na nią spojrzeć, posłuchać, jak płacze. Jeśli tego nie widzisz, musisz mieć serce z kamienia. Ale nie, ty jesteś gotowa zaprzeczyć świadectwu własnych zmysłów, jeśli nieoceniona Lehzen rozporządzi inaczej!
Ubodło mnie to straszliwie.

- Co ma tutaj do rzeczy Lehzen - zaczęłam, ale zignorował mnie.
- Wszystko! Nic się bez niej nie dzieje w tym domu! Ta kobieta całkiem tobą owładnęła! Za mało ci, że tobą rządzi, odstąpiłaś jej także pokój dziecinny!
- Pani Southey odpowiada za dzieci, jak dobrze wiesz. Lehzen po prostu okazuje im zainteresowanie, co wydaje mi się zupełnie naturalne.
- Zainteresowanie? Stale przesiaduje w pokoju dziecinnym! Ile razy tam wchodzę, widzę je z Southey rozparte przed huczącym ogniem kominkiem, dającym o wiele za dużo ciepła dla maleństw, plotkujące w najlepsze, jak para trico teuses przy gilotynie! Ona i Clark są w najlepszej komitywie, nie wmawiaj mi, że jest inaczej! A że ona go we wszystkim popiera, nic dziwnego, że nie chcesz przyznać, jak Clark się myli co do Pussy. Lehzen rządzi w tym domu, mam tego po dziurki w nosie!
- No tak, nic nowego dla mnie, ta dzika zazdrość o nią -powiedziałam z pogardą. - Chodzi ci tylko o to, żebyś to ty wszystkim rządził. Nikt dla ciebie nie jest ważny, nikt poza tobą się nie liczy. Uważasz, że ja jestem nikim...
- Przeciwnie - zaprzeczył gwałtownie. - Ja doskonale pamiętam, kim i czym jesteś. To ty o tym zapominasz. Tylko dlatego że Lehzen była twoją guwernantką, traktujesz ją jak wyrocznię. Uważasz, że wszystko, co w tobie dobre, wyłącznie jej zawdzięczasz...
- Wiem, jak wiele jej zawdzięczam, to ty zapominasz! Gdyby nie ona, nie przetrwałabym piekła Kensingtonu, ale to cię prawdopodobnie nie wzrusza. Co cię obchodzi, ile wycierpiałam... i jeszcze cierpię! Lehzen wiele dla mnie zniosła, podtrzymywała mnie na duchu, kiedy nikt inny nie chciał mi pomóc. Nigdy się niczego dla siebie nie domagała, a ponieważ nie chcę jej teraz wyrzucić za drzwi jak starego psa tylko dlatego, że już nie potrzebuję jej pomocy, czujesz się zlekceważony.
Albert wzniósł oczy ku niebu.
- Tracisz zdrowy rozum, gdy chodzi o tę kobietę. Uważasz ją za krynicę mądrości, a prawda jest taka, że to głupia, oszalała intrygantka, opętana obsesją władzy! Uważa się co

najmniej za kogoś w rodzaju boga, a każdego, kto nie chce jej tego przyznać, traktuje jak przestępcę!

- Nie jest żądna władzy! Chce mi tylko z oddaniem służyć!
- Oddana jest wyłącznie sobie, nie widzisz tego, Wiktorio? Przestraszyła się, że straci władzę nad tobą, gdy wyszłaś za mąż, teraz więc chce rozciągnąć kontrolę nad pokojem dziecinnym i nastawia cię przeciwko mnie, sącząc ci kłamstwa do uszu.
Niesprawiedliwość ataku, który przypuścił na moją wierną przyjaciółkę, doprowadziła mnie do szaleństwa.
- Nieprawda! - powiedziałam przerywanym z oburzenia głosem. - Nigdy o tobie źle nie mówi, choć Bóg mi świadkiem, że nie zasługujesz na taką lojalność z jej strony, umiesz jej tylko nienawidzić i oczerniać ją!
- Nie darzę jej nienawiścią, chociaż miałbym wszelkie powody, żeby...
- Właśnie że tak! To ty tracisz zdrowy rozum, gdy o nią chodzi! Prawie jej ostatnio nie widuję, ale ciebie i tak zżera zazdrość!
Teraz w nim się zagotowało.
- Prawie nie widuję? Ledwie wyjdę z domu, wkrada się do twojego pokoju...
- Nieprawda!
- Jeśli się w czymś nie zgadzamy, pędzisz się do niej poskarżyć, a ona wyolbrzymia najdrobniejszą różnicę zdań i robi się z tego wielka obraza.
Och, jakże to było niesprawiedliwe!
- Ona w każdym razie mnie kocha, czego o tobie nie da się powiedzieć! - cięłam słowami na oślep.
- Mógłbyś się od niej czegoś nauczyć, przynajmniej lojalności.
Zesztywniał.
- Co masz na myśli?
- To, co słyszałeś. Jesteś okrutny i niesprawiedliwy, i przeraźliwie samolubny, nie ma wokół mnie nikogo bardziej samolubnego. Myślisz wyłącznie o sobie i o tym, jak się urządzić. Twoja pozycja na dworze nie dostaje twoim wyobrażeniom o samym sobie... i to jest prawdziwy powód tej kłótni!

- Chyba tego nie myślisz naprawdę.
Ale już nie władałam sobą, gniew mną powodował.
- Ależ myślę! - wykrzyknęłam triumfalnie. - Mam po dziurki w nosie twojej niewdzięczności i żałuję, że cię poślubiłam! Niczego dobrego od ciebie nie zaznałam, tylko zazdrości i nielojalności, chciwego sięgania po władzę! W istocie żałuję, że cię w ogóle spotkałam! O wiele lepiej było mi bez ciebie!
- Sytuacja się wreszcie wyjaśniła - powiedział przez zaciśnięte zęby, pobladły z gniewu i wyszedł zamaszystym krokiem z ubieralni.
Uczciłam zwycięstwo, wybuchając płaczem i pobiegłam do swojego pokoju, gdzie rzuciłam się na sofę, gorzko szlochając, aż całkiem osłabłam. Och, to było straszne, straszne! Nigdy nie widziałam go tak zagniewanego, zawsze umiał się opanować - czułam to instynktownie - w ostatnim momencie, zanim runęliśmy w przepaść. Jak mogłam mu powiedzieć te wszystkie rzeczy? Chciałam go zranić, ale przecież nie myślałam tak naprawdę. Ale dlaczego mi nie ufał? Mylił się co do Lehzen. Nie miał powodów do zazdrości, a mimo to nie chciał, abym kochała kogokolwiek poza nim samym i próbował doprowadzić do tego, żebym się jej pozbyła. Byłam o to na niego zła, ponieważ ja nie chciałam go pozbawiać ani jednej osoby, którą by kochał lub cenił; a teraz szlochałam pełna skruchy, ze zranionym sercem, już rozpaczliwie za nim tęskniąc. Pragnęłam jego ramion, ciepła, pocałunków. Fala gniewu odpłynęła, ochłodłam, czułam się samotna, tęskniłam za pojednaniem, przytulaniem się, bliskością.
Niestety, nie była to po prostu kolejna kłótnia. Tym razem moje słowa zapadły w niego głęboko i podczas gdy leżałam na sofie, wyczerpana płaczem, zastanawiając się, gdzie on jest i co sobie myśli, przysłał mi notatkę - karteczkę z paroma gorzkimi, pełnymi zawziętości, zimnymi zdaniami: „Doktor Clark opiekuje się dzieckiem w niewłaściwy sposób i zatruwa je kalomelem, a ty godzisz się na jej zagłodzenie. Nic więcej nie mogę zrobić w tej sprawie. Zabierz dziecko i rób, co uważasz, a jeśli umrze, spadnie to na twoje sumienie".

Och, jakże to było okrutne! Kiedy ogarnia mnie szaleństwo, mówię rzeczy, które mi dyktuje chwilowe rozgorączkowanie, chociaż wcale tak nie myślę. Ale nigdy, przenigdy nie napisałabym czegoś takiego; zimna, wyrozumowana złość, to do mnie niepodobne. Słowa mogą ranić, ale wypowiedziane ulatują w powietrze jak bańki mydlane; utrwalone na papierze, zapadają w umysł i serce na zawsze. Zmroziły mnie jak powiew mroźnego powietrza. Gniew mu nie przeszedł, nie miało być przebaczenia. Chciał się przede mną zamknąć, pozbawić nie tylko swojej obecności, ale odebrać miłość - a bez niej umrę, jak roślina pozbawiona promieni słońca.

Rozdział Dwunasty.

1 czerwca 1900 w Balmoral.

Ta przerażająca kłótnia z Albertem; nigdy jej nie zapomnę. Kiedy otrzymałam jego notatkę, zrozumiałam, że znowu jestem sama, nie mam nikogo, na kim mogłabym się oprzeć, jak w Kensingtonie. A jednak tym razem było jeszcze gorzej, ponieważ wtedy miałam przynajmniej Lehzen; teraz nie mogłam się do niej zwrócić, aby mnie wsparła, bo to o nią toczyłam wojnę. Wobec tego, starym zwyczajem, zwróciłam się do Stockmara jako mediatora. Poprosiłam go, aby posłał Lehzen notatkę, informującą ją, że wydarzyło się coś niepokojącego i nie mogę się z nią widzieć przez najbliższych kilka dni; zdawałam sobie bowiem sprawę, że jeśli ją zobaczę, wyrzucę z siebie wszystko, a za nic w świecie nie chciałam jej powiedzieć, co zaszło między mną i Albertem. Sami widzicie, jestem lojalna, nawet gdy mnie ktoś głęboko urazi.
Wiedziałam, że wszyscy wokół byli przeciwko mojej przyjaciółce. Mężczyźni, którzy mieli wpływ na moje życie, byli jej zaprzysięgłymi wrogami: Albert, Anson, Stockmar. Mamie, gdybym nawet chciała jej już wtedy zaufać, Lehzen była wstrętna, ponieważ sądziła, że to przez nią jej nie znoszę. Lorda M., który wszystko by rozumiał, nie było przy mnie, a nigdy nie pokładałam całkowitej ufności w Peelu; który

zresztą bez wątpienia wziąłby stronę Alberta w tym sporze. Od dawna nie było dla mnie tajemnicą, że poza mną nikt nie lubi mojej starej guwernantki; zdumiało mnie jednak i zabolało, że wszyscy tak ochoczo chcieliby ją ode mnie odsunąć. Skoro ją kochałam, samo to powinno wystarczyć za powód, aby zostawić ją w spokoju.
Następnego dnia czułam się jeszcze bardziej zrozpaczona i oszołomiona, zupełnie jakbym śniła przerażający sen; nie mogłam przestać płakać, głowa mnie bolała, robiło mi się niedobrze. Albertowi złość nie przeszła, karał mnie, okazując zimną formalną grzeczność, jakbym była obcą osobą. Odzywał się tylko wtedy, gdy było to konieczne, nie patrzył na mnie, tylko gdzieś obok. Rozpaczliwie pragnęłam zgody, ale on spał ostatniej nocy w ubieralni, a tym samym nie miałam sposobu, by do niego dotrzeć. Łóżko jest miejscem, w którym można zakończyć wszystkie kłótnie; niemożliwość dzielenia go z nim podsycała moją samotność.
Skoro uczucia nie mają do niego dostępu, pomyślałam, muszę zacząć rozumować na jego sposób. Musiał wyjść tego ranka, aby uczestniczyć w otwarciu giełdy, i ledwie drzwi się za nim zamknęły, popędziłam do biurka i skreśliłam smutny bilecik do Stockmara, błagając go, by między nami pośredniczył i ułagodził Alberta. „Wydaje się, że wciąż jest zagniewany. Ja już nie. Gdyby tylko mógł pan przekonać go o konieczności rozmowy w kwestiach, które pojmuje opacznie, potrafiłabym wszystko naprawić. Powinien jednak mnie słuchać i mnie wierzyć, a nie dawać posłuch opowieściom, w których drobiazgi urastają do poważnych problemów. Co do wypowiedzianych wczoraj nierozważnych słów, wybaczam je; zostały podyktowane żalem, rozdrażnieniem, złością".
Stockmar miał przynajmniej obowiązek mi odpowiedzieć!
I odpowiedział: książę napisał do niego (tak też przypuszczałam; bardzo to było po Koburgowsku, chwytać za pióro i papier w chwilach niepewności, a Stockmar był przecież mentorem Alberta), wiedział zatem o kłótni, ale nie pisał do mnie, ponieważ czekał, aż nastroje opadną i znowu wszystko pójdzie starym trybem. Kłótnia między nami zgorszyła go nad wyraz. Podejmie się nam

pomóc wyłącznie pod warunkiem, że w przyszłości będziemy trzymać pod kontrolą podobnie
286
gwałtowne emocje; w rzeczy samej, jeśli podobne sceny miałyby się powtarzać, nie sądzi, aby mógł pozostać na dworze. To poważne ostrzeżenie zakrywało pierwszy z dwóch listów, które Albert do niego napisał, a które dołączył do swojego, abym je przeczytała. Oba mną potężnie wstrząsnęły. Pierwszy był właściwie tyradą, przepełnioną nienawiścią do Lehzen, aż dziwne, że słowa nie osmaliły papieru. Lehzen była obłąkaną, zazdrosną, narwaną, samolubną intrygantką -i tak dalej, i tak dalej.
„Źródłem wszelkich przykrości, jakich doznaję, jest jedna osoba i to ta akurat, którą Wiktoria wybrała sobie za przyjaciółkę i powiernicę. Mówi jej o wszystkim, konsultuje się z nią we wszystkim, akceptuje bez zastrzeżeń jej opinie, jakby miała do czynienia z wyrocznią. Cierpiałem do tej pory w milczeniu i dalej bym to czynił powodowany miłością do Wiktorii, ponieważ wiem, że nie może być mowy o poprawie sytuacji, dopóki ona mniema o Lehzen to, co mniema. Zapewniam pana, jako mojego i Wiktorii szczerego przyjaciela, że poświęciłbym dla Wiktorii bez słowa skargi własną wygodę i szczęście, nawet gdyby dalej trwała w błędzie. Lecz pomyślność moich dzieci i królowej są dla mnie czymś świętym i wolałbym raczej umrzeć, niż poświęcić je jako ofiarę dla Lehzen. To jakby przekleństwo, które spada na nasze głowy, że cały świat widzi prawdę, a jedna Wiktoria uważa obiekt swego zaślepienia za anioła, pośród podejrzliwego, oszczerczego, zawistnego świata".
Ależ to nie była prawda, nic z tego nie było prawdą! Jakbym zobaczyła znajomą twarz w krzywym zwierciadle; jakby coś przyjaznego i znanego wykrzywiło się przerażająco jak samo zło. Jak mógł aż tak bardzo nienawidzić Lehzen? Co mu złego zrobiła? I dlaczego tak niewiele pokładał we mnie ufności? Było w tym również wiele arogancji i na chwilę zesztywniałam z gniewu; ale tylko na chwilę, ponieważ zabrawszy się do czytania drugiego listu, zobaczyłam w krzywym zwierciadle własne odbicie.
287
„Pyta mnie pan, dlaczego przedtem nie wypowiedziałem otwarcie swoich myśli, dlaczego pozwoliłem, aby sprawy osiągnęły tak krytyczny stan. Ponieważ Wiktoria jest zbyt porywcza i popędliwa w stosunku do mnie, aby mi pozwolić mówić o moich trudnościach. Zamiast mnie wysłuchać, zasypuje mnie oskarżeniami o podejrzliwość, niedostatek ufności, nadmiar ambicji, zazdrość i tym podobne. Dlatego też pozostają mi tylko dwie drogi: milczeć i usuwać się z drogi, co czyni mnie podobnym do chłopca zbesztanego przez matkę i odchodzącego z pokorą; albo odpowiadać na gwałtowność jeszcze większą gwałtownością, co nas doprowadzi do awantur (jak ta z szesnastego), czego serdecznie nienawidzę, ponieważ współczuję potem Wiktorii w jej żalu; i ponieważ narusza to spokój w domu".
Och, moja wybuchowość, moja przerażająca wybuchowość! Wiedziałam, że to moja wada. Ale też byłam prowokowana! To narastało w ciągu ostatniego roku, wtrącając mnie powoli w otchłań rozpaczy; bo przecież gdy odkryłam w marcu, że znowu noszę dziecko, pogrążyłam się w żalu. Miałam dopiero dwadzieścia jeden lat, byłam ledwie rok zamężna i już po raz drugi w ciąży. Z czego miało się składać moje życie, z bezustannych ciąż i porodów, aż do zupełnego wycieńczenia? Byłam taka szczęśliwa, mogąc pożegnać panią Lilly i wrócić do normalnego życia; taka zadowolona, że znowu poczuję uścisk ukochanego męża - a teraz miało się to zacząć od początku? Albert niczego nie rozumiał, całkowicie zauroczony przez Pussy i uszczęśliwiony perspektywą ponownego zostania ojcem; dla niego był to naturalny porządek rzeczy: żona powinna wydawać na świat potomstwo i nie miał żadnych obiekcji co do jego liczby. Był urodzonym patriarchą i choć mnie kochał i wyrażał zrozumienie dla moich argumentów, całą duszą i sercem radował się, że jestem w ciąży. Nieważne, co mówił, wiedziałam, co czuje, i obwiniałam go gorzko i niezbyt rozsądnie o mój stan.
To był ciężki, fatalny rok. Od początku ciąży źle się czułam, łatwo męczyłam, emocje we mnie wrzały, cierpiałam na ataki depresji, nękało mnie tak silnie przeczucie nieszczęścia, że aż było to niepokojące. Albert wydawał mi się dziwny; obcy
288

mi człowiek, niedostępny, zupełnie mi nie współczujący, nawet wrogi. Choć nie uczynił oczywiście na ten temat żadnej aluzji, obawiał się o moje zmysły. Dziadek Jerzy III umarł obłąkany, moje usposobienie było tak gwałtowne, furia, jeśli w nią wpadałam, tak nieopanowana, że zaczął się obawiać, czy nie odziedziczyłam tej skazy i obserwował mnie bacznie jak kot dziurę myszy, jednocześnie starał się robić wszystko, abym nie wybuchła. Nie obwiniam go dzisiaj o to - dzisiaj widzę, że nie miał wyboru - ale nie mógł zrobić gorszej rzeczy. Nie mam ponadprzeciętnej inteligencji, ale doskonałą intuicję; wyczuwałam jego skrywaną czujność i brałam ją za chłód i obojętność na mój stan. Cóż, przecież nie kochał mnie nawet na tyle, żeby się ze mną kłócić! Podczas gdy ja byłam tak bezgranicznie nieszczęśliwa, on wydawał się całkowicie opanowany i niewzruszony, tak że miałam ochotę nim potrząsnąć, strącić go z tych wyżyn chłodu w gorące, duszne miejsce, w którym żyłam, niech podzieli moje cierpienia! Chciałam zadośćuczynienia w gwałtownych kłótniach, poprzedzających łzy, uściski, pocałunki - grzmoty i błyskawice, poprzedzające chłodny, ożywczy deszcz. Czułam, że nie jesteśmy sobie bliscy, a potrzebowałam bliskości. Ale jego temperament był różny od mojego; gdy ja szalałam, on się wycofywał; gdy ja się rozpalałam, on chłódł. Kiedy obrażałam go na potęgę, w milczeniu opuszczał pokój; kiedy umierałam z pragnienia, aby mnie objął i żarliwymi pocałunkami zamknął usta, posyłał mi pozbawione emocji, schludnie zapisane karteczki, w których udowadniał, że się myliłam.
Więc pytam was, kto tu był dla kogo naprawdę okrutny?
Nie, nie, to ja byłam winna, to wyłącznie moja wina! Mój biedny Albert nie był po prostu z natury zdolny szaleć jak ja. Przeczytawszy raz jeszcze jego drugi list, przez chwilę zobaczyłam całą sytuację jego oczami; zobaczyłam siebie, przerywającą z furią jego wyważone zdania, siekącą go słowami, jakie tylko przyszły mi do głowy. Przez tę krótką chwilę zrozumiałam, jak bezradny musiał się czuć, bojąc się sprowokować mnie jeszcze bardziej, a przecież zbyt dumny, by się poddać na warunkach, które uważał za nieuczciwe. Oboje byliśmy dumni, to nie ulegało kwestii; ale ja postanowiłam
289
mu pokazać, że potrafię być także wielkoduszna i uległa. Schowałam urazę i napisałam list do Stockmara, aby przekazał go Albertowi, męcząc się straszliwie, żeby sformułować go logicznym i chłodnym językiem, podejmując grę na ich zasadach, upokarzając się, choć byłam królową dla dobra wielkiej miłości, jaką dla niego żywiłam.
„Albert powinien mi powiedzieć, co mu się nie podoba, a ja postaram się temu zaradzić, ale musi jednocześnie przyrzec, że będzie mnie słuchał i wierzył mi, gdy mówię mu prawdę. Lehzen była moją powierniczką przed zawarciem małżeństwa, ale już nią nie jest. Nikt nie zaprzeczy, że oddała mi w przeszłości wielkie usługi i moim jedynym życzeniem jest, by znalazła spokojną przystań pod moim dachem i mogła mnie czasem widywać. Albert z pewnością się temu nie sprzeciwi. Zaręczam panu moim honorem, że widuję ją bardzo rzadko, najwyżej parę minut - Albert często mylnie uważa, że się z nią widuję, podczas gdy tak nie jest. Jedyne pytania, jakie jej zadaję, dotyczą moich rachunków i toilette, w których to kwestiach jest mi wielce pomocna - niczego więcej. Nigdy nie rozmawiałam z nią o decyzjach dotyczących dzieci, nigdy też jej się nie uskarżałam, o co jak się obawiam, Albert mnie podejrzewa - nigdy!
Co do drugiej kwestii, moich porywczych reakcji, gdy się do mnie mówi, obawiam się, że nie jest to możliwe do naprawienia od razu, lecz mam też nadzieję, iż z biegiem czasu to minie. Często czuję się rozdrażniona (jak ostatniej niedzieli), a wówczas mówię rzeczy złe i nienawistne, choć wcale tak nie myślę, czym jak się obawiam, ranie Alberta, nie powinien jednak w nie wierzyć. Dołożę wszelkich starań, aby to przezwyciężyć, chociaż już na początku małżeństwa zdawałam sobie sprawę, iż nie pójdzie mi to łatwo, ponieważ przez dwa i pół roku byłam wyłącznie panią dla siebie i trudno mi się nagiąć do cudzej woli. Niemniej ufam, że uda mi się zwalczyć moją porywczość. Nasza sytuacja pozostanie jednak różna od sytuacji, w jakiej znajduje się większość par małżeńskich: Albert mieszka w moim domu, a nie ja w jego. Niemniej gotowa jestem podporządkować się jego życzeniom, ponieważ kocham go prawdziwie. Jego pozycja jest trudna,
290
Bóg jeden to wie, i musimy zrobić wszystko, aby uczynić ją lżejszą".

A potem czekałam na pukanie do drzwi, uśmiechniętą twarz, gdy się otworzą, wyciągnięte ramiona, przebaczenie i pocałunki; nic takiego jednak nie nastąpiło. Wciąż nie byłam z nim, wciąż na wygnaniu; wreszcie przyszło od Stockmara ultimatum - Lehzen musi odejść. Albert wybaczy mi i przywróci mnie do łask tylko wtedy, jeśli Lehzen odejdzie z mojego dworu i z pałacu.
Rozumiałam, jak do tego doszło. Albert nie był w stanie zapanować nad złością; tak rzadko tracił panowanie nad sobą, że gdy już do tego doszło, niełatwo mu przychodziło odzyskać je z powrotem. Upokorzyłam się, ofiarowałam mu gałązkę oliwną, w zamian chciano mi utrzeć nosa. Duma nie pozwoliła mu się ugiąć nawet na odrobinę, aby się ze mną pojednać. Tylko ja popełniałam błędy, on był ostatnim, którego należało winić za napięcia między nami czy w domu.
Łzy zaczęły dławić mnie w gardle, kiedy to zrozumiałam, i zalała mnie bezbrzeżna żałość. Czułam się tak rozpaczliwie samotna, że chciałam umrzeć. Wybrałam tego człowieka, oddałam mu serce, urodziłam dwoje dzieci, ale jeszcze mu tego było za mało; podczas gdy ja obdarzyłam go miłością całkowicie, on tylko pod pewnymi warunkami. Chciał, abym skapitulowała, całkowicie i bez reszty. Rozumiałam instynktownie, nikt mi nie musiał tego mówić, co się za tym kryło i że wcale nie chodziło o Lehzen. Byłam królową Anglii i tego mu nie oddałam; zdobył kobietę, ale królowa do niego nie należała i tego właśnie nie mogła znieść jego duma. Jeśli chcę, aby ze mną został, kochał mnie, wspierał, pomagał przetrwać trudne godziny jak do tej pory, jeśli chcę, aby obdarzał mnie ciepłem, muszę się przed nim upokorzyć. Muszę podzielić się z nim władzą, przyjmować jego rady i stosować się do nich, zasięgać we wszystkim jego opinii, powierzyć kontrolę nad moimi prywatnymi dochodami i wydatkami, nad pokojem dziecinnym i moim własnym dworem -nad całym moim życiem. Inaczej okopie się w swojej twierdzy, a ja umrę z zimna, nie wpuszczana do środka.
Leżałam z czołem opartym o sofę, trzymając w bezradnie

opuszczonej ręce jego listy, a łzy płynęły mi niepowstrzymanie. Kiedy wreszcie ustały, podłożyłam ramię pod całkiem mokrą twarz i czując, jak policzki powoli mi się ochładzają, a skóra wysycha, zaczęłam się zastanawiać, co mogę zrobić. Byłam dumna z natury i byłam królową Anglii, co się ze sobą zresztą nierozerwalnie wiązało. Byłam pomazańcem bożym, złożyłam solenne przysięgi, których nie mogłam złamać. Bynajmniej nie żądał rzeczy błahej; chciał zagarnąć coś niesłychanie ważnego, ważniejszego niż ja sama; coś, co nie zależało tylko ode mnie samej.
Ale inne wyjście nie istniało. Kochałam go bezgranicznie i wiedziałam, że nie zniosę bólu rozstania. Żyć obok niego, rok po roku, i właściwie go nie mieć - nigdy już nie zobaczyć tego błogiego uśmiechu, przeznaczonego wyłącznie dla mnie, przepełnionego miłością spojrzenia; nie zaznać słodkiej intymności związku przenikniętego całkowitym zaufaniem -nie, to niemożliwe, po prostu niemożliwe!
Czy to jednak możliwe, abym poddała się mu całkowicie, tak by go to usatysfakcjonowało, i nie zaprzeczyła własnej naturze? Czy nie będzie żądał dalszych poświęceń, gdy przestanę być ważna? Jeśli postąpię nieuczciwie wobec samej siebie, czy będę go potrafiła dalej kochać?
Nie miał ponadto prawa żądać ode mnie aż takiego poświęcenia. Nie mogłam mu oddać tego, co ani do mnie należało, ani można było na kogo innego scedować, powinien to przyznać. Ale wiedziałam, że nie przyzna i że to koniec. Znużona i zrozpaczona, wstałam z sofy, umyłam twarz, poprawiłam włosy, wygładziłam suknię i spojrzałam przelotnie w lustro; zobaczyłam bladą twarz o podkrążonych oczach. To koniec, pomyślałam. Szłam korytarzem wolno, jak na ścięcie, zatrzymałam się przy drzwiach jego ubieralni, podniosłam rękę i zapukałam. Rozległ się głuchy odgłos, jakby grudy ziemi spadały na trumnę.
- Kto tam? - dobiegł ze środka jego głos.
- Królowa Anglii - powiedziałam, otwierając drzwi. Siedział przy biurku, mała lampa z zielonym abażurem,
jeszcze ze studenckich czasów, rzucała krąg światła na leżącą przed nim kartkę papieru. Trzymał w ręce pióro, ale papier był czysty i coś w jego postawie kazało mi się domyślić, że

wpatrywał się w jej białą płaszczyznę już od dłuższego czasu. Popatrzyłam na niego, na opuszczone

ze znużeniem ramiona; miękkie, błyszczące włosy z zakolami - tak, już! - na skroniach, przerzedzające się na czubku głowy. Popatrzyłam na jego profil, piękny prosty nos, który zawsze podziwiałam, usta o opuszczonych z goryczą w dół kącikach, gładkie policzki, bokobrody, połyskujące jakby wpleciono w nie cienkie miedziane druciki, kształtne uszy. Patrząc na niego, na to, co było tylko zewnętrzną powłoką, odkryłam coś cudownego i ważnego; tak ważnego, że omal tego nie wykrzyczałam: jest możliwe kochać kogoś całkowicie, bezgranicznie, nienasycenie, nawet jeśli nie zgadza się z nim w podstawowych kwestiach, nawet jeśli ma się świadomość, że będzie się z nim walczyło do końca życia. Kochałam Alberta i nic tego nie mogło zmienić; choćby kres naszej walce miała położyć dopiero śmierć; choćbym miała się nie zgodzić z ani jednym jego słowem; nie zaakceptować tego, co by robił - i tak będę go kochać bezgranicznie.
Zrozumiawszy to, poczułam ogromną ulgę i radość.
- Albercie! - powiedziałam.
Podniósł na mnie wzrok i zobaczyłam twarz bez uśmiechu, nie zagniewaną czy bezbrzeżnie smutną lub zdeterminowaną, jakby się można było spodziewać, ale strwożoną. W jego wzroku czytałam przeczucie straty; stawił mi opór i zupełnie nie wiedział, co uczynię ani co on pocznie z moją decyzją. Ale przecież był to mój drogi Albert, mój ukochany na zawsze, na zawsze! Jak mógł tego nie wiedzieć? Jak mógł zwątpić w swoją Wiktorię? Ale zrozumiałam też, jaka byłam niemądra. Chciał, abym mu uległa i musiałam mu ulec, ponieważ doszedł do kresu wytrzymałości, nie było już dla niego odwrotu. Muszę zapomnieć o swojej dumie, aby ochronić jego dumę; nie dlatego że to sprawiedliwe, dobre czy słuszne, ale dlatego że ja mogłam to zrobić, on nie potrafił. Nic, co bym zrobiła - czy uczynię go swoim panem i mistrzem, władcą mego domu i życia - ani trochę mnie nie pomniejszy, nie zachwieje wewnętrzną pewnością siebie; on zaś tej wewnętrznej pewności siebie nie ma. Muszę oddać mu wszystko, niczego nie wolno mi zatrzymać dla siebie; przekonać go, że całkowicie do niego należę; a co do moich
293
przysiąg w obliczu Boga... cóż, znajdę jakiś sposób, by ich dotrzymać i jednocześnie zachować męża. Nie było niczego, przed czym bym się cofnęła. Byłam silna - wystarczająco, aby przegrać, pozostając zwycięzcą.
- Kto tam? - zapytał ponownie.
Głupie pytanie! Och, nie, zrozumiałam go.
- Twoja żona - powiedziałam i zobaczyłam, jak skóra wokół oczu wygładza się nieco, choć twarz wciąż ma wyczekujący wyraz. - Przyszłam, aby ci powiedzieć, że Lehzen odejdzie.
- Oddalisz ją?
- Skoro tego właśnie pragniesz... Nie dbam o nią. Ważny jesteś dla mnie tylko ty. - Czekałam na uśmiech, na kapitulację, otwarte ramiona, ale on wciąż na mnie patrzył. Czy to mu jeszcze nie wystarczało? Nie wierzył, że zwyciężył? Impulsywnie wyciągnęłam do niego ręce i wypowiedziałam słowa, które jak się okazało, potwierdziły mu wreszcie, że twierdza zdobyta: - Przepraszam. Wybacz mi.
- Och, moja miłości - powiedział. Jakby wezbrane wody przerwały tamę. Wstał, odpychając gwałtownie krzesło, przeskoczył dzielące nas dwa kroki i wziął mnie w ramiona. Ach, co za słodkie uczucie czuć ich uścisk znowu! Przytuliłam się do niego, do znajomych, ukochanych kształtów, jego silne ramiona objęły mnie mocniej. - Och, Wiktorio, powiedz, że mnie kochasz!
- Kocham cię, Albercie! Na wieki! Zawsze będę cię kochać!
Poczułam, jak drży z ulgi.
- Ja też cię kocham. Moja maleńka, moja najdroższa, tak bardzo cię kocham!
Uścisnął mnie konwulsyjnie, uniosłam twarz i zaczęliśmy się całować bez końca, jakbyśmy nigdy nie mieli przestać. Wszystko dobrze, pomyślałam. Jestem z powrotem w domu. Wszystko dobrze. Nie rozmawialiśmy zbyt dużo tego wieczoru pojednania; całowaliśmy się za to i przytulaliśmy bez końca, nie obyło się bez paru łez, a potem kierowani jednym pragnieniem, położyliśmy się wcześnie do łóżka, gdzie nastąpiło wspaniałe
294
potwierdzenie wznowienia naszych małżeńskich stosunków. Gdyby szukać w tej okropnej kłótni

czegoś dobrego, to byłaby to z pewnością intensywność uczuć, jakich oboje doznaliśmy tej nocy. Nieważne, ile to wszystko mnie kosztowało, zostałam z nawiązką wynagrodzona; poddał mi się w paroksyzmie rozkoszy tak całkowicie, jak ja się poddałam jemu. Poruszyło go to do głębi jestestwa; uwolniło od napięcia, czego jednocześnie pragnął i równie mocno się obawiał. Leżał potem na mojej piersi, odsłoniwszy przede mną całą swoją duszę, zupełnie bezbronny i bezradny, jakby nawet zbyt mocno wciągnięty oddech mógł go śmiertelnie zranić. Ale miałam dla niego tylko czułość. Trzymałam mojego kochanka w objęciach, jak matka noworodka, moje serce śpiewało triumfalną pieśń, bo jeśli ja nie mogłam żyć bez niego, on tym bardziej nie mógł się beze mnie obejść.

Rozmawiać zaczęliśmy dopiero następnego dnia. O Lehzen, ku mojemu zdziwieniu, w ogóle nie było mowy; zupełnie jakby zwyciężywszy w tej sprawie, nie widział potrzeby, aby mnie ponaglać. Chciał natomiast porozmawiać o swojej pozycji.

- Od początku trzymałaś mnie z daleka od wszelkich spraw, domowych i państwowych, i to była najcięższa dla mnie próba w całym moim życiu, Wiktorio - powiedział, splatając ręce, jakby chciał tym gestem podkreślić ważność tego, co mówi. - Nie mogę być nikim.

- Powiedz mi, czego chcesz, a będziesz to miał - zapewniłam go uspokajającym tonem.

Spodziewałam się, że wymieni jakieś specjalne zadanie, określoną pozycję, ale on z oczyma rozświetlonymi wizjonerskim światłem, roztaczał przede mną szerokie perspektywy:

- Chciałbym wprowadzić ten kraj w wiek oświecenia, który panuje nam w Niemczech. Chciałbym wprowadzić Anglię w wiek dziewiętnasty.

- Nie jesteśmy w dziewiętnastym wieku?

- O nie! W żadnym razie! - zaprzeczył żarliwie. - Ugrzęźliśmy w osiemnastym wieku, a dwór i rząd są kwintesencją tego, co najgorsze. Och, jakże nienawidzę tego, na co się tu stale natykam: korupcji, machinacji, przywilejów! Dobrze urodzeni zajmują odpowiedzialne stanowiska, a obowiązki

cedują na niższych rangą, ci z kolei opłacają jeszcze niższych i tak dalej, aż dochodzimy wreszcie do najniższego, najnędzniejszego sługi, który wykonuje swoją pracę, ponieważ potrzebuje pieniędzy, nie przykładając się należycie i nie posiadając ku temu stosownych umiejętności. W ten sposób nic nie jest wykonane jak należy, korupcja rodzi fortuny na rozmaitych szczeblach władzy.

- Cóż, myślę, że wiele w tym prawdy - przyznałam uczciwie. - Ale co możemy zrobić?

- Wyrugować te praktyki rodem z Hiszpanii. Wyrugować z ministerstw korupcję. Nade wszystko, zyskać pewność, że właściwi ludzie staną u steru. Wszystko w Anglii opiera się na systemie protekcji... znajomi rekomendują znajomych, a jeśli ktoś jest pozbawiony znajomości, nie ma co liczyć na powodzenie.

- Ale jeśli ktoś nie ma znajomych, z pewnością jest tego jakiś powód - powiedziałam. - I być może dobrze, że nie może liczyć na powodzenie.

- Och, Wiktorio, jaka ty czasem potrafisz być naiwna! Czy naprawdę uważasz, że każdy, kto się daje lubić, jest wartościowym człowiekiem?

- Tak - potwierdziłam stanowczo. - Ponieważ jeśli kogoś nie lubię, zawsze okazuje się złym i niegodnym zaufania człowiekiem.

- To że kogoś lubisz, bo jest zabawny i czarujący, nie oznacza jeszcze, aby się nadawał na stanowisko wymagające odpowiedzialności - powiedział Albert, a ja zacisnęłam usta na tę wyraźną aluzję do lorda M., ponieważ stanowczo nie życzyłam sobie nowej kłótni. - Chciałbym takiego systemu, który promuje mężczyzn o silnej woli i filozoficznych inklinacjach, a nie tych, którym najlepiej idzie uganianie się za zwierzyną czy najbardziej udatnie zawiązują fular. Kiedy widzę, jak sprawami kraju kierują ze Świętego Jakuba niedbali cynicy, którzy palą, piją, trzymają kochanki, których raczej należałoby nazwać sprytnymi niż szlachetnymi, ogarnia mnie złość.

- Ależ bo ty nie rozumiesz! - wykrzyknęłam. - Mężczyźni jak... jak... ci na najwyższych stanowiskach, sprawiają tylko wrażenie nonszalanckich, w rzeczywistości przejmują się swoimi obowiązkami i wypełniają je skrupulatnie. Nie sądzą

po prostu, aby było właściwe to demonstrować. Zawsze wydawał nam się podejrzany przesadny entuzjazm. W Anglii mężczyzna musi przyjąć pozór nonszalancji, nawet jeśli pracuje najciężej w świecie. Musi wyrażać się lekko i dowcipnie nawet o rzeczach, które są dla niego święte. Albert z powagą potrząsnął głową.
- Nie pochwalam tego. Jest rzeczą niewłaściwą mówić lekko na poważne tematy, żartować z tego, co dobre, stwarzać pozory akceptacji dla zła.
Przypomniały mi się słowa lorda M.: dużo zabawniej przebywać w towarzystwie grzeszników niż świętych, ale szybko odsunęłam to wspomnienie. Bycie zabawnym nie uchodziło w oczach Alberta za cnotę; w każdym razie nie w tym momencie.
- Ale taki jest angielski styl bycia - powiedziałam, chyba nawet przepraszająco.
- Więc musimy go zmienić - oświadczył stanowczo. -Musimy wprowadzić niemiecki styl. Nie ceniliśmy w Koburgu lekkomyślności. Punktualność, pracowitość, oszczędność, pokora oto jakie cechy powinni pokazywać światu wysoko postawieni; a nade wszystko powagę. Il faut etre serieux, kochanie! Ci, których kraj zaszczycił wysoką pozycją, powinni się odznaczać inteligencją, żelazną wolą i moralnością bez skazy. Dopiero wtedy dokona się postęp.
- Cóż, tak - powiedziałam z powątpiewaniem - i sądzę, że w większości mamy takich ludzi w rządzie, chociaż czasami może wyglądać...
Ale on był jak w transie, niebieskie oczy płonęły entuzjazmem.
- Właśnie tak, i jest jeszcze coś! Za dużo w angielskich rządach pragmatyzmu... robi się tutaj tylko to, co wydaje się możliwe do przeprowadzenia, tylko dlatego że jest szansa na powodzenie. To nie jest właściwy sposób rządzenia krajem! Trzeba mieć jakiś moralny drogowskaz. Najpierw twoi ministrowie powinni wyznaczyć cele, potem filozofowie obmyślić system, który pozwoli je zrealizować.
Zaczynałam się trochę w tym wszystkim gubić.
- Mamy tu system rządów, który zupełnie dobrze funkcjonuje - powiedziałam niepewnie.

- Laissez-faire trudno nazwać systemem! Unikanie zmian, ponieważ mogą być trudne do przeprowadzenia, to nie rządzenie, to indolencja! Wszystko daje się ulepszyć... jeśli w to nie wierzymy, nie mamy po co żyć na tej ziemi. Musimy dążyć do ulepszenia natury ludzkiej, a nie tarzać się w występku i usprawiedliwiać siebie, że nic nie można na to poradzić. Ludzie muszą się stać lepsi, a my, wyniesieni na najwyższą pozycję, musimy świecić przykładem. Tobie i mnie, Wiktorio, została dana najwspanialsza sposobność po temu, ale i obarczono nas wielką odpowiedzialnością! Monarchia musi być w oczach narodu strażnikiem moralności, uosobieniem sprawiedliwości, cnoty i honoru.
Cóż, z pewnością nie tak było, i to w całkiem nieodległej przeszłości, przyznałam mu rację w duchu. Od pewnego czasu Albert mówił po niemiecku; przeszedł na ten język całkiem naturalnie i niepostrzeżenie dla siebie, w miarę jak w jego słowach brzmiało coraz więcej emocji. I jaką poruszającą wizję przede mną roztaczał! Wyobraziłam go sobie w błyszczącej zbroi, z uniesionym wysoko lśniącym mieczem, maszerującego do walki z siłami zła. Och, jakże go kochałam! Jaki był piękny! Ale wizja, którą roztoczył, wydała mi się jednocześnie odrobinę ponura i praktyczna część mojej natury podpowiadała mi, że drobiazgowe stosowanie się do tak surowych zasad może być męczące.
- Masz rację, oczywiście, że masz - powiedziałam - ale czy w tym twoim przepojonym dzielnością nowym świecie nie będzie miejsca na śmiech? Na zabawę czy przyjemności?
Z jego twarzy znikło napięcie i uśmiechnął się do mnie tym swoim czułym, słodkim uśmiechem, który zawsze rozgrzewał mi serce.
- Oczywiście że będzie, ty mały głuptasie! Niewinny śmiech, domowe rozrywki, cnotliwe przyjemności... to, co najlepsze! Powinniśmy zgromadzić wokół siebie najwspanialszych ludzi, największych myślicieli, poetów, artystów, muzyków; podczas obiadu powinniśmy toczyć wyłącznie inteligentne, rozwijające rozmowy, a nie pospolicie plotkować.
(Ta akurat część jego wizji nie bardzo przypadła mi do gustu; nie popieram wprawdzie szkodliwego, krzywdzącego innych plotkowania, ale uwielbiam lekkie pogawędki. Interesują mnie

298
nawet drobne wydarzenia z życia otaczających mnie ludzi, nic nie sprawia mi takiej przyjemności, jak rozmowa o ich domach, dzieciach, codziennych zajęciach, przykrościach i przyjemnościach. Albert niestety nie objawiał żadnego zainteresowania „niewielkimi zmianami" w życiu ludzi. Pospolite rozmowy - a zatem nieinteligentne i nie rozwijające - nudziły go i wiele razy widziałam, jak patrzy szklanym wzrokiem na salon lub jak mu się napinają i bieleją nozdrza od powstrzymywanego ziewnięcia).
- Będziemy wspierać sztukę - kontynuował - gromadzić wokół siebie skarby świata, popierać filantropów, naukowców, wynalazców. Anglia będzie wzorem dla świata we wszystkim, co dobre i piękne; wszystkim, co uczyni rodzaj ludzki mądrzejszym, rozwinie go pod względem moralnym... a Anglii my będziemy przewodzić. Ty będziesz przewodzić Anglii.
Jego entuzjazm był zaraźliwy. Splotłam dłonie i wykrzyknęłam:
- Och, tak! Tak! Ale to będzie twoja zasługa! Twoje imię będzie rozbrzmiewać na całym świecie, w każdym mieście stanie twój pomnik!
- Nie potrzebuję pomników - powiedział poważnie. - Potrzebuję tylko twojej miłości i zaufania.
- Ależ ja cię kocham.
- I ufasz mi? - zapytał łagodnie. - Będziesz mi we wszystkim pomagać?
Zastanowiło mnie to, ale odpowiedziałam w miarę pewnie i bezzwłocznie:
- We wszystkim. Czy ci tego nie powiedziałam ostatniej nocy?
- Nie słowami - odparł, ale ja tylko wpatrywałam się w niego niewzruszenie i w końcu się uśmiechnął. - Tak, tak, powiedziałaś. Muszę być tak samo szlachetny jak ty. Nie zasługuję na ciebie, Wiktorio. Jesteś taka otwarta i wielkoduszna, ciepła i kochająca, a ja jestem taki podejrzliwy.
- Ale nie w stosunku do mnie?
- Nie, nie w stosunku do ciebie - powiedział i podniósłszy obie moje dłonie do ust, pocałował je niemal z czcią. - Hertz-llebste!
299

2 czerwca 1900.

W niedługi czas po naszym pamiętnym pogodzeniu i mojej decyzji podporządkowania się Albertowi celebrowaliśmy chrzciny syna. Zakochana bez pamięci w Albercie, chciałam oczywiście, aby dziecko we wszystkim przypominało ojca i dałam temu początek, wybierając dla niego imię Albert po ojcu i Edward po dziadku. Albert nie miał żadnych zastrzeżeń, lord M. natomiast, gdy mu o tym powiedziałam, zapytał, czy imiona nie powinny następować w odmiennym porządku.
- Albert nie jest angielskim imieniem - powiedział. - Nie jestem pewien, czy to się spodoba.
Pomyślałam, że „król Albert" brzmi nadzwyczaj pięknie. Skoro parlament nie pozwolił mi uczynić mojego Alberta królem, chciałam mieć przynajmniej tę satysfakcję, że tron po mnie przypadnie komuś o tym samym imieniu. Nie wyznałam tego jednak lordowi M.; po prostu przypomniałam mu stanowczym tonem:
- To stare saksońskie imię. Uśmiechnął się wyrozumiale.
- Ale też od czasów saksońskich wyszło z użycia. Teraz raczej Edward jest uważane za angielskie imię, często używane i niezwykle popularne, budzi bowiem dobre skojarzenia.
- Będzie się nazywał Albert Edward - powiedziałam niewzruszenie. - I będzie pod każdym względem, ciałem i umysłem, przypominał swojego anielskiego ojca. A począwszy od niego - dodałam, aby zrozumiał, że traktuję to niezwykle poważnie - będzie moim życzeniem, aby każdy męski potomek nosił imię Albert, dla upamiętnienia początku nowej dynastii, powstałej gdy księcia i mnie połączyły śluby małżeńskie.
(Kiedy urodził się pierwszy syn Jerzego i Mary, chciałam oczywiście, aby go nazwano Albert, skoro któregoś dnia miał zostać królem Anglii. Tymczasem oni zirytowali mnie i rozczarowali, nalegając, że chcą ochrzcić chłopca imieniem Edward. Najprzykrzejsze było w tym, że próbowali mnie udobruchać, twierdząc, iż chcą go tak nazwać po bracie Jerzego, biednym Eddym, którego jak

dobrze wiedzieli, bardzo lubiłam.
300
Wytknęłam im, nie bez uczucia lekkiego triumfu, że Eddy wcale nie miał na imię Edward, ale Albert Wiktor, a Eddy nadano mu w dzieciństwie. Myślałam, że utnę tym całą rzecz, tymczasem oni postawili na swoim i ochrzcili chłopca Edwardem - potwierdziło to tylko moje domysły, że przywołali imię biednego Eddiego, aby mnie podejść. Taka nielojalność jest według mnie wysoce niesmaczna. Boję się, że to wpływ Mary; choć miła i z natury dobra z niej dziewczyna, jest w niej przecież coś pospolitego, pewna niefrasobliwość wobec ważnych kwestii, którą prawdopodobnie należy położyć na karb wychowania, jakie otrzymała. Jak to w życiu bywa, wołają na chłopca Dawid, mogli go więc równie dobrze ochrzcić Albert i oszczędzić nam nieprzyjemności).
Lord M. spróbował jeszcze raz, ostatni, zaprotestować:
- Ale jak sobie Wasza Wysokość poradzi z dwoma Albertami w rodzinie?
- Będziemy mówić na chłopca Bertie - powiedziałam spokojnie.
Chrzciny królewskich dzieci były zwykle prywatnymi uroczystościami, ale po tylu latach niepewnej sukcesji zdecydowałam się na oficjalną ceremonię w kaplicy Świętego Jerzego w Windsorze. Miało się to odbyć z wielką pompą i specjalnie na tę okoliczność organista skomponował hymn; przedłożył go nam do akceptacji i Albert, przestudiowawszy go, orzekł, że wszystkich znuży.
- Nie możemy poprosić nikogo innego, aby napisał nowy -powiedziałam. - To będzie straszliwa obraza, ponieważ skomponował go dla nas specjalnie... i na swoje organy.
- W takim razie w ogóle nie będzie hymnu - zdecydował Albert. - Nikt za nimi zresztą szczególnie nie przepada i nikt ich nie pamięta w tydzień później. Jeśli msza zakończy się hymnem, będziemy wychodzić z kościoła z niedobrymi uczuciami, krytykując muzykę.
Miał rację, więc się roześmiałam.
- Co wobec tego proponujesz?
- Powinniśmy zakończyć chóralnym śpiewem. Musi to być coś nabożnego, ale takiego, aby każdy mógł się przyłączyć. -Zasępił się na moment, ale zaraz wykrzyknął: - Ależ oczywiście! Alleluja; wszyscy się przyłączą, z całego serca.
301
Już otwierałam usta, by zaprotestować, ponieważ nigdy nie lubiłam muzyki Haendla, a przez całe moje życie przy lada okazji, choćby wcale nie była aż taka wielka, ścigało mnie to nieszczęsne „Alleluja! Alleluja!". W porę przypomniałam sobie, że jestem uległą żoną i nie otworzyłam ust. W rezultacie wszystko przebiegło znakomicie i chwalono nas za innowację (zaczęto na szczęście grać, gdy już wychodziliśmy, tak więc nie musiałam słuchać zbyt długo). Jak przy wielu innych okazjach, przekonałam się zatem, że Albert miał jednak rację. Ceremonia przebiegła pomyślnie, dziecko zachowywało się spokojnie, a dziekan Windsoru wrył mi się w pamięć godnymi uwagi gratulacjami dla królowej, która „oszczędziła krajowi niewiarygodnego nieszczęścia żeńskiej sukcesji". Niefortunnie wymieniłam z Albertem w tym momencie spojrzenia i musiałam przygryzać policzki, aby nie wybuchnąć śmiechem.
To było wspaniałe wydarzenie; ponad sześć tysięcy ludzi przybyło z Londynu, aby je obserwować. Pociągi Zachodniej Kolei Żelaznej jeździły co pół godziny; na stacji Slough trzeba było przystosować dwie nowe poczekalnie dla znakomitych gości, wyposażając je w szkarłatne dywany, marmurowe kominki i rozliczne lustra w pozłacanych ramach. W tamtych czasach nie korzystałam z kolei żelaznej; po raz pierwszy odważyłam się na to, nie bez zdenerwowania, w czerwcu tamtego roku i od tej pory nie mogę zrozumieć, jak ktokolwiek może przedkładać drogi nad kolej. Kiedy podróżowaliśmy z Albertem karetą, chcąc uniknąć towarzystwa wścibskich konnych i otoczenia przez dwukółki, zmuszeni byliśmy galopować najszybciej, jak można, toteż podrzucało mną nader często i w przerażający sposób, czego efektem były zadziwiające nieraz siniaki. Do tego wszędzie wciskał się kurz, a gdy się zatrzymywaliśmy, natychmiast oblegał nas tłum; wszyscy chcieli się nam przypatrzyć i wtykali głowy w okna.
Kolej żelazna była prawdziwym i całkowitym błogosławieństwem - szybka, nie podskakiwała na wybojach, zapewniała nam całkowitą prywatność, zupełnie jakby przewożono człowieka w jego własnym salonie. Uwielbiałam szybkość i chętnie pędziłabym „na łeb, na szyję", jak to się teraz

mówi,
302
ale Alberta denerwowało, gdy wiejski krajobraz przemykał za oknem: „Nie tak szybko, mości konduktorze", powiedział kiedyś i wymógł na mnie, abym posłała notatkę z poleceniem jechania wolniej; ustanowiłam wobec tego zasadę, że królewski pociąg nie powinien jechać szybciej niż czterdzieści mil na godzinę. Było to i tak cztery razy szybciej, niż mógł jechać powóz i jestem głęboko przekonana, że kolej, na równi z fotografią, są największymi i najbardziej uniwersalnymi wynalazkami naszego wieku.
Książę, co muszę tu powiedzieć, nienawidził szczerze pociągów od czasu, gdy na jego oczach zdarzył się potworny wypadek podczas otwarcia kolei z Liverpoolu do Manchesteru w 1830 roku: William Huskinsson został uderzony i zabity przez lokomotywę. Książę odmawiał konsekwentnie podróżowania w ten sposób, aż do sierpnia roku 1843, kiedy to musiał mi towarzyszyć w podróży koleją; nie miał już wtedy wyjścia, a mimo to musiano go siłą niemal wepchnąć do wagonu. Muszę przyznać, że natychmiast docenił korzyści płynące z podróży koleją, których dobrowolnie się dotąd pozbawiał i całkiem sobie cenił ten sposób poruszania.
Wracając jednak do chrzcin; w „Timesie" ubolewano następnego dnia, że wśród zaproszonych gości byli prawie sami Niemcy, a to na skutek wybrania przez Alberta na ojca chrzestnego króla Prus. (Albert uważał Prusy za naturalnego sojusznika Anglii i pragnął zjednoczenia Niemiec pod pruskim przewodnictwem, z Pussy na tronie. Małżeństwo króla Prus było bezdzietne, a syn królewskiego brata, następny na drodze do tronu, miał tylko dziesięć lat więcej niż Pussy, tak więc nie była to zupełnie nierealna możliwość).
Po chrzcie przeprowadziliśmy pewne zmiany w pokoju dziecinnym. Pani Southey nie wypełniała swoich obowiązków należycie; ta praca wyraźnie ją unieszczęśliwiała, nie potrafiła zaprowadzić porządku wśród podlegającej jej służby, często bywała nieobecna, tak że dzieci pozostawały przez długie okresy pod opieką ludzi o nieodpowiedniej pozycji. Zasięgnęłam opinii lorda M. i poradził nam mianowanie guwernantki, kogoś, kto nie będzie sprawował obowiązków wyłącznie tytularnie, a rzeczywiście.
„Za wszelką cenę powinna nią zostać osoba z arystokracji -
303
pisał do mnie. - Kobietom o niższej pozycji często brakuje wykształcenia, a i rozsądku. Władają nimi silnie uprzedzenia rozmaitego rodzaju, są podatne na zawrót głowy, wywołany wyniesieniem na tak wysoką pozycję. Wydaje się też, że liczba krewnych jest nieskończona, wywierają oni ogromną presję, chcąc znaczyć coś na dworze, i usilnie starają się zwrócić na siebie uwagę, co jest męczące i zmusza do okazywania im niegrzeczności".
Albert uznał, że jest to rozsądna rada (bardzo wielkodusznie, skoro pochodziła od lorda M.) i nasz wybór padł na lady Lyttleton, z domu Spencer, moją damę sypialni od 1838 roku, ze starej dobrej wigowskiej szkoły, świetnie wykształconą, tolerancyjną, liberalną, całkowicie oddaną dzieciom (miała pięcioro własnych i zmuszona była wychowywać je samotnie od czasu śmierci męża w 1837 roku). Pełniła funkcję guwernantki do 1851 roku, kiedy to odeszła na zasłużony odpoczynek, dzieci bardzo się do niej przywiązały i nazwały ją „Laddle". Zaczęła od stwierdzenia, że nie uznaje karania malutkich dzieci, ponieważ: „Nigdy nie ma się pewności, czy rozumieją, że kara jest konsekwencją ich niegrzeczności" - ale pomimo to zdołała jakimś sposobem skłonić Pussy do posłuszeństwa, nie było też potem żadnych trudności z resztą, gdy się pojawiła na świecie. Jej wpływowi należy zawdzięczać powiew zdrowego rozsądku w pokoju dziecinnym, raczej praktyczne niż teoretyczne podejście do dzieci; szybko też Pussy przestała mieć kłopoty z trawieniem i stała się, jak to Laddle określiła: „ślicznym, tłuściutkim, jasnowłosym królewiątkiem, w każdym calu, aż do przesady, małą kopią królowej".
Jeśli już coś robię, oddaję się temu całkowicie. Skoro Albert pragnie potulnej, podporządkowanej mu małej Hausfrau w niemieckim stylu, będzie ją miał - zobaczymy, jak mu się to spodoba. Tak, to prawda, obawiam się, że mieszkał we mnie chochlik przewrotności i nie zgadzając się we wszystkim z jego punktem widzenia, chciałam mu się tak podporządkować, żeby zrobiło się mu od tego niedobrze. Postanowiłam, że będę jak bluszcz; krucha, bezradna, nie mająca własnej opinii w

żadnej kwestii, niezdolna do podjęcia decyzji w takim stopniu, że będzie musiał mi doradzać w wyborze kapelusza;
304
a kiedy ugnie się wreszcie pod ciężarem mojej zależności, uświadomię mu to bezlitośnie!
Te karygodne myśli nie zajmowały mnie na szczęście zbyt mocno; w gruncie rzeczy całą swoją istotą pragnęłam mężczyzny, który by mnie wspierał i prowadził - co znakomicie potwierdzała moja zależność od lorda M. Straciłam ojca we wczesnych latach dzieciństwa i zawsze szukałam kogoś, kto by go zastąpił; kogoś mądrego i silnego, kto by się mną opiekował, w kim znalazłabym oparcie, dzięki komu poczułabym się wreszcie bezpieczna. Ustąpiwszy Albertowi z konieczności i w pewnym stopniu wbrew własnej chęci, spodziewałam się, że będę niezadowolona, tymczasem odkryłam po pewnym czasie, że to rozkoszne.
Całkowite poddanie nie nastąpiło od razu, oczywiście. Zdarzały się kłótnie, różnica zdań, obraza; trudno, żeby jednego dnia zmienił mi się całkowicie charakter - pewnych wad, muszę to uczciwie przyznać, nigdy nie udało mi się zwalczyć. W miarę upływu lat stawałam się jednak osobą coraz bardziej zdolną do podporządkowania się - działającą racjonalniej, bardziej doświadczoną, a nade wszystko coraz szczęśliwszą. Niezwykle łagodząco na charakter wpływa posiadanie kogoś, kto podejmuje za nas decyzje i bierze na siebie odpowiedzialność; musiałam się zmienić i okazało się, że na lepsze. Albert z kolei zajął wreszcie pozycję, która wydawała mu się jedynie naturalna i właściwa, i odpłacił mi się poświęceniem, czułością i ciepłem, płynącym z poczucia perfekcyjnego dopasowania się, czego jak sądzę niewielu ludzi ma szczęście doświadczyć w życiu. Czułam głębokie, przesycone spokojem zadowolenie, bezpieczna pod jego opieką, i ze zdumieniem wspominałam Wiktorię, która tak zawzięcie broniła się przed poddaniem.
Najbardziej znaczącą zmianę w moim życiu przyniosło jednak przekazanie Albertowi kluczy do moich papierów, stał się bowiem w ten sposób - choć nigdy nominalnie nie sprawował tej funkcji - moim prywatnym sekretarzem. Nigdy nie żałowałam tej decyzji, a głęboko zakorzeniony strach przed przywłaszczeniem sobie przez niego mojej władzy okazał się śmieszny i niczym nie uzasadniony. Żaden sekretarz nie służył nikomu większą pomocą niż mnie Albert; czytał
305
za mnie dokumenty państwowe, przygotowywał wyciągi, podkreślał ważniejsze ustępy, pisał szkice moich oficjalnych wystąpień i listów, robił notatki z ważniejszych rozmów, badał kulisy wydarzeń i motywy ludzi, aby mi dobrze doradzić, utrzymywał skrupulatny porządek w napływających i przygotowywanych przez nas dokumentach, listach, notatkach. Było to iście monumentalne zadanie i rosło z każdym rokiem, w miarę jak w ministerstwach przyzwyczajono się go uważać za moją prawą rękę.
Polegałam na nim coraz bardziej i bardziej w sprawach państwowych, a także domowych, i nie mogłam sobie wyobrazić, jakim cudem zdołałabym sobie bez niego dać radę, zajęta niemal bez przerwy rodzeniem dzieci. W istocie, gdybym nie dzieliła z nim pracy, nie byłabym w stanie w pełni sprawować władzy i musiałabym prawdopodobnie jej część scedować w inne ręce, a kto wie, czy odzyskanie jej nie byłoby kłopotliwe. Daleki od uszczuplania moich prerogatyw, Albert przeciwnie - chronił je i nie robił tego dla swej własnej chwały, ale wyłącznie i całkowicie bezinteresownie dla mnie i dla kraju. Anson miał całkowitą rację. Wśród wszystkich książąt Europy, których mogłam poślubić, nie było - mocno w to wierzę - drugiego takiego jak on: pracowitego, oddanego, bezinteresownego. Czyż można się dziwić, że wpadałam czasem w furię, gdy niedoceniano go w kraju, któremu tak niezmordowanie służył? Albo temu, że gdy nas opuścił, starałam się postawić mu pomniki w każdym zakątku Anglii?
Pozorna przyczyna kłótni, Lehzen, odeszła ze służby dopiero we wrześniu. Datę dymisji uzgodnili oboje z Albertem, nie konsultując się ze mną (co jak sądzę, poczytał za uprzejmość), zostałam o niej poinformowana w lipcu jako o fait accompli. Moja droga Lehzen zachowała się, odchodząc dokładnie tak, jak postępowała zawsze - nieegoistycznie, mając na uwadze wyłącznie moje dobro. Przekazała stopniowo obowiązki swoim następcom i wczesnym rankiem trzydziestego września odjechała cichaczem, aby oszczędzić mi procedury oficjalnego pożegnania. Zamieszkała w Hanowerze z siostrą; dałam jej nowy powóz i wyznaczyłam pensję w wysokości ośmiuset funtów

szterlingów rocznie, aby mogła żyć wygodnie. Niestety, jej siostra zmarła niedługo potem i moja biedna
306
dawna guwernantka resztę swojego długiego życia spędziła samotnie. Pisywałam do niej raz w miesiącu, ale spotkałam się z nią tylko raz, czy dwa, chociaż żyła jeszcze dwadzieścia osiem lat. Umarła w 1870 roku, w miesiąc po swoich osiemdziesiątych szóstych urodzinach i podobno ostatnim słowem, jakie wypowiedziała, było moje imię. Kiedy tutaj siedzę, prawie w tym samym wieku co ona, otoczona dziećmi i wnukami, rozmyślam o jej samotnej starości z nieskończonym żalem i nie bez pewnego poczucia winy.
Następnego ranka po jej wyjeździe obudziłam się ze snu, w którym przyszła się ze mną pożegnać, i powrót do świadomości był niezwykle bolesny. Ale Albert był przy mnie, wziął mnie w ramiona, opowiedziałam mu o swoim zmartwieniu i odpędził je argumentami i pocałunkami. To był początek nowego okresu. Znikli wszyscy, którzy mieli na mnie kiedyś wpływ, wzburzone morze uspokoiło się, wpływałam do bezpiecznego raju. Teraz i na zawsze tylko jedna osoba miała na mnie oddziaływać, zawsze życzliwa i niezawodna: mój najukochańszy mąż i przyjaciel. Ale jeśli się czyni kogokolwiek od siebie całkowicie zależnym, obojętne: dziecko, współmałżonka, zwierzę - należy się najpierw upewnić, czy zawsze się przy nim będzie. Albert doprowadził do tego, że nie potrafiłam nic już bez niego zrobić, a potem mnie w najokrutniejszy sposób opuścił, skazując na samotną walkę przez nieskończone lata jałowej samotności. Ale oczywiście wtedy żadne z nas o tym nie myślało. Mieliśmy po dwadzieścia trzy lata, a gdy jest się młodym, zupełnie naturalnie przyjmuje się, że również jest się nieśmiertelnym i że wszystko będzie trwało tak samo na zawsze.

Rozdział Trzynasty.
5 czerwca 1900 w Balmoral.

Byłam zmuszona zatelegrafować do Salisbury'ego i ostrzec go przed zbyt wczesnym wycofaniem naszych oddziałów z Afryki Południowej. To naturalne, że niższe klasy, widząc,
307
jakie ostatnio odnieśliśmy sukcesy, wierzą niezachwianie w koniec wojny, z mojego doświadczenia wynika jednak, że zbytni entuzjazm w momentach takich jak ten prowadzi do rozluźnienia czujności, to z kolei sprzyja powstaniu nowych kłopotów i trzeba posyłać dodatkowe oddziały wojska. Pamiętam, jak to było na Krymie! Ale Salisbury to porządny człowiek i z pewnością mnie posłucha. Był pierwszym premierem młodszym ode mnie (jeśli dobrze pamiętam, był paziem podczas mojej koronacji!), a gdy w osiemdziesiątym piątym zastąpił Gladstone'a, poczułam taką ulgę, jakbym była dzieckiem, któremu pozwolono nie iść do szkoły. Jest - Salisbury - najdłużej mi służącym premierem i poza kwestią zwierzchnictwa Kościoła zgadzamy się we wszystkim, tak że jest to jeden ze spokojniejszych okresów w moim życiu -jeśli mowa o polityce, oczywiście.
Jestem w nie najlepszym humorze; pogoda od drugiego czerwca okropna i denerwuje mnie, że nie mogę zażywać ruchu, jeżdżąc powozem, a poza tym nie mam przy sobie Baby. Jerzy uważa, że musi koniecznie wyjechać w sobotę, chociaż powody wydają mi się zupełnie nieprzekonujące; nie znoszę, gdy ludzie ode mnie odjeżdżają. Mary i dzieci jednak zostaną. Nowe dziecko rozwija się znakomicie, ale mały Dawid był ostatnio bardzo niespokojny i dopiero wczoraj odkryliśmy dlaczego. Kiedy Henryk się urodził, Jerzy powiedział Dawidowi, że jego mały braciszek „wleciał przez okno" i że „obcięli mu skrzydła, aby nie mógł z powrotem wylecieć". Zdaje się, że od tamtego momentu chłopiec żył w strachu, bojąc się gdzieś natknąć na to okropieństwo, a w nocy nękał go koszmar, że znajduje je we własnym łóżku pod poduszką. Doprawdy nie pochwalam mówienia takich kłamstw dzieciom, co też powiedziałam Jerzemu. Nie zamierzał niczego złego, ale jeśli dzieci są za małe, by coś zrozumieć, znacznie lepiej właśnie to im powiedzieć - że są za małe, aby rozumieć. Dawid ma nazbyt aktywną wyobraźnię, aby ją karmić potwornościami!
Ja też zawsze miałam sporą wyobraźnię i dzięki temu, pisząc przez ostatnie miesiące o wczesnych latach mojego życia, mogę się znowu poczuć jak wtedy, gdy byłam młoda, niedoświadczona i

niewiele wiedziałam i właśnie tak to opisywać.
308
Ale zaczęłam o moich dzieciach, a to zupełnie zmienia sprawę. A to z jednego powodu: zmieniamy się tak bardzo w ciągu naszego życia, że przypomnienie sobie, co się do nich czuło w jakimś określonym czasie, nastręcza sporo trudności i obraz nie do końca jest prawdziwy. Być może w ogóle nie ma czegoś takiego jak prawdziwy obraz macierzyństwa. Najdziwniejszą rzeczą, jeśli mowa o dzieciach, jest to, że nigdy do końca nie dorastają. Gdy widzę moje dzieci dzisiaj, wydają mi się całkiem odmienne od wytrzeszczających oczy, wrzeszczących niemowląt, którymi przecież kiedyś były, a jednak w moim umyśle egzystują i w jednej, i w drugiej postaci. Tak jakby każde z moich dzieci dorastało etapami, jakby w jednym dziecku było kilkoro i gdybym je zliczyła, okazałoby się, że nie miałam dziewięciorga, a powiedzmy sześćdziesięcioro troje.
Dzieci uważa się za błogosławieństwo i tak oczywiście jest pod wieloma względami, ale też pod jednym ograniczają człowieka. Małe istoty, ulepione z tej samej gliny, co my, kształtowane przez nas, przybierają własne kształty i chociaż dostrzega się podobieństwo w tym czy owym, zawsze jest jednak więcej odmienności. Nagle dociera do nas, że mamy obok siebie dorosłą, kompletnie nam nie znaną osobę, a my się postarzeliśmy. Dzieci zabierają młodość i siłę, oddaje się im własne życie, a gdy staną się niezależne i już nie potrzebują czerpać z naszego życia, postrzegamy, że się skróciło, męczy nas, uwiera, blask młodości przeminął bezpowrotnie.
Być może z mężczyznami sprawa przedstawia się inaczej. Albert stale rozprawiał o tym, jak to dzieci stanowią przedłużenie naszej miłości, są żywym świadectwem naszego cudownego połączenia się, niezaprzeczalnym dowodem dla przyszłych generacji, że się niezwyczajnie kochaliśmy i tak dalej. Cóż, zawsze miał wspanialsze niż ja wizje. Żył na szczycie niedostępnej innym góry, z której rozciągały się niezwykłe widoki. Ja zaś wspinałam się za nim mozolnie po jej zboczu, dźwigając koszyk z wiktuałami i pledy i obijając sobie palce u nóg o głazy leżące na ścieżce.
Urodziłam dziewięcioro dzieci w ciągu siedemnastu lat -siedmioro z nich przez pierwsze dziesięć - i chociaż je kochałam, dbałam o nie, często były dla mnie źródłem przyjemności,
309
to jednak oddalały mnie od Alberta i zagarniały dla siebie część jego miłości. Często czułam z tego powodu urazę. Myślę, że byłoby inaczej, gdyby Albert żył, gdyby dane mi było cieszyć się długimi latami spokojnej zażyłości po dorośnięciu dzieci. Myślę, że z przyjemnością patrzyłabym, jak się bawi z wnukami, i nie czułabym zazdrości, dzieląc się z nimi jego uwagą, uśmiechami i całusami. Ale Baby miała zaledwie cztery latka, gdy umarł. Całe nasze wspólne życie - och, jakże straszliwie okazało się krótkie! - pochłonęły obowiązki rodzicielskie. Nie miałam okazji być tylko żoną, zawsze także matką, poza tym jedynym żałosnym miesiącem w 1840 roku.
Czy mogłoby być inaczej? Cóż, oczywiście musiały być dzieci, do tego zobowiązywała mnie moja pozycja, a gdyby nawet nie istniała taka konieczność, jak mogłabym pozbawić Alberta radości ojcostwa, które dla niego było czymś nadzwyczajnie ważnym. Gdybyśmy mogli poprzestać na czworgu... być może to by było najwłaściwsze. Vicky, Bertie, Alicja i Affie - wielka czwórka, jak ich nazywaliśmy, ponieważ w naturalny sposób ciążyli do siebie - zapewniali konieczną ciągłość dynastycznych powiązań, a nie wycieńczyliby mnie tak bardzo i nie skazali na trzymanie się z daleka od mojego najukochańszego męża.
Och, Boże, powinnam to wykreślić! Wygląda to tak, jakbym nie kochała swoich młodszych dzieci, co w najmniejszym stopniu nie jest zgodne z prawdą. I Baby, kochana Baby, jak bym zniosła bez niej moje żałosne wdowieństwo! Jest mi wierną towarzyszką; uważająca, miła, niestrudzona - nie, za nic nie mogłabym się bez niej obejść! Tak miało być; nie chciałabym zrezygnować z żadnego z nich. Ale też nie wykreślę tego akapitu, skoro to ma być w pełni szczere rozliczenie ze sobą; muszę tylko skrupulatnie się upewnić, że nie przeczyta tego nikt, komu by sprawiło ból.
Wielkiej czwórce najwyraźniej spieszyło się na ten świat; zjawili się na nim niemal jedno po drugim. Rok 1842 okazał się jedynym, gdy uzyskałam odroczenie od macierzyńskich obowiązków, a bardzo tego potrzebowałam po dwóch ciążach i małżeńskiej burzy, którą przeszłam. Zaufanie i bliskość, jakiej dotąd nie znałam, a jaką poznałam po pojednaniu się

z Albertem, pomoc w wypełnianiu państwowych obowiązków, którą wreszcie pozwoliłam sobie okazać, tak dalece wpłynęły na polepszenie stanu moich nerwów, że nie wpadłam w panikę, stwierdziwszy kolejną ciążę. W istocie, przyjęłam tę wiadomość nawet dość spokojnie, ciąża przebiegała bez jakichkolwiek komplikacji, poród miałam stosunkowo łatwy i nasza druga córka przyszła na świat dwudziestego piątego kwietnia 1843 roku. Nazwaliśmy ją Alicja. Piękne, stare angielskie imię, powiedziałam Albertowi, a on się zgodził; nie zapomniałam oczywiście, że to ulubione imię lorda Melbourne, które nadałby swojej córce, gdyby ją miał. Było to rodzajem pożegnalnego podarunku dla niego (teraz tak sądzę, wówczas w ten sposób o tym nie myślałam), ponieważ po urodzeniu Alicji nasza zażyłość z dawnych czasów prawie przestała istnieć. Niemal go nie widywałam, pisywaliśmy do siebie rzadko i czyniłam to wyłącznie przez wzgląd na niego, ponieważ Albert stał się już wtedy dla mnie wszystkim.
Kiedy Alicja się urodziła, sądziliśmy, że będzie rodzinną pięknością. Nie do końca spełniła te oczekiwania (miała zbyt pociągłą twarz i za blisko osadzone oczy, co jej nadawało nieco koński wygląd - och, ale cóż to był za kochany, przemiły, wspaniały rumak!), niemniej właśnie ona z naszych dzieci najbardziej przypominała Alberta i choćby dlatego uważałam ją za piękną. Wyrosła na kobietę o niezwykłym wdzięku: czarująca i o słodkim, dźwięcznym głosie, bardzo przypominającym mój własny. Mam jej prześliczny portret, namalowany w czasie, gdy brała ślub; spowita w delikatną biel, z narzuconym na suknię czarnym, koronkowym szalem i wiankiem z pączków róży na głowie. Wyraz łagodnego smutku na jej twarzy tak bardzo mi jego przypomina! Jej oczy, brwi mają taki sam kształt jak jego, oboje zostali obdarzeni delikatną, porcelanową cerą. Alicja miała również wiele cech podobnych do charakteru ojca: celowała w muzyce i malarstwie, była zupełnie pozbawiona egoizmu - rzecz raczej niezwykła u dziecka - i zdolna do poświęceń dla innych, co czyniło z niej słodkie dziecko i godną przykładu matkę i żonę. (Laddle nazywała ją „dobrym aniołem domu"). Uwielbiała tatę i z przerażeniem myślała o rozdzieleniu się z nim, kiedy przyszedł czas wyjść za mąż, chociaż kochała swojego

Ludwika heskiego szczerze. Ale to ostatecznie tata ją opuścił i ślub odbył się w kilka miesięcy po jego śmierci. Była przy nim stale podczas jego ostatniej choroby i całe swoje życie spędziła tak, jak sądziła, że on by sobie życzył. Zapracowywała się na śmierć dla swoich nowych poddanych, wspierając heskie szpitale, zakłady dla obłąkanych, sierocińce, walcząc o lepszą edukację i mieszkania dla biednych (och, jak bardzo przypominało to Alberta!).
Biedna słodka Alicja, miła, łagodna Alicja, pierwsze z moich dzieci, które umarło, pokonane przez to straszliwe przekleństwo, błonicę. Pielęgniarstwo stało się jej pasją od czasu choroby ojca i w czasie wojny francusko pruskiej obróciła własny dom w szpital, opatrywała rannych i własnoręcznie opróżniała misy brudnej wody. Kiedy dzieci zapadły na błonicę, nalegała, że będzie je sama pielęgnować. Czyniła to z poświęceniem, mimo to najmłodsze, maleńka May, umarło. Jej jedyny syn, Ernest, był równie ciężko chory i nie mogła mu powiedzieć, że jego ukochana siostrzyczka nie żyje, toteż gdy poprosił, aby zaniosła May jedną z jego książek do czytania, porwana żalem obsypała pocałunkami jego twarz i zaraziła się. Och, wciąż pamiętam ten straszliwy, o jakże straszliwy poranek, kiedy wręczono mi przy śniadaniu chaotyczny telegram od Ludwika! „Biedna matko, biedny ja, moje szczęście odeszło, kochana, kochana Alicja!". Bertie, szlochając rozpaczliwie, powiedział: „Zawsze odchodzą najlepsi". (Oboje z Alicją odnosili się do siebie z ogromną czułością). Kochając ojca ponad innych śmiertelników, odeszła czternastego grudnia, jak on, w siedemnastą rocznicę jego śmierci. Straszne, doprawdy straszne i zagadkowe.
Strata dziecka pogrąża w żałobie, ponieważ to wbrew naturze - przeżyć własne dziecko. Mam ją wciąż w pamięci, taką, jaka była w dzieciństwie - zupełnie inna Alicja, na tyle inna, że tę dorosłą można uważać za odmienną osobę. Gdy była mała, nazywaliśmy ją „Gruba Alicja" albo „Fatima", ponieważ wyglądała dosłownie jak beczułka - mam jej szkice, narysowane w wieku osiemnastu miesięcy; wygląda na nich jak kwadratowa, wypchana poduszka z grubiutkimi rączkami i nóżkami sterczącymi w każdym rogu. Zawsze skora do śmiechu i do psot, Gruba Alicja. Głęboko wierzę w to, że

312
właśnie ona podpuszczała Vicky do wybryków, a nie odwrotnie - tak jak wtedy, gdy natknęły się w odległym zakamarku pałacu na służącą z rusztem i umazały biednej dziewczynie całą twarz sadzą. Kiedy się o tym dowiedziałam, zaprowadziłam je do kuchni i kazałam ją przeprosić - nigdy nie tolerowałam niegrzeczności wobec służących - ale zostały znacznie bardziej ukarane niezadowoleniem okazywanym przez tatę, jego smutkiem i przygnębieniem.
Po Alicji udało mi się przez siedem miesięcy uniknąć następnej ciąży; Alfred narodził się szóstego sierpnia 1848 roku. Potrzebowaliśmy drugiego syna, ponieważ Albert przewidywał, że jego rozpustny brat nie spłodzi dziedzica (w każdym razie nie legalnego) i Księstwo Koburskie dostanie się jemu. Z oczywistej przyczyny Bertie nie mógł władać Koburgiem, tak więc Albert musiał mieć drugiego syna, aby jemu przekazać władzę. Affie był dobrym dzieckiem, przystojnym, zdolnym, nadzwyczaj muzykalnym - nauczył się w sekrecie grać na skrzypcach i zdumiał mnie, wykonując na którychś moich urodzinach własną kompozycję, naprawdę bardzo ładną (chociaż myślę, że najlepiej myślał o niej sam Affie, ponieważ zawsze miał o sobie dobre zdanie). Odkąd tylko wszyscy sięgamy pamięcią, Affie był opętany myślą o morzu i kiedy skończył ledwie czternaście lat, Albert posłał go wbrew mojej woli do Marynarki. Przyjęłam to z ogromnym niezadowoleniem, był stanowczo zbyt młody, aby opuszczać dom; i stanowczo zbyt młody, abym go straciła. Widywałam go tylko wtedy, gdy przyjeżdżał do domu na urlop, a potem spędzał niemal wszystkie wolne chwile w domu Alicji w Darmstadt. Zawsze bardzo się lubili z Alicją, ale myślę, że głównym powodem było poczucie wolności, które miał, przebywając poza domem; wiedział przecież, że potępiam złe nawyki, jakich nabrał od marynarzy, takie jak picie, palenie i zadawanie się z kobietami. Weźmy na przykład jego skandaliczny affaire z młodą kobietą na Malcie w 1862 roku... ale wolałabym się nad tym nie rozwodzić. Ożenił się dopiero w 1874 roku i musiał wybrać (jakby chciał mnie zdenerwować) rosyjską księżniczkę, wielką księżnę Marię, córkę cara (spotkał ją u Alicji; jej matka była heską księżniczką). Nigdy nie lubiłam ani ufałam zbytnio Rosji, ale Affie zakochał się,
313
utyskiwałam więc co prawda, niemniej się nie sprzeciwiałam. W przeciwieństwie do cara, który zachowywał się tak, jakby dla wielkiej księżnej rosyjskiej poślubienie syna angielskiej królowej było dyshonorem! (Maria ze swej strony zawsze dawała wszystkim do zrozumienia, że poświęciła się, wychodząc za mąż za biednego Affiego. Muszę jednak przyznać, że była dla niego dobrą żoną, a dla mnie córką, choć jej duma i ostentacja bywały czasami obraźliwe. Musiało to być dla niej straszliwe nieszczęście, stracić jedynego syna i to w tak bolesnych okolicznościach. Wybuchła między nimi gwałtowna kłótnia i strzelił do siebie; Maria zlekceważyła zalecenia lekarzy, że nie wolno mu podróżować, może się to bowiem skończyć dla niego tragicznie, wysłała go do Tyrolu, aby wydobrzał i w parę dni później umarł. Cóż, mówią, że duma to matka upadku, ale doprawdy zbyt wielka to chyba cena za odrobinę wspólnej nam wszystkim zarozumiałości).

12 czerwca 1900.

Jak dobrze powspominać o naszych drogich maleństwach, o ich dziecięcych latach, gdy nie miało się pojęcia o przyszłych kłopotach. Vicky i Alicja były ulubienicami Alberta; zawsze lepiej rozumiał się z córkami niż z synami. Szczególnie przepadał za Vicky. Spodziewaliśmy się, że będzie inteligentna, ale zdumiała nawet nas, rozwijając się tak szybko i dobrze (była również ładna i czarująca); nasze pierwsze próby zaowocowały doprawdy doskonałym dzieckiem. Albert z pewnością musiał żywić przekonanie, że nie odpowiadałaby lepiej jego oczekiwaniom, gdyby mógł zamówić ją sobie w sklepie! Odziedziczyła po mnie zdolność do języków (i mój głos również - wszyscy mówili, że nasze głosy są łudząco podobne) i w wieku trzech lat rozmawiała płynnie po francusku i niemiecku. Któregoś dnia, stojąc na szczycie pagórka, przypomniała sobie znienacka i zacytowała linijkę z francuskiego poematu: Voila le tableau qui deroule a mes pieds!, co uznałam za zadziwiające jak na jej wiek. Poprawność gramatyczna pozostawiała nieco do życzenia, ale

francuskiego na przykład używała z taką skwapliwością, jakby był to jej rodzimy język. Pewnego dnia wpadła we wściekłość
314
i sama słyszałam, jak krzyczała na biedną panią Lyttleton: N'approchez pas moi, moi ne veux pas vous!
Odziedziczyła po mnie także temperament, jak widzicie -w istocie cała pierwsza trójka miała skłonność do wybuchów wściekłości i piekielnych wrzasków, co przysparzało biednej Laddle wielu kłopotów, jako że nie uznawała rózgi. Pussy, inteligentna, pierworodna i przekonana o swoich wybitnych zdolnościach niemal tak samo mocno jak ojciec, przez wiele lat uważała, że to ona, a nie Bertie odziedziczy tron. Powtarzała mu to tyle razy, że biedny, nie nazbyt bystry Bertie, który zresztą dobrowolnie uznawał jej wyższość, był o tym głęboko przekonany. (Został wyprowadzony z błędu dopiero w wieku dwunastu lat, a i wtedy, choć mu wytłumaczono, jak się naprawdę rzeczy mają, nie od razu uwierzył i trzeba go było sporo czasu przekonywać, że Pussy się myliła). Płakał z tego powodu przeraźliwie i żałował, że tak jest, co bardzo martwiło jego ojca, ponieważ lubił dzielnych małych chłopców, zdolnych w przyszłości wziąć na siebie obowiązki.
Vicky była święcie przekonana co do tego, że jest następczynią tronu, jak i co do swojej ważności; w efekcie nie pozwalała nikomu zachowywać się wobec siebie z poufałością, a przynajmniej w sposób, który ona uważała za poufały, sama natomiast potrafiła okazywać niebywałą arogancję ludziom niżej od niej postawionym. Mówiła o moich młodziutkich, jeszcze niezamężnych damach dworu „te dziewczęta", a nawet oczekiwała, że starsze damy dworu będą się jej wysługiwać. Tępiłam to w zarodku. Swego czasu przestała się zwracać jak należy do doktora Browna (miał w swojej pieczy pokój dziecinny i część osób pozostających na służbie), ponieważ usłyszała, jak do niego mówię po prostu „Brown" i postanowiła mnie naśladować. Udzieliłam jej reprymendy kilka razy, a w końcu zagroziłam, że jeśli jeszcze raz to się powtórzy, poślę ją do łóżka. Następnego dnia weszła do pokoju akurat, gdy z nim rozmawiałam, i powitała go zadziornym „Dzień dobry, Brown"; pochwyciwszy moje zagniewane spojrzenie, niegrzeczna dziewczyna dygnęła i powiedziała pospiesznie: „I dobranoc, Brown, ponieważ idę do łóżka", po czym wyszła. Byłam rzeczywiście zirytowana, ale jednocześnie
315
musiałam się powstrzymywać od śmiechu na widok skonfundowanej miny Browna, który nie miał najmniejszego pojęcia, o co tutaj chodzi!
Były to jednak raczej przejawy dobrego humoru niż złośliwości, Vicky miała bowiem najgorętsze serce na świecie. Gdy wreszcie zajęto jej umysł poważniejszymi rzeczami, znikła niezręczność manier (porywczy temperament natomiast pozostał, podobnie jak skłonność do dyskutowania). Uwielbiała się uczyć; pochłaniała matematykę, filozofię, chemię, historię, ekonomię polityczną, jak mniej zdolne dzieci pochłaniają opowieści. Wszystkie pieniądze, które dostawała do swojej dyspozycji, wydawała na książki i w wieku dziesięciu lat była lepiej wykształcona niż niejeden dorosły. Albert mówił, że ma „męską głowę i serce dziecka" i cieszyło nas, gdy przybywający po raz pierwszy do pałacu byli pod wrażeniem jej zdumiewającego umysłu i ulegali jej czarowi - z początku traktowali ją jak dziecko, by potem niemal się w niej zakochać. Co do Fryderyka, syna króla Prus, którego Albert wybrał na jej przyszłego męża, zdarzyło się tak rzeczywiście. Byłam z tego bardzo zadowolona, ponieważ nigdy nie zmuszałabym żadnego z dzieci do małżeństwa bez miłości; zawsze pragnęłam dla nich tego samego zaufania i intymności, które dzieliłam ze swoim mężem. Działałam więc w ten sposób, że pilnowałam, aby spotykały na swej drodze właściwych ludzi, ale ostateczny wybór pozostawiałam im; myślę, że to właściwy sposób postępowania rodziców w tych sprawach.
W 1851 roku zaprosiliśmy królewską parę z Prus wraz z rodziną do Londynu na Wielką Wystawę Światową i kochany Fryderyk zakochał się po same uszy w Vicky, chociaż miał wtedy dwadzieścia lat, a ona dziesięć.
- Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to było słodkie zjawisko - powiedział mi wiele lat później. - Dziecięca prostota w połączeniu z kobiecym intelektem. Wydawała się niemal zbyt doskonała. Przechadzali się razem po wystawie w Kryształowym Pałacu i Vicky objaśniała mu wszystko,

prowadząc dowcipną, ożywioną konwersację i obdarzając go promiennymi uśmiechami, aż biedny młody człowiek stracił kompletnie głowę. Odjechał, zdecydowany czekać tyle lat, ile trzeba, by zdobyć
316
rękę Vicky i spędził ten czas na studiowaniu polityki i angielskiej konstytucji, żeby w ten sposób okazać się jej jeszcze bardziej godnym.
Już po ich ślubie powiedział, że zakochał się nie tylko w niej; że uważa Anglię za najbardziej oświecony kraj świata, a Alberta za najlepszego i najmądrzejszego z żyjących mężczyzn i z przyjemnością, ale i zdumieniem obserwował, jaką jesteśmy szczęśliwą rodziną. Na dworze pruskim i w jego własnej rodzinie kipiało od kłótni, wzajemnej nieżyczliwości, intryg, podczas gdy Albert i ja byliśmy tak sobie oddani, jakbyśmy dopiero co się pobrali - to były jego słowa i dodał jeszcze, że nigdy nie widział, aby dzieci pozostawały w takich czułych stosunkach z rodzicami. (Biedny Fryderyk dożył dnia, gdy jego własny syn, Willy, obrócił się przeciwko niemu na skutek intryg dworskiej frakcji; nauczony przez dziadków i Bismarcka pogardzać ojcem i wyszydzać matkę; przystał do zwolenników prowadzenia „żelaznej polityki", której łagodny Fryderyk był z całej duszy przeciwny).

13 czerwca 1900.

Pogoda znacznie się polepszyła, a wraz z nią i humory! Schroniłam się znowu w moim domku, zamierzam kontynuować pisanie, drzwi i okna kazałam zostawić otwarte, aby móc się rozkoszować świeżym powietrzem. Biała róża za oknem jest w pełnym rozkwicie i pachnie aż zbyt upajająco. Chce mi się płakać; piękno oddziałuje na człowieka tak silnie, prawie jak smutek. Gdyby mój ukochany mógł być tu ze mną, aby się nim napawać! Krótkie są dni szczęścia i miłości - nie, nie, w taki piękny dzień powinno się myśleć o radosnych, przyjemnych rzeczach. Wracam do mojej opowieści.
Było naszym zamiarem, aby dzieci miały szczęśliwe dzieciństwo.
- Wiem, że twoje Liebling takie nie było - powiedział Albert którejś nocy, gdy leżeliśmy zwróceni do siebie twarzami, trzymając się za ręce i prowadząc „dyskusję w ciemności", jak on to określał - i chociaż nie mogę tego twierdzić o swoim, to jednak wcześnie straciłem matkę i nigdy nie łączyła mnie z ojcem czuła zażyłość, nigdy go też nie lubiłem.
317
Życzyłbym sobie, aby nasze dzieci dorastały w nieskrępowanej atmosferze, wolne od lęku, aby mogły z nami swobodnie rozmawiać, uważając nas raczej za przyjaciół niż dozorców. Będę ich oczywiście prowadzić i kształtować ich charaktery, ale chciałbym się z nimi także bawić i słyszeć ich śmiechy.
- Wprawisz wszystkich w zdumienie - zauważyłam. -W tym kraju dzieci umieszcza się w pokojach dziecinnych na najwyższych piętrach domu, żyją z dala od rodziców i rozmawiają z nimi wyłącznie przy oficjalnych okazjach. Chłopców wysyła się do szkoły z internatem i w ogóle się ich nie widuje.
- Ależ to właśnie jest złe! - wykrzyknął. - Kto ma w takim razie wpływ na dziecko? Nie rodzice, ale służący, którzy są przy nim, i najęci ludzie, którzy je uczą. Po co mieć dzieci, skoro pozwala się obcym je kształtować?
- Cóż, zgadzam się z tobą - powiedziałam. - Nie uważam, aby ktokolwiek stał się lepszy, dlatego że jest ignorowany, zamykany w pokoju i każe się mu milczeć. Szczęście to najlepszy nauczyciel. Ja też bym chciała słyszeć, jak moje dzieci się śmieją, i patrzeć, jak dokazują, na co mnie nigdy nie pozwalano.
- Zdaje się, że sama chciałabyś z nimi się śmiać i dokazywać - dokuczał mi. - Chciałabyś, żeby ci zastąpiły braci i siostry, których nigdy nie miałaś.
- Nie będą dorastały, podejrzewając własną matkę, że przeciwko nim spiskuje - oświadczyłam zdecydowanie. - Ale było w moim dzieciństwie coś, Albercie, co do czego przyznaję mamie rację,

to znaczy proste domowe wychowanie. Ani cienia wystawności, żadnych luksusów w otoczeniu, wyrafinowanych obiadów, wszystko proste i oszczędne, jak to tylko możliwe. Nie chcę, żeby dorastały dumne i przepełnione pogardą do innych. Zaznają wystarczająco dużo pochlebstw, kiedy zaczną bywać na świecie... wychowujmy je w pokorze, dopóki są z nami.
- Ze wszech miar - zgodził się ze mną łatwo, ponieważ sprawy ciała zawsze wydawały mu się nieważne - ale myślę, że twój wysiłek może pójść na marne. Nasze dzieci będą wiedziały, że są synami i córkami królowej Anglii. Jeśli nie będą się wywyższać, to dlatego, że im zostanie to włożone
318
do głowy i zapadnie w serce, a nie z powodu tego, co będzie stało w ich pokojach i na ich stole. Postawiłam jednak na swoim i pokoje dziecinne były jednymi z najskromniejszych w całym królestwie. Ubrania nosiły niewykwintne, choć wygodne, a gdy z nich wyrastały, przechodziły na młodszych członków rodziny albo pakowano je, zabezpieczając przed molami, aby je przechować dla przyszłych wnuków. Do jedzenia podawano im gotowaną wołowinę i baraninę, pudding ryżowy i grysik. (Affie uskarżał się któregoś razu, że posługacze na jego okręcie dostają lepsze jedzenie niż on w domu! A nieco później Ena, córka Baby, narzekała, że dzieci, które przychodzą z wizytą, dostają bezy i eklery, a one tylko suche biskwity. Kiedyś, gdy wypadła jej kolej zmówić modlitwę przed jedzeniem, złożyła dłonie i powiedziała: „Dzięki ci, Boże, za ten niesmaczny obiad"; została oczywiście zawstydzona i odesłana od stołu bez obiadu).
Chciałam mieć pewność, że nie rozwinie się w nich zamiłowanie do luksusu, które mogłoby je wpędzić w długi w późniejszym życiu; i że w jakiejkolwiek znajdą się sytuacji, dadzą sobie radę. Musiałam zapomnieć, jak sama nienawidziłam tego reżimu, gdy byłam mała; a może pamiętałam, ale sądziłam, że co okazało się dobre dla mnie, będzie dobre dla nich. Teraz, gdy moje życie dobiega końca, nie wydaje mi się to już takie sensowne. Z pewnością jestem przykładem osoby, która przepada za wykwintnym jedzeniem, zwłaszcza za puddingami i ciastami, lodami czekoladowymi, tartą z morelami, makaronikami, biszkoptem z kremem w winie, słodką galaretką ze śmietanki i wina - i zaczęłam je jadać natychmiast, kiedy poczułam się uwolniona od tyranii gotowanej wołowiny w 1837 roku. Reid uważa, że zbytnio obciążam żołądek ciężkimi potrawami i przekonał mnie ostatnio, abym spróbowała jedzenia Bengera. Z początku byłam niechętna temu pomysłowi - wprost nie mogłam znieść myśli o tej „brei" - ale gdy jednak spróbowałam, stwierdziłam, że mi to nawet smakuje. Tak więc zaczęłam od sporej miski przed posiłkiem, a teraz Reid żąda, abym jadła to zamiast ciężkich potraw, a nie oprócz! I Lenchen, i Ludwika również ze mną o tym rozmawiały - ale ostatecznie jestem królową,
319
a co za pożytek z bycia królową Anglii, skoro nie wolno nawet jeść tego, co się chce.
Czasami myślę, że nie do końca jestem sprawiedliwa wobec Bertiego. Bo widzicie, kłopot polega na tym, że zawsze chciałam, aby był w każdym calu jak ojciec, a ponieważ, co wielokrotnie podkreślałam, Albert był nie tylko doskonały, ale i wyjątkowy, Bertie nie miał szans mu dorównać. Ale też jak dalece był niedoskonały! Biedne nieszczęsne dziecko bardzo szybko zaczęło przypominać raczej mnie niż ojca - żadnej niebiańskiej piękności, tylko wypukłe niebieskie oczy, wystający nos, opadająca warga i cofnięty podbródek; obraz nad którym użalałam się codziennie w lustrze. Patrząc na niego, widziałam, jak moja hanowerska krew bierze górę; widziałam moich rozpustnych wujów, trochę mniej odrażających w dziecinnej postaci.
Na domiar złego zamiast być łagodnym, posłusznym, chętnym do nauki, mieć głowę nabitą szlachetnymi celami jak ojciec, objawiał gwałtowny temperament (och, Boże, po kim miałoby się to u niego wziąć, prawda?), niesłychany upór, głęboką niechęć do lekcji i książek, i upodobanie do wszystkiego, co bezużyteczne, próżniacze, niewłaściwe. Ale przecież miał i dobre cechy: czułe serce; był uczciwy bez skazy i niezwykle lojalny. Uwielbiał zwierzęta, niezwykle czule odnosił się do młodszego rodzeństwa, a w kontaktach z obcymi okazywał wiele wdzięku, potrafił oczarować i sprawić, że go lubiano - umiejętność niezwykle przydatna przyszłemu monarsze. Niestety, nie były to cechy, które byłabym skłonna wtedy nagradzać (odziedziczył je przecież niemal całkowicie po mnie), zwłaszcza że okazał się tak niewdzięczny, aby niczego nie odziedziczyć po ojcu. Był moją

karykaturą; na tym polegał kłopot i stąd się wzięło całe nieszczęście.
Gdyby był trzecim lub czwartym synem, a nie pierwszym, moglibyśmy okazać więcej łagodności, wychowując go. Ale przecież wiedzieliśmy oboje, Albert i ja, jak wiele od niego będzie zależeć. Miał zostać królem Anglii pewnego dnia, a gdyby Albertowi udało się zrealizować jego wizję, Bertie zostałby politycznym, filozoficznym i moralnym liderem całego oświeconego świata. To było nasze najcięższe zadanie i uważaliśmy, że nie można zaniedbać niczego, co mogłoby
320
go przygotować do wypełnienia tej roli. Nawet nie tydzień, nie dzień, ale żadna cenna godzina jego dzieciństwa nie powinna zostać zmarnowana. Jego fizyczny, intelektualny i moralny rozwój miał być w każdym szczególe zaplanowany i ściśle nadzorowany. Trzeba go było obserwować dzień i noc, aby w porę dostrzec najmniejszą wadę, najlżejsze uchybienie i natychmiast je skorygować. Czyż może dziwić, że biedne ogłupiałe dziecko buntowało się? Tylko to mogło zrobić - naginane wbrew własnej naturze, przymuszane wbrew własnej woli i bez nadziei na powodzenie do skomplikowanej wizji ojca. Albo ta wizja musiała się rozpaść na kawałki, albo mój syn (pod tym względem był również moim synem, tak więc przetrwał najdziwniejsze rzeczy). Wtedy tego oczywiście nie rozumieliśmy - Albert nie dożył momentu, gdy można to zrozumieć. Mnie trzeba było tolerancji dojrzałego wieku, aby dostrzec, że niemal wszystko, co narzucaliśmy Bertiemu, było złe i nasze działania nieuchronnie musiały dać odwrotne rezultaty (nawet teraz nie bardzo go lubię, biedne stworzenie!, chociaż go kocham, to oczywiste, i przyznaję mu pewne zalety).
Kłopot z Bertiem po części przypisać należy reputacji jego niegodziwych stryjów, których jak na ironię tak łudząco przypominał. Odziedziczyłam chwiejący się tron, a korona sięgnęła dna upadku, za sprawą członków mojej rodziny, której krew - byłam tego boleśnie świadoma - płynęła w moich żyłach. Także w żyłach Bertiego, a że stale i aż nadto dobrze o tym pamiętaliśmy, zapisać należy niestety na niekorzyść Stockmara. Nie pominął żadnej okazji, aby nam przypomnieć, że przyszłość korony w Anglii zależy od zachowania wartości moralnych; najlżejsze sygnały deprawacji strącą nas nieuchronnie w otchłań rewolucji i republikanizmu. Alberta nie trzeba było przekonywać. Od początku mi powtarzał, że jego celem jest ukształtować Bertiego tak, by jak najmniej przypominał swoich wielkich stryjów, a ja zgodziłam się z nim ochoczo. (Teraz, z perspektywy czasu, widzę, że było w tym coś niezwykle dziwacznego: w ogóle nie martwiliśmy się o to, że w Bertiem płynie krew Koburgów, jakby ani ojciec, ani brat Alberta nie byli rozpustnikami. Albert był przecież pierwszym cnotliwym Koburgiem od wielu generacji - nic innego,
321
jak zachowanie ojca i straszliwy los, grożący bratu, wywołały w nim tę nieprzezwyciężoną odrazę do rozwiązłości. Dlaczego było tak, jakbyśmy uważali, że szlachetność Alberta stanowi wystarczającą barierę, aby Bertie nie odziedziczył wad dziadka ze strony Koburgów, a moja cnota zupełnie go nie chroni przed przekleństwem krwi przecież nawet nie mojego ojca, tylko stryjów? Doprawdy nie potrafię tego wytłumaczyć. Wtedy zdaje się, było to bardzo proste równanie: dobry Koburg, zły Hanowerczyk - a ja przyjęłam je za niezachwiany pewnik).
Stockmar przekonał Alberta, że wady moich stryjów rozwinęły błędy w wychowaniu i że jest absolutnie konieczne, aby książę Walii prowadził nieskazitelne życie, a jego edukacja musi być oparta na racjonalnych podstawach. Bertiego miały otaczać wyłącznie nieskazitelne moralnie osoby, a ponieważ Albert wiedział (a ja mu wierzyłam), jak zdeprawowani są mali chłopcy, jak psują siebie nawzajem, opowiadając sobie obrzydliwe rzeczy, biedny chłopak miał zakazane spotykać się z rówieśnikami. Przez całe dzieciństwo nie miał innych przyjaciół i towarzyszy zabaw jak własne rodzeństwo. Dlaczego nie pamiętałam, jak bardzo nienawidziłam metod Conroya w Kensingtonie i tego, co wywoływały - samotności, nudy, rozpaczliwej tęsknoty za towarzystwem w moim wieku? Cóż, wygląda na to, że rzeczywiście nie pamiętałam... a w każdym razie uważałam, że korzyści, płynące stąd dla Bertiego, przeważą straty. Kłopot w tym, że zapomniałam także o zasadzie, o której dawno temu powiedział mi lord M.: zaszczepić przeciwko złu - chłopiec chroniony przed wszelkimi formami deprawacji nie nabywa na nią odporności i jest podatny na pierwsze zakażenie, które go dotknie. (Tak właśnie się zdarzyło w Irlandii w 1861 roku, a konsekwencje były zatrważające. Lord M. jak zawsze miał słuszność).

Co się tyczy edukacji, nieszczęściem Bertiego była wspaniała starsza siostra. Narzucono mu plan lekcji, który nawet dla niej stanowiłby wyzwanie; biedny Bertie, pozbawiony jej nieprzeciętnych zdolności, zupełnie nie potrafił mu sprostać. Nie czynił postępów i czuł coraz głębszą awersję do nauki, a my uważaliśmy, że to upór i samowola i odpowiadaliśmy wydłużeniem godzin i zwiększeniem stopnia trudności zajęć;
322
był coraz bledszy i ospały z wyczerpania, co niespokojni troskliwi rodzice zdiagnozowali jako wrodzone lenistwo, które trzeba zwalczyć. Biednego Bertiego obserwowano, podglądano i sprawdzano w każdej godzinie dnia, a gdy doprowadzony do ostateczności wybuchał furią, wrzeszczał, parskał śliną, przeklinał i rzucał czym popadnie, z przerażeniem uznawaliśmy, że zło bierze górę i że nie dość mocno usiłowaliśmy je w nim zwalczyć.
- Dlaczego ja zawsze muszę być dobry! - wykrzyczał któregoś dnia. - Inne dzieci nie zawsze są dobre!
Nie usłyszeliśmy prośby, tylko skargę. Dzisiaj myślę, że metoda była błędna: wychować wszystkie dzieci podobnie, podczas gdy należało wydobyć z każdego to, co w nim najlepsze, jak cieśla, obrabiając drewno, wydobywa, a nie próbuje zacierać, rysunek słoi. Ale właśnie tak wtedy myślano: wszystkie dzieci mogą być doskonałe, jeśli tylko tego chcą. Byłoby lepiej, gdybym pamiętała o słowach lorda Melbourne - mądrzejszego niż jego czasy: „Nie powinno się przesadzać z troską o edukację. Nie przynosi aż takich efektów, jak się powszechnie spodziewa. Może wpłynąć na charakter, ale rzadko go zmienia". Chcieliśmy uczynić z Bertiego erudytę i estetę, tymczasem był z natury zmysłowy. Albert gardził niewygodą i był najszczęśliwszy, mogąc zasiąść w świetle studenckiej lampy z zielonym abażurem, aby rozwiązać skomplikowane intelektualne zadanie. Bertie w tym samym wieku lubił wygodne krzesła, wykwintne ubrania, dobre jedzenie z dużą ilością wina, przyjemną konwersację, rozweselającą sztukę w teatrze, towarzystwo przyjaciół. Równie dobrze mogliśmy uczyć świnię latania.

14 czerwca 1900.

Dziwna rzecz, ale to sir Robert Peel pierwszy zwrócił naszą uwagę na dom w Osborne. Kiedy pomyślę, jak zadziwiająco go nie znosiłam na początku, wydaje mi się jeszcze bardziej zadziwiające, że to właśnie z nim Albert i ja rozmawialiśmy zupełnie swobodnie o naszym pragnieniu posiadania domu tylko dla nas. Lord M. miał rację, jak w wielu sprawach: gdy przyzwyczaiłam się wreszcie do dziwacznych manier sir
323
Roberta, stwierdziłam, że można mu całkowicie zaufać. Początkowo raził mnie jego nienaturalny i pompatyczny sposób wysławiania, potem zauważyłam, że ma miły głos, a jego poglądy są bardzo rozsądne; gdy wyzbył się wreszcie nieśmiałości (bo był nieśmiały, choć zaledwie kilka osób zdawało sobie z tego sprawę), okazało się również, że ma dar barwnego, obrazowego opowiadania o wydarzeniach w parlamencie i nie tylko, co sprawiało, że się czułam, jakbym tam była. (Drogi Disraeli także miał ten talent, ale po nim prędzej można się było tego spodziewać, ponieważ był powieściopisarzem; słuchać jego relacji z parlamentu to prawie jak oglądać jeden z tych „ożywionych" filmów! Nigdy nie miałam tak kompletnego wyobrażenia o tym, co się dzieje, jak w czasach gdy był moim premierem).
Być może powodem wszystkiego była duma Peela, a wyobrażam sobie, ile upokorzeń i lekceważenia musiał znieść od towarzystwa z tego powodu, że jego ojciec był tylko właścicielem przędzalni. Dzisiaj potępiam ten rodzaj snobizmu; nie ma dla mnie znaczenia, kim jest czy był czyjkolwiek ojciec, patrzę tylko na to, kim jest dany człowiek; byłam dumna z sir Roberta, ponieważ podobnie jak lord M., odmawiał przyjmowania zaszczytów za swoją służbę. Ale przede wszystkim lubiłam go za to, że doceniał Alberta i często go przy mnie gorąco chwalił.
W październiku 1843 roku przechadzaliśmy się z Albertem i sir Robertem, tuż po odbyciu naszej zwykłej audiencji, po ogrodach pałacu Buckingham. Psy biegały wokół nas, wtykając nosy pod

krzaki, wsunęłam rękę, co bardzo lubiłam, pod ramię Alberta, sadze opadały na listki ligustrów i laurów. Jakoś bardzo szybko rozmowa zeszła na temat domów.
- Wydaje mi się to co najmniej dziwne, że królowa Anglii jest chyba jedyną osobą jak kraj długi, która mieszka tak niewygodnie - narzekałam. - Pałac Buckingham to istna hańba! Okna, których nie można otworzyć, drzwi, które się nie dają zamknąć, kominki, w których nie sposób rozpalić ognia, potworny smród na korytarzach...
- Urządzenia sanitarne są fatalnie rozwiązane - przyłączył się Albert. Miał na myśli zwłaszcza kanalizację. - Czy pan

wie, że tuż przy oknie ubieralni królowej ma odpływ rura odprowadzająca nieczystości?
- To istotnie fatalnie - powiedział sir Robert poważnie.
- Najgorsze ze wszystkiego jest jednak to, że zostaliśmy całkowicie pozbawieni prywatności - powiedziałam. - Możemy wprawdzie tutaj spacerować, ale sam pan przecież wie, sir Robercie, jak często ludzie forsują mury. Nigdy człowiek nie ma pewności, czy mu nie przeszkodzą. Poza tym kilka okrążeń po ścieżkach pokrytego sadzą londyńskiego ogrodu to doprawdy niewystarczające dla księcia. Potrzebuje spokoju, ciszy i świeżego wiejskiego powietrza. A w Windsorze ciekawscy podchodzą niemal pod same drzwi. Nie mamy tu ani chwili dla siebie, a z pewnością nawet królowa Anglii powinna mieć do tego prawo!
- Sądzę, że Wasza Wysokość ma istotnie pełne prawo się tego domagać - powiedział Peel wyczekująco.
- Każdy chce mieć jakieś miejsce dla siebie - oświadczyłam ponuro. - Ciche, ustronne, gdzie można by było zaznać radości życia rodzinnego.
- Najchętniej nadmorską rezydencję - uściślił Albert. -Morskie powietrze jest nieocenione dla płuc zniszczonych londyńskimi mgłami.
- Nadmorską rezydencję? - powtórzył sir Robert zdziwiony.
Była to nasza nowa pasja, którą zaraziliśmy się, spędziwszy lato na żeglowaniu po południowym wybrzeżu.
- Tak bardzo nam się podobała nasza letnia morska wyprawa - powiedziałam - ale mieszkanie w Pawilonie jest jednak nazbyt uciążliwe.
Zamieszkaliśmy z Albertem i z dziećmi w Brighton i odbywaliśmy naszym nowym jachtem na parę Wiktoria i Albert dłuższe lub krótsze wycieczki. (Poprzedniego lata w czasie wakacji odkryłam, że żeglowanie do Szkocji zajęło nam trzy i pół dnia, podczas gdy powrót statkiem parowym trwał o połowę krócej, poprosiłam więc sir Roberta, aby przedłożył parlamentowi stosowną petycję i w rezultacie admiralicja wyposażyła nas w nowy jacht z maszyną parową. Wiktorię i Alberta spuszczono na wodę w kwietniu 1843 roku; był to parowiec z kołem łopatkowym, o wyporności 1,049 tony,

a jego komandorem ustanowiłam lorda Adolfusa Fitzclarence, jednego z bdtards stryja Wilhelma. Nigdy nie zapomniałam o długu wdzięczności wobec stryja i zawsze kiedy tylko mogłam, starałam się pomagać jego dzieciom). Wakacje okazały się bardzo przyjemne, nikomu z nas jednak Pawilon nie przypadł do gustu. Rozrzutność dekoracji w orientalnym stylu wprawiła w osłupienie Alberta, chociaż stryjowi Jerzemu udało się zgromadzić wiele niezwykłych i wspaniałych rzeczy w tym rodzaju; wszystkie wydawały się zbyt dekadenckie i ozdobne mojemu najukochańszemu mężowi, dziecku wieku Oświecenia. Mnie te wnętrza wydały się interesujące i zabawne, ale przyznaję, zupełnie nie nadawały się do prowadzenia rodzinnego życia, nie było też tam z pewnością gemutlich.
Otoczenie Pawilonu również pozostawiało wiele do życzenia. Kiedy stryjaszek król osiedlił się tam w 1787 roku, była to zaledwie mała wioska rybacka i wszędzie wokół Steyne, gdzie postanowił zbudować pałac, rozciągała się otwarta przestrzeń, nic nie zasłaniało przepięknego widoku na morze. Ale uczynił okolicę tak popularną, a kąpiele morskie stały się tak modne, że niegdyś otwartą przestrzeń zabudowano do ostatniego skrawka, domy tłoczyły się, niemal wchodząc w drzwi Pawilonu. Ani skrawka morza nie sposób było dostrzec z okien, tylko przewalające się tłumy ludzi,

z ciekawością usiłujących dojrzeć, co się u nas dzieje; tłum gęstniał, ledwie ktoś postawił nogę na progu. Wszędzie następowano nam na pięty, kiedyś nawet, gdy wybraliśmy się na przechadzkę po plaży, znaleźli się na tyle zuchwali natręci, aby zaglądać mi pod rondo czepka, żeby się przyjrzeć, jak naprawdę wyglądam. Gdziekolwiek się pojawiliśmy, traktowano nas jak nie przymierzając orkiestrę miejską podczas parady. Lord M. zawsze powtarzał, że nie znajdziesz gorszych ludzi niż w Kencie; nie jestem pewna, czy przypadkiem ci z Sussexu nie są gorsi - lojalni, z pewnością, ale jakże pospolici i impertynenccy!
- Sądzę, że znalezienie domu położonego na wybrzeżu nie byłoby takie trudne - powiedział sir Robert - gdyby nie to, że powinien być odpowiednio duży i imponujący jak na królewską rezydencję przystało...
326
- Wcale nie chcę, aby był duży i imponujący - wtrąciłam szybko. - Przecież pan wie, sir Robercie, że gdybym nie musiała z obowiązku pokazywać się publicznie, wydawać bankiety i przyjęcia, z największą przyjemnością osiadłabym na wsi i żyła z mężem i dziećmi w małym domku. Nie rozpaczalibyśmy po Londynie i wydarzeniach towarzyskiego sezonu, zapewniam pana. - Moje słowa zostały nagrodzone: poczułam, jak Albert przyciska moją dłoń do swego boku. -Chcemy po prostu mieć jakieś drogie nam, skromne miejsce, gdzie moglibyśmy czuć się komfortowo i mieć spokój.
- Gemutlichkeit - podsumował Albert, kiwając głową.
- O właśnie! - poparłam go.
- Jeśli tak, pani - powiedział sir Robert - na pewno nie będzie trudności z wyszukaniem odpowiedniego domu... w istocie, mam nawet na myśli taki, który powinien się doskonale nadawać, niemniej żywię poważne obawy, czy parlament zatwierdzi w tej chwili jakiekolwiek dodatkowe wydatki. Sprawy, jak powszechnie wiadomo, mają się źle; ogólnie źle.
Albert zareagował oburzeniem:
- Prędzej czy później trzeba będzie coś zrobić z pałacem Buckingham. To doprawdy hańba dla narodu, że królewska rodzina ma tak nędzne pomieszczenia! Nasze dzieci, jak to panu, sir Robercie, wiadomo, mają do dyspozycji jedynie poddasze, pierwotnie przeznaczone dla służących: niskie i ciemne, ze złą wentylacją i nawet teraz zbyt małe. Jeśli nasza rodzina się powiększy - urwał, nie chcąc podejmować tego delikatnego tematu i obaj z sir Robertem jednocześnie zakasłali taktownie.
- Pokoje recepcyjne są zupełnie nieodpowiednie - kontynuował Albert. - Nie mamy nawet sali balowej, a w kuchniach trudno przygotować coś, co by można było uznać za jadalne. Nie wiem, jakim cudem udało się nam nie otruć do tej pory żadnej z wizytujących nas osób u steru rządów!
Twarz sir Roberta przybrała kamienny wyraz.
- Niemniej musisz, panie, wiedzieć, że kraj jest pogrążony w głębokiej recesji i Ministerstwo Skarbu nie podoła takiemu wysiłkowi.
Przerwałam tę wymianę zdań.
327
- Przecież nie mamy rozmawiać o pałacu Buckingham w tej chwili - powiedziałam stanowczo. - Rozmawiamy o nowej nadmorskiej rezydencji dla mojej rodziny i chcę panu powiedzieć, sir Robercie, że nie życzę sobie, aby parlament ją dla mnie kupił. Chciałabym mieć miejsce, które będzie wyłącznie moje, tak abym mogła w nim i z nim robić, co zechcę. Jeśli zapłacę za nie własnymi pieniędzmi, z mojej prywatnej szkatuły, parlament nie powinien się sprzeciwiać, prawda?
- Więc... nie, pani - powiedział sir Robert, wyglądając na straszliwie zdumionego, oczywiście do stopnia, w jakim mogło się to odbić na jego pozbawionej ekspresji twarzy - jeśli rzeczywiście w szkatule jest dość pieniędzy na ten cel.
- Prawdopodobnie nie wyobraża sobie pan, sir Robercie, jak oszczędny jest książę - oznajmiłam z dumą. - Zreorganizował sposób prowadzenia dworu i nasze finanse wyglądają całkiem nieźle, zapewniam pana! Rzeczywiście potrzebujemy domu, który należałby tylko do nas, będę poza tym szczerze zadowolona, uwalniając się zwłaszcza od Ministerstwa Leśnictwa, ale także innych czarujących ministerstw, istnej plagi naszego życia!
Za wszystko, cokolwiek trzeba było zrobić w pałacach i wokół nich, odpowiadały zupełnie inne

departamenty: biuro lorda Chamberlaina, lorda Stewarda, koniuszy królewski -wszyscy opieszali i niezręczni, ale Ministerstwo Leśnictwa było najgorsze ze wszystkich. Najwyższy sąd cywilny w Londynie mógłby być przy nich przykładem działania z nieprzyzwoitym wręcz pośpiechem. Wyglądało to tak, że właściwie niczym nie zarządzał jeden departament, w żadnym z nich nie kwapiono się też skoordynować własnych działań z działaniami innych i w rezultacie było szalenie trudno przeprowadzić jakąkolwiek rzecz do końca. Układanie drew w kominku, na przykład, należało do biura Stewarda, ale ich rozpalanie do Chamberlaina, często więc musieliśmy obywać się w ogóle bez ognia, jedni obwiniali drugich, a my trzęśliśmy się z zimna. Za mycie okien wewnątrz pomieszczeń pałacowych odpowiadało biuro lorda Chamberlaina, na zewnątrz mieli to robić ci z Ministerstwa Leśnictwa; ponieważ nigdy nie udało się im wykonać tej czynności tego samego dnia,
328
mieszkaliśmy jakby w ciągłej mgle i musieliśmy otwierać okna, jeśli chcieliśmy wiedzieć, jaka jest pogoda.
- Jeśli to już zdecydowane - powiedział sir Roberts z namysłem - to co Wasza Wysokość sądzi o wyspie Wight? Tak się składa, że lady Isabella Blatchford zamierza sprzedać Osborne.
- Osborne? Ależ tak, znam tę posiadłość - powiedziałam i z ożywieniem zwróciłam się do Alberta: - Pamiętasz, mówiłam ci, że jako dziewczynka wielokrotnie bywałam w zamku Norris i jak żałowałam, że nie mogę go kupić, gdy w trzydziestym dziewiątym wystawiono go na sprzedaż? No więc Osborne leży tuż obok. Nigdy nie byłam w środku, ale często galopowałam na kucyku po jego terenie.
- Wyspa Wight jest w istocie bardzo piękna - stwierdził Albert. Przepływaliśmy koło niej tego lata i zwróciłam jego uwagę na jej najwspanialsze zakątki.
- Bardzo cicha, o zachowanym wiejskim charakterze, sir -powiedział Peel. - Wspaniały klimat i z Londynu można wygodnie dojechać koleją.
- Dobre miejsce na wyprawy żeglarskie - stwierdził Albert. - Jak duża jest posiadłość?
- Zdaje się, około tysiąca akrów, sir. Park, las i farma czy też nawet dwie.
- Co o tym sądzisz, kochanie? - zapytał mnie Albert po niemiecku. - Czy nie masz żadnych przykrych wspomnień związanych z wyspą Wight? Czy nie łączy się dla ciebie ze wspomnieniem pewnej osoby?
Nie pamiętałam, czy mówiłam o tym Albertowi, ale istotnie Conroy wraz z rodziną zatrzymał się w Osborne, podczas gdy ja z mamą byłam w zamku Castle... nie mieszkali co prawda w samym dworze, tylko w domku myśliwskim... Pośpiesznie odpędziłam to wspomnienie. Spędzałam szczęśliwie wakacje na wyspie Wihgt i teraz aż się paliłam, aby kupić tam dom. Z chwilą, kiedy mi zaświtał ten pomysł w głowie, byłam gotowa działać pełną parą, bez namysłu i bez zwłoki.
- Nie, nie, jestem pewna, że to idealne - powiedziałam. -Musisz się tam natychmiast wybrać i opowiedzieć mi, jak tam jest.
Uśmiechnął się i znowu przycisnął moją rękę do boku.
329
- Musimy do tego podejść nieco bardziej systematycznie, najdroższa. Trzeba wiele rzeczy wyjaśnić, zanim ktokolwiek tam pojedzie. Osborne może być dla nas nieodpowiednie.
- Ale przecież słyszałeś, że tam byłam i że jest idealne -nalegałam.
- Proszę cię bardzo, zostaw to mnie - powiedział stanowczo i zwrócił się znowu do Peela, który nie mówił po niemiecku i uprzejmie udawał, że nie słyszy, abyśmy rozmawiali w tym języku. - Mam nadzieję, że będzie pan łaskaw przedłożyć lady Blatchford kilka pytań zamiast mnie, sir Robercie?
- Będę uszczęśliwiony, mogąc rozmawiać z lady Isabellą w pańskim imieniu - poprawił go delikatnie Peel. (Albert nie był zbyt biegły w angielskich tytułach -jak typowy Niemiec pogardzał angielską arystokracją i myślę, że właśnie w ten sposób to okazywał. Tym samym często stawiał mnie w trudnej sytuacji podczas audiencji). - Jak mniemam, powinienem zapytać o cenę sprzedaży.
- Nie tylko. Zaopatrzenie w wodę i drenaż terenu, dostęp do morza, czy jest zawarowane prawo do przechodzenia przez posiadłość... gdyby przechodziła przez nią publiczna ścieżka, byłoby to zgubne dla naszej prywatności. Powinniśmy też zobaczyć mapę terenu z zaznaczonymi farmami,

lasem i tak dalej, pokazującą granice i ukształtowanie całej posiadłości. Napiszę szczegółowe pismo na ten temat i doręczę je panu w ciągu kilku dni.
Zwłoka, wynikająca z „nieco bardziej systematycznie" Alberta i nieznajomości rzeczy lady Isabelli wydawała mi się nieskończona. Żądała trzydziestu tysięcy funtów; Peel uważał, że to zbyt dużo, a Albert nie był chętny wydać pieniędzy na coś, co mogłoby okazać się nie całkiem doskonałe dla naszych celów, toteż wyruszył do Osborne dopiero osiemnastego marca 1844 roku, gdy uzyskał wszystkie odpowiedzi na swoje zapytania. Przy kolei żelaznej i parowym promie było możliwe w ciągu jednego dnia dotrzeć do East Cowe, rozejrzeć się tam dokładnie i wrócić (co za zmiana w porównaniu z podróżami z mojego dzieciństwa!), toteż wstawszy o świcie, Albert zjawił się w domu z powrotem wieczorem i miał dobre wieści.
- Dom jest bardzo odpowiedni, posiadłość zachwycająca,
330
możemy mieć tyle spokoju i odosobnienia, ile sobie tylko będziemy życzyć, ale trzeba dokonać kilku przeróbek, aby dom stał się naprawdę wygodny.
- Jakiego rodzaju przeróbek? - zapytałam podejrzliwie. Nie chciałam żadnej zwłoki, a właśnie na to się zanosiło.
- Potrzeba kilku dodatkowych pomieszczeń. Nowe kuchnie są niezbędne, ale jest na nie doskonałe miejsce na podwórzu tuż obok pomieszczeń niemieszkalnych. Nad stajniami można będzie zrobić dodatkowe sypialnie dla służby. Czy teraz widzisz, moje kochanie, jak ważne jest, aby nie działać pospiesznie? Potrzebujemy jeszcze czasu, aby obliczyć, ile trzeba na to wydać i czy warto ponieść te wydatki. Twoja szkatuła nie jest bez dna, przecież wiesz.
Poczułam się gorzko rozczarowana. Byłam znowu w ciąży i marzyłam o domu tylko dla nas, naszym „gnieździe".
- Nie podoba ci się?
- Ależ tak, podoba. Ziemia jest nadzwyczaj dobra, urodzajna, wprawdzie obecnie zaniedbana, ale wiele będzie można zmienić. Niemniej musimy postępować ostrożnie, kochanie. Uważam, że należałoby zaproponować lady Blatchford najpierw wynajęcie Osborne na rok, z zastrzeżeniem ewentualnego kupna przed końcem tego okresu. Możemy wynegocjować odliczenie opłaty dzierżawnej od całej ceny - dodał z namysłem.
- Jak długo to wszystko potrwa? Miałam nadzieję pojechać tam jeszcze tego lata.
- Zobaczymy - powiedział ze zniecierpliwieniem. - Takich rzeczy nie można przyspieszać.
W rezultacie musiałam czekać do października, aby pojechać do mojego nowego domu, a i to tylko jako dzierżawca. Jakże dobrze pamiętam tę pierwszą wizytę! Przez całą drogę do Gosport padały przelotne deszcze, a przeprawa do East Cowes odbyła się w rzęsistym deszczu, ale gdy podjeżdżaliśmy do domu, nagle pokazało się słońce, oświetlając fasadę, tak jakby witano nas uśmiechem. Jakiż to był przyjemny dom! Piękny, w czystym palladiańskim stylu, dwupiętrowy, zbudowany z prostokątnych, charakterystycznych dla osiemnastego wieku kamieni, z przepięknym półkolistym oknem nad drzwiami i klasycznym frontonem. Wszystkie domy mają
331
„duszę"; ten sprawiał wrażenie szczerego i przyjaznego. Otaczały go piękne wysokie drzewa i dobrze utrzymane trawniki, a poza nimi rozciągał się park i łąki, opadające ku morzu. Ująwszy moją rękę, Albert wprowadził mnie do środka i przechodziliśmy we dwoje z pokoju do pokoju, oceniając je i podziwiając. Przypomniało mi to pierwszą noc po ślubie, gdy biegaliśmy jak dzieci z pokoju do pokoju po naszym apartamencie w Windsorze; teraz nie biegaliśmy, ale byliśmy równie mocno podekscytowani - nie, bardziej, bo dom należał do nas, nie do narodu.
Wszystko było wspaniałe. Dokładnie to, czego chciałam. Pokoje mniejsze niż w Windsorze czy Buckingham, ale o dobrych proporcjach, jak zwykle przy tym stylu budowania. Były jasne, wesołe, suche i ciepłe; wyglądały pięknie, choć w kilku miejscach można się było dopatrzyć zniszczeń spowodowanych przez czas. Mieliśmy bibliotekę, salon, jadalnię, dwa hole i dwa przedpokoje na parterze, szesnaście sypialni i ubieralni na górze. Nic nie mogło być doskonalsze i bardziej wygodne! Nie brakowało niczego - od piwnicy na wina po pokoje dziecinne, od lodowni po chlewnię - co niezbędne w komfortowej rezydencji dżentelmena.

- Ależ to właśnie to, czego nam trzeba! - wykrzyknęłam do Alberta. - Naprawdę gemutlichkeitl Wyszliśmy na zewnątrz i przechadzaliśmy się po trawnikach, podziwiając widok. Deszczowe chmury się rozproszyły, słońce świeciło mocno i w jego promieniach lśniło niebiesko jak kwiaty cykorii z Solent, rozciągające się poniżej porośniętych drzewami pagórków, upstrzone maleńkimi białymi żaglowcami i czarnymi parostatkami. Spithead także było stąd doskonale widoczne i gołe maszty zakotwiczonych tam okrętów, a w oddali, nieco niewyraźnie, łagodne krzywizny Downs. Owiewało nas czyste, balsamiczne powietrze, unosił się w nim ledwie wyczuwalny gorzkawy zapach opadłych jesiennych liści i posmak ozonu - zawsze uwielbiałam ten pierwszy, upajający haust morskiego powietrza! Wokół nas rozbrzmiewały głośne śpiewy ptasie. Żadnych innych dźwięków; żadnej sadzy czy dymu; żadnych ludzi ani budynków w zasięgu wzroku. Byliśmy jak Adam i Ewa w rajskim
332
ogrodzie. Palce Alberta zacisnęły się na mojej dłoni i poczułam, jak przenika mnie dreszcz radości.
- To jak Zatoka Neapolitańska - powiedział, a w jego głosie brzmiało szczęście. - Łagodne zbocza, kolory, przyjemne powietrze. Aż trudno uwierzyć, że jesteśmy w Anglii.
- Możemy się tu czuć zupełnie, ale to zupełnie prywatnie -zachłystywałam się radością. - Żadnego więcej tłoczenia się i podglądania. Będziemy mogli spacerować i dokazywać jak zwyczajni ludzie.
- Wiedziałaś, że tu jest także plaża? Niewielka, skryta, piaszczysta zatoczka z muszelkami i małymi skałkami, gdzie dzieci mogą się kąpać?
- Prywatna plaża tylko dla nas? - Brzmiało to aż za dobrze, aby było prawdziwe. Mogłabym nawet spróbować nauczyć się pływać. Nigdy dotąd nie weszłam do morza; coś podobnego nie przystoi królowej Anglii na oczach wszystkich.
- Nasze dzieci muszą się nauczyć pływać... i wiosłować, i żeglować. Wiesz, zbudujemy przystań, będziemy mogli wsiadać i wysiadać z jachtu na naszym prywatnym terenie, niczyje ciekawskie oczy nie będą nas śledziły...
- Żadnych orkiestr ani przemówień! Ani komitetów powitalnych! - powiedziałam, śmiejąc się. - Och, Albercie, to cudownie, prawda?
- Cudownie - potwierdził. - I możemy jeszcze dokupić przylegające tereny, żeby zyskać gwarancje pełnej prywatności. Uczynimy z tego doskonałą posiadłość. I praktyczną. Mam wiele pomysłów na racjonalne gospodarowanie, będę je mógł tutaj wypróbować.
- Dzieci będą tu dorastały, bawiąc się, zdrowe i szczęśliwe. I zostanie to dla nich po naszej śmierci.
- Po naszej śmierci? - Odwrócił mnie, ujął moje ręce i przytulił je do swojej piersi, patrząc mi w twarz z uśmiechem. Uniosłam głowę, wpatrując się w niego, serce mi biło przyspieszonym rytmem. Nie widziałam jeszcze, aby był taki szczęśliwy; wyglądał tak pięknie, że zabrakło mi tchu. - Kto mówi o umieraniu? Będziemy żyli wiecznie, moja miłości.
- Będziemy - powiedziałam niewyraźnym głosem. Pochylił się i pocałował mnie delikatnie i czule, a dotyk jego warg rozpalił we mnie ogień.
333
- Kocham cię, kleines Frauchen - wyszeptał.
Nie mogłam wymówić ani słowa; przytuliłam tylko policzek do jego policzka. A potem on się wyprostował.
- Przejdziemy się do lasu? - zapytał z ożywieniem. - Co prawda to nie ta pora roku, żeby było je słychać o zmierzchu, ale może znajdziemy jakieś słowiki.

Rozdział Czternasty.
13 lipca 1900 w Windsorze.

Przez wiele dni nie napisałam ani słowa, ponieważ byliśmy dość occupe; jedenastego wydawaliśmy w ogrodach pałacu Buckingham przyjęcie dla pięciu tysięcy osób i między innymi z tego powodu musiałam się ruszyć z Windsoru. W Londynie było nieprzytomnie gorąco! Nosiłam czepek przybrany białymi różami i piórami, moje wielkie perły i osłaniałam się przed żarem

parasolem z białego i czarnego jedwabiu z frędzlami - doprawdy wyglądałam bardzo dobrze jak na taką starą kobietę. Wszyscy byli uprzedzająco grzeczni i okazywali mi wiele szacunku. Stwierdziłam, że stałam się kimś w rodzaju bohatera wojennego, co jest zarazem zdumiewające i wzruszające.
Jakaś dama rozmawiała ze mną z ożywieniem kilka minut, najwyraźniej nieświadoma, że ma bilet zatknięty za wstążkę kapelusza (niewielki i nie rzucający się w oczy, ale jednak wyglądało to jak z ilustracji przedstawiającej Szalonego Kapelusznika). Przypomniało mi to pierwsze rozkoszne lata mojego panowania, gdy chadzałam na bale; rozmawiałam wówczas kiedyś z księżną, której nazwisko niechże pozostanie tajemnicą. Chciała swojej młodziutkiej władczyni koniecznie udowodnić, jak nadzwyczaj wyrafinowaną i światową jest osobą, tymczasem podszedł do nas lokaj, skłonił się przed nią i unosząc okropieństwo z końskiego włosia i płótna zaopatrzone w bawełniane taśmy, z których jedna była zerwana, powiedział:
334
- Proszę mi wybaczyć, Wasza Miłość, ale zdaje się, że Wasza Miłość to zgubiła.
Była to oczywiście tiurniura, którą w tamtych dniach nosiłyśmy pod spódnicami, aby uczynić nasze kształty bardziej atrakcyjnymi. Biedna kobieta spłonęła purpurą i zdecydowanie wyparła się swojej własności. Podejrzewam, że czując, jak tiurniura spada, pozwoliła jej opaść i zwyczajnie się oddaliła, mając nadzieję, że nikt nic nie zauważył. A teraz kazano jej ją rozpoznawać w obecności samej królowej! Lokaj odszedł z ukłonem, ale zaraz wrócił ze zwisającym mu w ręce obiektem wstydu.
- Zechce mi Wasza Miłość wybaczyć - powiedział - ale rozmawiałem ze służącą Waszej Miłości, która twierdzi, że to z pewnością własność księżnej pani.
Musiałam udawać atak nagłego kaszlu, aby ukryć chichot, którego nie mogłam powstrzymać.
Jest obezwładniająco gorąco, nawet tutaj, w Windsorze, co mnie bardzo męczy. Reid zalecił, abym odpoczywała godzinę po lunchu; myślę, że to rzeczywiście mogłoby być dla mnie korzystne, ale co za strata czasu. Nawet o tej porze roku nie jestem wolna od obowiązków, których nie sposób odłożyć. Wolę raczej wykorzystać ten czas na pisanie. Zresztą spanie po lunchu nie wchodzi w rachubę, jestem ostatnio taka souf-frante: mój dotychczas żelazny żołądek odmawia mi posłuszeństwa; doprawdy ciężkie nastają czasy, gdy coś od tak dawna wiernie służącego człowiekowi zawodzi! Cóż, niedługo wrócimy do Osborne i powinno mi to, jak zawsze, wrócić życie. Zawsze w Osborne wydaje mi się, że jestem bliżej mojego ukochanego.
A zatem, wracając do tematu: czasami potwornie mi żal starego domu w Osborne, takiego, jak wyglądał w dniu naszej pierwszej z Albertem wizyty w 1844 roku. Był doskonały i kompletny, miał skończenie piękne dla oka proporcje, nawet dla oczu takiej amatorki jak ja. Nie ceni się jej co prawda zbytnio w dzisiejszych czasach, chociaż trudno znaleźć coś lepszego od dobrej klasycznej architektury, zarówno dla jej piękna, jak i użyteczności. Niemniej od początku nie było wątpliwości, że dom jest za mały na królewską rezydencję. Kupowaliśmy go wprawdzie z przeznaczeniem na prywatną
335
siedzibę, ale gdzie królowa, tam i dwór, i dworzanie, ambasadorowie, politycy, których trzeba pomieścić - i ich współpracownicy i współpracowników służba! A jeszcze spotkania Rady Przybocznej, do których konieczna była nie tylko sala recepcyjna, ale i przedpokój, gdzie by ministrowie mogli oczekiwać; trzeba ich było nakarmić, zająć czymś ich sekretarzy, czasem zostawali na noc, a zatem znowu potrzebne dodatkowe miejsca do spania i więcej służących.
Tak więc widać jasno, że od początku liczyliśmy się z koniecznością rozbudowania domu i Albert zaproponował dodanie nowego skrzydła.
- Ale nie będziemy tego przeprowadzać przez żadne ministerstwa - powiedział.
- Mam nadzieję! - roześmiałam się. - Inaczej nie skończymy przed następnym tysiącleciem.
To Anson podsunął nam, abyśmy zwrócili się do Thomasa Cubitta, budowniczego. Cubitt był jednym z tych nowego rodzaju spekulujących budowniczych (choć w jego przypadku trudno mówić o spekulowaniu, ponieważ był mocno zakorzeniony na rynku), którzy wykupywali znaczne obszary ziemi i stawiali na nich całe ulice domów, by je potem wynajmować lub sprzedawać. Całe połacie

Londynu zapełniały jego budynki - Belgravię nazywano czasami „Cubitopolis" - i zasługiwał na sukces, ponieważ przykładał wielką wagę do dwóch istotnych rzeczy: budował domy, w których ludziom dobrze się mieszkało i nigdy nie przekraczał kosztorysu. Sam Anson mieszkał w zbudowanym przez Cubitta domu w Eaton Place i nie mógł się nachwalić projektu i wygody, a kiedy nam przedstawił Cubitta, od razu go polubiliśmy. Przekroczył wówczas pięćdziesiątkę, był muskularny, dobrze zbudowany, miał przyjemną, szczerą twarz, głęboko osadzone jasne oczy i łobuzerskie poczucie humoru. Był u szczytu kariery, całkowicie spokojny o swoją pozycję i finanse, dzięki czemu nie zachowywał się ani zbytnio nadskakująco, ani familiarnie, jednym słowem: rozsądny, uprzejmy, przyjemny człowiek.
Zawieźliśmy go do Osborne, gdzie we troje, ja, Albert i on, chodziliśmy, dyskutowaliśmy, robiliśmy pomiary i szkice, a gdy odeszłam, we dwóch z Albertem jeszcze jakiś czas spacerowali i rozmawiali. Potem, już w mojej obecności, Cubitt,

wyraziwszy podziw dla położenia posiadłości i naturalnego spadku terenu, powiedział:
- Widzę tu wielkie możliwości architektoniczne, które doprawdy grzechem byłoby zmarnować. Mogę oczywiście wykonać wszystkie niezbędne przeróbki i dobudować nowe skrzydło, ale byłoby znacznie lepiej zburzyć stary dom i zbudować nowy. Proszę mi tylko narysować ogólny szkic, a na pewno powstanie dokładnie to, czego Wasze Wysokości by sobie życzyły.
Zobaczyłam, jak Albertowi rozbłysły oczy.
- Ale realizacja takiego projektu byłaby zbyt droga. Nasze zasoby nie są niewyczerpywalne - powiedział z powątpiewaniem.
- Być może pan Cubitt doradza nam to, co najkorzystniejsze z jego punktu widzenia - powiedziałam sucho.
Zwrócił swoją uczciwą twarz w moją stronę.
- Nie zaprzeczę, pani, że możliwość zbudowania dla Waszej Wysokości domu jest dla mnie niezwykle pociągająca. Wypełnienie takiego zamówienia niewątpliwie dodałoby mi splendoru, niemniej co do kosztów, jestem przekonany, że przeróbki i reperacje starego domu pociągną za sobą znacznie większe niż budowa nowego, a to drugie z pewnością przyniesie więcej korzyści i zadowolenia.
- Proszę nie zapominać, panie Cubitt - powiedziałam -że mamy bogate doświadczenia w naszej rodzinie z realizacją planów budowlanych, które nie wypaliły. Mój stryj, król Jerzy IV zaplanował pałac Buckingham, którego nigdy z niedostatku czasu i środków nie ukończono.
Teraz jemu błysnęły oczy i uśmiechnął się ujmująco.
- Ale bo Jego Majestat nie zaangażował mnie! Błąd tkwił w tym, jeśli wolno mi okazać się tak zuchwałym, pani, że Jego Majestat zaczynał budować z architektem.
- Nie ceni pan architektów, panie Cubitt? - zapytał Albert chłodno, unosząc ze zdziwieniem brwi; nikt nie będzie umniejszał jednej z jego ulubionych sztuk w jego obecności!
- Cenię ich jak lekarzy, panie; są czasem potrzebni, ale lepiej się obywać bez nich. -
Roześmieliśmy się, a Cubitt mówił dalej: - Architekt, jeśli się go zatrudni, zleca poszczególne części pracy wielu rozmaitym osobom i potem czuje się,

że zabrakło silnej ręki, która by to wszystko scaliła. Mój tryb pracy jest inny. Ja wolę wypełnić zadanie w całości. Mam własnych kamieniarzy, cieśli, rysowników, kowali, szklarzy... wszystkich. Gdy ktoś mnie zatrudnia, mogę dopilnować każdego etapu budowy, od kopania ziemi pod fundamenty począwszy, na pomalowaniu sufitów skończywszy. W ten sposób w pełni kontroluję jakość pracy i materiałów, ilość zużytego czasu i koszty.
- To nie wyczerpuje sprawy, jest jeszcze inna rzecz do rozważenia - powiedział Albert. -
Znaleźliśmy się tutaj, ponieważ szukaliśmy cichego, spokojnego miejsca do zamieszkania. Nie chcielibyśmy teraz wyjechać i nie móc tu wrócić przez kolejne lata.
- W takim razie, zupełnie nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś, panie, zdecydować o prowadzeniu budowy etapami. W ten sposób Wasze Wysokości zawsze będą miały gdzie mieszkać.
- Co pan ma na myśli? - zapytałam go.

- Cóż, pani, zacząłbym od wykonania tutaj niezbędnych przeróbek, co zajęłoby mi kilka miesięcy. Potem Wasze Wysokości mogłyby tu mieszkać wygodnie, podczas gdy ja wznosiłbym obok nowy dom. Och, trzeba się oczywiście liczyć z pewnymi niewygodami, jak hałas i kurz, ale to można tak urządzić, by było jak najmniej uciążliwe. Jestem w stanie wznieść dom, powiedzmy tych rozmiarów co ten, w ciągu roku.
- W tak krótkim czasie? - powątpiewał Albert.
- Mam wypracowaną własną metodę, Wasza Wysokość. Wiele elementów przygotowuję we własnych warsztatach, przywożę je gotowe i łączę na miejscu budowy, co jak sobie łatwo wyobrazić, znacznie skraca pracę. A ponieważ zatrudniam wyłącznie własnych ludzi, mam pewność, że pracują szybko i dobrze i że jedni nie czekają na drugich ze skończeniem roboty.
- Sam pan przecież powiedział... my również twierdzimy to samo, że ten dom jest za mały - zaoponowałam.
- Ależ oczywiście, pani. Mój pomysł polega na budowaniu etapami: doprowadzić do końca pierwszą część, tak aby można było w niej wygodnie zamieszkać, podczas gdy Wasze

Wysokości będą zajmowały obecny dom, potem dodać skrzydło łączące nowy i stary dom i wreszcie zburzyć i wybudować trzecie skrzydło. Kolejnym plusem takiego trybu postępowania - powiedział, zwróciwszy oczy na Alberta -jest możliwość rozłożenia w czasie kosztów, nie muszą być poniesione od razu.
Albert namyślał się przez chwilę, a potem zdecydował:
- Panie Cubitt, sprawia pan na mnie wrażenie światłego człowieka. Mam wrażenie, że powinniśmy bardziej szczegółowo rozważyć pański plan. Jeśli pan pozwoli, chciałbym po powrocie do Londynu obejrzeć pańskie warsztaty.
I tak oto, właściwie bez zasięgnięcia mojej opinii, na stary dom został wydany wyrok śmierci. Gdy go ostatecznie rozebrano, poczułam ukłucie żalu, ale projekt nowego Osborne był na tyle ekscytujący i tyle sprawiał przyjemności Albertowi, że nie sarkałam. Nowy dom nierozerwalnie łączy się z Albertem; realizuje jego wizję, czuje się w nim ducha Alberta, jest przepełniony szczęśliwymi wspomnieniami o nim -muszę go kochać.
Uczyniliśmy zatem ten krok i kupiliśmy Osborne; przeszło w nasze ręce w maju 1845 roku, a przedtem odwiedził je sir James Clark, aby wydać opinię o klimacie (świetny i zdrowy, choć może zbytnio rozleniwiający w pewnych porach roku, niemniej na północy wyspy, gdzie leży Osborne, powietrze jest nieco ostrzejsze, tak więc można to zaakceptować). Piętnastego maja pożegnałam stare Osborne, takie jakim je zobaczyłam po raz pierwszy z Albertem w październiku, a następnego dnia zaczęto wycinać drzewa i kopać fundamenty.
Osborne było od początku do końca Alberta: dyskutowali i czynili ostateczne ustalenia z Cubittem, a potem Albert objaśniał mi, co zdecydował. Rozumiałam, dlaczego musi to się odbywać w taki sposób. Albert odwracał tę rzecz, która była według niego zła od początku naszego małżeństwa - nie chciał żyć z wyznaczonej mu pensji w moim domu, na moim utrzymaniu i warunkach. Robił teraz to, co mężczyźni od pokoleń: budował dom dla swojej żony. Z każdą zmianą projektu, każdym pomysłem, po zakończeniu jakiegoś etapu budowy przychodził do mnie, jakby składał trofeum u moich stóp; okazałabym doprawdy grubiaństwo, kwestionując taką

rycerską postawę, tyle dbałości od mężczyzny, który był moim opiekunem i rycerzem.
Wszyscy wiedzą, jak wygląda Osborne: dwupiętrowy budynek we włoskim stylu z bliźniaczymi dzwonnicami i dużym oknem w wykuszu od strony patrzącej na morze. Tamtego pierwszego dnia naszej wspólnej wizyty Albert powiedział, że widok z posiadłości przypomina mu Zatokę Neapolitańską; zbudował więc dla mnie włoską willę, żeby pasowała. We wnętrzu pełno było marmurowych kolumn i posągów, zwieńczonych łukami nisz, podłogi zostały wyłożone kolorowymi płytkami. Włochy zagościły na wyspie Wight -do tego stopnia, że na podłodze głównego korytarza widniało słowo Salve - i chociaż inteligencja bolała nad złym gustem (oczywiście! bo ośmielił się zrobić coś nowego, nie radząc się ich!), moda na wille we włoskim stylu rozprzestrzeniła się w kraju.

W domu widać było rękę Cubitta, wprowadził wiele ze swoich pomysłowych innowacji („bardzo po londyńsku", jak stwierdziła jedna z dam dworu). Przykładał wielką wagę do zabezpieczeń przed pożarem (raczej rozsądne podejście w dobie lamp naftowych i świec), zastosował więc szkielet konstrukcyjny z żelaznych dźwigarów zamiast drewnianych belek. Miało to i tę dobrą stronę, że dźwigary można było odlać w jego warsztatach, a na miejscu budowy tylko ze sobą połączyć, ponadto osiągnięto niezwykle solidną konstrukcję budowli. Podłogi wzmocniono dodatkowo cegłami, wysypano też pod nimi warstwę muszli, zarówno dla ochrony przed hałasem, jak i aby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia między piętrami. Listwy przypodłogowe zrobiono z betonu, nie z drewna - ale to po części, aby zrealizować pomysł Alberta: ogrzewania korytarzy ciepłym powietrzem, przedostającym się przez kratownice, jak to widział we Włoszech. Myślę, że pokrycie okiennic od wewnętrznej strony lustrami było pomysłem Cubitta; kiedy się je zamykało na noc, odbijało się w nich wnętrze i pokoje wydawały się przestronniejsze.
Wszystkie sanitarne urządzenia natomiast były wyłącznie według pomysłu Alberta, chociaż Cubitt oczywiście zajął się stroną praktyczną. Mogę zatem napisać, że mieliśmy niezliczoną liczbę nadzwyczaj nowoczesnych klozetów i nie wydobywały się

z nich żadne zapachy (nie tak jak w innych królewskich pałacach), mogliśmy się ponadto rozkoszować niebywałym jak na tamte czasy luksusem korzystania z wanien, które nie tylko napełniały się gorącą wodą, ale i samoczynnie opróżniały.
Najpoważniejszą w moich oczach zaletą Cubitta było to, że istotnie nie przekraczał wyznaczonego budżetu. Ponieważ kontrolował każdy etap budowy, potrafił dokładnie oszacować koszty i muszę przyznać, że nigdy ich nie przekroczył. Doceniałam jego skrupulatność w sprawach finansowych; nie mam szacunku dla ludzi niefrasobliwie obchodzących się z pieniędzmi. A Cubitt nie wahał się proponować przemyślnych innowacji zmniejszających jeszcze koszt budowy. Kamień z Portland, na przykład, był przerażająco drogi i kierując się jego radą, nie szafowaliśmy nim zbytnio, został użyty wyłącznie tam, gdzie istotnie go widać, jak przy głównym wejściu. I chociaż cały dom wygląda, jakby go zbudowano z kamienia, w istocie jest z cegły, pokrytej zaprawą o kolorze i strukturze do złudzenia przypominającej kamień. „Marmurowe" kolumny we wnętrzu są także z betonu, pokrytego gipsem i pomalowanego, by naśladował marmur -ledwie parę osób potrafi rozpoznać różnicę. Cubitt miał wśród swoich robotników specjalnego człowieka do „robienia marmuru", rzeczywiście niezwykle biegłego. Uwielbiałam patrzeć, jak pracuje.
Prace postępowały ze zdumiewającą szybkością. Dwudziestego trzeciego czerwca 1845 roku Albert, ja, Vicky i Bertie odbyliśmy małą prywatną ceremonię „wbudowania kamienia węgielnego". Dzieci przyniosły niewielką szklaną szkatułkę z monetami, na których wyryto specjalnie na tę okazję nasze imiona, włożono ją do specjalnie zrobionego otworu i zalano cementem, a potem posadowiono wielki kamień, wokół którego wszyscy chodziliśmy, postukując weń młotkami na szczęście. Było to na poły poważne, na poły radosne, zarazem święte i pogańskie i zmówiłam żarliwą modlitwę do Boga, aby pobłogosławił to dzieło i abyśmy spędzili w tym domu wiele szczęśliwych dni wraz z dziećmi i dziećmi dzieci.
Działo się to, jak napisałam, w czerwcu, a ledwie w trzy miesiące później była gotowa zasadnicza konstrukcja jednego

skrzydła nowego domu (nazwaliśmy je Pawilonem), choć jeszcze brakowało dachu. Do listopada wzniesiono wieżę i ku mojej uldze nie była nieproporcjonalna, jak mi się to wydawało, sądząc po rysunkach; obawiałam się, że może być zbyt wysoka. Pierwszego marca 1846 roku Albert i Cubitt pokazali mi wnętrze i byłam zdumiona, zobaczywszy, jak wiele rzeczy już zrobiono. Największa niespodzianka czekała mnie, gdy zobaczyłam hall z klatką schodową; zawsze podziwiałam schody w Claremont i Albert kazał Cubittowi je skopiować (oczywiście w pomniejszeniu), aby mi sprawić przyjemność.
Prace przy Pawilonie zostały całkowicie zakończone we wrześniu 1846 roku, w niecały rok i trzy miesiące po położeniu kamienia węgielnego - szybka praca w istocie! (Budowę Skrzydła Dworskiego, zawierającego pomieszczenia niezbędne do funkcjonowania domu, biura i kwatery

służących ukończono w 1847 roku. Stary dom, który stał pomiędzy dwoma nowymi budynkami, rozebrano w rok później i teraz przypominają o nim tylko piękne drzwi frontowe z nadświetlem, w murze kuchennego ogrodu. Główne Skrzydło zostało posadowione na fundamentach, odkrytych podczas rozbiórki starego domu, kiedy to okazało się, że kiedyś istniał w tym miejscu jeszcze starszy budynek. Ukończono je w 1851 roku i w ten sposób dom, który wymyślił Albert, stanął gotowy).
Wnętrze Pawilonu było doprawdy tym, co się nazywa gemutlichkeit. Budynek miał kształt podkowy, pośrodku biegła klatka schodowa, a od niej rozchodziły się pokoje. Na parterze mieściły się pokoje dzienne: jadalnia, salon z wychodzącym na morze oknem w wykuszu, pokój z bilardem i mały salonik. Na pierwszym piętrze były apartamenty Alberta i moje: sypialnia nad jadalnią, moja ubieralnia i salon nad głównym salonem, także z oknem w wykuszu i niewielkim balkonem, z którego rozciągał się piękny widok na morze, dalej ubieralnia Alberta, pokoje dla kamerdynera i garderobianej. Na drugim piętrze pokoje dzieci; pokój dla najmłodszych nad naszym salonem, a apartamenty lady Lyttleton nad jadalnią.
Wszystko komfortowe i schludne, jak tylko można, i piętnastego września spędziliśmy naszą pierwszą noc w nowym
342
domu. Był czysty, jasny i lekki, ale też sprawiał wrażenie bardzo solidnej konstrukcji; nie czuło się w nim, co zdumiewające, nawet nikłego zapachu farby! Co mnie wprawiało w największy zachwyt, to to, że wszystko było takie nowe i nasze własne, od chińskich ornamentów po włoskich prymitywów Alberta na ścianach. Gdy po raz pierwszy przeszłam przez drzwi frontowe mojego własnego domu, jedna z młodych służących rzuciła za mną starym butem - na szczęście; jak wyjaśniła, był to stary szkocki zwyczaj - i oczywiście dzieci pokładały się ze śmiechu. Były niesłychanie podniecone, biegały z pokoju do pokoju i tylko z największym trudem udało się je zagonić do łóżek. Vicky wbiła sobie do głowy, że się boi, bo wszystko jest nowe i obce, aż w końcu pokazałam jej posąg ojca, umieszczony w niszy u wylotu schodów na drugim piętrze i powiedziałam, że stoi tutaj, aby sprawować nad nimi straż; poszła potem do sypialni potulnie jak owieczka. (Prawda była taka, że właśnie dostaliśmy ten posąg Alberta w greckiej zbroi i podobał mi się bardzo; on jednak powiedział, że gołe nogi i stopy to widok nieprzyzwoity i nie można wystawiać czegoś takiego na widok publiczny; posąg został zatem umieszczony na piętrze dla dzieci. Polubiły go również i każdego roku układają w niszy w rocznicę jego urodzin kwiaty wokół owych szokujących nagich stóp).
Gdy zapadł zmierzch, udaliśmy się do jadalni na obiad; zostawiliśmy okiennice otwarte, tak aby światła naszych pięknych żyrandoli były widoczne na wodzie i aby wszyscy wiedzieli, że jesteśmy tutaj. Po obiedzie wzniesiono toast za zdrowie moje i Alberta, aby „ocieplić dom". Albert wstał, żeby podziękować i spojrzawszy mi w oczy, powiedział, jak to on zwykle, spokojnie i bez patosu:
- Na okazje takie jak ta mamy w Niemczech stosowny psalm. Zaczyna się tak: Gott behUte dieses Haus / Und die da gehen ein und aus.
„Boże, pobłogosław ten dom, nasze wyjścia i powroty", tak by można chyba było to przetłumaczyć; słowa tak dobrze pasujące i tak uroczyste, że moje oczy wypełniły łzy. Wszyscy przy stole byli wzruszeni i wyrażali między sobą po cichu aprobatę. Ale choć słowa te dotyczyły wszystkich, jego spojrzenie
343
i lekki czuły uśmiech, który pojawił się na jego wargach, były przeznaczone tylko dla mnie.
Potem, gdy znaleźliśmy się sami w naszym salonie, wyszliśmy na nasz niewielki balkon i staliśmy tam jakiś czas -ręka Alberta oplatała moją talię, moja głowa spoczywała na jego ramieniu - wdychając łagodne jesienne powietrze i wpatrując się w ciemność. Rozświetlały ją pięknie małe punkty światła - bijące z domów na lądzie i rzucane przez statki na wodę.
- Jeżeli nas widzą, musimy wyglądać jak wielki statek żeglujący po niebie, rzęsiście oświetlony na jakąś wielką okazję - powiedziałam. - Pewnie myślą, że wydajemy bal i wyobrażają sobie, jak w takt muzyki tańczą damy w ślicznych kolorowych sukniach.
- Mam nadzieję, że statki nie biorą nas za latarnię morską i nie wpadają na skały - odparł na to

Albert.
- Och, nie - zaprzeczyłam. - Nic oprócz dobra nie płynie z tego domu.
Albert uścisnął mnie w talii i spojrzał na mnie.
- So, kleines Frauchen, jesteś szczęśliwa? Podoba ci się nasz nowy dom?
- Tak, bardzo! - powiedziałam żarliwie. - Nie potrafię tego wyrazić.
Pocałował mnie w czubek głowy i znowu zapatrzył się przed siebie.
- Będziemy tutaj szczęśliwi. Dzieci mogą biegać i bawić się, ty siedzieć pod drzewami i szkicować, a ja... - urwał.
- Tak? Co ty będziesz robił? - zapytałam z zadowoleniem. Nie wiedząc, dlaczego przerwał, podniosłam głowę, aby na niego spojrzeć. Miał dziwny wyraz twarzy, niemal smutny, i zlękłam się. - Albert? Co ty będziesz robił?
Spojrzał na mnie, jak wyrwany ze snu, jakby błądził myślami o mile stąd.
- Ja uczynię z tego krainę przyjemności - powiedział. -Będę kopał i sadził, tu upiększał widoki, a ówdzie odsłaniał kuszący błysk morza, aż w końcu uwierzysz, że jesteś w Arkadii. Wijąca się po zboczu wśród plantacji rododendronów i magnolii ścieżka, zbiegająca do morza; angielskie dęby i buki; urocze ciemne mirty i cyprysy odbijające od bladej
344
zieleni trawnika; tarasy, arkady, klomby, a nade wszystko teren opadający tak naturalnie, jakby sam Bóg go w ten sposób ukształtował. Zbocza nie wyglądają jeszcze jak należy, ale nadam im lepszy kształt. - Spojrzał na mnie znowu, uśmiechając się. - Jestem zdolny poruszyć dla ciebie ziemię, kochanie. Może nie góry, ale całkiem spore górki ziemi!
Roześmiałam się, po części także z ulgi, że nie jest już smutny.
- Nadam ci nowy przydomek - powiedziałam. - Jego Zdolność Koburg.
- Tam w dole - wskazał - będzie taras, a pośrodku, akurat naprzeciwko okien naszej sypialni stanie wielka fontanna, jak ta w Rosenau, i latem, kiedy zostawia się otwarte okna, będziemy leżeć w łóżkach, słuchając, jak woda uderza o basen. Będziemy się przechadzać po tym tarasie, kochanie, ty i ja, i rozmawiać o miłości. A po latach, dwoje starych ludzi, dzieci już dorosną, wciąż będziemy tam spacerować, wnuki będą wokół nas biegały, jak teraz dzieci. - Wyobraziłam sobie to wszystko i poczułam się tak szczęśliwa, że westchnęłam głęboko. - Och, ale tobie jest zimno - powiedział. Trochę mnie stropiło, że źle zrozumiał moje westchnienie.
- Nie, nie - zaprzeczyłam. - Nie jest mi zimno, nigdy nie marznę.
- Ale zmarzłaś - oświadczył stanowczo. - Co mi przyszło do głowy, żeby cię tak trzymać tu na zewnątrz. Muszę cię zabrać do łóżka.
- Och! - nareszcie zrozumiałam. - Chyba rzeczywiście musisz. Boję się, że nigdzie indziej się nie rozgrzeję.
Tak więc w naszym pięknym łóżku z różanego drzewa, osłoniętym zawieszonym nad nim chintzem, pachnącym nowością, Albert i ja „ocieplaliśmy dom", już tylko we dwoje. Długo, powoli i czule dawaliśmy sobie miłość, a potem odpływając w sen w jego ramionach, słyszałam plusk fontanny za oknem. Moja głowa spoczywała na jego piersi, ucho tuż przy jego sercu i być może dlatego przeniknęło mnie jego najskrytsze, półsenne wspomnienie.
345

20 lipca 1900, w Osborne.

Przenieśliśmy się tu ledwie wczoraj, a już dzisiaj czuję się znacznie bardziej świeżo. Podróż była w miarę wygodna, mimo palącego słońca. W głównym salonie jest wspaniale chłodno dzięki bryłom lodu; w każdym kącie ustawiono wiadro z lodem w otoczeniu bukietów kwiatów. Goździki pachną tak pięknie! Biedną Marię Mallet, która niedawno została damą dworu, zmogło gorąco i Reid musiał jej pomagać wysiąść z pociągu. Teraz uwięziło ją w pokoju lumbago, ze wszystkich dolegliwości najboleśniejsza i najbardziej przykra, zwłaszcza podczas gorąca, gdy nie pragnie się niczego innego, tylko wyjść na dwór.

Beatrycze z dziećmi są już tutaj i Lenchen z Thorą, a mali Yorkowie przyjeżdżają w następnym tygodniu. Ludwika pojawi się w następnym miesiącu z krótką wizytą, ale Affie w ogóle nie przyjedzie, czym się czuję mocno rozczarowana, ponieważ przez ostatnie lata widywałam go niezwykle rzadko i tęsknię za dłuższą wizytą. Zdaje się, że stan jego zdrowia przysparza wielkiej troski. Mam nadzieję, że przynajmniej teraz zachowuje się rozważniej. Pił zdecydowanie zbyt dużo, wszyscy go ostrzegaliśmy, ale mężczyznom można sobie mówić!
Nowy jacht królewski stoi na kotwicy w Portsmouth i zdaje się, jest przerdzewiały od dziobu do rufy. Powiedziałam Admiralicji, że go za nic nie przyjmę. Ostrzeżono mnie przed „awanturą" z tego powodu, rząd coś przebąkuje o zmarnowaniu pół miliona funtów, ale nie byłoby tego wszystkiego, gdyby każdy od początku robił, co do niego należy.
Niemożliwe, aby czuć tutaj przygnębienie lub złość - myślę o Osborne. To Eden; absolutnie doskonały prywatny ogród, który Albert założył dla mnie w angielskiej Zatoce Neapolitańskiej, i czasami, nawet jeszcze teraz, odnajduję go tutaj. W szmerze wody uderzającej o basen fontanny słyszę jego szybkie, lekkie kroki; w przerywanej piosence drozda jego niepewne pogwizdywanie, gdy nad czymś rozmyślał; promienie słońca grzeją mój policzek, jak jego błogi uśmiech, którym obdarzał mnie zawsze, ilekroć koło mnie przechodził.
W ciepłe letnie dni wciąż lubię jeść śniadanie w altance

na niższym tarasie, jak to często robiliśmy z Albertem; zamykam oczy i ogarniają mnie znajome zapachy: rozgrzanego żwiru, silna, przyprawiająca o zawrót głowy woń kapryfolium, róż, kwiatów pomarańczy i białego jaśminu, ozdabiających ściany pergoli i zamykających się nad nią. Węch ma największą ze wszystkich zmysłów władzę przenoszenia w miejsca, które kochaliśmy, przywoływania czasu, który przeminął. Leciutki podmuch wiatru zaszeleścił leżącym na stole papierem i oto on siedzi naprzeciwko mnie, przewraca strony listu opartego o filiżankę do kawy. Za chwilę przeczyta jakieś bardziej interesujące albo zabawne fragmenty - zaraz usłyszę jego głos! A jeśli dalej nie otworzę oczu, może wyciągnie rękę, jak to często robił, na oślep, pomiędzy misę z owocami i koszyk z chlebem, znajdzie moją i znowu poczuję palce i wnętrze dłoni znanej mi lepiej niż moja własna; gładka, ciepła dłoń leżąca na mojej, za pośrednictwem dotyku jedna dusza mówi drugiej duszy: znalazłam cię, jestem tutaj. I nagle ktoś coś powie albo tylko się poruszy, pies kichnie, filiżanka stuknie niezręcznie o spodek - czar pryska. Otwieram oczy; naprzeciwko mnie siedzi tylko Baby i droga Jane Churchill, a ja jestem stara. Albert nie znał ręki, która spoczywa na obrusie: pomarszczonej, z wypukłymi żyłami, powiększonymi od wieku stawami.
Nie mogę już chodzić po ścieżkach, które dla mnie wytyczył, ale mogę się kazać wozić tam, gdzie tak niestrudzenie spacerowaliśmy razem ramię w ramię, rozmawiając i snując plany. Za ogródkami, które uprawiały dzieci, rozciąga się łąka z wysoką po kolana trawą o pobrązowiałych latem pióropuszach, kolorowa jak arras od dzikich kwiatów: purpurowej wyki, trójkolorowej koniczyny, niebiesko szkarłatnej dąbrówki, złocisto białych stokrotek, zielono białego dzięgielu, bławatków koloru nieba i małych dzikich orchidei, które tak uwielbiają pszczoły, fioletowych, żółtych i białych jak wielkanocne ornaty. Pamiętam, jak kiedyś siedziałam tu w cieniu ze szkicownikiem, podczas gdy on zdjął surdut i podwinął rękawy koszuli, chcąc zaznać przyjemności koszenia trawy. Wszystkie widoki, odgłosy i zapachy tego dnia utkwiły mi w pamięci: poświst kosy, zapach ścinanej trawy; senne buczenie trzmieli, przelatujących z kwiatka na kwiatek, niespiesznie

pośród letniej obfitości; poszum wiatru w koronach drzew, wysokie głosy bawiących się w pobliżu dzieci, rozbrzmiewające od czasu do czasu echem pod letnim niebem. Za mną rozciągały się bambusowe zarośla; lekki wietrzyk przynosił czasem unoszący się nad nimi zapach chłodnej, ciężkiej ziemi i błota, ostro kontrastujący ze świeżymi zapachami lata.
Mój ukochany przerwał po chwili koszenie, aby odpocząć, podszedł do mnie i opadł na trawę, wyciągając chusteczkę, żeby otrzeć spocone czoło. Poczułam ostry zapach jego potu, rozbudzający moje zmysły, podniecający.
- Nie jestem przyzwyczajony do takiego wysiłku - powiedział, wyraźnie uszczęśliwiony, zdejmując kapelusz; słomkowy kapelusz z niską główką i szerokim rondem, który zwykł nosić, gdy „zabawiał

się w wieśniaka"; i spojrzał, mrużąc oczy, na czyste niebo, które mogłoby się zachmurzyć ze wstydu, że nie jest bardziej błękitne niż jego oczy. - Co za dzień!
- Nie powinieneś się tak zamęczać - rzekłam. - Jest za gorąco, żeby pracować w słońcu.
- A kogo powinienem zamęczać? - zapytał ze śmiechem. -Na pewno będę świetnie spał w nocy. - Położył mi poufałym gestem rękę na kolanach, a ja upuściłam ołówek. Powstrzymywałam się z całej siły, żeby nie ucałować tego miejsca na czubku jego głowy, gdzie włosy zaczynały się przerzedzać. Nie lubił, gdy zwracałam na to uwagę, ale dla mnie właśnie to miejsce było szczególnie drogie; ta jedna niewielka skaza uwypuklała jego doskonałość i czyniła mi go tym droższym. Poczuł mój wzrok na sobie i spojrzał na mnie. - Czy rysowałaś mnie przy pracy? - zapytał, próbując podejrzeć mój szkic. - Pokaż mi!
Próbowałam go przed nim schować, ale okazał się szybszy. Na moim rysunku widniała łąka i drzewa za nią.
- Pejzaż bez ludzi - powiedziałam, jakby się usprawiedliwiając.
- Próżność ukarana - stwierdził, uśmiechając się smutno, i oddał mi rysunek. - Nigdy mnie nie rysujesz, prawda? Wszystkie dzieci, mamę, Laddle... nawet George'a Ansona, ale nie mnie. Dlaczego?

- Nie mam zaufania do swoich umiejętności - odparłam. -Nie byłby to wierny portret. - Nie była to prawda, lecz zwyczajna wymówka. Narysowałam go tylko raz, tuż po naszym ślubie, i gdy potem spojrzałam na szkic, przeszył mnie dreszcz. Poczułam się tak, jakbym go wystawiła na ogromne ryzyko; jakbym zamknęła w rysunku jego duszę, tylko po to, żeby móc na niego patrzeć, nie będąc jednocześnie pewna, czy kiedykolwiek mu ją zwrócę.
Uśmiechnął się w odpowiedzi, jak gdyby znał prawdę, i wstał.
- Wrócę lepiej do pracy. Woła mnie skoszona do połowy łąka.
- Tak tutaj pięknie - powiedziałam, patrząc na niego, gdy stanął wyprostowany przede mną, i podziwiając jego męską sylwetkę, grę muskułów nagiego przedramienia, pierś, widoczną pod cienką koszulą. - Jesteśmy tacy szczęśliwi.
- Szczęśliwi? Tak - przyznał i dodał: - Ale wszystko ma swoją cenę. - Podniósł kosę i przeciągnął kciukiem wzdłuż ostrza, sprawdzając jego ostrość. Cofnął rękę raptownie i wciągnął głęboko powietrze. - Ach! - Jaskrawa smużka krwi, połyskująca jak ciemny rubin, pojawiła się na poduszeczce kciuka. - Sama widzisz.
- Albercie, nie! - powiedziałam strwożona. Kolana mi zaczęły drżeć na widok jego krwi. Nie zniosłabym, gdyby kiedykolwiek został ranny.
- To nic takiego. - Podniósł dłoń do ust. - Ależ ze mnie niezręczny głupiec. - Odjął palec od ust, żeby się do mnie uśmiechnąć. - Sama widzisz, Kleinchen, nawet w raju zdarzają się węże. - Nie byłam w stanie się uśmiechnąć, więc pochylił się, ujął mnie zdrową ręką pod brodę i pocałował, trzymając skaleczoną dłoń z daleka, aby nie pobrudzić mojej białej muślinowej sukni. - Och, głuptasku, ależ jesteś blada! Przecież to zwykłe zadrapanie. Już przestało krwawić, widzisz? - zapytał i machnął ręką, udając, że chce mi ją pokazać, a potem odszedł szybko, jakby chciał uniknąć dalszego zamieszania, i znowu zaczął kosić.
Patrzyłam na niego, czując, jak serce tłucze mi się w piersiach. Rzeczywiście, to nic takiego, nic więcej niż zwykły drobny wypadek; ale przez moment doleciał mnie wilgotny,

chłodny powiew od strony bambusów i przeniknęło mnie niezrozumiałe wówczas poczucie straty. We Włoszech odkryto starożytny grobowiec, nad którego wejściem widniała wyrzeźbiona głowa śmierci, a pod nią inskrypcja: Et in Arcadia Ego. Długo spierano się o znaczenie tych słów. Czy mówią: „Ja, zmarły, kiedyś żyłem w raju", czy: „Nawet w raju, ja, śmierć, jestem obecna"? Wydaje mi się, że właściwy przekład nie ma tu żadnego znaczenia, ponieważ obie wersje znaczą jedno: wszak wszyscy jesteśmy śmiertelni.
Albert założył dla mnie ten ogród, tę piękną i doskonałą Arkadię - i wciąż w nim żyje; jego obecność czuje się w każdym zakątku, niewidoczną, a przecież bliską. To tutaj właśnie zaczął się ode mnie oddalać, chociaż przeczułam to ledwie przez moment. Wiedziałam tylko, że zbyt wiele

godzin spędza z dala ode mnie, sadząc i planując, organizując i doglądając pracy; pracując sam jak szalony, jakby się obawiał, że nie zdąży skończyć na czas. Na jaki czas - mogłam zapytać, ale odpowiedź była wówczas przede mną ukryta.
Wciąż mam swoją Arkadię, wciąż Bóg mnie oszczędza i mogę w niej przebywać, cieszyć się pięknem, które On stworzył, a jego sługa uwypuklił. Ale Jego sługa mnie opuścił i jestem sama. I stara, jakże stara.
Wszystko ma swoją cenę.

28 lipca 1900.

Wczoraj po obiedzie grała dla nas Orkiestra Marynarska z Portsmouth - doprawdy wspaniale! Przeszła też potężna burza z piorunami, przerażająca, ale wspaniale oczyściła powietrze, tak że spałam tej nocy znacznie lepiej. Wszystko dzisiaj lśni świeżością, niebo jest przejrzyste, jakby je ktoś umył, morze mieni się w dole kusząco i nie mogę się powstrzymać, aby nie odrywać co kilka minut oczu od pisania i nie zerkać na nie; czuję się tak, jakbym wymieniała uśmiechy ze starym przyjacielem.
Osborne, w przeciwieństwie do królewskich pałaców, było rzeczywiście domem dla dzieci i wiele moich najlepszych wspomnień o nich wiąże się właśnie z tym miejscem. Albert
i
350
chciał dla nich odwzorowania całkowicie szczęśliwego dzieciństwa, którego zaznał w Rosenau. Oczywiście, że nie było to całkowicie szczęśliwe dzieciństwo, ale on je takim widział, idealizując we wspomnieniach, gdy ogarniał go sentymentalny nastrój i tęsknota za domem. Przeniósł do Osborne to wszystko, co go cieszyło, gdy był dzieckiem, a nasza miłość, poświęcenie i nade wszystko oddanie dopełniły idealnego wizerunku.
Nasze maluchy spędzały z nami wiele czasu, gdy byliśmy w Osborne, jadały z nami śniadania i lunche, jeśli nie musieliśmy akurat przyjmować ważnych gości. Najmłodsze siedziało zazwyczaj pomiędzy moim krzesłem i Alberta, tak że mogliśmy mu oboje pomagać przy jedzeniu; Albert utrzymywał dzieci w ryzach, upominał je, gdy przyjmowały złą postawę, jadły zbyt łapczywie lub głośno, ale jeśli wszystko było w porządku, rozmawiał z nimi uprzejmie i wesoło, często nas rozśmieszał żartami i swoimi zdolnościami do naśladowania.
Były także rozrywki na świeżym powietrzu. Rzadko które dzieci miały tyle swobody, zabawy, mogły tak dokazywać! Zachęcał je, aby uganiały się za motylami, wspinały na drzewa, staczały się w dół po zboczach pagórków (zawsze o tym marzyłam w Windsorze jako dziecko, ale nigdy tego nie zaznałam, a teraz już na pewno nie zaznam). Aby mogły w pełni zażywać wolności, nigdy nie ubierano ich w eleganckie stroje, nosiły ubrania stosowne do wyczyniania figli - dziewczynki sukienki z mocnego płótna, chłopcy ubrania marynarskie, które stały się później nadzwyczaj modne dla dzieci wśród średnich klas.
Ulubionym miejscem spacerów stała się nasza mała plaża, gdzie ja siadywałam, szkicując, a dzieci i Albert kopali w piasku, tworząc przedziwne nieraz konstrukcje, rzucali psom patyki do morza, zbierali muszelki, badali „jeziorka" wody ograniczone skałami, brodzili w napływających falach albo od razu szli się kąpać. Albert nie zapomniał swojej przysięgi, że wszystkie będą umiały pływać; kazał zrobić wielką pływającą „kabinę kąpielową", coś pomiędzy tratwą i rzeszotem. Miała drewniany pokład z pomieszczeniem do przebierania i ubikacją, a część właściwą tworzyła klatka z ocynkowanych
351
prętów, z podłogą z drewnianych listewek, którą można było dowolnie podnosić i opuszczać. Cała konstrukcja była przycumowana do pontonów, tak że poruszała się w rytm przypływów i odpływów fal i w każdej chwili można było jej użyć; dzieci pobierały w niej bezpiecznie pierwsze lekcje pływania, a gdy potrafiły pewnie pokonać kilka długości, pozwalano im wejść do morza. Uczyły się również nurkowania, także dziewczynki; chłopców zaś, w przewidywaniu najgorszego, Albert

uczył oprócz tego pływać w ubraniu: koszulach, spodniach, skarpetach i butach.
Zachęcona odosobnionym położeniem naszej prywatnej plaży zażyłam w 1847 roku po raz pierwszy kąpieli morskiej. Miałam specjalną maszynę kąpielową, która zjeżdżała nad morze po kamiennych szynach i nadzwyczaj uprzejmą i doświadczoną „kąpielową". Niezwykle to było pobudzające i rozweselające doświadczenie (dopóki nie poczułam się zbyt pewnie i nie zanurzyłam głowy pod wodą; byłam przekonana, że się uduszę!). Nigdy nie nauczyłam się pływać, ale wiele radości sprawiało mi rozpryskiwanie wody i podskakiwanie na falach w asyście Alberta, który stojąc obok w morzu, zachęcał mnie do tej zabawy. Przestałam oczywiście wchodzić do morza po jego śmierci. Bez niego nie znalazłabym w tym żadnej przyjemności.
Domek do zabaw był następną rzeczą, jaką Albert zbudował dla dzieci; mniejszy niż prawdziwy, ale skonstruowany według wszelkich zasad, z drewna, z kominami i kominkami. Na parterze była kuchnia z pomywalnią naczyń, wyposażone w miniaturowy piecyk i boiler, które rzeczywiście działały, a także wszelkie niezbędne akcesoria, zatem wszystko, co trzeba, aby się nauczyć gotować i prowadzić dom. Na piętrze znajdowała się jadalnia, gdzie dzieci podejmowały nas i kilku swoich ulubionych gości posiłkami, które same przyrządziły, i salon, gdzie przechowywały swoje przyrodnicze kolekcje. (Albert i Ernest gromadzili podobne kolekcje w Rosenau). Przed domkiem każde z dzieci miało wydzieloną grządkę na miniaturowy ogródek, każde dostało odpowiednie do ich wzrostu narzędzia ogrodnicze i uprawiały warzywa i kwiaty. Albert chciał im przekazać swoje upodobanie do ogrodnictwa,

ale także kupował to, co wyhodowały, za normalną rynkową cenę, i w ten sposób uczył je zasad handlu.
Później, w tej samej części posiadłości, Albert zbudował miniaturowy fort (kolejna część jego dzieciństwa przeniesiona z Osborne) z obwarowaniami i koszarami. Jako chłopcy on i Ernest bawili się w takim samym miejscu w żołnierzy. Nasi synowie uczyli się tu strategii prowadzenia klasycznej wojny; mieli tyle energii, że wcale ich nie trzeba było zachęcać do odgrywania udawanych bitew. (Szczególnie upodobał sobie to Artur - albo „Arta", jak sam siebie nazywał w dzieciństwie - którego ojcem chrzestnym został „Duk Wellikon"; Artur przyszedł na świat w osiemdziesiąte pierwsze urodziny wielkiego wodza. Albert przeznaczył go do kariery wojskowej i dziecko od początku uwielbiało wszystko, co związane z armią. Gdy miał dwa lata, dostał na urodziny uniform szkockich strzelców, całkowicie kompletny, z niedźwiedzią skórą, i strzelbę-zabawkę; wyglądał w nim słodko i zabawnie. Bardzo to bawiło Alberta; Winterhalter namalował później Artura w tym stroju i był to ulubiony obraz Alberta).
Wszystkie te urządzenia były widomym dowodem miłości i zainteresowania, jakie Albert okazywał dzieciom, wystarczającymi, aby mogły się nimi przechwalać. Ale ja najbardziej lubię wspomnienia ze zwykłego życia rodzinnego, tak mi cenne i drogie, takie intymne: Albert grający na organach, trzyma na każdym kolanie dziecko, a małe tłuste piąstki usiłują dodać dodatkowy motyw do głównej melodii; Albert kołyszący pomiędzy nogami najmłodsze na serwetce - czynność, która nieodmiennie wzbudzała namiętne prośby starszych, zbyt dużych, aby mogły zażyć tej rozrywki. Pamiętam pikniki, jazdy na kucykach, powożenie miniaturową dwukółką; pamiętam wyprawy całą grupą do ogrodu za kuchnią, żeby najeść się do woli poziomek i porzeczek. Pamiętam Alberta leżącego na brzuchu na podłodze i prowadzącego z Affiem i Arturem regularną wojnę ołowianymi żołnierzykami; Alberta, Bertiego i Affiego, usiłujących zapobiec, żeby puszczony przez nich latawiec Affiego nie opuścił Anglii na zawsze; Alberta, psy i chłopców bawiących się z dzikim zapałem w chowanego po całym domu i posiadłości.
Pamiętam - och, słodko gorzkie wspomnienia! - Alberta

uczącego Vicky tańczyć walca, wirującego niestrudzenie, podczas gdy ona, rozpaczliwie poważna, usiłująca zachowywać się jak dorosła, wpatrywała się skoncentrowana w swoje małe stopy w pantofelkach spoczywające na jego nogach. Pamiętam go obserwującego z ogromną, niemal bolesną czułością, jak pewnego październikowego dnia kochana Gruba Alicja krąży po ogrodzie, próbując przytwierdzić z powrotem liście do drzew, ponieważ nie chciała, aby lato się skończyło.

To Albert zawsze planował urodzinowe przyjęcia i prezenty. Na Wielkanoc chował w pokoju śniadaniowym malowane jajka na twardo, a dzieci biegały, szukając ich, kierowane jego wykrzyknikami: „zimno", „ciepło", „gorąco". Któregoś dnia w lecie robił koziołki w stogu siana, aby pokazać Bertiemu, na czym to polega. W deszczowe jesienne dni, kiedy nie można było wyjść na dwór, grał z dziećmi w odgadywanie słów, przy czym dziewczynki udawały chłopców i odwrotnie ku hałaśliwej wesołości wszystkich. Zimą ulepił dla Vicky bałwana wielkiego na dziesięć stóp i ciągnął Affiego na saneczkach, a ten mały tyran pokrzykiwał na niego i udawał, że trzaska z bicza.
Najlepiej jednak pamiętam lata spędzane w Osborne, ponieważ wtedy mogliśmy przebywać niemal całe dnie na powietrzu. Pamiętam taki ciepły letni wieczór, kiedy siedzieliśmy na trawniku do siódmej wieczorem i Albert bawił się z dziećmi w grę, którą sam wymyślił i nazwał „Niegrzeczny królik"; tracili oddech od biegania i śmiechów, aż w końcu Laddle ostrzegła ich, że nie będą mogli zasnąć dzisiejszej nocy. Na szczęście nikt się nie rozchorował z przejęcia, poza Dacko, jamnikiem przywiezionym z Koburga, ale to też prawdopodobnie dlatego, że się najadł trawy. Tego wieczoru po obiedzie weszliśmy z Albertem na piętro dzieci i trzymając się za ręce, chodziliśmy od łóżka do łóżka, patrząc na zaczerwienione uśpione twarzyczki.
- Są takie piękne - wyszeptał. - Bóg nas pobłogosławił. -Lenchen odkryła się, otulił ją więc starannie, schował pod pościel pulchne ramionko i pochylił się, aby pocałować ją w policzek, ledwie muskając wargami, żeby się tylko nie obudziła. - Pachnie jak siano - powiedział właściwie do siebie.
354
W takich momentach jak ten nie żywiłam urazy do losu o trudy i niewygody macierzyństwa. Obdarować go czymś tak dla niego drogim, taką radością - wydawało mi się cennym przywilejem wartym wszystkiego.
Zeszliśmy do naszych apartamentów i udałam się prosto do ubieralni, przygotować się na noc, a Albert poszedł za mną. Stanął oparty o kominek, z nogami skrzyżowanymi w ten swój zwykły pełen elegancji sposób i rozmawiał ze mną, podczas gdy pokojówka mnie rozbierała. Miałam włosy przybrane białymi różami i bluszczem tego wieczoru (zawsze wolałam świeże kwiaty od biżuterii, chyba że mieliśmy gości) i kiedy służąca je wyjęła, sięgnął po jedną z róż leżących na toalecie i powąchał.
- Jak szybko tracą zapach - rzekł cicho. - Już więdnie, biedna mała róża.
- Spełniła swoje zadanie - stwierdziłam, a widząc, że wciąż trzyma w niej utkwiony wzrok, dodałam: - Mogę ją dla ciebie zasuszyć, jeśli chcesz... jako memento.
Spojrzał na mnie z zastanowieniem, jakbym opowiedziała żart albo przemówiła w obcym języku, a potem podszedł do mnie i włożył mi różę delikatnie do ręki.
- Ty ją zachowaj - poprosił; musnął moje nagie ramię wargami, przesunął je po szyi do ucha i wyszeptał: - Die Frau hat gar hubsche Schultern. - Serce zabiło mi żywiej na ten komplement. Zawsze podziwiał moje ramiona i przejęło mnie radością, że wciąż mnie pożąda po tylu latach i urodzeniu tylu dzieci. Patrzyłam w lustrze, jak otwiera drzwi do salonu, aby przejść do swojej ubieralni. - Przychodź szybko - powiedział, czując mój wzrok na sobie.
Odłożyłam różę, pokojówka skończyła mnie rozbierać, a kiedy już ubrała mnie w koszulę nocną i wyszczotkowała włosy, odesłałam ją. Nałożyłam odrobinę Kolnischwasser za uszami, założyłam mój ulubiony brązowo zielony jedwabny szlafrok i z włosami spływającymi na plecy poszłam poszukać mojego męża. Nie było go jeszcze w sypialni; w salonie też nie, ale gdy tylko otworzyłam drzwi, dobiegły mnie dźwięki organów, zorientowałam się więc, że jest w ubieralni. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je.
Siedział w szlafroku i grał. Nawet nie zauważył, że weszłam,
355
wzrok miał nieobecny. Nie znałam tego utworu - jeśli to rzeczywiście był jakiś utwór - ale było to coś tak przesiąkniętego melancholią, że poczułam mrowienie w karku; coś w tonacji minorowej, właściwie pozbawionego melodii, a raczej ciągle modulowanego, jakby się otwierało kolejne szufladki w mózgu, a każda z coraz smutniejszym wyobrażeniem czy wspomnieniem. A jego twarz,

och, jego twarz była nieruchoma, biała, pozbawiona wyrazu, obca mi twarz -raczej maska. Zadrżałam na ten przerażający widok, a moje poruszenie, choć tak przecież nieznaczne, wystarczyło, aby mu przeszkodzić. Przerwał i odwrócił się do mnie. (Jestem pewna, że sam nie wiedział, co gra, ale był zbyt dobrym muzykiem, aby nie dograć frazy i z odwróconą do mnie głową, uderzył palcami jeszcze w dwie struny). Życie wróciło do jego twarzy. To było jak zobaczyć zapalone światło w oknie przed chwilą wymarłego domu i poczułam, że krew z powrotem zaczyna mi krążyć w żyłach. W tej chwili wyglądał już tylko na zmęczonego.
- Co się stało? Kazałem ci czekać? - powiedział, a jego głos brzmiał prawie tak jak zawsze. Wstał, podszedł do mnie, ująwszy moje zimne dłonie i spojrzawszy mi w twarz, powtórzył: - Co się stało?
- Albercie - zaczęłam - ty mnie... ty nie chcesz mnie opuścić? - Zupełnie nie wiedziałam, jak zadać to pytanie.
Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią - chwilę, na którą zamarło moje serce. A potem powiedział łagodnie, trochę kpiąco:
- A dokąd bym miał pójść, mój mały głuptasku? - Ale zrozumiał, że ta odpowiedź mi nie wystarczy i przybrał poważniejszy ton. - Przecież to nie ciebie chcę opuścić, czy ty tego nie rozumiesz? Nie ma innego miejsca, w którym chciałbym pozostać na zawsze, jak twoje ramiona. Chodź, chodź natychmiast. Chodź do łóżka.
Nie zrozumiałam, ale nie nalegałam, widząc, jak jest zmęczony i mając nadzieję, że wszystko się wyjaśni; pozwoliłam się objąć ramieniem i prowadzić. Kilka minut później zgasił światło po swojej stronie łóżka i przysunął się do mnie, biorąc mnie w ramiona.
356
- Teraz jesteśmy bezpieczni - powiedział. - Z dala od świata, chwała Bogu, jesteśmy tylko my.
Odwróciłam do niego twarz i mimo ciemności nasze usta natychmiast się znalazły, aby poczuć słodycz pocałunku dobranych kochanków. Potem poczułam, jak sięga do małej dźwigni w głowach łóżka, która uruchamiała zamek drzwi i serce mi wezbrało na znajomy, przyjemny głuchy dźwięk, który oznaczał zamknięcie wszelkich możliwości, aby nam przeszkadzano.
Później tej nocy spał głęboko, bez żadnych złych snów.

Rozdział Piętnasty.

7 sierpnia 1900 w Osborne.

Nie wiem, jak mam to napisać. Och, Boże, mój biedny drogi Affie! Telegram z wiadomością przyszedł trzydziestego pierwszego lipca o ósmej rano - okropna wiadomość! - Baby przyszła mi ją przekazać, gdy już była ubrana. Straciłam trzecie dziecko! Tak trudno to znieść. Nie zdawałam sobie sprawy, że koniec jest tak blisko. Maria nawet o tym nie wspomniała w czasie swojej wizyty z Baby Bee w czerwcu, chociaż może wtedy sama jeszcze nie wiedziała - odkąd umarł mały Affie, ona i Affie prawie się nie widywali. Teraz dopiero rozumiem, że Beatrycze usiłowała mnie tydzień temu przygotować na ten szok, ale nawet ona nie była w pełni świadoma, jak się rzeczy mają; lekarze wprawdzie uprzedzali, że choroba jest śmiertelna, ale dawali mu co najmniej sześć miesięcy życia. Chorował od dwóch lat, ale utrzymywano to w sekrecie, i zdaje się, że pokonała go ta sama straszliwa choroba, która zabrała Vicky Fryderyka. Przez ostatnie dwa tygodnie karmiono go przez słomkę, och, z pewnością nikt mu nie życzył męczarni, a śmierć litościwie wyzwoliła go od mąk; ale jakże ciężko jest matce wypowiedzieć te słowa: Ty tak chciałeś, Panie. Śmierć miał przynajmniej lekką. Siedział w ogrodzie do wpół do siódmej wieczór, o dziewiątej położył się do łóżka i podobno spał „spokojnie jak dziecko",
357
gdy śmierć go zabrała pół godziny później. Tak współczuję biednej Marie; straciła rok temu jedynego syna, a teraz męża... a jej kochane córki, które tak uwielbiały ojca - jakże muszą rozpaczać!
Troje dzieci odeszło przede mną! I trzech drogich mi zięciów! Trudno to znieść, mając osiemdziesiąt jeden lat. Jedyną pociechą jest mi rozmowa o szczęśliwych chwilach w ich życiu,

wspominanie o ich dzieciństwie, gwiazdkach i prezentach, urodzinach, które zawsze tutaj przyjeżdżali świętować. W poniedziałek skończyłby sześćdziesiąt pięć lat. Tak trudno uwierzyć, że odszedł! Umarł w Rosenau, w drogim nam Koburgu, oczywiście, dokąd wyjechał w 1893 roku, kiedy odziedziczył tytuł. Niewiele go widywałam w ostatnich latach, ponieważ był przez pięć lat na Malcie, a przedtem cztery w Devonport. Lenchen bardzo to przeżywa, ponieważ zawsze się nadzwyczaj lubili.
Przez tyle dni nie mogłam napisać ani słowa, zbyt byłam wstrząśnięta i zrozpaczona; pogoda, jakby dostrajając się do naszej tragedii, zrobiła się okropna; nie pamiętam takich burz i sztormów o tej porze roku. Wiele drzew zostało zniszczonych, w Solent stoi na kotwicy mnóstwo statków, a biedna stara kabina kąpielowa, ciśnięta na skały, jest połamana tak, że jak mi powiedziano, nie da się zreperować. A przecież dopiero co o niej pisałam! Ironia losu często daje o sobie znać w naszym życiu.
Po złej pogodzie następuje jednak dobra, tak jak po dobrej zła, a życie idzie naprzód - och, i to jak! Trzeba cierpieć i cierpliwie, z pokorą znosić to, co Bóg zsyła. Pośród morza smutku zdarzają się momenty radości, które trzeba skrzętnie zbierać. Dzieci, na przykład, były podczas lunchu bardzo zabawne. Mały Dawid stanął przy moim krześle i opowiadał mi, jak grał w futbol z chłopcami z wioski, przechwalając się, że mu to nadzwyczaj sprytnie szło.
- To bardzo dobrze, mój skarbie - powiedziałam - ale mam nadzieję, że równie sprytnie poradziłeś sobie z lekcjami.
- Och, jestem zdolnym dzieckiem - odparł. - Umiem już dobrze niemiecki.
Maurycy, który przysłuchiwał się naszej rozmowie z miną pełną wyższości, do czego uprawniało go mnóstwo doświadczeń,

nabytych w ciągu trzech lat, bo o tyle miał być szczęście starszy, zwrócił się do Dawida, żeby w takim razie powiedział coś po niemiecku; ten oczywiście natychmiast zaniemówił, na próżno wytężając umysł.
- Nie znasz nawet jednego słowa po niemiecku! - stwierdził Maurycy z triumfem. - Naprawdę, babuniu! Zwyczajnie szachruje!
Twarz Dawida poczerwieniała. Nie znosił, gdy się z niego śmiano.
- A właśnie że znam! - wykrzyknął. - Znam... znam „lumbago"!
Słyszał na pewno, jak pytałam biedną Marie Mallet o nawrót choroby. Śmiałam się długo i serdecznie - ku swojemu własnemu zgorszeniu, ale nikt nie potrafi tak jak dzieci przywrócić człowieka do życia!
Teraz siedzę znowu w słońcu i piszę, co przynajmniej przyjemnie zajmuje mi umysł. Napisałam list do Wiktorii Battenberg (najstarszej córki biednej Alicji), która przysłała mi przemiłe zdjęcie jej najmłodszego dziecka, aby mnie pocieszyć; ma siedem tygodni, a już taki duży chłopczyk! Kiedy trzymałam go do chrztu, machnął energicznie ręką, zrzucając mi binokle z nosa i niewiele brakowało, żeby mi podbił oko przy okazji! Wiktoria i Ludwik, aby mi zrobić przyjemność, nadali mu pierwsze imię Albert (Albert Wiktor Mikołaj Ludwik Franciszek brzmią jego imiona), ale zdaje się, że wołają na niego w domu Dickie, zupełnie nie rozumiem dlaczego.
Trzy problemy, które niemal od początku wieku spędzały sen rządowi z powiek - Ustawy Zbożowe, Irlandia i czartyzm - splotły się nierozerwalnie i wybuchły z całą siłą w 1848 roku (annus mirabilis, jak go określano, ponieważ kontynent był w stanie wrzenia, a gdy wreszcie doszło do wybuchów, zupełnie zmienił swoje oblicze).
Peel od pewnego czasu przekonywał mnie, że Ustawy Zbożowe narzucają niepotrzebnie i niesprawiedliwie dodatkowe ciężary na klasy pracujące i z tego powodu powinny zostać zniesione; w 1845 roku nieurodzaj na ziemniaki w Irlandii i w konsekwencji głód wśród irlandzkich chłopów doprowadziły sprawę do punktu wrzenia. Nie spodziewano się wprawdzie,

że niższe ceny na zboże rozwiążą problem z Irlandczykami; byli oni tak przyzwyczajeni do ziemniaków, że nawet gdyby dostali ziarno, nie wiedzieliby, co z nim zrobić, nie mieli przecież urządzeń do mielenia. Ale głód na irlandzkiej wsi stanowił ostrzeżenie: tania żywność dla niższych

klas jest niezbędnie potrzebna i dlatego właśnie Peel wystąpił w parlamencie w 1846 roku z wnioskiem o zniesienie ceł na zboża. Albert pojechał przysłuchiwać się obradom, co miało oznaczać, że projekt nowej ustawy ma moje całkowite poparcie. Niestety, jego obecność została przez wielu poczytana za obrazę, po części, jak sądzę, z powodu zadawnionego przekonania, iż jest cudzoziemcem, a po części ponieważ właściciele ziemscy uważali, iż nie ma żadnego powodu, abym to właśnie ja popierała wymierzoną przeciwko nim ustawę. Lord George Bentinck posunął się nawet do napisania do mnie nadzwyczaj impertynenckiego listu na ten temat, który rozgniewał nas oboje; niemniej Albert, przyjmując radę Peela, nie pojawił się już więcej w parlamencie.
Peel przeforsował wprawdzie zniesienie ustawy dwudziestego szóstego czerwca 1846 roku, ale niezadowoleni właściciele ziemscy zemścili się zaraz potem przy okazji wypłynięcia całkiem innych kwestii, zmuszając premiera do złożenia dymisji i nie pozostawiając mi innego wyboru, jak tylko wezwać lorda Johna Russella ze stronnictwa wigów i polecić mu sformowanie nowego rządu. Do tego czasu przekonałam się już do Peela (i ufałam mu całkowicie, co znacznie ważniejsze) i naprawdę żałowałam, że go tracę, zwłaszcza nie mając zbyt wysokiej opinii o Russellu, niewysokim, brzydkim mężczyźnie, upartym i zarozumiałym, o iście zatrważających manierach. Ale że właśnie skończył się okres połogu (Lenchen urodziła się dwudziestego piątego maja) i mogłam się cieszyć z pełnego połączenia z moim najukochańszym mężem, zmiana rządu, która kiedy indziej rozstroiłaby mnie do łez, nie wywarła na mnie aż tak silnego wrażenia. Normalny bieg życia rodzinnego, zadowolenie z kontaktów z Albertem sprawiły, że kwestie polityczne zeszły na plan dalszy.
Rok 1846 przyniósł nieurodzaj na ziemniaki, jeszcze gorszy niż poprzedni, a jednocześnie nadzwyczaj niekorzystne ceny na zboże. Zima tego roku należała do najcięższych, jakie
360
pamiętano, i cierpienia Irlandczyków były ponad wszelkie wyobrażenie potworne. Zniesienie kontroli cen wyzwoliło falę spekulacji, a ponieważ zboża brakowało, w 1846 roku jego cena podskoczyła do stu piętnastu szylingów; w 1847 z kolei niesłychana obfitość plonów spowodowała spadek ceny do czterdziestu dziewięciu szylingów, co zrujnowało spekulujących, jedenaście banków upadło, w City nastąpiła kompletna katastrofa. Królewski Namiestnik Irlandii błagał o pieniądze dla Irlandii, aby załagodzić choć najpilniejsze potrzeby, przy tym ogólnym kryzysie uzyskał jednak od ministra skarbu tylko stwierdzenie: „Nie mogę dać tego, czego nie ma".
Tak więc te trzy rzeczy splotły się razem. Czartyzm i problem irlandzki wiązały się nierozerwalnie w jedno poprzez osobę Feargusa O'Connora, przywódcę czartystów, posła z Corku, lidera irlandzkich nacjonalistów. Czartyzm przetaczał się w rozmaitych formach przez cały kraj w ciągu mojego życia (tak zwana „masakra w Peterloo" wydarzyła się w roku moich narodzin - 1819), robiąc wiele szumu, a od 1839 roku jego zwolennicy zaczęli się uporczywie domagać realizacji sześciu punktów „People's Chart", której zresztą ten ruch zawdzięcza swoją obecną nazwę. W „Karcie Ludu" sformułowano następujące żądania: prawo wyborcze dla każdego mężczyzny, który ukończył dwadzieścia jeden lat, niezależnie od jego pozycji społecznej; tajność wyborów; stworzenie równych okręgów wyborczych; zniesienie cenzusu majątkowego dla kandydatów na posłów; uposażenie dla posłów; coroczne wybory. Pomijając fakt, że zmiany te byłyby równie absurdalne, jak niepożądane, najcięższym zarzutem wobec czartyzmu jest ten, że podburzał niższe klasy i stawiał je w trudnym położeniu. Doprawdy, niewielu pracujących ludzi pragnęło jakichkolwiek politycznych reform, ale gdy byli głodni lub nie mieli pracy czy wreszcie czuli się skrzywdzeni przez pracodawców, zawsze mogli się zwrócić do czartystów (zwykle dobrze wykształconych i zupełnie zamożnych ludzi ze średnich klas), gotowych wykorzystać ich niezadowolenie do wzniecenia rozruchów czy aktów obywatelskiej niesubordynacji, przynoszących korzyści wyłącznie ich organizacji. Tak właśnie zaczęła się Rewolucja Francuska w 1789 roku -być może w ten sposób zaczynają się wszystkie rewolucje.
361
Jak to mi kiedyś lord M. powiedział: wszystko, czego chce biedota, to najeść się do syta i napić więcej niż do syta; biedacy w swojej niewiedzy nie mogli oczywiście dostrzec, że są biczem na rząd, wykorzystywanym przez politycznych podburzaczy (a mogę was zapewnić, że ci nigdy nie

zaznali głodu). A jeśli się nie powiedzie, kto jak nie biedni kończą na sznurze lub na ciężkich robotach, podczas gdy podburzający znajdują schronienie za granicą, aby wzniecać kolejne zamieszki.
Rewolucja wisiała w powietrzu. W 1847 roku byliśmy już w pełni świadomi, że burzy się w całej Europie; niemal w każdym kraju wrzało od niezadowolenia. Wojna w Hiszpanii; w Portugalii królowa Maria musiała stawiać czoło uzurpatorowi do tronu i zawziętym zmaganiom stronnictw; cesarstwo austriackie pękało w szwach od nacjonalistycznych ambicji jego państw składowych; Włochy pod liberałem Pope gotowe były pokusić się o niepodległość; Grecja cierpiała niesłychane ubóstwo i tyranię przeniewierczego króla. Wszędzie, gdzie byś się zwrócił, zanosiło się na kłopoty. Tylko w dwóch krajach panował spokój: w Belgii, uprzemysłowionej i kwitnącej, za sprawą mojego kochanego wujka Leopolda, który zaproszony na jej tron zmodernizował ją i rządził sprawiedliwie na mocy liberalnej konstytucji; i w Rosji, gdzie niezależnie od cierpień ludu wielki samowładca Mikołaj I kierował wszystkim żelazną ręką.
A przecież wybuch pierwszej rewolucji w 1848 roku -roku rewolucji - wprawił wszystkich w zdumienie. Wiedzieliśmy od jakiegoś czasu, że król Ludwik Filip był w swoim kraju bardzo niepopularny: jego urzędnicy byli skorumpowani, a najważniejszy minister, Guizot, zaliczał się do zagorzałych reakcjonistów. Ale nikt nie spodziewał się zagrożenia dla tronu. Nasze rodziny łączyły mocne więzy, ponieważ w czasach Rewolucji Francuskiej Ludwik Filip, podówczas jeszcze książę Orleanu, zmuszony był udać się na wygnanie i wyjechał do Kanady, gdzie spotkał swoją dawną znajomą Madame Julie de St Laurent. Przedstawiła go ojcu i obaj bardzo się zaprzyjaźnili; tata nawet pożyczył księciu dwieście funtów (na co wówczas absolutnie nie mógł sobie pozwolić), aby ten mógł zostać nauczycielem. (Książę nigdy nie zapomniał

wyświadczonej mu uprzejmości i spłacił pożyczkę natychmiast, gdy tylko został królem; tata już wówczas nie żył, oczywiście). W drodze powrotnej do Europy książę przyjechał do Anglii i zaprzyjaźnił się także z regentem, księżniczką Charlottą i wujem Leopoldem. Książę Orleański został królem Francji w 1831 roku i wuj Leopold poślubił już córkę króla Francji, moją ukochaną ciocię Ludwikę.
Nie kto inny tylko ciocia Ludwika nalegała, abyśmy z Albertem odwiedzili króla i królową Francji, i aby nie nadawać temu wydarzeniu rangi państwowej ze wszelkimi tego konsekwencjami, złożyliśmy im wizytę w ich prywatnej posiadłości w Eu przy okazji naszej podróży w 1843 roku jachtem parowym. Zgotowali nam serdeczne przyjęcie (co rozrzewniające, zamówili w Londynie ogromne ilości cheddara i butelkowanego piwa w przekonaniu, że wszyscy Anglicy to jadają! Mówiono mi później, że Peel, który nie brał udziału w podróży, posłał lordowi Aberdeen, który w niej uczestniczył, notatkę z życzeniami spokojnej przeprawy, tak abyśmy mogli bez przeszkód delektować się smakołykami, jakimi zastawią stół!). Królewska para i ich dzieci odnosiły się do nas z niezwykłą życzliwością i doprawdy zaczęliśmy ich uważać niemal za rodzinę. Niestety, zarówno dyplomatyczne relacje, jak i moje osobiste uczucia do króla znacznie się oziębiły z czasem, a to z powodu jego rządów w coraz bardziej agresywnie burbońskim stylu, a zwłaszcza jego nagannego postępowania w sprawie „hiszpańskich małżeństw".
Podczas naszej drugiej wizyty w Eu w 1845 roku żywo dyskutowaliśmy na ten temat i sądziłam, że porozumieliśmy się z królem Francji. Sytuacja w Hiszpanii przedstawiała się następująco: król Ferdynand ożenił się po raz trzeci w 1829 roku, w dwóch poprzednich małżeństwach nie doczekał się potomstwa, ale z ostatniego narodziły się dwie córki, Izabela i Luiza. Zmarł w 1832 roku, osierociwszy dwuletnią królową Izabelę (królowa Krystyna została regentką). Było dla nas wszystkich niezwykle ważne, kogo Izabela w przyszłości poślubi. Albert i ja popieraliśmy naszego kuzyna Leopolda Koburskiego (młodszego brata Ferdynanda, który poślubił Marię portugalską), tak by wszystko zostało zachowane dla rodziny.
Tymczasem w 1834 roku dotarły do nas pogłoski, że król

Ludwik Filip knuje spisek mający na celu wydanie królowej Izabeli za swojego kuzyna, księcia Kadyksu, a jej młodszą siostrę, infantkę Ludwikę za swego syna, księcia de Montpensier. Panowała

opinia, że książę Kadyksu jest najprawdopodobniej niezdolny do spłodzenia potomstwa, a to oznaczało odziedziczenie hiszpańskiego tronu przez infantkę Ludwikę i jej francuskiego męża. Było to doprawdy szokujące, ponieważ Traktat Utrechcki nie tylko zabraniał jednoczenia się Francji i Hiszpanii, ale wyraźnie zakazywał członkom dynastii orleańskiej wstępu na tron hiszpański. Kiedy w 1845 roku odwiedziliśmy Eu, Ludwik Filip zapewniał nas, że nie ma zakusów na tron hiszpański, a chciał tego małżeństwa dla syna wyłącznie z powodu bogactwa infantki. Obiecał nam wtedy również, że zaniecha tych starań do czasu, gdy minie niebezpieczeństwo francuskiej sukcesji, to znaczy, aż Izabela wyjdzie za mąż i da Hiszpanii dziedzica. Uwierzyliśmy w jego zapewnienia i dalej żywo popieraliśmy małżeństwo między Izabelą i kuzynem Leopoldem, niemniej pogłoski o francuskich staraniach wciąż się nasilały i nieoczekiwanie we wrześniu 1846 roku ministrowie Francji i Hiszpanii (nakłonieni przez niegodziwego Guizota, oczywiście!) spotkali się i ustalili podwójny ślub Izabeli z księciem Kadyksu i Luizy z Montpensierem. Bardzo nas to rozgniewało, a ja byłam szczególnie rozczarowana bezceremonialnym i doprawdy wyjątkowo nieprzyjemnym potraktowaniem kuzyna Leopolda, tym mocniej, że widziałam, jak to uraziło Alberta. Niestety, nie pozostawało w tej sytuacji innego wyjścia, jak ogłosić specjalne entente między Francją i Anglią -ku zadowoleniu Rosji i Austrii, bez wątpienia! (W ostatecznym rezultacie Ludwik Filip nie wyszedł dobrze na swojej intrydze, ponieważ królowa Izabela urodziła pięcioro dzieci, tak że niemożliwe stało się pozyskanie tronu Hiszpanii, a w czternaście miesięcy po tych wydarzeniach stracił na dobitkę tron Francji!).

Jak już pisałam, wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z niepopularności Ludwika Filipa i uważano, że opozycja francuska występuje raczej przeciw jego rządom niż samej idei monarchii, a Paryż jest równie bezpieczny i chroniony jak

każda stolica. Owszem, odbyły się kilkakrotnie antyrządowe demonstracje, ale miały pokojowy charakter; dwudziestego drugiego lutego Guizot wydał zakaz przeprowadzenia demonstracji, która właśnie miała się odbyć, ponieważ doniesiono mu o niebezpiecznie wielkiej liczbie zgromadzonych manifestantów. Tłum mimo to się nie rozszedł, a nastroje w mieście zaogniły do tego stopnia, że Gwardia Narodowa wysłała delegację do króla do Tuileries, aby go powiadomić, iż nie jest w stanie zagwarantować spokoju, dopóki nie nastąpi zmiana rządu.

Król postąpił zgodnie z tą radą i odwołał Guizota, po czym jak się wydawało, wrócił spokój. Już następnego wieczora jednak uformowała się demonstracja w centrum miasta. Tłum był olbrzymi, ale dość spokojny, dopóki przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych nie padł pojedynczy strzał. Nikt nie wie, kto go oddał, a kula złamała nogę koniowi. Dosiadał go major, dowodzący oddziałem żołnierzy ochraniających ministerstwo, który uwielbiał to zwierzę. Od jak drobnych wydarzeń zależą losy narodów! Rozgorączkowany dziejącymi się wydarzeniami, uniesiony gniewem i żalem, major wydał rozkaz strzelania do tłumu.

Podobno pięćdziesiąt i więcej osób zostało rannych, w tym kobiety i dzieci, tłum się rozbiegł, rozpraszając po faubourgs, aby podburzyć przyjaciół i sąsiadów. Splądrowano sklepy rusznikarskie, ustawiono barykady i następnego ranka Paryż był ogarnięty rewoltą, a Gwardia Narodowa przyłączyła się do tłumu. Powtórzył się rok 1789; przerażenie króla i królowej wzrastało w miarę napływania przez noc raportów. Rankiem uzbrojony tłum otoczył Tuileries i przedstawiciele Gwardii Narodowej wręczyli królowi pospiesznie naszkicowany akt abdykacji do podpisania. Muszę oddać sprawiedliwość Ludwikowi Filipowi: z początku nie zgodził się na abdykację, stwierdzając, że prędzej umrze; rodzina nie podzielała jednak jego uczuć i ostatecznie Montpensier namówił go do złożenia podpisu. Czas był po temu najwyższy; podczas gdy rodzina królewska uciekała ogrodami Tuileries, tłum wdarł się do pałacu i zaczął go plądrować. Stary król przedzierał się, mamrocząc j'abdique, j'abdique do każdego, kogo mijał. W zamieszaniu rodzina

się pogubiła, stracili również wszystko, co udało im się zabrać, i kiedy wreszcie zdołano ich przeszmuglować do Anglii, jedyne, co posiadali, to ubrania, które mieli na sobie - a w przypadku księżnej de Nemours nawet i to nie, ponieważ tłum podarł na niej suknie.

W tamtym czasie nie docierały do nas oczywiście te wiadomości tak jasno i precyzyjnie uporządkowane, jak je opisałam. Przez całe dni byliśmy skazani na plotki, fałszywe raporty i niepewność. Dwudziestego piątego powiadomiono nas, że Ludwik Filip wylądował w Folkestone, odwołałam więc obiad i wezwałam Russella i Palmerstona, aby zapytać, czy możemy udzielić schronienia królewskiej rodzinie. Informacja okazała się fałszywa, ale zostało ustalone, że możemy oddać do dyspozycji króla Francji jacht, kiedy lub jeśli w ogóle ucieknie. Jednocześnie uprzedzono nas, że powinniśmy z dużą ostrożnością przyjmować uchodźców, ponieważ w kraju może się to nie spodobać, a poza tym utrudni dyplomatyczne kontakty z przyszłymi rządami Francji.
- Mamy powiązania rodzinne - powiedziałam oschle. -To sprawa rodzinna. A co do kwestii, że może się to nie spodobać w kraju, jaki przykład dam swoim poddanym, jeśli odmówię wsparcia suwerenowi? Nie jest moim zamiarem, aby uważano, że popieram rewolucje. Nie mogę i nie zamierzam zignorować ich prośby.
- Ależ oczywiście, pani - powiedział Palmerston uspokajająco, rzucając Russellowi ostrzegawcze spojrzenie, aby ten milczał. (Byłam wówczas w zaawansowanej ciąży i pewnie uważał, że powinno się ze mną obchodzić delikatnie, a Russell, jak to określał Albert, „był notorycznie nietaktyczny"). - Nawet mi się nie śniło, żeby o coś podobnego prosić. Zalecałbym tylko najwyższą ostrożność. Nasza entente z Francją rozluźniła się z powodu zachowania samego króla. Królewska para z Francji nie powinna być zapraszana do pałacu Buckingham, a na pewno nie od razu, wskazane byłoby przedtem poznać nastroje w kraju.
- Claremont - odezwał się nieoczekiwanie Albert. - Dlaczego nie mieliby tam pojechać? Czy to wystarczająco „nieoficjalne" miejsce?
- Z pewnością, panie - powiedział Palmerston, kiwając

głową i dodał: - Co do ich najbardziej niezbędnych potrzeb, jestem pewien, że zdołamy coś wyasygnować z funduszów tajnych służb... możemy to nazwać darem anonimowego sympatyka lub jakoś tak.
Pojedynczo, parami zaczęli się pojawiać zrozpaczeni, przygnębieni Francuzi, ale wciąż nie było ani króla, ani królowej. Zaczęliśmy się obawiać najgorszego, Albert, co dziwne, o wiele silniej niż ja; był zgnębiony i nieswój. Być może mój stan wpływał na to, że byłam bardziej odporna na szokujące wieści. Trzeciego marca dotarł wreszcie do nas z New haven list od króla z informacją, że szczęśliwie wylądowali; uratował go konsul brytyjski z Hawru, przewożąc potajemnie jego i królową w przebraniu. Bardzo mnie poruszył ten list, ponieważ król zwracał się w nim do mnie madame, a nie zwyczajem suwerenów ma soeur i podpisał go tylko swoim imieniem, nie poprzedzonym tytułem.
Albert pojechał do Claremont dopilnować ich rozlokowania, a szóstego marca Palmerston pozwolił im na wizytę w pałacu Buckingham. Przybyli bardzo oboje bladzi, znużeni i wciąż wstrząśnięci z powodu tego, co przeżyli. Byli w pełni świadomi swego położenia - nie mieli przecież biedacy środków na utrzymanie. Musiałam wyposażyć królową w najniezbędniejsze rzeczy, nawet w szczotkę do włosów, za którą podziękowała mi roztrzęsionym głosem. Płakała niemal bez przerwy, a ja robiłam, co tylko mogłam, aby poczuła się lepiej i zupełnie straciłam ochotę na przypomnienie im, że to król ściągnął sam na siebie tę klęskę. Sprawiał wrażenie mocno postarzałego, nieszczęsny, załamany stary człowiek; uświadomiło to nam, jak niepewny jest los ludzki.
W całej tej historii będzie jednak jeden szczęśliwy akapit: w październiku Zgromadzenie Narodowe - nowe ciało ustawodawcze rządzące Francją - głosowało niemal jednomyślnie za zwróceniem wygnanym orleańczykom ich prywatnych dóbr. Russell powiedział mi, że według jego szacunków, kiedy już cała rzecz zostanie zakończona, król powinien mieć więcej niż milion funtów, co pozwoli mu spędzić resztę życia wygodnie. Ta niespodziewana szlachetność Republiki Francuskiej udowodniła, że nie żywią złości do Ludwika Filipa, ale chcieli się go po prostu pozbyć.
Przypomniało mi to, i poczułam

zabarwione winą rozbawienie, uwagę lorda M.: Francuzi nie potrafią znieść l'ennui; wybaczają swoim królom niegodziwość, ale nigdy to, że są nudni!

9 sierpnia 1900.

Rewolucja we Francji bez wątpienia nas rozstroiła; jej ofiary żyły pod naszym bokiem, a pamięć o roku 1793 należała do najczarniejszych wspomnień każdego suwerena. Albert był nadzwyczaj przygnębiony i zaczęłam się o niego naprawdę martwić, ale to, jak niebezpieczna była nasza sytuacja, dotarło do mnie z całą wyrazistością dopiero w kwietniu. Na środek marca przypadł poród i połóg i byłam tym zbyt zaambarasowana, aby myśleć o czymś jeszcze. Kolejne dziecko - nasze szóste - przyszło na świat osiemnastego marca, dziewczynka, bardzo duża, a poród był dla mnie ciężką próbą. Ale właściwie już się do tego wówczas przyzwyczaiłam i mogłam się czuć szczęśliwa, na co Albert zwrócił uwagę, aby mnie pocieszyć, że sześć ciąż zakończyło się urodzeniem sześciorga żywych, zdrowych dzieci. Tyle się działo w świecie, że dziecko mogło się urodzić martwe lub żyć tylko parę dni, czego doświadcza tak wiele kobiet.
(Nazwaliśmy ją Ludwika po Alberta uwielbianej i straconej matce. Okazała się najpiękniejszym z naszych dzieci, pełnym werwy i o artystycznych skłonnościach - bardzo pięknie rzeźbi - ale też ostrym języku i „trudnej" osobowości. Prawdę mówiąc, cieszy się opinią intrygantki: Ponsonby - to znaczy sir Henry, nie Fryderyk - powiedział kiedyś: „Księżniczka Ludwika sprowadza kłopoty na cały dom i każdą osobę, z którą ma do czynienia". Ale nie miała łatwego życia, biedactwo. Gdy miała szesnaście lat, omal nie umarła na zapalenie opon mózgowych, które jak to teraz wiemy sprowadza niepłodność, i obawiam się, że jej małżeństwo nie jest szczęśliwe właśnie w efekcie skutków choroby. Ona i Lorne po prostu nie umieją żyć razem, toteż zawsze im powtarzam, że dopóki zachowują pozory, nie będę kwestionować ich prawa do spędzania czasu osobno. Ona oczywiście nie jest osobą, z którą łatwo współżyć - już w dzieciństwie była potwornie kłótliwa - ale jeśli to, co słyszałam o Lorne'em jest prawdą,

często bywa prowokowana. Niemniej sprawy układają się między nimi lepiej od kilku lat i jestem szczęśliwa, widząc to wzajemne ponowne zainteresowanie się sobą tych dwojga i bardziej przyjacielskie stosunki między nimi, jakie zawsze powinny cechować męża i żonę).
Ale wracając do mojego opowiadania: trzeciego kwietnia 1848 roku wstałam z połogu i mogłam zacząć z powrotem jadać z Albertem śniadania, jak to zwykle czyniliśmy. Nigdy jajko na śniadanie nie smakowało mi bardziej niż to jedzone po raz pierwszy po urodzeniu dziecka w towarzystwie męża, siedzącego naprzeciwko przy stole i uśmiechającego się do mnie.
- Och, jak dobrze! - powiedziałam. - Mogę ci powiedzieć, że połóg to jak więzienie. Czuję się, jakbym je właśnie opuściła.
- Więzienie to dla mnie być z daleka od ciebie - odparł. -Ale nasze nowe dziecko jest przepiękne. Ma niezwykle jasną cerę. Może będzie tak piękna jak moja matka.
- Będzie jej przeznaczone niezwykłe życie, została urodzona w takich niespokojnych czasach - zauważyłam.
Spojrzał na mnie z zastanowieniem.
- Nie jestem pewien, czy wiesz, jak niespokojnych. Czartyści burzą się pod wpływem wydarzeń w Paryżu, wiece i marsze odbywają się we wszystkich dzielnicach Londynu.
Zasępiłam się.
- Ale z pewnością do niczego nie dojdzie? To tylko paru podżegaczy. Nie mają rzeczywistego poparcia wśród zwykłych ludzi?
- Nie chciałbym cię trwożyć, kochanie, ale to coś poważniejszego. Ci ludzie zorganizowali się zdumiewająco. Mają sekretne sygnały, wszędzie szpiegów, przesyłają wiadomości z miasta do miasta, posługując się gołębiami pocztowymi. Ich prawdziwa liczba nie jest znana, ale popierają ich irlandzcy nacjonaliści, którzy zawsze pragnęli rewolucji...
- Rewolucji?! - wykrzyknęłam, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać. Żartował sobie ze mnie? Ale nie, minę miał poważną.
- Niepokoje w Europie zdławiły handel, a Europa to nasz

rynek zbytu. Jeśli nie kupuje naszych produktów, tysiące tracą pracę i głodują. Są jak beczka prochu, wystarczy iskra.
Odłożyłam łyżeczkę do jajka z uczuciem rozczarowania; śliczne białe jajko od dorkingów zmieniło się w jabłko Sodomy.
- Przecież nie żyję na księżycu - powiedziałam. - Nie miałam pojęcia, że sprawy tak źle się mają.... myślałam, że to zwykłe niepokoje, nic poważnego, aby się naprawdę martwić.
- To naturalne, byłaś czymś innym zaambarasowana. -Zawahał się na moment. - Muszę ci wyznać, że jestem bardzo zaniepokojony. Sądzę, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.
Cóż, przecież widziałam, że jest zaniepokojony od pierwszych wiadomości, które napłynęły z Francji i zdumiało mnie wtedy, że się tak trwoży, choć ja nie widziałam po temu powodu. Teraz, zbyt już późno, rozumiem, że to potwierdzało jego „cudzoziemskość", której nie chciałam widzieć, a która objawiała się niekiedy we wzajemnym niezrozumieniu między nim a Anglikami. Bał się, ponieważ nie był zdolny instynktownie wyczuwać ludzkich uczuć i skrywanych nastrojów, umiejętności cenniejszej dla monarchów niż wszelkie intelektualne analizy i logiczne dedukcje. Jakkolwiek rzeczy się miały, był zdenerwowany i to do mnie dotarło. Później w ciągu dnia okazało się, że nie był jedyną osobą, która się martwiła; Russell i sir George Grey, minister spraw wewnętrznych, poprosili mnie o udzielenie specjalnej audiencji i pojawili się na niej z nadzwyczaj ponurymi minami. Przybyli, aby mi zakomunikować, że czartyści planują na dziesiątego kwietnia monstrualny wiec w Londynie - ledwie za tydzień.
- Mają zamiar, jeśli zostaliśmy dobrze poinformowani -powiedział Russell - wysłać swoich reprezentantów ze wszystkich stron Londynu, aby spotkali się na Kennington Common, i pomaszerować na Westminster, gdzie przedłożą petycję, pod którą zebrali półtora miliona podpisów.
Albert pobladł.
- Półtora miliona mężczyzn maszerujących na parlament?
- Aż do tego nie powinno dojść - powiedział szybko Russell. - Podpisy zbierano w całym kraju. Niemniej słyszałem, jak O'Brien oświadczył, że na wiecu zgromadzi się pół

miliona mężczyzn. - Wzruszył nonszalancko ramionami. -Ośmielam się twierdzić, że przesadza. Wiadomo, jacy są ci Irlandczycy.
- Wyraźnie nie bierze pan tego wiecu poważnie - powiedziałam surowo. Jego stosunek do Alberta czasami graniczył z brakiem szacunku.
Grey odpowiedział zamiast niego.
- Och, ależ zapewniam cię, pani, że traktujemy to bardzo poważnie. Ale zostaliśmy ostrzeżeni na tydzień przedtem i mamy mnóstwo czasu, aby poczynić odpowiednie przygotowania.
- Wiecu należy zakazać - oznajmił Albert stanowczo. -Tego nie wolno tolerować.
Spojrzałam na niego z dezaprobatą. Od tego się zaczęło w Paryżu; od zakazania wiecu.
- Proszę mi wybaczyć, panie - odezwał się Grey - to tylko doleje oliwy do ognia... ich przywódcy zyskają argumenty przeciwko nam.
- Przede wszystkim nie trzeba było wypuszczać tych przywódców z więzienia - uniósł się Albert. Uwielbiałam go, gdy mnie wspierał. - Mieliście ich pod kluczem i powinniście dalej trzymać ich pod kluczem.
- Nie patrzymy na to w ten sposób, panie - odpowiedział Russell niemal pogardliwym tonem. - O'Brien i reszta byli sądzeni zgodnie z prawem za naruszenie porządku publicznego i zostali osadzeni w więzieniu, a gdy odsiedzieli swoje wyroki, wypuszczono ich, również w zgodzie z prawem. Zawsze wyrażałem opinię, że jeśli skargi tych ludzi są słuszne, mają pełne prawo, aby je przedłożyć; jeśli nie okażą się słuszne, nie zyskają posłuchu. Represje tylko czynią walkę z nimi cięższą; często takie ruchy ponoszą fiasko, jeśli się je ignoruje, zamiast rozdymać.
- Najwyraźniej jednak nie sądzi pan, że ten poniesie, jak pan powiedział, fiasko, w przeciwnym razie by tutaj pana nie było - stwierdziłam.
- Cóż, pani - odparł Russell bynajmniej nie zmieszany -to, że odbędzie się monstrualny wiec, jest

pewne. Naszym zadaniem jest kontrolować i opanować, a nie zakazywać.
- Nie będzie żadnego marszu na parlament, pani - odezwał
371
się Grey pojednawczo. - Możemy temu zapobiec i zapobieżemy. Datujące się jeszcze z siedemnastego wieku prawo zabrania przedkładania parlamentowi petycji przez delegację składającą się z więcej niż dziesięciu osób, zamierzamy się oczywiście na nie powołać. (Bardzo poręczne prawo, wielokrotnie się to okazało!).
- Prawo może tego zakazywać, ale jak zamierzacie temu zapobiec? - zapytałam. - Niełatwo przekonać pół miliona ludzi.
- Zapewniam, że będzie ich co najmniej o połowę mniej -oświadczył Russell tym swoim nieznośnie niefrasobliwym tonem.
- W takim razie nie powinien pan w ogóle wymieniać tej liczby - ofuknęłam go, ale nie sposób mu było utrzeć nosa.
- Taką właśnie liczbę podają czartyści. Sądziłem, że należy do moich obowiązków dbać o przekazywanie Waszej Miłości pełnej informacji.
Znowu wtrącił się Grey, ratując sytuację.
- Nie jest naszą intencją niepotrzebnie denerwować Waszą Wysokość, niemniej wydarzenia tego rodzaju zawsze przyciągają awanturników, toteż będzie roztropnie przygotować się na najgorsze.
Teraz rzeczywiście poczułam się nieswojo.
- W takim razie trzeba posłać po Księcia - poleciłam i co do tego nie było najmniejszej dyskusji. Zawsze w kryzysowej sytuacji Anglia zwracała się do niego.
Albert wyszedł z obydwoma ministrami, ale nie wrócił od razu i wszystkie jego lęki i obawy spłynęły na mnie podczas jego nieobecności. Pół miliona czartystów wiecujących na Kennington Common? Tłum przechodzący wszelkie pojęcie! Zobaczyłam ich oczyma wyobraźni: brutalnych, nieokrzesanych, niewykształconych mężczyzn, umysły rozpalone rewolucyjnymi frazesami; zobaczyłam, jak przekraczają most, otaczają parlament, kamienie i żelazne pręty w zaciśniętych dłoniach, głosy chrapliwe jak u rozjuszonych zwierząt. A przecież Westminster był dzielnicą nędzy; wąskie uliczki zabudowane najgorszego rodzaju czynszówkami, zamieszkanymi przez żebraków, złodziei, prostytutki, morderców; najgorsze męty społeczeństwa. Z pewnością dostrzegą szansę i wykorzystają ją;
372
wynurzą się ze swoich ruder jak szczury z kanałów ściekowych i rozpełzną po ulicach, wciskając jak zaraza do bogatych domów z sąsiedztwa, plądrując, niszcząc, podkładając ogień.
Zaraz na wzgórzu mają pałac Buckingham, po którego ścianach tak niezwykle łatwo się wspinać. Nadejdą, wlewając się przez ogrody, jak paryski tłum wdarł się do ogrodów Tuileries; zamrowi się od nich w pałacu, będą zdzierać obrazy ze ścian, zasłony z okien, rozbijać szyby i lustra, szarpać na nas ubrania, gdy bezskutecznie podejmiemy próbę ucieczki; nasze dzieci będą bezradnie krążyć wokół nas, szlochając z przerażenia...
Na swoją obronę mogę powiedzieć, że właśnie wstałam z połogu i że zawsze mój umysł ciężko znosił ten stan. Zanim Albert wrócił, tonęłam we łzach i drżałam ze strachu.
- Gdzie ty byłeś? - wykrzyknęłam. - Jak mogłeś mnie samą zostawić!
- Spacerowałem w ogrodzie - odpowiedział. - Trochę mi nadszarpnęły nerwy te wiadomości i musiałem się uspokoić.
- Ty musiałeś się uspokoić?! - wrzasnęłam. - A ja? A moje nerwy?! Znikasz sobie zwyczajnie, nic mi nie mówiąc, dokąd idziesz, zostawiasz mnie samą, żebym mogła sobie do woli wyobrażać, co się ze mną stanie! Jak możesz być tak egoistyczny? To mnie będzie jutro szukał tłum, nie ciebie! To ja jestem królową! A co z moją biedną, bezbronną dzieciną? Jeszcze nie skończyła miesiąca, a już rozszarpana na kawałki przez rewolucjonistów! Och, co się z nami stanie?!
I dalej w tym rodzaju, niestety. Kiedy ogarnia mnie pasja, mówię wszystko, cokolwiek przyjdzie mi na myśl i biedny Albert musiał się solidnie natrudzić, aby mnie uciszyć (chociaż może ten wybuch miał tę dobrą stronę, że skierował jego myśli na inne tory niż własne obawy). Gdy się trochę uspokoiłam, powiedział mi, że Russell i Grey, już wychodząc, doradzali, abym biorąc pod uwagę

to, co się wydarzyło we Francji, rozważyła możliwość wyjazdu z dziećmi na kilka dni z Londynu.
- Chcą, żebym uciekła? - Z niedowierzaniem wciągnęłam powietrze. Podobna myśl nigdy nie zagościła w moim mózgu.
- Och, nie, nie uciekła. Po prostu, unikając ostentacji,
373
wyjechała, powiedzmy na dwa dni przed wiecem, do Osborne - sprecyzował w ten swój zabawnie pedantyczny sposób. - Będziesz tam całkowicie bezpieczna, w naszej własnej posiadłości, otoczona naszymi ludźmi. Znacznie to również ułatwi sytuację rządowi, jeśli nie będzie musiał troszczyć się o twoje bezpieczeństwo. To wszystko może się oczywiście okazać niepotrzebne, ale nie ma sensu im utrudniać... Prawie przestałam płakać. Oczy mi się zwęziły.
- Mówisz o mnie i o dzieciach. A co z tobą?
- Och, ja naturalnie zostaję - rzucił niefrasobliwie, jakby była mowa o kąpieli albo pójściu wcześniej spać.
- Nie - powiedziałam.
- Ale ktoś musi pilnować tutaj naszych interesów - stwierdził, badając mnie wzrokiem.
- Mam rząd do dbania o moje interesy. Pojedziemy razem albo wcale. Nie dam się z tobą rozdzielić.
- Posłuchaj, mała żono... - zaczął, ale natychmiast mu przerwałam.
- Nie mam zamiaru o tym dyskutować. Nie obchodzi mnie, co zrobimy, pojedziemy czy zostaniemy, ale razem. Dobry Boże, naprawdę sądzisz, że zaznałabym choć chwili spokoju w Osborne, gdybyś ty był tutaj? Naprawdę uważasz, że chciałabym być bezpieczna, gdy tobie będzie groziło niebezpieczeństwo?
Zrozumiał, że dalsza rozmowa jest bezcelowa i wzruszywszy ramionami, poprzestał na tym. Sądził prawdopodobnie, że Książę weźmie jego stronę i przekona mnie, ale gdy przyszło do omówienia szczegółów, Książę podzielił moje zdanie. Razem z nim przyszedł Richard Mayne, komisarz policji miejskiej - zdolny, inteligentny mężczyzna, którego bardzo lubiłam.
- Najważniejszą rzeczą według mnie, pani - powiedział stary żołnierz, stojąc z rękami splecionymi przed sobą (jak mi powiedziano, zawsze stał, planując militarne strategie) -jest powściągnięcie nastrojów. W tym jednym zgadzam się z Russellem. Zapełnienie ulic zbrojnymi oddziałami raczej wywoła kłopoty niż im zapobiegnie. Poza tym nie musimy działać tak demonstracyjnie. W końcu nie jesteśmy Francuzami.
374
- Jest naszym zamiarem, pani - powiedział Mayne - aby dowodzili wyłącznie oficerowie policji, tak aby wyglądało to na całkowicie cywilną operację. Nie chcemy powtórki Peterloo.
- To oczywiste, sir Ryszardzie - powiedziałam - ale czy pańscy ludzie dadzą sobie radę? Jak rozumiem, ich liczba będzie niezwyczajnie wysoka. - Czas rozpaczliwego łkania już przeszedł i byłam zdolna z powrotem rozumować racjonalnie. Wielkie wydarzenia przyjmuję spokojnie; to tylko drobne podrażniają moje nerwy.
- Zwłaszcza policjantów, pani - powiedział Mayne. - Zamierzamy zwerbować tylu, ile tylko możliwe, być może nawet około stu pięćdziesięciu tysięcy. Poza tym wszyscy dżentelmeni w Londynie zostaną zaprzysiężeni, jeśli mój głos coś znaczy.
Skinęłam głową.
- Wspaniale. Ale czy rzeczywiście nie będzie wojska, Książę?
- Oddziały będą w gotowości, pani, ale pozostaną niewidoczne, dopóki nie zajdzie konieczność, aby ich użyć. Wydałem już stosowne rozkazy i do krytycznego dnia powinienem mieć dziewięć do dziesięciu tysięcy ludzi w stolicy, łącznie z artylerią i formacjami kawalerii. - Zaczął się przechadzać, najwyraźniej podekscytowany powrotem na łono armii, jak stary rumak bojowy, gdy wyczuje zapach prochu. -Zostaną rozmieszczeni w strategicznych punktach miasta, a także po oddziale we wszystkich rządowych budynkach, okna będą zabarykadowane. Odkomenderowane okręty zakotwiczą na Tamizie z artylerią w gotowości i ludźmi gotowymi zejść w każdej chwili na ląd. Na każdym moście stanie bateria artylerii. Kto panuje nad mostami, włada miastem... to jeden z wymyślonych przeze mnie aforyzmów.

Czułam się w tej chwili już znacznie spokojniejsza. Jakimś trafem trudno było się czymś długo trapić, gdy Książę pełnił obowiązki - czartyści również doskonale zdawali sobie z tego sprawę.
- Pałac będzie doskonale przygotowany do obrony - kontynuował. - Umieszczę baterię artylerii w królewskich stajniach i oddział piechoty w ogrodzie, zwykłe straże zostaną
375
podwojone. Największą niewygodą, jaka może grozić Waszej Wysokości, będą powybijane okna.
- Dziękuję, Książę. A co do moich posunięć?
- Jeśli to Waszej Wysokości dogadza, proponuję wyjechać na dwa dni przed wiecem, czyli ósmego. Pociąg mógłby wyruszyć do Gosport o wpół do jedenastej rano, zabierając Wasz Majestat, Jego Królewską Wysokość, królewskie dzieci i osobistą świtę. Żadnej wojskowej eskorty, w ogóle żadnych wojskowych, jeśli mogę prosić; chcielibyśmy, aby to wyglądało tak, jakby Wasza Wysokość wyruszała na krótkie wakacje.
- Niemniej będziemy mieli wielu policjantów na służbie, pani - wtrącił Ryszard Mayne - chociaż wątpię, aby się na cokolwiek przydali.
- Doskonale to panowie wszystko zaplanowaliście - powiedziałam.
- Jesteśmy przygotowani na każdą możliwość - zapewnił mnie Książę stanowczo. - Wasza Wysokość może być przekonana, że nic mi nie umknęło. Niemniej dla zyskania pewności, że fałszywe doniesienia nie rozprzestrzenia się po kraju, wzniecając zamieszanie, chciałbym rzeczonego dnia kontrolować łączność telegraficzną, tak by żadna wiadomość nie została nadana bez mojej zgody.
Uśmiechnęłam się w duchu, ponieważ raporty Księcia słynęły z powściągliwości i zwięzłości. Krążyła opowieść o tym, jak to doniesienie o zwycięstwie pod Waterloo zostało sformułowane tak powściągliwie, iż wielu uznało je za informację o klęsce!
Kiedy obydwaj moi dzielni obrońcy wyszli, Albert podszedł i objął mnie. Oparłam głowę na jego piersi i staliśmy tak przez chwilę, czerpiąc pociechę z wzajemnej bliskości.
- Wciąż uważam, że znacznie prościej byłoby aresztować głównych prowodyrów - odezwał się w końcu.
- Nie można ich aresztować, dopóki czegoś nie zrobią.
- Ty możesz - powiedział. - Możesz to rozkazać.
- Nie, nie... Jestem pewna, że mają rację... Russell i Książę. Jeśli uczynimy z nich męczenników, prości ludzie nigdy się nie przekonają, jakim bezwartościowym osobnikom dali się powodować.
376
- Ale te wszystkie kłopoty... i niebezpieczeństwo...
- Wiec mógłby się odbyć nawet, gdyby aresztowano prowodyrów - zwróciłam mu uwagę. - Być może bez nich miałby nawet straszniejszy przebieg. - Milczeliśmy przez chwilę, a potem dodałam: - Cieszy mnie jednak to, że ich protest nie jest skierowany konkretnie przeciwko mnie. - Ale jeszcze to mówiąc, zrozumiałam, że to fałszywa pociecha. Rewolucja, jeśli nadejdzie, nie musi być skierowana przeciwko Wiktorii, ale z pewnością będzie skierowana przeciwko królowej.
Przez kilka następnych dni trwały przygotowania do naszej ucieczki i Albert zdawał mi raporty o postępach kampanii Księcia, przekazywał docierające urywki wiadomości. Wielcy posiadacze ziemscy, którzy mieli domy w Londynie, potraktowali ostrzeżenia bardzo poważnie i wielu sprowadziło mężczyzn z posiadłości, aby ich bronili. U lorda Malmesbury na przykład, sześciu gajowych, uzbrojonych w dubeltówki, pełniło regularną służbę wartowniczą. Ponieważ kwiecień to środek sezonu, większość rodzin przebywała w londyńskich rezydencjach, toteż nastąpił prawdziwy exodus żon i dzieci na wieś, a pod osłoną nocy przemycano furgony wyładowane cennymi rzeczami. Żołnierze przegrupowywali się, maszerując w małych oddziałach i stacjonowali w położonych na uboczu miejscach, zachowując się spokojnie i starając nie rzucać się w oczy; ale bateria artylerii na moście nie była oczywiście czymś, co by się dało ukryć, i widok dział musiał niepokoić Feargusa O'Connora, ponieważ przemówił w Izbie Gmin, zapewniając posłów, że czartyści nie zamierzają posunąć się do aktów przemocy i że za żadną cenę by nie dopuścił do wiecu, gdyby zanosiło się na jakiekolwiek naruszenie spokoju. Zapanowało natomiast entuzjastyczne poruszenie wśród dżentelmenów, których zaprzysięgali specjalnie wyznaczeni

konstable; podejrzewam, że ponieważ od 1815 roku panował spokój, byli chętni skwapliwie wykorzystać nadarzającą się okazję ostudzenia paru głów, i to działając w słusznej sprawie. (Między zaprzysiężonymi, co jest pewną ciekawostką, znalazł się Ludwik Napoleon Bonaparte, bratanek tyrana, fascynujący człowiek, który stał się naszym serdecznym przyjacielem.
377
Parę lat temu próbował się proklamować cesarzem Francuzów, ale kolejna rewolucja - ach, ci Francuzi! - wypędziła go z ojczyzny; zaprosiłam ich do Anglii, aby tu znaleźli dom. Żył tu w spokoju, aż w 1873 zabrała go śmierć, a ona jest wciąż moją najdroższą przyjaciółką).
Rankiem ósmego kwietnia wyjrzałam przez okno i zobaczyłam żołnierzy w pałacowych ogrodach. Ich widok uprzytomnił mi niebezpieczeństwo, na jakie byliśmy wystawieni, poczułam, że dłonie mi wilgotnieją, żołądek się kurczy. Ledwie sześć tygodni temu pokojowa demonstracja w Paryżu przeistoczyła się, po oddaniu jednego strzału, w rewolucję, a król Francji w trawionego tęsknotą uciekiniera bez środków do życia, spędzającego dni w domu mojego wuja w Esher. Gdyby to się miało tutaj powtórzyć, dokąd moglibyśmy się udać - oczywiście zakładając, że zdołamy uciec i nasze głowy nie spadną. Rozpaczliwie bałam się wygnania, nie chciałam żyć z dala od mojego ukochanego kraju - a poza tym, kto by nas przyjął? Tylko wuj Leopold, a ja nie wyobrażałam sobie spędzenia reszty życia w Belgii. Lepsza śmierć - jeśli zabierze nas wszystkich - niż to.
Albert i ja zjedliśmy śniadanie, prawie ze sobą nie rozmawiając, a potem poszliśmy sprawdzić, czy dzieci są gotowe. Nasz nastrój wyraźnie się im udzielił. Zwykle hałaśliwe i ożywione, zachowywały się niezwyczajnie cicho i spokojnie. Droga lady Lyttleton była uosobieniem spokoju. Alicja podbiegła do Alberta natychmiast, gdy go zobaczyła, ale Vicky, co zdumiewające, stała dalej przy Laddle, trzymając ją kurczowo za rękę.
- Mamo, a co będzie, jeśli dziecko zapłacze? - zapytała nalegająco. - Czy to nas nie zdradzi?
Porozumiałam się z Laddle wzrokiem. Odkąd przybyli francuscy uchodźcy, dzieci spędzały wiele czasu na wspólnej zabawie i wyraźnie nasłuchały się zbyt wielu opowieści o ucieczkach przed gens d'armes, które o mały włos, a zakończyłyby się tragicznie.
- Nie bądź niemądra, Puss, przecież nie uciekamy w przebraniu - odparłam. - Nie musimy przed nikim ukrywać, kim jesteśmy.
- Ale uciekamy, prawda, mamo? - zapytał Bertie z podnieceniem.
378
Trudno by mi było powiedzieć, czy chciał usłyszeć uspokajające zaprzeczenie, czy raczej cieszył się na przygodę.
- Wsiądziemy po prostu do powozów i pojedziemy pociągiem, a potem parowcem do Osborne - powiedziałam.
- Chcesz na pewno zobaczyć, jak pan Cubitt sobie radzi, prawda, mój synu? - spytał Albert.
Bertie skinął głową, choć bez wielkiego entuzjazmu, natomiast Affie wybuchnął:
- Będziemy mogli pomagać przy mieszaniu betonu, tatusiu, jak ostatnim razem?
- Tak, pod warunkiem że przez całą drogę będziecie słuchać Laddle i zachowywać się grzecznie - powiedział Albert, wyciągając zegarek. - Powozy powinny już czekać. Schodźmy na dół.
Zimny deszcz padał rzęsiście na wyjeżdżające kłusem z bramy konie. Dlaczego znajome ulice nagle nabrały przerażającego, nierealnego wyglądu? Wyglądając przez okno, stwierdziłam, że na ulicach widać więcej niż zwykle ludzi, a za chwilę doszłam do wniosku, że raczej mniej i obie te konstatacje wydały się mi równie niepokojące. Albert trzymał mnie za rękę i wyczuwałam jego napięcie; gdyby mógł naładować powietrze elektrycznością, pomyślałam, wystarczyłoby przesunąć po nim ręką, a rozległyby się trzaski. Otoczenie pałacu Westminterskiego wyglądało nie inaczej niż każdego innego zwykłego dnia: tłum ludzki, ruch uliczny, pogwizdywania robotników, hałaśliwie krzątających się na rusztowaniach iglic koronkowych gotyckich wieżyc, śmiało sięgających nieba. Roboty dobiegały końca - ale może, pomyślałam, przejęta nagłym dreszczem, nigdy nie zostaną dokończone. Może tłum zacznie burzyć, podkładać ogień, ogarnięty szaleństwem, żądny odwetu. Widok artylerii na moście Westminsterskim uspokajał i trwożył zarazem; przy nabrzeżu Charing Cross kołysała się delikatnie na falach zakotwiczona fregata, piękna i pozornie niewinnie wyglądająca, jak wilk w owczej skórze - jakby jej wnętrze nie skrywało uzbrojonych mężczyzn.

Przybyliśmy pod stację Waterloo dokładnie wpół do jedenastej i przeszliśmy do niej, idąc pośpiesznie pomiędzy dwoma rzędami
379
konstabli na spotkanie komitetu powitalnego, złożonego z Richarda Mayne i kilku starszych rangą oficerów.
- Uznaliśmy, że najlepiej będzie całkiem opróżnić stację z ludzi, pani - powiedział Mayne. - Pociąg czeka, lokomotywa pod parą, odjeżdżamy natychmiast.
Przemierzaliśmy pośpiesznie halę dworcową, nasze kroki odbijały się przerażającym, nienaturalnym echem w panującej w niej niezwyczajnej pustce; cisza zdawała się prowokować jakąś gwałtowną akcję, która by ją przełamała. W każdej chwili, wyobraziłam sobie, może się rozlec huk wystrzału z broni zabójcy - przecież to znam. Snajper, przyczajony gdzieś wysoko pod krokwiami, trzyma strzelbę wymierzoną w cel, patrząc na mnie z góry jak francuski snajper patrzył na admirała Nelsona z bomstengi na rufie Victory. Na myśl o tym wyprostowałam się. Jeśli rzeczywiście tak jest, niech wie, że patrzy na córkę żołnierza, nie uciekinierkę. Uniosłam głowę wyżej i zwolniłam odrobinę kroku. Skoro mam umrzeć, uczynię to z godnością!
Co nie znaczy, iż nie odczułam ulgi, wsiadłszy wreszcie do pociągu, poczułam się nawet trochę wyczerpana i z przyjemnością ułożyłam się, wsparta na poduszkach, na kanapie w królewskim wagonie. Ledwie zatrzaśnięto ostatnie drzwi, pociąg szarpnął, ruszając z sapnięciem i wkrótce pędziliśmy przez brudne przedmieścia, a potem czyste, zielone, mokre od deszczu wiejskie okolice - znacznie szybciej niż Albert lubił. Siedział obok mnie, trzymając mnie za rękę i tym razem nie uskarżał się, co czynił zwykle, ani na szybkość, ani na kołysanie wagonu. Prędkość, z jaką jechaliśmy, podnieciła dzieci, które szybko zapomniały o strachu i zaczęły się zachowywać hałaśliwie i nieznośnie jak one zawsze; a potem Ludwika zaczęła płakać.
Przyjechaliśmy do kochanego Osborne kwadrans po drugiej po południu. Wciąż padało, zimozielone rośliny ociekały ponuro wodą, a cisza i oddalenie miejsca wydawały się niemal nie do zniesienia po ekscytacji i obawach przeżytych w Londynie. Znaleźć się w Osborne w taki sposób - nie marząc o tym ani nie planując, jak wykorzystamy cenną tutaj zawsze dla nas każdą chwilę, ale wbrew naszej woli, wyjeżdżając w panice, kiedy działy się wydarzenia, na które już od tej
380
pory nie będziemy mieli żadnego wpływu - było dla mnie niemal bolesne; a już z pewnością nieprzyjemne. Do wieczora emocje nieco opadły. Byliśmy wszyscy bezpieczni, a mnie coraz silniej dręczyło poczucie, że niepotrzebnie wyjechaliśmy.
- Kiedy rozgrywają się takie wydarzenia, moje miejsce jest w stolicy, z moim narodem - utyskiwałam przy obiedzie. - Nie powinnam uciekać w taki sposób.
- To właśnie przed twoim narodem uciekłaś - uzmysłowił mi Albert, z ponurą miną krojąc kotlet.
- Nonsens! Mój naród mnie kocha. Jeden czy dwóch niegodziwców, ludzi nieodpowiedzialnych... agitatorów, którzy sprowadzają na innych kłopoty, to nie wszyscy. Nigdy nie uciekałam przed niebezpieczeństwem. Co ludzie sobie o mnie myślą?
- Nie sądzę, żeby w ogóle coś myśleli, kochanie - powiedział Albert.
- Coś muszą myśleć - odparłam. - Co będzie, jeśli uznają to za tchórzostwo? Jestem córką żołnierza... nie zniosę tego. Nic łatwiejszego, niż nastawić ludzi przeciwko monarchii, jeśli powezmą wątpliwości.
- Przed chwilą twierdziłaś, że twój naród cię kocha -przypomniał mi Albert, odkładając widelec znużonym gestem. - Teraz, że dręczą ich wątpliwości. Czy mówisz o jednym i tym samym narodzie?
- Dlaczego przekręcasz wszystko, co mówię w taki nieprzyjemny sposób? Doskonale wiesz, co mam na myśli.
- Rzeczywiście? Nigdy nie twierdziłem, że umiem czytać w myślach.
To nie był udany wieczór.
Następnego dnia pułkownik Phipps, koniuszy Alberta, który pozostał w Londynie, wyszedł na ulice, aby posłuchać, co ludzie mówią o moim nagłym wyjeździe do Osborne i odpowiedzieć na moją depeszę z prośbą o pilne poinformowanie mnie w tej sprawie. Ku mojej ogromnej uldze

zapewnił mnie: „Odwaga Waszej Wysokości jest ceniona tak wysoko, że nie słyszałem ani jednej osoby, która by wyrażała przekonanie, iż do wyjazdu doszło z powodu zaniepokojenia, jakie Wasza Wysokość odczuwała". Skoro to zostało wyjaśnione, nie pozostawało
381
nic innego, jak oczekiwać na wydarzenia. Dla spokoju innych usiłowaliśmy z Albertem zachowywać „dobrą minę", ale niewiele godzin w moim życiu dłużyło mi się tak, jak te czterdzieści osiem, które upłynęły między przyjazdem na wyspę Wight i dotarciem do nas wiadomości o monstrualnym wiecu.
Wreszcie, punktualnie o drugiej dziesiątego kwietnia, dotarła do mnie przekazana przez lorda Johna Russella depesza. Otworzyłam ją trzęsącymi się rękami i papier drżał w nich tak mocno, że nie mogłam skupić wzroku na słowach. Wręczyłam ją Albertowi.
- Przeczytaj - powiedziałam błagalnie. - Powiedz mi najgorsze.
- „Do królowej - czytał, a w miarę, jak jego wzrok przesuwał się po linijkach tekstu, nie tyle się uśmiechał, co rozjaśniał, jak niebo, gdy rozwiewają się chmury. - Uczestnicy zgromadzenia na Kennington Common rozeszli się w spokoju. Marszu zaniechano. Petycja została przedłożona Izbie Gmin bez jakichkolwiek manifestacji. Do zamieszek nie doszło, żołnierze nie zostali wysłani".
Do wieczora znaliśmy szczegóły: olbrzymi wiec spalił na panewce. Poczynając od tego, że liczba osób, które się zjawiły, daleko różniła się od tej, której O'Connor się spodziewał. Szacunki się wahają, ale Russell ocenia, że było to około piętnastu tysięcy. („The Times" podaje dwadzieścia, ale wielu należy uważać raczej za gapiów niż demonstrantów). Furgon zawierający górę papieru, czyli petycję wysłaną z kwatery głównej czartystów o dziesiątej rano, ciągnęło sześć koni pociągowych. Sklepy pozamykano, drogi obstawiono policją, żołnierzy natomiast nie było w ogóle widać. W ciągu ranka niewielkie grupy zdążały do Kennington Common, a ludzie przypatrywali się raczej z ciekawością niż z gorącymi czy życzliwymi uczuciami. Kiedy protestujący zgromadzili się wreszcie na Kennington Common, wygłoszono kilka przemówień, którym nie dostawało żarliwości, a potem za furgonem z petycją uformował się sznur innych i powoli zaczęły się toczyć w stronę Westminsteru.
Nie więcej niż kilka z nich zdążyło wyjechać z Kennington Common, gdy pierwszy został zatrzymany przez konstabla,
382
który spytał O'Connora bardzo uprzejmie, czy byłby łaskaw zamienić słowo z panem Mayne. O'Connor poszedł za nim do najbliższego gmachu rządowego, gdzie Richard Mayne i lord John Russell siedzieli wygodnie przy płonącym w kominku solidnym ogniu (i prawdopodobnie dwóch szklaneczkach czegoś rozgrzewającego na stoliku ustawionym między nimi). Mayne powiedział O'Connorowi, że wiec może się dalej odbywać, ale nie zezwala się na pochód, Russell zaś zaproponował nadzwyczaj sensownie, aby petycję dostarczyła do Westminsteru specjalnie wezwana dorożka - lub raczej dwie czy trzy - jeśli O'Connor wciąż pragnie ją przedłożyć.
O'Connor - blady jak prześcieradło według słów Russella -podziękował im, uścisnął dłoń Mayne'a i pośpieszył zalecić zebranym, aby rozeszli się w spokoju. Zaczął padać ulewny deszcz i tłum począł rzednąć i kurczyć się, zrazu na krańcach, gdy mniej entuzjastycznie nastawieni demonstranci pospieszyli szukać schronienia. Pozostały jedna czy dwie grupy skupione wokół usiłujących przemawiać, ale kwadrans na drugą Kennington Common opustoszał niemal zupełnie i policja pozwoliła przemoczonym do suchej nitki niedobitkom przejść przez mosty i udać się do domów.
Trzy dorożki, wezwane przez uprzejmego konstabla policji, dowiozły petycję, O'Connora i jednego czy dwóch poruczników do Westminsteru; petycję wręczono i złożono w którymś przedpokoju - czyli skazano na wieczne zapomnienie. Znacznie później odkryto, że wiele podpisów zostało sfałszowanych (Wiktoria Rex też do nich należał, jak i podpis sir Roberta Peela, Księcia Wellingtona, H. Nelsona i pana Puncha), co całkowicie skompromitowało O'Connora; w ciągu zaledwie paru miesięcy cały ruch zamarł, cierpiąc na niedostatek poparcia ze strony ludności, jak i na niedostatek funduszów.
- Nie powinniśmy jednak zapominać o słusznych skargach biedoty - powiedział do mnie Albert. - Część robotników żyje w zatrważających warunkach; w brudzie, niehigienicznie, bez szans na

edukację, nie umiejąc zmienić się na lepsze, bez nadziei. Jeżeli chcemy uniknąć rewolucji, musimy zacząć
383
ochraniać najsłabszych w społeczeństwie, pokazać, że w pełni zasłużenie zajmujemy tak wysoką pozycję.
- Masz rację - powiedziałam z entuzjazmem, który udzielił mi się od niego. - To jest to, co każdy prawdziwy chrześcijanin powinien uczynić dla swoich sąsiadów... my mamy po prostu więcej sąsiadów niż przeciętny człowiek. Ale co powinniśmy zrobić?
- Nędzne mieszkania na przykład są potwornym nieszczęściem. - Zaczął krążyć po pokoju jak niespokojny kot. - Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo chciałbym, aby te wszystkie miejsca zrównano z ziemią... takie jak to skupisko ruder za Westminsterem, i aby na ich miejscu powstały solidne domy. To potworny wstyd, żeby o rzut kamieniem od pałacu Buckingham istniało coś tak przerażającego. Już samo przeludnienie wystarczy, by sprowadzić na biedotę degradację i wszelkie nieszczęście. Jakim sposobem rodzina może być godna szacunku i przyzwoita, jeśli wszyscy dzielą jeden pokój i robią w nim... wszystko. Kim mogą się stać, jeśli w jednym łóżku śpi siedmioro?
Wiedziałam, że dla niego była to szczególnie przerażająca sytuacja; dla niego, który tak potrzebował samotności i przestrzeni wokół siebie. Zastanowiło mnie, czy czasem robotnicy nie czerpią przyjemności z tłoczenia się razem, szczególnie gdy jest zimno... a co do siedmiorga w jednym łóżku, to czy nie woleliby spać na podłodze, gdyby im rzeczywiście się to tak nie podobało? Ale pomyślałam o szczęściu, jakie płynie z życia rodzinnego, i o jego prawdziwej wartości i zgodziłam się z nim w pełni. Czysty, przyzwoity dom z osobnymi pokojami, aby uchronić dzieci przed niemoralnością, tyle przynajmniej powinno się należeć każdej rodzinie.
- Co zatem powinniśmy zrobić? - powtórzyłam pytanie. Nagle wydało mi się to niezwykle skomplikowanym zadaniem. Było tylu biednych i to tak bardzo biednych. Albert najwyraźniej nie miał przygotowanej odpowiedzi, ale mnie przyszła niemal natychmiast do głowy: - Musimy zasięgnąć rady - powiedziałam. - Musimy posłać po lorda Ashleya.
I tak też zrobiliśmy. Wielki filantrop i reformator (późniejszy lord Shaftesbury) przybył do Osborne dziewiętnastego i spędził z nami cały dzień, spacerując po posiadłości i rozmawiając
384
na temat warunków życia robotników i co możemy zrobić, aby im ulżyć.
Ashley w pełni podzielał moje zdanie co do nastawienia biedoty.
- To dobrzy, lojalni ludzie, nie potrzebują wiele, zaledwie paru udogodnień i zmian, tak aby ich domy stały się zdrowsze. Nie potrzebują żadnych „Kart Ludu", wystarczy okazać im współczucie i sympatię.
W kwestii tego, co my moglibyśmy dla nich uczynić, doradzał, aby Albert, reprezentując mnie, torował drogę, przewodnicząc wszelkim społecznym inicjatywom w sztuce i nauce, zwłaszcza mającym za cel wspomaganie biednych; na początek zaproponował, aby Albert w jego towarzystwie odwiedził kilka najbardziej zaniedbanych miejsc w sąsiedztwie Strandu i zaprosił go do uczestniczenia na prawach honorowego gościa w obradach Stowarzyszenia na Rzecz Pomocy Klasom Pracującym.
Co też Albert uczynił i spotkało się to z ogromnym aplauzem, a jednocześnie dało początek nowym zainteresowaniom w jego życiu. To znaczy w sensie nowego rodzaju aktywności, ponieważ już od dawna przedmiotem troski nas obojga było to, że gwałtowne zmiany, dokonujące się w dziewiętnastym wieku, zostawiły tak wielu na uboczu i poza zasięgiem płynących stąd dobrodziejstw. Zawsze wydawało mi się złą rzeczą, iż ci, którzy muszą się w życiu najbardziej natrudzić, mają też najmniej rozrywki. Biedota cierpiała w najoczywistszy sposób z powodu niedostatku jedzenia i godziwych mieszkań, ale ja uważałam za złe także to, że ich życie składało się głównie z pracy. I dlatego właśnie nigdy nie podobały mi się angielskie ponure, nudne niedziele. Spędzanie ich w domach na lenistwie w imię „święcenia Dnia Pańskiego" może ostatecznie odpowiadać klasie średniej; ona to głównie wyraża przekonanie, że w niedzielę powinny być zamknięte galerie i muzea, że nie powinny grać orkiestry w parkach, odbywać się tańce, jarmarki, nie wolno spędzać czasu na grach towarzyskich - ale gdzie i kiedy klasy pracujące mają zaznać

rozrywki, jeśli nie takiej i nie w ten dzień? Oczywiście, że powinni chodzić do kościoła, ale też spędzać właśnie Dzień Święty radośnie. Pozbawienie niższych
385
klas tych niewinnych rozrywek nie uczyni z nich lepszych ludzi ani też bardziej skłonnych do przestrzegania nauk Chrystusa. W istocie, zawsze starałam się, aby niedziela była przyjemnością dla mojej rodziny i nigdy nie narzucałam dzieciom niepotrzebnych ograniczeń. (Pewien impertynencki kaznodzieja zdumiewał się kiedyś nad tym, że pozwalam dzieciom grać w tenisa w niedziele. Odparłam chłodno, że nakazuję im w ten dzień samym zbierać piłki, nie angażując do tej czynności służących).
Tak więc do troski o przyzwoite mieszkania i urządzenia sanitarne dla robotników dodał Albert pod moim wpływem i tę, aby przyjemniej spędzali wolny czas i próbowali zmienić się na lepsze. Biblioteki publiczne, parki, promenady, muzea, czytelnie, instytuty wszelkiego rodzaju - jeśli tylko prowadzącym te instytucje trzeba było zachęty do tego rodzaju działalności, uzyskiwały ją od Alberta. Jego imię otwierało listy z datkami na cele charytatywne, odwiedzał zebrania, przewodniczył ceremoniom otwarcia, rozmawiał na bankietach o utworzeniu funduszy, przyjmował honorowe prezydentury. Przysporzyło mu to dodatkowych ciężarów, a przecież czas miał i tak już mocno wypełniony, często też obowiązki trzymały go z dala ode mnie o wiele dłużej, niżbym sobie życzyła; oboje jednak wiedzieliśmy, że nie dano nam żyć na tej ziemi wyłącznie dla naszej przyjemności: widzieć, ile dobra czynimy, zaznawać dowodów wdzięczności od tych, których los się polepszył - było wystarczającą nagrodą.

Część Czwarta.
JESIEŃ.

Rozdział Szesnasty.
20 sierpnia 1900 w Osborne.

Śniłam, że jestem zupełnie sama w nieskończenie wielkim budynku zapełnionym wspaniałymi skarbami; szłam wśród nich powoli, wpatrując się w biel, złoto, czerwień, marmury i kryształy, połyskujące w prześwietlonym światłem powietrzu. Lśniąca srebrzyście mgła zacierała odległości; powietrze było łagodne i pachnące, jak bywa w majowe dni; oddychałam atmosferą zadowolenia, spokoju, radości, przenikającą te ogromne przestrzenie; a nade wszystko, i to było w tym najlepsze, czułam wszędzie jego obecność. Przechadzałam się, wpatrywałam, podziwiałam i byłam zdumiona. Po co się tutaj znalazłam? Nie dla samej przyjemności, ale dla nauki. Czego się nauczyłaś, patrząc na to wszystko, Wiktorio? - jego głos brzmiał łagodnie, rozsądnie, uroczyście, a zarazem wyczuwało się w nim radość. Wejrzałam w siebie, zastanawiając się. Tak, teraz wiedziałam: że nic nie idzie na darmo.
Nic nie idzie na darmo. Nic na ziemi nie dzieje się bez celu. Wszystko jest zamierzone i wszystko jest czynione na chwalę Boga. Jego ukochany głos, gdzieś blisko mnie, słyszalny wszędzie pośród tej ogromnej przestrzeni; potem muśnięcie warg na czole, błogosławieństwo jego namacalnej bliskości - znowu. Bądź spokojna - jestem blisko.
Obudziłam się i łzy spłynęły mi po policzkach z żalu, że to tylko sen, a ja jestem stara i zupełnie sama. Och, Albercie, dlaczego mnie zostawiłeś? Przeniknięta męką samotności, wyciągnęłam ramiona w pustą przestrzeń i przywoływałam go przez chwilę, jego, który odszedł ode mnie tak dawno. Wiedziałam,
387
że już nie zasnę, wstałam więc z łóżka, w którym nikt nie spał obok, podeszłam do okna, odsunęłam zasłony i wyjrzałam na zewnątrz. Świt nadchodził, znad morza unosiła się lekka, biała jak mleko mgła, na wschodzie prześwietlona światłem; wierzchołki jałowców, które on zasadził, rysowały się na jej tle ciemne i wyraźne. Ranek przynosi czasem pogrążonej w żałobie duszy

uwolnienie od ciężkich snów. Ale to właśnie mój sen niósł dziwne ukojenie. Stałam nieporuszona i wciąż czułam jego pocałunek, i słyszałam jego kochany głos, chociaż powoli odczucie nikło jak mgła w miarę wstawania dnia. Bądź spokojna - jestem blisko. Tak, to prawda, wszędzie pozostawił po sobie ślad, wszędzie odcisnął wpływ. Wiem, o czym śniłam i czas to opisać; a że to radosna rzecz, muszę powrócić do tamtych czasów, abym umiała to zrobić z radosnym sercem i lekkim piórem.
Wyższe sfery - arystokracja i próżnujący bogacze; ci, których nazywam „wytwornisiami" - nigdy nie polubiły mojego najdroższego. Po części trzeba to przypisać jego nieśmiałości i rezerwie, przez co stwarzał wrażenie hauteur, a ludzie nie lubią, gdy im się uciera nosa. Pierwszą przyczyną było jednak to, że się tak od niego różnili; musieli czuć w głębi ducha, że ich przewyższa i żywili z tego powodu urazę. Cóż mógł począć na to, że obrażał swoją osobą tych, których korzenie tkwiły w rozpustnej Regencji; którzy poczynali sobie swobodnie i lekko, a których moralność była skandaliczna; uzależnionych od hazardu, nadmiernie pijących, gardzących uczciwością; krzykliwych, cynicznych, sceptycznych i tolerancyjnych wobec wszystkiego oprócz nietolerancji? I jakże nie miał ich irytować cnotliwy, rozmiłowany w nauce, skrupulatny, wytrwały, wykształcony idealista z silnym poczuciem obowiązku - zwłaszcza jeśli był Niemcem, kompletnie nie przejawiającym zainteresowania rodowodem koni?
A skoro Wytwornisie, co naturalne, ciągnęli do jaskiń gry i na wyścigi konne, Albert w równie naturalny sposób znalazł oparcie w kręgach ludzi wykształconych, którzy - w najgorszym razie w teorii - poświęcali się szukaniu i szerzeniu Prawdy i Oświecenia. Budowle w stylu królowej Anny z ich obszernymi bibliotekami, czytelniami o ścianach wyłożonych

boazerią z ciemnego drewna, powtarzającymi echem kroki korytarzami, popiersiami z marmuru, gablotami - oddychały atmosferą, w której rozkwitał jego wielki intelekt. Es bildet ein Talent sich in der Stille, jak powiedział Goethe - geniusz rozwija się z dala od zgiełku!
Najbardziej szacowną instytucją w tych kręgach było Towarzystwo na Rzecz Rozwoju Sztuk, Rzemiosła i Handlu, popularnie zwane Towarzystwem Sztuk. W 1845 roku zaproszono Alberta, aby mu przewodniczył, a on z nawiązką spełnił ich oczekiwania, uzyskując ode mnie Królewską Kartę. Zaakceptowanie tej funkcji przysporzyło mu tylu sposobności rozdrażnienia większej liczby Wytwornisiów, że wprost nie sposób sobie tego wyobrazić! Miało także bardziej ponure konsekwencje, których doprawdy nie mogliśmy przewidzieć -ale gdyby wiedział, co go czeka, czy zmieniłby swoje postępowanie? Szczerze wątpię. Albert patrzył na życie z innej perspektywy - na pewno różnej od mojej. Jakby przez załamujący obraz obiektyw, przez co nie mógł widzieć zakrętów -tylko prosto wytyczoną drogę.
Światowa Wystawa była dzieckiem Alberta. Wielu ludzi -jak Henry Cole, ani jedyny, ani najmniej krzykliwy z nich -przyznawało się do tego pomysłu, głosząc, że wpadli na niego pierwsi; niemniej to Albert był jej jedynym „rodzicem", a mam prawo twierdzić to z całą stanowczością, ponieważ właśnie ze mną omawiał pomysły, które miały doprowadzić do jej otwarcia. Wszystko zaczęło się w 1848 roku, kiedy w Europie wrzało, nacjonaliści okazali się nową, groźną siłą i byliśmy aż nadto świadomi, że wojna w Europie na skalę napoleońskich nie jest wcale czczą groźbą. Rozmawialiśmy o tym pewnego wieczoru.
- To szaleństwo, aby poszczególne nacje judziły się jedna przeciwko drugiej - powiedział Albert gniewnie. - Nikt na tym nie wygrywa. Wszyscy tracą. Po wojnie zostają tylko wdowy i ubóstwo.
- Lord M. zawsze powtarzał, że wszystkie wojny są wynikiem walki o rynki, niezależnie od tego, co twierdzą politycy - zauważyłam, nie podnosząc głowy znad robótki. -Obawiam się, że nie sposób zwalczyć w ludziach chęci zagarniania terytorium sąsiada.

Machnął lekceważąco ręką.
- Tak było w czasach prymitywnej wspólnoty plemiennej, gdy walczyliśmy o terytoria łowieckie. Żyjemy teraz w skomplikowanych społeczeństwach, handlujemy między sobą, zależymy od siebie. Rabując sąsiada, obrabowujesz jednocześnie siebie. Jak ludzie mogą być tak zaślepieni, by wierzyć, że źródłem zysku jest strata innego kraju?

Odłożyłam robótkę i spojrzałam na niego.
- Obawiam się, że inni ludzie nie myślą tak jasno jak ty -powiedziałam, nie dostrzegłszy, że jego pytanie było retoryczne.
Ale on nie słuchał, rozgorączkowany.
- Czy ty wiesz, Wiktorio, że pojawiła się przed nami szansa, jakiej nikt dotąd nie miał: zjednoczyć rodzaj ludzki. Nadszedł moment w historii świata, gdy czas i przestrzeń nie stanowią już tak wielkiego problemu. Nie sposób uważać za brata człowieka, z którym nie można się spotkać ani porozumieć. Ale teraz są koleje, telegrafy, parowce zdolne pokonać niezmierzoną przestrzeń oceanu. Dystans stał się nieważny, człowiek nagle zbliżył się do człowieka! Teraz, właśnie w tym momencie tego stulecia, pojawiła się możliwość zbliżenia narodów świata tak, by doszło do wzajemnego zrozumienia, braterstwa cywilizacji!
- Jak? - zapytałam, natychmiast tego żałując. Leżało w mojej naturze, aby zawsze uściślić praktyczny aspekt problemu, i jego wzloty kończyły się gwałtownym powrotem na ziemię, a tak przecież lubiłam słuchać, gdy roztaczał swoje wizje!
- Nie wiem - odparł po chwili milczenia. - Mogę ci jedno powiedzieć: to ma związek z wolnym rynkiem. Tak się to musi zacząć, od usunięcia wszelkich barier dla wymiany handlowej między krajami. Pomyślność każdego osobno zależy od pomyślności wszystkich, przecież nauczyliśmy się tego w 1815, przypomnij sobie, jak zagraniczne przewroty fatalnie zdławiły nasz rynek! Anglia musi wskazać drogę. Tutaj zaczęła się demokracja, tutaj zaczęło się uprzemysłowienie. Anglia musi znaleźć sposób, aby pokazać światu, że pokój i pomyślność to dwie nierozdzielne rzeczy, a obie zależą od wolnej konkurencji i nieskrępowanej wymiany myśli!
390
To była pierwsza rozmowa na ten temat, którą zapamiętałam, ale Albert miał umysł całkowicie zaprzątnięty tą ideą. Narody świata muszą się zjednoczyć - tylko jak do tego doprowadzić? Potrzeba było jakiegoś wielkiego wydarzenia o odpowiedniej wadze, zebrania w jednym miejscu - nie przekupnych, niedoskonałych polityków, ale producentów i kupców. Trzeba dać obraz świata, pokazać tę ideę jasno, nowa era powinna się zacząć - tylko od czego?
Pomysł wystawy rodził się stopniowo, by skrystalizować w początkach 1849 roku. Rząd francuski organizował tego lata w Paryżu wystawę sztuki i rzemiosła - odbywały się one regularnie co pięć lat; Towarzystwo Sztuk od dawna chciało zorganizować podobną w Anglii, niestety z powodu braku poparcia i funduszy nigdy do tego nie doszło. Trzydziestego czerwca Albert wezwał na spotkanie w pałacu Buckingham czterech szacownych członków towarzystwa: Thomasa Cubitta, energicznego Henry'ego Cole'a, Francisa Fullera, który właśnie powrócił z paryskiej wystawy, i sekretarza organizacji, Scotta Russella.
Tym właśnie ludziom przedstawił propozycję zorganizowania w 1851 roku w Londynie wystawy, prezentującej sztukę i wytwory przemysłu, mającej na celu wspomóc rozwój ogólny i wolną konkurencję. Wystawa miała jednak, inaczej niż w Paryżu, gromadzić również produkty zagraniczne. Miała być międzynarodowym przedsięwzięciem na szeroką skalę -jakiego świat dotąd nie widział. Wszystkie narody powinny zostać zaproszone do uczestniczenia w niej, pokazać swoje naturalne bogactwa, najwspanialsze dzieła sztuki i wytwory sztuki stosowanej. W ten sposób uzmysłowimy światu, co dotąd osiągnął rodzaj ludzki i do czego powinien dążyć.
- Otworzymy pałac, w którym zgromadzimy i pogrupujemy skarby całego świata - mówił. - Wskażemy drogę rozwoju, odwrócimy umysły ludzkie od militarnej agresji i skierujemy je na handlowe i przemysłowe współzawodnictwo.
- Nie sądzę, by naszym przemysłowcom to się spodobało -powiedział Scott Russell z powątpiewaniem. - Wolą raczej słabszą niż silniejszą konkurencję. Jakie bowiem miałyby z tej ostatniej wynikać dla nich korzyści?
391
- Konkurencja wszystkim przynosi korzyść - stwierdził Albert stanowczo. - A na międzynarodowej konkurencji skorzysta cały rodzaj ludzki. Będzie ona stymulować do wzmożenia wysiłków, podniesienia standardów, wpłynie na zwiększenie produkcji, otworzy nowe rynki, wskaże nowe wyzwania dla ludzkiej pomysłowości i wynalazczości, a wszystko to doprowadzi do podwyższenia

poziomu życia współzawodniczących ze sobą narodów.
- Tylko czy nasi fabrykanci to zrozumieją? - zapytał Scott Russell.
- Jeśli nawet nie - odparł z ożywieniem Henry Cole - to i tak będą chcieli pokazać swoje wyroby. Polegam też na ich doskonałym zdaniu o sobie. Niezachwianie wierzą, że ich produkty znacznie przewyższają zagraniczne i wytrzymają wszelką konkurencję cenową.
Skoro wystawa miała się stać imprezą międzynarodową, powinna zyskać poparcie rządu, dzięki czemu mogłaby z kolei zdobyć przychylność zagranicznych rządów. W dwa tygodnie później odbyło się następne spotkanie w gronie tych samych uczestników, a także sir Roberta Peela (który jako syn właściciela fabryki wydawał się naturalnym sojusznikiem Alberta w tym przedsięwzięciu; było doprawdy zagadką, dlaczego przystał do torysów, skoro z natury rzeczy powinien zostać wigiem) i dwóch członków rady ministrów, w tym Labouchere'a, który był przewodniczącym Izby Handlu.
Kiedy po spotkaniu Albert przyszedł do mnie, był mocno przygnębiony.
- To istne błędne koło. Rząd nie chce udzielić oficjalnego poparcia dla pomysłu, dopóki nie zbadamy, na jak duże poparcie w kraju możemy liczyć. Ja z kolei nie widzę, jak mógłbym przekonać producentów o ważności przedsięwzięcia, jeśli nie mogę im powiedzieć, że rząd je popiera.
- Potrzebna nam Komisja Królewska - powiedziałam. Kiwnął głową.
- Tylko że parlament udaje się na przerwę wakacyjną i prośba o sformowanie Komisji Królewskiej trafi pod jego obrady najwcześniej w październiku. A Labouchere sugerował, że powinniśmy jednak przedstawić jakieś dowody poparcia

dla naszej idei... zwłaszcza finansowego poparcia, zanim w ogóle zdecydujemy się przedstawić propozycję.
- Finansowego poparcia? Potrzebujecie zatem znacznych sum? - spytałam.
- Trzeba postawić odpowiedni budynek. Nie ma niczego, co by się nadawało do tego celu, należy więc pomyśleć o czymś nowym, a Cubitt szacuje koszty na siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów. Poza tym trzeba wyznaczyć nagrody, inaczej nikt nie zdecyduje się wystawiać, wiesz przecież, jacy podejrzliwi są ci przemysłowcy, wiecznie obawiają się, że ktoś im skradnie ich pomysły. Nagrody muszą być na tyle pokaźne, aby przyciągnąć najlepszych, czyli, jak ocenił Fuller, potrzeba kolejnych dwudziestu tysięcy.
- A zatem sto tysięcy funtów - podsumowałam trzeźwo. -Skąd zamierzasz je wydostać?
- Towarzystwo nie ma własnych funduszy - powiedział Albert. - Musimy je zebrać z datków dobroczynnych, ale ludzie nie będą skłonni dawać pieniędzy, dopóki całego przedsięwzięcia nie zacznie kontrolować Komisja Królewska. Bez tego nie nadamy naszym działaniom odpowiedniej rangi, nie zyskamy zaufania ani nie zdołamy przekonać o naszej bezstronności.
- Tak, rozumiem problem. Potrzebujesz Komisji Królewskiej, aby zyskać powszechne zaufanie, i musisz udowodnić, że masz powszechne zaufanie, aby utworzono Komisję Królewską. Czy rzeczywiście uważasz, że tego rodzaju przedsięwzięcie wzbudzi wystarczająco duże zainteresowanie w kraju?
- Jestem tego pewien. A jeśli raz zaczniemy, dalej wszystko pójdzie siłą rozpędu. Niczego podobnego na taką skalę dotąd nie było, a zainteresowanie wystawą zmieni ludzkie umysły. Tylko jak spowodować, żeby coś się zaczęło dziać... to najtrudniejsze w realizacji całego projektu.
Widziałam, że wpada w coraz większe przygnębienie. Często obserwowałam coś takiego u ludzi o wielkim entuzjazmie: zniechęcają się łatwo małymi trudnościami, którymi zwyczajni, praktyczni ludzie, tacy jak ja, kompletnie się nie przejmują.
- Do października nie da się nic zdziałać w rządzie -powiedziałam - co nie przeszkadza temu, abyś zaczął zjednywać sobie

opinię publiczną. Jeśli ludzie zobaczą, że ty stoisz za tym przedsięwzięciem, przestaną powątpiewać, czy będzie miało odpowiednią rangę albo czy jest niezależne. Wyślij swoich przyjaciół z Towarzystwa Sztuk z listami polecającymi, aby zaczęli rozmawiać z burmistrzami i

izbami handlowymi. Jeśli rzeczywiście dobrze wykonają swoje zadanie, to do czasu gdy parlament zbierze się powtórnie, w kraju nie będzie się mówiło o niczym innym, jak tylko o wystawie i rząd będzie musiał udzielić poparcia.
To wystarczyło. Albert rozjaśnił się, uniósł moją dłoń i pocałował ją.
- Moja trzeźwo myśląca kochana mała żona! Tak, masz rację! Dokładnie tak zrobimy.
Zatem Cole i Fuller - najbardziej przekonujący i aktywni w grapie - wyruszyli w podróż po wielkich centrach przemysłowych Anglii, Szkocji i Irlandii i do października przygotowali bardzo satysfakcjonujący raport. Zainteresowanie wystawą okazało się ogromne - nie tylko wśród producentów, ale także kupców i bankierów, a nawet ludzi zupełnie nie związanych z handlem czy produkcją. Ale co najważniejsze, oczywiście ze względu na Alberta, wszyscy wyrażali przekonanie, że to nadzwyczaj istotne, aby wystawa miała międzynarodowy charakter; wydawało się też, że wszyscy rozumieją, jak wielkie będzie ona miała znaczenie. W tej sytuacji wzmianki o nagrodach brzmiały niemal niestosownie, donosili Cole i Fuller: wszyscy chcieli wystawiać swoje towary, porównywać je z produktami innych narodów, przekonać się, jakie usprawnienia można wprowadzić.
„Dajcie nam po prostu tę możliwość, nie chcemy żadnych względów" powiedziano im w Lancashire; w Edynburgu uważano, że konkurencja „zlikwiduje w wielu krajach skup towarów w celach spekulacyjnych", w Manchesterze zaś, że wolna konkurencja może wyjść tylko wszystkim na dobre.
Uzbrojeni w raport członkowie towarzystwa zwołali w Mansion House zebranie, na które zaproszono czterysta wpływowych osobistości z City, i Henry Cole wygłosił wspaniałą mowę, wymieniając wszystkie cuda, jakie zostaną pokazane na wystawie i przekonując o niezwyczajnych korzyściach, jakie spłyną nie tylko na rodzaj ludzki w ogólności,
394
ale na Londyn szczególnie, jako gospodarza „intelektualnego festiwalu pokojowej sztuki przemysłowej; festiwalu, jakiego świat dotąd nie widział". Przemówienie nagrodzono entuzjastycznymi oklaskami i w ten sposób wpływowe kręgi finansjery zostały pozyskane dla sprawy. „The Times" zauważył w tym momencie, co się dzieje, popierając ochoczo ideę wystawy i określając Alberta jako dobroczyńcę kraju. Tydzień później rząd ustąpił przed powszechną presją, zapomniał o wszelkich zastrzeżeniach i zdecydował się powołać Komisję Królewską.
Od tej chwili Wystawa Światowa stała się czymś realnym; pozostało ją tylko zorganizować. Tym samym ciężar pracy i trosk, który miał ostatecznie przytłoczyć Alberta, zaczął powoli narastać.

21 sierpnia 1900.

Nazwiska członków komisji zostały opublikowane czwartego stycznia 1850 roku; z Albertem jako przewodniczącym, lordem Granville jako wiceprzewodniczącym, Peelem i Russellem jako stojącymi na dwóch przeciwstawnych biegunach dla zagwarantowania bezstronności politycznej. Wszystkich członków komisji było dwudziestu czterech, ale większość z nich została wybrana jedynie dla ich nazwisk, a nie po to by służyli rzeczywistą pomocą. Niemniej na Granville'u, wykształconym, taktownym, pracowitym, spokojnego charakteru i niewzruszonej cierpliwości, Albert mógł od początku w pełni polegać.
Pieniądze były kolejnym przedmiotem troski Alberta. Skłonił Księcia do zapoczątkowania listy donatorów i znamienitość jego nazwiska zapewniła hojne wpływy. Wpisałam także siebie wraz z sumą tysiąca funtów i Alberta z pięciuset funtami; w ciągu tygodnia uzbierało się piętnaście tysięcy, tak wielkie było zainteresowanie całym przedsięwzięciem. Jakiś robotnik przesłał szylinga z nadzwyczaj wzruszającym listem, w którym dawał wyraz swojemu poparciu. Henry Cole, który z imponującą aktywnością starał się o rozgłos dla sprawy i umiejętnie wydobywał pieniądze z kieszeni wysoko i niżej
395
urodzonych, postarał się, aby to wydarzenie opisano w „The Timesie", a list opublikowano.

W miarę jak rosło zainteresowanie w kraju i zagranicą, kwestia znalezienia siedziby wystawy stawała się coraz bardziej paląca. Z całego świata napływały zapytania i zaczynało być oczywiste, że nie sposób oszacować nawet z grubsza, ilu będzie wystawców ani ile towarów zechcą pokazać, członkowie komisji zostali zatem zobowiązani ustalić wielkość budynku według własnego uznania. Założyli oni, że ekspozycja zajmie około ośmiuset tysięcy stóp kwadratowych, czyli cztery razy więcej niż jakakolwiek zorganizowana do tej pory wystawa. Tylko w której części Londynu pomieścić tę liczbę stóp kwadratowych? Potrzebna była na to wolna przestrzeń około dwudziestu akrów. Albert zaproponował Leicester Square - wówczas zupełnie nierozwinięte - ale okolica była zaniedbana i niezamożna, co jak uznali członkowie komisji, mogło zrobić niewłaściwe wrażenie na zwiedzających. Henry Cole wysunął wtedy kontrpropozycję: Hyde Park, centralnie położony, obszerny, piękny ogród londyński. Jak zawsze energiczny, zabrał w niedzielę po mszy żonę z dziećmi na spacer właśnie do Hyde Parku i dotąd się po nim przechadzali, aż wypatrzył idealne miejsce - pas terenu rozciągający się od Albert Gate do Prince's Gate, pomiędzy rzeką Serpentine i koszarami kawalerii w Knightsbridge. Albert uważał, że to wspaniałe miejsce, a zatem zaaprobowałam je (oczywiście po ustaleniu, że wystawa w niczym nie przeszkodzi kawalerii), a z królewską zgodą można było uznać, że sprawa jest zdecydowana.
Następnym krokiem miało być wybranie projektu stosownej budowli. Powołano specjalny Komitet Budowy, składający się z dwóch członków Komisji Królewskiej, trzech architektów i trzech inżynierów budownictwa (w tym pana Brunela, budowniczego kolei żelaznych), który zdecydował, że skoro czas nagli, trzeba ogłosić konkurs, gdyż w ten sposób najszybciej poznaje się sensowne pomysły. Tak więc trzynastego marca podano do wiadomości publicznej, że zaprasza się chętnych, tak w kraju, jak i za granicą, do wzięcia udziału w konkursie na budynek wystawy, przy czym sformułowano sugestie co do tego, jaką formę powinien przyjąć. Udział mogli

wziąć wszyscy - architekci i amatorzy - ale musieli nadesłać swoje prace do ósmego kwietnia. Mimo niezwykle krótkiego terminu przedłożono dwieście czterdzieści pięć projektów, niektóre całkowicie absurdalne, większość przypominająca budowle w nowobabilońskim stylu - i w bardzo krótkim czasie dwieście czterdzieści pięć projektów zostało odrzuconych przez komitet. Opublikowano oświadczenie, w którym ogłoszono, że jakkolwiek wiele spośród nich było godnych uwagi, żaden nie okazał się w pełni użyteczny, a to z powodu ich nieodpowiedniości na siedzibę wystawy. Członkowie komitetu poczuli się natomiast mądrzejsi o wszystkie popełnione błędy i postanowili sami nakreślić plan budowli, użytecznej i przystosowanej do celu, któremu ma służyć, ale i nie pozbawionej „pewnych uderzających cech", mających pokazać rozwój sztuki budowlanej we współczesnej Anglii. W tym celu odizolowali się od świata, aby myśleć i tworzyć, a nam nie pozostało nic innego, jak czekać, wstrzymując oddech.
Gdyby reszta kraju była tak spokojna! Komitet Budowy obmyślał projekt, a tymczasem narastała gwałtowna reakcja na dotychczasową powszechną euforię i wkrótce gazety nie pisały o niczym innym. Zaczęło się od lorda Brougham (którego szaleństwo narastało w miarę upływu czasu). Początkowo wypowiadał się niezwykle przychylnie o wystawie, aż tu nieoczekiwanie wystąpił w Izbie Lordów, przypuszczając przeciwko niej gwałtowny atak. Hyde Park to płuca stolicy, a teraz proponuje się ich zaczopowanie ohydnym guzem -wielką budowlą, finansowaną z kieszeni Anglików, wznoszoną dla cudzoziemców po to, aby mogli sprzedać swoje towary.
W Izbie Gmin sekundował mu inny szaleniec, pułkownik Sibthorpe, agresywny niewysoki człowieczek z okropną czarną brodą, połyskujący okularami, który z pasją występował przeciwko wszelkim zmianom i nienawidził wszelkich idei, które zrodziły się po 1815 roku. Odkrył, że pnie dziesięciu wiązów w Hyde Parku poznaczono wapnem na znak, że mają zostać ścięte pod projektowany budynek wystawowy. Te drzewa, grzmiał, są własnością narodu - i z jakiego powodu chce się je ścinać? Dla największego oszustwa i blagi, jakich nie znają dzieje tego kraju! Rząd zamierza zniszczyć cenne dobro

publiczne tylko po to, aby przyciągnąć cudzoziemców, którzy uśmieją się z naszej głupoty, napełniając sobie kieszenie na nasz koszt.

Teraz przyszła kolej na „The Times". Hyde Park i Kensington Gardens staną się jednym wielkim obozowiskiem wszystkich włóczęgów Londynu. Wystarczająco okropne było to już podczas koronacji, a tym razem będzie uciążliwe nie przez dzień, a przez miesiące. Sąsiedztwo ucierpi straszliwie - piękne domy i wille przy Kensington Gore i Park Lane zostaną splądrowane. Żadna służąca nie będzie bezpieczna. Amatorzy konnej jazdy zostaną pozbawieni możliwości codziennej przejażdżki swoją zwykłą, wyznaczoną od lat do tego celu trasą. Hyde Park zostanie zniszczony, drzewa wycięte, dzieci stracą miejsce zabaw, nikt nie będzie spał spokojnie we własnym łóżku. Książę Albert, ostrzegała gazeta ponuro, powinien solidnie to sobie przemyśleć, czy rzeczywiście chce, aby jego imię łączono z tym horrorem.
Wśród tego wszystkiego, dwudziestego siódmego czerwca Komitet Budowy nagle porzucił swoją samotnię i opublikował projekt budynku wystawy. Opozycja przywitała go rykiem wściekłości i stekiem szyderstw, a Albert cichym jękiem, ponieważ okazał się monstrualny: niski, cztery razy dłuższy niż Opactwo Westminsterskie, zwieńczony gigantyczną kopułą, chyba większą niż Bazylika Świętego Piotra w Rzymie. Wpływ Brunela był rozpoznawalny na pierwszy rzut oka; wielkie łuki na froncie wzięto jako żywo ze stacji Paddington.
Granville, Albert i ja patrzyliśmy na rysunek przez dłuższy czas w milczeniu. Wreszcie Granville westchnął.
- Wygląda, jakby na skład kolejowy spadło obserwatorium - powiedział.
- Co ci z komitetu sobie myślą? Skompromitują nas wszystkich! - wykrzyknął Albert gwałtownie.
- To młyn na wodę opozycji - przyznał Granville. - Stale powtarzaliśmy, że zamierzamy pomieścić wystawę w nowoczesnym budynku, ale temu trudno przypisać jakąkolwiek nowoczesność. Cegła, żelazo, kamień, trwalsze to niż pałac Buckingham, a wygląda jak z zeszłego stulecia.
- Dziewiętnaście milionów cegieł - powiedział Albert z męką w głosie. - Budowa potrwa rok... co najmniej, a koszty!

Nie mniej niż sto tysięcy funtów albo się na tym kompletnie nie znam.
- Jest przewidziany oddzielny budynek na kotłownię -zauważyłam, przeglądając dołączony opis. - Kotły, kominy, maszyneria pompująca parę... wszystko w środku parku. Och, Albercie, jakiż to będzie przykry widok!
- Tak nie może zostać - odparł. - Na pewno trzeba to zmodyfikować. - Głos miał zmartwiony; nie zostało wiele czasu. Był czerwiec, otwarcie wystawy przewidziano na maj 1851, został niecały rok. I jakie modyfikacje mogły uczynić z tego składu kolejowego siedzibę wystawy? - Tylko że to niewiele zmieni - dodał ponuro.
Listy z protestami zalewały komitet, a przede wszystkim Alberta; w każdej gazecie publikowano kontrpropozycje o rozmaitym stopniu bezużyteczności. W obu Izbach wrzało od nieustannych zapytań dotyczących miejsca i samego budynku; Stowarzyszenie Ochrony Środowiska Hyde Parku złożyło w parlamencie petycję „Oszczędźcie nasze drzewa".
- Gorzej już być nie może - powiedział Albert. Okazało się, że może.
Dwudziestego dziewiątego czerwca w południe sir Robert Peel pojawił się w pałacu Buckingham na zebraniu komitetu, aby wziąć udział w dyskusji nad tą delikatną sytuacją. Debata w parlamencie, dotycząca ewentualnego zaaprobowania przez rząd Hyde Parku jako miejsca wzniesienia budynku wystawy, była wyznaczona na czwartego lipca. Peel miał przemawiać w naszym imieniu - jeśli ktokolwiek mógł wpłynąć na Izbę Gmin, to tylko on. Na tym etapie zmiana miejsca wydawała się niemożliwa. Zdecydowano w czasie spotkania, że jeżeli parlament zakaże budowy w Hyde Parku, całe przedsięwzięcie trzeba będzie odwołać.
Albert poprosił Peela po spotkaniu, aby został jeszcze chwilę, a ja się do nich przyłączyłam. Rozmawialiśmy na temat możliwości wyznaczenia tymczasowej trasy dla przejażdżek konnych w Ogrodach Kensingtońskich, tak aby choć w części wynagrodzić amatorom konnej jazdy zamknięcie zwykłej trasy w Hyde Parku na czas trwania wystawy.
- Napisałem do Ministerstwa Leśnictwa - powiedział Albert - naszego ulubionego ministerstwa - dodał, uśmiechając

się do mnie - i muszę z przykrością stwierdzić, że otrzymałem od lorda Seymoura niezwykle lakoniczną odpowiedź. Uważa, że teren jest zbyt miękki, by można było jeździć konno, a ogrodzenie stosownej powierzchni będzie kosztowało zbyt drogo.
- Lord Seymour jest zwolennikiem protekcjonizmu - powiedział Peel. - Obawiam się, że z zadowoleniem piętrzy przeszkody przed wystawą.
- Nie sądzę, aby teren był tam bardziej miękki niż w Hyde Parku, a na pewno nie w maju, czerwcu czy lipcu. A poza tymi miesiącami jeźdźcy wszędzie muszą się liczyć z takim ryzykiem, obojętne gdzie galopują.
- Ależ oczywiście, pani - zgodził się Peel. - Lord Seymour doskonale o tym wie. Myślę, że trzeba mu podsunąć właściwą osobę, która zdoła skierować jego umysł na właściwe tory, tak by mógł się skoncentrować na faktach.
- Czy w takim razie poprosi pan lorda Russella o porozmawianie z nim? - zapytał Albert. - A co do kosztów ogrodzenia wydzielonego terytorium, jestem pewien, że drewniane płotki będą najtańsze.
- Ministerstwo Leśnictwa ma ich z pewnością wystarczającą liczbę na składzie - powiedziałam wzburzona. - Stale je ustawiają i rozbierają.
- W istocie, pani - potwierdził Peel. - A jeśli nie, z pewnością można je kupić albo nawet wypożyczyć na te kilka miesięcy.
- W St Jame's Park jest niezliczona liczba płotków splecionych z prętów i wikliny - powiedział Albert z namysłem -które z pewnością należałoby wymienić na żelazne. Co stoi na przeszkodzie, aby najpierw użyć ich w Kensington Gardens, a po zakończeniu wystawy przenieść do St Jame's? Spojrzałam na niego z podziwem.
- Ależ ty myślisz o wszystkim! - wykrzyknęłam. W istocie, przemyślał to przedsięwzięcie w najdrobniejszych szczegółach. - To ostatecznie powinno zmusić lorda Seymura do kapitulacji. Nie będzie przecież protestował przeciwko solidnemu ogrodzeniu w St Jame's Park!
- Sądzę, pani, że istotnie mamy szansę na zwycięstwo w tej kwestii - powiedział Peel, nie zmieniając poważnego

wyrazu twarzy. - Nie mogę jednak ukrywać, że opozycja jest bardzo silna i trudno mi myśleć z optymizmem o wynikach debaty nad umiejscowieniem siedziby wystawy w Hyde Parku.
- Musi im pan uświadomić - powiedział Albert poważnie -że jeśli się nie zgodzą, trzeba wszystko odwołać, a to będzie prawdziwa klęska! Proszę porozmawiać o tym z Palmerstonem: dwadzieścia trzy państwa zapowiedziały przysłanie eksponatów. Proszę porozmawiać z Laboucherem: w całym kraju zawiązało się dwieście czterdzieści lokalnych komitetów na rzecz popierania wystawy. Proszę porozmawiać z sir George'em Greyem: zebrano dotychczas sześćdziesiąt cztery tysiące funtów szterlingów, a robotnicy wpłacają część swoich wynagrodzeń do specjalnie utworzonych funduszy, mających im zapewnić możliwość przyjazdu do Londynu i obejrzenie wystawy. Nie możemy teraz tego odwołać! Proszę się rozmówić z Russellem. Musi pan przekonać Izbę Gmin.
- Zapewniam Waszą Wysokość, że zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedział Peel, jak zwykle poważny i sumienny.
Wyciągnęłam impulsywnie rękę.
- Jestem przekonana, że zrobi pan wszystko, co w pańskiej mocy, sir Robercie. Nie mamy lepszego przyjaciela.
Pochylił się nad moją ręką i w chwilę później nas pożegnał. Albert, wpatrując się w zamknięte drzwi, odezwał się cichym głosem:
- Jeśli on nam nie pomoże, jesteśmy zgubieni. Bardzo mnie zmartwiło, że jest w takim nastroju.
- Najdroższy - przemówiłam łagodnie - nie bierz sobie tego tak do serca. Zrobiłeś wszystko, co można... nikt inny nie zrobiłby nic więcej. - Chciałam dodać, że to przecież tylko wystawa i nie jest to znowu aż tak ważne, że się nie powiodło, ale w porę się powstrzymałam. Dla niego było ważne. Tyle w to włożył pracy, czasu, troski... więcej, serca. Dla niego nie była to tylko wystawa, ale aż wystawa... święta batalia... Powiedziałam więc: - Sir Robert zwycięży w Izbie Gmin. Co do tego nie mam wątpliwości. - Od czasu zniesienia Ustaw Zbożowych, gdy został zmuszony do złożenia rezygnacji, nie należał do żadnego stronnictwa i dzięki temu miał wyjątkową pozycję i znaczne

wpływy w obu Izbach.
401
Albert też oczywiście zdawał sobie z tego sprawę i z wdzięcznością dał się pocieszyć. W chwilę później rozmawialiśmy już o jego planach założenia drenażu i doprowadzenia wody do miejsca budowy.
Przerażająca wieść dotarła do nas kilka godzin później -najgorsza, jaką mogliśmy usłyszeć w tym momencie. George Cambridge, mój kuzyn, nam ją przekazał. W drodze powrotnej do domu z pałacu Buckingham brązowa klacz Peela, wspinając się pod Constitution Hill, spłoszyła się, potknęła się i upadła. Peel dostał się pod nią, a gdy próbowała się podnieść, przypadkiem nastąpiła na niego czy też na nim uklękła. Przejeżdżający obok człowiek natychmiast oddał do dyspozycji sir Peela swój powóz, którym zawieziono go do domu i bezzwłocznie wezwano lekarza. Zachodziła obawa, że sir Peel został poważnie poturbowany.
Albert udał się do domu sir Roberta i wrócił potwornie wstrząśnięty.
- Co z nim? - zapytałam. - Jak się czuje nasz drogi sir Robert?
- Cierpi straszliwy ból.
- Ach tak, zawsze był wrażliwszy na ból niż inni ludzie -powiedziałam. W normalnych okolicznościach nie zniósłby nawet ukłucia igły. - Najdrobniejszy uraz naraża go na niewymowne cierpienia. Biedny człowiek! Co mówią lekarze?
- Nie mogli go dokładnie zbadać, ponieważ ból jest zbyt silny, ale ma prawdopodobnie złamany obojczyk... albo ramię. Będą mogli powiedzieć coś więcej za dzień lub dwa.
- Złamany obojczyk - powtórzyłam z nadzieją. - Oby to było tylko to.
- Musimy się modlić, żeby nie było to nic gorszego -rzekł Albert sucho.
- Powinien mieć jak najlepszą opiekę. Poślę do niego sir Jamesa Clarka. Och, że też tak paskudna rzecz musiała się zdarzyć!
- Przed jego domem zebrał się spory tłum - powiedział Albert. - W większości biedni ludzie. Wiedzą, kto im zapewnił tańszy chleb. Jest przez nich szczerze kochany.
- Nie tylko przez biednych ludzi - wtrąciłam szybko. Uśmiechnął się przelotnie, z żalem.
402
- Och, nie. Książę był tam również... przyjechał w momencie, gdy ja wyjeżdżałem.
Clark wrócił z Whitehall Gardens z pocieszającymi doniesieniami. Bez wątpienia był to tylko złamany obojczyk. Sir Robert był ciężki, artretyczny i skłonny do apopleksji, ale powinien wyzdrowieć. Pocieszyło mnie to, natomiast Albert, który codziennie jeździł z wizytą do Peela, wracał niezmiennie głęboko przybity. Peel dalej cierpiał męczarnie - najmniejsze zabiegi pielęgnacyjne przyprawiały go o tortury, mimo to znosił wszystko z niezwyczajną cierpliwością. Każdego dnia tłum gromadził się pod jego domem; postawiono przy drzwiach policjanta, który regularnie przekazywał komunikaty o stanie zdrowia sir Roberta jego wyczekującym zatrwożonym zwolennikom. Zaczęto rozpowszechniać dziwaczną pogłoskę, jakoby brązowa klacz, którą Peel nie tak dawno nabył, została sprzedana przez poprzedniego właściciela, ponieważ nie był w stanie zwalczyć jej skłonności do płoszenia się; stąd już tylko krok do plotki o celowym spisku, mającym doprowadzić do śmierci poważanego polityka. Prawda była jednak taka, co zauważył Palmerston (a moje obserwacje w pełni potwierdzały), że Peel jeździł konno źle, niezgrabnie i ciężko. Kiedy upadł, niewiadomym sposobem wplątał się w cugle, tak że nie mógł się uwolnić, gdy klacz usiłowała stanąć na nogi. Nie było w tym winy biednego zwierzęcia.
Jakkolwiek było, drugiego lipca otrzymaliśmy alarmującą notatkę od lekarza Peela. Obawiał się, że złamane żebro mogło przebić płuco. Sir Robert miał się bardzo źle; spodziewano się najgorszego. Zamierzaliśmy udać się do opery, ale odwołałam to. Żadne z nas nie miało serca do rozrywek, nie mieliśmy nawet ochoty jeść obiadu. Siedzieliśmy, oczekując wieści i pół godziny po północy przyniesiono list. Ręce drżały mi tak mocno, że nie mogłam go otworzyć. Wręczyłam go bez słowa Albertowi, a on wpatrzył się w list, jakby wolał umrzeć, niż go przeczytać. Wreszcie otworzył go, rozdzierając papier gwałtownym, rozpaczliwym ruchem. Sir Robert Peel zmarł tuż przed północą.
403

27 sierpnia 1900.

Daliśmy sobie zrobić rodzinną fotografię na tarasie, aby wysłać ją biednej Vicky. Jej ostatni list bardzo mnie zmartwił - donosiła, że trapią ją silne bóle i nie może podnieść się z łóżka, a ponieważ zawsze pisała raczej powściągliwie, przeraźliwie się zaniepokoiłam. Nie widziałam jej od lata dziewięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to odwiedziła mnie w Balmoral. W drodze powrotnej jechała konno i przytrafił się jej nieprzyjemny upadek, od tego czasu cierpiała z powodu, jak to określała „lumbago", niemniej ponieważ w mojej pamięci jest wciąż świeża okropna wiadomość z Koburgu, nie potrafię się pozbyć uczucia strachu, że to jednak coś poważniejszego. Nie mogę stracić kolejnego dziecka! Albo ona tu, na Boga, przyjedzie, albo ja pojadę do niej! Nie przestaje się być matką tylko dlatego, że dziecko skończyło sześćdziesiąt lat! Och, moja droga Vicky, moja pierworodna!
Jutro nadejdzie ten drogi mi na zawsze dzień, w którym mój kochany Albert, osiemdziesiąt jeden lat temu, przyszedł na świat - prawdziwe błogosławieństwo dla tak wielu osób. Jakże to był szczęśliwy dzień, jak dobrze to pamiętam -przygotowania, prezenty, wybieranie tego, co mogłoby mu się podobać najbardziej, obserwowanie, jaką mu sprawiamy przyjemność. Zawsze powtarzał, że ze wszystkich podarunków, jakimi go kiedykolwiek obdarowałam, najpiękniejszym była moja miłość. W swoje ostatnie na tym świecie urodziny napisał do mnie: „Tyle już burz przetoczyło się nad naszą miłością, a wciąż jest świeża i żywa, i wypuszcza zdrowe pędy" - ach, te czułe słowa od mojego męża sprzed ponad dwudziestu lat! Och, wiem, ile mieliśmy szczęścia, że pozostaliśmy kochankami aż do końca - a miłość wciąż trwa w moim sercu! Wczoraj, gdy siedzieliśmy na tarasie, nieruchomi, pozując do fotografii, poczułam dotknięcie na karku i wiedziałam, że stanął za mną, zajmując swoje zwykłe miejsce na rodzinnych portretach. Kto chce, niech sobie myśli, że to tylko słońce, ale ja wiem co innego. Zawsze jest blisko mnie w te dni roku.
Śmierć Peela była dla Alberta ogłuszającym ciosem. W miarę jak się poznawali, coraz bardziej lubił Peela i polegał

na nim całkowicie w rozmaitych sprawach, nie tylko w kwestii wystawy. Mieli ze sobą tyle wspólnego, pracowali razem - Peel był jedynym z liczących się polityków, który doceniał talenty Alberta i umiał je wykorzystać. Cios był tym dotkliwszy, że George Anson, sekretarz Alberta i jego zaufany przyjaciel, zmarł nagle w październiku na atak apopleksji. Toteż Albert, dowiedziawszy się o śmierci Peela, powiedział: „Straciłem jedynego przyjaciela".
Od jakiegoś czasu martwiło mnie, że Albert bierze na swoje barki tyle pracy, ciężar ten powiększył się zwłaszcza, gdy powstał projekt wystawy, a i powody do zmartwienia miał ostatnio rozliczne. Pierwszego maja przyszedł na świat Artur. Radosne wydarzenie było jednak źródłem napięcia i troski dla Alberta, jak zresztą zawsze narodziny naszych dzieci. Potem, jeszcze w tym samym miesiącu, gdy ledwie wstałam z połogu, miały miejsce dwa zamachy na mnie; pierwszy dziewiętnastego, dokonany przez mężczyznę z pistoletem (jak się okazało załadowanym na szczęście ślepymi nabojami) i drugi dwudziestego siódmego - ten przerażający atak, dokonany przez mężczyznę o nazwisku Pate, który uderzył mnie w twarz laską. Potem przyszły stresujące wystąpienia opozycji przeciwko wystawie; i wreszcie ów ostatni, porażający cios. Albert pogrążył się w głębokiej rozpaczy i zupełnie nie mogłam go pocieszyć. Zaczęłam się obawiać, że wpędzi się w chorobę, napisałam do Stockmara, błagając go, by jak najszybciej przyjechał uspokoić mojego najdroższego i coś mu doradzić, ale nie mógł, a może nie chciał przyjechać.
Czwartego lipca zdarzył się cud. Obrady na temat umiejscowienia wystawy w Hyde Parku zaczął sir John Russell krótkim przemówieniem adresowanym do Izby Gmin, w którym wspomniał sir Roberta Peela. Jaki proces zaszedł w umysłach członków parlamentu, trudno powiedzieć, ale wystąpienie przedstawiciela opozycji, pułkownika Sibthorpe'a, okazało się kompletną klęską! Wszyscy wiedzieli, że Peel popierał projekt i być może z szacunku dla jego pamięci nikt nie głosował przeciwko niemu. Jakikolwiek był powód, miejsce budowy zaakceptowano, a w Izbie Lordów wniosek opozycji, złożony przez lorda Broughama, został wycofany.

405
W dwa dni później kolejnym cudem znalazła rozwiązanie kwestia samego budynku. Projekt Komitetu Budowy wzbudzał wciąż głośne protesty i chociaż członkowie komitetu znacznie go okroili, rezygnując z wielu rzeczy, jak na przykład z kopuły czy innych „uderzających cech", tłumacząc to względami ekonomicznymi, a myślę, że ze szczerą ulgą -wciąż był zbyt drogi i masywny, poza tym mimo wszelkich „oszczędnościowych" zabiegów wcale nie wyglądał mniej dziwacznie niż do tej pory.
Cud zdarzył się tam, gdzie się go najmniej spodziewano. Prace nad pałacem Westminsterskim miały się ku końcowi i siódmego czerwca przeprowadzano w nowej Izbie Gmin testy akustyczne. Jeden z członków komisji, John Ellis, prezes Kolei Żelaznych w Midland, przyprowadził ze sobą przyjaciela, również pracującego dla kolei, człowieka, którego szczególnie interesowały nowe techniki w budownictwie. Zaprojektował on i wybudował wiele nowoczesnych cieplarni i konserwatorni rozmaitego rodzaju, między innymi gigantyczną cieplarnię do uprawy lilii w Chatsworth, rozwiązując przy tej okazji różne problemy konstrukcyjne, jak ogrzewanie, oświetlenie, wentylacja, kondensacja. Wynalazł poza tym nowy rodzaj metalu (sashbar), za co otrzymał medal od Towarzystwa Sztuk; był oczywiście jak najżywiej zainteresowany Wystawą Światową.
Piszę naturalnie o Josephie Paxtonie, niegdyś głównym ogrodniku księcia Devonshire, obecnie raczej jego przyjacielu i towarzyszu. Po zakończeniu prób, już podczas prywatnej rozmowy, Paxton zwrócił uwagę Ellisa, że akustyka w Izbie Gmin pozostawia wiele do życzenia i obawia się, aby tego samego błędu nie popełniono w budynku wystawy.
- Zdaje się, że to w ogóle problem nie do rozwiązania -powiedział Ellis. - Budynek musi być wystarczająco duży i wytrzymały, aby dobrze spełnił swój cel, a trudno mówić o wytrzymałości w przypadku tymczasowej konstrukcji.
- Wydaje się, że wiem, jak go rozwiązać - oświadczył Paxton i zaczął wyłuszczać przyjacielowi swój pomysł.
Ellis słuchał z wzrastającym zdumieniem, a potem zaproponował:
- Granville powinien wciąż jeszcze być na posiedzeniu
406
Ministerstwa Handlu. Może byś ze mną poszedł i powiedział mu to samo, co mnie przed chwilą?
Paxton zaproponował ni mniej, ni więcej tylko gigantyczną szklarnię. Miałaby zostać skonstruowana z żelaza, drewna i szkła - czyli samych suchych materiałów, a więc gotowa od razu do użytku (budynek wzniesiony z cegły i zaprawy trzeba miesiącami, a nawet latami suszyć). Miała powstawać w częściach, wytwarzanych poza placem budowy, wszystkie o jednakowych wymiarach, dające się ze sobą łączyć i dowolnie wymieniać. W ten sposób można by było nie tylko wznieść ją nadzwyczaj szybko, ale także dowolnie, w zależności od potrzeb zmieniać jej rozmiary - zwiększać lub pomniejszać. Gdy spełni swoją rolę, będzie ją można równie szybko rozebrać i składować części gdziekolwiek z myślą o następnych wystawach albo skonstruować z niej na przykład ogród zimowy. Co najważniejsze, lekka i przyjemna dla oka, nie będzie stanowić dysonansu w parkowym otoczeniu ani przerażać swoim zbyt solidnym wyglądem; koszty miały być o połowę niższe od przewidzianych dla „składu kolei żelaznych", wymyślonego przez komisję.
Założenia projektu, gdy już je Paxton objaśnił, wydawały się tak proste i oczywiste, że aż - jak się obawiał Granville -mogą wzbudzić krytykę. Za jego radą Paxton polecił swoim pracownikom w Chatsworth narysować w pomniejszonej skali plany i w dziesięć dni później zostały wysłane do Komitetu Budowy. Odrzucił je natychmiast, ponieważ teraz jego członkowie chcieli już tylko realizacji własnego pomysłu albo żadnego. Szóstego lipca (dwa dni po debacie nad zatwierdzeniem miejsca budowy) Paxton, pomijając komitet, posłał swoje szkice do „Illustrated London News", gdzie zostały opublikowane. Szturmem zdobyły sobie opinię publiczną. Listy napływały strumieniem, gazety zachwycały się pomysłem i Komitetowi Budowy (na dobitkę Albert i Granville bezustannie nakładali im swoje do uszu) nie pozostało nic innego, jak się poddać. Piętnastego lipca ostatecznie porzucili swój projekt i zaakceptowali o wiele niższy kosztorys kompanii mającej realizować ideę Paxtona. Zaczęto tworzyć olśniewającą budowlę, nazwaną przez „Puncha"

„Kryształowym Pałacem".
407

30 sierpnia 1900.

Opozycja oczywiście na tym nie poprzestała. Pułkownik Sibthorpe nie przestał grzmieć przeciwko potwornym kosztom budowy, za które w nieuchronny sposób zapłacą z własnych kieszeni podatnicy. W „The Times" twierdzono, że budynek ze szkła musi przeciekać w czasie deszczu, a w słoneczne dni będzie w środku tak gorąco, że nieszczęśni nabywcy biletów wstępu się posmażą. Jeszcze inni twierdzili, że pod wpływem wibracji spowodowanych krokami tysięcy we wnętrzu budowla rozsypie się w pył; pierwsza zawierucha ją zwali, a burza gradowa rozbije. Budynek rósł z zapierającą dech w piersiach szybkością, błyszczał czarodziejsko ponad drzewami i publiczność wkrótce padła ofiarą zrazu oczarowania, a potem prawdziwej „szkłomanii". Opozycja w tej sytuacji postanowiła zebrać siły, aby zniechęcić potencjalnych odwiedzających.
Królewskiego astronoma namówiono do napisania pamfletu, uwypuklającego brak kwalifikacji Paxtona i co za tym idzie niebezpieczeństwa, na jakie zostaną narażeni ci, którzy okażą się na tyle nierozsądni, by odwiedzić wytwór jego niekompetencji - niewątpliwie zwali się im na głowy. Pułkownik Sibthrope znowu otworzył listę protestujących przeciwko wycięciu wiązów, na co Paxton odpowiedział: niech drzewa pozostaną, gdzie są; zastosuję półkolisty dach, aby je ominąć. (W rezultacie nieszczęsne drzewa stały się piękną, oryginalną ozdobą wystawy. Pokrzyżowało to Sibthorpe'emu szyki i ośmieszyło go, co piszę z wyjątkowym zadowoleniem. Nienawidziłam go szczególnie, ponieważ był pierwszym, który wystąpił z wnioskiem o zmniejszenie pensji Alberta - jeśli cofniemy się do roku 1839).
Inni członkowie parlamentu głosili, że napływ cudzoziemców do kraju nieuchronnie doprowadzi do wybuchu czerwonej rewolucji, zamordowania królowej i ustanowienia republiki. Ekonomiści wyliczali, że ceny wszelkich artykułów osiągną astronomiczną wielkość, a napłynięcie niezliczonej masy ludzi do stolicy spowoduje niedostatek żywności i doprowadzi do powszechnego głodu. Lekarze przewidywali, że zebranie w jednym miejscu tylu nacji i ich wzajemne kontakty doprowadzą
408
do plagi podobnej Czarnej Śmierci, która zdziesiątkowała Anglię. Teolodzy wróżyli, że Kryształowy Pałac stanie się drugą wieżą Babel i obrażony Bóg zemści się na nieszczęśliwym narodzie, wcale przecież nie pragnącym gości.
Moraliści zapłakiwali się, że angielskie społeczeństwo zostanie zainfekowane przez niemoralnych, znienawidzonych cudzoziemców, bo przecież każde dziecko wie, że nie są cywilizowani jak my; sami zaś podatnicy obawiali się, że szczupłe siły policyjne Richarda Mayne'a nie będą w stanie poradzić sobie z zalewem włóczęgów, złodziei, żebraków, kieszonkowców, prostytutek, oszustów, szulerów, fałszerzy, żebraków i pijaków, którzy napłyną ze wszystkich zakątków kraju - a właściwie całego świata - zwabieni pokusą łupu; jednym słowem, powinniśmy ogłosić stan wojny, zanim jeszcze wystawa zostanie otwarta.
A wszystko to było oczywiście winą Alberta. Podczas gdy wylewano na jego drogą, kochaną głowę te bezsensowne i obraźliwe zarzuty, on pracował dzień i noc, borykając się z tysiącem szczegółów, które powinny być rozstrzygnięte. Eksponaty należało przyjąć i posegregować; uzgodnić, jaką powierzchnię i gdzie przyznać poszczególnym państwom, dopilnować, aby przesyłki od nich dotarły na czas; zorganizować transport i komunikację; odpowiedzieć na nie kończące się zapytania, wyciszyć zawiści, poradzić z nieprzewidzianymi przypadkami. Rosja przysłała swoje eksponaty wcześniej, zanim jej porty zamarzły; gdzie miano je składować? Republika Szwajcarii była gotowa wystawić oprócz skór, jedwabi i bawełny także sery, ale jak je zaklasyfikować? Przecież nie jako warzywa czy maszyny rolne - i czy wytrzymają pięć miesięcy? A jeśli pozwoli się je pokazać, to czy angielscy farmerzy nie zechcą zademonstrować również swoich i czy w konsekwencji nosy publiczności nie zostaną poważnie nadwerężone? (Ostatecznie sery wycofano).

Wreszcie rząd chiński, który od początku okazywał całkowitą obojętność wobec projektu, przysłał dobra, którymi z ledwością można by zapełnić trzysta z pięciu tysięcy stóp kwadratowych terenu wystawowego, tymczasem publiczność z niecierpliwością wyczekiwała cudownych orientalnych wyrobów - co można było zrobić? Albert zaproponował, aby członkowie komisji pozyskali
409
eksponaty z prywatnych kolekcji świetnych angielskich domów (w istocie, prawdopodobnie zgromadzono w nich więcej wytworów sztuki chińskiej niż w samych Chinach), tak aby powstał odpowiedni zbiór.
Inni też pracowali ciężko, ale nikt ciężej niż mój najdroższy, nikt też się tak nie zamartwiał, ponieważ oni odpowiadali za określone rzeczy czy działy, on za całość. Był jedyną osobą, która miała przed oczami kompletny obraz całości i zarazem wszystkich detali - wysiłek pamięci, zrozumienie i koncentracja tak olbrzymie, że aż niepojęte. Bez niego, powiedział potem Granville, całe to przedsięwzięcie by się rozpadło w bałaganie i kłótniach, pogrążone w przeraźliwym niszczycielskim chaosie; on powiązał wszystkie nici i doprowadził ostatecznie do tego, że świat zobaczył jednak własne nadzieje, świadectwo ludzkich umiejętności i pokojowych poczynań.
Wszystko zostało drobiazgowo przemyślane i przygotowane: ochrona przeciwpożarowa, toalety publiczne, przekąski, ceny biletów, zamiatanie podłóg, transport, opieka policji -wszystko. Nawet w dniu otwarcia wciąż domagano się jego uwagi w wynikłych drobnych trudnościach, każda chwila rodziła nowe pytania i zadawano je jemu, a on, choć wyglądał na śmiertelnie znużonego, na wszystko odpowiadał z niezmierną cierpliwością. I chociaż cała sława powinna tylko na niego spłynąć, nigdy nie pochwalił się ani słowem; trudził się, nie czyniąc wokół siebie rozgłosu, czerpiąc satysfakcję z pracy dla dobra ludzi i chwały kraju.
Za jaką jednak cenę?

Rozdział Siedemnasty.

2 października 1900 w Balmoral.

Ta wojna wydaje się nie mieć końca -jakże słusznie ostrzegałam Salisbury'ego, aby nie wpadać przedwcześnie w euforię! Dobrze wiedzieć, że mamy tam Kitchnera -jego niewyczerpana energia i umiejętność postrzegania rzeczy drobnych
410
bardzo się przydadzą na tym ostatnim, „porządkowym" etapie wojny, która może się ciągnąć jeszcze nawet przez miesiące. Rząd ogłosił wybory powszechne, mając nadzieję, że na fali popularności zdobytej po zwycięstwach naszych wojsk i ogólnej ulgi z powodu powrotu żołnierzy do domów zyska znaczącą większość, jego pozycja bowiem mocno osłabła w ciągu ostatnich pięciu lat. To pomysł Chamberlaina, i tylko jego, i muszę przyznać, że wydaje mi się nader zręczny. Jestem pewna, że Albert uznałby go za godny ubolewania jako nie fair. Inna sprawa, że to nierozsądne opierać wszystko na tym jednym, ponieważ z pewnością rząd nie będzie mógł potem twierdzić, że otrzymał w wyborach mandat dla przeprowadzenia innych trudnych posunięć - chociaż jestem pewna, że tak właśnie będzie twierdził!
Zaniechałam pisania na kilka tygodni, ale teraz jesteśmy znowu w Balmoral, powietrze jest tak czyste i świeże, że czuję się znacznie lepiej, mogę się więc znowu zająć moim pamiętnikiem. Kolory są takie piękne o tej porze roku i schroniwszy się w mojej chatce, mogę je podziwiać przez otwarte drzwi: fiolet i zieleń, złocistą żółć i niebieski; kolory natury są równie wspaniałe jak skarby orientu. Prawdziwy festiwal radości - jak się jeden z moich lokajów wyraził o wystawie w Kryształowym Pałacu.
Książę początkowo interesował się wystawą tylko z obawy przed niezmierną liczbą ludzi, którzy zgromadzą się w jednym miejscu, przewidywał bowiem nieuniknione kłopoty spowodowane nieodpowiednim zachowaniem tłumu. Ilekroć Albert roztaczał przed nim wizje piękna, harmonii i spokoju, Książę odpowiadał burkliwie jakąś sugestią w rodzaju tej, że trzeba zadbać o przejezdność dróg, aby żołnierze mieli przejście. Kiedy Albert pytał:

- Chyba pan nie wierzy, aby takie pokojowe, niewinne zamierzenie nastroiło kogokolwiek do czynienia niegodziwych rzeczy? - Książę, zapatrzony gdzieś w przestrzeń, odpowiadał:
- Stanowczo lepiej być przygotowanym, panie.
W rezultacie Książę porozmawiał z lordem Johnem Russellem; Russell zasięgnął opinii Richarda Mayne, a potem
411
udał się na zebranie komisji i potrząsając głową, wyraził opinię, że ceremonia otwarcia powinna przebiegać kameralnie. Z powodów bezpieczeństwa, oświadczył, będzie znacznie lepiej, jeżeli ogłosimy, że ceremonia otwarcia odbędzie się w niewielkim gronie oficjalnych osobistości, które oddalą się z Kryształowego Pałacu, zanim wejdą do niego zwiedzający. Biorąc pod uwagę liczbę dziwnych twarzy, które widywało się w tamtych dniach w Londynie, wszystkie te brody, fezy, szerokie pantalony, kapelusze z niską główką - nie mogłam znaleźć argumentów przeciwko tej decyzji. Zawsze byłam przygotowana na to, że strzał może paść, gdy będę wykonywać swoje obowiązki, ale nie miałam zamiaru ignorować rad moich ministrów; poza tym Albert z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że nie będzie trzeba jeszcze na domiar wszystkiego organizować oficjalnego otwarcia.
Stosowne zapowiedzi ukazały się w prasie w połowie kwietnia i natychmiast napłynęła kolejna fala listów do członków Komisji Królewskiej, gazety zaś zareagowały płomiennymi artykułami. Wszyscy jak jeden mąż zakładali, że otwarcie będzie oficjalne i osiem tysięcy posiadaczy stałych kart wstępu poczyniło przygotowania, aby w nim uczestniczyć. Wielu z nich, jak się wydawało, miało zamiar przybyć z odległych części kraju tylko po to, aby mnie zobaczyć.
- Posłuchaj, moja droga - powiedział Albert przy śniadaniu, składając „The Times" tak, aby mu nadać poręczniejszy kształt - co oni tutaj piszą: „Wierzymy, że Jej Wysokość może się czuć tak samo bezpiecznie na zewnątrz, jak wewnątrz budynku. Socjaliści, obojętne francuscy czy niemieccy, wcale nie muszą się trudzić wchodzeniem do gmachu, aby osiągnąć swój cel".
- Cóż, trudno im odmówić racji - rzekłam - chociaż nie jestem pewna, czy mnie to pociesza.
- Dość niefrasobliwie mówią o twoim bezpieczeństwie -zgodził się. - „W czym nasza Miłościwa Pani przypomina Tyberiusza lub Ludwika XI, że trzeba ją po kryjomu prowadzić pod strażą na teren wystawy? I jakiejż to satysfakcji może doznać królowa, otwierając monstrualny skład wyrobów tapicerskich i mechanicznych w towarzystwie jedynie kilku siwowłosych nudziarzy? Najbezpieczniejszym miejscem dla
412
królowej jest to, które jej jedynie przystoi: wśród swoich lojalnych poddanych".
- To mi trafia do przekonania - powiedziałam. - Zawsze twierdziłam, że naród jest mi życzliwy i że mnie kocha.
- To nie narodu rząd się obawia - zauważył Albert, biorąc inną gazetę. - Cóż, wszystkie grają na jedną nutę. W „Chronicie" piszą, że decyzja o kameralnym otwarciu wystawy świadczy o obraźliwym braku zaufania do społeczeństwa. A „Globe" uważa, że najciekawszym eksponatem całej wystawy będzie królowa Anglii przechadzająca się wśród swoich poddanych.
Byłam oburzona.
- Jak przypuszczam, chcieliby mnie widzieć siedzącą na tronie, porządnie do niego przywiązaną, tak żeby wszyscy mogli koło mnie przejść i przyjrzeć się dokładnie.
Odłożył gazetę.
- Być może chcieliby, żebyś się jednak troszeczkę ruszała. Tak jak automat. - Podniósł i opuścił sztywno rękę, z martwym uśmiechem przekręcił głowę na lewo i na prawo, zupełnie jak mechaniczna lalka, czym rozbawił mnie mocno.
Później tego samego dnia odwiedził nas Granville. Był przez kilka dni poza Londynem i teraz, przejeżdżając przez miasto, słyszał tylko jedno:
- Od Bishopsgate po Bayswater kipi od oburzenia i rozczarowania.
- Tak, przeglądaliśmy już gazety - powiedział Albert. -„Globe" używa nawet słowa „zdrada".
- Czy nastroje są rzeczywiście tak silne? Wzburzone? -zapytałam.
- Uważają chyba, pani, że nie ma wielkiego sensu pokaz narodowej dumy, skoro królowa nie

będzie w nim uczestniczyć.
- To pokaz umiejętności całego rodzaju ludzkiego - powiedział Albert poważnie, z naciskiem. - Ma zagłuszyć nacjonalistyczne uczucia.
Granville uśmiechnął się uprzejmie i ujmująco.
- W istocie, panie. Niemniej nasi obywatele na pewno nie powstrzymają się od popisywania przed cudzoziemcami... a mają z czego być dumni, prawda?
413
- Cóż, Granville, jestem gotowa zrobić to, co konieczne -powiedziałam - ale Russell tego nie zaakceptuje, to chyba pan wie.
- Och, myślę, że można go jednak przekonać, pani -stwierdził chłodno. - Za nic nie chciałby się narazić klasie średniej.
- Wszystko świetnie - przerwał mu Albert - ale właściwie z jakiego powodu królowa miałaby tam się znaleźć... przecież nie jako głowa państwa. Według jakiego ceremoniału to ma przebiegać? Jakich słów królowa powinna użyć? W końcu nie może tylko się przechadzać, przyglądając eksponatom.
- Prawdę mówiąc, rozmawiałem już na ten temat z Cole'em - powiedział Granville. - Ma pewien pomysł. Jak by to wyglądało, gdyby członkowie komisji... oczywiście z tobą, panie, jako przewodniczącym, wręczyli Jej Wysokości coś w rodzaju oficjalnego dokumentu, powiedzmy raportu o ukończeniu prac, podkreślającego, że królewskie przyzwolenie było warunkiem niezbędnym dla powodzenia przedsięwzięcia? Coś dużego, imponującego, ze wstęgami i pieczęciami, wręczonego po stosownym przemówieniu, podkreślającym ważność i niezwykłe znaczenie wystawy, a zakończonym na przykład wzmianką o spokojnych, pełnych chwały rządach Jej Wysokości?
Podobał mi się ten pomysł - mój ukochany stojący przed wszystkimi, skupiający na sobie uwagę wszystkich; wszystkie oczy na niego zwrócone, jego głos wypełnia ciszę, w której wyczuwa się napięcie i wyczekiwanie; jego słowa inspirują umysły, rozgrzewają serca, aby w pełni doceniły, co osiągnął.
- Tak - powiedziałam z entuzjazmem - przemówienie księcia. Na pewno zabrzmi wspaniale. - Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się, widząc, że doskonale zrozumiał mój zamysł; potrząsnął smutno głową, jakby czynił mi wymówkę, że chcę na niego zwracać uwagę.
Presja opinii publicznej była jednak tak silna, że po serii poruszających listów i przejmujących spotkań otwarcie zostało przygotowane według wskazówek Granville'a. Uroczystość, prosta w formie, miała być poważna, ale nie religijna (chociaż arcybiskup miał wygłosić specjalną modlitwę dziękczynną), i połączona z muzyką. Russell, aby zachować twarz,
414
stwierdził, że jego obawy łączyły się raczej ze zbyt wielką liczbą zwiedzających niż niebezpieczeństwem grożącym królowej i zażądał pozwolenia na ograniczenie sprzedaży stałych biletów wstępu, co też uzyskał. Gdy ta wiadomość ukazała się w prasie, natychmiast rzucono się kupować bilety i przez cztery dni sprzedano ich cztery tysiące, co podniosło ich ogólną liczbę do dwunastu tysięcy.
- W jaki sposób pomieści się tyle osób? - zastanawiałam się, gdy mi o tym doniesiono.
- Będziemy musieli wznieść trybuny - powiedział Albert, wzdychając na myśl o dodatkowej pracy z tym związanej. -Trzeba je będzie oczywiście rozebrać zaraz po ceremonii otwarcia. Trzeba się też zastanowić, co zrobimy z dyplomatami: oficjalne otwarcia międzynarodowych wystaw zwykle prowadzą do horrendalnej liczby uchybień protokolarnych. Och, i trzeba przygotować przedpokój dla królewskiej grupy... wybacz, kochanie, dobrze będzie, jak pójdę napisać kilka listów.
Zostało ledwie dziesięć dni do dnia, na który wyznaczono otwarcie. Wszystko wiązało się z dodatkową pracą dla Alberta.
Wielki dzień nadszedł w końcu - pierwszy maja 1851 roku, pierwsze urodziny Artura, osiemdziesiąte drugie Księcia -świt wstał jasny, początkowo było chłodno, ale ociepliło się w miarę wznoszenia się słońca, mgła się rozproszyła; zapowiadał się przepiękny letni dzień, jakie bywają tylko w Anglii. Albert pojechał do Kryształowego Pałacu, aby sprawdzić, czy wszystko przebiega

jak należy, i wrócił nastrojony fatalistycznie i spokojny; ja przeciwnie, wpadałam w coraz większe podniecenie, jakby również za niego. Jakże ogromnie pragnęłam, aby wszystko przebiegło jak należy, a wystarczyło, żebym przypomniała sobie moją koronację i stawało się dla mnie jasne, ile rzeczy może pójść nie tak.
Dwadzieścia minut przed dwunastą siedzieliśmy w karecie, ja, Albert, Vicky i Bertie; deszcz zaczął kropić, gdy podjeżdżaliśmy pod Constitution Hill, ale przeszedł po kilku minutach, słońce znowu się pokazało i przez cały dzień panowała „pogoda dla królowej". Wszędzie były niezmierzone tłumy, większe nawet niż podczas koronacji; wypełniały ulice, przelewały się
415
w parku, ludzie zwieszali się z okien. W Apsley House i St George nie było ani jednego wolnego okna, na wszystkich twarzach malowała się radość i ożywienie. W Hyde Parku pełno było powozów i jeźdźców, łodzie z ciekawymi tłoczyły się na Serpentine, cudowne wielkie kasztany oblepili chłopcy, gwizdali i wymachiwali czapkami. Kłusowaliśmy aleją, eskorta kawalerzystów nas poprzedzała, a przed nami wyrastał budynek ze szkła, połyskujący w słońcu, częściowo zakryty drzewami; lśniące powierzchnie rzucały błyski w niebo i na park; aż trudno było uwierzyć w jego realność, wyglądał jak czarodziejski pałac, zastygły, nim zdążył przeobrazić się do końca.
Punktualnie o dwunastej wysiedliśmy przy północnym wyjściu i udaliśmy się do przedpokoju; musiałyśmy pozdejmować szale i wygładzić suknie. Ja miałam na sobie różową z jedwabiu ozdobionego srebrzystym brokatem, nosiłam diamentowy diadem i wstążkę Orderu Podwiązki i wydaje mi się, że wyglądałam w tym bardzo dobrze. Vicky w białej satynie i koronkach, z wiankiem z dzikich róż na głowie wyglądała słodko i prześlicznie, a Bertie w spódniczce szkockich górali - uroczo. W przedpokoju oczekiwali na nas już mama z Mary Teck i innymi członkami rodziny oraz książę i księżniczka krwi z Prus z Fryderykiem - by nie rozdrażniać króla Prus, zostali zaproszeni na otwarcie jako nasi prywatni goście.
Albert podał mi ramię, wzięliśmy Vicky i Bertiego za ręce i z resztą orszaku ruszyliśmy północną nawą. Zamykała ją wysoka furta z kutego żelaza, przez którą można było widzieć nawę poprzeczną - kołyszące się z lekka palmy, kwiaty, posągi, morze ludzi na galeriach i ustawionych wszędzie krzesłach; ogarnęło mnie dziwne uczucie, którego nigdy nie zapomnę; byłam doprawdy bardzo poruszona. Srebrzyste trąbki rozbrzmiały fanfarami i furta została rozwarta przez halabardników zamkowych, odsłaniając przed nami niezwykłą scenerię.
Wydawała się w niepojęty sposób nieskończona, kontury się zacierały, odległości zamazywały, oblane połyskliwym światłem w nieograniczonej przestrzeni. Powietrze było ciepłe i jasne, jakby na zawsze zamknięto w delikatnej konstrukcji
416
i przezroczystych ścianach lato; gdziekolwiek się zwróciło oczy, wzrok padał na tropikalne listowie, drżące pióropusze palm, kwietniki, obezwładniające zmysły kolorami. Przed nami stało podium pod przybranym złotymi frędzlami i białymi piórami strusia baldachimem, a poza nim rozciągała się główna nawa, serce wystawy, z ogromną, wyrzeźbioną w krysztale fontanną, z której tryskały na pięćdziesiąt stóp w górę strumienie wody. Trybuny pokryto, a galerie przybrano udrapowanym materiałem w kolorze czerwieni tureckiej; sprawiały uspokajająco solidne wrażenie wśród drżących, zamazanych, połyskliwych kształtów, a przez kontrast z ich żywą barwą posągi wydawały się olśniewająco białe, niezwykłe i imponujące. Wiązy sprawowały milczącą straż, wznosząc się majestatycznie i tajemniczo nad nami, przesłaniając wyniosłym baldachimem liści czyste powietrze ponad wysokim sklepieniem.
Ledwie pojawiliśmy się w przejściu, ogromne organy, dwie setki muzyków i chór sześciuset głosów zagrzmiały hymnem narodowym, ale po kilku taktach zagłuszyły go radosne wiwaty tysięcy zgromadzonych ludzi, jakby wszyscy krzyczeli jednym głosem. Miałam ich przed sobą, rzędy i rzędy różowych twarzy pod rondami cylindrów i jedwabnych beretów, jaśniejące zadowoleniem, miłością i dobrocią; krzyczeli, przejęci radosną atmosferą świętowania - krzyczeli dla mnie, tak, ale bardziej dla siebie, dla chwały Anglii, jej osiągnięć, panującego w niej spokoju i rozkwitu, którym karmiła swoje dzieci; krzyczeli dlatego, że była kolebką wszystkiego, co dobre, szlachetne i liberalne w świecie. Magiczne, wspaniałe, przejmujące doznanie - być tam wtedy; z kimkolwiek

rozmawiałam później, przyznawał, że czuł świętość tej chwili, a ja doznałam uczuć podnioślejszych niż kiedykolwiek podczas mszy w kościele. To był festiwal pokoju, jednoczący wytwory przemysłu wszelkich nacji na ziemi, a mógł się odbyć dzięki mojemu najdroższemu Albertowi, mojemu najukochańszemu mężowi; to jego klarowna myśl i ciężka praca tchnęły w tę ideę życie.
Kiedy hałas ucichł, Albert odszedł od mojego boku i opuścił podium, aby stanąć na czele członków Komisji Królewskiej i odczytać raport, o którym mówił Granville; wyłożył
417

w nim zamysł wystawy w jasnych i prostych słowach i poprosił Boga, aby błogosławił przedsięwzięciu, ludziom i mojemu panowaniu. Kiedy skończył, ja odpowiedziałam w kilku słowach, a mój głos brzmiał nieco wyżej niż zwykle, ale wyraziście w tych szerokich przestrzeniach i odczułam, jakby cały kraj, wielki i ukochany, rozciągał się przede mną w rozmaitych kierunkach, jakbym stała w centrum rozległej nierzeczywistej kuli. Jakby miłość moich poddanych zagęszczała się wokół mnie, jak płatki róży schodzą się w jej sercu, a przecież owo serce nie jest niczym innym tylko płatkami właśnie - oderwijcie je jeden po drugim, a nic nie zostanie. Był to jeden z tych momentów świętych i tajemniczych.
Po moim przemówieniu arcybiskup odmówił modlitwę dziękczynną, a potem - mogłam się tego spodziewać - organy, chóry, muzycy, dwie orkiestry wojskowe i dziewięciu trębaczy zagrzmiało tym nieszczęsnym Alleluja Haendla! Rzuciłam Albertowi miażdżące spojrzenie, a on odwzajemnił się, patrząc na mnie z nieskończoną niewinnością. W straszliwym hałasie zaczęliśmy formować orszak, aby zacząć obchodzić wystawę - członkowie komisji, dyplomaci, ministrowie, dworscy dostojnicy - i wówczas zdarzyła się rzecz dziwaczna. Zauważyłam wśród dygnitarzy Chińczyka w olśniewających jedwabnych szatach, wymieniającego uścisk dłoni z Księciem i Angleseyem (stali razem!) i postanowiłam później zapytać Alberta, kto to taki, ponieważ Chiny nie przysłały żadnego oficjalnego przedstawiciela. W chwilę potem mandaryn, przepchnąwszy się przez tłum, padł mi do stóp w głębokim pokłonie. Było to tak całkowicie niezgodne z przyjętą praktyką, że wywołało ogromną konsternację, nikt też nie wiedział, co z nim począć; a już tym bardziej nikt nie chciał obrazić Chin, nawet jeśli ich obywatel złamał reguły dyplomatyczne. Skrywając zdziwienie, uśmiechnęłam się do mężczyzny i poleciłam lordowi Chamberlain, aby znalazł dla niego stosowne miejsce w orszaku. Ustawiono go tuż za dyplomatami, obok Księcia. Tymczasem Książę, aby się wykręcić, ofiarował ramię lordowi Anglesey (który stracił nogę pod Waterloo) i w ten sposób umknął przed nieznanym. Widok dwóch odwiecznych wrogów (Anglesey w czasach swej
418
grzesznej młodości uciekł z siostrą Księcia) w tak przyjaznej pozie wzniecił hałaśliwy aplauz świadków zdarzenia.
Zajęliśmy nasze miejsca za dostojnikami państwowymi i zaczęliśmy się przechadzać po wystawie. Szłam obok mojego najdroższego Alberta, spokojnego i skromnego jak zawsze, przyglądającego się owocowi swojej mozolnej pracy, jakby nie jego był dziełem. Trzymał za rękę Vicky, Bertie szedł u mego boku, oboje podnieceni i wstrząśnięci tym, co widzieli - bo i jakże mogłoby być inaczej? Tego pierwszego dnia przespacerowaliśmy się krótko po terenie wystawy, mimo to do samego wieczora żyły we mnie wrażenia: wspaniały, olśniewający, skrzący się obraz, jakiego dotąd świat nie widział i pewnie nie zobaczy; światło wlewające się przez przejrzyste tafle ponad nami i wokół nas, tchnące bogactwem zasłony, dywany, gobeliny, obfitość palm, kwiatów, czyste, tęczowe kolory, muzyka i ludzkie głosy, rozpryskująca się z cichym pluskiem w kryształowej misie fontanny woda; a nade wszystko zdumienie, wdzięczność i miłość, bijące od ludzi. Tego dnia przechadzałam się między nimi; słaba kobieta, bez jakiejkolwiek ochrony, a przecież całkowicie bezpieczna wśród tłumu; ani jednego żołnierza, strażnika, nawet policjanta w zasięgu wzroku - który władca, w jakim jeszcze kraju na świecie mógłby się poważyć na to samo?
Wróciliśmy w końcu na podium i dałam znak lordowi Breadalbane, aby ogłosił wystawę za otwartą, co też uczynił, przemawiając donośnym, dźwięcznym głosem, a zaraz potem rozległy się fanfary trąbek i salwa ze stu strzelb w parku, która wznieciła ogromny aplauz. Myślę, że nie było w orszaku nikogo, kto by nie uronił łzy w tym momencie. Wracaliśmy do pałacu Buckingham pośród

niezmierzonych tłumów, okazujących nieskrępowany entuzjazm, a mimo to przestrzegających porządku, co zdaje się było znakiem szczególnym tego dnia. Dwadzieścia minut po pierwszej przybyliśmy na miejsce i ledwie przejechaliśmy przez bramę, żołnierze obstawili drogę, aby można nią było się swobodnie poruszać, a The Mail wypełnili szczelnie ludzie, wszyscy wpatrzeni w pałac, jakby spodziewali się dalszego ciągu. Albert zaproponował, abyśmy wyszli na balkon w środkowej części fasady i pokazali się zgromadzonym tłumom; okazało się, że to
419
wspaniały pomysł i zostaliśmy bardzo dobrze przyjęci. Machaliśmy do ludzi, a oni wiwatowali bez końca i miałam wrażenie, że chętnie robiliby to przez cały dzień, gdybyśmy tam zostali. (Od tamtej pory uczyniliśmy to naszym zwyczajem i przy większej wagi państwowych uroczystościach pokazywaliśmy się na balkonie, mam też nadzieję, że będzie to kontynuowane. Trzeba dawać miłości okazję i sposób, aby mogła być widoczna; a nasza miłość do siebie, korony i ludzi była źródłem wszystkiego, co dobre dla kraju).
Później, jeszcze tego samego dnia, Granville przysłał nam wiadomość, w której wyjaśniał zagadkę tajemniczego Chińczyka. Nie był niczyim oficjalnym przedstawicielem, tylko właścicielem dżonki, przycumowanej przy nabrzeżu Temple, którą pozwalał ludziom oglądać za szylinga. Ponieważ gazety rozpisywały się o wystawie, uznał ją za wspaniałą okazję, aby przysporzyć sobie reklamy i zapewnić lukratywny sezon. Śmiałam się z tego bardzo, a Albert powiedział, że skoro Światowa Wystawa miała być pochwałą wolnego handlu i kupieckiej przedsiębiorczości, wyczyn Chińczyka świetnie oddał jej ducha i powinno się go wziąć jako maskotkę!

3 października 1900.

Jeden eksponat, którego miejsce z pewnością znajdowało się na Światowej Wystawie, nie został pomieszczony w Kryształowym Pałacu. Był to wzorcowy dom czynszowy, który Albert, jako prezes Towarzystwa na Rzecz Ulepszania Mieszkań Klasy Pracującej, sam zaprojektował, aby pokazać, jak może wyglądać sensowne, przyzwoite i niezbyt drogie mieszkanie klas niższych. Po długim wykłócaniu się z Gwardią Konną i obrzydłym doprawdy Ministerstwem Leśnictwa uzyskał w końcu pozwolenie, aby wznieść budynek na leżącym odłogiem kawałku ziemi nieopodal koszar, co też uczynił, całkowicie na własny koszt. Powstała zachwycająca budowla: cztery mieszkania rozmieszczone na dwóch piętrach, każde identyczne, tak że w razie potrzeby można było pięter dodawać. Łączyła je otwarta klatka schodowa, całość wzniesiono z cegły dziurawki, także podpory podłóg i dachu, a nie jak zwykle z belek, aby zmniejszyć ryzyko pożaru. (Ogień był
420
zawsze wielkim zagrożeniem w dzielnicach nędzy). Każde mieszkanie składało się z saloniku, trzech sypialni i kompletnie wyposażonej małej kuchni ze zlewem, koszem na węgiel, stojakiem na talerze, spiżarką na mięso et cetera. Szyb na śmieci wiódł do wydzielonego składziku pod schodami, a każde mieszkanie miało ubikację z nowoczesnym emaliowanym wyposażeniem ze Staffordshire, tak więc rodziny mogłyby mieszkać naprawdę zdrowo i higienicznie.
Kiedy wystawa miała się ku końcowi, dom przeniesiono na obrzeża parku Kennington (większa część parku pozostawała własnością prywatną księstwa Kornwalii), gdzie stoi po dziś dzień. Albert niestety nie zdołał przekonać żadnego kapitalisty, aby zainwestował w budowanie takich domów, a i same klasy pracujące okazały się podejrzliwe wobec wszelkich zmian i najwyraźniej dogadzał im normalny dla nich brak higieny, do którego przywykły. Ludzie mają takie ciasne horyzonty... Gorące pragnienie Alberta, aby klasy niższe mogły żyć w sensownych warunkach, nie ziściło się za jego życia ani do tej pory, mimo przerażającego żniwa śmierci od gorączki i chorób wśród tych ludzi.
Albert uznał, że będzie rzeczą właściwą, jeśli na wystawie nie zabraknie bufetu (wielu ludzi spędzało tam cały dzień, ponieważ było tak wiele do obejrzenia, a część z nich także dlatego, że przyjechali z daleka), choć nie powinno się sprzedawać alkoholu (uważał, że atmosfera nie jest po temu właściwa) ani gorących dań z wyjątkiem ziemniaków. To ostatnie ze względu na

niebezpieczeństwo wzniecenia ognia (ziemniaki można było bezpiecznie ugotować na parze dostarczanej z maszynowni), a po części, aby nie drażnić zwiedzających zapachem mięsa, cebuli i tym podobnych. Było za to mnóstwo eleganckich kanapek, pasztecików, zimnych mięs, wyrobów cukierniczych, owoców i ciastek, gorących i zimnych napojów. Panowie Schweppe zapłacili pięć tysięcy pięćset funtów za prawo do zaopatrywania bufetu i okazało się to dla nich prawdziwą okazją, ponieważ zarobili ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy. Sprzedali podczas wystawy doprawdy niewiarygodne ilości towarów - milion słodkich bułeczek na przykład, trzydzieści trzy tony szynki, osiem tysięcy galonów śmietanki.
421

W dwóch bufetach przewidziano skromniejsze zaopatrzenie za niższą opłatą, a to kakao, piwo warzone na pędach świerkowych, chleb, masło, ser; Albert chciał mieć pewność, że każdy będzie mógł się pożywić. W parku i na ulicach można było oczywiście kupić, co się żywnie podobało, od handlarzy obwoźnych - od kiełbasek i gorących pasztecików począwszy, na orzechach kokosa i pomarańczach skończywszy.
Wystawa okazała się pod wszelkim możliwym względem znacznym sukcesem i ci, którzy walczyli z moim najdroższym tak długo i tak stanowczo mu się przeciwstawiali, zostali kompletnie pognębieni. Z najodleglejszych zakątków kraju napływali ludzie, aby ją zwiedzić. Właściciele fabryk najmowali pociągi wycieczkowe dla swoich robotników, proboszczowie breki dla swoich parafian; wieśniacy stowarzyszali się i ciągnęli losy, który pojedzie; rzemieślnicy i farmerzy zabierali ze sobą żony i dzieci, niektóre z nich po raz pierwszy w życiu opuszczały swoją wioskę czy miasteczko. Producent sprzętu rolniczego przysłał swoich ludzi drogą wodną dwoma wynajętymi statkami, które przycumowały przy nabrzeżu w Westminsterze. Jakaś kobieta, aby zobaczyć wystawę, przywędrowała pieszo aż z Plymouth; londyńczycy przeżywali prawdziwy najazd krewnych, o których istnieniu czasami nie mieli pojęcia, i dawno zapomnianych znajomych z dzieciństwa; wszyscy chcieli za wszelką cenę odwiedzić Londyn właśnie tego lata. Przyjeżdżali wszyscy i nikt nie wracał rozczarowany; ci, którzy mogli, wracali wielokrotnie. Ja sama byłam na wystawie około czterdziestu razy i z ogromną przyjemnością pokazywałam naszym kolejnym gościom moje ulubione eksponaty; opłaciłam nawet podróż mojego szkockiego gillie (towarzyszem wypraw myśliwskich był podówczas oczywiście Grant, a nie mój drogi Brown) z Balmoral, aby mógł zwiedzić ekspozycję.
Książę, który początkowo odnosił się tak sceptycznie do całego przedsięwzięcia i tak obawiał o niepokoje i zamieszki, w widoczny sposób znajdował coraz większe upodobanie w odwiedzaniu Kryształowego Pałacu i uczynił to wielokrotnie. Podczas ostatniej wizyty, cztery dni przed zamknięciem, udał się tam zupełnie sam, choć go ostrzegano, aby tego nie
422
robił; chciał się czule pożegnać z ulubionymi eksponatami. Tego dnia było na wystawie niezwykle tłoczno i drobny, siwowłosy, kruchy stary bohater, spacerujący samotnie pośród tłumu tysięcy osób, został oczywiście rozpoznany i otoczony przez rozentuzjazmowanych wielbicieli, z których każdy chciał go dotknąć lub uścisnąć mu rękę. Do uszu zwiedzających odległe części budynku doszła wrzawa i rychło powstało przekonanie, że wydarzyła się jakaś katastrofa (być może dach się zawalił, co pułkownik Sibthorpe wciąż przewidywał, a czego w miarę upływu czasu coraz goręcej pragnął). Wybuchła panika i gdy tysiące biegły do wyjścia, przewrócono wielką witrynę z francuską porcelaną. Sześciu konstabli, którzy niepostrzeżenie posuwali się wraz z Księciem, pochwyciło go i wyprowadziło, niemal w dosłownym sensie tego słowa - bladego i nie posiadającego się z oburzenia -z terenu wystawy.
Jeżeli wam jednak powiem, że w ciągu pięciu i pół miesięcy trwania wystawy wydarzył się tylko ten jedyny pożałowania godny incydent, zrozumiecie, jakie to było święto spokoju i porządku. Ponad sześć milionów ludzi weszło tego lata do Kryształowego Pałacu; w dniu otwarcia otoczył go tłum ponad pół miliona osób; przez cały czas Londyn zapełniali rozmaitego rodzaju ludzie z różnych zakątków kraju i świata. A przecież przez cały ten czas nie popełniono w pobliżu ani na samej wystawie żadnego poważniejszego przestępstwa. W całym Londynie ich liczba była mniejsza

niż zwykle w tym okresie i Richard Mayne, który specjalnie zwiększył siły policji, nie miał w pobliżu Kryształowego Pałacu nic więcej do roboty, jak złapać garstkę złodziejaszków kieszonkowych i handlujących podrobionymi biletami wstępu. Cóż to jednak za naród!
Na koniec, gdy wreszcie podliczono wpływy, okazało się, że wystawa przyniosła ogromny dochód: sto osiemdziesiąt sześć tysięcy funtów. Za namową Alberta członkowie komisji nabyli około osiemdziesięciu akrów gruntów położonych na południe od Kensington Road. Zaplanowano tam założenie ogrodów, budowę muzeów i instytutów dla potrzeb krzewienia nauk i sztuki, a także wiedzy. Teraz w tym miejscu znajdują się, co oczywiście każdy wie, ogrody, Muzeum Historii
423
Naturalnej, Królewskie Kolegium Muzyczne, Royal Albert Hall i zbiorowisko gmachów znanych jako South Kensington Muzeum. Nie dalej jak w ubiegłym roku położyłam kamień węgielny pod nowy budynek, w którym ma się pomieścić część kolekcji tego ostatniego; będzie się nazywało Muzeum Wiktorii i Alberta i jest przeznaczone na wystawy sztuk pięknych i stosowanych, obejmujących eksponaty z całego kraju, z wstępem wolnym dla wszystkich ludzi. Dokładnie tak, jak tego chciał mój najdroższy.
Co do dzieła ze szkła autorstwa Paxtona - tak przypadło do gustu w całym kraju, że nie chciano go tracić i przedłożono w parlamencie naprędce zredagowaną petycję, aby zakupić je dla narodu i obrócić na ogród zimowy. Komisja została niestety zobligowana do zwrócenia Ministerstwu Leśnictwa terenu Hyde Parku w pierwotnym stanie, tak więc wiosną 1852 roku wielką cieplarnię rozmontowano i wywieziono z Londynu do Sydenham, gdzie ją zmontowano ponownie, zachowując jej oryginalną nazwę: Kryształowy Pałac; słyszałam, że wciąż stanowi wielką atrakcję.

5 października 1900.

Wyjechaliśmy do Szkocji, gdy wszystkie sprawy związane z wystawą zostały zakończone. Nigdy nie widziałam Alberta tak zmęczonego. Praca, troski, konflikty wycieńczyły go tak, że wyglądał jak własny cień; od miesięcy źle sypiał, wstawał po nocy, zasiadał przy biurku, aby czytać i pisać, potem padał na łóżko i spał w moich ramionach godzinę lub dwie, dopóki zwykła pora wstawania go z nich nie wygnała. Cierpiał gwałtowne bóle głowy, sporadycznie nękał go ból zębów, męczyły dolegliwości żołądka i jelitowe; same w sobie uciążliwe, a co dopiero dla człowieka, który ma tyle pracy. Tego wieczoru, gdy przyjechaliśmy do Balmoral, odnalazłam go siedzącego samotnie w garderobie i płaczącego z wyczerpania, co mnie ogromnie przeraziło. Cóż mogłam zrobić innego niż otoczyć go ramionami; objął mnie niezręcznie, schował twarz na moim brzuchu i szlochał jak utrudzone dziecko.
Szkocja przywróciła mu siły; cisza i panująca w niej pustka oczyściły jego umysł jak zimne świeże powietrze płuca.
424
Pewnego dnia znaleźliśmy się na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na góry, jeziora i wrzosowiska - żadnych ludzi, ich siedzib, ani śladu ludzkiej obecności w zasięgu wzroku i wydawało się, że całkiem odzyskał spokój; widziałam, jak jego oczy znowu rozbłysły, ramiona się wyprostowały; jakby zgięte źdźbło trawy podniosło się na powrót.
- Ależ tu pięknie! - westchnął. - Zupełnie jak w domu. -A mówiąc „dom", nie miał na myśli oczywiście ani pałacu Buckingham czy Windsoru, ani nawet drogiego Osborne, ale Rosenau. Powiedział wtedy, że góry wokół Balmoral są jak porośnięte lasem wzgórza Turyngii. Dzisiaj, gdy już wiem, jak wygląda Koburg i Rosenau, bo tam byłam i spałam w pokoju, który jako chłopcy dzielili Albert z Ernestem, widzę, że nie ma podobieństwa; ale przecież rozumiem, chociaż nie bardzo mogę to ubrać w słowa, co mu wtedy serce mówiło. Wszystko to było częścią procesu, który trwał przez całe jego życie, a co ja zrozumiałam za późno - procesu uciekania.
„To nie ciebie chcę opuścić; nie ma innego miejsca, w którym chciałbym pozostać na zawsze, jak twoje ramiona", tak mi kiedyś powiedział i uznałam, że rozwiewa to moje wątpliwości - w istocie, cóż innego mogłam zrobić? Dopiero później zrozumiałam, że część jego duszy nie była z tego

świata i zawsze walczyła, aby z niego odejść, szarpiąc nim i wydzierając się z niego, jak latawiec wydziera się z rąk, by ulecieć wysoko w silnym podmuchu wiatru. To rozwesela, gdy się czuje to szarpnięcie, puszczając latawiec; doznaje się przypływu ożywienia, będąc choćby tylko sznurkiem połączonym z czymś, co wzbija się w niebo od silnego wiatru, niezdolnego unieść naszych przypisanych ziemi ciał. Ale Albert musiał być zmęczony opieraniem się. Jego dusza falowała, wyrywała się, miotana silnym wiatrem, którego nikt z nas nie zaznał i czego nikt z nas nie rozumiał; jakże często musiał tęsknić za oderwaniem się od ziemi, za wzbiciem w niebo - wreszcie wolny od bólu i prób życiowych, ulatujący w jasną, czystą przestrzeń na spotkanie - wiedział to - dobrotliwego oblicza i Jego kochającej, niosącej pociechę dłoni.
Poczucie obowiązku nakazywało mu pozostać - wypełnić
425
trudny, ciężki, narzucony mu obowiązek. Pracował więc bezustannie, nie mogąc się doczekać uwolnienia; zawsze cierpliwy, pilny, zawsze radosny (ponieważ wierzył, jak ja wierzę, że Bóg kocha tych, którzy wypełniają swoje zadanie z zadowoleniem i chętnym sercem). Szarpnięcia sznurka objawiały się tylko w tych daremnych próbach ucieczki - najpierw do Osborne, potem Balmoral, a potem w nie kończącą się, przynoszącą litościwe zapomnienie pracę. Ale to go niszczyło, oczywiście, ten konflikt między duszą i ciałem. Spokój znajdował wyłącznie w moich ramionach, w pewności, że go kocham; tu znajdował ukojenie targającej nim namiętności, doznawał dziwnego uczucia uwolnienia, czego na poły się obawiał, ale czego nigdy nie przestał pragnąć.
Nie był człowiekiem, któremu łatwo przychodzi okazywać uczucia, toteż utrata w krótkim odstępie czasu dwóch ludzi, uważanych przez niego za przyjaciół - Ansona i Peela -boleśnie go dotknęła. Anson był dla niego jak młodszy brat; nie znałam innego człowieka, którego Albert dotykałby spontanicznie, choć oczywiście było to co najwyżej przelotne położenie dłoni na ramieniu, a i to rzadko. Peela lubił i ufał mu, czuł także - co ważniejsze - że Peel go rozumie i docenia. Stracił ich obu i to wtedy, gdy wciąż borykał się z wystawą; a wkrótce utracił jeszcze dwoje ludzi, których podziwiał i cieszył się, przebywając w ich towarzystwie - nie przez śmierć, ale dlatego, że odeszli. Pierwsza była Laddle, która w styczniu 1851 roku przeszła na emeryturę, uważała bowiem, że pokojem dziecięcym powinien zarządzać ktoś młodszy; drugim Thomas Cubitt, który ukończywszy prace w Osborne, spakował plany i pojechał realizować inne projekty.
To wszystko dało mu, jak mi się wydaje, impuls do pomyślenia o Balmoral. W październiku 1848 roku, już po kilku zachwycających pobytach w Szkocji, poinformowaliśmy Russella, że nosimy się z zamiarem kupna drugiego domu, tym razem w szkockich górach, gdzie powietrze nie jest tak rozleniwiające jak na południu (i gdzie będziemy znacznie dalej od nękających nas ministrów, raportów, rachunków, listów -czego mu oczywiście nie powiedzieliśmy). Lord John odparł kwaśno, że nie jest możliwe, aby ze skarbca zostały wyasygnowane jakiekolwiek środki na kupno czy późniejsze utrzymanie domu;
426
co więcej, ponieważ Aberdeenshire znajduje się w tak znacznej odległości od Londynu, konieczne jest, aby stale w naszym pobliżu przebywał minister towarzyszący i oczekuje się, że będziemy pokrywać jego wydatki z prywatnej szkatuły.
Te zastrzeżenia nie powstrzymały nas od wzięcia w dzierżawę Balmoralu. Zamek, zupełnie jak stary dom w Osborne, był zbyt mały i bardzo niewygodny i Albert myślał o nowym, ale nie moglibyśmy zrealizować następnego projektu po wybudowaniu Osborne. Tymczasem nieoczekiwanie, jakby życzenia miały moc się spełniać, dostałam latem 1852 roku olbrzymi legat. Często bywałam obdarowywana przez głowy obcych państw i moich własnych poddanych, a wartość tych podarunków była rozmaita, od kompletu biżuterii z brylantów po ogromną dynię; nikt nie ofiarował mi jednak tyle, co John Camden Nield. Był sknerą i odludkiem, żył w przeraźliwej nędzy i nikt nie sądził, że w ogóle ma jakieś pieniądze. Kiedy umarł, okazało się, że jego majątek jest wart ponad ćwierć miliona funtów, a ponieważ nie miał żadnej rodziny, wszystko zostawił mnie, nie udzielając innego wyjaśnienia poza tym, że jego zdaniem „królowa tego nie zmarnuje". I oczywiście nie zmarnowałam. Błogosławiąc mojego dobroczyńcę, odnowiłam prezbiterium w jego

kościele parafialnym, a całą resztę fortuny wręczyłam Albertowi, aby kupił posiadłość Balmoral i zbudował nowy zamek. Zaangażował wprawdzie architekta, ale Balmoral, jak Osborne, powstał od początku do końca, w każdym szczególe, według jego projektu. Był szczęśliwy, kierując budową; określając potrzebne materiały, rozmiary, dokonując matematycznych wyliczeń, mógł rozwiązać każdy problem; ludzkie emocje, niekonsekwencje w postępowaniu nie sprawiały kłopotu, niczego nie zaciemniały, nie wpływały na matematyczne kalkulacje. Był wszechmocny; zwyciężał. Balmoral to nic innego jak Osborne z wieżyczkami. Zostało tutaj przeniesionych wiele nowinek z Osborne, na przykład system rozprowadzania gorącego powietrza (choć w każdym pokoju był jednak kominek, a to z powodu ostrzejszego klimatu) czy urządzenia sanitarne (wybudowano cztery łazienki - dla mnie, Alberta i dwie dla dzieci - i czternaście ubikacji, co jak sądzę przewyższa ich liczbę w jakimkolwiek
427
domu czy pałacu na świecie!). Dom zbudowano z lokalnego kamienia, tak aby wtopił się harmonijnie w otoczenie. Kochaliśmy Szkocję i dlatego Albert wszystko, co tylko można było, kazał wykonać według szkockich wzorów: tapeta, dywany, zasłony, obicia mebli - wszystko w szkocką kratę; w każdym pokoju pojawiał się motyw ostu, wyrzeźbiony albo odlany; co tylko można, zostało zrobione z rogów jeleni. Służbę dobraliśmy spośród miejscowych ludzi; nie było nikogo, kto by pracował w posiadłości, ani jednego gillie, który by nie pochodził z gór; na msze święte jeździliśmy do lokalnego kościoła w Crathie, skromnego i milutkiego. Albert stwierdził, że szkocki protestantyzm przypomina mu bardzo niemiecki, przez co czuł się, jakby powrócił do domu. (Wielkie wrażenie wywarła na mnie wiadomość, że jestem głową kościoła szkockiego, podobnie jak angielskiego; pozostało mi tylko żałować, iż nie poinformowano mnie w swoim czasie, jak się rzeczy mają. Zdecydowanie wolałabym do nich należeć). Oboje z Albertem podziwialiśmy szkockie cechy narodowe - dumę, uczciwość, uprzejmość, prostolinijność i szczerość - i czuliśmy się pochlebieni miłością, okazywaną przez tak niezależnych ludzi. Często wspominałam, zawsze z uśmiechem i potrząsając głową, co mi powiedział dawno temu o Szkocji mój drogi lord M.: niczego nie można ująć temu krajowi, z wyjątkiem przesadnej opinii, jaką Szkoci na jego temat żywią. „Te szkockie klany są aż tak interesujące i romantyczne - mówił z zabawną miną - że to prawdziwe szczęście, iż tak niewiele ich zostało!". Nigdy nie był w Szkocji, jestem tego pewna; prawdopodobnie spotykał Szkotów w Londynie, a nikt nie lubi, aby przybysz z innego kraju chwalił swój własny, a nie ten, w którym akurat przebywa. Lato 1852 roku, spędzone w Balmoral, gdy Albert już wiedział, że będzie nasze, i zaczął planować budowę nowego domu, należało do szczęśliwszych okresów w naszym życiu i gdy chyliło się ku końcowi, stwierdziłam, że znowu jestem w ciąży. A jednak pośród radości i ożywienia dosięgnął nas kolejny cios: od dawna przeczuwany, ani trochę przez to przecież mniej straszny. Czternastego września zmarł Książę. Byłam zadowolona, usłyszawszy, że odszedł nagle i miłosiernie oszczędzono mu cierpień, ale ciężko, jakże straszliwie
428
ciężko było wyobrazić sobie Anglię bez niego. Jego pozycja, jak i uzdolnienia były niepowtarzalne i cały naród pogrążył się w żałobie, zupełnie spontanicznie i szczerze. Ludzie go kochali, a on choć niewrażliwy na ich pochlebstwa, poświęciłby wszelką majętność i życie, aby ich ochronić. Ja sama straciłam lojalnego i bezinteresownego przyjaciela. Przez całe moje życie mi towarzyszył - w istocie był przecież świadkiem moich narodzin; obecny przy koronacji, ślubie, chrzcie dzieci; w godzinie kryzysu, obojętne osobistej czy politycznej natury, zawsze mogłam się do niego zwrócić. Nigdy mnie nie kochał; ale kochał Anglię, szanował koronę i wiedziałam, że w każdych okolicznościach mogę polegać na nim całkowicie, ufać jego radzie; służył mi lojalnie, nie lękając się i nie poddając się naciskom.

Dla naszych wojsk bohater spod Waterloo był legendą i niedościgłym wzorem, z którym żaden dowódca nie mógł się mierzyć. „Za czasów Księcia to by się nie wydarzyło", zwykli mawiać żołnierze, potrząsając głowami z dezaprobatą - podobno do dzisiaj to się słyszy, choć od jego śmierci upłynęło prawie pięćdziesiąt lat.

W grudniu 1852 roku wydarzyło się coś, co ogromnie wszystkich zaniepokoiło, choć wówczas

jeszcze nikt nie przeczuwał, jakie będzie miało konsekwencje w przyszłości. Rok temu, także w grudniu Ludwik Napoleon przeprowadził coup d'etat w Paryżu i mianował siebie prezydentem na okres dziesięciu lat - a w istocie dyktatorem. Daliśmy wyraz naszej pełnej dezaprobacie wobec tak sprzecznego z konstytucją postępowania i poleciliśmy Ministerstwu Spraw Zagranicznych zachowanie całkowitej neutralności. Tymczasem Palmerston w prywatnej rozmowie z ambasadorem Francji, hrabią Walewskim, gorąco poparł czyn księcia, co Walewski natychmiast wykorzystał, przesyłając do Paryża gratulacje i Anglia znalazła się w nadzwyczaj niewygodnej sytuacji, zarazem bowiem potępiła i zaaprobowała jedno i to samo.
Palmerston nie po raz pierwszy wprawił nas w zakłopotanie, działając na własną rękę albo nawet wbrew naszym instrukcjom, tym razem jednak doprowadzony do ostateczności Russell odwołał go, ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, ale
429
i uldze. Kiedy go zabrakło, nagle wszystko stało się znacznie prostsze, co do Alberta zaś, pozbycie się tej prawdziwej zadry przysporzyło mu wiele zadowolenia tego lata (a w konsekwencji i poczęcia nowego dziecka - co za przedziwna myśl mi przyszła do głowy, sądzę, że lepiej się nad nią nie zastanawiać!).
A zatem w grudniu 1852, w rok po coup d'etat, Ludwik Napoleon zrzucił maskę i ogłosił się cesarzem Napoleonem III - przy poparciu większej części armii francuskiej, żądnej, trzeba to sobie powiedzieć, pomsty za Waterloo. Niespokojny to był okres, ponieważ wszyscy obawiali się odrodzenia francuskiego militaryzmu, krążyły nawet pogłoski o nowych planach napaści na Anglię; niemniej zmuszona byłam, kierując się radami moich ministrów, uznać Napoleona III - przede wszystkim dlatego, że usunięcie lub śmierć Napoleona III wtrąciłyby Francję w potworny chaos, a także dlatego, że nowy minister spraw zagranicznych, lord Malmesbury, był jego wielkim przyjacielem. Nowy cesarz zachowywał się poprawnie i wyraźnie szukał przyjaźni Anglii - aż tak wyraźnie, że wyraził życzenie starania się o rękę mojej siostrzenicy Adelajdy (córki Feo), chcąc w ten sposób skoligacić się (choć niezbyt blisko) z brytyjską monarchią. Nie było moim życzeniem wydanie Adelajdy za podobnego awanturnika i na szczęście ani Feo, ani Adelajdzie nie spodobał się pomysł zawarcia tego małżeństwa, nie doszło więc ono do skutku. Cesarz szybko zresztą odsłonił swoje prawdziwe oblicze, poślubił bowiem Eugenię de Montijo, niezwykle piękną i pełną wdzięku istotę (twierdzono, że Palmerston był jej prawdziwym ojcem), ale też o niezwykle barwnej przeszłości. W rezultacie okazała się co prawda dobrą, cnotliwą i szlachetną cesarzową, godną zasiadania na tronie Francji bardziej niż jakakolwiek kobieta szlachetnego urodzenia i nieposzlakowanej reputacji. Polubiłam ją doprawdy ogromnie, a ona darzyła mnie szczerym uwielbieniem i szacunkiem. (Pamiętam pewien incydent, który wydarzył się podczas mojej i Alberta wizyty u nich w Paryżu, kiedy wszyscy czworo udaliśmy się do opery. Eugenia opowiedziała mi później, jak jedna z jej dam dworu skomentowała moment, gdy zajmowaliśmy miejsca w loży królewskiej i to, że siadając, nie sprawdziłam,
430
czy za mną stoi krzesło. „Królowa Anglii ma tak królewskie maniery, że po prostu wie: krzesło musi stać na swoim miejscu. Nie wyobraża sobie innej możliwości. Ale ty, pani, nie urodziłaś się królową. Dlatego sprawdzasz, czy stoi, zanim usiądziesz").
Co do konsekwencji, których nikt nie przewidywał w momencie, gdy Ludwik Napoleon ogłaszał siebie cesarzem -mam na myśli wojnę krymską. Gdyby nie musiał tak wiele udowadniać francuskiej armii, gdyby nie pragnął tak bardzo sławy wojennej, aby poprawić sobie reputację i zjednać poddanych, czyniąc się podobnym do swojego słynnego stryja, nawet nie usiłowałby dać prztyczka w nos Wielkiemu Niedźwiedziowi. Bo to z Rosją weszliśmy w stan wojny - oficjalnie, aby zachować Konstantynopol, ale nie sądzę, byśmy się do tego posunęli, gdyby Francja nie była naszym sojusznikiem i gdyby nie francuska ochota do walki.
Straszną rzeczą było prowadzić wojnę bez Księcia i zdaje się, że nikt nie wiedział, co począć. Naczelne dowództwo objął lord Raglan, adiutant Księcia pod Waterloo, gdzie zresztą stracił ramię. (Lord M. opowiadał anegdotę, jak to po amputacji, gdy pielęgniarze chcieli wynieść ramię, Raglan krzyczał: „Hej, przynieść mi je tu z powrotem! Na małym palcu mam pierścionek od żony!").

Raglan prowadził wojnę tak, jak uważał, że na jego miejscu zrobiłby to Książę, ale zastanowiwszy się teraz, nie sądzę, by dostawało mu intelektualnych możliwości, by dobrze wypełnić swój obowiązek. Przez cały czas trwania kampanii nie mówił na przykład o wrogu inaczej jak „Francuzi", zupełnie nie potrafiąc przyjąć do wiadomości, że nie są jedynymi, z którymi można walczyć na świecie, ani tego, że zostali naszymi sprzymierzeńcami!
Teraz, gdy upłynęło tyle czasu, widzę, że z tej nieszczęsnej wojny płynęły również pewne korzyści, choć z drugiej strony serce mi krwawi, gdy pomyślę o tysiącach brytyjskich żołnierzy, którzy stracili w niej życie, o wdowach i sierotach, skazanych na walkę z nędzą i nieszczęściem. Ja, która straciłam męża i dwóch synów, znam szarpiący ból tej straty, którego nic nie koi; dlatego muszę się zwrócić do młodszych, mniej doświadczonych władców: musimy dobrze wszystko rozważyć, zanim wyślemy naszych żołnierzy na wojnę. Kiedy
431
w 1855 roku odwiedził mnie król Wiktor Emanuel, powiedział, że jedyną rzeczą, z której czerpie przyjemność, sprawując władzę, jest możliwość toczenia wojen. Zwróciłam mu surowo uwagę, że królowie powinni mieć pewność, iż toczą ją w słusznej sprawie, będą bowiem odpowiadać przed Bogiem za ludzkie życia.
- Bóg wybacza królom pomyłki - stwierdził, a ja odparłam:
- Nie wszystkie.
Jest jakaś mistyczna więź między władcą a jego armią, którą odczuwam silnie właśnie od czasów wojny krymskiej. Ci dobrzy dzielni ludzie bez słowa skargi maszerowali i walczyli za swój kraj; niemniej kraj to szerokie pojęcie, czasem trudne do zrozumienia czy kochania. To królowa jest symbolem tego, za co chcą umierać, i wiele razy, gdy stałam przed salutującymi kolumnami żołnierzy, wyruszających na wojnę, czułam, jak ogarnia mnie płynąca od nich fala miłości. Z całej duszy i serca chciałam maszerować na ich czele, walczyć z nimi, odnosić za nich rany. Gdyby nie zrodzono mnie w kruchym kobiecym kształcie, z pewnością sama wiodłabym moje armie. Często odwiedzałam rannych w szpitalach i widziałam, jak życie zapalało się na powrót w ich oczach, gdy do nich podchodziłam; widziałam cudowne powroty do przytomności tych, co do których stracono już nadzieję, gdy ich dotknęłam. Nie twierdzę tego przez zarozumiałość, ale by pokazać, że jest to coś wielkiego i tajemniczego, czego nie potrafi wyjaśnić ani nauka, ani my sami, kierując się naszą ziemską mądrością.
W maju 1855 roku, po zakończeniu wojny, odbyłam w koszarach Gwardii Konnej ceremonię wręczania orderów weteranom wojny krymskiej. Stałam na podium z lordem Panmure (ministrem wojny), w koszyku umieszczonym między nami leżały medale ze srebra z niebiesko żółtymi wstążkami. Tłoczyły się tłumy, grały wojskowe orkiestry, a ci drodzy, szlachetni ludzie (wielu nosiło liczne ślady ran, niektórzy szli o kulach, niektórzy nawet jechali na wózkach) przesuwali się przede mną i każdemu wręczałam medal i do każdego wypowiadałam słowa otuchy. Trafiali się zbyt nieśmiali, aby podnieść wzrok, i tacy, którzy patrzyli mi prosto w twarz
432
z uśmiechem; wszyscy dotykali mojej ręki i widziałam w ich wzroku cześć i miłość; uczucia prostych żołnierzy, którzy po raz pierwszy stanęli przed ich królową. Ręce drżały mi z emocji i ledwie mogłam utrzymać ordery, które zarośnięty lord Panmure (przezywano go „Żubrem") podawał mi z koszyka; dowiedziałam się potem ku swemu ogromnemu wzruszeniu, że wielu z tych ludzi odmówiło oddania orderów do grawera w obawie, że nie dostaną z powrotem tego samego, który im wręczyłam.
Jest pewna opowieść związana z tą ceremonią, którą mi później opowiedziano i która mnie bardzo rozbawiła. Pewna światowa dama, spotkawszy lorda Panmure na proszonym obiedzie, zaczęła go wypytywać o przebieg ceremonii, a zwłaszcza jakie były moje uczucia.
- Czy królowa była poruszona? - zapytała.
- Och, na moją duszę, nie - odpowiedział Panmure zgorszony. - Stała za poręczą z brązu i nikt jej nie ruszał.

Rozdział Osiemnasty.
15 października 1900 w Balmoral.

Dziecko urodziło się siódmego kwietnia 1853 roku, chłopiec, którego nazwaliśmy po naszym drogim wuju Leopold. Przy porodzie zastosowano pewną innowację, która, co stwierdzam z zadowoleniem, ostatnio bardzo się upowszechniła. Mój drogi lekarz, sir James Clark - Szkot oczywiście -z zainteresowaniem śledził eksperymenty doktora Simpsona z Edynburga z używaniem chloroformu. To dość zdumiewające, jeśli się pomyśli, że o narkozie pisano już na początku wieku, gdy Humprey Davy, słynny z wynalezienia lampy górniczej, opublikował artykuł na temat efektów wdychania podtlenku azotu. Zupełnie inna substancja, eter, została użyta w londyńskim szpitalu w 1846 roku przez wielkiego chirurga Roberta Listona, gdy amputowano nogę mężczyźnie, który tego zupełnie nie czuł. Doktor Simpson użył z powodzeniem chloroformu w 1847 roku ku olbrzymiej wdzięczności
433
rodzącej kobiety - do tego stopnia, że nazwała córkę Narkoza!
Doktor John Snów, współpracownik Simpsona, opisał to w artykule: „Jeśli ból nie przekracza tego, co pacjent może znieść, nie ma powodu, by używać chloroformu; jeżeli natomiast pacjent pragnie, aby mu oszczędzono cierpień, nie istnieją żadne uzasadnione obiekcje, aby powstrzymywać się od użycia tego środka".
O ile jednak on nie widział żadnych obiekcji, o tyle inni je dostrzegali i większość przedstawicieli medycznej profesji odżegnała się stanowczo od narkozy. Ból jest nieodłączną częścią chirurgii, twierdzili; stymuluje jak ukłucie żądła nasz organizm i rozpoczyna proces zdrowienia. Pacjent, który nie będzie czuł bólu w czasie operacji, pogrąży się w letargu i umrze. Nie tylko w kręgach medycznych wierzono, że w ogniu bólu hartuje się dusza człowieka i rodzaj ludzki zniewieściałby i zdegenerował się, gdyby nie jego moc; księża tłumaczyli to prościej: Bóg wpisał ból w ludzki los, a zatem unikanie go jest sprzeciwianiem się woli Boga.
Kiedy doktor Simpson zalecił podawanie chloroformu rodzącym kobietom, wszystkie frakcje „probólowe" zjednoczyły się w namiętnym proteście. Bez wątpienia jest to grzech. Kobiety zostały stworzone, aby cierpieć podczas porodu. Czyż nie zostało wyłożone w Księdze Rodzaju, że „rodzić będzie w bólach"? Nadaremnie doktor Snów odpowiadał, że Bóg pogrążył Adama w głębokim śnie, zanim wyjął mu żebro, co przemawia za używaniem narkozy - poza nim nie było chyba mężczyzny, który by nie żywił głębokiego przekonania, że jeśli kobieta nie odczuje bólu w czasie porodu, nigdy nie pokocha swego dziecka.
Docierały do mnie te spory, toteż z zainteresowaniem przyjęłam propozycję mojego przyzwoitego Clarka, aby zaprosić doktora Snów (który w londyńskim szpitalu dentystycznym pokazywał, jak używać narkozy) do asystowania przy moim porodzie. Przeprowadzono już wystarczającą liczbę zabiegów z narkozą, aby wiedzieć, że nie jest to środek szkodliwy ani dla matki, ani dla dziecka.
- Używa się jej w niezwykle prosty sposób - powiedział. -Niewielką ilość cieczy wlewa się do zawiniętej w rożek chusteczki
434
i trzyma przy nosie i ustach pacjentki, która wdycha opary, co nie jest wcale nieprzyjemne... trzeba ci, pani, wiedzieć, że chloroform jest składnikiem większości środków na kaszel. Znacznie łagodzi to ból, a czasami pozwala go zupełnie uśmierzyć.
Nie widziałam żadnych powodów, religijnych czy jakichkolwiek innych, aby znosić ból, jeśli można było w nim ulżyć czy też go całkowicie uśmierzyć, co zaś do Alberta, gorąco wierzył, że nie po to Bóg obdarzył człowieka darem wynalazczości, aby lekceważyć jej owoce. Tak więc, nie bez odrobiny zdenerwowania, muszę przyznać - dałam swoje przyzwolenie. Doktor Snów podał mi taką ilość substancji, która nie pozbawiając mnie przytomności, stępiła ból i uznałam ów eksperyment za zachwycający; ukoił mnie i wprowadził w stan błogiego spokoju, i pozostało mi tylko żałować, że nie zaproponowano mi tego środka wcześniej. Wiadomość o tym, że pozwoliłam na podanie mi chloroformu, rozeszła się szybko, a prasa jeszcze ją rozdmuchała. Jeszcze raz przytoczono wszystkie argumenty za i przeciw, a wielu starszych mężczyzn gotowych było potępić mnie za

bezbożność i kto wie, za co jeszcze. Mogę jednak z zadowoleniem napisać, że od tego czasu coraz słabiej występowano przeciwko narkozie i doprawdy jestem szczęśliwa, że odegrałam jakąś rolę w upowszechnianiu tego dobrodziejstwa. Poza wszystkim, prowincjonalne gazety mogły sobie kontynuować zapamiętałe ataki, ale kulturalne towarzystwo wiedziało, komu się należy lojalność. Skoro dla królowej Anglii było to dobre, żadna dama nie chciała pozostać w tyle.
Niezwykle szybko odzyskiwałam siły w połogu, jak nigdy w żadnym przedtem, co też było dowodem na użyteczność narkozy. Dziecko natomiast nie rozwijało się dobrze. Urodził się tłuściutki, był też pogodnym niemowlęciem, chociaż ku memu rozczarowaniu niezbyt pięknym; miał za dużą głowę i pospolity nos. Przez pierwsze tygodnie życia wyglądał bardzo dobrze, ale potem zaczął tracić na wadze. Clark uznał, że dziecko źle trawi, ponieważ mamka jest dla niego nieodpowiednia i nie bez trudności udało się nam wyszukać dla niego inną, przy której, jak się wydawało, nastąpiła pewna poprawa. Myślałam, że Clark rozwiązał problem, ale nie trwało
435
to długo, gdy Leo znowu zaczął chorować i wreszcie została odkryta straszliwa prawda: moje dziecko cierpiało na hemofilię.
Samo już słowo brzmi złowieszczo, jak diabelska sztuczka czarownika. W istocie, było to, jakby ktoś rzucił na mnie straszliwą klątwę. Wprawiło mnie to w osłupienie - i po dziś dzień nie przestaje zadziwiać, ponieważ lekarze są zgodni co do dziedzicznego charakteru choroby, a przecież w mojej rodzinie nigdy jej nie było! Wiem na pewno, nie jest to bowiem rzecz, którą można by ukryć w królewskiej rodzinie; żaden z moich przodków nie cierpiał na taką chorobę. Ani też, na tyle, na ile mogłam to zbadać, nie występowała w rodzinie Koburgów (chociaż tu świadectwa mogą być niekompletne, zwłaszcza dotyczące śmierci dzieci w niemowlęctwie, ponieważ nie zawsze badano przyczynę). Niemniej ani mama, ani Albert nigdy się z nią nie spotkali w rodzinie. Jest ona, jak mówią, przekazywana przez matkę. Nie mogę tego doprawdy zrozumieć.
Och, nie sposób opisać uczuć, których doznaje matka, wiedząc, że zaszczepiła tę ohydną chorobę własnemu dziecku! Za każdym razem, gdy mały Leo chorował, wiedziałam, że to za moją przyczyną i czułam się tak, jakbym własną ręką zatapiała nóż w jego ciele. I ta świadomość, że kres jego cierpieniom nastąpi tylko wtedy, gdy śmierć zabierze jego ukochaną małą duszę. Jakiekolwiek uderzenie, niegroźny upadek - a które normalne dziecko nie spędza połowy dnia, wywracając koziołki i obijając się o różne rzeczy? - mogło wywołać krwawienie; potem nastąpi opuchlizna, gorączka, agonia - przenikliwy płacz, rozdzierający serce - bezradne przyglądanie się cierpieniom bez możliwości ulżenia w bólu. Dziecko może odzyskać siły po ataku choroby lub umrzeć -albo przeżyć, okaleczone. Żyć dzień po dniu z tą świadomością, tego doprawdy matka nie powinna znosić.
Każda matka w tej sytuacji starałaby się chronić swoje dziecko, powstrzymać maleństwo od biegania, niebezpiecznych gier, wspinania się na drzewa - powstrzymać innych członków rodziny od mocowania się czy nieskrępowanej, swobodnej zabawy. Tylko wtedy, gdy Leopold leżał uśpiony w łóżeczku, czułam się bezpieczna (i jakież to się okazało
436
zwodnicze!). Wyrósł na najzdolniejszego z moich synów i najpilniejszego; najbardziej spośród nich przypominał ojca pod względem możliwości umysłu i zdolności przykładania się do pracy. Uwielbiał włoskie malarstwo, które tak lubił Albert, i wcześnie nauczył się je cenić; kochał muzykę najbardziej spośród rodziny, a jego zdolności do nauki języków były niezwykłe. Moje usiłowania, aby nauczyć go dbać o siebie, wprawiały go naturalnie w rozdrażnienie, buntował się i robił te wszystkie rzeczy, którym usiłowałam zapobiec; nic nie mogłam poradzić na to, że podziwiałam hart jego ducha, którego ani choroba, ani obawa śmierci nie zdołały stępić. I chociaż uskarżałam się gorzko na jego samowolę, lekceważenie i omijanie zaleceń lekarzy, prawdopodobnie kochałabym go w głębi duszy mniej, gdyby pokornie akceptował ograniczenia, które usiłowałam mu narzucać.
W 1876 roku drogi Disraeli, zorientowawszy się w zdolnościach Leo i poznawszy jego pragnienie bycia użytecznym, doradził, abym uczyniła go moim sekretarzem; Leo oddał mi znaczne usługi w tym względzie i był niezmiernie dumny, gdy otrzymał klucz do prywatnych dokumentów, którym kiedyś posługiwał się tata. Obawialiśmy się, że nie zdołamy go wychować, tymczasem dorósł

wieku męskiego, służył swojemu krajowi, ożenił się i nawet został ojcem dwojga doskonale zdrowych dzieci. Byłam przeciwna temu, by się żenił, obawiając się, że okaże się to dla niego zbyt wielkim wysiłkiem, ale nalegał uparcie, jak on zwykle. Helena, na którą padł jego wybór, okazała się dobrą, mądrą dziewczyną, umiejącą prowadzić ciekawą rozmowę i interesującą się matematyką, czym mnie sobie zjednała. W niecały rok po ich ślubie przyszła na świat dziewczynka, którą nazwali Alicja.
(Byłam tak straszliwie podekscytowana, gdy przekazano mi tę wiadomość, że spiesząc zobaczyć moją nową wnuczkę, skręciłam kostkę i trzeba było mnie zanieść do ich pokojów. Leo leżał na jednej kanapie, Helena na drugiej i kiedy wniesiono jeszcze jedną bezradną osobę, efekt był doprawdy komiczny!).
Jakaż ironia losu, że ten kruchy Leo przeżył swego ojca. Przez całe dzieciństwo starałam się go uchronić przed upadkami i nieszczęśliwym wypadkiem, a kiedy umarł, na tydzień
437
przed swoimi trzydziestymi pierwszymi urodzinami, nie stało się to w wyniku żadnego gwałtownego wydarzenia, ale w łóżku, w czasie snu, z powodu pęknięcia naczynia krwionośnego w głowie. (Przedziwnym zbiegiem okoliczności zmarł w rocznicę owego okropnego dnia, w którym wbiegł do mojego pokoju z przerażającą wieścią, że mój kochany John Brown odszedł w czasie snu). Był drugim z moich dzieci, które opuściło ten świat przede mną i gorzka to była żałoba -dla mnie samej, z powodu straty, jaką poniosłam. Bo jeśli chodzi o mojego chłopca, nie powinnam się uskarżać; nękało go nieustanne pragnienie zdobycia tego, czego osiągnąć nie mógł, z roku na rok coraz silniejsze, choć wydawało się, że powinno słabnąć.
Leopold umarł w mniej niż dwa lata po tym, jak się ożenił, a jego syn, Karol, przyszedł na świat cztery miesiące po jego śmierci, kochane dziecko, które zawsze uwielbiałam. Helena wspaniale go wychowała, biednego sierotę bez ojca; i teraz, gdy mój biedny kochany Affie podążył za swoim jedynym synem do grobu, Karol będzie rządził Koburgiem, umiłowanym krajem rodzinnym swego dziadka. Myślę, że Albert byłby zadowolony, że Koburg dostał się synowi Leo - synowi syna, o którym myśleliśmy, że nigdy nie dorośnie.
Miałam więcej szczęścia niż moja delikatna, łagodna Alicja, która straciła swojego małego synka, Frittie, gdy miał zaledwie trzy latka, ponieważ wypadł z okna. Frittie był pełen werwy, najżywszym spośród jej dzieci - dlaczego tak się dzieje, że właśnie chorzy na hemofilię synowie często są tacy? - i jej żałoba była przerażająco głęboka. Co do mnie -jakimi słowami miałabym opisać uczucia matki, która nie tylko zaszczepiła chorobę synowi, ale za jej przyczyną jej córka zaszczepiła chorobę swojemu synowi?
A przecież tego nie było w mojej rodzinie! Skąd mogła do nas przyjść ta ohydna choroba? Gdy po raz pierwszy usłyszałam o Leo, rozbrzmiały mi w głowie słowa Lorda Melbourne: „To nie jest zbyt szczęśliwy pomysł, poślubić ciotecznego brata... konsekwencje mogą być nieprzyjemne... dzieci z takiego związku mogą się narodzić... nie całkiem udane". Czy to rzeczywiście możliwe, aby choroba Leo była ową konsekwencją mojego małżeństwa? Nie mogłam znieść
438
tej myśli - nie mogłam wyobrazić sobie, że cokolwiek złego mogło wyniknąć z mojej miłości do Alberta i jego do mnie -odepchnęłam więc tę myśl natychmiast od siebie, nikomu o niej nie wspominając, nawet mojemu najdroższemu. Ale nie znikła, czaiła się w mojej głębokiej trosce o dziecko (wraz z inną obawą, której już w ogóle nie odważyłabym się nazwać), podkopywała moje zdrowie, kruszyła cierpliwość. Wpadałam w depresję, stawałam się nerwowa, poirytowana i na kimże skrupiały się moje wybuchy, jak nie na moim najdroższym? Tak więc znowu błogą sielankę naszego małżeństwa zakłóciły gwałtowne kłótnie; wybuchały raz po raz przez całe cztery lata, gorsze nawet jeszcze niż te, które przetrwaliśmy przed i tuż po urodzeniu się Bertiego.
Ze wszystkich sił usiłowałam panować nad sobą, ale nie sposób pilnować się przez cały czas, a zły duch tylko czyha na okazję. Szalałam; a Albert pisał do mnie listy - chłodne, uprzejme, łagodnie strofujące, współczujące... przeklęte listy!
„Moje drogie dziecko, spróbujmy spokojnie rozważyć fakty w tej sprawie... Często ze zdumieniem obserwuję, jaki efekt wywołuje jedno moje niebacznie wypowiedziane słowo, choć potem zwykle

wyjaśniasz mi w zwykły dla ciebie otwarty sposób, co było rzeczywistą przyczyną Twojego zdenerwowania. Upieram się, że nie jestem sprawcą, choć często bywam przyczyną Twoich cierpień..."
„Przyznaję, że moje metody uzdrowienia sytuacji zawiodły tragicznie przy poprzednich okazjach, ale nie znam żadnych innych. Jeśli się nie odzywam, jestem oskarżany o brak uczuć, twarde serce, zimną obojętność etc, etc. Jeśli wychodzę z pokoju, aby dać Ci czas dojść do siebie, szukasz mnie, aby wszcząć na nowo kłótnię i wszystko sobie wygarnąć...".
„Jest moim obowiązkiem zachować spokój i zamierzam go zachowywać, ponieważ szczerze współczuje Twoim cierpieniom. Gdybyś jednak była mniej zajęta własnymi uczuciami, a bardziej zwracała uwagę na resztę świata, udałoby Ci się unikać tych wybuchów...".
„Czego się we mnie obawiasz? Co mogę Ci zrobić poza tym, że w najgorszym wypadku, nie jestem w stanie Cię wystarczająco długo wysłuchać, ponieważ jestem zajęty tak wieloma sprawami?".
439
Och tak, rzeczywiście, co? Och, Albercie, Albercie, widziałam, wiedziałam, chociaż myślałeś Kleines Frauchen jest zbyt głupiutka, zbyt samolubna, żeby zrozumieć. Ale jak miałam z tobą rozmawiać na ten temat? Nie śmiałam nawet pomyśleć o tym, nawet przyznać tego sama przed sobą. Co dopiero, gdybym miała to napisać; słowo pisane ma wielką siłę, wraca, aby cię prześladować i nękać nieszczęsnym „co by było, gdyby...". Ale przecież wiedziałam, ukochany, i czytałam w twoich oczach, że też wiesz. Patrzyłam, jak z roku na rok odsuwasz się ode mnie, uciekasz od świata, coraz dalej i dalej, aż osunąłeś się w śmierć.
Kiedy przebywaliśmy w Londynie czy Windsorze, praca była świetną wymówką. Cóż, miał jej naprawdę wystarczająco dużo, aby opuszczać mnie na cały dzień, uświetniając zebrania, wygłaszając mowy, wizytując nowe przedsięwzięcia, sadząc drzewa, kładąc kamienie węgielne. Prezydent tysięcy towarzystw, patron tysięcy dobroczynnych imprez, przyjaciel wszystkich wychowawców, uważny słuchacz wszystkich wynalazców - jakże niestrudzenie trwonił swoje siły, zużywając godziny i dni, aby służyć innym, jakby miał ich niewyczerpany zapas. Moim udziałem były śniadania i obiady; patrzyłam więc, jak przełykał pospiesznie śniadanie, czytając gazety i raporty, rujnował sobie żołądek, chcąc zaoszczędzić kilka chwil pracowitego dnia; patrzyłam na niego w czasie obiadu, zbyt zmęczonego, aby jeść, na twarz bladą ze zmęczenia, na jego wysiłki, by zachowywać się uprzejmie, kiedy mieliśmy gości, na to, jak rozweselał rodzinę, jeśli ich nie mieliśmy. Moim udziałem było dzielić z nim łoże, leżeć przytulona do niego w ciemnościach, czując, jak cierpi; jak wyślizguje się w nocy z moich objęć, ostrożnie, aby mnie nie obudzić, i zasiada za biurkiem, żeby pracą zwalczyć bezsenność. Moim udziałem było udawać, że się nie przebudziłam; tyle mogłam dla niego zrobić.
Och, jakże usilnie próbowałam uwolnić go od jego zajęć i trosk; ale nawet z dala od Londynu nie przestawał się trudzić. W Osborne zostawiał mnie na cały dzień, wprowadzając ulepszenia w posiadłości i na farmie; w Balmoral, jeśli nie zajmował się budową lub przygotowywaniem przedsięwzięć
440
filantropijnych, potrafił cały dzień uganiać się za jeleniem, zamęczając się chodzeniem po górach. Właśnie w Balmoral oddalał się ode mnie najbardziej, szukając w dzikich lasach i pośród niezamieszkanych przestrzeni Turyngii swego dzieciństwa, próbując odzyskać coś istotnego, co stracił, a czego potrzebował, aby dalej żyć. Wiedziałam, że właśnie to robi, choć on sądził, że nie wiem. Krążył aż do wyczerpania po gęstych wrzosowiskach i kamiennych ścieżkach, zawsze chętny na dalszą włóczęgę, zawsze niechętny wrócić do domu - bo tu nie było tego, czego szukał. Z początku chodziłam z nim, mając nadzieję, że moja obecność przyniesie mu pocieszenie, ale ponieważ zapuszczał się dalej i maszerował dłużej, niż mogłam wytrzymać, musiałam go zostawić. Potem, chcąc pokonać jak największą przestrzeń, zaczął spędzać w górach noce, początkowo pod namiotem, tylko w towarzystwie swojego lokaja Lohleina i jednego czy dwóch gillie, z czasem w chacie postawionej w Feithort -ledwie jeden pokój, a w nim łóżko, stół, krzesło, piecyk i kilka półek; obok kazał postawić drugą chatę dla towarzyszących mu osób. Zostawał tam na dłużej, dwie, nawet trzy noce. Myślę, że zostałby na zawsze, gdyby nie musiał wracać do swoich zajęć i

obowiązków.
Czułam się taka samotna, z dala od niego, zamartwiając się o małego Leo, o zaręczyny Vicky z Fryderykiem (była stanowczo za młoda, za młoda!), o to, że Bertie nie czyni postępów, o sytuację na świecie, o ostatni kryzys rządowy -i nic nie odrywało mnie od moich zmartwień oprócz tej myśli o najgorszym, którą starałam się od siebie odpędzić. Bałam się o niego przez cały dzień, nigdy nie byłam naprawdę spokojna, z wyjątkiem chwil, gdy był przy mnie; a on wracał zmęczony, z tym wyrazem zagubienia w oczach, jakby przesłaniała je mgła, i wypytywał mnie uprzejmie o to, co robiłam w ciągu dnia, jakbym była mu obca i musiał okazywać mi uprzejmość i zainteresowanie, choćby go to nie wiem ile kosztowało. Ale przynajmniej sypiał dzięki tym wyprawom. Po długim dniu wypełnionym fizyczną aktywnością wtulał zmaltretowane ciało w moje, szukając moich ramion i serca, jakby miało mu to wynagrodzić to, czego nie znalazł, gotowy, aby zaznać czułości, a potem zapomnienia.
441
Kiedy zaczął nocować w swojej górskiej chacie, buntowałam się przeciwko zostawianiu mnie na tak długo samej i pewnego razu wyruszyłam tam za nim. Brown szedł ze mną, prowadząc po niewygodnych ścieżkach kucyka - Brown, którego wybrał dla mnie Albert, aby siedział na koźle, gdy wyjeżdżałam powozem i prowadził kuca, gdy jeździłam konno, dla jego wspaniałej postury, nieskazitelnej uczciwości, prostolinijności, niezależnego charakteru. Zawsze o tym pamiętałam i lubiłam tę myśl, że to Albert wybrał dla mnie Johna Browna na mojego gillie, chociaż nie mógł wówczas przewidzieć, jakiego wielkiego to nabierze znaczenia któregoś dnia. W trzy lata po tym, gdy Albert mnie zostawił, sprowadziłam Browna ze Szkocji, aby mi służył, i nie opuścił mnie nawet na jeden dzień, dopóki nie umarł. To jego zasługa, że przetrwałam te wszystkie jałowe lata. Robił dla mnie wszystko: dostarczał wiadomości, przynosił szal, przykładał bibułę do moich listów, powoził albo prowadził konia - ratował życie, gdy zaszła potrzeba - osuszał łzy, nader często. Gdy mój chód stał się niepewny, to na jego silnym prawym ramieniu spoczywała moja lewa ręka i miałam pewność, że nigdy nie upadnę. Gdy sztywniały mi dłonie, to on zawiązywał wstążki kapelusza i nalewał herbatę - tak, i dolewał „niezły łyczek whisky", aby pomóc mi przetrwać dzień. Był mi matką, pielęgniarzem, strażnikiem i przyjacielem - nade wszystko przyjacielem: najszczerszym, najmilszym; najbardziej bezinteresownym i uczciwym przyjacielem, jakiego tylko można sobie życzyć. A co najważniejsze, zawsze był: nie musiałam po niego posyłać, nawet się za nim rozglądać -wystarczyło wyciągnąć rękę.
Wówczas była to jednak odległa przyszłość. Tego dnia, gdy wyruszyłam do górskiego schronienia Alberta, John Brown był jeszcze młodym, nieśmiałym mężczyzną, poważnym, łatwiej sobie radzącym z końmi niż z ludźmi (zanim podjął u nas służbę, pracował jako stajenny i nie było konia, z którym by sobie nie poradził; ani psa, który by do niego nie przyszedł - uszy położone, merdający ogon - żeby go pogłaskać). Jechaliśmy długo wśród coraz dzikszego krajobrazu i chociaż dzień był piękny, coś złowieszczego czaiło się w oblanych purpurowym światłem nagich szczytach i niebieskawych cieniach
442
w załomach skał. Ale kucyk Fyvie stąpał pewnie i ochoczo, a Brown stawiał przed nim długie kroki, właściwie nie tyle go prowadząc, choć trzymał cugle, ile pozwalając, aby szedł za nim. Okoliczności nie sprzyjały konwersacji. Odezwałam się tylko raz, gdy przystanęliśmy na górskim grzbiecie, dać odetchnąć koniowi.
- Czy będzie padało? - zapytałam, a on przyjrzał się niebu i miałam wrażenie, że wciąga wiatr w nozdrza.
- Nie po tej stronie. Może po tamtej.
I to się sprawdziło. Kiedy wspięliśmy się po zboczu kotliny, zobaczyłam, że po drugiej stronie doliny pada deszcz z granatowej chmury, choć nas oświetlały promienie słońca. Dziwny to był widok, raczej wzbudzający przestrach. Nie miałam ochoty rozmawiać ani się śmiać.
Dotarliśmy wreszcie do obozowiska, które dawało wszelkie oznaki życia; konie stały spętane, sinawy dym unosił się leniwie z ogniska palącego się wśród drzew, dwóch gillie przycupnęło przy drugiej chacie, paląc fajki. Zerwali się na nogi, gdy pies zaczął ujadać, a w drzwiach chaty Alberta

pojawił się Lohlein ze ścierką w dłoniach i zdziwionym wyrazem twarzy. (Przyjechał z Albertem z Koburgu i był mu bardzo oddany. Zatrzymałam go na służbie po śmierci Alberta, ponieważ nie miał dokąd iść. Też już dzisiaj nie żyje. Jedną z kar za długie życie jest ta, że wszystkich się przeżywa).
- Gdzie jest książę? - zapytałam go po niemiecku, a on odpowiedział przepraszającym tonem, jakby się usprawiedliwiał:
- Wyszedł wczesnym rankiem, Wasza Wysokość, o szóstej rano, tropić jelenia. Są z nim panowie Grant i Macdonald, ale nie wiem, kiedy wrócą.
To był prawdziwy cios, ale nie pokazałam po sobie zmieszania.
- Nieważne, mogę trochę poczekać, skoro już tu jestem -powiedziałam.
- Jego Wysokość nie wiedział, że Wasza Miłość przyjedzie - oznajmił Lohlein i zabrzmiało to na poły jak stwierdzenie, a na poły jak nie pozbawione nadziei pytanie.
Nie odpowiadając, pokazałam Brownowi, że chcę zsiąść.
443
- Zostanę chwilę - powtórzyłam. - Możesz zdjąć Fyvie siodło.
Rzucił mi bystre, baczne spojrzenie, a potem pomógł zsiąść. Widząc, że Lohlein wciąż stoi w drzwiach, wyraźnie wytrącony z równowagi, miętosząc w dłoniach ścierkę, Brown odezwał się energicznym tonem:
- No, panie Lowland, może byś pan dał krzesło Jej Wysokości, żeby usiadła, przecież nie mogę tego zrobić, bo muszę odprowadzić konia.
To otrzeźwiło Lohleina. Wyniósł z chaty krzesło i ustawił je przed wejściem, ja usiadłam, a Brown odprowadził konia, aby go przywiązać koło pozostałych, potem przysiadł się do dwóch gillie. Oswoili się wkrótce z sytuacją i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami, ale Brown, jak zauważyłam, nie brał udziału w rozmowie. Siedział, oplótłszy ramionami podciągnięte kolana i obserwował mnie, udając, że tego nie robi.
Czekałam, zastanawiając się, czy się nie za bardzo wygłupiłam, jak długo powinnam tu zostać, czy Albert wróci, czy będzie zły, że mu przeszkadzam. Im dłużej czekałam, tym bardziej czułam się jak głupia, chora z miłości panienka, a nie żona po piętnastu latach małżeństwa. Dzień był spokojny, bezwietrzny, niezwykłe zjawisko w tych górach, smuga dymu unosiła się leniwie i trwała, rozpraszając niezwykle powoli w górze, jakby muślin zawisł na konarach drzew. Zapach dymu przywodził na myśl jesień; czułam też woń żywicy, górskie czyste, chłodne powietrze - same smutne zapachy. Pod moimi stopami leżała warstwa suchych igieł, jak gruby, brązowy dywan; nie dochodziły mnie żadne dźwięki oprócz cichych głosów gillie rozmawiających w języku celtyckim z przyjemnym szkockim akcentem, rzadkich westchnień lub stąpnięć koni, trzasku i skwierczenia płonących gałęzi.
Odchyliłam głowę i spojrzałam w niebo, patrząc przez rysunek z na pół nagich gałęzi drzew i sosnowych szyszek; było niebieskie i puste, prócz jednego krążącego pod nim ptaka, tak wysoko, że nie mogłam rozróżnić, czy to orzeł, kania, czy myszołów. (Kiedy poznałam Alberta, nie odróżniałam jednego ptaka od drugiego, a teraz znam je wszystkie, a także kwiaty i drzewa). Jakiż musi mieć stamtąd widok, pomyślałam, taki musiał mieć Bóg na dzieło stworzenia, na
444
piękną, słodką ziemię, którą możemy teraz oglądać. Nagle moje serce wypełnił bezbrzeżny smutek na widok tego piękna, pragnienie, by je posiąść, niemożliwe do spełnienia. Być może z tego płynie również smutek Alberta, pomyślałam, i z niczego więcej. Może boję się i zamartwiam bez powodu, a on szuka w tych opustoszałych miejscach tylko piękna, które zawsze nam się wymyka. Nie powinnam była tutaj przyjeżdżać, straszyć go moimi głupimi obawami. Powinnam natychmiast odjechać i zostawić go w spokoju.
Jeszcze nie kończąc tej myśli wstałam i Brown, choć wydawało się, że w ogóle na mnie nie patrzy, natychmiast wstał również, z wdziękiem człowieka ćwiczącego fizycznie, jak tancerz z baletu. A potem pies zaszczekał i w chwilę później ujrzeliśmy na ścieżce całą grupę: psy, gillie, konie i Alberta. Niczego nie upolowali, to było widać od razu - konie nosiły na grzbietach tylko siodła. Albert szedł na przedzie w szkockiej spódniczce z szarego tartanu w barwach Balmoral, którą sam zaprojektował, i grubej tweedowej marynarce, trzymając strzelbę na ramieniu. Zmierzał ku polanie,

kierując się prosto na mnie, ale czy to na skutek zwodniczej gry światła, czy dlatego że umysł miał zajęty czym innym, wyraźnie mnie nie widział. Patrzył na mnie, ale widział chatę, jakbym była bezcielesnym duchem.
Zatrzymał się o parę kroków przede mną, jak ślepiec, który wie, że coś stanęło na jego drodze, lecz nie wie co, a ja zobaczyłam go nagle tak wyraziście, jak widzi się tylko obcych. Mężczyzna po trzydziestce, ale wyglądający na starszego; żonaty, ojciec rodziny, o twarzy poznaczonej codzienną troską i obowiązkami; łysiejąca głowa, podwójny podbródek, nadmiar ciała pod kamizelką, zwiotczałe policzki, podpuchnięte oczy. Szczupły młodzieniec o połyskujących złociście włosach i porcelanowej cerze, którego piękność wydawała się nieziemska, jakby anioła zamknięto w ludzkim ciele - gdzie się podział? Nic mnie to nie obchodziło, nie chciałabym go mieć z powrotem - kochałam tego człowieka, który stał naprzeciwko mnie, którego piękność była z tej ziemi; piękność płynąca z doświadczenia i zrozumienia, ludzkiej miłości i szczęścia. Mieszkałam z nim, jadłam i spałam, rodziłam mu dzieci; wszystkie razem spędzone lata niepostrzeżenie,
445
powoli odciskały się na jego twarzy. Kochałam go tak mocno, że omal serce mi nie pękło.
- Albercie - powiedziałam w końcu łagodnie. - Nie jesteś chyba niezadowolony, że mnie widzisz?
Nie odpowiedział. Dzień był pogodny, powietrze nieruchome, ale świeże, pomimo to poczułam zimne strużki potu płynące mi spod pach - ze strachu. Niebieskie oczy patrzyły, nie widząc, światło padało na jego twarz tak dziwnie, że widziałam kontury oczodołów, jakbym mogła przez skórę i ciało dojrzeć czaszkę. Nawet w najukochańszej twarzy można zobaczyć maskę śmierci.
- Albercie! - powiedziałam, przyzywając go desperacko. Jestem zawsze obecna, nawet jeśli tego nie czujesz. Zawsze
cię znajdę, wszędzie dopadnę; nigdzie nie masz przede mną bezpiecznego schronienia, nie skryjesz się. Załóż piękne szaty, oszukuj różami - niczego nie zmienisz. Ja, Wielka Wyzwolicielka, już wyznaczyłam twój kres.
Niesamowita cisza panowała w obozowisku. Zamarły oddechy i powietrze. Ani gałązka w ognisku nie trzasnęła.
- Was machst du hier? - wyszeptał. - Es ist nicht zeit, nicht zeit.
Nie mówił do mnie.
- Es ist Frauchen - powiedziałam z rozpaczą. - Kennst du nicht?
Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch w drugim końcu obozowiska i w tym samym momencie, jakby zdjęto z niego czar, Albert zamrugał oczami i oszołomiony, uniósł niepewnym gestem rękę do czoła. Kiedy ją opuścił, spojrzał na mnie i wreszcie mnie zobaczył; to były jego oczy - niebieskie, piękne, wszystko widzące.
- Nie spodziewałem się ciebie - wyjaśnił. - Błądziłem gdzieś daleko myślami. Moje najdroższe maleństwo, co cię tutaj sprowadza? Nie kłopoty domowe, mam nadzieję?
- Nie, skądże znowu, tylko tak mocno za tobą tęskniłam -powiedziałam nieco drżącym głosem. - Nie mogłam się doczekać, żeby cię zobaczyć.
- Ach, to wspaniale - rzekł z uśmiechem. Ujął moje dłonie, podniósł do ust i pocałował, najpierw jedną, potem drugą.
446
- Czy zjesz ze mną lunch we wrzosach? Wolno mi mieć nadzieję?
Podjęłam grę z ulgą, że wrócił.
- Jeżeli są ziemniaki, zostanę i zjem. Roześmiał się.
- Są ziemniaki. W Szkocji zawsze są ziemniaki! A ty nic ze sobą nie przywiozłaś? Nieprzewidująca królowo! Gdyby nas tu nie było, umierałabyś z głodu.
- Ależ skądże - zaprzeczyłam z godnością. - Brown ustrzeliłby jelenia lub złapał rybę.
Parsknął śmiechem - cudowny dźwięk, dla mnie piękniejszy niż muzyka.
- Ale nawet Brown nie wykopałby ziemniaków z tego zbocza! Kennst du das Land, wo die Kartojfeln bliihnl -zaśpiewał, parafrazując Goethego. Roześmiałam się, a on pociągnął mnie za rękę. - Chodź, kochanie, zobaczymy, czy mamy coś odpowiedniego dla królowej.
To był przemiły lunch, ugotowany przed chatą i zjedzony na świeżym powietrzu, na obrusie

rozłożonym pośród wrzosów. Na przednim planie obrazu mieliśmy purpurę, róż i brąz, nieco dalej szmaragd, indygo i zapierający dech w piersiach stalowy błękit; żadnych dźwięków poza krzykiem cietrzewia i nieco swojskim brzęczeniem pszczół we wrzosach. Jedliśmy wspaniałe gotowane ziemniaki, zimną wołowinę, chleb z mąki owsianej i bardzo smaczny placek z żurawinami, który Lohlein upiekł rano. Otworzył także butelkę czerwonego wina i drugą z wodą selcerską i siedzieliśmy po lunchu tak długo, aż wypiliśmy obie; a potem Grant przygotował herbatę i zaproponował do niej whisky, którą przyniósł nam Brown, zabierając w drodze powrotnej butelkę po winie; ujął ją jednym palcem i kciukiem z tak pogardliwą miną, że musieliśmy się oboje roześmiać. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym podczas jedzenia, bardzo przyjemnie, czas się cofnął, znowu byliśmy młodzi, troski państwowe i rodzinne nie przygarbiły jeszcze naszych pleców.

Po lunchu Albert napisał na kawałku papieru, że byliśmy tutaj, potem nasze imiona i datę, włożył kartkę do butelki po wodzie i zakopał ją w miejscu, gdzie jedliśmy - od pewnego czasu zawsze, gdy odwiedziliśmy jakieś miejsce, które szczególnie

nam się podobało, robiliśmy coś takiego. Kiedy będziemy starzy, mówił Albert, wrócimy, odkopiemy je i odżyją dawne szczęśliwe chwile.

Potem siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, popołudniowe słońce świeciło słabiej, cienie nie były już tak wyraźne.

- No więc - zaczęłam nieco figlarnie - jesteś zadowolony, że tu za tobą przyjechałam?
- Bardzo - powiedział, wziął moją rękę i zaczął w zamyśleniu obracać pierścionek na moim palcu. - Ale dlaczego przyjechałaś?
- Bo czułam się bez ciebie straszliwie samotna.
- Miałem być tutaj tylko dwa dni. Inni ludzie rozdzielają się czasem na kilka dni.
- Nie jesteśmy inni ludzie. Nawet jeśli coś jest w zwyczaju, nie muszę tego uznawać. Bez ciebie wszystko traci barwę. Rozdzielenie się z tobą nawet na dwa dni zawsze będzie dla mnie straszliwą męczarnią... i nie ustaję prosić Boga, aby nie pozwolił mi ciebie przeżyć.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Dlaczego to powiedziałaś?
- Bo nie mogłabym żyć bez ciebie - odparłam zdenerwowana. Wiedziałam, że nie jest to właściwa odpowiedź na jego pytanie, ale inna nie przeszłaby mi przez gardło.
- Mogłabyś - powiedział poważnie i stanowczo. - Nigdy nie doceniałaś swoich możliwości, Wiktorio. Dasz sobie doskonale radę beze mnie, ponieważ jest w tobie wielka siła, która pomoże ci przetrwać. Ale... gdyby z tobą coś się miało stać, będzie po mnie. Ja sobie nie dam bez ciebie rady.

Teraz do zdenerwowania dołączyła się nieśmiałość.

- Ty? - zaczęłam niedowierzającym tonem, a on uścisnął mi dłoń, jakby chciał mnie uciszyć.
- Przecież wiesz... z całą pewnością wiesz, że nie leży w mojej naturze okazywanie uczuć. Rzadko udaje mi się je opisać, a jeśli nawet, to i tak słowa są niedoskonałe i zimne, mizerne echo tego, co naprawdę czuję. Ale mówić o tym... opisać ci... powiedzieć, patrząc ci prosto w oczy, co kryje moje serce... - Przerwał, odwrócił ode mnie wzrok, na policzkach rozlały się czerwone plamy. Wzruszyło mnie to i zachwyciło: mężczyzna, którego żoną byłam od tylu lat, wciąż

potrafił się czerwienić w mojej obecności. - Żałuję, że nie umiem ci tego powiedzieć, moja najdroższa maleńka, ile dla mnie znaczysz. Znajduję przy tobie bezpieczeństwo. Jesteś moją twierdzą. Wiesz o tym?

Nie byłam w stanie wypowiedzieć ani słowa i chyba dobrze się złożyło; uścisnęłam tylko gorąco jego dłoń, a on moją w odpowiedzi. A potem, wpatrując się w dolinę przed nami, odezwał się niezwykle cichym, łagodnym głosem:

- Musisz mi okazać wielkoduszność, a wiem, że potrafisz, i nie żądać ode mnie, abym cię przeżył. Jeśli mnie kochasz, musisz pozwolić, abym odszedł pierwszy.
- Och, nie, nie! - wykrzyknęłam i przygryzłam wargę, chcąc powstrzymać jej drżenie.

Opanowałam się i postarałam mówić lekkim tonem: - Obiecałeś mi, że się razem zestarzejemy.

Mówiłeś, że będziemy razem spacerowali po tarasach ogrodu w Osborne, a wokół nas będą swawolić wnuki.
- Tak - rzekł z uśmiechem, jakby miał przed oczami tę czarującą scenę, a nie porośnięte wrzosami zbocze.
- Musimy się razem zestarzeć. Bóg nas na pewno nigdy nie rozdzieli! - wykrzyknęłam.
- Oczywiście, że nie rozdzieli - zgodził się Albert. Przez chwilę milczał, a ja nie śmiałam się odezwać, zbyt ciężko było mi na sercu. - Wiesz przecież, że życie tutaj to tylko początek - powiedział łagodnym tonem. - Cokolwiek się tu dzieje, musimy pamiętać, że to tylko przygotowanie do życia, które potem nastąpi.
Skinęłam głową, przełknęłam ślinę i zdołałam wykrztusić:
- Czy my... my będziemy tam razem?
Odwrócił się i spojrzał na mnie, jakby rozbawiło go to pytanie.
- Ależ oczywiście że tak! Czy ty w to nie wierzysz?
- Tak, tak... Nie byłam pewna, czy ty wierzysz. - Obawiałam się, że jego wizja nieba jest zbyt surowa, aby było w niej miejsce na małe, proste radości.
- Nie wiemy, w jakiej postaci się tam spotkamy, ale że jedno rozpozna drugie i że będziemy razem całą wieczność, tego jestem absolutnie pewien - powiedział z naciskiem. Ujął moją dłoń i popatrzył na mnie szczerym wzrokiem. - Właśnie dlatego nie boję się śmierci. Czy myślisz, że umierałbym

chętnie, gdybym miał cię na zawsze zostawić? Bóg, który jest miłością, nie napełniłby nas tęsknotą za sobą nawzajem, gdybyśmy nie mieli na zawsze być razem. To by było zbyt okrutne! Nie potrafiłbym czcić okrutnego Boga.
Jego ciepła dłoń, dłoń żyjącego człowieka, obejmowała moją, piękne, niebieskie oczy płonęły entuzjazmem, który jak zawsze i mnie się udzielił.
- Nie - tyle tylko mogłam powiedzieć, aby mu okazać, że się z nim zgadzam; choć przecież nie do końca. Bardzo to było pocieszające, usłyszeć, że równie gorąco jak ja wierzy w życie pozagrobowe, ale według mnie zbyt lekko sobie ważył doczesne. Kochałam jego umysł i duszę, ale kochałam również ciało i chciałam, aby nasze życie wieczne w niebie nastąpiło po jak najdłuższym cielesnym tutaj, na ziemi. Nie chciałam, żeby „umierał chętnie", dopóki nasze ciała nie staną się naprawdę stare i kruche; wtedy i ja umarłabym chętnie zaraz po nim.

31 października 1900.

Czy okropnym wydarzeniom tego roku nastąpi kiedyś kres? Straszliwa wiadomość nadeszła z Pretorii, że nasz drogi Christl zmarł od malarii i duru brzusznego. Miał dopiero dwadzieścia trzy lata - wesoły, odważny, życzliwy chłopiec -i wszyscy byliśmy tacy dumni z jego wyczynów. Dlaczego jest tak, że Bóg zabiera najlepszych tak młodo? To okrutne, okrutne! Jeszcze trzy tygodnie i byłby z nami - pisał z taką radością do Lenchen o powrocie do domu, cieszył się, że zobaczy znowu przyjaciół, krewnych, swoje ukochane psy. Thora, biedne dziecko, jest jak odrętwiała z żalu - lubiła go najbardziej z wszystkich braci, byli sobie bardzo bliscy. Kochała go ponad wszystko na tej ziemi. Biedna Lenchen znosi to bardzo dzielnie, ale ja wiem, jaki to dla niej cios. Była z niego taka dumna - jak my wszyscy - och, Boże, ta przeklęta, przeklęta wojna! Słusznie nazywają ten ląd Czarnym Kontynentem! Nie mogę uwierzyć, że on odszedł.
Wczoraj przyszedł do mnie mały Maurycy, z oczyma zaczerwienionymi od płaczu, na małej twarzyczce malowała się niezwykła powaga.

- Babciu - powiedział - zdecydowałem, że gdy tylko wystarczająco podrosnę, wstąpię do pułku Christla. Chcę być tak samo dobrym żołnierzem jak on.
Byłam tak wzruszona, że nie mogłam mówić. Uwielbiał swojego ciotecznego brata tak bardzo, a przez ostatnich kilka lat jego marzeniem było wstąpić do armii, czego przecież raczej nie będzie mógł zrobić, ponieważ cierpi na hemofilię. Trudno się jednak zdobyć na tłumienie tak szlachetnych

uczuć jak jego.
Ile ciosów może znieść jedna osoba? Jestem taka przygnębiona i nieszczęśliwa, nie mam apetytu, a przekleństwo bezsenności całkowicie wytrąca mnie ze zwykłego rytmu dnia. Ale nawet w najczarniejszej godzinie doznajemy chwil ulgi. Podczas niedzielnej mszy w kościele w Crathie pastor modlił się z niezwykłą powagą, aby Bóg był łaskaw obdarzyć mądrością rząd Jej Królewskiej Wysokości, „ponieważ srodze tego potrzebują, o Panie!". Stwórca słusznie obdarował rodzaj ludzki poczuciem humoru; bardzo to pomaga przejść przez próby zsyłane na nas na tym świecie - a jest ich tak wiele i tak ciężkie!
Muszę kontynuować swoją opowieść. Czuję niemal przymus, aby ją ukończyć - to prawdopodobnie spuścizna po Lehzen i zasługa jej „treningu"; człowiek powinien ukończyć to, co zaczął. Nie wiem, ile mi jeszcze czasu zostało. Cóż, nigdy się tego nie wie, nawet najmłodsi i najsilniejsi z nas nie są tego pewni. Och Boże, biedny, biedny Christl! I jak nasz drogi Liko, uległ nie wrogowi, a sile ohydnej choroby. I biedny Affie też odszedł. I biedna Vicky - ostry atak choroby przeszedł, ale wciąż nie może pisać i przesyła mi tylko pozdrowienia przez Zofię. Och, czym to się skończy? Nie, muszę gdzie indziej zwrócić myśli. Muszę pisać, pisać, pisać.
Dziwna rzecz z lordem Palmerstonem. Uważałam, że jest fascynujący, kiedy byłam młoda, jeszcze za czasów lorda M. - a nawet wcześniej, bo przecież spotykałam go, zanim zostałam królową, jako gościa na obiedzie i zawsze przyjemnie i ciekawie mi się z nim rozmawiało. Jako minister spraw zagranicznych był natomiast prawdziwym utrapieniem - traktując ministerstwo

jako swoje odrębne królestwo i kierując się swoimi uprzedzeniami, nader często wplątywał nas w kłopotliwe sytuacje, postępując wedle własnego widzimisię, nie tylko bez naszego upoważnienia, ale czasem wręcz wbrew decyzjom Rady Ministrów.
Niemniej gdy przyszło do wojny krymskiej, nie pozostało nam nic innego, jak zaakceptować go jako premiera; po pierwsze, ponieważ w kraju się tego domagano - tylko z „Pamem" możemy zwyciężyć, i z nikim poza nim, powtarzano - po drugie, ponieważ nie było nikogo innego, kto zdołałby zyskać wystarczające poparcie, aby móc sformować rząd. Bóg jeden wie, że próbowałam go kimś zastąpić, walczyłam o to całymi dniami, podróżując tam i z powrotem z Windsoru do Londynu mimo nadzwyczaj zniechęcającej pogody (działo się to w styczniu i lutym 1855 roku); rozmawiałam z każdym politykiem, który według mnie mógłby mieć szansę na powodzenie - Derbym, Landsdowne'em, Russellem. Nic to nie dało. Nawet Derby powiedział: „To musi być Palmerston", chociaż przyznał całkiem szczerze, że siedemdziesięciojednoletni Pam okres świetności ma dawno za sobą. Był na wpół ślepy, więcej niż na wpół głuchy, nieskuteczny i nieprzewidywalny. Gdy został premierem, otoczony odpowiedzialnymi ludźmi, nie mógł wyrządzać szkody, i okazało się, że z czasem go nawet polubiłam. Albert i ja zgodziliśmy się co do tego, że ze wszystkich naszych premierów ten nieszczęsny stary grzesznik sprawiał nam najmniej kłopotów, był w miarę odpowiedzialny i podatny na nasze sugestie. Gdy mu odjęto troskę o politykę zagraniczną, a narzucono odpowiedzialność za cały kraj, okazał się całkiem sensownym premierem o otwartym umyśle, a co najważniejsze, mogliśmy być z Albertem pewni, że zawsze miał na względzie dobro i honor Anglii.
Trzeba zacząć od tego, że zdecydowanie nie chciałam wojny, cały kraj natomiast pragnął jej gorąco. Młodzi mężczyźni -i całkiem niemłodzi - aż się palili do wyjazdu i walki z wrogiem, czasami odnosiłam wrażenie, że nieważne z jakim. Wiele się mówiło o „pełnych chwały czynach wojennych", prasa grzmiała przeciwko nawołującym do pokoju, zupełnie jakby wojna była rodzajem zachwycającej działalności poza

granicami kraju, w której wszyscy oprócz nas chcieli brać udział. W końcu ja również nabrałam przekonania, że lepiej zacząć wojnę i raz ją skończyć, niż próbować ratowania za wszelką cenę pokoju i doprowadzić do wybuchu znacznie groźniejszego konfliktu; że jeśli nie zdusi się rosyjskiej agresji w zarodku, rozwinie się ona do monstrualnych rozmiarów i wówczas znacznie trudniej będzie ją powściągnąć.
Nabrawszy tego przekonania, zrozumiałam również, że zawsze miałam rację. Nigdy nie ufałam

Wielkiemu Niedźwiedziowi, a car Mikołaj (chociaż miał wiele dobrych cech i nawet go polubiłam po jego niespodziewanej wizycie w Anglii w 1844 roku) był szalony i nie nazbyt mądry - nadzwyczaj niebezpieczne połączenie. Jego nagła śmierć w marcu 1855 roku (podobno serce mu pękło po naszych zwycięstwach w Inkermanie i Bałakławie, gdzie według wszelkiej logiki, biorąc pod uwagę zaopatrzenie i liczbę wojsk, powinni zwyciężyć Rosjanie) pozbawiła Rosjan impetu; mimo to obawiam się, że Niedźwiedziowi można co najwyżej przytrzeć łapy i zapędzić go z powrotem do jaskini. Nigdy nie zdarzyło się, aby jakiekolwiek państwo podbiło Rosję - jest na to zbyt rozległa, zbyt zimna, a jej populacja mocno rozproszona (a gdyby ją nawet podbić, cóż by komu z tego przyszło? Nie jest to kraj, w którym chciałabym panować). Wojna krymska skończyła się równie beznadziejnie, jak zaczęła, ponieważ Sewastopol padł po długim i wyczerpującym oblężeniu przez Francuzów i doprawdy trudno mi było znieść myśl, że pokój zawarto, zanim nasi dzielni żołnierze zdołali przypieczętować swój udział w walkach jakimś świetnym zwycięstwem, co im się przecież należało i za co wielu z nich zapłaciło życiem. Armia francuska była jednak tak zdziesiątkowana chorobami, że nie nadawała się do dalszej walki, i w rezultacie pokój zawarto w marcu 1856 roku. Palmerston zdobył sobie mój podziw, walcząc zawzięcie o uzyskanie jak najlepszych dla nas warunków pokoju; Rosjanie zostali w efekcie odepchnięci od Morza Czarnego i nie utrzymali Konstantynopola.

Jedną dobrą konsekwencją wojny było to, że dała impuls do rozwinięcia techniki fotografii, w konsekwencji czego upowszechniono tę sztukę ku pożytkowi wszystkich. Po raz pierwszy zwyczajni ludzie, którzy nie wyruszyli na wojnę,

453

zostali w domu, mogli zobaczyć na własne oczy, jak to jest na froncie; fotografie i doniesienia wstrząsnęły całym narodem i wpłynęły na polepszenie losu prostych żołnierzy. To z kolei podniosło ich morale, a w konsekwencji sztukę wojenną. (Książę prawdopodobnie przewróciłby się w grobie, gdyby to przeczytał! Zostało jednak udowodnione, że jeśli się pozwoli na przykład, aby mężczyźni pozostający w służbie armii przesyłali część żołdu rodzinom, podnosi to ich morale i czyni z nich lepszych żołnierzy; ponieważ mają możliwość zadbać o tych, których kochają, nie odczuwają już tak silnej pokusy, aby zdezerterować i powrócić do domu). Poprawa opieki nad rannymi w szpitalach również przyniosła dla wszystkich wiele dobrego, wpłynęła bowiem na polepszenie warunków leczenia również w cywilnych szpitalach; już samo zapewnienie dostępu świeżego powietrza i rozwój kanalizacji uchroniły setki istnień. Muszę jednak przyznać, że wciąż odczuwam pewien niepokój związany z kobietami zajmującymi się pielęgniarstwem; stało się to co prawda tak powszechne ostatnimi czasy, że jest uważane za rzecz naturalną i ostatecznie dopóki pielęgniarkami są zamężne kobiety, wywodzące się z przyzwoitych kręgów klasy pracującej, nie ma, jak sądzę, powodu do obaw. Rozmawiałam kilka razy z panną Nightingale i zawsze z obawą, jak to, czego doświadczyła, na nią wpłynęło, ale okazała się zachwycającą istotą, rozsądną, o szerokich horyzontach, w żaden sposób nie przejawiającą cech męskich, nawet odrobinę nieśmiałą, bardzo łagodną i w istocie zachowującą się jak dama. Ale to wybitna osoba i obawiam się, że nie na każdej młodej dziewczynie można polegać i ufać, że nie straci głowy i zachowa panieńską skromność w tych warunkach; dlatego też nie sądzę, by pozwalanie młodym dziewczynom na pielęgnowanie chorych było z gruntu dobrym pomysłem.

Kiedy wojna się skończyła, uważałam, że wszyscy członkowie rządu mają pełną świadomość roli, jaką odegrał w niej Albert. Oznaczała dla niego nie kończącą się dodatkową pracę i doprawdy nie wiem, jak byśmy przez nią przebrnęli, gdyby nie jego zdolność precyzyjnego myślenia, żelazne zasady, niewiarygodna pamięć do szczegółów, zwłaszcza że służby rządowe działały gorzej niż kiedykolwiek, niemrawo i niewydajnie.

454

Granville twierdził, że Albert lepiej ogarnia całość problemów poszczególnych ministerstw niż kierujący nimi ministrowie; Landsdowne, że Albert uchronił rząd od niezliczonej liczby potknięć; Clarendon (który w czasie wojny pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych), że Albert „oddał rządowi niezwykłe usługi" i „przesłał najbardziej sensowne uwagi, jakie kiedykolwiek w życiu czytał". Nawet Palmerston (który jak się dowiedziałam, nie miał największego mniemania o

Albercie, ponieważ tak bardzo różnili się temperamentem i cechami psychicznymi) powiedział, że Albert jest wielkim człowiekiem o niezwykłych zdolnościach i w istocie szczęśliwie się dla Anglii zdarzyło, że królowa wybrała na męża takiego właśnie księcia.
Wtedy tego naturalnie nie wiedziałam, niemniej zauważyłam, że zaczęli się obaj lepiej rozumieć, a Palmerston odnosił się cieplej i z większym szacunkiem do mojego najdroższego, toteż w czerwcu 1856 roku napisałam do niego długi list, podnosząc na nowo starą kwestię, która nie przestała mnie dręczyć, a którą mały Artur formułował na swój niewinny, dziecinny sposób:
- Jeśli ty jesteś królową, mamusiu, dlaczego tatuś nie jest królem?
Pisałam zatem: „Dziwne jest to przeoczenie w naszej Konstytucji, że podczas gdy żonie króla należy się najwyższa pozycja i szacunek w kraju, które jej mąż przenosi na nią na mocy prawa, mąż panującej królowej jest przez to samo prawo kompletnie pomijany. Tym bardziej to niezwykłe w kraju, który zapewnia mężowi wszelkie prawa wobec żony i daje nad nią całkowitą władzę, a królowa przecież została poślubiona, jak każda kobieta, i przyrzekała służyć i być posłuszną swemu mężowi".
Dalej dowodziłam, że członkowie królewskiej rodziny uchylali się wprawdzie na początku od określenia pozycji Alberta, ale teraz, gdy wszyscy pomarli, powinno się tę sprawę ustalić dla dobra Alberta i wszystkich przyszłych małżonków panującej królowej. Najchętniej powitałabym dla niego tytuł króla, lecz rozumiem, że mogłoby to wzniecić oburzenie w kraju jako rzecz niezwykła, przystanę więc na księcia małżonka, co wraz z prawem pierwszeństwa, zaraz za królową,
455
powinno zostać przyznane raz na zawsze każdemu mężowi panującej królowej. Podkreślałam niezręczność obecnej sytuacji: że moje dzieci oficjalnie mają pierwszeństwo przed ojcem, któremu ja ślubowałam być posłuszna, co obraża nas oboje; że kiedy wyjeżdżamy za granicę, mąż królowej Anglii jest przyjmowany jako młodszy brat księcia Koburgu, co przynosi uszczerbek i Koronie, i Anglii; że w moim własnym kraju mój mąż jest niezmiennie traktowany jak cudzoziemiec - „królowa i jej cudzoziemski mąż, książę Albert Sasko Koburski" - co nie sprzyja powszechnemu zrozumieniu, jakie zasługi położył dla naszego kraju.
Byłam przekonana, że tym razem parlament nie będzie oponował; tym bardziej że żadne prośby o podwyższenie pensji Alberta nie miały być przy tej okazji przedkładane, o czym Izba Gmin została zapewniona. Albertowi nie zależało na tym wszystkim tak jak mnie. Zgadzał się z moimi argumentami, ale twierdził, że w praktyce nie mają znaczenia.
- Robię to, co do mnie należy, bo to mój obowiązek, a nie dla uznania... przecież wiesz.
- Wiem, oczywiście, ale powinieneś cieszyć się uznaniem.
I nienawidzę, jak Wytwornisie nazywają cię Niemcem.
- I nie przestaną, niezależnie od tytułu, jaki bym nosił, Liebchen - rzekł z uśmiechem. - Nigdy nie stanę się ich ulubieńcem. Musi mi wystarczyć miłość najlepszej żony na świecie i najwspanialszych dzieci na świecie.
- Cóż, w każdym razie nie powinni cię lekceważyć po zagranicznych dworach - powiedziałam, mając nadzieję, że poczuje po tym urazę za sposób, w jaki się go traktuje, bo sama dobrze pamiętałam, jak w roku 1845 król Prus oddał miejsce, które należało się Albertowi jakiemuś wujowi cesarza Austrii!
- Wolałbym, żebyś sobie tym nie zawracała głowy, moja kochana - oznajmił łagodnie. - Tylko podsycasz w sobie rozczarowanie.
- Nonsens - oświadczyłam, ale miał rację.
Najpierw przełożono obrady nad projektem stosownej ustawy, ponieważ zbyt wiele zebrało się pilnych spraw; kiedy zaś rząd zebrał się wreszcie, aby to przedyskutować w marcu 1857 roku, wysunięto całkiem nowe obiekcje, które uznałam
456
po siedemnastu latach życia Alberta w tym kraju za trudne do przełknięcia. Twierdzili, że na mocy zwyczaju i prawa panującego w Anglii to mąż przekazuje tytuł żonie, a nie odwrotnie; poza tym, jeśli mąż panującej królowej ma być traktowany jak żona króla, powinien zyskać tytuł króla małżonka, a zatem w razie śmierci panującej królowej może się ożenić powtórnie i uczynić swą

żonę królową. Co więcej, proponowana przeze mnie ustawa zapewnia królewskiemu małżonkowi pierwszeństwo na drodze do tronu przed księciem Walii, pozbawiając tego ostatniego praw do tytułu bezpośredniego następcy tronu, gwarantowanego mu przez Konstytucję, i stwarzając niebezpieczną sytuację w wypadku wcześniejszej śmierci królowej.
Ja szalałam; Albert zachowywał filozoficzny spokój; Palmerston, choć w dyskretny sposób okazywał mi współczucie z powodu rozczarowania, jakiego doznałam, był całkowicie przekonany, że nic się nie da zrobić.
- Oficjalna pozycja, pani, to delikatna materia... prawo do zasiadania w Izbie Lordów i Radzie Przybocznej... tytuł następcy tronu... obawiam się, że nie znajdę poplecznikow, nie wspominając o przeforsowaniu ustawy w Izbie Gmin. - Wybuchłam gniewem, a on, pozwoliwszy mi się wyszaleć, dodał spokojnie: - Pozycja panującej królowej jest pod pewnymi względami dziwna, pani. Na szczęście wielkość naszej konstytucji polega na tym, czego nie określa. Jego Wysokość ma przyjemność cieszyć się władzą i wpływami w kraju i rządzie, które gdyby je określono prawem, wielu by przeraziły i w efekcie mogłoby to się skończyć pozbawieniem nas jego nieocenionej pomocy. - Trochę mnie to udobruchało, ale wciąż byłam rozdrażniona, co biedny stary grzesznik oczywiście zauważył. - Gdyby wolno mi było doradzić ci, pani, możesz przyznać księciu tytuł małżonka patentem. Można by to było uczynić natychmiast. Wymagałoby tylko tyle czasu, ile potrzeba na naszkicowanie dokumentu.
- A kwestia pierwszeństwa? - zapytałam sucho.
- Zaraz po Waszej Miłości, jeśli nie zostanie to określone inaczej odrębną uchwałą parlamentu. - Jakbym słyszała lorda M. wypowiadającego te słowa. Uśmiechnęłam się w duchu. Siedemnaście lat i znaleźliśmy się w punkcie wyjścia!
457
Ale tym razem dostrzegłam korzyści nieprecyzyjnych sformułowań. Można je bardzo swobodnie naginać, zanim okaże się, że dalej już posunąć się nie sposób; brak wyraźnych ustaleń można obrócić na swoją korzyść, jeśli tylko postępuje się dostatecznie chytrze. - W ten sposób Jego Wysokość uzyska angielski tytuł - podsuwał Palmerston kusząco.
- Jego Królewska Wysokość - sprostowałam oschle. -Tak, to powinno wystarczyć, aby nie traktowano go na cudzoziemskich dworach wyłącznie jako młodszego syna dynastii sasko koburskiej. Cóż, w takim razie proszę do tego doprowadzić najszybciej, jak to możliwe. Jeszcze przed zakończeniem sezonu chciałabym słyszeć, jak go tytułują księciem małżonkiem.
Osiągnęliśmy to, choć w ostatnim momencie: 25 czerwca mój najdroższy oficjalnie otrzymał tytuł, który od dawna mu się należał.
Do tego czasu wydarzyły się również inne szczęśliwe rzeczy. Rok 1856 należał do udanych, sezon do najbardziej wesołych i ożywionych, zapanowała bowiem powszechna ulga: wojna się skończyła, synowie powrócili do domów. Bale i bankiety dodawały splendoru Londynowi, sezon w operze był doprawdy zachwycający, a my z ogromną przyjemnością patrzyliśmy na rozwój uczucia między Fryderykiem i Vicky, którym pozwoliliśmy na sekretne zaręczyny. W maju ukończono w pałacu Buckingham nową salę balowo koncertową, według projektu Alberta, i wydaliśmy w niej pierwszy bal, zarazem wprowadzając Vicky do towarzystwa. Przez cały sezon tańczyłam niestrudzenie i miałam przyjemność słuchania komplementów, że jestem najwdzięczniejszą tancerką na świecie.
Ponieważ wojna się skończyła, Albert miał nieco mniej (tylko nieco) pracy i zmartwień, a zaręczyny Fryderyka i Vicky (krok na drodze do spełnienia się jego wielkiego marzenia, aby zjednoczyć Niemcy pod liberalnym przewodnictwem Prus) uszczęśliwiły go i sprawiły, że poczuł się nieco odprężony. Spędziliśmy bardzo przyjemnie czas w Osborne, zwłaszcza że przypłynął nasz nowy jacht (także nazwany Wiktoria i Albert, ale o sto stóp dłuższy niż poprzedni, tak duży i przestronny, że czułam się na nim odrobinę zagubiona), a potem pojechaliśmy do Balmoral, gdzie ku zadowoleniu
458
Alberta stwierdziliśmy, że nowy dom ukończono, a po starym nie ma ani śladu. Tak więc nie było dla mnie zaskoczeniem pośród tych wszystkich radosnych wydarzeń, gdy odkryłam, że jestem znowu w ciąży; czternastego kwietnia 1857 roku -znowu pod błogosławionym, uśmierzającym

działaniem chloroformu - przyszła na świat Beatrycze. Od początku słusznie przeczuwaliśmy, że będzie to najpiękniejszy kwiatuszek w naszym bukiecie. Nazwaliśmy ją na początku Baby, jak większość rodzin nazywa swoje nowo narodzone dzieci, ale w jej przypadku imię pasowało do osoby i stało się jej codziennym, pieszczotliwym zawołaniem.
(Kilka lat później przyjechał starszy syn Vicky, Willy, i usłyszawszy, że inni tak ją nazywają, zaczął na nią wołać Baby, niesforny chłopak. Kiedy go upomniano, że jest jego ciotką, chociaż ledwie dwa lata starszą i powinien zwracać się do niej z szacunkiem, zbuntował się i ostatecznie wybrnął z sytuacji, nazywając ją ciocią Baby, z czego się serdecznie uśmiałam - oczywiście nie w jego obecności).
Mój drogi Clark, gdy już wstałam z połogu, przyszedł specjalnie, aby mnie przestrzec, że nie powinnam mieć więcej dzieci.
- Jej Wysokość jest takiej konstytucji, że nie zniesie kolejnego porodu - powiedział z ogromnym naciskiem. - Z całą stanowczością odradzam ważenie się na taki eksperyment.
Przerażająca możliwość roztoczyła się przede mną.
- Ależ doktorze! - wykrzyknęłam. - Czy to oznacza, że koniec z radością w łóżku?
Odwrócił wzrok i zaczerwienił się, jak zawsze, gdy mu zadawałam pytanie, które uważał za delikatne (co mnie doprowadzało do szału, zwłaszcza gdy pomyślałam sobie, jaką znajomość mojej anatomii posiada: skoro ja mogłam znieść myśl o tym, ile o mnie wie, dlaczego on nie mógł?), odchrząknął i stwierdził, że książę jest chyba właściwszą osobą, aby mnie oświecić w tej kwestii. Tylko że księcia nie było akurat pod ręką i musiałam czekać do nocy, abyśmy wreszcie zostali sami, spędziłam więc ten dzień, czując się podle, nieszczęśliwa w obliczu tej przerażającej perspektywy. Powtórzyłam mu, kiedy zostaliśmy sami, co mi Clark doradził.
459
- Cóż, moja maleńka, myślałem, że nienawidzisz rodzenia dzieci - powiedział Albert z czułym uśmiechem. - Nie jesteś zadowolona, że masz to wreszcie za sobą?
- Nienawidzę być w ciąży - odparłam - ale lubię je mieć, gdy już przyjdą na świat. Uważasz mnie za matkę bez serca, która życzyłaby któremukolwiek z naszych dzieci, aby się nie narodziło?
- Nie, wcale tak nie myślę. Ale dziewięcioro to przyjemna rodzina, nie sądzisz? I mieliśmy tyle szczęścia, że żadnego z nich nie straciliśmy...
- Unberufen! - podpowiedziałam mu szybko, myśląc o Leopoldzie i skrzyżowałam palce dla lepszego efektu.
- Unberufen - powtórzył Albert posłusznie. - Dziewięcioro uroczych dzieci to chyba wystarczy?
- Nie lubię, kiedy mi się coś każe - utyskiwałam. - To ja powinnam decydować, a nie Clark.
- Ja już nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie? -drażnił się ze mną Albert.
- A właśnie - powiedziałam szybko. - To mi przypomniało o innej rzeczy. - I powtórzyłam drugą część rozmowy.
Albert zaśmiał się.
- Biedny człowiek, przyprawiasz go o istne męki, droga żono!
- Ale co miał na myśli? - nalegałam. - Co mi masz wyjaśnić?
Teraz i Albert się zaczerwienił.
- No więc, moje serce, można robić pewne rzeczy... podobne do tego, co my robimy... ale nie grożące zajściem w ciążę. Pewnych rzeczy nie doprowadza się do końca...
Zastanowiłam się nad tym, wyobraźnia podsuwała mi różne obrazy.
- Nie podoba mi się to - powiedziałam w końcu. - To jakbyś płacił fałszywą monetą. Chcę, żeby pomiędzy nami wszystko działo się uczciwie i naprawdę. - Ujęłam jego dłoń. - Czy nie możemy zachowywać się jak dotąd i zaufać Bogu? Nie chcę myśleć o tym, że już nie będę miała dzieci. Nie chcę, żebyś mnie nie mógł kochać w pełni, jak dotąd. Zdajmy się na Boga.
- Chyba za wielki ciężar składasz na barkach Boga -
460
powiedział Albert z powątpiewaniem, obracając pierścionek na moim palcu. - Powinniśmy brać odpowiedzialność za nasze życie i sami podejmować decyzje.
- Cóż, właśnie ją podjęłam - stwierdziłam stanowczo.

- A rada doktora Clarka? - spytał Albert.
- Lekarze nie wiedzą wszystkiego - odparłam.

Część Piąta.
ZIMA.

Rozdział Dziewiętnasty.
12 listopada 1900 w Windsorze.

Dzisiejszego ranka zaprzysięgałam nową Radę Przyboczną; lordowi Salisbury udało się znowu powrócić, chociaż ma minimalną większość. Aż trudno to nazwać wyborem, co też mu powiedziałam (prasa pisała o „pozornych wyborach" i padło wiele słów krytyki, czego się zresztą spodziewałam). Sprawia wrażenie wyczerpanego, ale ma zrezygnować z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, co mu na pewno ujmie obowiązków. Ministrem spraw zagranicznych ma zostać Landsdowne, co wszystkich zadowala. Szykuje się ponadto wiele innych zmian i nie zamierzam udawać, że uważam je za interesujące. Niemniej cieszę się, że to jednak konserwatyści i nie muszę się przyzwyczajać do nowego premiera. Salisbury i ja zgadzamy się niemal we wszystkim i rozumiemy w pół słowa.
Mamy teraz konserwatystów i liberałów, zamiast jak wtedy, gdy byłam dziewczyną, wigów i torysów. Och, jakąż zagorzałą byłam zwolenniczką wigów, a przeciwniczką torysów! Aż trudno mi w to dzisiaj uwierzyć, zwłaszcza gdy pomyślę, jak niewiele dzieliło te partie różnic: obie wywodziły się z tych samych kręgów społecznych. Teraz, po tych wszystkich rozmaitych reformach, rzecz ma się zupełnie inaczej. Do parlamentu bywają wybierani naprawdę dziwaczni ludzie, choć trzeba przyznać, że zachowują się właściwie, raz do niego wszedłszy. Izba Gmin jest podobno znacznie bardziej niesforna niż w latach dwudziestych czy trzydziestych. W ostatnich wyborach brało nawet udział dwóch kandydatów

z Niezależnej Partii Pracy, co wzburzyło uczucia niektórych, ja jednak nie widzę w tym nic złego. Jeżeli tylko będą się zachowywać, jak na dżentelmenów przystało, nie ma najmniejszego znaczenia, kim byli ich ojcowie.
Pamiętam, jak musiałam zasięgać opinii lorda M., jak mam się zachować, gdy pierwszy raz uczestniczyłam w posiedzeniu Rady Przybocznej; żaden z jej członków już nie żyje, a teraz nowi oczekują, że nimi pokieruję zgodnie z protokołem. W ciągu mojego długiego panowania zmieniło się dziesięciu premierów. Salisbury był z nich pod wieloma względami najlepszy; Gladstone ze wszystkich względów najgorszy - czasami poważnie się zastanawiam, czy nie był nieco niezrównoważony, sądząc po tym, jak próbował doprowadzić do tarć między klasami społecznymi albo narażał honor kraju. Zawsze nietaktowny, często wręcz impertynencki, traktował mnie jak bezduszną maszynę i pouczał niczym pensjonarkę. A jednak, choć maniery miał godne ubolewania, był bez wątpienia człowiekiem o wielkiej umysłowości. Krąży anegdota o tym, jak to młoda kobieta uczestniczyła w dwóch proszonych obiadach w dwa kolejne wieczory. Podczas pierwszego siedziała obok Gladstone'a i wstała od stołu, żywiąc głębokie przekonanie, że jest on najmądrzejszym mężczyzną w całej Anglii. Podczas drugiego siedziała obok Disraeliego i wstała od stołu, żywiąc głębokie przekonanie, że jest najmądrzejszą kobietą w Anglii.
Drogi, drogi Dizzy! Cóż za niezrównany mężczyzna: inteligentny erudyta o przenikliwym umyśle, zarazem ciepły i czarujący. Nigdy, ale to przenigdy mnie nie pouczał ani też nie dał mi się we znaki jak Gladstone; traktował mnie jak kobietę, sprawiał, że czułam się silna i piękna, jak można się czuć tylko w towarzystwie kogoś, kogo się naprawdę lubi. Nie sposób tego udać. On i ja czuliśmy do siebie wzajemną sympatię - dwoje autsajderów, być może dlatego - a im dłużej się znaliśmy, tym głębsza i trwalsza stawała się nasza przyjaźń.
Po raz pierwszy został moim premierem w 1868 roku, kiedy zaczynałam powoli wracać do siebie

po szoku, jakim była dla mnie śmierć mojego ukochanego. To było tak, jakbym walczyła, aby wyjść z mrocznego tunelu, nigdzie nie znajdując pomocy. Nie przestałam pracować - w istocie pracowałam
463
nawet ciężej niż kiedykolwiek, biorąc na siebie również część Alberta - niemniej czułam obrzydzenie, a właściwie przerażenie na myśl o pokazywaniu się publicznie. Nie mogłabym sama przebrnąć przez to wszystko, co do tej pory robiliśmy razem. Byłam tylko biedną, roztrzęsioną wdową i to, że świat domagał się, aby oglądać moje wdowieństwo, było prawdziwym barbarzyństwem.
Niemniej ludziom nie wystarczało, że wykonuję swoje obowiązki - musiałam się im pokazywać. To, że zaniechałam pełnienia publicznych funkcji, niecierpliwiło i gniewało; kiedyś nawet jakiś dowcipniś posunął się tak daleko, że umieścił na bramie pałacu Buckingham napis: „Do wynajęcia, właścicielowi dłużej niepotrzebne". Tak się niefortunnie złożyło, że był to kolejny okres, gdy nastroje rewolucyjne rozpalały się w całej Europie. Uważałam, że niezadowolenie jest przejawem impertynenckiego pragnienia, aby dysponować moim życiem i zamienić w kukłę woskową, na którą do woli można się gapić, tymczasem ponieważ Francja po raz trzeci stała się republiką, wielu obawiało się, że Anglia zmierza w tym samym kierunku. Tym bardziej że w parlamencie padały pytania, czy jestem warta listy cywilnej i czy pełnię jakąkolwiek użyteczną funkcję - ja, która zawsze pracowałam od rana do wieczora! (Tak twierdził sir Charles Dilke i zabolało mnie głęboko, że właśnie on wypowiedział te słowa, ponieważ znałam jego ojca, który przygotowywał razem z Albertem Wystawę Światową. W istocie, po raz pierwszy zobaczyłam małego Charlesa w Kryształowym Pałacu, gdy miał osiem lat; pogłaskałam go po głowie i mogę tylko przypuszczać, że pod włos).
Jeżeli monarchia rzeczywiście była zagrożona, uratowało ją - cóż za ironia! - tchnienie śmierci. Po raz pierwszy odczute w sierpniu siedemdziesiątego pierwszego, kiedy ciężko zachorowałam z powodu ropnia na ramieniu, a potem w listopadzie tego samego roku, kiedy Bertie omal nie umarł na tyfus. Ludzie zrozumieli wtedy, kogo kochają: gdy im groziło, że nas stracą, przekonali się, jak im na nas zależy. Niemniej od tego czasu zaczęłam uczestniczyć w wydarzeniach publicznych - nigdy tak często, jak tego żądano, a przecież częściej niż bym chciała. Dopiero Disraeli, powróciwszy
464
do władzy w 1874 roku, znalazł sposób, aby mnie przekonać do robienia tego, co uważałam za niemożliwe. Przekrzywiał głowę na jedno ramię i wypowiadał „Wasza Wysokość" tak uroczo, że nie potrafiłam się mu przeciwstawić! Nigdy nie udawałam się na otwarcie parlamentu tak ochoczo jak na jego prośbę.
Znaleźli się tacy, których szokowało, że naszym premierem jest Żyd, ale ja zawsze czułam głęboką odrazę do podobnie małostkowych uprzedzeń. Kochałam go za to, kim był - tak, kochałam go, a on mnie. Należę do ludzi, którzy muszą mieć kogoś do kochania i chociaż nic nie było w stanie dorównać doskonałemu związkowi z moim ukochanym Albertem, lata przyjaźni z Disraelim zaliczam do jednych z najbardziej satysfakcjonujących. Z perspektywy czasu widzę podobieństwa z lordem M.; w jego wypadku jednak nasz wzajemny stosunek był całkowicie oparty na emocjach, podczas gdy z Disraelim na powinowactwie umysłów. Miał obrazoburczy umysł i zachwycająco szerokie horyzonty, a jego wizja świata i miejsca w nim Anglii ku memu zadowoleniu całkowicie zgadzała się z moją. Korespondowałam z lordem M., gdy ustąpił z rządu, i jego rady wzbogacały mnie, pogłębiały moją znajomość społeczeństwa i polityki, choć nie było to już to samo, co mieć go przy sobie. Okres, gdy był premierem, zaliczam do najintensywniejszych i najbardziej stymulujących. Przez sześć lat miałam odczucie, że razem rządzimy Anglią, i to było dobre.
Cóż, od dawna spoczywa już w grobie; Gladstone też. Politycy przychodzą i odchodzą, z ich aspiracjami, przekonaniami, zaślepieniem w pewnych kwestiach, a ja trwam -rok po roku, Uosobienie Ciągłości. Doszło do sytuacji, gdy wiem o rządzie więcej niż moi ministrowie. Na tym właśnie polega ogromna wartość monarchii konstytucyjnej - w republice nie ma nikogo, kto by zyskał tak szerokie doświadczenie i mógł powiedzieć: „Próbowaliśmy to wprowadzić w roku

takim-to-a-takim i nic z tego nie wyszło". Och, tak, mimo znużenia, jakie odczuwam, muszę prosić Boga, aby zatrzymał mnie na tej ziemi jeszcze trochę dłużej - dla bezpieczeństwa mojego kraju. Kiedy odejdę, kto będzie królował
465
pewnie i nieprzerwanie? Obawiam się, że nie Bertie: pojedzie na wyścigi!
Wracam do wspomnień: dziewiąta ciąża, chociaż rozpoczęła się w tak szczęśliwych okolicznościach, i choć wydarzenie to samo w sobie jest szczęśliwe, nie przebiegała spokojnie. Byłam znacznie bardziej „niecierpliwa" (Albert tak to określał) niż zwykle i to do tego stopnia, że jak się później dowiedziałam, zarówno Clark, jak i Albert obawiali się o zdrowie moich zmysłów - wieczny postrach dziedzictwa dynastii hanowerskiej! W istocie Clark ostrzegał już przedtem Alberta, że przy kolejnej ciąży mogę postradać zmysły, cóż więc dziwnego, że z trudem znosił moje okropne wybuchy złego humoru.
Do czego zresztą miałam wiele powodów. Wszystkie nieprzyjemności, upokorzenie i dolegliwości związane z noszeniem w swoim łonie dziecka wystarczyłyby same w sobie (w wieku trzydziestu siedmiu lat nie znosi się tego tak lekko jak przy dwudziestu), a musiałam jeszcze zajmować się swoimi podrośniętymi dziećmi, z których jedno było w dodatku zaręczone. Troskałam się mocno o Vicky, która miała ledwie czternaście lat, gdy Fryderyk zaczął się o nią starać. Zgodziliśmy się, że nie powinna wychodzić za mąż, dopóki nie osiągnie wieku siedemnastu lat, ale przecież wciąż wydawało mi się to zbyt młodo. Vicky była wprawdzie dojrzała jak na swój wiek i przewyższała możliwościami umysłu niejednego dorosłego, ale cóż poradzić na to, że zawsze o własnym dziecku myśli się jako o dziecku, niezależnie od tego, ile ma lat, i zgodzić się, aby córka w wieku, gdy każda dziewczyna jest jeszcze taka wrażliwa, borykała się z ciemnymi stronami małżeństwa, jest doprawdy rzeczą bardzo trudną. Do tego jeszcze wchodzenie w związki z Prusami nie było mile widziane w kraju, same Prusy przerażały mnie jako dosyć zacofane państwo, zwłaszcza we wszystkim, co dotyczy macierzyństwa, rodzenia i wychowywania dzieci. Z ogromną rezerwą podchodziłam więc do losu, jaki miał przypaść mojemu ukochanemu dziecku i gdyby ona i Fryderyk nie kochali się tak bardzo, w ogóle nie rozważałabym jego propozycji.
Był jeszcze jeden, bardzo egoistyczny powód mojego rozdrażnienia.
466
Z chwilą gdy zgodziliśmy się na zaręczyny Vicky, nie mogliśmy jej dłużej traktować jak dziecko, uznaliśmy, że trzeba ją dopuścić do towarzystwa dorosłych na równych prawach. Albert chciał poza tym, aby poznała historię Niemiec i zasady rządzenia państwem, ponieważ bardzo liczył na jej pomoc w jego planach zjednoczenia Niemiec; przewyższała znacznie Fryderyka intelektem, zatem to ona miała uczyć jego, a nie vice versa. Tak więc od szóstej do siódmej wieczór zamykał się z nią, by ją uczyć, a potem towarzyszyła nam przy obiedzie i spędzała z nami wieczór. Było to bardzo przyjemne pod pewnym względem, niemniej Albert pozostawał cały dzień z dala ode mnie, pochłonięty obowiązkami i nasze diners a deux były dla mnie czymś bardzo cennym; jedyne godziny, które spędzałam wyłącznie z nim. Teraz zamiast tych wypełnionych czułością, cennych godzin cudownej swobody prowadzenia nieskrępowanych rozmów z człowiekiem, którego kochałam ponad wszystko na świecie, spędzałam czas z kilkunastoletnią dziewczyną u boku (zakochaną w dodatku, więc przejawiającą nadzwyczajny talent do kierowania rozmowy na osobę ukochanego), w obecności której nie sposób było rozmawiać całkowicie otwarcie i szczerze. Albert, zamiast skupiać wyłącznie na mnie swoją uwagę, musiał ją dzielić między mnie i Vicky, którą zresztą uwielbiał i której intelekt podziwiał. Często rozmawiał w czasie tych wieczorów właściwie raczej z nią niż ze mną.
Nie jest rzeczą przyjemną zdać sobie sprawę z własnej słabostki, zwłaszcza takiej jak ta, niemniej uczciwość każe mi się do niej przyznać. Uwielbiałam Vicky i byłam z niej dumna, z przerażeniem myślałam o tym, że ją stracę, ale jednocześnie chciałam mieć męża chociaż od czasu do czasu wyłącznie dla siebie. Jeśli dodać do tego męki i dolegliwości związane z ciążą, raczej trudno się dziwić, że czasami brał górę mój porywczy temperament. Niemniej gdy Albert oskarżał mnie, że chcę się pozbyć córki, był to dowód na to, że i w nim odezwał się temperament (o, bo miał całkiem niezły, tyle że niemal zawsze umiał trzymać go na wodzy) i zupełnie mijało się to z prawdą. Niemal

natychmiast po przyjściu dziecka na świat poczułam się lepiej i resztę czasu, który pozostał do wyjazdu Vicky, spędziliśmy w szczęściu i przyjemnie.
467
Poród był łatwiejszy niż wszystkie poprzednie, czułam się też po nim lepiej niż po innych i byłam silniejsza; moje męki związane z ciążą wynagrodził mi wystarczająco moment, kiedy usłyszałam mojego najdroższego, mówiącego ze specjalnym odcieniem czułości w głosie: „To dziewczynka!". Taki był szczęśliwy, że ma kolejną dziewczynkę. Urodziłam tylu synów, że zabezpieczało to nas na wszelkie konstytucyjne ewentualności; córki według Alberta miało się dla przyjemności, a ponieważ Vicky przed upływem roku wyjeżdżała z domu, w jego sercu otwierało się miejsce dla następnej ulubienicy.
Baby była świetną kandydatką, aby zająć to miejsce. Żywa, figlarna, niemożliwe było zachować przy niej powagę, tak często doprowadzała nas do śmiechu swoimi zabawnymi powiedzonkami i figlami, które wyczyniała. Spędzała z nami więcej czasu niż którekolwiek z naszych dzieci, a ponieważ jej siostry i bracia byli w większości znacznie od niej starsi, nabyła niezwykłego u dziecka sposobu mówienia jak dorosły, co nas nieodparcie rozśmieszało przez kontrast z jej pucołowatą, różową, niewinną twarzyczką. Jeśli coś spsociła, na przykład rozbiła jakąś rzecz albo wzięła taką, której jej brać nie było wolno, spoglądając spod oka, mówiła: „och, Boże. mój Boże" tonem tak zabawnym u małego dziecka, że natychmiast wszystkich rozbrajała. Któregoś dnia zeszła do nas po schodach, potrząsając z żałobną powagą głową i powtarzając w kółko: „Boże, och, Boże, mój Boże, Baby była taka niegrzeczna, biedna Baby!". Nigdy nie dowiedzieliśmy się, o co chodziło.
Od początku uwielbiała Alberta i z największą przyjemnością schodziła do jego ubieralni, aby przyglądać się, jak się goli i ubiera. Podczas gdy to się odbywało, zasypywała go najdzikszymi pytaniami: „Tato, dlaczego mnie nie było na waszym ślubie? Czy byłam za mała?", „Tato, czy żona Lota była z takiej samej soli, jak w moim kurczaku?", „Tato, gdzie się podziewa płomień po zdmuchnięciu świecy?". Albert starał się jak mógł, na wszystko jej odpowiedzieć, czasami sadzał ją sobie na kolanach, jeśli uważał, że wyjaśnienia potrwają dłużej. (Nabrała od niego przyzwyczajenia zwracania się do ludzi „skarbie", a także lekkiego ściągania warg i wtrącania
468
do wypowiadanych przez siebie zdań pełnego namysłu „zo"). Czasami zwracałam mu uwagę, że marnuje czas, objaśniając jej wszystko tak dokładnie, ponieważ niekiedy zadawała pierwsze lepsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy, byle tylko ściągnąć na siebie jego uwagę, w gruncie rzeczy w ogóle nie dbając o odpowiedź. On mi na to kiedyś powiedział:
- Nigdy nie wiadomo, ile z tego uleci, a ile tutaj utkwi. Tę małą główkę wypełnia tyle myśli, że trzeba im dać odpowiednią pożywkę. - I postukał delikatnie palcem w ową małą główkę, ponieważ Baby akurat siedziała mu na kolanach. - Czyż nie tak, skarbie?
Tę małą główkę istotnie wypełniało wiele myśli, obawiam się, że więcej niż moglibyśmy sobie wyobrazić. Któregoś dnia powiedziała do jednej z moich dam dworu:
- Przyszła mi dzisiaj rano do głowy bardzo zabawna myśl, ale przemieniła się w niewłaściwą myśl, więc nie dałam jej się rozwinąć.
Wiele rzeczy jej się upiekło i obawiam się, że zawdzięczała to swojej zuchwałości i błaznowaniu. Często gdy pędziła zaaferowana po korytarzu, pochłonięta jakąś misją do spełnienia, i wołano ją, aby przyszła umyć ręce przed lunchem albo wyszczotkować włosy, krzyczała donośnie srogim głosem: „Nie mam czasu, nie mam czasu, muszę pisać listy!" - i biegła dalej. Naśladowała oczywiście Alberta - zajętego jeszcze bardziej niż zwykle w miarę, jak Baby dorastała i kategorycznie domagała się jego rozproszonej na tyle spraw uwagi. Bardzo się cieszę, że ją miał, bo tak często pobudzała go do śmiechu; a przecież lubił się śmiać. Większość ludzi, gdy go wspomina, pamięta ten jego zachwycający śmiech. Kiedy teraz na nią patrzę, moją dobrą, obowiązkową Beatrycze, poważną, dostojną, piękną kobietę, matkę i - niestety! - wdowę, trudno mi uwierzyć, że to ta sama Baby, którą Albert kołysał rozkosznie na serwecie. Kiedy umarł, umarło coś także w Baby i w krótkim czasie przemieniła się z niegrzecznej, rozbrykanej, zuchwałej istoty, nie poruszającej się inaczej, jak tylko biegiem, wściubiającej wszędzie nos, wdzięcznej i lekkiej jak

motylek, paplającej bezustannie jak szemrzący strumień w poważne, zamyślone dziecko. Wydaje się, że ojciec, odchodząc, obdarzył ją swoją
469
szlachetną bezinteresownością i obowiązkowością; i rzeczywiście, w późniejszych latach przeciwstawiła mi się jeden, jedyny raz, gdy uparła się poślubić Liko. I dobrze się stało, obdarowała mnie bowiem zięciem, który rozjaśniał mi smutne, nużące godziny cierpienia. Jego śmierć była dla mnie straszliwą stratą, gorszą niemal niż śmierć własnych synów, ponieważ wprowadził w nasze życie beztroskę i humor, uderzające do głowy jak szampan. Odkąd odszedł, skończyły się dni zabaw.

15 listopada 1900.

Nakrzyczałam na Alix w czasie lunchu tak strasznie, że zupełnie mnie to wyczerpało. Ale w nocy spałam dobrze i rano czułam się znacznie lepiej, tak że po raz pierwszy od dwóch tygodni zjadłam z apetytem śniadanie: jajko, biały chleb, kawa. Śmierć naszego drogiego Christlego „rozłożyła mnie na łopatki" i z żałością patrzę na biedną Lenchen, taką dzielną i opanowaną. Jakież to straszliwe uczucie, gdy synowie innych wracają do domów, ale nie nasz ukochany chłopiec. Przynajmniej tyle, że mgła się ostatnio podniosła i widać wreszcie przepiękne kolory jesieni, resztki liści na drzewach, wielkie pióropusze pobrązowiałych paproci - co zawsze poprawia mi trochę nastrój. Mój i tak niezbyt dobry, starczy apetyt popsuł się jeszcze ostatnio, ale po dzisiejszym porannym dobrym początku Reid jest nieco bardziej ze mnie zadowolony i twierdzi, że ze mną wszystko w porządku, żadna choroba nie podkopuje mego zdrowia i każdego dnia powinnam czuć się lepiej.
Wracając do roku 1857 - dotarły do nas straszliwe wieści z Indii - bunt wśród oddziałów wojska złożonych z rdzennej ludności, mordy na Europejczykach w Merath i Delhi, ohydna masakra w Cawnpore, oblężenie Lucknow. Natychmiast gdy dotarły do nas wieści o Merath, Palmerston posłał po dobrego starego sir Colina Campbella, bohatera spod Waterloo i z Krymu, który dosłownie następnego dnia pożeglował do Indii; każde dziecko dzisiaj wie, że wraz ze swoimi Szkotami (góralami z piekła rodem, jak o nich mówili Rosjanie)
470
uwolnił Lucknow, maszerując pod nie w kłębach kurzu przy dźwiękach dud, grających melodię „Campbelczycy nadchodzą, hurrra!".
Bunt został zduszony w końcu września. Nie było w Anglii nikogo, kto by nie odczuwał głębokiego oburzenia z powodu potwornych czynów, których się dopuszczono w czasie powstania, i nie pałał chęcią zemsty; toteż podjęto wobec oficerów i miejscowej administracji przerażające kroki odwetowe, które wzdragam się nawet opisać. Kiedy wreszcie przywrócono spokój, dotarła do wszystkich ta prawda, że Indie stały się zbyt wielkie, aby mogła nimi skutecznie rządzić Kompania Wschodnioindyjska. Pogodzenie wymogów handlu i zaleceń rządu nigdy nie było łatwe, a stało się tym trudniejsze, gdy na skutek aneksji coraz to nowych obszarów terytorium Indii powiększyło się dwukrotnie. Był czas najwyższy, aby Kompania oddała ster rządów, toteż następnego roku, drugiego sierpnia, wyraziłam królewskie przyzwolenie na podjęcie prac nad ustawą, na mocy której przejęłabym rządy nad Indiami, a gubernator generalny, generał Canning (znany jako Miłosierny Canning, ponieważ próbował zakończyć akcję odwetową, gdy miała się już ku końcowi) został wicekrólem.
Zasady, jakimi kierowałabym się, sprawując rządy, zostały wyłożone w Proklamacji, którą Albert napisał według moich instrukcji. Przede wszystkim życzyłam sobie, aby stanowczo zaznaczyć, że nie jest moim zamiarem występować przeciwko miejscowym religiom ani żadnym zwyczajom, ponieważ zawsze byłam przeciwna nawracaniu rdzennej ludności i narzucaniu jej rządów opartych na przekonaniu, że jedynie te idee, które zaszczepiono nam w rodzinnym kraju, są cokolwiek warte. Nie jest moim zamiarem również pozbawianie kogokolwiek pociechy, jaka płynie z jego wiary, ponieważ sama dobrze widzę, jak wielką czerpię z mojej własnej. Dalej ustalałam, że sprawujący w moim imieniu władzę w Indiach będą działać całkowicie i wyłącznie według moich rozkazów,

zachowując rdzenne zwyczaje, jeśli nie prowadzą one do niesnasek.
Chciałam również, aby wyraźnie zaznaczono, że jest moim życzeniem zmniejszenie ubóstwa Indii, a to poprzez budowanie
471
linii kolejowych, kanałów, telegrafu i że przyczyną takiego postępowania jest wyłącznie chęć wyświadczenia dobrodziejstwa narodowi, a nie wykorzystanie ich dla późniejszych korzyści; chciałam wreszcie, aby w dokumencie zaznaczono, że objęcie przeze mnie władzy jest wymuszone okropnościami krwawego powstania, niemniej odbędzie się w duchu pojednania. Nic nie usprawiedliwia okrucieństwa wobec niewinnych kobiet i dzieci, ale też pokojowo nastawiona wobec nas część ludności powinna odczuć naszą życzliwość: widzieć, że nie czujemy do niej nienawiści z powodu ciemniejszej skóry, zrozumieć, że ich królowa niczego nie pragnie goręcej jak ich szczęścia, zadowolenia i rozkwitu.
Zawsze okazywałam najżywsze zainteresowanie sprawami Indii i chciałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby nad tymi ludźmi sprawowano władzę w taki sposób, w jaki my sami, będąc na ich miejscu, chcielibyśmy być rządzeni. Nie zdołamy utrzymać starego Hindustanu wyłącznie mocą krzywd, jakie wyrządzamy, jak to powiedział kiedyś członek Izby Gmin, a z czym ja się zgadzam. Nie mam zrozumienia dla rasowej nienawiści czy okrucieństwa wobec „gorszych" ras. Ujarzmianie z powodu koloru skóry czy odmiennej religii jest sprzeczne z porządkiem Natury. Zawsze miałam na swoim dworze jednego czy dwóch hinduskich służących i wypełniali swoje obowiązki świetnie, można było na nich całkowicie polegać. (Smutno mi to wyznać, ale musiałam na własnym dworze, a nawet we własnej rodzinie zwalczać te niesmaczne uprzedzenia. Wydałam w końcu zarządzenie, aby nie określać moich hinduskich służących mianem „czarnych", choć wydawałoby się, że podobnej rzeczy powinno zapobiec coś tak oczywistego jak dobre maniery).
Disraeli, który doszedł w końcu do przekonania, że „wpływać na opinie wschodnich nacji można tylko wtedy, jeśli się przyjmie ich wyobrażenia", w 1876 roku, kierując się tą właśnie prawdą, przedłożył parlamentowi projekt ustawy zmieniającej mój tytuł z królowej na cesarzową Indii. Musieliśmy się nad tym ciężko napracować - zwalczani przez wszelkiej maści ciasne umysły, ludzi zbyt nikczemnych i zachłannych, aby wyobrazić sobie, że można się kierować motywami szczytniejszymi, niż oni sami się kierują. (Nigdy nie wybaczę
472
Gladstone'owi zwalczania projektu w tak ubliżających słowach - okropny, prostacki starzec!). Ale Disraeli i ja dowiedliśmy, że mieliśmy rację i Indie, najjaśniejszy klejnot w angielskiej koronie, jaśnieją jeszcze silniej, odkąd ci dobrzy ludzie mogą o mnie myśleć jako o ich cesarzowej zza morza. Mój nowy tytuł proklamowano w Delhi w 1877 roku i aby to uczcić, wydałam tego wieczoru bankiet w Windsorze. Założyłam indyjską biżuterię i gdy Artur wzniósł toast za cesarzową, poczułam, że to jeden z najwspanialszych momentów w moim życiu.
Później
Wieczór spędziłam na przeglądaniu starych fotografii i natknęłam się na dagerotyp zrobiony tego ranka, gdy Vicky brała ślub z Fryderykiem. Zabrałam go do swojego pokoju, aby mu się jeszcze raz przyjrzeć: Vicky i ja zwrócone do siebie twarzami, Albert stoi pośrodku z tyłu za nami. Droga, słodka Vicky ma oczy skromnie spuszczone i wygląda przepięknie w ślubnej sukni z białej jedwabnej mory, przypominając aż do absurdu mnie samą (pomijając urodę, oczywiście). Ma ten sam biały koronkowy welon co ja, wianek z białych róż i mirtu i wyraźnie powstrzymuje łzy. Albert patrzy prosto w obiektyw, poważny i dostojny w galowym uniformie, piękny w moich oczach, chociaż widzę, że nie jest to najlepsza jego fotografia; co do mnie, niewyraźnie mnie widać, ponieważ drżałam tak silnie, że obraz jest zamazany. Tylko po diamentowym diademie można poznać, kto to jest!
Siedemnaste urodziny Vicky nadeszły w listopadzie 1857 roku i ślubu nie można było już dłużej odkładać; jego datę wyznaczono na dwudziestego piątego stycznia 1858 roku i kiedy się obudziłam tego właśnie ranka, powiedziałam Albertowi, że czuję się tak, jakbym poświęcała biedne niewinne jagnię na rzeź. Sam był nieco blady, ale uciął temat krótko, mówiąc, żebym nie przesadzała; cóż bowiem mężczyzna może wiedzieć o niebezpieczeństwach i fizycznych niedogodnościach

małżeństwa - ja wiedziałam i dlatego miałam uczucie, że dzieje się coś przedziwnie okropnego, a ja ją ku tym okropnościom popycham, nieważne, czy sama tego chce. Poza tym
473
wyjeżdżała do Prus i chociaż znałam Fryderyka jako z gruntu dobrego, szlachetnego, liberalnego człowieka, nic nie wiedziałam o reszcie rodziny, dworze, pruskim rządzie wreszcie. Prusy były postrzegane jako wsteczne, ich polityka na wskroś reakcyjna. Vicky czekała ciężka próba, i to właśnie w tym okresie swego życia, gdy najbardziej potrzebowała matki, której mogłaby zaufać, miałam być daleko i nie widywać się z nią.
Nie było oczywiście odwrotu. Gdy tylko wstałam z łóżka, skreśliłam krótką notatkę o powadze sakramentu małżeńskiego i posłałam ją Vicky wraz z bardzo piękną książką, która powinna jej poprawić humor. Nakazałam wszystko przygotować tak, abyśmy mogły się razem ubierać i cieszyć ostatnimi intymnymi, czułymi chwilami między matką i córką; i rzeczywiście spędziłyśmy ten czas spokojnie i przyjemnie. Vicky pojawiła się całkowicie opanowana i doskonale szczęśliwa.
- Nie jesteś ani trochę zdenerwowana? - zapytałam.
- Poślubię Fryderyka - odparła z prostotą - nie ma więc czego się obawiać. Czy nie to samo czułaś, poślubiając tatę?
Przypomniałam sobie, jakie były moje uczucia: cokolwiek Albert zrobi, nie może mnie to przestraszyć ani dotknąć -i skinęłam głową. Denerwowałam się z jej powodu znacznie bardziej niż wtedy, gdy sama wychodziłam za mąż.
- Modlę się, aby twoje małżeństwo było równie szczęśliwe jak moje - powiedziałam.
Wsunęła swoją dłoń pod moją w geście całkowitego zaufania i odparła poważnie:
- Mam nadzieję, że okażę się warta miana twego dziecka. Nie byłam w stanie odezwać się ze wzruszenia.
Kiedy nas ubrano, usiadłyśmy obok siebie, aby ułożono nam włosy, a potem przyszedł Albert zabrać nas do zdjęcia. Spotkał moje oczy odbite w lustrze i uśmiechnął się.
- Bardzo pięknie wyglądasz - powiedział. - Trudno poznać, kto jest narzeczoną, a kto matką narzeczonej.
- Niezbyt to pochlebne dla narzeczonej - stwierdziłam, ale zdołałam zdobyć się na uśmiech.
Miałam na sobie srebrno liliową suknię, w której moim zdaniem nie było mi do twarzy.
Vicky wstała i odwróciła się od lustra, a Albert wykorzystał okazję,
474
aby pochylić się nade mną i pocałować moje nagie ramię.
- Moja żona ma piękne ramiona - wyszeptał nasze stare zaklęcie.
Ślub Vicky odbywał się w kaplicy królewskiej Świętego Jakuba, tak jak mój, i wzruszył mnie do głębi widok mojego drogiego kwiatuszka klęczącego w tym samym miejscu, co ja osiemnaście lat temu, poświęcającego swoje życie mężczyźnie. Drogi, dobry Fryderyk był w mundurze pruskiego generała i wypowiadał słowa przysięgi drżącym głosem, sprawiając wrażenie człowieka, który nie wie, co począć ze szczęścia. Moi synowie wyglądali bardzo przystojnie w szkockich spódniczkach, moje córki nadzwyczaj niewinnie w bieli, mój najdroższy mąż, stojący u mego boku, z trudem powstrzymywał łzy i doprawdy całe szczęście, że nie musiał się odzywać w czasie ceremonii, ponieważ wysiłek, jaki by w to włożył, mógłby go zabić. Na koniec młoda para, trzymając się za ręce, przeszła nawą w takt Marsza Weselnego Mendelssohna (po raz pierwszy zagrano go przy takiej okazji) i twarz Vicky, mimo malującej się na niej niezwykłej powagi, jaśniała szczęściem i spokojem, dzięki czemu przestałam żałować, że udzieliliśmy pozwolenia na zawarcie tego małżeństwa. Kiedy wróciliśmy do pałacu Buckingham, ona i Fryderyk wyszli na balkon i zostali oszałamiająco gorąco powitani przez zgromadzony tłum, a potem poszli na śniadanie weselne, gdzie zająwszy swoje miejsca naprzeciwko nas, czworga rodziców, zniknęli nam kompletnie z oczu, zasłonięci gigantycznym tortem.
Dzieci spędziły czterodniowy miesiąc miodowy w Windsorze, jak ja z Albertem, i drugiego lutego wrócili, gotowi wyjechać do Berlina. Zimowy dzień należał do tych, jakich nie lubię: przejmujące zimno, nisko wiszące niebo, ciemne, jakby przez cały dzień zapadał zmierzch i dzień kończył się, zanim w ogóle zaczął. Biedna Vicky miała oczy wypełnione łzami, gdy przyszła z Fryderykiem do

pokoju recepcyjnego, pożegnać się ze wszystkimi; dzieci szlochały rozpaczliwie, kiedy szeptała każdemu po kolei coś do ucha, ściskając je i całując. Alicja przylgnęła do niej bezradnie, nawet Baby się rozpłakała, zrozumiawszy, że jej dorosła siostra wyjeżdża na zawsze i nie będzie się już z nią bawić. Powstrzymywałam
475
się z całych sił, aby nie płakać, nie chcąc utrudniać Vicky sytuacji, ale gdy zostawiliśmy dzieci i szliśmy z Albertem do wielkiej sieni, zerknęłam kątem oka na naprężoną, pobladłą twarz mojego najdroższego i przestałam nad sobą panować. Łzy zalały mi policzki i gdy objęłam ich oboje w drzwiach, nie mogłam przemówić ani słowa, a moje drogie dziecko przywarło do mnie i zmoczyło mi szyję swoimi łzami, zanim ostatecznie się ode mnie oderwało. Patrzyłam, jak idzie, mała i dzielna, pod mroźnym zimowym niebem, cała spowita w biały aksamit, i wsiada do powozu, a serce omal mi nie pękło. Była teraz księżną Fryderykową i już do mnie nie należała. Za nią wsiadł Fryderyk, a potem - nie rzuciwszy na mnie nawet jednego spojrzenia - Albert, który miał im towarzyszyć do Gravesend. Wiedziałam, że pożegnanie ojca z córką będzie nadzwyczaj dla obojga ciężkie i nie zazdrościłam mu tych dodatkowych chwil, które miał z nią spędzić. Fryderyk powiedział mi później, że cały czas wpatrywał się pilnie w okno, aby im umożliwić nieskrępowaną rozmowę.
Śnieg zaczął padać, gdy wyjeżdżali z bramy pałacu. W Gravesend Wiktoria i Albert, którym mieli popłynąć do Antwerpii, czekał na kotwicy; świat pobielał, płatki śniegu spadały na szarą wodę, ramiona i kapelusze ludzi, oczekujących tłumnie, aby ją pożegnać, kwiaty, które rzucali, padały na ośnieżony bruk.
- Bądź dla niej dobry albo ci ją zabierzemy! - krzyknął londyńską gwarą jakiś woźnica, gdy pojawiła się z Fryderykiem u boku.
Na pokładzie oparła czoło o pierś ojca i łzy płynęły niepowstrzymanie, gdy wyszeptała: „ukochany tata". Albert wrócił do pałacu Buckingham ponury jak chmura gradowa i poszedł prosto do swojego pokoju, aby do niej napisać. „Nie mam wylewnej natury i z tego powodu prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy, jak mi zawsze byłaś droga i jaką pustkę pozostawiłaś po sobie w moim sercu". Pokazał mi ten list wiele lat później i omal mi to nie złamało serca. Z tych słów biło tyle samotności. Skoro ja miałam poczucie utraty po jej wyjeździe, o ile silniejsze musiało męczyć Alberta? Ja przynajmniej zyskałam możliwość korespondencji z zamężną kobietą, której mogłam napisać wszystko, bez niezręcznego
476
ograniczania się, jak w przypadku kontaktów z niezamężną dziewczyną albo mężczyzną. Listy, które wymieniałyśmy, miały dla mnie ogromne znaczenie i niosły mi wiele pociechy. Pisujemy do siebie już ponad trzydzieści trzy lata, często kilka razy w tygodniu i nie ma drugiej istoty w świecie, którą bym znała lepiej lub kochała szczerzej.
Biedna Vicky musiała od początku ścierpieć tyle rzeczy. Nazywano ją pogardliwie die Englanderin, ponieważ Prusy były w takim samym stopniu niechętne Anglii, jak Anglia Niemcom, a ona, zbyt prostolinijna, nie potrafiła ukryć, że uważa swoją ojczyznę za najwspanialszy i najbardziej rozwinięty kraj na świecie. Ona i Fryderyk nie mieli żadnych wpływów i niemal żadnych przyjaciół na oportunistycznym, skrajnie militarystycznie nastawionym dworze pruskim. Vicky była dla nich za mądra, a Fryderyk za szlachetny; mężczyźni nie rozmawiali o niczym innym, jak o manewrach i uniformach, kobiety o sukniach i przyjęciach. Król i królowa ignorowali ich i robili im afronty. Przydzielono im wilgotne i brudne apartamenty, z piecami, w których od dwudziestu lat nie czyszczono sadzy, bez toalety, bez łazienki, oddalone znacznie od kuchni pałacowych, tak że jedzenie docierało zawsze zimne.
Stryj Fryderyka zmarł w 1861 roku i wówczas Fryderyk i Vicky otrzymali tytuły księcia i księżniczki krwi. Vicky wykorzystała swoją świeżą pozycję, aby zacząć walczyć o prawa kobiet, w tym jej własne do zajmowania się polityką, ale była to nierówna walka. Niedługo potem ojciec Fryderyka zniósł swobody konstytucyjne, a Bismarck przedsięwziął represyjne kroki, między innymi wprowadził cenzurę prasy. Fryderyk, rozdarty między obowiązkiem zachowania lojalności wobec ojca i koniecznością niesprzeniewierzania się swoim liberalnym zasadom, wybrał w końcu

to ostatnie i wygłosił mowę, w której skrytykował posunięcia Bismarcka (Vicky go w tym utwierdziła). Bismarck nigdy mu tego nie darował i przez następne dwadzieścia pięć lat wykorzystywał swoje znaczne przecież wpływy, aby dyskredytować następcę tronu i jego żonę. Albert poświęcił ostatnie godziny, spędzone prywatnie z Vicky, na przypomnieniu jej, że powinni razem z Fryderykiem poświęcić się wielkiemu celowi, jakim jest zjednoczenie
477
i liberalizacja Niemiec, i dążyć do jego osiągnięcia wszelkimi możliwymi pokojowymi środkami, nie ustając, aż doprowadzą rzecz do końca. Niestety, nigdy tak się nie stało. W marcu 1888 roku reakcjonista ojciec Fryderyka zmarł i Fryderyk został cesarzem Niemiec (bo taki wtedy mu się należał tytuł); niestety, był już śmiertelnie chory na raka gardła. Jego przeraźliwe cierpienia powiększała jeszcze niewiedza lekarzy niemieckich (nigdy nie miałam o nich wielkiego zdania, co otwarcie powiedziałam Vicky, zanim wyjechała do Prus) i świadomość, że jego syn i następca, Willy, pozostawał najpierw pod wpływem dziadków, potem junkersów i Bismarcka. Nic więc dziwnego, że nastawiono go przeciwko własnemu ojcu i zatruto umysł niebezpiecznymi militarystycznymi teoriami. Fryderyk był cesarzem zaledwie trzy miesiące, zbyt krótko, by cokolwiek zdziałać, zwłaszcza że rządząca partia i rząd sprzyjały Willy'emu. Piętnastego czerwca Vicky, moje kochane biedactwo, została wdową, cesarzową wdową, a Willy Wilhelmem II - i natychmiast zabrał się do rozwijania armii i floty i szerzenie wrogości w Europie.
Tym samym marzenie mojego ukochanego Alberta obróciło się wniwecz. Willy nigdy nie stanie się liberalnym, wprowadzającym reformy władcą. I chociaż ma wiele niezaprzeczalnych zalet, muszę też przyznać, że zawsze go lubiłam (jestem, jak sądzę, jedyną osobą na świecie, na którą on choć trochę zważa), zżera go pruska duma; poza tym należy do gatunku chłopców, którzy zdolni są wyrwać musze skrzydła i nogi, głęboko przekonani, że nie sprawia jej to różnicy. Już w czasie swojej pierwszej wizyty w Anglii, z okazji wesela Bertiego, chociaż miał wtedy zaledwie cztery lata, pokazał swój prawdziwy charakter, wyrzucając mufkę Baby przez okno powozu, a potem, podczas mszy, wydłubał kryształ górski z rękojeści swojego sztyletu i cisnął nim przez kaplicę z szokującym przekleństwem. Kiedy Affie i Artur usiłowali go powściągnąć, zaczął z nimi walczyć jak szalony i gryzł ich po nogach. Gdy go później do mnie przyprowadzono, zwrócił się do mnie bezczelnie „złotko" (nie mam pojęcia, gdzie mógł to usłyszeć), ale udało mi się zachować poważną minę i skarciłam go spojrzeniem. Nigdy go nie rozpieszczałam ani nie pozwalałam, aby cokolwiek mu się upiekło, i jak sądzę, właśnie
478
z tego powodu tak dobrze się rozumiemy. Ale nawet ja nie mogę go kontrolować, kiedy go przy mnie nie ma, ani też wpływać na jego decyzje polityczne. Dlatego przewiduję najgorsze.

17 listopada 1900.

Wczoraj widziałam się z grupą żołnierzy wracających z Afryki Południowej, wspaniałymi ludźmi o uczciwych twarzach, niestety po wszystkich widać było wyczerpanie, wielu z nich jest chorych i rannych. Wygłosiłam krótkie przemówienie, a potem ściskałam ich dłonie i rozmawiałam z nimi o tym, co przeżyli. Nawet ich kapelan, biedny człowiek, doznał uszczerbku; oszalały koń odgryzł mu stopę na sawannie, cóż za koszmarny przypadek!
Czułam się potem mocno zmęczona, ale dzisiaj jest już lepiej, powiedziałam nawet Reidowi dość ostro, że nie życzę sobie być traktowana jak osoba ułomna. Nie znoszę, gdy się mnie usiłuje rozpieszczać, traktować pobłażliwie, więzić w domu. Odbyłam przyjemną przejażdżkę z małymi Battenbergami, ale zrobiło się bardzo zimno i nawet ja jestem zadowolona, że mogę się przysunąć do ognia, aby kontynuować moje pisanie.
Wydawszy Vicky za mąż, zwróciliśmy całą uwagę na Bertiego. Gibbs, guwerner, którego mu Albert wybrał, był uczciwy i doświadczony, ale niewiele zdziałał; ich temperamenty bardzo się różniły i wzajemny brak sympatii stawał się tak widoczny, że aż zaczynało to być niewłaściwe.
Postanowiliśmy zatem zmienić tryb nauki. Bertie dostał własny apartament w White Lodge w

Richmond Park, guwernera zastąpił opiekun, pułkownik Robert Bruce. Bertie był w trudnym wieku, między chłopięctwem a dorosłością, i Albert ogromnie się martwił, aby przebywał we właściwym towarzystwie. Najbardziej się obawiał - choć nigdy tego nie wyraził słowami -że Bertie zyska niewłaściwe seksualne doświadczenia. Chciał, by jego syn pozostał czysty, jak on sam, dopóki nie poślubi równie czystej dziewczyny. Tylko zachowując absolutną moralną uczciwość, mógł Bertie mieć nadzieję na znalezienie
479
szczęścia i dawać nadzieję, że wypełni swoje obowiązki wobec angielskiej korony.
Rozumiałam obawy Alberta - którymi, co już napisałam, nigdy się ze mną nie podzielił w wyraźny, bezpośredni sposób. Nie nękał mnie, tak jak jego, obsesyjny strach, ale oczywiście pragnęłam, aby mój syn był szlachetnym człowiekiem i gorąco mnie obchodziło, jakim będzie królem. Przypuśćmy, że bym umarła, w tym lub następnym roku... Bertie nie nadawał się do roli władcy: albo Albert będzie za niego wszystko robił, co go prawdopodobnie przy stanie jego zdrowia zabije, albo zdarzy się tak, że Bertie nie będzie chciał słuchać żadnych rad i postępując z gruntu fałszywie, doprowadzi do rewolucji i straci tron.
Trzech starannie dobranych młodych ludzi o nieposzlakowanej opinii zostało wprowadzonych do domu Bertiego; mieli mu towarzyszyć i dawać przykład, Albert zaś nadzwyczaj dokładnie określił w długim memorandum, czego oczekuje się po naszym synu. Nie próżnowania, nonszalanckiego rozpierania po kanapach, demonstrowania niewłaściwej postawy z rękami wsuniętymi w kieszenie. Żadnych pogwizdywań, slangowych wyrażeń, wybryków, niewybrednych dowcipów. Rozmowy powinno się prowadzić poważne i rozwijające -nie ma miejsca na jałowe plotki; rozrywki w wolnym czasie powinny być tak dobierane, aby rozwijać i ulepszać charakter księcia - nie karty czy bilard, ale muzyka, lekcje rysunku, przeglądanie rycin, słuchanie głośnych recytacji poezji, czytanie sztuk dramatycznych et cetera. Bruce został zobowiązany do częstego przysyłania raportów o zachowaniu i postępach Bertiego i krótkich notatek o każdym, z kim się książę spotkał i rozmawiał. Bertiemu nie wolno było wychodzić z domu bez opowiedzenia się i uzyskania zgody Bruce'a.
W następnym roku Bertie został wysłany do Oksfordu, czego mu nie zazdrościłam, ponieważ nigdy nie lubiłam atmosfery tego miasteczka. Jest zarazem ponure i błazeńskie. Dziekan usilnie nalegał, abyśmy pozwolili Bertiemu mieszkać w college'u, co mu da szansę zaprzyjaźnić się z młodymi ludźmi w jego wieku, nie wiedząc, że tego właśnie Albert chciał uniknąć. W prywatnym domu, pod czujnym okiem opiekuna, Bertiego można było lepiej nadzorować, a Bruce'owi ufaliśmy,
480
że dopilnuje, aby nasz syn nie wpadł w złe towarzystwo. Zostało więc, jak chcieliśmy, a gdy Bertie pojechał następnie na pewien okres do Cambridge, w styczniu 1861 roku, zostały mu narzucone te same ograniczenia. W tym czasie nawet pułkownik Bruce prosił nas o danie mu nieco więcej wolności, i kiedy teraz o tym myślę, widzę, że nie postępowaliśmy najlepiej. Lord M. przestrzegał mnie przed zbyt ścisłym kontrolowaniem dzieci, a ja z kolei ostrzegłam moje własne, aby nie popełniły tego błędu w stosunku do swoich. Wtedy nie potrafiłam jednak uwolnić się od obaw Alberta, mających swe źródło w postępowaniu jego ojca i brata, ani od moich własnych, związanych z sukcesją. Tyle było zagrożeń i tak wiele wchodziło w grę przy Bertiem, że doprawdy próbowaliśmy wszystkiego, aby zyskać pewność, iż sprawy potoczą się właściwym torem; gdybyśmy nie próbowali wszystkiego, prawdopodobnie uzyskalibyśmy spodziewany efekt i wyszłoby mu to na korzyść.
Bertie ze swej strony wyraził dwa życzenia co do tego, jak chciałby pokierować swoim życiem: po pierwsze, prosił, aby mu pozwolono wstąpić do armii (na co się oczywiście zgodzić nie mogłam; co najwyżej na spędzenie w wojsku jakiegoś czasu, bez wiązania się na stałe); po drugie, aby mu pozwolono na podróże zagraniczne. W listopadzie 1858 roku zgodziliśmy się na trzytygodniową wizytę u Vicky w Berlinie. Albert napisał do niej, ostrzegając, że Bertie wprawdzie wygląda dużo lepiej niż dawniej, ale nie interesuje się niczym poza ubraniami: „Nawet na polowaniu myśli raczej o swoich spodniach niż o tropieniu zwierzyny"; prosił ją również, aby pomyślała o czymś, co zajmie jego umysł podczas pobytu. Pobyt Bertiego okazał się wielkim towarzyskim sukcesem. Chociaż niezbyt wysoki i z krzywymi nogami (podobnie jak Georgie, jego syn, ku mojej wielkiej

przykrości), miał przyjemną powierzchowność, świetnie tańczył i czarował niezaprzeczalnym wdziękiem. Vicky, sama całkowicie nim oczarowana, pisała do nas, że wszyscy go uwielbiają. W lecie 1860 roku wysłaliśmy go z pułkownikiem Bruce'em w podróż po Ameryce Północnej, gdzie również odniósł wielki sukces. W Kanadzie i Stanach Zjednoczonych powitano go nadzwyczaj ciepło (zdumiewające, jeśli zważyć
481
na to, że Stany Zjednoczone tak gwałtownie powstały przeciw jego dziadkowi) i chociaż podróż zaplanowano jako całkowicie prywatną, okazał się wspaniałym ambasadorem Anglii. Nie sposób przesadzić, twierdził Bruce, w opisie entuzjazmu, z jakim przyjmowano Bertiego. Mężczyźni całkowicie go zaakceptowali, a kobiety były w nim wprost zakochane, w gazetach pisano o nim jako fantastycznym, dzielnym jegomościu; cała podróż, od początku do końca, przebiegała triumfalnie.

Powrót do normalnego szkolnego życia był dla Bertiego bardzo trudny po amerykańskich sukcesach i w jednym ze swoich raportów Bruce nalegał, aby rozważyć możliwość wczesnego małżeństwa, gdyż obawia się, że urok osobisty i zamiłowanie do zabaw sprowadzą na księcia kłopoty. Albert i ja już od jakiegoś czasu zaczęliśmy o tym myśleć sami, ale wybór odpowiedniej księżniczki był niezwykle trudny. Nie mógł poślubić katoliczki, ponadto zapowiedział stanowczo, że ożeni się wyłącznie z miłości (z czym się oczywiście zgadzałam); sporządzona przez Alberta pierwsza lista protestanckich księżniczek, które mogłyby stanowić dobrą partię, okazała się niezwykle krótka, w dodatku wszystkie były dość pospolite. Ja stawiałam warunek, aby była wystarczająco przystojna, cnotliwa i miała tyle siły charakteru, by umieć właściwie pokierować Bertiem. Ostatecznie któregoś dnia miała zostać królową Anglii.

Poprosiliśmy Vicky, aby wyszukała jakąś odpowiednią partię, przyszła jej jednak na myśl jedynie księżniczka Aleksandra Szlezwik-Holsztyn, wyjątkowo piękna, ale wciąż jeszcze pensjonarka, a poza tym z powodów politycznych - to jest wyjątkowo skomplikowanej i niezręcznej sytuacji w Szlezwiku-Holsztynie - niepożądana. (Palmerston w późniejszych latach powiedział mi, że nie miało to większego znaczenia, ponieważ tylko trzech ludzi wiedziało, o co w ogóle chodzi w kwestii Szlezwiku-Holsztynu. Pierwszym był sam książę małżonek, ale wówczas już nie żył. Drugim pewien niemiecki profesor, który zwariował. Trzecim on sam, Palmerston, ale tak się składa, że zapomniał! Tymczasem problem polegał na tym, że zarówno Dania, jak i Prusy rościły pretensje do zwierzchnictwa nad księstwem. Ojciec Aleksandry, książę Szlezwik-Holsztyn, był także dziedzicem tronu duńskiego;
482
Albert w związku z planami, jakie miał co do zjednoczenia Niemiec, uznawał oczywiście roszczenia Prus i to właśnie czyniło sytuację niezręczną, ponieważ teściem Bertiego zostałby antagonista ojca).

Wiosną 1861 roku dowiedzieliśmy się od Vicky, że księżniczką Aleksandrą interesuje się car, i to do tego stopnia, że uzyskał jej fotografie, aby pokazać je swemu synowi, carewiczowi, co mocno podrażniło naszą ambicję. Vicky i Fryderyk poznali księżniczkę w maju i w gorących słowach opisali nam jej piękność, wdzięk i szlachetność, dodając, iż będzie to prawdziwą tragedią, jeżeli wymknie się nam z rąk. Biorąc pod uwagę wrażliwość naszego syna na piękne kobiety, okazywaną szczególnie w Stanach Zjednoczonych, i brak urody innych możliwych kandydatek, Albert zdecydował, że należy powiedzieć Bertiemu o Aleksandrze i dać mu szansę, aby ją zobaczył. Jeśli mu się spodoba, małżeństwo mogłoby zostać postanowione, pod warunkiem że nie pociągnie za sobą żadnych politycznych zobowiązań.

Vicky przeprowadziła wszystko całkiem gładko i nadała ich spotkaniu zupełnie prywatny charakter. Bertie złożył im wizytę i razem z Fryderykiem wszyscy troje odbyli wycieczkę do Speyer, dokąd również rodzice przywieźli Alix (tak ją nazywali). Spotkali się „przypadkowo" w katedrze, dwudziestego pierwszego września 1861 roku, i gdy Bertie wrócił do Balmoral, powiedział mi, że księżniczka dość mu się podobała, ma przyjemne maniery, piękną twarz i figurę. Vicky natomiast przysłała mi z Prus list utrzymany w raczej gniewnym tonie: „Bertiemu Alix spodobała się nadzwyczaj, ale co do zakochania, nie sądzę, aby do tego doszło ani też, by był zdolny do okazania

entuzjazmu wobec jakiegokolwiek zjawiska na świecie". W istocie, Bertie nigdy więcej o niej nie wspominał, nie okazywał również chęci, aby ją poślubić; aby w ogóle kogoś poślubić. Powiedział mi nawet kiedyś, że perspektywa zostania ojcem przeraża go, co nie wróżyło ani jemu, ani Anglii dobrze na przyszłość. (Skąd się to brało, mieliśmy odkryć dopiero później!).
Wiosną 1861 roku Bruce (wówczas już generał Bruce) przebywał z Bertiem w Cambridge i nalegał, aby - skoro podróż po Ameryce zakończyła się takim sukcesem - pozwolić Bertiemu

na zrealizowanie jego drugiego marzenia - wstąpienia do armii. Dziesięciotygodniowy trening wojskowy w Curragh podczas najbliższych długich wakacji, twierdził, będzie doskonałym doświadczeniem dla księcia. Albert pojechał w marcu do Cambridge spotkać się z generałem Bruce i zostało postanowione, że Bertie przejdzie przyspieszony kurs wojskowości, pokonując co dwa tygodnie kolejne szczeble kariery, poczynając od dowodzenia chorągwią, a po dziesięciu tygodniach, jeśli oczywiście dołoży starań, nabędzie umiejętności pozwalających mu przeprowadzić manewry brygadą w polu. Miał być nad nim roztoczony ścisły nadzór, aby nie fraternizował się zbytnio z młodszymi oficerami. Mógł wydawać dwa razy w tygodniu obiady dla starszych oficerów, dwa razy jadać w kasynie własnego pułku, raz w obcego i dwa razy (w tym w niedzielę) samotnie w domu. Bertie przybył dwudziestego dziewiątego czerwca 1861 roku do Kingstown, spędził kilka dni na zamku, po czym wyjechał do Curragh. Pracował ciężko, nie miał jednak dostatecznych zdolności, aby podołać ambitnemu planowi kursu, jaki dla niego przygotowano; nie przeszkadzało mu to jednak doskonale się bawić. Jak doskonale, mieliśmy się przekonać w bardzo dla nas bolesnych okolicznościach; zrozumieliśmy wtedy również, że nie sposób powstrzymać młodego mężczyzny od niegodziwości, jeśli ma do tego skłonność, inaczej, jak zamykając go na klucz. Podczas gdy my robiliśmy wszystko, aby doprowadzić do spotkania z cnotliwą księżniczką Alix, tak by tych dwoje mogło się sobie przyjrzeć, Bertie skrywał ohydny sekret, którego odkrycie miało zatrważające konsekwencje.
W roku 1860 Alicja skończyła siedemnaście lat i bardzo jej się podobało, że jest w tej chwili najstarszą córką w domu. Raczej spokojna z natury i rozsądna, nie stroniła przecież, co zupełnie naturalne u młodej dziewczyny, od rozrywek, bali, rewii, tańców i przedstawień, lubiła komplementy i cieszyło ją, że oczy wszystkich zwracają się na nią, gdy wchodzi do pokoju. Przyszedł czas, aby znaleźć jej męża. Przez jakiś czas bawiliśmy się myślą, że mógłby to być książę Wilhelm Orański (wnuk Wilhelma, którego księżniczka Charlotta odrzuciła

w 1814 roku i syn Wilhelma, którego mi bezskutecznie proponowano w 1836 roku - nie najlepszy znak!), ale gdy złożył nam wizytę z bratem, stwierdziliśmy, że należy do najbardziej nudnego rodzaju młodzieńców - ospały i marzycielski; poza tym nie przypadli sobie z Alicją do gustu. Kiedy jeszcze odkryliśmy, że cieszy się podłą reputacją, natychmiast porzuciliśmy nasze zamiary. (Nigdy nie zasiadł na tronie, zmarł od rozpusty w 1879 roku - wyobraźcie sobie, co by było, gdybyśmy oddali mu naszą szlachetną Alicję!). Kolejnego kandydata podsunęła nam Vicky, a wuj Leopold, poproszony o zasięgnięcie opinii, przysłał pochlebny raport. Był to Ludwik, dwudziestotrzyletni wielki książę heski; inteligentny, interesował się polityką i sztuką rządzenia państwem - co mu zjednało Alberta - a jego obyczaje były bez zarzutu; niestety, wuj Leopold pisał, że nie jest przystojny. Złożył nam wraz z bratem wizytę w 1860 roku i natychmiast go polubiłam: szczery, rozsądny młody mężczyzna o doskonałych manierach, który wyraźnie podziwiał Alberta i w czarujący sposób domagał się poznania jego opinii na temat sytuacji politycznej w Europie. On i Alicja zakochali się w sobie niemal od pierwszego wejrzenia. W listopadzie odwiedził nas znowu, a na Gwiazdkę byli zaręczeni.
Tym razem nie mieliśmy zamiaru pozwolić odejść naszej małej dziewczynce tak szybko. Albert powiedział, że będą musieli poczekać z małżeństwem co najmniej rok, poza tym zdecydowaliśmy, a oni się zgodzili, że po ślubie będą spędzać pół roku w Anglii. (Małżeństwo okazało się bardzo szczęśliwe i udane, a heska linia dobrą rodziną i jeszcze dwóch ich mężczyzn związało się z nami więzami małżeńskimi: Ludwik Battenberg, cioteczny brat męża Alicji, który poślubił jej córkę, Wiktorię, i jego brat Henry, czyli Liko, jak go zawsze nazywaliśmy, który poślubił Baby).

Jedyną ujemną stroną domu heskiego były silne prorosyjskie sympatie: ciotka Ludwika, Maria, poślubiła cara Aleksandra II (jeszcze jeden mój konkurent!). Córka Ludwika i Alicji, Elżbieta, wyszła za mąż za wielkiego księcia rosyjskiego, Siergiusza, syna Marii heskiej - tym samym stała się ciotką własnej siostry Aleksandry, kiedy ta poślubiła Mikołaja (Mikołaj zresztą zwracał się „ciociu" do Aleksandry, gdy się
485
pierwszy raz spotkali). Całe moje życie prześladowała mnie Rosja i Rosjanie. Siostra Alix, Dagmara, poślubiła cara Aleksandra III - i została matką Mikołaja, nic więc dziwnego, że on i Jerzy są tak do siebie podobni. Lokaj Jerzego, szukając kiedyś w Windsorze swego pana, natknął się na przebywającego tam właśnie z wizytą Mikołaja i był święcie przekonany, że znalazł tego, kogo szukał!

19 listopada 1900.

W sobotę był na obiedzie generał Buller, który pozwolił sobie uczynić w obecności dam dworu uwagę, że Roberts nie zna się zbyt dobrze na rzeczy i jest odpowiedzialny za przedłużającą się wojnę w Afryce Południowej. Posłałam mu notatkę, że nie życzę sobie dyskutowania o innych generałach w mojej obecności, chętnie natomiast usłyszę, co ma do opowiedzenia o drogim Christlu. Wczoraj w czasie lunchu rozprawiał nadzwyczaj zabawnie o tym, jak to cenił sobie codzienną pintę szampana w czasie kampanii, tymczasem jego najbliższą sąsiadką przy stole była lady Erroll, zagorzała zwolenniczka zachowywania abstynencji. Bogu dzięki, że zachowałam chociaż poczucie humoru, skoro nie mogę już liczyć na znakomite trawienie!
Jesienią 1860 roku pojechaliśmy z wizytą do Koburgu. Umysłem Alberta owładnęła prawdziwie obsesyjna chęć odwiedzenia starych kątów, ale też była to jedyna możliwość, abyśmy mogli zobaczyć Vicky i Fryderyka, i małego Willy'ego prywatnie, nie organizując państwowej wizyty. Vicky urodziła w lipcu drugie dziecko, stanowczo zbyt wcześnie po pierwszym niebezpiecznym porodzie, ale wszystko poszło tym razem dobrze i nazwali córkę Charlotta. Albert tęsknił za widokiem ukochanej córki równie mocno jak starego drogiego Rosenau, zaplanowaliśmy więc wszystko tak, abyśmy mogli się tam zobaczyć. Zabraliśmy ze sobą Alicję, aby dać jej przedsmak zagranicznych podróży.
Och, pierwsze chwile spotkania były tak głęboko wzruszające! Moja droga, słodka Vicky wyglądała tak pięknie i kobieco i uściskawszy mnie, rzuciła się w ramiona Alberta,
486
i tych dwoje łkało cichutko z głowami schowanymi na ramieniu drugiego, zbyt przejęci, aby się do siebie odezwać. Kochany, uprzejmy Fryderyk, z pionową zmarszczką między brwiami, która zagościła tam na stałe, jakby wiecznie był zatroskany, ściskał moją rękę i mówił to, co powiedzieć należało i co mogło mi dodać ducha, ale oboje patrzyliśmy na Vicky. Przyszedł wreszcie ten moment, gdy ona i Albert z trudem oderwali się od siebie i wciąż trzymając się w ramionach, odsunęli na tyle, aby popatrzeć jedno na drugie.
- Tato? - powiedziała Vicky z niepokojem, wpatrując się badawczo w jego twarz. - Czy ty się dobrze czujesz?
- Tak, moja droga córko, oczywiście - odparł. - A ty? Czy dbasz o siebie? Przebywasz wystarczająco długo na świeżym powietrzu? Po tym, co mi napisałaś o nieczystościach pałacowych, jestem szczęśliwy, że się wyrwałaś stamtąd chociaż na krótki czas.
Vicky, rozbawiona, zaczęła się śmiać i zapomniała o swoim niepokoju, jak tego chciał Albert.
- Och, tato, cóż to za kwestia, żeby o to przede wszystkim pytać!
- Kanalizacja zawsze powinna być kwestią pierwszej wagi - powiedział z uśmiechem i puścił ją. - No, muszę ci pozwolić ucałować siostrę, która przestępuje z nogi na nogę i myśli, że o niej zapomniałaś.
Vicky odwróciła się, aby uściskać i ucałować Alicję - były do siebie bardzo przywiązane i nigdy nic między nimi nie stanęło, nawet gdy ich kraje brały udział po przeciwnych stronach w wojnie.

Spojrzałam na Alberta. Cóż to takiego zobaczyła Vicky, czego nie chciał, aby dostrzegła? Albert wyczuł mój wzrok i patrzył mi przez chwilę w oczy, a potem skierował swoją uwagę na Fryderyka, wypytując go o sytuację polityczną. Było w jego zachowaniu coś bardzo niezręcznego, przyglądałam się więc jego odwróconej profilem twarzy dalej. Nie widziałam, żeby się zmienił - ale ja patrzyłam na niego codziennie i zawsze wyglądał tak samo: jak mój mąż i kochanek. Vicky, przebywająca z dala od nas przez tyle miesięcy, mogła zauważyć zmianę i Albert zdawał sobie z tego sprawę. Ja nie potrafiłam określić, na czym ona miałaby polegać.
487
Przeszkodzono nam w tym momencie w najbardziej uroczy na świecie sposób: weszła dobra pani Hobbs (angielska niania, którą Vicky zabrała ze sobą), trzymając za rękę naszego najukochańszego najstarszego wnuczka. Wszedł, trzymając się całkiem pewnie na tłuściutkich nóżkach, uśmiechał się i wyglądał tak rozkosznie! Był ubrany w białą sukienkę z czarnymi kokardami; zdrowe, tłuściutkie dziecko, jakiego każdy mógłby sobie życzyć; cerę miał delikatną i białą, oczy Fryderyka, usta Vicky i niezwykle jasne, kędzierzawe włosy. Zachowywał się doskonale przez cały czas, wprost promieniał na nasz widok, jakby wiedział, kim jesteśmy. Nie przypatrywałam się jego biednemu, zimnemu, bezwładnemu ramionku, bo nie chciałam martwić Vicky. Clark powiedział mi, że w końcu wszystko powinno być dobrze, zachowywałam się więc, jakby to była rzecz naturalna i w ogóle nie zaprzątała mojej uwagi.
Odwiedziliśmy również dobrego starego Stockmara i stwierdziłam, że niewiele się zmienił, umysł ma bystry jak zwykle, choć się oczywiście postarzał. Albert powiedział, że według niego staruszek jest w nie najlepszej formie.
- Nie spodziewałem się, że będzie taki słaby i chory -stwierdził ponuro, na co odparłam szybko, że trudno się spodziewać, aby siedemdziesięcioletni mężczyzna nie okazywał żadnych oznak słabości.
- Według mnie wygląda dobrze. Musisz pamiętać, że nasz drogi baron zawsze miał skłonność do wyolbrzymiania swoich dolegliwości.
Nie przekonałam Alberta.
- Nie pożyje już długo - powiedział. - Trzeba się pogodzić z tym, że może widzimy go ostatni raz.
Najwyraźniej wpadł w swój koburgowski ponury nastrój, więc nie odezwałam się już więcej. Kiedy znowu zobaczyliśmy Stockmara, przyjrzałam mu się uważnie i zupełnie nie sprawił na mnie wrażenia człowieka, który miałby w niedługim czasie umrzeć.
Okazało się zresztą, że to raczej mojemu ukochanemu grozi niebezpieczeństwo, a nie jego staremu nauczycielowi. W dziesięć dni po naszym przyjeździe Albert pojechał do Kalenbergu na polowanie, Vicky, Alicja i ja przyłączyłyśmy się do niego
488
w porze lunchu, zabierając ze sobą szkicowniki, ponieważ z zamku roztaczały się przepiękne widoki. Minęło niewiele czasu i Albert powiedział, że musi wracać do Koburgu, odbyć kilka spotkań, na co wymieniłyśmy z Vicky ponure spojrzenia (nie tak dawno uskarżałam się jej na nadmierną obowiązkowość jej taty) i oznajmiłyśmy, że pojedziemy za nim w swoim własnym tempie.
Szłyśmy właśnie do bram pałacowych ze szkicownikami w rękach, żartując ze sposobu, w jaki wieśniaczka o czerstwej twarzy złajała Vicky za szarganie trenu sukni po ziemi i brudzenie go - „a przecież można go podkasać" - gdy nadjechała rozpędzona dwukółka, ciągnięta przez parę zgrzanych koni, z woźnicą i pułkownikiem Ponsonby, koniuszym Alberta, siedzącym w środku. Jedno spojrzenie na twarz pułkownika zmroziło mi serce. Vicky musiała to dostrzec, ponieważ natychmiast schwyciła mnie za ramię i zacisnęła na nim mocno rękę.
- Poczekaj, mamo, poczekaj, nie denerwuj się - powiedziała, ale wyraźnie słyszałam strach w jej głosie.
Ponsonby szedł ku nam, stawiając wielkie kroki, twarz miał bladą.
- Och, co się stało? - wykrzyknęłam, zanim się do nas zbliżył. - To książę, wiem, że to książę! Boże święty, powiedz mi, Ponsonby, nie oszczędzaj mnie!
- Nie jest ranny, nie jest ranny - odkrzyknął Ponsonby pospiesznie w odpowiedzi. - Rozkazał mi natychmiast przyjechać z wiadomością, że nic mu się nie stało.... ma parę zadrapań na nosie, a

lekarz twierdzi, że nie powinno być żadnych konsekwencji.
- Co się stało? Jakiś wypadek? - zapytałam. Czułam się tak, jakbym miała zemdleć, a serce waliło mi jak oszalałe; tłukło się gdzieś w mojej głowie jak ptak w kominie. Ponsonby stanął przy nas, robiąc gest, jakby chciał ująć mnie za drugie ramię, ale uprzedziła go Alicja; spokojna, opanowana Alicja.
- Wydarzył się wypadek, gdy książę jechał powozem, i dlatego przysłał mnie natychmiast z wiadomością, że nie jest ranny, nie chce bowiem, aby się ktokolwiek o niego martwił albo denerwował.
489
Skoro to Albert przysłał Ponsonby'ego, nie mógł być w złym stanie. Odetchnęłam raz i drugi głęboko i powiedziałam:
- Dobrze, Ponsonby, już się uspokoiłam. Powiedz mi, co się stało.
Opowiedział mi: Albert siedział samotnie w powozie, gdy na milę przed Koburgiem konie się spłoszyły i poniosły. Albert nie miał pojęcia, co je tak przeraziło, ale gdy woźnica przestał kląć, a zaczął się głośno modlić, zrozumiał, że tamten nie panuje nad końmi. Drogę przecinała linia kolejowa i Albert zobaczył, że szlaban jest zamknięty, sygnalizując nadjeżdżanie pociągu, a przed nim stoi oczekujący na przejazd furgon. Konie nie zwolniły ani na jotę, zderzenie było nieuniknione, więc Albert zaryzykował skok.
Spadł na drogę i przetoczył się kilka razy; był posiniaczony i zszokowany, miał rozcięty nos, otarcia na dłoniach, kolanach i łokciach, ale poza tym nie doznał większych obrażeń. Usłyszał potworny trzask i rozpaczliwe rżenie koni, co powiedziało mu, że dobrze zrobił, skacząc. Podniósł się chwiejnie na nogi, otarł krew z twarzy i pokuśtykał do rozbitego powozu. Woźnica był ciężko ranny, jeden koń nie żył, zabity siłą uderzenia, pozostałe, miotając się jak szalone, zdołały się uwolnić i popędziły galopem w stronę Koburgu. Ponsonby, który wybrał się na przejażdżkę dwukółką, zobaczył ich, rozpoznał i natychmiast kazał do nich podjechać. Miejscowy lekarz pojawił się już do tego czasu na miejscu wypadku i Albert, który pomagał mu opatrywać woźnicę, przysłał pułkownika do nas.
Alicja i ja usiadłyśmy w dwukółce, Ponsonby zajął miejsce na koźle obok woźnicy. Starałam się opanować i zachować spokój w drodze do domu, Alicja, nieco niespokojna, ale nie zatrwożona, wyraźnie wzięła słowa ojca za dobrą monetę. Ja jednak mogłam sobie wyobrazić impet, z jakim uderzył o ziemię, wyskakując z powozu ciągniętego przez galopujące konie, i umierałam ze strachu. Wiele razy spadałam z konia i zdarzały mi się wypadki w czasie jazdy powozami, ale nie dbałam o to bardziej niż o szaleńca strzelającego do mnie z pistoletu czy gdybym zobaczyła swój dom ogarnięty pożarem. Moje nerwy nie wytrzymują napięcia tylko wtedy, gdy
490
nie wiem, co się dzieje, gdy jestem daleko od miejsca wydarzeń i nie mogę nic zrobić ani w niczym pomóc. Albert był inny. Zawsze głęboko przeżywał każdy wypadek, nawet gdy był jeszcze młody i odporniejszy. W 1840 roku spadł z konia na polowaniu i chociaż skończyło się na paru zadrapaniach, był wstrząśnięty i przeraźliwie zdenerwowany; podobnie jak w 1841, gdy jeździł na łyżwach i lód się pod nim załamał. Wyciągnęłam go niemal natychmiast i od razu wróciliśmy do domu, tak że nawet przeziębienia nie złapał, ale z nerwów i szoku prawie się rozchorował.
Nie zaskoczyła mnie więc zupełnie jego bladość ani zimne lodowato dłonie, gdy zobaczyłam go leżącego w łóżku z kompresem z płótna opatrunkowego, przykrywającym nos, usta i policzki. Leżał sztywno w pościeli, drżąc jak wróbel w zimie. Pocałowałam jego rękę, przytuliłam do policzka i powiedziałam, jak dziękuję Bogu, że nic poważnego mu się nie stało.
- Bóg musi cię mieć w szczególnej pieczy. - Nie widziałam jego ust, skrytych pod okładem, ale w jego wpatrzonych we mnie oczach dostrzegłam błaganie, zupełnie jak w oczach cierpiącego zwierzęcia, które w swojej nieświadomości sądzi, że możemy sprawić, aby ból ustał. - Albercie, czy to rzeczywiście nic takiego? Niczego przede mną nie ukrywasz?
- Nie - wyszeptał. - Jestem posiniaczony i roztrzęsiony, nic więcej.
Następnego ranka wstał o siódmej, ubrał się i zanim do niego przyszłam, siedział już jakiś czas przy biurku, czytając.

- Sama widzisz - oświadczył, uśmiechając się promiennie. - Czuję się świetnie. Potrzebowałem tylko dobrze się wyspać.
Oczy miał głęboko podkrążone i podpuchnięte. Potrzebował długiego, pokrzepiającego snu, ale czy go zaznał? Przez cały dzień zachowywał się normalnie, rozmawiał z ożywieniem, interesował się tym, co się wokół niego działo; tylko wtedy, gdy myślał, że nikt na niego nie patrzy, uchodziło z niego życie, ożywienie odpływało z jego twarzy, pojawiał się na niej ten przerażający wyraz przygnębienia i melancholii. Ale ja nie odrywałam od niego oczu, przeklinając w duchu ten jego stoicyzm, który kazał mu wstać za wcześnie z łóżka,
491
zamiast wypocząć należycie. Nie chciał mnie trwożyć; nie chciał tracić ani jednej cennej minuty, którą mógł spędzić z Vicky; nie chciał stracić ani chwili z pobytu w ukochanym Koburgu. Chłonął te przyjemności jak skazaniec, zanim go powiodą na szafot, okazywał radosny nastrój, by nie martwić innych; złościło mnie to: zarówno jego zdenerwowanie upadkiem, jak i udawanie, że zdenerwowania nie czuje. Jedno i drugie niepotrzebne; jedno i drugie go wycieńczało. Był melodramatyczny; trzymał mnie na dystans swoim zachowaniem, które mówiło: szlachetny mimo cierpienia, zamiast przyznać, jaki jest nieszczęśliwy i jak podle się czuje, i pozwolić, abym go pocieszyła.
Udawałam wobec tego, że wszystko jest jak należy. Ale też co innego mogłam zrobić?

Rozdział Dwudziesty.
22 listopada 1900 w Windsorze.

Powietrze pozostaje czyste, chociaż przeniknięte wilgocią, co mi odpowiada - nigdy mi nie dokuczał deszcz, mgła natomiast wpędza mnie w przygnębienie. Samopoczucie mam całkiem dobre, chociaż wykonanie najdrobniejszej rzeczy mnie męczy, a Reid nie przestaje mnie straszyć, każe mi się zachowywać, jakbym była kaleką, leżeć cały dzień na kanapie, co jest nie do zniesienia. Bezczynność zawsze doprowadzała mnie do szału; poza tym mam tyle do zrobienia, a wszystko trwa dłużej, odkąd nie mogę czytać sama. Baby robi co w jej mocy, z przyjemnością słucham, jak czyta, ale obawiam się, że nie za wiele z tego rozumie, przez co i mnie czasem trudno pojąć, o co chodzi. Helena rozumie znacznie więcej, ale z kolei czyta za szybko. Och, jakże to inaczej wyglądało, gdy ja i mój ukochany siedzieliśmy tuż obok siebie przy biurkach i wystarczyło mi tylko odwrócić głowę, aby go zobaczyć ! Czy naprawdę miałam kiedyś to szczęście, że zawsze mogłam się do niego zwrócić po pomoc i pociechę? Teraz,
492
samotnej, uwięzionej w coraz bardziej kruchym ciele, wydaje mi się to odległym, sennym marzeniem.
Święta Bożego Narodzenia w 1860 roku były cudowne. Zima była mroźna, pełno śniegu, z nieba lało się słońce, stawy pozamarzały. Albert, Alicja i chłopcy ślizgali się na łyżwach; Ludwik heski grał tak zawzięcie w hokeja, że z pewnością skończył cały posiniaczony; ja przyglądałam się im w towarzystwie Leo i Baby, podziwiając oczywiście Alberta. Był ubrany w czarny aksamitny kubrak, w którym wyglądał świetnie, na ostrzach jego łyżew z przodu, gdzie zawijały się w górę, widać było dwa miniaturowe łabędzie, i ślizgał się z takim wdziękiem! Krzyknęłam do niego, ostrzegając, aby nie zbliżał się zbytnio do krańca stawu porośniętego sitowiem, ponieważ lód może być tam zbyt kruchy, i Baby spojrzała na mnie z wielkim zainteresowaniem.
- Czy to jest to sitowie, w którym mieszkał Mojżesz? -zapytała, ponieważ niedawno przeczytano jej tę historię.
Ludwik i Alicja po raz pierwszy wręczali sobie prezenty i Alicja była tym wzruszająco przejęta. Mama zjadła z nami lunch, a mniejsze dzieci zeszły na deser i Baby natychmiast wdrapała się mojemu ukochanemu na kolana, podniosła jego łyżkę i zaczęła wodzić chciwymi oczami po stole w poszukiwaniu najlepszego kąska. Wzrok się jej rozjarzył na widok ciężkiego mrożonego puddingu i przyciągnęła talerz do siebie.

- Nie, nie, Baby, tego ci nie wolno - powiedziałam pospiesznie. - To nie jest zdrowe dla Baby.
- Ale ona to lubi, mój skarbie - zaszczebiotała słodkim głosikiem psotnica, wbijając w pudding łyżkę, i było to tak nieodparcie zabawne, że wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, co prawdopodobnie nie najlepiej na nią wpłynęło, nie sposób było się jednak gniewać na to urocze małe stworzenie.
Po lunchu zabawialiśmy się rozmaitymi grami, Albert dokazywał z dziećmi tak, że aż pokładały się ze śmiechu. Pokazywał młodszym magiczne sztuczki i nawet Bertie przyglądał się z szeroko otwartymi oczami. (Przypomniałam sobie, jak sprowadzono światowej sławy magika, aby nas zabawił; Bertie był wówczas mały, a my znacznie młodsi. Po
493
pokazie Bertie podszedł do sztukmistrza i powiedział poufnym tonem: „Mój tata zna te wszystkie sztuczki"; był święcie przekonany, że jego tata wie wszystko!). Potem Baby zaciągnęła mamę do fortepianu i zmusiła do zagrania jej ulubionych pieśni.
- Nie wiem, jak to się nazywa, ale brzmi tak - mówiła i zaczynała śpiewać silnym dziecinnym głosikiem początek.
Znała wszystkie słowa, chociaż często zdarzało jej się mylić melodię. Potem, gdy Artur przeczytał z Biblii fragment o rzezi niewiniątek, Baby wzięła książkę i zaczęła udawać, że również czyta.
- Wtedy niegodziwy człowiek pozabijał wszystkie dzieci -mówiła donośnie - i wszystkie matki płakały zdzierające.
Rok 1861, który nadszedł po tych dniach pełnych szczęścia, zaczął się źle. Jak już wspominałam, król Prus, biedny szalony starzec, stryj Fryderyka, zmarł drugiego stycznia; nowym królem został ojciec Fryderyka i wraz z nim zapanowała na dworze pruskim reakcja. Vicky, jako nowa królewska księżniczka Prus, musiała zdaniem Alberta usilnie dążyć do zjednoczenia Niemiec, a on udzielić jej w tym względzie wszelkiej rady i pomocy, co oznaczało początek nie kończących się dysput, które przysporzyły mojemu najdroższemu dodatkowej pracy i troski.
Dwudziestego dziewiątego stycznia wydarzyła się katastrofa kolejowa pod Wimbledonem, gdzie zderzyły się dwa pociągi, i okropnym zbiegiem okoliczności jedyną osobą, która zginęła, był nasz lekarz, doktor Baly; wyrzuciło go z wagonu i został zmiażdżony pod kołami. Był znakomitym młodym medykiem, służył nam ledwie rok, a Albert już mu całkowicie ufał. Baly zastąpił naszego dobrego starego Clarka, który odszedł na emeryturę w wieku siedemdziesięciu trzech lat.
Musieliśmy prosić Clarka, aby polecił nam kogoś nowego, co było szczególnie denerwujące i niewygodne, ponieważ Alberta od początku roku dręczył potworny ból zębów, który przerodził się w stały nerwoból, umiejscowiony w okolicy górnej części policzków, prawdopodobnie na skutek zapalenia nerwów. Nacięto mu dziąsła, na wypadek gdyby zapalenie zostało spowodowane zatruciem, ale nic z nich nie wyciekło; zabieg powtórzono po dziesięciu dniach, również bez rezultatu.
494
Ból zębów to ponura, żałosna dolegliwość, której ja dzięki Bogu prawie zupełnie nie znam, i gdy nęka człowieka, nie sposób myśleć o niczym innym. Alberta bardzo to osłabiło, zwłaszcza że dołożyły się jeszcze nieprzespane noce, mimo to nie pofolgował sobie ani na chwilę w pracy i nawet podczas największego nasilenia bólu, gdy był cały opuchnięty, udał się na spotkanie w sprawie latarni morskich do Trinity House, skąd powrócił kompletnie wyczerpany. Doktor Clark znalazł nam jeszcze przed końcem miesiąca nowego lekarza, Williama Jennera, który był przyjacielem biednego nieocenionego Baly'ego. Polubiłam go z miejsca, był spokojny i miał kojący sposób bycia, a Albert, czy to na skutek zbiegu okoliczności, czy jednak jego interwencji, wydobrzał po kilku dniach.
Niemal natychmiast dosięgnął nas kolejny cios: dwudziestego ósmego lutego zmarł nieoczekiwanie sir George Couper - „jakby zdmuchnąć płomień świecy", powiedział Albert. Był od 1840 roku zarządcą dworu mamy, ale stał się dla niej czymś więcej - jej zaufanym przyjacielem, opiekunem i doradcą, którego radziła się we wszystkich trudnościach i przy podejmowaniu każdej decyzji.
- To rzeczywiście zła wiadomość - powiedział Albert tego samego wieczora, kiedy roztrząsaliśmy nasze smutki. - Stan zdrowia mamy nie jest najlepszy. Boję się skutków szoku.

Mama od dwóch lat cierpiała na różę (ta okropna choroba zabiła również mojego biednego Johna Browna, chociaż w jego przypadku sprawę pogarszała zbytnia skłonność do whisky), ale choć miała siedemdziesiąt pięć lat, niezwykły wiek, jak na tamte czasy, nie wydawało mi się, aby miało jej grozić jakieś większe niebezpieczeństwo. Każdy spodziewa się, że jego matka będzie żyła wiecznie, taka jest nasza natura.
- Nie ma przecież powodów do zmartwień - powiedziałam.
- Wiesz, że ma ropień na ramieniu - przypomniał mi. -Takie rzeczy bardzo osłabiają.
- Na pewno wkrótce się jej polepszy - stwierdziłam. -Jest bardzo silna. Pochodzi ze zdrowej rodziny.
- Obawiam się, że nie możesz sobie robić wielkich nadziei,
495
kochanie - powiedział łagodnie, patrząc na mnie poważnym wzrokiem.
- Co to znaczy? - zaniepokoiłam się. - Wiesz coś, czego ja nie wiem?
Z ociąganiem skinął głową.
- Clark twierdzi.... mówił mi... twierdzi, że powinniśmy przygotować się na najgorsze.
- Clark ci tak powiedział?
- Tak. Chciał, żebym sam zdecydował, czy powiedzieć tobie, a ja postanowiłem, że nie, ponieważ...
- Kiedy z tobą rozmawiał?
- Jakieś dwa lata temu, gdy miała pierwszy atak...
Z ulgą wybuchnęłam śmiechem, nie dając mu dokończyć.
- Dwa lata temu powiedział ci, że należy się spodziewać najgorszego. A ona wciąż jest z nami, więc sam widzisz! Och, przez moment mnie naprawdę przeraziłeś. Niełądnie z twojej strony.
Zaczął mi tłumaczyć:
- Kochanie, jej ramię nie wygląda dobrze. Ropnie tego rodzaju zatruwają cały organizm.
- Za tydzień jej się polepszy, zobaczysz - oświadczyłam stanowczo.
Dziewiątego marca Jenner stwierdził, że musi otworzyć ramię, aby usunąć przyczynę niepokojącej dolegliwości. Operacja była ciężka - musiał ciąć aż do kości - a ulga krótkotrwała i wkrótce zaczęły się zbierać nowe ropnie. Mimo to wciąż nie żywiłam żadnych obaw. Piętnastego marca siedzieliśmy w pałacu Buckingham, ja spokojnie przeglądałam gazety, Albert pisał listy, kiedy dostarczono nam z Frogmore wiadomość od doktora Clarka (który wciąż był lekarzem mamy) z informacją, że stan mamy jest krytyczny.
- To nie może być prawda - powiedziałam zdumiona i zatrwożona. - On się myli.
Albert wstał.
- Musimy natychmiast do niej jechać - zdecydował. -Przygotuj się, Liebchen. Każę przygotować pociąg.
Nie zmarnowaliśmy ani sekundy czasu. Dotarliśmy do Frogmore o ósmej wieczorem i chciałam natychmiast pójść
496
do pokoju mamy, ale Albert powstrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu i mówiąc:
- Nie, pozwól, że pójdę pierwszy. Poczekaj tutaj, kochanie. Wydawało mi się, że zniknął na długi czas i czekałam
raczej zniecierpliwiona niż przestraszona. To ja z nią powinnam być, myślałam, to mnie potrzebuje, swojej córki - ale były to słowa, które w takich okolicznościach przychodzą do głowy; nie miały większego ciężaru niż pył wodny, ponieważ w głębi serca wciąż nie wierzyłam, że jest się czego obawiać. Wreszcie nadszedł Albert z twarzą mokrą od łez.
- Albercie? - zapytałam, zrywając się na nogi. - Jak ona się czuje? Nie śpi?
Stanął przede mną i popatrzył na mnie łagodnie, ze smutkiem.
- Ona umiera, Wiktorio. Koniec jest bardzo blisko.
- Blisko? - ledwie zdołałam wyjąkać, osłupiała. - Ty... ty uważasz... że jej się nie polepszy?
- Nie przeżyje nocy. Ona umiera, kochanie... umiera.
- Och, Boże, to niemożliwe - wyszeptałam, wyciągając do niego ręce.
Skinął głową, wziął mnie za rękę i zaczął wchodzić ze mną po schodach. Otępiała z niedowierzania,

nie wiedziałam, co myśleć, nie wiedziałam, co czuję; trzymałam kurczowo męża za rękę, jakby to jedno miało jakiś sens w świecie, który wydał mi się nagle całkiem obcy. Wprowadził mnie do jej pokoju i zobaczyłam ją, małą, pulchną starszą panią; matkę, którą zaczęłam kochać tak późno; wspaniałą, dobrą, serdeczną babcię dla moich dzieci - leżała na sofie w przepięknym szlafroku z zielonego jedwabiu, w świeżym, przybranym koronką czepku na głowie. Jej głowa spoczywała na wysoko spiętrzonych poduszkach, oddychała z trudem, ale wyglądała prawie tak jak zawsze i serce mi odtajało. Na pewno, na pewno nie umierała... przecież nie umierała? Podeszłam do niej pospiesznie, uklękłam obok niej, schwyciłam ją za rękę, pocałowałam i przytuliłam do policzka.
- Mamo! - powiedziałam. - Mamo, nie śpisz? - Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie, ale wydawało się, że mnie nie widzi. Po raz pierwszy nie miała dla mnie powitalnego uśmiechu.
497
Jej oczy były czarne i puste, jak dwie bezdenne studnie. -Mamo, to ja, Vickelschen. Jak się czujesz?
Dłoń pod moją ręką poruszyła się; położyłam drugą rękę na jej ramieniu, a ona skrzywiła twarz i odsunęła się niemrawo ode mnie, strzepując to coś, co leżało na jej ramieniu, jakby strzepywała muchę lub zeschły liść.
- Mamo?
Odwróciła ode mnie głowę.
- Nie przeszkadzaj mi - powiedziała niewyraźnie. - Gdzie moje okulary? Przynieś mi okulary, dziewczyno.
Nie poznała mnie. Moje serce przeniknęła rozpacz, poczułam, jak morze gorzkich łez żalu zalewa mi policzki. Miała umrzeć - nie któregoś dnia, ale tej nocy; odchodziła na zawsze, opuszczała mnie, swoje dziecko, które kochała i od którego teraz się odwróciła. Zerwałam się na nogi i popędziłam przez pokój, Albert za mną. Clark stał za drzwiami, dobry stary Clark, który wyszedł z pokoju, aby mnie nie krępować; spojrzałam na niego błagalnie poprzez łzy.
- Czy nie ma nadziei? - Och, powiedz, powiedz, że jest.
- Wasza Wysokość - powiedział bezradnie, wyglądając równie żałośnie jak pies wyrzucony na deszcz. - Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć twierdząco. Obawiam się, że nie ma niestety żadnej. Jej Miłość zbliża się do kresu swoich dni. Ale odejdzie spokojnie, nie cierpiąc. Nie czuje już bólu.
Spokojnie? - pomyślałam. Przyjąć śmierć spokojnie? To lekarze tak mówią. Koburgowie tak mówią. Śmierć jest wrogiem, z którym trzeba walczyć, przepędzać, nie poddawać się. Śmierć nigdy nie jest spokojna. Chciałam ją przepędzić; wznieść zaciśnięte pięści i podnieść krzyk aż pod niebiosa, żeby Bóg usłyszał, co śmiał zrobić; ale przecież byłam królową, a pewnych rzeczy królowe nie robią, gdy patrzą na nie lekarze. Odwróciłam się od niego, wyciągnęłam rękę do Alberta i natychmiast jego chusteczka znalazła się w mojej dłoni, ciepła ręka wsunęła mi się pod ramię, aby mi dodać sił, a ja zaczęłam wycierać twarz. (Och, błogosławione czasy, kiedy był przy mnie, zawsze przy mnie, zawsze gdy go potrzebowałam!). Potem kiwnęłam mu głową i wróciliśmy do pokoju.
Och, jakież to było długie, przerażające czuwanie! Siedzieliśmy
498
w milczeniu, ponieważ nic nie zostało do powiedzenia, patrząc, jak uciekają z niej resztki życia, wsłuchując się w równomierny, ciężki oddech; co kwadrans repetier z szylkretu wydzwaniał ciche srebrzyste kuranty; dźwięk, który dobiegał mnie każdej nocy mojego dzieciństwa, dopóki nie zostałam królową i nie opuściłam pokoju matki na zawsze. Opuściłam także moją matkę, zostawiłam ją w gniewie i nienawiści, dopóki Albert się nie pojawił i nie zmiękczył mojego serca; odsłonił przede mną powody mojego postępowania i uratował dla mnie wszystko, co jeszcze dało się uratować z mojego opłakanego dzieciństwa. Tak bardzo jej nienawidziłam, a nienawidzi się matki tylko wtedy, jeśli nie cierpi się części samej siebie. Teraz ona mnie opuszczała - opuszczała mnie! - i nienawidziłam jej znowu. Jak mi mogła coś podobnego zrobić? Dlaczego tak o mnie nie dbała, że odchodziła bez pożegnania? Zegarek ojca znaczył upływ godzin tej nocy srebrzystym dzwoneczkiem po każdym kwadransie, a ja liczyłam ciężkie oddechy i chciałam, aby się przebudziła, poznała mnie, uśmiechnęła, pocałowała i powiedziała, że mnie kocha; pożegnała się.

Liczyłam oddechy i zastanawiałam się, ile ich jej jeszcze zostało do końca.
W środku nocy Albert zmusił mnie, abym wyszła i położyła się na sofie odpocząć; chociaż tak znużona, nie mogłam spać, drzemałam niespokojnie, budząc się co chwila, przeniknięta poczuciem nierealności, co mnie jeszcze bardziej nużyło. O czwartej weszłam do jej pokoju znowu, ale nie było żadnej zmiany. O szóstej - nie było żadnej zmiany. O wpół do siódmej przestałam udawać, że śpię, wróciłam do jej pokoju, usiadłam na podnóżku obok niej i wzięłam ją za rękę. Była nieprzytomna, tym razem nie mogła więc zaprotestować. To nie był sen, to było zapadanie się - odchodziła. Przyszedł Clark, spojrzał mi przez ramię i w milczeniu ujął jej rękę, aby zbadać puls. Popatrzyłam na niego. Jego starą, pobrużdżoną twarz czas naznaczył tak mocno, że już nawet nie było widać na niej zmęczenia, choć przecież nie kładł się do łóżka; na jego policzkach pojawiła się biała szczecina zarostu.
- To już nie potrwa długo - stwierdził łagodnie. - Czy mam poprosić Jego Wysokość?
499
- Tak - powiedziałam, a mój głos zabrzmiał po długiej przerwie głucho.
Wszedł Albert i stanął za mną. Nie widziałam go, ale byłam zadowolona, że jest tutaj. Zawsze ją kochał, mówił do niej „mamo". Ale nie była jego matką - nie mogła go zdradzić, nie z nim walczyła, aby go złamać. Jej oddech stopniowo słabł, ręka, którą trzymałam, wiotczała, delikatniała, jakby odchodzące życie ścierało z niej wszystko, zostawiało ją nietkniętą, jak piasek na linii brzegu po odpłynięciu fali. Teraz rzeczywiście jej oddechy były policzone, zostało ich niewiele i coraz ich ubywało, jak drogi opuszczającemu się w dół ciężarkowi wahadła. A potem ucichły. Czekałam na następny - przecież powinien nadejść? Przeszedł ten moment, gdy powinien, ale czekałam nasłuchując, i zamiast oddechu usłyszałam srebrzyste podzwanianie. Wpół do dziewiątej. Odeszła. Odeszła, nie przemówiwszy, nie poruszywszy się nawet, nie wydawszy jednego westchnienia - po prostu odeszła, między jednym oddechem a drugim, jakby to była rzecz bez najmniejszego znaczenia. Jakim sposobem śmierć może przyjść tak niezauważalnie? Bo patrząc na nią, leżącą przede mną, wiedziałam, że śmierć nadeszła. Nigdy przedtem nie widziałam ciała martwego człowieka, ale od tej pory nie mogłabym się już co do tego pomylić. Poeci kłamią: to nie jest jak sen. Tego nieruchomego, jakby wykutego z kamienia ciała, z którego uszło życie, nie można pomylić z ciałem żywego śpiącego człowieka. To już nie jest ludzka istota - to ohydne szyderstwo, kpina z bólu żywego serca, oszustwo dające nadzieję na powrót tych, których kochamy, jeśli będziemy w to dostatecznie mocno wierzyć. Ale nie wierzymy. Jak we wszystko, co wykreował Wielki Szarlatan.
Słyszałam, jak Albert za mną szlocha niepowstrzymanie -przerażający szloch mężczyzny, który stracił osobę bliską mu prawie jak matka. Nie była jednak jego matką! Siedziałam nieporuszona, niezdolna do płaczu, skamieniała ze zgrozy, serce zmroziła mi przejmująca gorycz straty. Odeszła, zostawiła mnie, nigdy nie powróci, choćbym siedziała tu do końca świata. Nie przestając łkać, Albert objął mnie, pomógł mi wstać i wyprowadził z pokoju. Żałowałam, że nie mogę się rozpłakać, ale nie miałam łez, aby ugasić ten przenikliwy
500
ból, który rozlewał mi się w gardle i piersiach, jakby je przeszyto rozpalonym żelazem. Płacz ulżyłby mi w bólu, wiedziałam, ale w tej chwili to Albert płakał, nie ja. To nie jego zdradzono.

20 listopada 1900.

Wciąż doskonale pamiętam, jakim ciosem była dla mnie jej śmierć. W moim dorosłym życiu nie umarł dotąd nikt mi bliski; a w ostatnich latach widywałam mamę albo wymieniałam z nią listy codziennie. Stała się dla mnie tym, czym powinna być matka: powiernicą i doradczynią, służyła mi pomocą w wychowywaniu dzieci i interesowała się drobiazgami codziennego życia - sposobem, w jaki układano mi włosy, długością halki, prawidłowym trawieniem, tym, co zamówię na lunch. Była dla mnie podporą we wszystkich codziennych czynnościach, czym Albert nie mógł mi ostatnio służyć. Nie mógł przecież zrezygnować z żadnego ze swoich rozlicznych zajęć, chociaż go

wyczerpywały; spędzał z dala ode mnie większą część dnia i powracał często zbyt zmęczony i zaambarasowany, aby go obarczać błahostkami. Teraz doszło mu jeszcze uporządkowanie majątku mamy, ponieważ jego uczyniła wyłącznym wykonawcą swojej woli; obowiązki, które wypełniał, każdego by zmęczyły i trzeba było zrezygnować z wielu rzeczy, które kiedyś robiliśmy razem. Brakowało mi mamy w dosłownym sensie tego nadużywanego słowa. Nie było jej tam, gdzie zawsze była; dziesiątki razy w ciągu dnia zaczynałam myśl: żebym nie zapomniała powiedzieć mamie... albo: mamie się to spodoba - i straszliwa prawda uderzała mnie znowu z całą siłą. Nieodwołalność tego, co się stało, męczyła mnie najbardziej; stracone chwile, których już się nie odrobi; niewypowiedziane słowa, których już nie ma po co mówić. Zostawiła setki dokumentów i listów i przeglądając je wraz z lady Augustą Bruce, zalewałam się łzami, widząc, że mama nie wyrzuciła nawet najdrobniejszej notatki ode mnie, najbardziej błahej; zachowała wszystkie obcięte pukle moich włosów, nawet moje dziecinne buciki. Czytałam w jej dzienniku czułe opisy z mojego niemowlęctwa i dzieciństwa; z tych wszystkich lat, kiedy jej nienawidziłam

501

- i kiedy zapalczywie dowodziłam lordowi M., że nigdy mnie nie kochała - a ona pisała o mnie czule, z miłością i smutkiem w swoim dzienniku. Wprowadzona w błąd, tak, z pewnością, ale nigdy nie kierowała się wobec mnie złą wolą ani nie byłam jej obojętna; miała tylko mylne wyobrażenie o tym, co dla mnie dobre. Do żalu i świadomości doznanej straty doszło zatem poczucie winy i skrucha. Opłakiwałam ją, a zimna, mokra, ponura wiosna nie przynosiła pociechy.

W maju przyjechał Ludwik heski, nie mogąc się doczekać widoku swojej słodkiej Alicji, i był zaskoczony głęboką żałobą i ponurym nastrojem panującym w naszym domu. Współczuł mi mocno i szczerze i udowodnił, że jest niezwykłym pretendentem do ręki Alicji. Siedział ze mną godzinami, rozmawiał roztropnie, cichym głosem, wysłuchiwał mnie z cierpliwością i czułością, jaką mają tylko kobiety, oglądał plany nowego mauzoleum w Frogmore, mającego pomieścić doczesne szczątki mamy z pełnym szacunku zaciekawieniem, niezwykłym u tak młodego człowieka. Na nieszczęście zaraził się odrą i szybko przekazał ją naszym dzieciom, Arturowi, Leo i Baby, a w przypadku Leo żadna choroba nie była banalna. Biedny chłopczyk był poważnie chory, co przysporzyło mi troski, a Albertowi zmęczenia.

W sierpniu udaliśmy się z wizytą do Irlandii, ocenić, jakie postępy poczynił Bertie. Wzruszyła nas jego radość na nasz widok; był wyraźnie dumny ze swoich osiągnięć i gdy obserwowaliśmy go maszerującego na czele kompanii, stwierdziłam, że prezentuje się świetnie, znacznie lepiej niż się spodziewałam. W drodze powrotnej zajrzeliśmy do Balmoral i tu odzyskałam wreszcie nieco ducha. Wydobyłam się z głębokiej żałoby, ciesząc świeżym powietrzem, obecnością prostych, dobrych Szkotów, wycieczkami, które mój najdroższy zaplanował, aby mi dostarczyć rozrywki. Uwielbiałam podróżować incognito, a tak zwykle się działo podczas naszych wycieczek, zatrzymywać się w małych gospodach i jeść to, co właścicielka przygotowała z myślą o zwyczajnych gościach. Muszę jednak przyznać, że zabawa była wtedy naprawdę udana, gdy nas wreszcie rozpoznano; inaczej nie miało to sensu, jak sztuka, w której wysoko urodzona bohaterka

502

wciela się w postać służącej i pozostaje nie zidentyfikowana. Najprzyjemniej było, gdy demaskowano nas tuż przed wyjściem i odjeżdżając, mogłam się napawać zdumieniem i podnieceniem ludzi. Podejrzewam, że często działo się tak za sprawą naszych służących, którzy chcieli okazać swoją ważność; w każdym razie najbardziej zadowolona byłam w Gran town, gdy to Alberta rozpoznano i zgotowano mu owację. Ucieszyło mnie, że ludzie jednak doceniają jego ciężką pracę.

Najbardziej sobie ceniłam wizyty w Balmoral z tego powodu, że odrywały one Alberta od pracy i były dla niego rozrywką i wytchnieniem (nie to oczywiście, żeby tropienie zwierzyny nie było ciężką pracą, ale męczyło to Alberta w inny sposób i nie nękała go potem bezsenność i newralgiczne bóle). W Windsorze i w Londynie nigdy nie był naprawdę spokojny, a ostatnio już nawet biegał, nie chodził po korytarzach, bo chciał w ten sposób zaoszczędzić trochę czasu. Wstawał codziennie o siódmej rano, zasiadał za biurkiem w watowanym szlafroku i pracował przez godzinę, zanim się ubrał; jedząc, a raczej połykając chleb z masłem i jajko na śniadanie, czytał

„The Times" i nie przełknąwszy jeszcze ostatniego kęsa, wzywał swego sekretarza, aby ustalić zajęcia na nadchodzący dzień. Nienawidził publicznych wystąpień, wygłaszania przemówień, wznoszenia toastów, mimo to nigdy nie odrzucił żadnego zaproszenia, jeśli tylko uznał, że ma to służyć słusznej sprawie - a przypłacał każde swoje pojawienie się na widoku publicznym atakami dreszczy i bezsennością. Nigdy nie odwołał żadnego swojego wystąpienia pod gołym niebem, choćby pogoda była najgorsza albo źle się czuł - często wracał wstrząsany dreszczami, wyczerpany, miotany mdłościami, nękał go reumatyzm i bóle newralgiczne. Nalegał nawet na przeprowadzenie do końca prac ogrodniczych, które zaordynował i nadzorował, chociaż mały Leo był właśnie chory i przyznam, że bardzo mnie to rozzłościło. A do tego bezustannie zalewali go pytaniami urzędnicy dworscy i członkowie rządu; „zapytajcie księcia" - taką receptę dawano, gdy powstał jakiś problem, a książę nikogo nie odesłał z kwitkiem i stanowczo zbyt mało spraw przekazywał innym.
W Balmoral miałam go znowu dla siebie i jesienne wakacje
503
w 1861 roku były jednymi z najbardziej udanych, jakie pamiętam. Spędzał je z nami Ludwik heski i właściwie wydawał się już członkiem rodziny; Bertiego z nami nie było, przez co w domu od razu zrobiło się spokojniej. Przygarbione coraz mocniej plecy mojego ukochanego jakby się wyprostowały, na jego twarzy jakby zagościł zapomniany wyraz ożywienia. Gdy był spokojny, na jego twarzy malowała się powaga, godność, surowość; nikt jednak, komu udało się zobaczyć go śmiejącego, nie zapominał tego widoku; ani tego, jak serdecznie i szczerze brzmiał jego śmiech. Bawiliśmy się dobrze na jednym czy dwóch balach, gdzie Albert i ja odtańczyliśmy kilkakrotnie szkocki taniec wirowy, co zrobiło na Ludwiku wielkie wrażenie - Albert był niezrównanym tancerzem, a ja w jego ramionach stawałam się lekka jak piórko. W nocy po balu odnalazłam na powrót swojego kochanka; czułego, skorego do pieszczot i namiętnego, jakbyśmy dopiero co połączyli się węzłem małżeńskim; teraz jednak, po dwudziestu jeden latach szczęśliwego i wiernego związku, nieoczekiwanie jakby przestał toczyć ze sobą przedziwną walkę i gdy nadeszło końcowe wyzwolenie, poddał się temu całkowicie. Dał mi z siebie wszystko; słodkie, odświeżające uczucie - i moje serce rozpalało się radością każdej nocy, gdy trzymałam go w ramionach.
Ostatnią wycieczkę odbyliśmy szesnastego października. Przebudziwszy się, z zadowoleniem powitałam piękny dzień, ponieważ Albert planował nasze wyprawy tak starannie (posługując się mapami, konsultując z gillie, omawiając każdy najdrobniejszy szczegół), że potem musiały się odbyć, niezależnie od pogody. Był to jeden z tych bezwietrznych, ciepłych październikowych dni, przypominających lato; błękitno złoty, czysty i jasny jak heraldyczny rysunek. Na nieskazitelnie błękitnym niebie (niebieściutkim jak oczy taty, mawiała Vicky) nie było ani jednej chmury. W nocy trzymał mróz i gdy jedliśmy śniadanie z Alicją, Ludwikiem i Heleną, szadź wciąż jeszcze kładła się białym, kruchym, grubym dywanem na trawnikach, tam gdzie padał na nie cień pałacowych murów. Na biednych, ogołoconych drzewach zachowało się ledwie kilka liści i rysowały się pięknie na tle błękitu nieba złotem,
504
purpurą i rdzawym brązem; jagody jarzębiny jaskrawiły się szkarłatem.
Wyruszyliśmy dwadzieścia minut przed dziewiątą. Dojechaliśmy powozami do Loch Callater, gdzie czekały na nas konie - moja kochana Fyvie zarżała cicho i radośnie na mój widok; Alicja dosiadła Inchrory, a Helena siwą klacz Alicji, Geldie, bardzo posłuszną, i ruszyliśmy w góry. Dzień był naprawdę wspaniały, krajobrazy przepiękne, wrzosy w rozkwicie, paprocie złocistobrązowe; rozproszone światło sprawiało, że niebieskawe cienie na górach w oddali wyglądały jak omszały nalot na skórce śliwki. Czasem szliśmy, czasem jechaliśmy na koniach; mężczyźni głównie szli, rozmawiając o zwierzynie, polityce i tym podobnych. Ludwik podchodził od czasu do czasu do mojego konia i wymienialiśmy uwagi o widokach, zastanawiając się, czy powstałyby piękne szkice i czy przypominają nam inne znane widoki. Kiedy odchodził do Alicji, jego miejsce zajmował Albert i wymienialiśmy porozumiewawczy uśmiech, a potem szliśmy dalej w przyjacielskim milczeniu, które między kochankami może być słodsze od słów. Powietrze było ostre, ale nieruchome i słońce grzało mocno nasze ramiona. Albert miał na sobie pelerynę i czapkę z podniesionymi nausznikami; zastanawiałam się, czy nie jest mu za gorąco, ale wyglądał w tym tak

przystojnie! Czapka zakrywała łysinę na czubku głowy i wyglądał znowu młodo i w moich oczach zachwycająco.
Tuż przed drugą zatrzymaliśmy się przed doliną Cairn Lochan, o której Grant wyraził się, że powinniśmy ją uznać za „urocze miejsce", i w istocie tak było. Strome, zielone zbocza, pocięte szarymi rozpadlinami, spadały w dół kotliny, obrysowana zielonymi drzewami srebrna wstążka Isly wiła się na jej dnie. Zatrzymaliśmy się na płaskim miejscu tuż przed przepaścią (i denerwowało mnie to trochę, ponieważ obawiałam się, aby ktoś nie poszedł za daleko), skąd roztaczał się przepiękny widok na kotlinę i otwierającą się za nią następną dolinę górską. Powietrze było tutaj znacznie bardziej przenikliwe; Brown znalazł niewielkie oczko wody, pokryte grubą na szylinga taflą lodu, odłamał kawałek i przyniósł nam pokazać, a lód nawet nie stopił się w jego dłoniach; słońce jednak grzało nam ramiona i pszczoły brzęczały
505
w kwitnących wokół nas obficie wrzosach. Usiedliśmy na rozłożonych pledach, Brown i Duncan nam usługiwali, wszyscy czuliśmy głód po długiej jeździe, nawet mój najdroższy, który siedział obok mnie, jadł z wielkim apetytem. Pamiętam wspaniałe paszteciki i bardzo dobre ziemniaki, doskonałe bordo - i oczywiście „porządny łyk" najlepszej whisky w herbacie! Po lunchu zrobiłam parę szkiców, a Albert stanął za mną, żeby popatrzeć. Potem wyciągnął rękę, przytulił policzek do mojego, wyjął mi ołówek z ręki, napisał na papierze, że tutaj jedliśmy lunch, datę i nasze imiona. Uśmiechnęłam się, a on musnął wargami mój policzek (tak, żeby nikt nie zauważył, oczywiście!) i wyszeptał: „Pamiętaj". Zakopaliśmy tę notatkę, tak jak inne, w butelce po wodzie selcerskiej.
Wracaliśmy do domu inną drogą i wszystko wyglądało inaczej niż w czasie naszych poprzednich wycieczek. Albert był zachwycony:
- Żałuję, że nie możemy poznać każdego centymetra tych gór. Ale na to trzeba by poświęcić więcej czasu niż na jednodniową wycieczkę.
- Myślę, że trochę go znajdziemy - powiedziałam. - Jeśli nie w tym roku, to w następnym. - Uśmiechnął się, ale się nie odezwał.
Dotarliśmy do drogi o wpół do czwartej, kiedy już zaczynało zmierzchać i pokłusowaliśmy wzdłuż brzegu rzeki. W pewnym momencie zobaczyliśmy jelenia, ale zanim Albert zdjął strzelbę z ramienia, zwierzę oddaliło się zbyt daleko, aby przy tym świetle można było oddać dobry strzał.
- Nieważne - powiedział. - Niech sobie żyje. Po takim dniu mam w sobie tyle życzliwości, że nie chciałbym go skrzywdzić.
Księżyc pojawił się na czystym niebie, opromieniony z początku słabym złotawym blaskiem, a potem świecił zimnym światłem, duży, biały, piękny.
- Noc znowu będzie mroźna - stwierdził mój najdroższy, a potem przysunął usta do mojego ucha, jego wąsy połaskotały mnie po policzku, i wyszeptał: - To będzie zimna noc. Czy mnie rozgrzejesz, moja mała żono?
Serce mi podskoczyło jak spłoszony jeleń - ale z radości, nie strachu, oczywiście.
506
Dotarliśmy do domu dwadzieścia minut przed siódmą i nie ubieraliśmy się do kolacji, zjedliśmy ją en familie, a potem oglądaliśmy mapę Szkocji, rozmawiając o minionym dniu i zastanawiając się, dokąd pojedziemy następnym razem. Ludwik poprosił Alicję, aby dla niego zaśpiewała, podeszła więc do fortepianu i zagrała „The Bonnie Lass o'Fyvie", a smutna melodia brzmiała jak pieśń miłosna, gdy Alicja śpiewała, patrząc w twarz Ludwika. Albert oparł się o poręcz mojego krzesła i zapatrzył w kominek. Ogień płonął jasno, płomień żarzył się czerwono. Uniosłam głowę i spojrzałam na niego.
- Kiedy piosenka przebrzmi, powinniśmy chyba powiedzieć dobranoc. Czas, żeby młodzi ludzie poszli do łóżek.
- A starzy ludzie? - Uśmiechnął się. - Po takim długim dniu doradzałbym każdemu wczesne udanie się na spoczynek. Poza tym przypomniał mi się poemat, który ci zacytuję, gdy zostaniemy sami.
Rozeszliśmy się więc do łóżek. Odesłałam pokojówkę z ubieralni, gdy rozpuściła mi włosy i zaczęłam je szczotkować, a Albert przyszedł, oparł się o kominek i stojąc w swojej zwykłej pozie, przyglądał się, jak to robię.

- Byłaś dzisiaj szczęśliwa - powiedział.
- To był uroczy dzień, ale zawsze jestem szczęśliwa, gdy ty jesteś blisko - odparłam.
- Nie przez ostatnie sześć miesięcy, a przecież byłem przy tobie - przypomniał mi z lekką wymówką w głosie.
- Och! - Popatrzyłam na niego i zobaczyłam, że się uśmiecha. - Ale ostatnio zachowywałam się już znacznie lepiej. Odkąd tutaj jesteśmy, płakałam tylko raz na widok nieszczęsnego powozu mamy.
- Tak, tym razem mogę ci wystawić dobre świadectwo -powiedział. - Cieszę się, widząc poprawę, a jeszcze bardziej, że ty sama ją dostrzegasz. Pamiętasz, zawsze ci mówiłem, że wystarczy, abyś nie zajmowała się wyłącznie sobą, a zniesiesz wszystko. Koncentrujesz się na swoich uczuciach, a to potęguje ból, aż staje się nie do zniesienia.
- Tak, wiem, że masz rację, ale kiedy cierpię, trudno mi się zajmować zewnętrznym światem.
- Bo tak naprawdę lubisz ten stan - powiedział oschle.
507
- Och, może nie aż lubię - odrzekłam szybko - ale trudno się z tego wyzwolić.
- Myślę, że twój ból po śmierci mamy wynikał w połowie z wściekłości. Ty nie akceptujesz woli Boga. Lubisz postawić na swoim i nawet Wszechmocny nie będzie ci psuł szyków.
Trochę mnie zaszokował.
- Och, no nie... Ale przecież ty, Albercie, też byłeś pogrążony w żałobie.
- Tak, ponieważ bardzo kochałem mamę. Niemniej zaakceptowałem wolę Boga, jak zawsze... ty także musisz się tego nauczyć, choćby ci było ciężko... dla spokoju twojego umysłu.
- Są rzeczy, których nie sposób zaakceptować - powiedziałam, zaciskając usta.
- Tak, wiem, że uważasz śmierć za jedną z nich. Ale ja tak nie myślę. Szczęśliwy tu, gdzie jestem, z ochotą odejdę, jeśli Bóg mnie powoła. Ty przywiązujesz wielką wagę do życia, jakby było samo w sobie wartością, ze mną jest inaczej. Gdybym ciężko zachorował, na pewno bym nie walczył, tylko natychmiast się poddał. Skoro taka Jego wola...
- Można to nazwać - przeciwstawiłam mu się gwałtownie - brakiem odwagi. - Oczekiwałam protestów, ale popatrzył tylko na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, nawet jakby z cieniem uśmiechu; oczy zabłysły mu lekko, wygiął nieznacznie wargi, jak gdyby obserwował psocące dziecko, niepoprawne i uwielbiane. Potem powiedział:
- Och, moja mała żono, gdybyś wiedziała, jak za tobą tęskniłem przez te ostatnie miesiące.
- Tęskniłeś? Przecież tu byłam... to znaczy tam, gdzie i ty. Wystarczyło, żebyś do mnie przyszedł, ale wolałeś wychodzić i zamęczać się rozmaitymi sprawami...
Potrząsnął głową i uniósł dłoń, aby mnie powstrzymać.
- Jestem samolubny, wiem, ale zawsze pomagała mi w pracy i dodawała sił świadomość, że jesteś żywo zainteresowana wszystkim, co robię; że chcesz wiedzieć o wszystkim, co mi się przytrafiło, co ja powiedziałem i co mi odpowiedziano. Uwielbiam ci opowiadać i patrzeć, jak emocje ożywiają twoją twarz, jak się robisz na przemian zła i zadowolona, w zależności od tego, co akurat mówię... a wszystko
508
z mojego powodu. Ale przez ostatnie miesiące było tak, jakbym stukał do zamkniętych drzwi nie zamieszkanego domu. Żadne światło się nie zapalało, nikt się nie pojawiał i zostawałem z głęboką pewnością, że w środku nie ma nikogo i przyjdzie mi samotnie przetrwać noc.
- Och, kochanie - powiedziałam ze szczerą skruchą. -Nie myślałam... nie wiedziałam... - Zerwałam się na równe nogi i rzuciłam w jego ramiona. Objął mnie, a ja wtuliłam twarz w jego szyję, wdychając znajomy zapach jego skóry, który oznaczał szczęście, ciepło, bezpieczeństwo; dom. - Och, Albercie, przepraszam! Nigdy więcej nie będziesz pukał do nie zamieszkanego domu, przysięgam. Zawsze, ale to zawsze ci odpowiem! Wybacz mi, mój kochany. Nie chciałam być tak egoistyczna... ale też nie byłoby dobrze, gdybym nie opłakiwała mamy. Zasłużyła sobie na to, nie sądzisz?
- Każdy zasługuje na to, żeby go opłakiwać, ale trzeba zachować miarę... jak we wszystkim - powiedział, odsuwając mnie od siebie, aby popatrzeć w moją twarz. - Racjonalizm, porządek, harmonia, oto do czego powinniśmy dążyć. Mam nadzieję, że sobie to przypomnisz, gdy przyjdzie

ci mnie opłakiwać.
- Nie przeżyję ciebie - oznajmiłam zdecydowanie - tak że nie będzie potrzeby sobie przypominać.
Znowu rzucił mi to dziwaczne, lekko rozbawione spojrzenie i powiedział cichym głosem, który przeraził mnie, jakbym znowu była siedemnastolatką:
- Nie jesteś ciekawa poematu, o którym ci mówiłem?
- Oczywiście, jestem.
Przesunął dłońmi po moich ramionach, aby ująć moje dłonie i zajrzał mi w oczy.
- To Shelley... mocno niewłaściwy, tak że nie sądzę, abyś to kiedykolwiek przedtem słyszała.
Źródła spływają w rzeki fale,
A rzeki w oceany. Niebiański powiew łączy się stale
z uczuciem niezrównanym.
Według praw boskich wszystko w świecie Znajduje wspólną drogę.
509
Wszystko się z sobą łączy i plecie. Czyż ja być z tobą nie mogę?
- Żałuję, że nie jesteśmy jednością, moja słodka Wiktorio! Żałuję, że nie mam twojej niesłychanej witalności, odwagi, pewności. Ale skoro jesteśmy jednak dwojgiem odrębnych ludzi i nic nie można na to poradzić, może się przekonamy, czy nie płyną z tego jakieś korzyści. Zobaczymy zaraz, teraz? Veux tu, mon dme?
- Je veux - powiedziałam.
Dużo później, leżąc w jego ramionach, z głową opartą na jego piersi, w pozycji, którą lubiłam najbardziej, czując się całkowicie bezpieczna, szczęśliwa i kochana, usłyszałam, jak wzdycha z zadowoleniem, poczułam, jak przytula mnie mocniej, niczym kot moszczący się w koszyku, i uśmiechnęłam się do jego piersi.
- Żałuję, że musimy wracać do Windsoru - powiedziałam niewyraźnie.
- Ja też żałuję - zgodził się i zapadł w sen.

29 listopada 1900.

Wielka szkoda, że nie mogę na tym skończyć swojego opowiadania. Ledwie wróciliśmy do Windsoru, wszystko zaczęło iść źle, jakby klątwa ciążyła nad tym miejscem. Obowiązki, o których na chwilę udało nam się zapomnieć, przytłoczyły Alberta niczym głaz i znowu uginał się pod ich ciężarem, udręczony podejmowanym wysiłkiem. Na początku listopada dotarła do nas wiadomość, że cała królewska rodzina w Portugalii została powalona tyfusem i że król Pedro i jego brat Ferdynand nie żyją. Albert kochał ich niemal jak własnych synów i głęboko to przeżył. Próbowałam go pocieszyć, ale bezskutecznie; przygnębionego i nieszczęśliwego zaczęły nękać bóle o rozmaitym źródle i natężeniu: zębów, głowy, kręgosłupa i ostry ból oka, który najbardziej go męczył.
Dwunastego listopada - nigdy nie zapomnę tej daty - mój biedny ukochany przyszedł do mojego pokoju z listem w dłoni, wyglądając na całkowicie załamanego.
- Och, dobry Boże - powiedziałam, ledwie na niego spojrzawszy
510
- tylko nie kolejna śmierć! Powiedz, że nikt nie umarł!
- To coś gorszego - powiedział Albert głosem głuchym, jakby dochodził zza grobu. - Najgorsza rzecz, jaka się mogła wydarzyć. Śmierć to błogosławieństwo w porównaniu z tym.
- Ale o co chodzi?! - wykrzyknęłam. Stał już na tyle blisko mnie, że rozpoznałam, czyją ręką został napisany list. Stockmara. - Od barona? Co się stało? Usiądź i opowiedz mi.
Nie tyle usiadł, ile raczej opadł na krzesło obok mnie. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam żadnej ludzkiej istoty, która sprawiałaby wrażenie tak nieszczęśliwej.
- To dotyczy Bertiego. Naszego syna. Ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewała.
- Bertiego? Cóż takiego może o nim wiedzieć Stockmar, czego my nie wiemy? - Widzieliśmy Bertiego zaledwie parę dni temu, świętowaliśmy bowiem jego urodziny, wyglądał zdrowo i miał doskonały nastrój. Wrócił do Cambridge i nie rozumiałam, w jaki sposób Stockmar w Koburgu

może mieć o nim świeższe od nas wiadomości.
Albert nie podał mi listu; patrząc posępnym, nieruchomym wzrokiem prosto przed siebie, powiedział:
- Baron pisze, aby mnie ostrzec, że za granicą krążą przerażające pogłoski o zbrodniczym, odrażającym czynie, jaki Bertie popełnił, gdy przebywał w Curragh.
- Co? Zupełnie w to nie wierzę! - wykrzyknęłam z oburzeniem. - Bertie nigdy, ale to przenigdy nie zrobiłby niczego takiego! Jest z gruntu uczciwy! Ma wiele wad, ale nie jest zbrodniarzem. Jak baron mógł choć przez chwilę dopuścić taką myśl do siebie? Nie rozumiem, jak w ogóle śmiał coś podobnego do ciebie napisać!
- Nie, nie, rzeczywiście nie rozumiesz - powiedział Albert. Mój gniew nie wyrwał go z otępienia. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby miał nastąpić koniec świata. -Nie o takiej zbrodni myślę. - Wzdrygnął się. - Dobry Boże, łatwiej by mi było znieść nawet zabójstwo czy fałszerstwo niż to! Zrobił rzecz w dwójnasób bardziej niegodziwą. Zdradził nas, okrył hańbą całą rodzinę, naraził na niebezpieczeństwo tron. On... połączył się z pospolitą ladacznicą!
Przez moment zupełnie nie dotarło do mnie to, co powiedział;

mój umysł wzdragał się przed zrozumieniem złowieszczych, niosących zapowiedź nieszczęścia słów.
- Połączył się...? Albert skinął głową.
- Skoro dotarło to do Stockmara, cała Europa musi już o tym wiedzieć. Wszyscy wiedzą, co zrobił, i Stockmar zastanawia się, jak to może wpłynąć na planowane małżeństwo z Alix Szlezwik-Holsztyn. Oczywiście nie ma już co o tym nawet marzyć. Jest dla nas stracona na zawsze. Cóż z tego, że jej ojciec jest bez grosza, trudno, żeby go zachwyciła perspektywa oddania niewinnej słodkiej dziewczyny zatwardziałemu rozpustnikowi.
- Bertie zatwardziałym rozpustnikiem? - Czułam, że ogarnia mnie histeria. - Na litość boską, powiedz mi, co mu się zarzuca!
- Przecież ci powiedziałem... mam to dokładniej opisać? Wolałbym ci oszczędzić odrażających szczegółów jego niegodziwego postępku. Powiem ci tylko tyle, że kiedy przebywał w Curragh, sprowadzono mu dziewczynę. - Wargi mu pobielały. - Chciał tego czy nie, nie odesłał jej, a plotka niesie, jak mi donosi baron, że musiała mu się bardzo spodobać, ponieważ zabrał ją ze sobą, wracając do Windsoru.
Natychmiast się tego uchwyciłam.
- Czyli to nie jest prawda... przecież wiemy, że to nieprawda, a zatem cała reszta też może być wyssana z palca.
- Nie do pałacu - powiedział. - Są pensjonaty i gospody w mieście, a zresztą kto wie, jakiego rodzaju on ma przyjaciół, gotowych udzielić gościny takiej dziewczynie.
- Cóż, na pewno tego nie wiemy - stwierdziłam stanowczo - i dopóki się nie dowiemy, nie powinniśmy zakładać najgorszego. Stockmar nie zawsze ma rację, przecież wiesz, a poza żyje z dala od Anglii... czy od Irlandii. Dopóki się nie przekonamy, jak wygląda prawda, nie powinniśmy dawać wiary tym opowieściom.
Wstał z ociąganiem.
- Ja wiem, że to prawda. Widziałem to w nim od początku... zatruta krew, utajone zepsucie. Dziedzictwo stryjów odezwało się wreszcie, triumfuje. Nasz syn był zarażony. Byłoby lepiej, gdybyśmy nie dożyli tego dnia.

- Na litość boską! - podniosłam głos zniecierpliwiona. -Może byś tak poczekał, aż się dowiesz prawdy, zamiast od razu osądzać tego chłopca!
- Cóż, jeśli to prawda, trzeba nam porzucić nadzieje na małżeństwo z księżniczką Alix - powiedział ponuro. - A tak bardzo przypadł mi ten pomysł do serca. Nie wiem doprawdy, czy w ogóle znajdziemy jakąś księżniczkę w całej Europie, która będzie go chciała. - Zachwiał się lekko, twarz mu się zrobiła żółtoblada. - Ja... - Przyłożył dłonie do ust i wybiegł z pokoju. Zdenerwowanie zawsze odbijało się na jego żołądku.

Nie wiem, bo nigdy mi tego nie powiedział, w jaki sposób uzyskał potwierdzenie tych wiadomości, ale wiem, kto je rozpowszechnił: lord Torrington - arcyplotkarz wśród plotkarzy. Torrington znał wszystkie szczegóły (których Albert nie chciał mi zdradzić, ale w końcu je od niego „wyciągnęłam", ostatecznie Bertie był także moim synem) i nie omieszkał zaznaczyć, że plotka obiegła wszystkie kluby, co dodatkowo zdenerwowało Alberta i ugruntowało jego opinię o tego typu miejscach.
Wydarzyło się to ostatniej nocy, którą Bertie spędzał z pułkiem, w wieczór, gdy wydano w Mansion House w Dublinie pożegnalny bal na jego cześć. Bertie zdobył sobie ogromną popularność wśród oficerów, a mieli więcej niż dostateczną ilość trunków do picia. Tańczono i flirtowano do późna, a kiedy wreszcie Bertie wrócił do domu, znalazł w łóżku nagą dziewczynę, która mu powiedziała, że jest „prezentem" od jego kolegów oficerów. Nazywała się Nellie Clifden (żałuję, że poznałam jej nazwisko, w jakiś sposób ta cała historia jest przez to jeszcze gorsza), była aktorką, bardzo piękną, choć oczywiście w pospolitym guście. Bertie powinien naturalnie natychmiast ją odesłać, ale tego nie uczynił; spodobała mu się najwyraźniej tak bardzo, że odważył się przeszmuglować ją, nie do Windsoru, ale do Cambridge, gdzie ją umieścił w pensjonacie.
Dzisiaj wątpię, aby ów „wybryk" został uczyniony przez kolegów Bertiego wyłącznie dla dowcipu. Wiem, że chłopcy uwielbiają robić takie rzeczy, i z tego właśnie powodu Albert nie chciał, aby nasz syn zadawał się z innymi; uwielbiają
513
sprowadzać się wzajemnie na złą drogę, a już zwłaszcza gdy jeden z nich jest bardziej niewinny niż reszta, i uważają podobne czyny za nadzwyczaj zabawne i męskie. Kiedy Albert odwiedził Curragh tego lata, uczynił kilka kwaśnych uwag na temat rozpustnego i próżniaczego trybu życia młodych oficerów - „angielskiej młodzieży", jak to podkreślał - zganił ich też za to, że wolą raczej prowadzić puste rozmowy w kantynie, niż roztrząsać poważne kwestie dotyczące wojskowości. Spostrzegłam wymianę niechętnych spojrzeń między tymi, którzy słyszeli te nagany; pamiętam też, że wszelkie poczynania Alberta zmierzające do polepszenia morale armii spotykały się z ogromną niechęcią. Armia była domeną Wytwornisiów i ostatnią instytucją, w której chcieliby obcych wpływów - a już zwłaszcza niemieckich. Być może nie był to wcale bezmyślny wybryk, odwrotnie: być może oficerowie uczynili to w pełni rozmyślnie - aby demoralizując Bertiego, wziąć odwet na Albercie, ponieważ jego poglądy na te sprawy i jego stosunek do Bertiego w tym względzie były powszechnie znane.

Rozdział Dwudziesty Pierwszy.
3 grudnia 1900 w Windsorze.

Teraz widzę, że mój najdroższy zatracił poczucie proporcji. W innym czasie, w lepszym stanie zdrowia, z pewnością to, co się wydarzyło, nie osłabiłoby w nim aż do tego stopnia ducha. Znajdował się w takim stanie, że nie potrafił się z tego otrząsnąć. Prześladowało go to uporczywie, jak dzieje się wtedy, gdy układ nerwowy jest zbyt przeciążony i nawet drobiazgi urastają do niezwykłych rozmiarów; a ponieważ ja żyłam z nim, obok niego i właściwie poprzez niego, dzieliłam wszystkie jego myśli i zajęcia, przyjmowałam jego filozofię przez tyle lat, że praktycznie nie miałam swojej, prześladowało mnie to również. Nie mogłam skierować jego myśli na inne tory ani sprawić, by spojrzał na to z dystansu. Jeśli jego coś raniło, raniło i mnie, a nerwy miał tak zszarpane, że jak
514
się wyraził: „Bertie przysporzył mu bólu, jakiego nie zaznał nigdy w życiu".
Szesnastego listopada, po czterech dniach noszenia się z tym zamysłem, napisał do Bertiego list. Dzisiaj, kiedy pomyślę, co czuł mój syn, który uwielbiał ojca i darzył go szacunkiem, otrzymawszy taki list, mogę mu tylko szczerze współczuć; wówczas uważałam oczywiście, że w pełni sobie na to zasłużył. List był długi i aż dziwne, że słowa nie przepaliły papieru. Większej jego części Albert nie dał mi przeczytać, twierdząc, że zawiera rzeczy, o których nie powinno się nawet wspominać w

towarzystwie kobiety (podejrzewam, że chodziło o syfilis i podobne sprawy), ale miałam w ręce ostatnią stronę i cieszę się, że nigdy nie napisał do mnie czegoś podobnego.
„Stałeś się tematem rozmów i pośmiewiskiem dla Twojej bezczynności i rozpusty" - to było jedno z łagodniejszych zdań. „Kobieta, która odwiedzała najpodlejsze sale taneczne w Londynie, jest w tej chwili znana pod przydomkiem księżnej Walii. Prawdopodobnie będzie miała dziecko albo postara się o dziecko, którego ojcostwo zostanie Tobie przypisane, niezależnie od tego, jak się rzeczy będą naprawdę miały. Gdybyś próbował zaprzeczyć, zaciągnie Cię przed oblicze sądu, aby zmusić do uznania dziecka, i nie zawaha się, w Twojej obecności, księcia Walii zajmującego miejsce na ławie dla świadków, wyciągnąć na światło dzienne wszelkich obrzydliwych szczegółów dokumentujących Twoją rozpustę, byle tylko przekonać sędziów. Ty sam zostaniesz wzięty w krzyżowy ogień pytań przez szyderczego, pozbawionego poczucia przyzwoitości adwokata przy akompaniamencie gwizdów i wrzasków anarchicznego tłumu. Och, przerażająca możliwość, jaką owa osoba może któregoś dnia zapragnąć wykorzystać! To Ty uczyniłeś ją władną sprawić, że twoim rodzicom pękną serca!".
Język namiętny, forma gwałtowna, pismo pospieszne; och jakże wytrącił mojego najukochańszego z równowagi żal, że pomimo jego niezwyczajnej troski zdarzyło się to najgorsze, czego obawiał się dla swojego syna; jakże go przerażało, czego to może być początkiem. Nie spał po nocach; siadał za biurkiem - mała lampa z zielonym abażurem rozświetlała
515
ciemne godziny czuwania - z twarzą ukrytą w dłoniach i rozpaczał. Jego ojciec, jego brat, mój brat przyrodni Karol... a teraz jego własny syn, mimo całej troski, jaką został otoczony, poszedł tą samą drogą, zarażony przerażającą i znienawidzoną przez Alberta skłonnością. Uważał, że przegrał - wciąż mi to powtarzał. Któregoś dnia zastałam go płaczącego - nie gwałtownie, lecz bezradnie, co było znacznie gorsze.
- Nie umiałem uchronić własnego dziecka - powiedział. -Wszystko, co dla niego uczyniłem, obróci się na marne; gdy zostanie królem, zrobi wszystko odwrotnie niż go uczyłem.
Na próżno starałam się mu wyperswadować ten zadziwiający pomysł. Byłam również zmartwiona, głęboko zraniona i rozczarowana. Nie potrafiłabym Bertiemu wybaczyć tego, co zrobił - było to złe, podwójnie złe: samo w sobie i z powodu tego, kim był. Ale też niewarte aż takiej rozpaczy. Och, najdroższy, nie warto było z tego powodu umierać!
Od Bertiego nadszedł list z odpowiedzią - wyrażający zawstydzenie, przepełniony skruchą i żalem. Niemniej sądzę, że Bertie naprawdę uważał to ledwie za wybryk, z młodzieńczym brakiem rozwagi, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, niezdolny pojąć, że to znacznie cięższe wykroczenie niż palenie czy picie alkoholu, co również przede mną i ojcem ukrywał. Albert i ja przeczytaliśmy list razem, Albert wiele razy, zgłębiając go, jakby pochylał się nad jakimś cennym manuskryptem, ważąc każde słowo i kryjące się za nim znaczenia. Niemal zatarł atrament, usiłując przejrzeć serce Bertiego. W każdym razie to, co Bertie napisał, podniosło go trochę na duchu.
- Myślę, że zrozumiał swój błąd... czy ty też tak uważasz, moja droga? Jego skrucha wydaje mi się szczera. Przeczytaj to zdanie tutaj. Nie sądzisz, że jest rzeczywiście zawstydzony i żałuje?
Zgodziłam się ochoczo, zadowolona, że mogę podtrzymać jego lepszy nastrój, niewiele dbając - wybaczcie mi! - o duszę Bertiego, a raczej o stan umysłu i ducha mojego męża.
- Pojadę się z nim zobaczyć - zdecydował w końcu. -Jeśli szczerze żałuje, musimy mu wybaczyć... chociaż nie pomoże mu to bynajmniej odzyskać niewinności, którą utracił. - Mówiąc to, chodził niespokojnie po pokoju, porwany
516
gorączką myśli. - Odrzucił najpiękniejszy dar młodości... czystość. Zawsze już będzie się musiał obawiać Boga. Nie byłam co do tego tak jak on przekonana.
- Jeżeli będzie się odtąd zachowywał należycie, ożeni się, ustatkuje... jeżeli okaże się dobrym mężem i ojcem...
- Wczesny ożenek jest dla niego jedyną nadzieją. Jeśli Alix go zechce. Jeśli jej rodzice się na to zgodzą. Muszą się dowiedzieć... ona musi się dowiedzieć. Nie wolno dopuścić, aby związała z nim swój los, nie wiedząc, na co się decyduje.

We czwartek dwudziestego pierwszego napisał do Bertiego do Cambridge, zapowiadając się na poniedziałek. „Ci, którzy Cię otaczają, gotowi są uczynić wszystko, aby Ci pomóc, lecz będą bezradni, nie spotykając się z otwartością i uczciwością z Twojej strony, jaka powinna cechować wzajemne stosunki między dżentelmenami". W piątek sprawiał wrażenie przeziębionego, mimo to pojechał do Sandhurst na inspekcję nowych budynków Królewskiej Akademii Wojskowej - jeden z jego najbardziej wypieszczonych projektów - i chodząc przez cały dzień w ulewnym deszczu, przemókł do suchej nitki, a gdy wrócił do Windsoru, miotały nim dreszcze. Czuł się źle przez cały weekend - jak zwykle mieliśmy gości i nie oszczędzał się, pełniąc obowiązki gospodarza - a w niedzielę wieczorem dostał gorączki, wszystko go bolało; twierdził, że to bóle reumatyczne. Nie dał się oczywiście odwieść od zamiaru pojechania do Cambridge w poniedziałek, a ponieważ wiedziałam, że niełatwo go przekonać, jeśli ma czymś zaprzątnięty umysł, nie próbowałam zbyt stanowczo.

Dzień był deszczowy, nie padało wprawdzie mocno, ale mżyło z przerwami, jakby niebo zgromadziło zbyt wiele wody i nie potrafiło jej utrzymać - najgorsza pogoda, jaka mogła się przytrafić; gdyby padało intensywnie, zostaliby w domu. A tak, ponieważ łatwiej się rozmawia, spacerując, łatwiej też o zachowanie prywatności poza domem, na świeżym powietrzu, gdzie nikt nie podsłuchuje, Albert i Bertie chodzili po mokrych wiejskich drogach w okolicach Madingley, gdzie wydzierżawiliśmy dom dla Bertiego, i rozmawiali - długo i bardzo szczerze. Zawsze powtarzałam, że najlepsze cechy Bertiego to jego uczciwość i czułe serce i te właśnie cechy

517

go uratowały (o czym Albert powiedział mi później). Był głęboko poruszony, że przysporzył ukochanemu ojcu tyle cierpienia; nie myślał, że to jest coś aż tak złego, nie chciał też nas oczywiście oszukiwać, dopiero teraz zrozumiał, że to, co zrobił, w istocie jest złe i nigdy, przenigdy nie uczyni niczego podobnego, za nic w świecie. Opowiedział Albertowi dokładnie, jak do tego doszło, zupełnie szczerze, niczego nie ukrywając: nie był to oczywiście jego pomysł - o niczym nie wiedział, dopóki nie odkrył dziewczyny w łóżku, a nawet wtedy uważał to za zwykły kawał; gdyby nie był odrobinę zamroczony po bankiecie, odesłałby ją. Ale tak, nie wiadomo kiedy zaczął ją całować i była taka urocza i miła, a on czuł się taki samotny z dala od domu, że przestał panować nad sytuacją. Była naprawdę miłą dziewczyną, dobrą, wyrażała się poprawnie, plotki malowały nieprawdziwy obraz, nie należała do tych, które by szantażowały mężczyznę. Ale owszem, teraz rozumie, że nie powinien mieć z nią nigdy więcej do czynienia i że w ogóle podobna rzecz nie może się nigdy więcej wydarzyć.

- Mówił z takim uczuciem i tak sensownie - opowiadał mi Albert - że naprawdę mnie wzruszył. Powiedział, że mnie kocha i nad wyraz szanuje, jeśli mu nie przebaczę, będzie się musiał chyba zabić. Przebaczyłem mu więc i stwierdziłem, że więcej o tej sprawie nie zamierzam rozmawiać. Chyba właściwie zrobiłem?
- Tak - zgodziłam się. - Jak najwłaściwiej. Skoro uznał swój błąd, należało mu przebaczyć. Ma dobre serce i twierdzę, że to go gubi, a nie skłonność do występku. Jeśli poślubi odpowiednią dziewczynę, jego uczucia znajdą właściwe ujście i z pewnością się ustatkuje. Mimo to nie wiem, czy będę zdolna z nim rozmawiać, gdy pojawi się w domu. Co się właściwie mówi w takich przypadkach?
- Ach, no właśnie. To kolejny temat naszej rozmowy -powiedział Albert. - Pytał mnie, czy ty i siostry musicie się o tym dowiedzieć. Niczego nie pragnął bardziej, niż żeby to do was nie dotarło. Nie powiedziałem mu, że już wiesz. Pomyślałem, że ułatwi to wasze wzajemne stosunki, jeśli pozostanie w przekonaniu, iż mogę utrzymać tę aferę w tajemnicy przed tobą.

518

W miarę upływania dnia stawało się coraz zimniej, niebo ciemniało, a oni, rozmawiając, zgubili się i zaszli znacznie dalej, niż to byłoby rozsądne. Albert zamierzał wrócić do domu jeszcze tego wieczoru, ale przemarznięty i zmęczony długim spacerem zmuszony był pozostać w Madingley na noc, tak że pojawił się w Windsorze dopiero wpół do drugiej następnego dnia. Wyczerpany, ułożył się na kanapie, drżąc z zimna i bólu, ale z umysłem całkowicie spokojnym po rozmowie z Bertiem, co mi dawało nadzieję, że szybko odzyska ducha i zdrowie. Następnego dnia wcale mu się nie

poprawiło, przeciwnie, odezwały się kłopoty z żołądkiem, posłałam więc po Jennera. Żadne z nas nie wypowiedziało tego słowa, ale oboje obawialiśmy się tyfusu; Jenner zapewnił nas jednak, że to tylko silne przeziębienie z gorączką, niemniej zaleca, aby książę tego nie lekceważył i pozostał co najmniej do końca tygodnia w domu. Biedny Albert nie mógł jeść, prawie nie sypiał, nękały go silne bóle reumatyczne w ramieniu; nie było mowy, aby mógł się wybrać na polowanie, które zaplanowali z Ludwikiem heskim. Czuł się słabo, często polegiwał, uskarżał się na bóle w rękach i nogach. Stale poirytowany, co było bardzo niezwykłe jak na niego, zmęczył mnie potwornie, odmawiając wypoczynku, kiedy go prosiłam, a potem uskarżając się na znużenie. Niemniej w piątek Jenner stwierdził poprawę i pozwolił mu wychodzić z domu.
Na nieszczęście koniec tygodnia przyniósł nowy kryzys, który nas wszystkich zmartwił - a Alberta szczególnie. Od ośmiu miesięcy Amerykanie prowadzili wojnę domową, Północ przeciwko Południu, co nas zupełnie nie dotyczyło do momentu, gdy nadeszła wiadomość, że z ich okrętu dokonano abordażu naszego statku pocztowego, Trent. Uzbrojeni marynarze, wtargnąwszy na pokład, usunęli siłą czterech pasażerów, dżentelmenów pochodzących z południowych stanów, podróżujących w charakterze posłów z Londynu i Paryża pod ochroną flagi brytyjskiej. Stanowiło to jawne pogwałcenie prawa międzynarodowego i w kraju natychmiast podniosła się wrzawa, aby ogłosić stan wojny z północnymi stanami. „Jeśli to przełkniemy, będziemy musieli przełknąć wszystko!", grzmiał „The Times"; Amerykanie, czego świadectwem zachowanie ich ministrów podczas zagranicznych wizyt, ich
519
biznesmenów, nawet osób przedstawianych u dworu, zbytnio obrośli w piórka. Najwyższy czas dać im nauczkę - a przy okazji wziąć odwet za rok 1776. Palmerston rwał się do tego jak stary rumak bojowy, gdy zwietrzy zapach prochu; Gladstone (jakże ja nie znosiłam tego człowieka!) wygłaszał opinie, że kraj i rząd są w tej materii zgodne i osiem tysięcy naszych żołnierzy w Kanadzie czeka w gotowości, aby pomaszerować na Stany Zjednoczone.
Szkic depeszy od Russella - wtedy ministra spraw zagranicznych - do Waszyngtonu dotarł do nas, do Windsoru, właśnie tego piątku; zwięzła w formie, graniczyła z jawną prowokacją; żądaliśmy natychmiastowego uwolnienia aresztowanych pasażerów, przeprosin i wypłacenia odszkodowania za naruszenie prawa międzynarodowego takim językiem, że Amerykanom nie pozostawało nic innego, jak się nam przeciwstawić. Z pewnością zachowali się karygodnie, ale czy rzeczywiście potrzebowaliśmy z nimi wojny? W sobotę Palmerston nadesłał list z dalszymi wiadomościami. Dwóch pasażerów Trentu powróciło do Londynu i przekazało mu, co usłyszeli od oficera przewodzącego marynarzom, którzy dokonali abordażu: była to całkowicie i wyłącznie jego inicjatywa, nie dostał żadnych oficjalnych rozkazów. Z drugiej jednak strony wyższy rangą oficer armii Północy, który przebywał właśnie w Paryżu, oświadczył, że cała rzecz została jednak zaplanowana przez Waszyngton, który chciał sprowokować wojnę z Anglią i uczynić z Francji swego sojusznika, obiecując jej zwrot Kanady.
- Nie wierzę w to - stwierdził Albert, pokasłując. Od wczoraj przeszkadzała mu suchość języka, który przybrał okropny brązowy kolor. Oczy błyszczały mu nienaturalnie, ruchy miał niespokojne, ale zapewniał mnie, że nie ma gorączki, nękają go tylko bóle reumatyczne i dreszcze. - Nie wierzę, że północne stany chcą z nami wojny. Mogą robić sobie nadzieje, że pobiją nas na lądzie, ale nie mają wątpliwości, kto panuje na morzu.
- Chcą czy nie wojny, my jej na pewno nie chcemy -oświadczyłam stanowczo. - Nie przyniesie nam zaszczytu zaangażowanie się w walkę zbrojną z tymi potomkami zwykłych łotrów;
520
nie sądzę też, aby z powodu tego, co się zdarzyło, warto było przelewać krew Bóg jeden wie ilu ludzi.
- Wobec tego Russell musi przeredagować swoją depeszę - powiedział Albert. - Trzeba dać Amerykanom jakąś szansę na usprawiedliwienie się w taki sposób, aby nie stracili twarzy. Powinienem pomyśleć, jak to ująć.
Następnego ranka, w niedzielę, wstał i nie odzywając się do mnie ani słowem, włożył swój ciepły pikowany szlafrok.

- Dokąd się wybierasz? - zapytałam. - Chyba nie będziesz dzisiaj pracował?
Spojrzał w moją stronę, ale wyraźnie omijał mnie wzrokiem.
- Zamierzam przeredagować ten szkic depeszy - oświadczył. - Przemyślałem sobie, jak to ma brzmieć. Pamiętasz słowa pasażera, które przytoczył Palmerston? Musimy napisać do Waszyngtonu, że trudno nam uwierzyć, aby z premedytacją chcieli obrazić brytyjską flagę czy narazić na zniszczenie naszą pocztę, zakładamy zatem, iż czynu tego dokonał nadgorliwy oficer, działający bez rozkazu lub niewłaściwie rozumiejący rozkazy. W ten sposób będą mogli wystosować przeprosiny i wypłacić odszkodowanie, nie upokarzając się przy tym.
- Och, to rzeczywiście będzie najwłaściwsze - zgodziłam się. - Jaki ty jesteś mądry, mój najdroższy! Ale czy musisz to robić akurat teraz? Wracaj do łóżka... Nie wyglądasz dobrze, nie powinieneś jeszcze wstawać.
- I tak nie odpoczywam - rzekł sztywno - a to powinno zostać zrobione najszybciej jak możliwe, zanim zostanie rozdmuchane do międzynarodowego incydentu.
- Ależ mój kochany, parę godzin naprawdę nie zrobi różnicy.
- Nie irytuj mnie - odparł z rozdrażnieniem. - Mam to zamiar zrobić. Zostaw mnie w spokoju. - I odszedł do swojego biurka, a kiedy wrócił po godzinie, podał mi drżącą ręką papier. - Jestem taki słaby, że ledwie mogę utrzymać pióro - poskarżył się z jękiem. - Masz. Przeczytaj to, zanim się ubiorę.
- Jesteś naprawdę chory - powiedziałam. - Wracaj do łóżka, a ja poślę po Jennera.
521
- Nie mogę uleżeć, za bardzo mnie boli - oznajmił z rozdrażnieniem. - Jenner nic mi nie pomoże. Nie rozumie, co się ze mną dzieje, tak dobrze jak biedny Baly. Jaka szkoda, że został zabity.
Poszedł się ubrać, a ja przeczytałam szkic depeszy. Był wspaniały; trafny dobór słów, zaproszenie do negocjacji, którego nikt by nie odrzucił, pełen zrozumienia dla drażliwości i dumy nowo powstałego kraju, którą tak łatwo urazić. W momencie gdy go czytałam, nie wiedziałam, że jest to ostatnia rzecz, jaką napisał.
Nie mógł jeść śniadania i zastanawiając się rozpaczliwie, co by mu przyniosło ulgę, wpadłam na pomysł, abyśmy przeszli się po ogrodowych tarasach w nadziei, że świeże powietrze dobrze mu zrobi. Poszliśmy do kaplicy i ukląkł przy mnie jak zwykle, ale wyglądał na chorego i serce się we mnie trzepotało; nie potrafiłam myśleć ani się modlić, patrzyłam przed siebie, skamieniała z desperacji. Lunchu też nie jadł, choć usiadł z nami do stołu i zabawiał nas, opowiadając zabawne historyjki, a potem czekał, aż się przestaniemy śmiać z jakąś przedziwnie cierpliwą miną, jak gdyby nasza reakcja była nieodpowiednia do sytuacji. Śmiałam się z innymi, obserwując go z bólem w sercu i zastanawiając się, czy do końca wie, co mówi. Po południu przyszli Jenner i Clark, widziałam, jak wyraz zawodu odmalował się na ich twarzach i jakie wymienili spojrzenia, zupełnie jakby obaj wzruszali ramionami. Nie ma gorączki, stwierdzili, co wyraźnie miało mnie pocieszyć; Albert roześmiał się na to dziwnie i powiedział, że to dobrze, bo nie przeżyłby gorączki, taki jest chory. Błagałam go, aby nie mówił takich rzeczy. Jakich rzeczy? I roześmiał się znowu. Ale przecież nie majaczył delirycznie; patrzył na mnie niemal złośliwie i umiałam się obronić przed strachem, tylko wybuchając złością. Sam dobrze wiesz, warknęłam. Moja droga, nie ma powodu do alarmu, odparł.
Obiadu także nie jadł, poszedł wcześnie do łóżka, ale spał krótko, potem leżał w ciemnościach, targany dreszczami. Spałam płytko, budząc się co jakiś czas, i widziałam, że jeśli nie czuwa, drzemie niespokojnie. Raz czy dwa spróbowałam go objąć, aby go pocieszyć, ale powiedział, że czuje całą skórę
522
i błagał, abym go nie dotykała. Nad ranem wstał i poszedł położyć się na sofie stojącej w nogach łóżka; gdy zegar wybił siódmą, posłał po Jennera.
Był poniedziałek, drugi grudnia. Nie zszedł na dół. Och, nawet teraz, nawet po tak długim czasie, nie potrafię zliczyć godzin koszmaru tych ostatnich dwóch tygodni. Nie chciał jeść, nie mógł spać, błądził z pokoju do pokoju, a ja szłam za nim bezradnie, przynosiłam mu coś do picia, próbowałam przewidzieć, gdzie zechce usiąść, aby przygotować mu wygodne miejsce. Patrzył na mnie tylko -

tym dziwnym, niewidzącym spojrzeniem, które tak mnie przeraziło w Feithort, a przecież paradoksalnie, właśnie dlatego, że widziałam je u niego już przedtem, nie wierzyłam, że zapowiada coś złowieszczego. Tylko młodzi są zdolni flirtować ze śmiercią, wypowiadać jej imię, pisać o niej poematy; ponieważ wierzą, że nie może ich dosięgnąć. Kiedy dojdzie się do wieku, w którym zaczyna się rozumieć, że można być jej następną ofiarą, unika się zwracania na siebie jej uwagi. Nie powinnam więc myśleć o śmierci, muszę wyrzucić ją z moich myśli, nie dam jej szansy. (Jestem zawsze obecna, nawet jeśli tego nie czujesz. Zawsze cię znajdę, wszędzie dopadnę; nigdzie nie masz przede mną bezpiecznego schronienia, nie skryjesz się). Albert zachorował, był przeziębiony, gorączkował, ale wyzdrowieje, gdy odpocznie i jeśli przestanie się zamartwiać. Gdyby tylko mógł jeść! Wypił trochę wody selcerskiej z octem malinowym, aby zabić zły smak w ustach; zdołał przełknąć kilka łyków bulionu i zjeść parę kęsów ciemnego chleba, ale nie zdołał ich utrzymać w żołądku. Chodził, miotały nim dreszcze, jęczał. Poprosił Alicję, aby mu poczytała, a po paru stronach oskarżył ją, że wybrała najnudniejszą książkę na świecie, i odesłał ją. Przyszedł Jenner, podał mu eter i krople Hoffmana, po czym Albert spał przez błogosławione półtorej godziny, by obudzić się i znowu niepokoić bezsennie.
W nocy szóstego spał w swoim pokoju, jeśli można to nazwać snem. Jenner był z nim przez całą noc, Clark również przyszedł na jakiś czas (Jego żona ciężko chorowała i był mocno tym zaprzątnięty, biedny człowiek). Siódmego weszłam do Alberta o ósmej rano, kiedy lekarze przeszli do
523
innego pokoju, aby się skonsultować, i zobaczyłam go tak wyczerpanego, że serce mi się rozkrwawiło. Usiadłam przy łóżku i pochyliłam się, aby pocałować go w czoło. Wydawało się, że błękit jego oczu zabarwił oczodoły, policzki mu się zapadły, ale patrzył na mnie świadomie. Niczym więzień, który zobaczył otwarte okno, wpatrywał się we mnie z rozpaczą, nawet błagalnie, jakbym miała władzę przenieść go na słoneczną stronę, po której żyłam.
- Jak długo to jeszcze potrwa? - zapytał bezradnie.
- Nie tak długo - odparłam. - Może z tydzień i będziesz znowu zdrowy.
- Dlaczego jestem chory? Co jest przyczyną?
- Przepracowanie, zbyt wiele trosk i zdenerwowanie. Westchnął i poruszył nieznacznie głową, jakby się od czegoś odsuwał.
- Za dużo... - powiedział niewyraźnie. - Musisz przeprowadzić rozmowy z ministrami.
- Cały czas z nimi rozmawiam. - W ciągu ostatnich dni zdałam sobie w pełni sprawę z tego, ile pracy mi oszczędzał. - Ale przecież nie tylko o to chodzi... są jeszcze twoje własne projekty, spotkania, towarzystwa... tego wszystkiego jest za dużo.
Wydawało mi się, że odpływa gdzieś myślami i kiedy zamilkłam, powiedział:
- O świcie, gdy ptaki zaczęły śpiewać, wydawało mi się, że jestem w Rosenau. Nie otwierałem oczu, bo miałem nadzieję, że to wyczaruję.
- Pojedziemy tam, gdy wydobrzejesz - odparłam. - Z wizytą. Zaplanujemy to tak, żeby zobaczyć Vicky jak w tamtym roku.
Nie słuchał tego, co mówiłam.
- Kiedy tam byłem w zeszłym roku, wiedziałem, że jestem ostatni raz. Ernest zapytał, dlaczego płaczę, a ja odparłem: bo nigdy więcej tego nie zobaczę. - Mrugnął powoli powiekami, jakby strząsał łzy, ale nie miał w sobie dość wilgoci, aby mogły spłynąć. - O czym mówiłem? - zapytał nieoczekiwanie.
Chciałam skierować jego myśli w weselszym kierunku, więc powiedziałam:
524
- Że ptaki śpiewały.
Spojrzał na mnie pustym wzrokiem.
- Bardzo wyraźnie je słychać, gdy okno jest otwarte. I fontannę. - Znowu wrócił do Rosenau, pomyślałam z rozpaczą. Tylko jego dzieciństwo jest dla niego ważne, ja się nie liczę. Ale on uśmiechnął się blado i powiedział: - Mówiłem ci, pamiętasz, pierwszej nocy, gdy tu spałem, że będziemy mieli fontannę na tarasie i słuchali jej, leżąc w łóżkach.

- Tak, w Osborne - potwierdziłam radośnie. - Och, kochany, zdrowiej szybko, żebyśmy mogli tam znowu oboje pojechać i spać w naszych własnych łóżkach w naszym własnym pokoju!
- Tam, o tam, moja ukochana, będę z tobą - wyszeptał. Jego ręka poruszyła się na pościeli, schwyciłam ją i poczułam, jak słabo ściska moją dłoń. - Gutes Weibchen. - Zamknął oczy i westchnął, a ja siedziałam jeszcze chwilę, serce mi boleśnie drżało, gdy zastanawiałam się, czy widzę oznaki polepszenia, czy pogorszenia.
Nadeszli obaj lekarze i Jenner dał mi znak, że chce mówić ze mną na osobności. Wstałam, na co Albert w ogóle nie zwrócił uwagi, i gdy Clark się nad nim pochylił, przeszłam do mojej ubieralni, Jenner udał się za mną i zamknął za sobą drzwi.
- Wasza Wysokość - zaczął, a ja odwróciłam się do niego i zobaczywszy jego oczy omal nie wykrzyknęłam: Nie! Odejdź ode mnie, nie patrz oczami oprawcy! Odrzuć ten czarny kaptur! Nie chcę tego słuchać! Ale nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku. - Wasza Wysokość - powtórzył - muszę niestety przekazać, że dzisiejszego ranka na ciele księcia pojawiła się wysypka. Wskazuje to... a raczej potwierdza, co podejrzewaliśmy od początku. - Szukał oznak zrozumienia w mojej twarzy, ale przybrała kamienny wyraz, jakbym chciała się uzbroić przeciwko fatalnemu wyrokowi, który zamierzał mi ogłosić. - Jego Wysokość cierpi na złośliwą gorączkę albo gorączkę jelitową, bo tak też się to określa.
- Tyfus - powiedziałam. Słowo samo spłynęło z moich warg i podniosłam rękę do ust, jakbym chciała je poniewczasie powstrzymać.
Jenner wpatrywał się we mnie z życzliwym współczuciem.
525
- Waszej Wysokości nie wolno popadać w rozpacz. Wiemy o tej chorobie wszystko. Wiemy, jak przy niej postępować, objawy, jakie obserwujemy u księcia, pozwalają mieć nadzieję. Według naszego rozeznania choroba zaczęła się dwudziestego drugiego listopada, a ponieważ zwykle trwa około miesiąca, książę powinien za jakieś dwa tygodnie wydobrzeć.
Mówił coś jeszcze, ale nie słuchałam. To był kres nadziei, początek rozpaczy, nie wiedziałam, jak nad tym zapanuję.
Następnego dnia Albert rozkazał, aby go przeniesiono do Błękitnego Pokoju (zwanego też Komnatą Królów, ponieważ stryjaszek król i wuj Wilhelm zakończyli w nim życie). Była niedziela. Lochlein przeniósł jego rzeczy, przygotowano łóżko i sofę na kółkach, na której wolał leżeć w ciągu dnia; większą jego część jednak spędzał, chodząc z pokoju do pokoju, jak przedtem. Chodziłam za nim z wodą kolonską i pachnącymi solami; czasami mnie poznawał, czasami nie. Zdarzały mu się przypływy rozdrażnienia, wzywał wtedy generała Bruce, krzyczał, że zgubiłam ważny dokument, klekotał uporczywie klamką u drzwi. Któregoś dnia poprosił Alicję, aby mu coś zagrała, usiadła przy fortepianie i grała Ein Feste Burg, dopóki nie kazał jej przestać; innym razem poprosił o zakrycie wszystkich luster, ponieważ przerażało go, że wszystko odbijają. Najgorsze jednak były te momenty, gdy wracała mu całkowicie przytomność umysłu i patrzył na mnie, nie ponuro i bez błysku rozpoznania w oczach, ale błagalnie, spojrzeniem więźnia, który pragnie, by go uwolniono. Frauchen -szeptał, jakby jego dozorca odwrócił wzrok tylko na moment pozwalający wypowiedzieć to jedno słowo, mówiące mi, że mnie wciąż kocha i że nie może do mnie wrócić. Cierpiałam razem z nim jego mękę, ale nawet gdyby było w mojej mocy go uwolnić, nie zrobiłabym tego, nie mogłabym tego zrobić. Nie chciałam dla niego śmierci. Tak bardzo go potrzebowałam, nawet błądzącego nieprzytomnie po pokojach. Tak bardzo potrzebna mi była nadzieja, że mu się polepszy.
W piątek trzynastego nie wędrował po pokojach; leżał, chwytając powietrze, oczy trzymał otwarte, wzrok miał nieruchomy. Jenner powiedział, że mogło dojść do zastoju w płucach. Wyszłam na dwór, zaczerpnąć świeżego powietrza; spacerowałam tam i z powrotem po ścieżce w to szare, gorzkie
526
grudniowe popołudnie; wkoło miałam nagie, ciemne drzewa i poszarzałą trawę, wilgoć unosiła się w powietrzu, mgła zacierała odległości. Czy kiedyś nadejdzie jeszcze wiosna? Myślałam o pierwiosnkach w Osborne, gdzie tak gęsto pokrywają poszycie lasu, że w kilka minut można uzbierać pełny koszyk. Wspomniałam słowa lorda M., że odchodzi na emeryturę, bo chce znowu

widzieć, jak zmieniają się pory roku. Byłam na tym samym tarasie, na którym wtedy żegnałam go w świetle gwiazd, a on odsunął głowę, aby łzy nie spadły mi na ręce. Umarł trzynaście lat temu, smutny i opuszczony; zaniedbany, ponieważ nie potrzebowałam go dłużej: miałam nowego ukochanego, który był dla mnie wszystkim. Nieoczekiwanie łzy napłynęły mi do oczu i rozpłakałam się z żalu po nim, nad sobą, nad wszystkimi, których kochałam; cóż więcej można zrobić z miłością, jak tylko cierpieć z jej powodu i płakać.
Podczas gdy ja spacerowałam, nastąpiła zapaść; Albertem miotały tak straszliwe dreszcze, że Jenner, przewidując rychły koniec, poradził Alicji, która siedziała przy ojcu (zawsze była na miejscu, dobra, szlachetna Alicja), aby posłała po Bertiego. Depeszę sformułowano tak ostrożnie, że Bertie i Bruce nie zrozumieli jej właściwie i udali się na umówiony obiad, a potem dopiero przyjechali ostatnim pociągiem. Pojawili się o trzeciej nad ranem, przeniknięci mgłą i zapachem cygar i wina, ożywieni i rozradowani - a wraz z nimi wtargnął do nas powiew normalności, bolesny jak nostalgia, jak zapach goździków i cynamonu w dwa miesiące po Gwiazdce.
Do tego czasu Albert wrócił do przytomności, rozgrzał się, rozmawiał przytomnie, choć był mocno osłabiony. Bertiem wstrząsnęło jednak do głębi to, co zobaczył, ponieważ nic nie wiedział o chorobie ojca. Alicja i ja siedziałyśmy przy łóżku; trzymałam go za rękę. Co pół godziny podawano mu brandy, aby stymulować krążenie. Jenner powiedział wielkodusznie, że był świadkiem ozdrowień w cięższych przypadkach i że nigdy nie powinno się tracić nadziei przy ostrej gorączce; skoro książę przetrwał ten kryzys, wszystko jeszcze może być dobrze. Wyszłam do Bertiego i zastałam biednego chłopca szlochającego i drżącego.
527
- Nie wiedziałem mamo, nie wiedziałem! Dlaczego mi nie powiedziałaś? - I rzucił się w moje ramiona, płacząc.
Starałam się powstrzymać łzy.
- Nie wolno nam rozpaczać. Jenner twierdzi, że jest nadzieja, skoro kryzys minął.
- On musi wyzdrowieć, musi! - wykrzyknął Bertie z głową schowaną w moich ramionach. - Nie zniosę, żeby umarł!
Chciał, jakby był dzieckiem, abym go zapewniła, że wszystko będzie dobrze; ale ja sama byłam jak dziecko, może bardziej niż on, i nie czułam się bezpieczna.
- Nie wolno nam porzucać nadziei, choćbyśmy byli nie wiem jak przerażeni - powiedziałam, a on oderwał ode mnie twarz i już mnie nie obejmował; nie tulił się do mnie, ale mnie podtrzymywał.
- Pomogę ci, mamo - zapewnił dzielnie. - Pomogę ci we wszystkim, jak tylko będę mógł.
- Mój drogi chłopcze, wiem, że tak - powiedziałam wzruszona i pocałowałam go, a on nieśmiało odwzajemnił mi pocałunek. Biedny mały Bertie! Biedna, zagubiona dusza!
Poszłam do mojego pokoju położyć się chociaż na trochę; co godzinę przekazywano mi wiadomości, coraz bardziej pocieszające. O siódmej wstałam i poszłam do Błękitnego Pokoju. Wilgotną szarość wczorajszego dnia przegnał jasny poranek, słońce świeciło - dzień na nadzieję; dzień na powrót do zdrowia. Drzwi do pokoju były otwarte i zobaczyłam smutny obraz nocnego czuwania: świece wypalone do podstawek lichtarzy i grupę doktorów o niespokojnych twarzach i podkrążonych oczach zgromadzonych wokół łóżka. Było ich już kilku: od dwóch dni dołączyli sir Henry Holland, doktorzy Watson i Brown. Podeszłam do łóżka, zobaczyłam, że mój najdroższy nie śpi i serce mi się uradowało. Czuje się lepiej. Twarz miał spokojną, poważną, skóra, rozświetlona porannym słońcem, wydawała się niemal przezroczysta, jak za czasów jego młodości - jak cienki krążek kości słoniowej, na których malarze zwykli malować miniatury. Nigdy nie wyglądał tak pięknie: oczy mu lekko błyszczały i sprawiał wrażenie, jakby wpatrywał się w coś, czego nie mogłam dostrzec, coś niezwykle dla niego przyjemnego.
- Hertzliebste - wyszeptałam - wie geht es dir? - ale
528
wyraźnie mnie nie usłyszał, zapatrzony w swoją wizję; prawie się uśmiechał.
Nadzieja rozkwitła w spokojny, jasny poranek: róża za oknem rozwarła swoje płatki na promienie zimowego słońca; przepiękna, ale tragicznie krucha w porze, która nie służyła jej najlepiej. Łóżko Alberta przetoczono do innego pokoju, w którym rankiem było cieplej. Jenner i Clark stwierdzili

znaczną poprawę, niepokoił ich jednak jego mocno przyspieszony oddech. Po południu niebo znowu się zachmurzyło, słońce znikło i zrobiło się bardzo zimno. Chłód zwarzył zimową różę, jej płatki przywiędły. Zapadł zmierzch, zapalono lampy i widziałam, że on zapada się w sobie. Ukochana twarz pomroczniała, oddychał ciężko. Pochyliłam się nad nim.
- Es ist kleines Frauchen - wyszeptałam i zobaczyłam, że mnie poznaje. Odwrócił głowę, przytulił ją do mojej ręki i westchnął - och, jak westchnął! - przeniknięty do głębi nagłym dreszczem, nie bólu, ale świadomości, że mnie opuszcza, a odejść jest tak ciężko, tak ciężko!
Poczułam, że drżę i za chwilę wybuchnę łzami, wyszłam więc do sąsiedniego pokoju, aby się opanować. Usiadłam na podłodze, pogrążona w rozpaczy, z której nie wiedziałam, czy się kiedykolwiek podniosę. Jak mógł mnie opuścić? Jak mógł? Choć z drugiej strony trwało to już tak długo, że otępiała przestałam wierzyć w nadejście końca. Podejrzewam, że z tego czerpałam nadzieję.
Zegar na korytarzu wybił godzinę; usłyszałam go zbyt późno, by policzyć uderzenia. Kątem oka dostrzegłam jakiś zamazany kształt i podniosłam głowę. Alicja stała w drzwiach, smukła jak trzcina, oddana jak sama miłość, z lekko pochyloną głową.
- Mamo - powiedziała - musisz wrócić. Nadszedł czas.
Och, nie, nie! To się nie może stać! Nie zabieraj mi go, dobry Boże! Jest całym moim życiem, nie potrafię żyć w świecie, na którym go zabraknie!
Wróciłam do jego łóżka, uklękłam przy nim i wzięłam go za rękę; była zimna, gładka, wiotka, jakby już uchodził z niej ślad jego obecności. Och, tak, to śmierć, pomyślałam z męką. Znałam ją już przecież. Słaby oddech cichł coraz bardziej, jak oddalająca się fala spokojnego odpływu. Jak długo
529
klęczeliśmy, licząc ostatnie oddechy? Kiedy usłyszałam zegar wydzwaniający wpół do jedenastej, wciąż był z nami, choć odszedł daleko. A potem dwa długie, następujące po sobie oddechy i cisza. Odszedł. Wszystko, wszystko było skończone.

11 grudnia 1900.

Powiadają, że Karol I chodził i rozmawiał jeszcze przez godzinę po tym, jak mu ścięto głowę. Mnie się udała większa sztuka. Ja robiłam to samo przez niemal czterdzieści lat.
Początkowo ogarnęło mnie odrętwienie - miłosierne otępienie zmysłów, łaska zsyłana przez Boga,- aby przetrwać ból amputacji. Przez kilka dni poruszałam się, spałam, usiłowałam pracować i nie czułam nic ponad oszołomienie. Instynktownie wracałam wciąż do Błękitnego Pokoju, jak pies, który się zgubił i powraca w miejsce, gdzie po raz ostatni widział swojego pana. Ale go tam nie było. Wiedziałam to. Znacznie, znacznie później odczułam, że jego duch krąży gdzieś blisko i opiekuje się mną - ostatnio czuję to nawet silniej - ale na początku nie było wokół mnie śladu jego obecności, tylko pustka we wszystkich miejscach, gdzie przebywał. Być może świeżo uwolnione dusze odchodzą z początku daleko, radując się z uwolnienia od cielesnych ograniczeń, i dopiero gdy się wzmocnią, zbliżają się ponownie do ziemi.
Lecz gdy odpłynęło odrętwienie, och, wtedy zaczęła się męka! Jak będę żyła po tym, czego doświadczyłam? Ja, która modliłam się codziennie, abyśmy umarli razem i abym go nie przeżyła? Ja, która zamknięta w jego uwielbianych ramionach spędzałam błogosławione godziny nocy - kiedy świat należał tylko do nas - i czułam, że nic nie jest w stanie nas rozdzielić? Ja, którą przenikało tak wielkie poczucie bezpieczeństwa, że powtarzałam stale: „Bóg nas ochrania"? Nigdy mi nawet nie przyszła do głowy myśl o fizycznym rozdzieleniu. Teraz mogłam się zapłakiwać lub być spokojna, modlić się lub szaleć, składać przysięgi Bogu na wszystkie przyszłe czyny - i tak niczego by to nie zmieniło. Odszedł i nie miał nigdy wrócić; straszliwa, straszliwa nieodwracalność tego pogrążała mnie w nieutulonym żalu.
530
Nie pamiętam, kto zdecydował o tym, że pięć dni później pojechaliśmy do Osborne. Być może był

to pomysł Alicji -opiekowała się mną niestrudzenie przez pierwsze tygodnie po jego śmierci, czuła, kochana pielęgniarka. To była długa, posępna podróż, pamiętam deszcz, nawałnicę, koszmar przeprawy, ale może to wszystko działo się w moim wnętrzu, nie obok mnie. Tej nocy, położywszy się w wielkim łóżku w naszej sypialni, w naszym domu w Osborne, który on zaprojektował i który kazał wyposażyć w liczne drobne udogodnienia, odwróciłam się instynktownie, aby wśliznąć się w jego ramiona, na moment przedtem, nim sobie przypomniałam. To było najtrudniejsze ze wszystkiego: te krótkie chwile niepamięci, przez które setki razy w ciągu dnia musiałam na nowo odkrywać straszliwą prawdę.

Od tej pory miałam udawać się do łóżka sama - zawsze. Och, pożądanie i tęsknota doprowadzały mnie do szału! Byłam w nim zakochana, jakbyśmy pobrali się wczoraj, i pragnęłam jego ciepłego ciała; pragnęłam go dotykać. Leżałam, patrząc na lśniący zagłówek z dźwignią z brązu, którą zainstalował, aby zamykać drzwi na klucz dla ochrony naszej prywatności. Nigdy więcej jej już nie użyję. Skrzyżowałam ramiona na piersiach i zapłakałam rozpaczliwie; zasnęłam w końcu, by rano obudzić się z mglistym, niepokojącym uczuciem, że wydarzyło się coś złego. Niepamięć trwała chwilę; ciężar straszliwej prawdy przytłoczył mnie jak głaz. Ile jeszcze takich przebudzeń mnie czekało? Ile może znieść ludzkie serce?

W miarę jak dni mijały - och, jakże posępne! - zaczęła mnie coraz częściej nawiedzać myśl, że Bóg nie pozwoli, abym spędzała czas na tej ziemi bez niego; umrę wkrótce i znowu się z nim połączę. Pragnienie przekształciło się w przekonanie, postanowiłam więc uporządkować swoje sprawy, zanim odejdę, i dopilnować, aby wszystko, czego życzył sobie mój ukochany, zostało wypełnione. Albert żarliwie pragnął małżeństwa Alicji z Ludwikiem - powinno więc zostać bez zwłoki zawarte. Uroczystość odbyła się we wtorek pierwszego lipca w jadalni w Osborne; arcybiskup w obecności najbliższych krewnych poprowadził mszę, stojąc pod obrazem rodziny, jak go zawsze określaliśmy - namalował

531

go Wintelhalter; Albert stoi na nim z wyciągniętą ręką i wyglądało to tak, jakby błogosławił moje drogie dziecko. Pozwoliłam dziewczętom i damom dworu na noszenie półżałobnych strojów; Alicja była w białej satynowej sukni i welonie z mojej ślubnej koronki; ja w czerni. Ubierano ją w pokoju Alberta, a ja myślałam: „Zakłada teraz weselną szatę w pokoju ukochanego ojca, a mnie zawiązują wdowi czepek. Cóż za koszmarny sen!". Zdołałam się powstrzymać od płaczu w czasie trwania ceremonii, choć Baby dopytywała się głośnym szeptem, dlaczego nie czekamy na tatusia, a Affie popłakiwał przez cały czas. Biedna Alicja, bardziej to przypominało pogrzeb niż wesele; ale ona i Ludwik byli razem szczęśliwi. A teraz dołączyła do niego.

Potem trzeba było zawrzeć małżeństwo Bertiego z Alice -dopełnienie go uważałam za swój i Bertiego święty obowiązek, co też mu powiedziałam; pogrążony w żalu, czyniąc sobie wyrzuty, że przyczynił się do śmierci ukochanego ojca, nie opierał się (co się szczęśliwie złożyło, ponieważ nie mogłabym go przymusić, gdyby sam nie chciał). Vicky została obarczona obowiązkiem poinformowania Alix i jej rodziców o tym, jak mój biedny chłopiec został wystawiony na pokusę i o jego upadku; chciałam, aby wszystko zostało uczciwie i całkowicie otwarcie wyjaśnione. Okazało się, że nie musieliśmy się trwożyć z powodu ich ewentualnych skrupułów; przyszły król Anglii był wystarczającą rekompensatą dla ubogiej księżniczki, nawet jeśli kiedyś miał jej przypaść tron Danii.

We wrześniu 1862 roku pojechałam do Belgii, aby się Alix osobiście przyjrzeć i zobaczyłam zachwycająco piękną kobietę w czarnej, prostej sukni, ze złocistobrązowymi włosami, upiętymi do tyłu tak, że odsłaniały przepiękne czoło i spadały w lokach na ramiona. Zawsze kochałam piękno, a jej było anielskiej natury. Była poza tym bardzo dobrą dziewczyną, może nie tyle zdolną i dobrze wykształconą, ile obowiązkową i o silnych zasadach, miała łagodny temperament i gorące, czułe serce. Powiedziała mi, jak żałuje, że nie poznała Alberta i że zostanie jego synową było jej najskrytszym marzeniem. Pomyślałam, że dobrze jej zrobi, jeżeli nauczy się ode mnie stanowczości i umiejętności rządzenia państwem. Bertie przyjechał

532

w kilka dni później i po czterech godzinach spędzonych w jej towarzystwie oświadczył się i został

przyjęty. Dzięki Bogu, wyraźnie się w sobie zakochali przez te cztery godziny, ponieważ nie chciałabym widzieć niechętnej dziewczyny wydawanej za obojętnie się do niej odnoszącego chłopca. Zostali sobie poślubieni w kaplicy Świętego Jerzego w Windsorze dziesiątego marca 1863 roku i oboje promienieli szczęściem. Arcybiskup narzekał, że nie powinno się zawierać małżeństwa w okresie Wielkiego Postu, ale powiedziałam mu dość ostro, że nie było czegoś takiego jak Wielki Post w czasach mojej młodości. Wielki Post to wymysł prawego skrzydła anglikanizmu, puseistów. Przestrzeganie postu z nikogo jeszcze nie uczyniło lepszego chrześcijanina; przeciwnie, wystarczy spojrzeć na Rosjan, którzy robią wokół tego tyle hałasu!
Alix okazała się dobrą żoną dla Bertiego; ustatkował się przy niej, a jeśli nawet nie zdołała całkiem go zmienić, uczyniła najlepszą rzecz, jaką mogła zrobić: zachowywała się tak, jakby jej się to udało.
- Zdarza mu się czasem schodzić z drogi cnoty - powiedziała mi kiedyś - ale to mnie kocha najbardziej.
Uznałam to za dość mizerny rodzaj pociechy, lecz cóż, wszyscy musimy sobie radzić z kłopotami tak, jak potrafimy... Dała mu sześcioro dzieci w ciągu pierwszych ośmiu lat trwania małżeństwa: Eddy'ego, Jerzego, potem trzy córki i kolejnego syna, Johna, który żył zaledwie jeden dzień. Wszystkie jej dzieci przyszły na świat przedwcześnie; wszystkie były kruche i słabowite. Dziewczynki, z ich wyłupiastymi oczami, cofniętymi podbródkami i ogromną nerwowością, zawsze przypominały mi myszy (na dworze nazywano je Ich Królewskimi Nieśmiałościami); to doprawdy nieszczęście, że w tak znacznym stopniu przypominały ojca, a w tak nieznacznym swoją piękną matkę. Alix obsypywała je czułościami i rozpieszczała ponad miarę, moim zdaniem, a już chłopcy dosłownie trzymali się jej spódnicy (być może stanowiło to kompensację za „schodzenie ojca z drogi cnoty"!). Biedny Eddy wyglądał najdziwaczniej z nich wszystkich; miał tak niezwyczajnie długą szyję i ramiona, że Bertie przezwał go „kołnierzykiem z mankietami". Podejrzewam, że nie wszystko mogło z nim być w porządku; był ospały, powolny, o niezbyt
533
lotnym umyśle, ale przecież kochany chłopak, zawsze dobry i miły dla swoich sióstr - przepadałam za nim i majacząc to mnie, nie matkę wzywał. Dzień przed swoimi osiemnastymi urodzinami, na krótko przed zaręczynami, zachorował na grypę, wywiązało się zapalenie płuc i w sześć dni potem nie żył. Jerzy, najładniejsze i najbardziej żywe z dzieci, zajął jego miejsce i poślubiwszy jego narzeczoną, Mary, księżniczkę Teck, dał życie kolejnej generacji. Tron zatem pozostaje bezpieczny.
Przeszedł pierwszy rok bez Alberta i nie umarłam, chociaż pod ciężarem pracy, którą mi narzucono, można by złamać kark wołu. Wszystkiemu, co robiliśmy wspólnie z Albertem, musiałam teraz podołać sama, ponieważ idioci z rządu powrócili do dawnego przekonania, że niepotrzebny mi sekretarz. Ex officio jest nim przecież premier, oświadczyli, zupełnie jak za czasów lorda M. Wszystko pięknie, tyle że lord M. pełnił tę funkcję rzeczywiście, a nie wyłącznie tytularnie, do czego Palmerston nie był zdolny, choć przecież miałam go, starego grzesznika, stale pod ręką. Drogi sir Charles Grey, sekretarz Alberta, robił, co w jego mocy, aby mi ulżyć w pracy, ale musiał czekać aż do 1867 roku, aby rząd się zdecydował mianować go oficjalnie na to stanowisko. Praca była dla mnie co prawda wtedy błogosławieństwem. Każdą godzinę, wyjąwszy te poświęcone na posiłki i krótkie spacery pieszo lub powozem, spędzałam za biurkiem, przeglądając dokumenty, zastanawiając się nad szczegółami każdej sprawy, choć często przedkładano mi je sformułowane tak koszmarnie, że wątpiłam, czy zostały napisane po angielsku. Zabrakło ukochanego Alberta, który by je dla mnie przeczytał i uściślił, objaśnił ich wagę, zbadał kulisy. Zabrakło Alberta, z którym mogłabym dyskutować - wszystkie decyzje musiałam podejmować sama. Przysięgłam na początku nowej ery mojego panowania - to znaczy, odkąd on odszedł - że zawsze będę postępować tak, jak on by sobie tego życzył, ale w miarę upływu lat nie we wszystkich przypadkach byłam tego pewna. Teraz widzę, że wiele decyzji podjęłam, daleko odchodząc od wyznawanych przez niego ideałów i gdy myślę o spotkaniu z nim, czuję lekkie zażenowanie, ponieważ obawiam się, że nie zaaprobowałby tego, co zrobiłam. Kiedy zdecydowałam
534
się ulegać mu we wszystkich sprawach, podporządkować mu całe swoje życie - było to jak wcisnąć

na siłę stopę w zbyt ciasny but. Uwolniona z buta stopa rozpręża się i puchnie, przybierając całkiem inny kształt - odmienny od tego, który nadawał jej but, ale też nie całkiem taki, jak przedtem. (Nie chcę tu oczywiście sugerować, że byłam osobą większego ducha niż Albert, nie - chcę tylko powiedzieć, że jego umysł, wysoce zdyscyplinowany, nie najlepiej współgrał z moim, niesfornym!). Upłynął zatem rok, potem dwa, trzy bez niego i stało się dla mnie oczywiste, że nie jest mi najwyraźniej pisane podążyć za moim ukochanym do grobu. Ciężko było mi to stwierdzić, chociaż wówczas nawet nie pomyślałam, że tak długie lata przyjdzie mi czekać na nasze połączenie. Och, jakże zła byłam na niego, że mnie zostawił! Spędzając na nużącym czuwaniu samotne noce, rozmyślałam o tych ostatnich latach, gdy obserwowałam, jak się w sobie zamykał; martwiłam się o niego, nie dopuszczając do świadomości tego, co nareszcie jasno zobaczyłam w nocnych ciemnościach: umarł, ponieważ nie chciał żyć. Przytłoczyła go zbyt ciężka praca i troski, a on zamiast walczyć, poddał się. Złorzeczyłam mu, nawet szlochając: nigdy, nigdy bym cię nie opuściła, Albercie, choćby nie wiem jak słaba, chora, zmęczona! Nie ustałabym w walce; walczyła do ostatniego tchu, byle tylko z tobą zostać! Jak mogłeś mnie opuścić? Jak mogłeś zostawić mnie samą na tym świecie? Nie zaprzeczył naszej miłości, ale radości z nią związanej - tak. „Przecież to nie ciebie chcę opuścić", powiedział; ale nie mogłam sprawić, aby chciał zostać. Zawsze chciałam go widzieć doskonałym i ciężko było mi to samej przed sobą przyznać: brakowało mu odwagi.

20 grudnia 1900 w Osborne.

Dzień pamięci - rocznica jego odejścia - towarzyszące temu uroczystości, potem podróż tutaj wymęczyły mnie tak bardzo, że przez kilka dni nie byłam w stanie robić nic innego, tylko leżeć na sofie i słuchać, jak Thora czyta. Kochana z niej dziewczyna! Kiedy mam do tego głowę, gawędzi ze mną interesująco na rozmaite tematy. Uwielbiam pogawędki. Niedługo gwiazdka,
535
jaka to zawsze była radosna okazja, prezenty i drzewko, te wszystkie cudowne zapachy i wspaniałe przysmaki, duch we mnie zamiera, gdy o tym myślę. Bez niego to jak przyjęcie urodzinowe, na którym nie pojawił się sam jubilat. Dla dzieci zachowuję pozory, ale ta nieszczęsna bezsenność zupełnie zakłóca rytm mojego dnia i nie potrafię z siebie dla niczego wykrzesać entuzjazmu. Czuję się dzisiaj znacznie silniejsza, a tak bardzo chciałabym kontynuować moją opowieść, że postanowiłam choćby gryzmolić, póki jeszcze mogę. Ledwie widzę kartkę przed sobą i szczerze wątpię, aby ktoś kiedyś potrafił rozszyfrować tę pisaninę, ale w końcu jakie to ma znaczenie. Powinnam skończyć to, co zaczęłam, a potem niech się dzieje co chce. Być może zostawię ten manuskrypt gdzieś na wierzchu, gdy skończę, nie będę szukać dla niego kryjówki. Ludzi zastanawia to, co ukryte; oczywiste często im umyka.
W grudniu 1864 roku sprowadziłam Johna Browna z Balmoral i mogłam znowu się cieszyć konnymi przejażdżkami. Jenner uważał, że powinnam zażywać ruchu, poza tym Baby zaczęła się uczyć jeździć konno i chciałam koniecznie jej towarzyszyć; na pewno nie zaufałabym obcemu stajennemu. Odkryłam na nowo przyjemność jazdy, kłusując po znajomych ścieżkach Osborne na mojej kochanej zachwycającej czarnej Florze, całkowicie bezpieczna z Brownem przy boku albo na koźle. Po kilku tygodniach uznałam, że nie ma powodu, aby nie był mi użyteczny także na inne sposoby. Szkocki gillie robi wszystko: jest stajennym, lokajem, kucharzem, nawet pokojówką damy w jednej osobie i nie sposób sobie wyobrazić, jakie to wygodne, mieć przy sobie tylko jedną osobę, oczywiście jeśli jest to szlachetna, pełna poświęcenia osoba. Brown był i szybko stał się mi niezbędny. Spokojny, zwinny, miał wspaniałą pamięć, co czyniło z niego doskonałego sługę; ponadto nadzwyczaj silny fizycznie i odważny, dzięki czemu właśnie czułam się przy nim tak bezpiecznie, czy to kłusując, czy siedząc w powozie.
Dzisiaj rozumiem, że właśnie wtedy zaczęłam powoli powracać do życia. Wciąż z trudem wydobywałam się z mrocznego tunelu, ale zdarzały się już momenty, gdy czułam przyjemność:
536
bo dzieci powiedziały coś zabawnego, bo nieoczekiwanie jakiś pejzaż, kwiat czy zwyczajnie niebo

uderzyło mnie swoim pięknem. Brown szybko zdobył sobie szczególną pozycję w moim życiu; przestał być tylko gillie. Kiedy Albert odszedł tak szybko po mamie, z niezwykłą siłą odczułam, że nie mam nikogo, kto by był wyłącznie dla mnie; czyją rolą byłoby sprawiać, abym czuła się szczęśliwa; kto by szczerze i uczciwie przejmował się wszystkimi moimi troskami. Dzieci były mi oczywiście ogromną pociechą, nie jest to jednak to samo, co pociecha uzyskiwana od dorosłej osoby; a kiedy dzieci stają się dorosłymi osobami, na pierwszym miejscu stawiają własne rodziny, co jest jak najbardziej naturalne i właściwe. Co się zaś tyczy służby, można nawet kogoś z nich bardzo lubić, zawsze jednak pozostaje niewidzialna bariera, wynikająca z ich podległości; mają świadomość, że można ich wyrzucić, jeśli przestaną się podobać, i to czyni ich uległymi, niemal służalczymi; ukrywają swoje prawdziwe myśli i uczucia.
Brown był inny. Choć całkowicie mi oddany, choć poświęcił życie, by mi służyć, nie wahał się wyrazić sprzeciwu, gdy uznał, że nie mam racji, ani nie skrywał przede mną swoich opinii. Nie powodował nim strach, że zostanie zwolniony; żałowałby gorzko, gdybym go oddaliła, wiedziałam to, nie próbował jednak tchórzostwem utrzymać się na posadzie. Rozdrażniało to moją rodzinę i dwór, sądzili bowiem, że jest arogancki i obrażało ich, że „nie zna swego miejsca". Tymczasem znał je doskonale: zawsze miałam go pod bokiem, zawsze na moje usługi! W miarę upływu lat stawał się coraz bardziej kimś więcej niż służącym i pozwalałam mu cieszyć się swobodą, którą większość ludzi skłonna była uznawać za niewłaściwą; często zwracał się do mnie jak w powszechnym mniemaniu sługa nie powinien się zwracać do swojej pani, zwłaszcza jeśli zważyć na to, że była królową Anglii. On jednak wiedział doskonale, jak daleko wolno mu się posunąć i nigdy nie przekroczył tej granicy; bezustannie mnie rozweselał, podnosił na duchu, nawet wtedy, gdy wszystko inne zawodziło - swoją szorstko wyrażaną troską o mnie, swoim błaznowaniem. „A cóż to takiego? Znowu ta stara czarna sukienka? Jest już prawie zgniłozielona". Ach, jakże mi go

brakuje, dobrego, wiernego przyjaciela! Nie ma już dzisiaj nikogo, kto by się przejmował tym, w co się ubieram i jak często to noszę!
Zachorował kiedyś i myśleliśmy oboje, że to koniec. Obiecałam mu wówczas, że jeśli umrze przede mną, każę włożyć sobie do trumny jego podobiznę i pukiel włosów.
- Do ręki? - zapytał podejrzliwie.
Uniosłam lewą dłoń, która spoczywała zawsze na jego silnym prawym ramieniu, gdy się udawałam na przechadzkę.
- Do tej ręki - powiedziałam. Kiwnął głową, zadowolony.
- Nie ma nikogo, kto by cię, pani, kochał bardziej niż ja.
- I służył wierniej - zgodziłam się. - Jesteś moim prawdziwym przyjacielem.
Zostawiłam zatem odpowiednie instrukcje: Reid musi dopilnować, aby to zostało wykonane. Sekretnie, tak by nie obrażać rodziny; głęboko wierzę, że należy dotrzymywać swoich obietnic, choćby się wydawały innym bezsensowne, i nie złamię słowa danego staremu przyjacielowi. Podobizna i pukiel włosów, owinięte w bibułkę, spoczną pod moją lewą ręką, gdy już będę leżała w trumnie. Albert nie miałby nic przeciwko temu, wiem to na pewno. Powiedział mi przecież, że mamy dla siebie całą wieczność; nie będzie zazdrościł mojemu dobremu, wiernemu Johnowi tego miejsca obok mnie.

14 stycznia 1901 w Osborne.

Och, jakaż to była ponura Gwiazdka! Moja droga Jane Churchill umarła w dzień Bożego Narodzenia po sześćdziesięciu czterech latach wiernej dla mnie służby. Starali się to trzymać przede mną w tajemnicy, aby mi oszczędzić szoku, ale w końcu Beatrycze przekazała mi tę smutną wiadomość. Zmarła na atak serca, miała więc szybką i lekką śmierć; dla mnie oznacza to niepowetowaną stratę. Na domiar złego stary rok odchodził przy sztormowej pogodzie, która na wiele dni uwięziła mnie w domu. Powitałam nowy rok i nowe stulecie, ale - och, jakże nieszczęśliwie i jak źle się czuję, jestem taka słaba. Reid twierdzi, że wiosną mi się polepszy, pod

warunkiem,
538
że będę go słuchać, czyli zachowywać się jak kaleka i prawie nic nie robić. Widziałam się dzisiaj rano przez godzinę z lordem Robertsem, rozmawialiśmy o Afryce - twierdzi, że to już ostatnia faza wojny. Modlę się, aby jak najmniej naszych mężczyzn poległo, zanim ostatecznie zostanie podpisany pokój. Zmęczyła mnie ta rozmowa, ale po południu odbyłam przejażdżkę powozem i świeże powietrze doskonale mi zrobiło.
Wcześnie położyłam się do łóżka, nie mogłam jednak mimo zmęczenia zasnąć, wstałam więc i piszę, dopóki jeszcze mogę to robić. Jest to dla mnie w tej chwili spory wysiłek, ale mój umysł wciąż żyje, wciąż bystry, pomimo oznak zewnętrznej „ruiny" - wiem, że muszę, muszę skończyć! Doszłam, zdaje się, do śmierci mojego drogiego Browna. Och, jakie to się wydaje odległe. Żyję i panuję już tak długo, że dla siebie samej stałam się legendą; łapię się czasami na tym, że mówię i robię rzeczy, których oczekuje się po królowej Anglii i cesarzowej Indii, a z którymi sama Wiktoria, ta Wiktoria skryta pod czcigodną, klocowatą postacią, nie ma nic wspólnego. Gdy umarł Albert, chciałam także umrzeć. W chwili rozpaczy myślałam nawet (jakże nikczemnie!) o odebraniu sobie życia, ale niemal słyszałam, jak Albert mówi: „Wytrwaj!" - więc wytrwałam; rok po roku trwałam, przeżywając wszystkich. Panowałam dłużej niż którykolwiek z brytyjskich monarchów i nie zdarzyło się przedtem, aby żyjący suweren miał trzech bezpośrednich dziedziców tronu (mam na myśli oczywiście w trzech kolejnych generacjach). Doczekałam się nie tylko wnuków, ale prawnuków - rozproszonych po całej Europie. Albert i ja zapełniliśmy trony sama nie wiem ilu krajów.
Och, ale jestem już zmęczona! Ostatni rok przyniósł tyle smutku i znużenia - biedny kochany Affie... trzecie moje dziecko odeszło; a potem najdroższy Christl - cóż za straszliwy szok. I moja droga Vicky, pierworodna i najbardziej kochana przez mojego najukochańszego Anioła... myślą, że nie zdaję sobie sprawy z tego, jak ciężko jest chora, ona sama stara się to przede mną ukryć, a przecież matka i tak zawsze wie. Vicky umiera. Jeśli przeżywa się własne dzieci -żyje się za długo.
539
Przez całe swoje życie, nawet przytłoczona smutkiem, zawsze czułam wewnętrzną energię i właśnie to wiązało mnie ze światem; teraz czuję tylko ból i rozmaite dolegliwości, od których nie można odpocząć. Czy mój biedny ukochany tak właśnie czuł przez ostatnie tygodnie swego życia? Jeśli tak, muszę cofnąć to, co napisałam o jego braku odwagi. Trudno go obwiniać, że nie walczył o życie w tych okolicznościach.
Nie proszę o to Boga szczególnie, ale jeśli taka będzie Jego wola i wezwie mnie przed swoje oblicze - odejdę z ochotą. Tak długo jestem rozdzielona z moim ukochanym, tak bardzo pragnę go znowu zobaczyć. Dobry Boże, czyż nie jest to zgodne z Twoją wolą? Bertie nie będzie już ani lepszy, ani gorszy, uporządkowałam swoje sprawy, zaplanowałam swój pogrzeb skrupulatnie co do ostatniego powozu, który pojedzie za trumną, nie pozostało nic więcej do załatwienia. Wskazałam nawet mój ulubiony hymn:
Jak sen mija życie, Jego smutki i grzechy. Nim na koniec o świcie Zabłyśnie dzień pociechy.
Radością będzie to dla mnie; nie spodziewam się też, aby Bertiemu sprawiło wielką przykrość zostać wreszcie królem.
Biedny, biedny Bertie! Obwiniany gorzko za śmierć ojca -i jakże niesprawiedliwie; musiałam mu to w końcu przyznać (chociaż żal poniewczasie nie cofa niczego, co zostało zrobione lub powiedziane, wiem to najlepiej). Niesprawiedliwie, ponieważ mój ukochany uciekał od życia już od dłuższego czasu i prędzej czy później to by się stało. Bertie nie okazał się takim, jak tego pragnął mój ukochany, ale też nic nie można było na to poradzić, teraz wiem. Lord M. miał rację. Co możemy zrobić, nawet jeśli się staramy? Jesteśmy wszyscy zabawkami w rękach Boga, ograniczeni naszym ciałem, dziedzictwem, wadami, i choćbyśmy nie wiem jak zawzięcie walczyli, nie jest w naszej mocy odwrócić przeznaczenie.
Przeznaczeniem Bertiego było zostać elegantem, ulubieńcem towarzystwa, miłośnikiem wykwintnych strojów, dobrego wina, drogich cygar, ekspertem pięknych końskich i kobiecych kształtów,

zwolennikiem szybkiej jazdy samochodem, mężczyzną, za którego wizytę każda pani domu zaprzedałaby duszę. Jeśli nawet nie najlepszym, będzie lubianym i popularnym królem; śmiem twierdzić, że bywa znacznie gorzej.
Moim przeznaczeniem było uosabiać Anglię - mała, stara kobieta w kapelusiku, władająca połową świata, profil na znaczkach pocztowych, twarz o surowym wyrazie znana z setek tysięcy reprodukcji, rozpoznawana przez połowę populacji świata, od wysokich, chudych Jankesów w dziwacznych spodniach po małych śniadych chłopców, podskakujących nad brzegami Gangesu. Wiktoria; ta, która urodziła się, aby zostać królową - ta, której nogi są zbyt krótkie, aby dosięgnąć podłogi, gdy zasiada na tronie, i która jest tak nieśmiała, że drży jak małe kocię od chłodu, gdy przedstawiają jej kogoś nowego. Och, na ironię! A jednak mimo to uosabiam Anglię. Oto, co ludzie myślą, gdy ze mną rozmawiają: nie kobieta, ale instytucja. Nikt nie zna we mnie kobiety.
Przeznaczenie Alberta? Ech, może najbardziej dziwne! Było nim zmienić nas wszystkich - sposób, w jaki mówimy, myślimy, działamy, w co wierzymy, co akceptujemy, szanujemy. Jesteśmy teraz wszyscy Niemcami (z wyjątkiem kręgów, w których obraca się Bertie, ale nie są one znowu tak liczne). Nigdy nie lubiłam dobrze urodzonych, klas wyższych, jeśli tak chcecie ich nazywać; mogę jednak teraz przyznać -ponieważ nie ma to już żadnego znaczenia - że nie lubiłam również klasy średniej: zbytnio zadufanej w sobie, surowej, nietolerancyjnej na ludzkie słabości. Ale to jednak właśnie oni docenili zalety mojego ukochanego, przyjęli jego cnoty za swoje i są to dobre wartości: uprzemysłowienie, doskonalenie, dociekliwość, dobroczynność. Wydaje się, że to oni właśnie się liczą - teraz i będą się liczyć w przyszłości. Całą Anglię zaludni pewnego dnia klasa średnia - kiedy czas Bertiego przeminie, a Jerzy i Mary zaczną rządzić moim krajem. Powiedziałam kiedyś lordowi M., że współczesne kobiety są lepiej wykształcone, mężczyźni piją mniej, a psy bardziej szanują meble. Dzisiaj brzmi to jeszcze bardziej prawdziwie i myślę, że to nie najgorsza ocena czyjegoś panowania.
Najdziwniejsze dla mnie w tym wszystkim jest to, że gdy odejdę, zaczną mówić o „wiktoriańskiej erze", tak jak teraz

mówią o elżbietańskiej - a przecież będą mieli na myśli wyłącznie osiągnięcia Alberta. Czy sprawiłoby mu to różnicę? Wątpię! Widzę jego twarz, przemykający po niej cień uśmiechu; słyszę jego głos, w którym czai się ten jego cudowny stłumiony śmieszek; mówi do mnie to, co często mi powtarzał, cytując Goethego: Die Tat is alles, nicht der Ruhn - śmierć jest wszystkim, sława niczym. Pracował przez całe swoje życie, walcząc z poświęceniem o wprowadzenie zmian, które uważał za właściwe i dobre, ale nigdy nie pragnął uznania. Śmierć jest wszystkim, mówił, nie chcę pomników.
A zatem dobrze, mój ukochany. Przyjmę za ciebie sławę; przyjmę winę, jeśli będą chcieli cię nią obarczyć - to mój królewski przywilej. Mimo wszystko, to jednak ja byłam królową Anglii, a nie ty jej królem. Ty byłeś ledwie jakimś niemieckim książątkiem, pozbawionym dochodów, zrodzonym w kraju o rozmiarach angielskiego miasta Bristol! Zmieniłeś oblicze Anglii, a potem spokojnie schroniłeś się w ciemność, zostawiając mnie samą na długie czterdzieści lat, wystawioną na miliony ciekawych oczu, doskonale widoczną w blasku, który bije od tronu. Ale ja zawsze wiedziałam, co jest moim obowiązkiem; wypełniałam go - i wypełnię do końca.
Nie będę dalej pisać... tak mnie boli moja nieszczęsna ręka, ledwie mogę utrzymać pióro. Jutro znowu zacznę. Jestem bardzo zmęczona, teraz zasnę.

Postscriptum.

Następnego dnia widziano królową na przejażdżce w parku w towarzystwie synowej, księżnej koburgskiej; po raz ostatni pojawiła się wówczas na widoku publicznym. Rankiem szesnastego stycznia sprawiała wrażenie, jakby nie była w stanie się do końca obudzić, choć powtórzyła kilkakrotnie niewyraźnie, że musi wstawać. Reid zdecydował się ją zobaczyć i wszedł do sypialni,

mimo iż nie został wezwany. Nigdy przedtem nie widział jej leżącej w łóżku i zdumiało go, że jest taka mała. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej i oszołomionej i później postawił diagnozę, że mogło dojść do lekkiego udaru mózgu.
Siedemnastego stycznia wezwano londyńskiego specjalistę, który potwierdził uszkodzenie mózgu. Reid uznał, że koniec jest bliski i wysłał prywatną depeszę do cesarza, którego przyrzekł uprzedzić w razie konieczności. W Berlinie przebywał w tym czasie również Artur, przyjechał więc do Anglii razem z Willym. Dwudziestego pierwszego wraz z Bertiem zjawili się w Osborne. Stan królowej uległ krótkiej poprawie, niemniej dwudziestego drugiego stało się jasne, że koniec jest kwestią godzin. Umarła wpół do siódmej wieczorem. Willy podtrzymywał ją zdrowym ramieniem, Bertie trzymał za rękę, Baby, Lenchen, Ludwika i Artur stali w nogach łóżka. Vicky umierała w Niemczech na raka kręgosłupa i nie mogła przybyć, przykuta do łóżka.
Pogrzeb odbył się dwa tygodnie później, wszystkie akcesoria utrzymano w bieli, tak jak sobie tego życzyła królowa. Jej trumna, mała jak dla dziecka, spoczęła obok trumny Alberta w mauzoleum we Frogmore, a nad drzwiami wyryto słowa:
543
„Pogrążona po nim w żałobie wdowa, królowa Wiktoria, nakazała, aby doczesne szczątki księcia Alberta spoczęły w tym grobowcu. AD 1862.
Żegnaj, ukochany! Tu, gdy nadejdzie kres, przyjdzie mi obok Ciebie spocząć; z Tobą zmartwychwstanę w Chrystusie".
Po śmierci matki Bertie i Baby podzielili między siebie pokaźną liczbę jej listów i pamiętników. Znaczna część jej korespondencji została zniszczona; dzienniki, poddane surowej redakcji, polecono przepisać w mocno okrojonej formie, oryginały spalono.
Koniec.